Nr. 187. 5 maja 1958 r. Poniedziałek

GRZESIUK STANISŁAW

PIĘĆ LAT KACETU

Prószyński i S-ka

Autor o książce

– Nigdy nie myślałem o pisaniu. Kiedyś nieopatrznie przyrzekłem komuś, że opiszę wszystkie moje przeżycia obozowe. Obietnicy trzeba było dotrzymać i tak powstała książka. Odtwarza ona najwierniej i bez żadnych upiększeń moje pięć lat kacetu. Taki też tytuł noszą moje wspomnienia.

Zdaję sobie sprawę, że to nie jest literatura w całym tego słowa znaczeniu.

Nie chciałem zresztą pisać powieści. Chodziło mi po prostu o przekazanie, jak i co robiłem w obozach Dachau, Mauthausen i Gusen, aby przeżyć.

Spodziewam się, że ze strony wielu czytelników moja książka spotka się z pewnymi sprzeciwami. Nie jest to bowiem martyrologia ani zbeletryzowana opowieść z tragicznych lat obozów koncentracyjnych. Pokazałem nagą prawdę. Brutalną, szczerą, bez żenady obrazującą życie w kacecie. Tak było. Pisząc, nie oszczędzałem również siebie. Dałem tylko świadectwo prawdzie, traktując rzecz jako dokument. I to mi się chyba udało.

– Czy ten debiut pisarski zachęca pana do dalszego pisania?

– Nie myślałem o tym. Nie chciałbym traktować pisania jako swego drugiego zawodu. Mam jednak w przygotowaniu kilka opowiadań z życia warszawskich przedmieść w latach międzywojennych. To będą także raczej wspomnienia, bo sam jestem dzieckiem warszawskiego przedmieścia. Jeśli te opowiadania ukażą się w druku, będę zadowolony. Jeśli nie, specjalnie się tym nie zmartwię.

– Czy pisanie książki sprawiało panu jakieś trudności?
– Nie. Pisałem tak, jak mówię, nadając książce ton narracji.

CER*, Dwa debiuty – dwie książki,*
czasopismo „Służba Zdrowia”
8 czerwca 1958

Jak się dostał do obozu? Zwyczajnie. za posiadanie broni. Spędził tam 5 lat.

– W 1955 poznałem na wczasach kogoś z wydawnictwa PIW. Opowiadałem różne oderwane sceny z życia w obozach. Zachęcony do pisania, wziąłem się ostro do roboty. W sanatorium w Otwocku napisałem 160 stron. Przesłałem do oceny.

Nie musiałem długo czekać na odpowiedź. Polecono mi pisać dalej. Pisałem więc dalszy ciąg, jednym tchem, bez poprawek. W sanatoryjnym pokoju było nas ośmiu. W dzień przeszkadzały mi rozmowy chorych. Pisałem więc, dzięki życzliwości dr. Mordyńskiego, który zezwolił mi na zainstalowanie małej lampki przy łóżku, głównie w nocy.

Później zapakowałem wszystkie 660 stron rękopisu i wysłałem do wydawnictwa w sprawie podpisanie umowy. I tak zupełnie dla siebie niespodziewanie zostałem autorem książki.

Zbigniew Zapert, *Przy pół czarnej ze Stanisławem Grzesiukiem*, dziennik popołudniowy
„Express Wieczorny”
30 czerwca 1958

Najważniejsze recenzje

Jest tu pasja obserwatorska, zapał kronikarza, aby nic z autentycznego świadectwa nie przepadło. Jest to „historia naturalna" obozów zagłady, ich ekonomika. Buchalteria każdego papierosa, każdej miski zupy jest ścisłą buchalterią sumienia. Zresztą brak w książce sentymentów – i brak refleksji ogólniejszych. Sam tylko masywny obraz, który jednak ma taką plastykę jak zaciśnięta pięść. Dużo tu wulgaryzmów, ale rzecz oryginalna i ciekawa.

Jest to specyficzny pamiętnik plebejski. Staje przed nami człowiek z ludu, podobny do różnych Łazików z Tormesu, Marchołtów czy Szwejków. Rzecz dziwna, ten współczesny pamiętnik kontynuuje nurt literatury sowizdrzalskiej, tej arcyludowej twórczości. Bohater jednak w sumie, mimo swojego „andrusostwa", do którego się przyznaje, reprezentuje pozytywny typ człowieka z ludu, mającego w sobie wiele dobroci i siły – mimo całego współczesnego warszawskiego „cwaniactwa".

J.P., *Proza samorodna*,
tygodnik „Życie Literackie"
26 października 1958

Pięć lat kacetu – *ta książka wywołała różne reakcje czytelników. Jedni odkładają pamiętnik, bo nie mogą znieść opisu tak strasznych zbrodni. Inni zarzucają autorowi naturalizm i wypominają mu, że nie napisał o tym, co podtrzymywało moralny opór więźniów przeciwko hitlerowskiemu naukowo opracowanemu systemowi śmierci. Jeszcze*

inni zamykają książkę po przeczytaniu ostatniej jej strony i – zamyśleni – milczą.

Wszyscy jednak, którzy przeczytali do końca tę straszliwą relację z dna hitlerowskiego piekła, mają jedną i tę samą myśl: wojna zawsze stwarza piekło na ziemi. Precz z wojną!

Ta książka powinna się znaleźć w każdej bibliotece i w każdym domu, powinien ją przeczytać każdy, kto umie czytać. Powinna być przełożona na wszystkie języki.

Pamiętnik z dna piekła,
tygodnik „Chłopska Droga”
10 sierpnia 1958

Wspomnienia Grzesiuka różnią się od wydanych już u nas książek tego rodzaju tematem i charakterem. Tematem – gdyż traktują o pobycie w nieuwzględnianych u nas obozach: Dachau, Mauthausen i Gusen. Charakterem – gdyż wszystko, co u nas pisano na ten temat we wspomnieniach i nowelkach, miało charakter wyraźnie literacki, podczas gdy pamiętniki Grzesiuka cechuje przede wszystkim autentyzm. Zaliczyć by je można do tak modnej w dwudziestoleciu kategorii literatury autentyzmu w rodzaju pamiętników sierżanta Legii Cudzoziemskiej, wspomnień Urke Nachalnika, książek Sergiusza Piaseckiego itd., ale bez pewnej pretensjonalności tej reklamowanej wówczas literatury.

Stanisław Zabiełło,
Świat koncentracyjny,
tygodnik „Kierunki”
6 sierpnia 1958

Dlaczego więc te oceny są w książce tak bardzo niedopowiedziane?... Sądzę, że mamy w niej przykład zawodności naturalizmu jako metody twórczej. Otrzymaliśmy oto pasjonującą lekturę, najprawdziwszy „autentyk” – i boczyć się na niego może tylko ten, kto nie zna ceny miski gotowanej lury, kawałka

papierowego worka na zziębnięte plecy czy kropli jodyny w hitlerowskim dnie piekieł. A jednak ta prawda – jest tylko półprawdą.

Bo nie może być pełną prawdą produkt naturalizmu, gdyż rzeczywistość nie składa się z poszczególnych faktów, odrębnych i od siebie izolowanych. Między faktami są związki przyczyn i skutków. Są ludzie, którzy sądzą, że jest czas, który kwalifikuje, i historia, która ocenia. W szczególe tkwi zawsze jego odwrotność: głęboki sens ogólny.

I dlatego, choć uznaję książkę Grzesiuka za wartościowy dokument literacki, muszę wnieść sprzeciw wobec porównywania jej z utworami obozowymi Tadeusza Borowskiego. Tam znajdowałem nie mniejszy autentyzm, lecz ponadto osąd. Tam znajdowałem rzeczy i pogląd o rzeczach. Tutaj – nie. To naturalizm powodował, że mój przyjaciel, który książkę Grzesiuka pochłaniał trzy noce – tak mało z niej zrozumiał.

A my przeżyliśmy przecież także po to, by zrozumieli inni.

Ludwik Krasucki,
Podwójne dno miski – czyli granice naturalizmu,
dziennik „Trybuna Ludu”
20 sierpnia 1958

GRZESIUK
STANISŁAW

PIĘĆ LAT KACETU

Prószyński i S-ka

Copyright © Izabela Laszuk & Kamila Chudzyńska, 2018

Projekt okładki: Mariusz Kula

Zdjęcie na okładce: © Szymon Kaczmarczyk/Shutterstock.com

Redaktor serii: Michał Nalewski

Redakcja: Maciej Korbasiński

Korekta: Marianna Chałupczak

ISBN 978-83-8123-604-1

Warszawa 2018

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Tu są żywi, ale już umarli.
(Z przemówienia komendanta obozu w Dachau)

*

W obozach koncentracyjnych: w Dachau, Mauthausen i Gusen, siedziałem od czwartego kwietnia 1940 roku do chwili oswobodzenia przez armię amerykańską, to jest do piątego maja 1945 roku. Jako jeden z nielicznych, którym udało się przeżyć w obozach tyle czasu, często pytany jestem przez znajomych, co ja takiego robiłem w obozie, jak żyłem, że tyle lat przetrzymałem. Wtedy opowiadam różne oderwane sceny obozowe bez żadnego ładu i kolejności przeżyć. Radzili mi często, bym opisał to wszystko, co pamiętam. Ja sam o tym nieraz myślałem, że warto by opisać to chociażby dla swoich dzieciaków, żeby w przyszłości, jak już będę większe, przeczytały sobie, co przeżył ich tata, kiedy jeszcze nie był ich tatą, **i na podstawie tych przeżyć nauczyły się nienawidzić faszyzmu i wojny**[1].

Od roku 1943 (po klęsce Niemców pod Stalingradem) warunki w obozach zaczęły się poprawiać. Łatwiej było wówczas w obozie przeżyć przeciętnemu więźniowi trzy miesiące niż do roku 1943 trzy dni. W Gusen, mimo że warunki się poprawiły, byliśmy – według twierdzeń ludzi z Oświęcimia – dopiero w warunkach oświęcimskich z roku 1941. Więźniowie, którzy żyli w Oświęcimiu trzy lata, w Gusen wykańczali się po trzech–pięciu miesiącach. Mówili, że gotowi są w nocy i na kolanach wracać z powrotem do Oświęcimia, bo „tam było życie, a tu kamienia nie ugryzę i nie można zorganizować żadnych ubrań”. **A w Oświęcimiu te rzeczy łatwo było zorganizować po ludziach z zagazowanych transportów.**

W książkach o życiu w obozie nikt dotychczas nie napisał tak gorzkiej prawdy. Ludzie opisują życie w obozach, a nikt jakoś nie chce opisać swego własnego życia tak dokładnie, ze szczegółami.

Opisuje się, że były ciężkie warunki, że się to wszystko przeżyło, lecz nikt nie opisuje, jacy ludzie przeżywali te lata mordowni i głodu i co robili na co dzień, żeby przetrwać.

W roku 1943 Stanisław Nogaj, dziennikarz z Katowic, obliczył, że z pierwszych dziesięciu tysięcy więźniów w Gusen żyje jeszcze trzystu czternastu. Gdy dowiedział się o tym komendant obozu, powiedział: „Ja chciałbym tych byków zobaczyć – przecież porządny więzień nie powinien żyć w obozie dłużej jak pięć miesięcy".

Podstawą życia w obozie było, w moim pojęciu, maksymalne miganie się od pracy oraz organizowanie jedzenia, a w zasadzie można to ująć w jedno zdanie – postępować przeciw wszystkim zarządzeniom władz obozowych, bo wszystkie zarządzenia miały na celu jak najszybsze wykończenie więźniów. Omijanie zarządzeń zawsze narażało więźnia na bicie i w zależności od tego, w czyje w danym wypadku wpadł ręce – na utratę życia.

Określiłbym to tak: kto chciał przeżyć, nie wolno mu było bać się śmierci, bo każdy, kto chciał żyć, a bał się śmierci – bał się narazić na bicie i wykonywał ściśle zarządzenia, czekając na cud i koniec wojny, że go zwolnią albo że przetrzyma. Gdy się zorientował, że się kończy, za późno już wtedy było na zryw i dla takiego zostawało tylko krematorium.

Ta bezwzględna walka o życie często była połączona z brutalnością, której nie można było uniknąć, i ta brutalność w pewnym stopniu istniała u wszystkich, którzy przeżyli dłuższy czas w obozie. Nie wiem, dlaczego nikt w swoich opowieściach nie łączy z tym zagadnieniem swojej osoby. Brutalność w życiu obozowym istniała na każdym kroku.

Jak wyglądało życie przeciętnego więźnia przez pięć lat pobytu w obozie, postaram się opisać na podstawie własnych przeżyć, a ponieważ chodzi tu tylko o obóz, opiszę okres od momentu transportowania mnie do obozu, a zakończę chwilą otwarcia obozu i odzyskania wolności.

W swoim życiu w obozie zawsze starałem się być sprawiedliwy dla innych i dla samego siebie – starałem się, żeby nigdy nie popełnić czynu, który by osiadł plamą na moim sumieniu, a przez ludzi byłby traktowany jako czyn hańbiący.

Minęło już dwanaście lat od zakończenia wojny. Wiele przeżyć już zatarło się w pamięci. Wiele nazwisk zapomniałem, lecz to, co mi w pamięci pozostało, postaram się opisać. Ponieważ nie we wszystkich wypadkach miałem możność porozumieć się z występującymi tu osobami – względnie z rodzinami nieżyjących – czy życzą sobie, aby o nich pisać pełnym nazwiskiem, więc w niektórych wypadkach podaję tylko pierwszą literę.

1 Pogrubieniem wyróżniono niepublikowane fragmenty przywrócone z rękopisu.

W drodze do Dachau

Po aresztowaniu, gdy mnie ciupasem transportowano do obozu koncentracyjnego w Dachau, podróż przedstawiała się w ten sposób, że w dzień wieziono nas wagonem więziennym, a wieczorem dowożono do jakiegoś miasta i tam na noc lokowano w więzieniach. Czasem zaraz następnego dnia odsyłano nas dalej, a było i tak, że w jakimś więzieniu siedziałem kilka, a nawet kilkanaście dni, zanim odesłano mnie na następny etap. Towarzyszami w drodze byli przeważnie kryminaliści niemieccy, których przewożono do innych więzień lub na rozprawy. Nie mogłem się w tym zorientować dokładnie, bo wcale nie znałem niemieckiej mowy. Z mową niemiecką to u mnie był ciekawy problem. Po prostu nie chciałem się jej uczyć. Miałem do niej wstręt i przez pięć lat obozu nauczyłem się tylko tyle, ile mi na siłę wcisnęli do głowy ciągłym powtarzaniem.

Zaznaczyć muszę, że w czasie gdy już mnie Niemcy wzięli na przechowanie – poszukiwany byłem za posiadanie broni – nie miałem jeszcze dwudziestu dwóch lat (urodziłem się szóstego maja 1918 roku), a wyszedłem z obozu w dzień swych urodzin, kończąc lat dwadzieścia siedem.

Droga do obozu przeszła względnie spokojnie. Nie bili mnie, jeść dawali tyle co i innym więźniom, paskudne tylko były przejścia z pociągu do więzienia i z więzienia do pociągu. Łączono nas wtedy za ręce kajdankami po kilku i pod silną eskortą prowadzono jezdnią przy samym chodniku. Przy ustawianiu się do przemarszu trzeba było się zdecydować, gdzie się ustawić. Jeśli się stanęło w pierwszej linii przy chodniku, to wtedy kajdanki założone były tylko na jedną rękę, druga natomiast była wolna i tą ręką można było zbierać

z brzegu chodnika i z jezdni tuż przy chodniku niedopałki papierosów, które w więzieniu można było wymienić na jedzenie albo inne drobiazgi. Przy zbieraniu można było od wartownika oberwać kopniaka albo kolbą karabinu za podnoszenie niedopałków, ale warto było ryzykować. To była ta dobra strona maszerowania przy chodniku. Złą stroną natomiast była ludność cywilna, a szczególnie baby i dzieciaki, które prawie zawsze wymyślały nam, pluły na nas i rzucały w nas różnymi odpadkami, kamieniami i wszelkim świństwem, jakie im wpadło w ręce. To już lepiej mieli się ci, którzy szli od strony jezdni.

Na jednym etapie w pociągu jechałem w jednym przedziale z Jugosłowianinem, pamiętam, że na imię miał Paweł; odstawiali go do granicy ciupasem jako uciążliwego cudzoziemca. Twierdził on, że nic mu nie udowodniono, a odsyłają go dlatego, że żyje na wysokiej stopie, a nigdzie nie pracuje. Z jego opowiadań wynikało, że jest to niebieski ptak i szuler. Potrafiliśmy się doskonale porozumieć i po całym dniu jazdy uczył mnie już techniki szulerki i kantowania ludzi głupich i naiwnych. Twierdził, że jego szpakowate na skroniach włosy są sztucznie robione dlatego, że taki szpakowaty pan wzbudza w otoczeniu większe zaufanie. Umówiliśmy się, że jeśli mi się uda uciec albo zostanę zwolniony, to mam zapamiętać jego adres i przyjechać do niego do Jugosławii. Ocenił mnie jako chłopaka sprytnego, którego łatwo będzie nauczyć wszystkich sztuczek, i wtedy będziemy kręcili w życiu razem. na następnym etapie rozdzielono nas i już więcej go nie widziałem.

Innym pasażerem w naszej klitce w więziennym wagonie był facet w wieku lat trzydziestu. Ponieważ dobrze mówił po polsku, byłem pewny, że to jest Polak. Gdy między etapami spędzaliśmy noc w więzieniu, wieczorem rozmawialiśmy w trzech, spacerując po olbrzymiej celi, która była celą przejściową.

Będąc pewien, że drugi mój towarzysz jest Polakiem, z ciekawości zapytałem go, z jakich stron pochodzi. na pytanie to otrzymałem odpowiedź:

– Z tych, które żeście zabrali.

Nie zrozumiałem, więc pytam jeszcze raz. Odpowiedział mi z drwiną w głosie:

– Z Zaolzia. – A zwracając się do Jugosłowianina, powiedział: – Czy ty wiesz, co te kurwy wyprawiali, jak tam przyszli? – i tu posłał pod adresem Polaków kilka lepszych wiązanek „słupów telegraficznych".

Mimo młodego wieku byłem już na tyle świadomy politycznie, że na zajęcie Zaolzia patrzyłem z odrazą, jak patrzyłbym na hienę, która zdradliwie uchwyci ochłap z padliny zwierza, zamordowanego przez innego. Mimo to „wiązanka" przesłana **nie pod adresem naszego byłego rządu, lecz** pod adresem wszystkich Polaków dotknęła mocno moje uczucia narodowe, lecz nie powiedziałem nic, tylko w duszy zakiełkowała myśl oddać mu to w jakiś sposób, przy najbliższej okazji. Przyznając mu w pewnym stopniu rację, a to w zagadnieniu samego zajęcia Zaolzia, może szybko zapomniałbym o chęci odegrania się, gdyby okazja do tego nie trafiła się tak szybko. W kilka minut po tej rozmowie podszedł on do mnie z pytaniem: – Masz co zapalić? – i bezczelnie wsadził mi rękę do kieszeni marynarki, w której trzymałem niedopałki zbierane w czasie przemarszów. Zanim zdążył mi coś z kieszeni wyjąć, dostał taką bombę w nos, że go wyrzuciło na środek celi.

– Ty padalcu – powiedziałem mu jeszcze – tylko nie z ręką do cudzej kieszeni! Jak chcesz zapalić, to poproś.

Ale ja miałem i mam taką dziwną naturę, że nie potrafię uderzyć słabszego od siebie, a jeśli już uderzyłem, to dlatego, że przeceniałem siły przeciwnika, myśląc, że jest silniejszy i odważniejszy. Tak było i w tym przypadku. Chłop był cwaniakowaty i byłem pewien, że uderzeniem sprowokuję go do awantury, a wtedy wygrany będzie sprytniejszy i silniejszy. Ten jednak nie ruszył się więcej do mnie, tylko stanął pod ścianą i trzymał się za uderzone miejsce.

Po półgodzinie podszedłem do niego, dałem mu zapalić i wtedy dopiero dowiedział się, za co faktycznie dostał, mimo że za włożenie mi ręki do kieszeni też mu się trochę należało.

Incydent ten zbliżył nas do siebie i już dalszą drogę, aż do czasu gdy nas rozdzielili, odbyliśmy w naprawdę serdecznej i koleżeńskiej atmosferze.

W jednym małym prowincjonalnym więzieniu – a może to nawet nie było więzienie, tylko jakiś większy areszt – kilka dni siedziałem

w celi sam. Nudziło mi się diabelnie. Po celi łaziłem jak dzikie zwierzę w klatce. Okno w celi było normalnym oknem mieszkaniowym, otwieranym do wewnątrz, z tą tylko różnicą, że szyby w nim były matowe, a dopiero za oknem były kraty. Często słyszałem, że za oknem rozmawiają ludzie, a czasem były to młode, wesołe głosy. U mnie w celi był niemożliwy fetor wydobywający się z kibla, z którego pozwalano mi wylewać tylko jeden raz dziennie, a w celi było nieznośnie gorąco od centralnego ogrzewania i kibel na dodatek nie miał żadnego przykrycia.

Przy wprowadzaniu mnie do celi dozorca zastrzegł surowo – odpowiednią gestykulacją, inaczej i tak bym go nie zrozumiał – że nie wolno mi otwierać okna, bo zamkną mnie w ciemnicy. No cóż, myślę sobie, ciemnica też dla ludzi, a spróbować można. Otworzyłem. Zdążyłem tylko zauważyć, że za oknem jest park – ludzi w nim o tej porze nie widziałem – a tu już się drzwi celi otwierają i dozorca coś drze się do mnie.

Zrozumiałe, że okno od razu zamknąłem. Po wyjściu dozorcy – gdy już się dobrze nakrzyczał – zacząłem zastanawiać się, czy jego przyjście było przypadkowe, czy też w jakiś pojęty czy też niepojęty sposób wiedział, że ja okno otwieram. Żeby się o tym przekonać, postanowiłem okno otworzyć jeszcze raz. Otworzyłem. I znów za chwilę słyszę, jak klawisz już jest za drzwiami i szykuje się do otwierania.

Zanim zdążył otworzyć drzwi, już okno było zamknięte, ten jednakże rozdarł na mnie twarz jeszcze bardziej, pokazywał na okno, dawał mi do zrozumienia przy pomocy gestykulacji, jak to będzie mi przyjemnie w ciemnicy – i poszedł. Teraz już byłem pewien, że przy oknie jest sygnalizacja alarmowa, która działa przy jego otwarciu **i dozorca, choćby był najlepszym człowiekiem, nie wytrzyma długo, gdy mu dzwonek będzie dzwonił bez przerwy, i choćby dla własnego spokoju musi dbać, by okno w celi było dokładnie zamknięte. Żeby dziadka nie denerwować dzwonieniem, a samemu mieć czyste powietrze, postanowiłem szukać i jeśli mi się uda, wyłączyć instalację alarmową.** Przeczucia mnie nie omyliły. Oglądając wkoło ramę okienną, zobaczyłem małe szpindle wystające z futryny i łączące się z połówkami okna.

Ponieważ do wojny pracowałem w zawodzie elektromechanika, wiedziałem, jak przeciąga się przewody. Wiedziałem, że muszą one wychodzić za drzwi i że prowadzi się je najkrótszą drogą. Z tej strony okna, po której spodziewałem się, że przebiegają przewody, zacząłem dłubać ostrożnie w ścianie jednym z kawałków żyletki, które z przyzwyczajenia zawsze nosiłem w kieszeni w spodniach, w tej, w której nosi się zegarek, i dlatego nie znaleziono ich przy żadnej rewizji.

Dłubałem w ścianie ostrożnie, żeby nożyka nie połamać, i w pewnym momencie patrzę – jest w ścianie drucik. Oddrapując go wkoło, zrobiłem taki otwór, że mogłem już sięgnąć drutu palcem. Pomaleńku odciągnąłem go i przerwałem. Miejsca przerwania zaizolowałem kawałeczkami papieru, który znalazłem w sienniku. Otwór zalepiłem zgryzionym chlebem. Palcem smarowałem po ścianie i białym pyłem, który mi zostawał na palcu, smarowałem miejsce zalepione chlebem. Gdy już zrobiłem wszystko, otworzyłem okno i… nikt nie przyszedł. od tej chwili przez te kilka dni, przez które jeszcze tam siedziałem, codziennie otwierałem sobie okno i przyglądałem się ludziom, a w nocy, jeśli nie mogłem spać, patrzyłem na drzewa, śnieg i gwiazdy na niebie. W ciągu dnia słuchałem tylko pilnie, czy nie zbliżają się kroki do mojej celi, lecz nawet wtedy, gdy dozorca wkładał już klucz do zamka, zdążyłem zawsze zamknąć okno. Dziwi mnie tylko, że nie zwrócił on uwagi na zmianę powietrza w celi, z ciężkiego i popsutego na czyste, świeże. Może i widział różnicę, lecz dzwonek mu przecież nie dzwonił na alarm, a pewien był, że przez te kilka dni pobytu z więzienia nie ucieknę.

Po kilku dniach pobytu w tym więzieniu pożegnałem się z parkiem i otwieranym oknem, bo pewnego dnia połączono mnie łańcuszkiem z kilkoma innymi i zaprowadzono na dworzec.

Następny pobyt w więzieniu trwał prawie dwa tygodnie. Gdy tylko odprowadzono nas z dworca do więzienia, ze słów dozorców rozmawiających ze sobą zrozumiałem, że jest w więzieniu jeden Polak i że mnie chcą dać do niego, żeby nam się nie nudziło.

Współlokator celi, Władysław Kowalczyk, był to chłopak lat dwudziestu, który zamknięty został za jakieś zbytki robione u chłopa,

u którego pracował. Z opowiadań jego wynikało, że pochodzi on spod Zduńskiej Woli, że pracował tam we dworze przy koniach, a na roboty do Niemiec przyjechał na ochotnika i obecnie matka jego też ma tam przyjechać.

Marzeniem jego było być jeszcze kiedy w życiu stangretem i rozwodził się długo i szeroko o pięknym życiu stangreta.

Żeby nam się nie nudziło w ciągu dnia, dostawaliśmy do roboty papierowe torebki, których musieliśmy wykonać codziennie pewną określoną ilość. Władziowi w żaden sposób robota ta nie szła. W rezultacie ja robiłem torebki za siebie i za niego, a on codziennie sprzątał celę i wynosił kibel. W ten sposób przeżyliśmy spokojnie kilka dni. W ciągu dnia, robiąc torebki, opowiadaliśmy sobie różne przygody z życia – ja opowiadałem o pracy w fabryce i życiu na Czerniakowie, on znów o życiu jaśnie państwa i ludzi pracujących we dworze. Często w opowiadaniach swoich poruszał temat, jak to w Łodzi i w okolicach Łodzi biło się Niemców przed wojną. Opowiadał o napadach na lokale niemieckie, na szkoły niemieckie i temu podobne historie. Odpowiadałem mu, że to są głupstwa i bajki niemieckiej propagandy i że ja w to bicie nie wierzę, bo sam często jeździłem w okolice Lublina, a tam były nawet całe wsie kolonistów niemieckich i nigdy nie słyszałem, żeby ktoś został pobity tylko dlatego, że jest Niemcem.

Jednego dnia, gdy jak zwykle robiliśmy torebki i rozmawialiśmy na temat życia i egzystencji, powiedział, że jemu to właściwie jest wszystko jedno, kto będzie w Polsce rządził – Polacy, Niemcy, Anglicy czy Żydzi – aby tylko jemu było dobrze. Reszta go nic nie obchodzi. Trochę ze złością odpowiedziałem mu na to, że takich głupich jak on w Polsce mieliśmy więcej i dlatego Polska zginęła. On na to znów zaczął mi w idiotyczny sposób udowadniać słuszność swojego twierdzenia. Tłumaczyłem mu jak pastuch krowie na granicy, że nie ma racji, a on jakby celowo, widząc, że coraz bardziej się denerwuję, jeszcze większe głupstwa zaczyna gadać. W końcu zaczyna mocno chwalić Niemców – jacy to oni gospodarze, jak to oni potrafili z Żydami zrobić u siebie porządek i jak to teraz w Polsce ład i porządek zaprowadzą. Pomyślałem sobie, że Władzio to wariat, idiota i wszystkie inne choroby umysłowe do kupy. W końcu, gdy już

naprawdę nie mogłem wytrzymać tego gadania, uczciwie go ostrzegłem, żeby zamknął twarz, bo go stuknę i wtedy dopiero zamknie.

Lecz on gada dalej: „No bo Niemcy… ” – i już nie dokończył, bo zleciał ze stołka, uderzony pięścią między oczy. Stuknąłem go nieźle, bo po kilku minutach już ledwie na oczy widział, tak mu spuchły.

Jak dostał między oczy i spadł na podłogę, podniósł się i do dzwonka. za chwilę do celi wchodzi dozorca – młody jeszcze chłop – i pyta, co się stało. Słucham i wtedy dla odmiany ja zgłupiałem.

Kowalczyk trajkocze mu szybko – po niemiecku. Z poszczególnych słów, które już rozumiałem, złapałem sens tego, co mówił. Wyglądało to tak, że on chwalił czy też trzymał stronę Niemców i ja go za to pobiłem.

Dozorca naparł na mnie z wielkim kluczem od cel w ręku, a ja cofałem się tyłem, myśląc, że ten nieźle mnie teraz przetrąci kluczem. Nie uderzył mnie, tylko gdy już mnie doparł do stołka, powiedział:

– Siadaj.

No cóż – usiadłem.

Gdy tylko dozorca opuścił celę, Kowalczyk dopiero rozpuścił buzię:

– Co? Żeby mnie Polak w mordę uderzył? To ty nie wiedziałeś, dlaczego ja tak broniłem Niemców? To ty nie wiedziałeś, dlaczego ja ci opowiadałem o biciu Niemców w Polsce? To jest moja krew! To są moi bracia! Moja matka jest Niemką. A ja nie wiem, czy ten, który mi dał nazwisko, jest moim ojcem. Moja matka jest Niemką i ja się czuję Niemcem! To jest moja krew! To są moi bracia! Żeby mnie Polak w mordę uderzył?

I tak wciąż w kółko i w kółko. Z początku trochę wystraszony, żeby nie oberwać od dozorcy, siedziałem cicho i nic się nie odzywałem, tylko cieszyłem się w duchu, patrząc, jak mu pięknie puchną oczy i przybierają taki ładny, fioletowy odcień.

Wreszcie znów nie wytrzymałem i mówię mu:

– To z ciebie ładny ptaszek. Czekaj – jak się kiedy spotkamy na wolności, to ci gardło poderżnę.

– Na pewno się nie spotkamy – odpowiedział.

– Tak? No to czekaj, bydlaku. Jeszcze dzisiaj w nocy cię uduszę. Jak pragnę Boga. Zobaczysz. Dzisiaj w nocy uduszę cię, żeby takie bydlę po świecie nie chodziło.

Miałem go zamiar w nocy solidnie nastraszyć, ale musiałem mieć wygląd stanowczy, bo ten drań ponownie skoczył do dzwonka i dzwoni. za chwilę już był dozorca i znów zrozumiałem, że on nie chce być ze mną w jednej celi, bo ja powiedziałem, że go w nocy uduszę.

Dozorca podchodzi bliżej mnie i pyta:

– Tak?

– Tak – odpowiadam.

Pyta drugi raz:

– Tak?

– Tak – mówię mu znów.

Ten widocznie myślał, że ja go nie rozumiem, bo biorąc się rękami za gardło, jeszcze raz pyta. Wtedy z wielkim zapałem odpowiedziałem mu aż trzy razy:

– Tak, tak, tak!

Dozorca uśmiechnął się tylko i wyszedł, po dwudziestu minutach przyszedł i zabrał Kowalczyka do innej celi. Dwa dni jeszcze siedziałem w celi sam, medytując nad tym przypadkiem, i myślałem o tym, że jeśli i jego przywiozą do Dachau, to już ja będę się starał zapłacić mu jakoś za jego „polskość".

Będąc już w Dachau, do końca swego tam pobytu rozglądałem się, czy gdzie tego kołka nie zobaczę, a w roku 1947, gdy byłem kilka miesięcy w Łodzi, kręciłem się i wypytywałem ludzi, chcąc go koniecznie odszukać, ale nie udało mi się.

Na następnym etapie miałem maleńką przygodę, lecz w zupełnie innym stylu.

W wagonie więziennym jechałem w jednej celi z Niemcem – Willi miał na imię – który po odbyciu wyroku za przestępstwa pospolite jechał na dalszy pobyt do obozu. Razem byliśmy w Dachau, w Mauthausen i w Gusen i nieraz przypominaliśmy sobie tę historię i zastanawialiśmy się, co by było, gdybyśmy wówczas wykonali swój zamiar.

Gdy wieczorem wagon więzienny rozładowano, rozdzielono nas na kilka grup. Jedne grupy pojechały samochodami, inne rozprowadzono w różnych kierunkach. Ja byłem w grupie ośmiu osób, w której był również Willi. Transport odbył się jak zwykle – w kajdankach, jezdnią, a ja z brzegu kolumny, żeby zbierać po drodze niedopałki. od dworca do więzienia było dziesięć minut drogi. Było to jakieś małe więzienie, w którym przebywaliśmy tylko do następnego dnia rano. Siedzieliśmy tam jak małpy w klatkach, bo cele były maleńkie, pojedyncze, a ściany między nimi, jak i ściany szczytowe, były z gęstej siatki. Była to po prostu wielka sala, na środku której była olbrzymia klatka z drobnej siatki, tak że dozorcy mieli nas zawsze na oczach, a my też siebie widzieliśmy i mogliśmy sobie przekazywać niedopałki, papierosy, zapałki, a także rozmawiać ze sobą.

Muszę nadmienić, że Jugosłowianin, Paweł, który był odstawiany do swej granicy, nie był więźniem, więc jako taki miał prawo kupować sobie oficjalnie papierosy oraz wszystko, co sobie tylko życzył, a co tylko można było kupić w normalnej sprzedaży. Ponieważ miał on do mnie jakiś szczególny sentyment, dał mi sporo papierosów i zapałek z pouczeniem, że papieros to w więzieniu ciężkie pieniądze, za które można kupić nie tylko jedzenie, ale i różne ulgi. Ja w tym czasie byłem niepalący, a znów nie potrafiłem trzymać tych papierosów diabli wiedzą jak długo, bo żal mi było tych, którzy palili, a nie mieli co palić, więc od czasu do czasu wyciągałem papierosa i zapałkę, i puszczałem w obieg dla palących. Dobrze tak się stało, bo po przybyciu do obozu zabrano nam wszystko, zostawiając tylko pasek od spodni i chusteczkę do nosa.

Incydent, o którym już wspomniałem, nie był nawet incydentem, dlatego że nie doszedł do skutku, ale chęci do wykonania nie brakowało.

Gdy nas wprowadzono do więzienia, zauważyłem, że wszystko tu jakoś inaczej wygląda niż w innych, solidnych więzieniach. od ulicy był niewysoki mur, a przez furtkę, w której siedział jeden wartownik, wchodziło się na podwórze. W budynku więziennym, piętnaście metrów od furtki, były drzwi bezpośrednio do kancelarii, do której naszą ósemkę wprowadzono. Dozorca, który nas przyprowadził, wyszedł, zostawiając na stole papiery naszego transportu. Przyjmował nas stary jakiś dziadek, który pytał nas kolejno o nasze

personalia. Przed nim na stole leżał olbrzymi pistolet, który można byłoby opanować, gdyby tylko przechylić się trochę mocniej przez barierkę. W pewnym momencie zapisujący nas dziadek wyszedł do drugiego pokoju… i w tym momencie błyskawiczna myśl: z tyłu drzwi otwarte, ten dziad tylko jeden w pomieszczeniu, piętnaście metrów do wyjścia, my w cywilnych ubraniach i jeden dozorca siedzący przy furtce, który nie spodziewa się, że ktoś mógłby coś podobnego zrobić.

Pisanie trwa długo, ale myśl przebiegła błyskawicznie. Okazało się, że Willi myślał tak samo. Obydwaj machnęliśmy się do bariery… i w tym momencie wszedł dozorca. Zamarliśmy w miejscu, tak że dozorca nic nie spostrzegł, natomiast inni więźniowie, którzy byli z nami w kancelarii, połapali się, co chcieliśmy zrobić, i wieczorem w naszych klatkach długo trwała dyskusja między Niemcami na ten temat.

Jazda moja pomaleńku zbliżała się do końca. Następnego dnia nocleg mieliśmy w Monachium. Po dniu spędzonym w pociągu – wieczorem, bez żadnych przygód, jak zwykle złączeni kajdankami, przy akompaniamencie wymyślających i grożących nam pięściami bab, zbierając po drodze niedopałki, znaleźliśmy się w więzieniu w Monachium.

Do więzienia przyprowadzono nas około czterdziestu osób, w tym większość Niemców. Było też kilku Czechów oraz kilku Polaków. Niemcy – to przestępcy pospolici, którzy po odsiedzeniu wyroków w więzieniach kierowani byli do obozu koncentracyjnego na izolację, a właściwie na wykończenie – tak jak wszyscy inni. Czesi i Polacy – to ludzie, których albo złapano przy przechodzeniu granicy, tacy, którzy przymusowo byli wywiezieni na roboty do Niemiec i nieraz już po kilku dniach uciekali do domu, albo też ludzie, którzy często dobrowolnie jechali na roboty i tu popadali w jakiś konflikt z władzami lub gospodarzem. W godzinę po przybyciu naszego transportu wprowadzono jeszcze około dwudziestu osób, które zostały przywiezione następnym transportem.

Razem w jednej olbrzymiej celi było nas przeszło sześćdziesiąt osób. Wkręciłem się między ludzi drugiego transportu, a drogę do ludzi otwierały mi zebrane po drodze niedopałki i ostatnie papierosy

otrzymane od Jugosłowianina, o którym wspomniałem. Tu zawarłem znajomość z dwiema osobami. Byli to: osiemnastoletni Henio B. z Krakowa i Ślązak imieniem Willi, którego nazwisko już zapomniałem. Był on porucznikiem Wojska Polskiego, a w późniejszym okresie, już w Gusen, niesławnie zapisał się w pamięci przez znęcanie się nad ludźmi jako starszy nad sprzątaczami sztuby. W stosunku do mnie był zawsze w porządku, z tytułu naszej starej znajomości, lecz słyszałem, sam widziałem, a on też nie wstydził się i mówił, że musi bić ludzi, bo inaczej nic z nimi zrobić nie można.

Heniek B. przetrwał w obozie do końca i tak się nam życie ułożyło, że osoba jego będzie bardzo często przewijać się w moim opowiadaniu.

Cela, w której nas ulokowano, była olbrzymią salą, wokół której stały prycze, a w jednym rogu wybudowana była mała kabina, co do przeznaczenia której łatwo było się zorientować po zapachach snujących się po całej sali.

Ja, jak zwykle ciekawy wszystkiego, co się wokół dzieje, zacząłem krążyć po pryczach i odczytywać napisy, którymi były zamazane całe ściany. Prócz napisów były też różne pomysłowe rysunki. Między innymi był narysowany były polski minister spraw zagranicznych Beck, który z wywieszonym językiem, z plecakiem na plecach, nachylony do przodu, mocno wysuwa nogi przed siebie, mija drogowskaz „Warszawa–Bukareszt” z wypisaną ilością kilometrów. Nie potrafiłem sobie odmówić przyjemności uwiecznienia się na ścianie i przy ustępie napisałem taki wierszyk, ciekawy i właściwy z powodu miejsca, w którym go napisałem, w którym poruszyłem i Wilhelma, i Hitlera, i wszystkie niemieckie dzieci. Datę napisałem uczciwie, zgodnie z prawdą, nie podpisałem się jednak nazwiskiem, a napisałem tylko „warszawiak”.

Wieczorem, po zjedzeniu kolacji, przyniesiono do celi sienniki, na których mieliśmy spać po dwie osoby na jednym sienniku. Ponieważ w celi było więcej osób, niż mogły pomieścić prycze ustawione wokół sali, kilka sienników rozłożono na podłodze. Sienników wydano tylko tyle, ile było potrzeba, licząc jeden siennik na dwie osoby; stało się to przyczyną awantury.

Ja z B. ulokowaliśmy się na jednym sienniku. Leżeliśmy w ubraniach, bo nic nam nie dali do przykrycia, i rozmawialiśmy o swoich przeżyciach od aresztowania do chwili obecnej. Przerwaliśmy rozmowę, bo na środku sali powstał mały raban, który zwrócił uwagę wszystkich.

Między innymi Polakami był jeden młody chłopak zabrany za jakieś przewinienie u bauera. Był to chłopak słabo rozwinięty umysłowo i mocno głuchy. Został on bez miejsca do spania, bo na sienniku, na którym jeszcze było jedno miejsce, leżał jakiś Niemiec i nie chciał go wpuścić. Co ten chłopak chce się położyć, to tamten coś wymyśla mu po niemiecku i kopie go. Ten znów stanął nad siennikiem i płacze jak dzieciak.

Popatrzyłem kilka chwil, no i... zagniewało mnie – więc wołam:

– Kopnij go parę razy i kładź się. Zwal bydlaka na podłogę i kładź się sam. Czego ryczysz, bydlaku? Kładź się.

Gdy chciał się w odpowiedzi na moje wołanie położyć, ten znów kopnął chłopaka, popierając to wymyślaniem.

Nie wytrzymałem. Zeskoczyłem z pryczy, jakby mnie kto z armaty wystrzelił, i od razu znalazłem się przy sienniku. Złapałem chłopaka za głowę i chciałem go położyć. Niemiec znów zaczął majtać nogami.

Puściłem chłopaka, a sam wziąłem się za Niemca. Złapałem za kołnierz, zwlokłem z siennika, zacząłem kopać po bokach i brzuchu, żeby nie było śladów, i rzuciłem go na innych leżących na podłodze. Następnie chłopaka wsadziłem na siennik i zapowiedziałem mu, że jak teraz wpuści tamtego bydlaka na siennik, to dla odmiany jemu wleję.

Wtedy dopiero zauważyłem, że na sali jest szum. Każdy coś gada, a Niemcy wykrzykują też coś pod moim adresem. Wściekły, zatrzymałem się przed pryczą i wyzywająco zapytałem, czy może któremu coś się nie podoba? Niech lepiej uważa, bo i on może oberwać. Mówiłem to po polsku, bo niemieckiego nie znałem.

Położyłem się na pryczę. Niemiec pomaleńku podszedł do siennika i położył się cichutko. Chłopak nic mu nie mówił, a że ja też już trochę oprzytomniałem, to też nic nie mówiłem, bo mogłem oberwać od więźniów niemieckich albo od dozorców.

Noc przeszła spokojnie, jeśli nie liczyć tego, że niesamowicie gryzły nas pchły. W więzieniach etapowych było czysto i bez robactwa, a tu rąbały bez litości, a jak jaką złapałem i zabiłem, to miałem wrażenie, że do każdej zabitej sto innych pcheł przychodziło na pogrzeb i jeszcze bardziej gryzły, jak gdyby chciały się odegrać za zabitą towarzyszkę.

Dachau

Rano następnego dnia załadowano nas w samochody więzienne i zawieziono do obozu koncentracyjnego Dachau. Byliśmy ubici jak śledzie w beczce i było tak duszno i gorąco, że nie mieliśmy czym oddychać. Okienka samochodów miały od zewnątrz pochyłe daszki i były tylko maleńkie szparki, przez które widać było kawałek jezdni i nogi przechodniów na chodnikach.

Gdy tylko wsiedliśmy do samochodu, kręciłem się tak, żeby opanować okienka. Chciałem zobaczyć, jak wygląda droga, którą nas wiozą, no i miałem świeże powietrze prosto w usta. **Po kilkunastu minutach już zrobiło się w wozie gorąco i duszno, a ci, którzy stali przy okienkach, zatykali sobą te jedyne wąskie szparki, którymi mogło dostawać się powietrze. Spocili się wszyscy prawie.**

Jeden Czechosłowak zaczął kląć Niemców i ich metody postępowania z ludźmi. Nie wiedział biedny, tak zresztą jak i my wszyscy, co go dopiero będzie czekać. Widziałem go długi czas, a wykończył się dopiero w 1941 roku w Gusen.

Od Monachium do Dachau jest kilkanaście kilometrów, więc podróż nie trwała długo.

Wyładowano nas przed bramą wejściową do obozu i ustawiono w dwuszeregu. Ustawiłem się razem z Heńkiem B. Przyszło kilku esesmanów i jeden facet po cywilnemu z czerwoną opaską na rękawie i znaczkiem hitlerowskim w klapie. Nikt nas nie zaczepiał i nikt o nic nie pytał. Staliśmy w ten sposób chyba dłużej niż godzinę i rozglądaliśmy się po terenie. Przez bramę dokładnie widać było plac apelowy i pierwsze baraki dla więźniów. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem pasiaste ubrania więźniów obozów koncentracyjnych.

Ubrania te rozśmieszyły mnie, więc trąciłem Heńka łokciem i pokazałem mu tych ludzi, mówiąc:

– Ty, patrz, jaki dom wariatów, zobacz, jakie wariackie ciuchy.

W końcu esesmani zajęli się nami. Zaczęli wywoływać nazwiska, sprawdzając, czy wszyscy są. Po wywołaniu nazwiska wywołany odzywał się i wszystko szło klawo. Wreszcie po wywołaniu jednego nazwiska nikt się nie odezwał. Esesman zawołał nazwisko drugi raz – nic. Trzeci raz – nikt się nie odzywa. Wreszcie ktoś się połapał, że to musi być ten jełop, którego Niemiec nie chciał wpuścić na siennik, bo on przecież był mocno głuchy. Pokazano na niego i wtedy się odezwał, a cywil ze znaczkiem w klapie walnął go w twarz z jednej i drugiej strony.

Zagrało coś we mnie i tylko mi łapy drgnęły, żeby wyskoczyć i dać mu solidnie po łbie, ale coś mnie powstrzymało. Nie strach, nie. Nie zdawałem sobie absolutnie w tym momencie sprawy z tego, że uderzenie takiego faceta to wyrok śmierci na mnie, to samobójstwo. Przecież nie miałem żadnego pojęcia, co to jest obóz koncentracyjny, nie mogłem zrozumieć, że można niewinnego człowieka bić po twarzy.

Po wyczytaniu wszystkich zaprowadzono nas do biura, w którym spisywano nasze personalia. Przedtem, jeszcze w więzieniu, Willi nauczył mnie, jak to mówi się po niemiecku: imię, nazwisko, data urodzenia i inne.

Ustawiłem się któryś tam w kolejce i obserwuję, że kto chociaż chwilę zawaha się, jak odpowiedzieć na postawione mu pytanie, to ten drań drapie go piórem po twarzy i maże takiemu gębę atramentem. Wiadomo, że w takim przypadku obrywali Polacy i Czesi, bo nie wszyscy znali język niemiecki. Niektóry to odchodził cały pomazany atramentem na gębie i gęba taka przypominała pisankę wielkanocną. Żeby mnie też mordy nie umazał, bez przerwy powtarzałem w myśli, jak wyuczoną lekcję, kolejne pytania i odpowiedzi.

Miałem sporą tremę i już kombinowałem sobie, ile ja kresek wyniosę na gębie, ale poszło mi składnie i wyszedłem z tego z czystą twarzą.

Następnym zabiegiem było fotografowanie nas.

I tu znów pułapka. Zastanawiałem się później, co za bydlę wymyśliło taką sztuczkę. A wyglądało to tak: pasażer siadał na drewnianym fotelu, a głowę opierał na specjalnej podpórce. Przy aparacie stał esesman i fotografował. Miał on obok siebie rączkę, taką jak ręczny hamulec w samochodzie, za której pociągnięciem obracał się fotel z fotografowanym. na początku było zdjęcie z przodu, poruszenie rączki – fotel obracał się i zdjęcie z półprofilu, znów obrót i profil, następne poruszenie rączki i fotel wracał do początkowej pozycji. Gdy fotel stawał na miejscu, siedzący wyskakiwał z niego w górę, jakby go kto wypchnął sprężyną. Przyglądam się i widzę, że każdy tak energicznie wyskakuje, ogląda się za siebie i przygląda się siedzeniu fotela.

Gdy już byłem blisko i miałem siadać do fotografii, zauważyłem po lewej stronie siedzenia coś jak gdyby łepek gwoździka z ciemniejszym środkiem, tak jakby dziurką. Z siedzenia wyskoczył mój poprzednik, wtedy usiadłem ja. Gdy esesman zrobił mi już trzecie zdjęcie, z profilu, nacisnął rączkę i fotel wracał do właściwej pozycji. Gdy był już w pół drogi, zeskoczyłem, obejrzałem się… i tajemnica się wydała. Z guziczka po lewej stronie siedzenia wylazła igła, długa co najmniej na półtora centymetra, i zanim fotel wrócił na miejsce, już się schowała. Ponieważ inni też obserwowali, każdy następny wysiadał wcześniej i nie wiem, czy wielu jeszcze zostało ukłutych.

Do tej chwili wszystko odbywało się grzecznie.

Teraz zaprowadzili nas do kąpieliska i tu już rozpoczął się taniec. Prawdziwy dom wariatów. Krzyk, bicie, poganianie. na początku należało zdać swoje cywilne ubranie, które odbierali, zapisując dokładnie każdą sztukę. Potem strzyżenie wszystkich włosów, gdziekolwiek kto posiadał, następnie kąpiel i wydawanie obozowego pasiastego ubrania, czapki, butów, bielizny i skarpet. ze swoich rzeczy mogliśmy zostawić sobie tylko chusteczkę do nosa i pasek do spodni.

Ja otrzymałem ubranie jak z młodszego brata i dwa lewe buty, i to jeden duży, drugi mały. Duży był dobry na moją nogę, ale że drugi był i mały, i z tej samej nogi, więc podszedłem do tego, który

wydawał buty, i pokazuję mu, żeby mi wymienił. Ten złapał but, który mu podałem, i bęc nim we mnie.

Uciekłem i stanąłem od niego w przyzwoitej odległości. Majtnął we mnie innym butem. I przed tym zdążyłem się uchylić, a gdy go podniosłem, okazało się, że był dla mnie dobry, chociaż trochę inny. Buty były skórzane, nabijane pod spodem gwoździami, tak jak buty wojskowe. W obozie już wymieniłem ubranie z innym, który był ode mnie niższy, a dostał ubranie takie, że musiał zawijać rękawy i mankiety od spodni. W ten sposób ubrałem się tak, że byłem trochę podobny do ludzi – o ile w ogóle można mówić, że w tych wariackich ciuchach człowiek mógł być do ludzi podobny.

Po ceremonii mycia, strzyżenia i ubierania przeprowadzono nas do obozu i rozdzielono na bloki. Mnie i Heńka B. przydzielili na blok numer dwadzieścia siedem, sztuba D. Mój numer w Dachau był 98… – dalej nie pamiętam, czterocyfrowy.

Obóz zbudowany był w ten sposób, że przy placu apelowym stała kuchnia oraz kąpieliska, a od placu apelowego biegła jedna długa droga, po której bokach stały baraki. Po prawej stronie numery nieparzyste, po lewej parzyste. Razem było trzydzieści baraków, a każdy barak miał cztery sztuby. Każda sztuba składała się z jadalni, sypialni, łazienki i ustępu. Wszystko było na miejscu.

Po przybyciu na sztubę każdy otrzymał dla siebie miejsce w szafce, miał w niej do swojej dyspozycji (i odpowiadał za te otrzymane rzeczy) stołek, który w czasie dnia postawiony był na szafce, aluminiową miskę, talerz i garnczek oraz nóż, widelec, łyżkę, ręcznik, mydło, ściereczkę do wycierania naczyń, szczotki i pastę do butów. Sprawiało to tylko dużo kłopotów, bo naczynia musiały być zawsze czyste aż do przesady. Nie mogło na nich być żadnej plamki. Gdy była kontrola czystości, to jeśli robił to blokowy czy sztubowy – było bicie na miejscu, a jeśli esesman, to pisał raport i dostawało się za to oficjalną karę – dwadzieścia pięć bykowców w tyłek. Robili tak, że chuchali na aluminiowe naczynie i jeśli pod chuchnięciem wylazła plamka – to bicie. Szafka wewnątrz była z surowej, niemalowanej dykty, więc codziennie trzeba była czyścić wszystko wewnątrz szklistym papierem i biedny był ten, u którego szafka nie wyglądała

tak, jakby dopiero wyszła spod maszyny. Jedną szafkę przydzielano dwóm osobom.

Sypialnia łączyła się z jadalnią. Stały tam żelazne, trzypiętrowe łóżka z siennikami napychanymi podobno maszynowo, bo nie wyobrażam sobie, żeby można było tak naładować siennik, że twardy był jak deska i jak na desce na nim się spało. Dobre w tym było to, że nie potrzeba było nigdy rano poprawiać sienników, bo gdy się wstawało, siennik był taki równy jak poprzedniego dnia wieczorem.

Na łóżkach mieliśmy koce w kraciastych, biało-niebieskich poszewkach i w takich samych poszewkach były podgłówki wypchane słomą. Sienniki przykrywane były białymi prześcieradłami. Bielizna pościelowa i osobista zmieniana była co tydzień. Raz w tygodniu była też kąpiel wszystkich więźniów.

Otrzymałem górne łóżko, na trzecim piętrze. W nocy musiałem wyjść do ustępu. Nie spałem jeszcze nigdy na takim wysokim łóżku i byłem zmęczony wrażeniami dnia poprzedniego, więc spałem jak suseł i wyłażąc z łóżka, byłem jeszcze w półśnie. Wyłaziłem tak, jak to się normalnie wychodzi z łóżka: opuściłem nogi i wstałem. Gdy leciałem na ziemię, jeszcze się całkowicie nie obudziłem, dopiero jak rąbnąłem o podłogę, obudziłem się. Dobrze, że nie uderzyłem łbem o jakiś kant żelaznego łóżka, bo wtedy potłukłbym się solidniej.

Następnego dnia, w niedzielę, po śniadaniu wezwano nas wszystkich z wczorajszego transportu na plac apelowy. Przyprowadzili nas pisarze blokowi, każdy ludzi ze swojego bloku. Dowiedzieliśmy się, że ma do nas przemawiać komendant obozu.

Gdy już staliśmy z pół godziny, przyszedł wreszcie komendant obozu. Był to jeszcze niestary facet, niskiego wzrostu, w esesmańskim mundurze, w furażerce na głowie. Przemawiał do nas, a tłumacze przerabiali jego gadkę na język polski i czeski. Zaczął dość przyjemnie:

– Tu są żywi, ale już umarli…

Zrobiło mi się tak coś nieklawo, ale myślę sobie: gadaj zdrów, przecież obóz jest dla ludzi, a widzę, że tylu ich tu siedzi i nawet dobrze wyglądają.

Dalszą jego mowę streścić można by było w następujący sposób: za wrogą działalność naszą przeciw wielkiej Rzeszy zostaliśmy odizolowani od zdrowego, twórczego narodu i tu teraz odpokutować musimy nasze winy. Niech jednak nikt nie stara się uciekać, bo z Dachau jeszcze nikt nigdy nie uciekł. Byli tacy, którym udało się wyjść poza linię posterunków, lecz to nie znaczy, że udało im się uciec, bo po kilku dniach chwytano ich albo znajdowano już nieżywych, bo umierali z głodu. A kto został złapany, na tym wykonywano wyrok śmierci, bo taka jest kara za próbę ucieczki.

Nie znajdujemy się w sanatorium, lecz w obozie koncentracyjnym – jak to co chwila przypominali nam kapowie, którzy ganiali nas po placu apelowym. Ganianka zaczęła się o godzinie dziewiątej, a ganiali nas do godziny szesnastej. Było tam wszystko: biegi, czołganie, żabki, przysiady, gimnastyka, turlanie i co tylko który z nich potrafił wymyślić. Bo jak się jeden zmęczył, zastępował go inny, a my bez przerwy ganialiśmy. Widzieliśmy, jak roznoszą na bloki obiad – a my ganialiśmy. Widzieliśmy, jak odnoszono kotły do kuchni – a my ganialiśmy. Wreszcie przyszedł czas apelu wieczornego i wtedy dopiero dano nam spokój.

Przyznać muszę, że przez cały czas gonienia nas po placu nikt nikogo nie uderzył. Gdy w pewnym momencie wystąpił z szeregu jeden starszy facet i coś mówił z miną proszącą – zrozumiałem tylko słowo „syfilis” – kapo jakby go przepraszał, pytał, dlaczego wcześniej tego nie powiedział, i odstawił go na bok – a reszta ćwiczyła dalej.

Już na rannym apelu zwróciłem uwagę, że idąc na apel i wracając z apelu, wszystkie bloki śpiewają. Ulica między blokami była szeroka, więc obok siebie szło kilka bloków i wszyscy śpiewali. Zabawa polegała na tym, że każdy blok śpiewał inną piosenkę, więc wychodził z tego jeden wielki wrzask.

Piosenki śpiewano po niemiecku. Ja – ponieważ nie znałem języka niemieckiego i żadnej ze śpiewanych piosenek – uważałem, że mnie śpiew nie dotyczy, bo i tak już jest dosyć wrzasku. Okazało się, że to nieprawda, bo zaraz po ganianiu, gdy po wieczornym apelu wracaliśmy na bloki, w pewnym momencie oberwałem solidnego kopniaka w kostkę i ciekawe, że od razu połapałem się, co to ma znaczyć. od razu wydarłem mordę jeszcze głośniej od innych i mimo

że nie znałem słów i melodii, musiało to wyjść nieźle, bo nikt mnie więcej nie kopał, a w tym wielkim ryku i tak nikt się nie rozeznał, co kto śpiewa.

Jedzenie na blokach wydawane było w ten sposób, że sztuba wybierała zaufanego człowieka do wydawania jedzenia i jeśli zauważono, że ten ktoś wyróżnia jakichś więźniów spośród swoich kolegów – zmieniano go na innego. Jedzenie to było: na śniadanie pół litra czarnej gorzkiej kawy, która o tyle była dobra, że była gorąca; na obiad około trzech czwartych litra zupy i do tego kilka kartofli w łupinach; na kolację chleb – jeden bochenek na trzech w blokach więźniów pracujących i na czterech w blokach dla niepracujących – oraz maleńki kawałek kiełbasy, margaryny, twarogu lub marmolady. Margaryny mogło być dwa deka, twarogu czy marmolady pół łyżki. Prawie każdy zjadał swoją porcję zaraz na kolację i na śniadanie musiało wystarczyć pół litra gorącej kawy. Wydawanie obiadu odbywało się tak, że do kotła podchodziło się stołami, tak jak były ustawione na sali. Każdy stół miał swój numer i codziennie pierwszy podchodził inny stół, z tym że ten, który dzisiaj był pierwszy, następnego dnia był na końcu. Osobna kolejka była po dokładkę. Dokładka znów wydawana była według kolejności szafek, a szafki też były numerowane. Każdego dnia zapamiętywano, która szafka ostatnia dostała repetę, i następnego dnia zaczynano od następnej. Codziennie repetę otrzymywali tylko blokowi – jedną miskę dodatkowo – oraz ci, którzy sprzątali sztubę – po pół porcji. Blokowy brał też dla siebie trochę większe porcje margaryny, marmolady i twarogu, a wydzielał mu te porcje więzień wybrany do wydawania jedzenia.

Opisuję to wszystko dlatego, żeby te warunki i stosunki w Dachau w 1940 roku w tak zwanych wolnych blokach można było porównać z karną kompanią w tym samym Dachau oraz z obozami w Mauthausen i Gusen i karnymi kompaniami w tych obozach.

Wszyscy Niemcy na wolnych blokach to więźniowie polityczni, z czerwonymi winklami. Niemcy z winklami czarnymi (bumelanci) i zielonymi (przestępcy pospolici i bandyci) byli w karnej kompanii i traktowani byli na równi z Żydami. Mieszkali też na jednym bloku

z Żydami. na drugim bloku karnej kompanii mieszkali więźniowie z czerwonymi winklami.

Na wolnych blokach wielką sensacją było pobicie więźnia przez blokowego czy sztubowego, a wielki szum był wśród więźniów na bloku, gdy blokowy podbił jednemu więźniowi oko za to, że ten się postawił.

Następnego dnia poznałem młodego chłopaka z Ostrołęki, który był razem ze swoim ojcem. Był to Janusz Kempisty. Jego ojciec był strażnikiem więziennym w Ostrołęce. Przez pierwsze kilka dni pobytu na wolnych blokach, aż do przeniesienia mnie do karnej kompanii, po wieczornym apelu spacerowaliśmy sobie między blokami i na głównej ulicy, która wieczorem zamieniała się w aleję spacerową, i Janusz, który był już więcej niż dwa tygodnie w obozie, jako stary więzień, wtajemniczał mnie w sprawy obozowe. Pracował on na jakichś plantacjach. Opowiadał, że bez przerwy trzeba tam pracować i nawet gdy deszcz pada, też pracy przerywać nie wolno. Przestaje się pracować i wcześnie wraca do obozu, gdy już naprawdę jest duży deszcz, a czasem to kapo potrafi uderzyć w twarz.

Przed esesmanami trzeba było zdejmować czapkę, lecz nie było to ściśle przestrzegane. Zdejmowało się wtedy, jeśli już wlazło się na niego albo się po coś do więźnia zwracał. Jeśli jechał na rowerze i kilka metrów z boku, to nikt czapki nie zdejmował. Kiedyś idąc razem, zdjęliśmy czapkę przed jadącym na rowerze esesmanem, a Janusz dał mi naukę na przyszłość, że przed nim trzeba zdejmować czapkę, bo to takie bydlę, że potrafi zejść z roweru i kopnąć w tyłek.

Przez tydzień pobytu na wolnych blokach nie dostałem żadnego lania. Ta zabawa zaczęła się dopiero po tygodniu, jak cały nasz transport przeniesiony został do karnej kompanii.

Jak już opisywałem, pierwszy dzień pobytu w obozie to była ganianka na placu apelowym. Następnego dnia przed południem włączono mnie do kolumny roboczej, pracującej przy pogłębianiu jakiegoś bajorka, na którego dnie był żwir. Ja odwoziłem ten żwir taczkami w inne miejsce. Kapo poganiał nas do pracy, krzycząc prawie bez przerwy: „Robić! Robić! Prędko! Prędko!”. Stanąłem koło niego z taczkami i zacząłem mu tłumaczyć, że ja nie rozumiem po niemiecku słów: „prędko” i „robić”. Ja rozumiem tylko: „wolno”,

„jeść”, „spać”. Jak on mnie wtedy, kopaniec, pognał, to od razu zrozumiałem słowa: „robić” i „prędko”, ale jak mnie tylko spuścił z oka, to zaraz przyłączyłem się do grupy, która nosiła worki z cementem z magazynu mieszczącego się w szopie na budowę domu znajdującego się o przeszło trzysta metrów od magazynu. Pierwszy worek cementu, wagi pięćdziesięciu kilogramów, przeniosłem za jednym zamachem, ale żal mi się zrobiło samego siebie i postanowiłem się nie spieszyć. Więc do przerwy obiadowej przeniosłem jeszcze tylko dwa worki, bo odpoczywałem z nimi co kilkanaście metrów – gdzie tylko znalazłem wygodne miejsce do odpoczynku. Jak usiadłem w jakimś miejscu, to siedziałem tak długo, aż mnie jaki kapo lub esesman przepędził. Zawsze mogłem powiedzieć, że jeśli mnie przedtem widział siedzącego, to ja od tamtego czasu już niosę trzeci worek.

Tego pierwszego dnia pracy nie połapałem się, że z mojego bloku nie wszystkich biorą do pracy. Ale już po południu zauważyłem, że inne bloki stoją i nikt ich do pracy nie łapie, a z mojego bloku wszyscy się rozłażą, a z tych kilkunastu, którzy zostają, dobierają sobie do różnych grup roboczych. Wygląda to tak, że każdy pracujący ma swoje stałe miejsce pracy i do tej samej grupy i tej samej pracy chodzi codziennie, a ci bez stałego przydziału, tak jak ja, ale mieszkający na blokach roboczych, które dostają większą porcję jadła, dobierani są do grup roboczych, w których jest za mało ludzi. I ci z zasady wpadają do najgorszej roboty, do której nikt już nie chce iść.

Tak też było ze mną. Po południu nie ustawiłem się już do grupy noszącej cement, bo to była dla mnie za ciężka praca. Udało mi się tak, że wpadłem do jeszcze gorszej roboty, bo do pogłębiania dna jakiejś małej rzeczki czy też kanału. Koryto to mogło mieć osiem metrów szerokości i stojąc w wodzie powyżej kolan, dużymi szuflami wyciągało się z dna muł i inne świństwa i wyrzucało się na brzeg. Woda była przeraźliwie zimna, a nie wolno było z niej wyjść, bo po brzegu łazili kapowie i esesmani, pilnując, żeby każdy robił i żeby nikt z wody nie wylazł. Chyba po dwóch godzinach pracy w wodzie kapo zawołał grupę ludzi i kazał robić to samo w innym miejscu. Po drodze zatrzymałem się nad rowem, żeby poprawić spodnie, a inni

poszli dalej. Zostałem na brzegu, a za chwilę przyłączył się do mnie jakiś młody chłopak z Łodzi i razem zaczęliśmy wyrzucony na brzeg szlam odrzucać dalej. Robotę wyszukaliśmy sobie sami, a już nie musieliśmy stać w wodzie i nie było nad nami żadnego anioła stróża. Byliśmy przygotowani na to, że jeśli nas kto zapyta, kto nam tu kazał robić, powiemy, że jeden kapo, a że było ich zawsze kilku, więc i tak nie dojdą, jak to jest, mogą tylko kazać nam robić co innego.

Przy robocie nie wolno było z sobą rozmawiać, lecz ponieważ nikt nas nie pilnował, to cały czas opowiadaliśmy sobie różne rzeczy. W pewnym momencie ja nachyliłem się nad wodą, żeby wyciągnąć szuflą trochę błota, a on woła: „Uważaj, bo wpadniesz!… ” – i w tym samym momencie sam znalazł się w wodzie wrzucony przez przechodzącego esesmana. Esesman posłyszał, że tamten coś do mnie mówił, i widocznie wydawało mu się, że on mnie przed nim ostrzegał, i dlatego wpakował go do wody.

Do wieczora robota już przeszła bez żadnych przygód. Wieczorem Janusz Kempisty uświadomił mnie o istnieniu bloków niepracujących, więc postanowiłem następnego dnia zaryzykować przerwanie się po apelu na ich teren.

W obozie należało przyjąć dwie zasady. Pierwsza – to miganie się od roboty, a druga – to organizowanie jedzenia. W języku obozowym organizować coś – to po prostu kraść, ale bez szkody innego więźnia. na przykład zabrać chleb innemu więźniowi – to była kradzież, lecz zabrać z wagonu czy też z wozu – to już jest zorganizowanie.

Organizować żarcie nauczyłem się dopiero w Mauthausen i o tym, jak to się odbywało, opowiem osobno, natomiast z miejsca zacząłem migać się od roboty i migałem się do końca swego pobytu w obozie.

Na przestrzeni tych pięciu lat obserwowałem, że ludzie, którzy przyszli świeżo z wolności, w obawie przed biciem pracowali z maksymalnym wysiłkiem i nie organizowali jedzenia. Wynik był taki, że bardzo szybko wycieńczali się, a gdy się w tym spostrzegli, było już za późno, żeby się wyrwać z tego stanu, bo już byli za słabi.

Koniec takich wiadomy – krematorium po trzech–czterech miesiącach.

W Dachau na wolnych blokach pracowałem tylko jeden dzień, bo już następnego dnia po apelu przeskoczyłem na koniec innego bloku, który był blokiem dla niepracujących i… udało się. do roboty nie poszedłem. Ale tu było znów coś nowego. Ustawili nas na placu apelowym i prowadzili z nami gimnastykę – prawdopodobnie po to, żeby nam się w obozie nie nudziło.

W czasie przerwy obiadowej dowiedziałem się, że część więźniów niepracujących przechodzi lekcję śpiewu, więc i ja po południu ustawiłem się do kolumny, która poszła uczyć się niemieckich piosenek. Rozdzielili nas na małe grupy po około pięćdziesiąt osób. Każda grupa ulokowała się za innym barakiem, a w każdej grupie był jeden facet, coś w rodzaju kapa, który uczył nas śpiewu. Nauka odbywała się na siedząco, a ponieważ nauczyciel też nie był zachwycony swoją funkcją, więc robił duże przerwy, w czasie których kazał nam opowiadać, za co który z nas siedzi, albo sam opowiadał nam o obozie.

Nieklawo mi się zrobiło, jak nam powiedział, że z kilku tysięcy żyje ich jeszcze kilkudziesięciu. Był to niemiecki komunista. Twierdził on, że obecnie w Dachau jest raj w porównaniu z tym, co było na początku, gdy osadzono tu komunistów. Twierdził, że obecnie tylko karna kompania jest bardzo ciężka. do końca mego pobytu na wolnych blokach zawsze tak się urządzałem, żeby być w grupie śpiewaków, i kręciłem się zawsze tak, żeby trafić do tego samego kapa.

Karną kompanię, o której on opowiadał, znaliśmy tylko z widzenia i tego też mieliśmy dosyć. Mieściła się ona na blokach piętnastym i siedemnastym. Widzieliśmy ich tylko, jak wychodzili do pracy na osobnym, wyodrębnionym terenie, odizolowani od innych więźniów. Gdy wychodzili albo wracali do obozu, musieliśmy uciekać między baraki, bo kto zbliżył się na odległość mniejszą jak pięćdziesiąt metrów, był łapany i wcielany do karnej kompanii. Często też można było ich widzieć, jak ciągnęli wielki walec, którym walcowano uliczkę między barakami. W czasie walcowania chodził przy nich esesman z bykowcem i pilnował, żeby przypadkiem chwilę nie odpoczęli. Tak

samo ci, co wychodzili lub wracali z pracy, obstawieni byli esesmanami na rowerach.

W ten sposób, kombinując tak, żeby przed południem i po południu być w grupie, która uczy się śpiewać, dociągnąłem do soboty, czyli cały tydzień. Wspominając o karnej kompanii, muszę jeszcze dodać, że w uliczce przed ich barakami były szlabany, do których nie wolno było zbliżać się więźniom z wolnych bloków, a wewnątrz, za bramą oddzielającą te baraki od reszty obozu, też były szlabany, do których nie wolno było zbliżać się więźniom karnym.

Więźniowie, których gimnastykowano na placu apelowym, nie mogli chodzić na bloki do ustępu. Swoje potrzeby należało załatwić na placu apelowym. do tego celu służył ustęp przenośny ustawiony na placu. Było to wysokie rusztowanie, w którym były umocowane dwie olbrzymie kadzie. na rusztowanie wchodziło się po kilku stopniach, więc ci, którzy musieli z ustępu korzystać, znajdowali się wyżej od głów tych, którzy stali na placu. do tego ustępu chodzili nie tylko ci, którzy potrzebowali, ale i tacy, którym nudziła się gimnastyka i chcieli sobie trochę odpocząć. Dlatego do tego przybytku stały dwie długie kolejki i wyglądało to tak, że można było stać godzinę w kolejce, natomiast na kiblu wolno było siedzieć tylko dwie minuty. Stali tam specjalnie do tego postawieni ludzie, którzy pilnowali z zegarkiem w jednym ręku, a kijem w drugim i po dwóch minutach opędzali facetów, waląc kijem po grzbiecie. Poważniejszą potrzebę trudno było załatwić w dwie minuty, bo żarcia było mało, więc z tą potrzebą chodziło się raz na cztery dni i zdawało mi się zawsze, że poród to wesoła zabawa w porównaniu z jękami, jakie się wtedy słyszało.

Przez pierwsze dni pobytu w obozie nie odczuwało się jeszcze głodu. Był tylko jakiś ciągły niedosyt. Nie do pomyślenia było, żeby ktoś mógł jeść kartofle razem z łupinami. Już w karnej kompanii widziałem, jak blokowy bił i kopał jakiegoś młodego chłopaka, który z kosza na śmieci wyjmował nadpsute ziemniaki wyrzucone tam przez arystokratów blokowych, którzy mieli tych ziemniaków dosyć.

Jeszcze jedna sprawa obozowa, mówiąca o dręczeniu więźniów w sposób zorganizowany. Sprawa snu. Spaliśmy od godziny dziewiątej do godziny czwartej rano. Budzono nas o czwartej,

wydawano po niepełne pół litra czarnej, ale gorącej kawy i już na dworze czekaliśmy co najmniej dwie godziny na apel. Przy ciężkiej pracy i niedożywieniu brak snu był jeszcze jednym czynnikiem umęczenia człowieka, dlatego też od pierwszych dni pobytu w obozie do samego końca zawsze starałem się poleżeć czy też przespać się nawet wtedy, gdy trwało to kilka minut. W Dachau kładłem się zawsze rano pod barakiem i spałem aż do zbiórki na apel. W Mauthausen na spanie wykorzystywałem każdy dogodny moment – lecz tam ciężej było ze spaniem, o tym opowiem osobno. W Gusen spałem wszędzie – w lato w chwilach wolnych od pracy, to jest po śniadaniu, obiedzie i kolacji, na uliczce, gdy było ciepło, a gdy nie było pogody i w zimie – na bloku, zawsze, gdy sytuacja na to pozwalała. Spałem też i w zimie, w nieogrzanej hali na deskach, zawsze po zjedzeniu obiadu, spałem na ziemi z kamieniem pod głową, spałem na kamieniach, spałem zawsze i wszędzie w przerwach między jedzeniem, organizowaniem jedzenia i miganiem się od pracy. To były między innymi najważniejsze czynniki potrzebne do przetrwania, nie mówiąc o żelaznym zdrowiu i odporności na choroby oraz bystrości dzikiego, gonionego zwierzęcia. Jednym z ważnych czynników była też psychika człowieka. Kto psychicznie załamał się, ten się szybko wykańczał, bo wtedy już na nic nie reagował i nic go nie obchodziło. Człowiek taki biernie poddawał się losowi. Przestawał walczyć o życie, bo nie wierzył, że można przeżyć, i w takim przypadku zrozumiałe, że przeżyć nie mógł.

Po tygodniowym pobycie na wolnych blokach, w następną niedzielę rano, pisarz blokowy wywołał kilku więźniów, między innymi mnie i B. Zauważyłem od razu, że wywołani to więźniowie, z którymi razem przywieziono mnie do obozu i razem przydzielono nas na jeden blok.

Po wywołaniu pisarz blokowy zaprowadził nas na blok siedemnasty – karna kompania. na bloku siedemnastym byli umieszczeni więźniowie z czerwonymi winklami, polityczni. na piętnastym bloku

byli wszyscy z winklami zielonymi – bandyci i przestępcy pospolici, oraz z winklami czarnymi – bumelanci i Żydzi. Jak wspomniałem, Niemcy należący do tych dwóch ostatnich kategorii traktowani byli na równi z Żydami i nawet w karnej kompanii używani byli do wykonywania najgorszych robót.

Regulamin karnej kompanii różnił się tym od regulaminu wolnych bloków, że listy wolno było pisać i otrzymywać raz na trzy miesiące. Zabronione było całkowicie palenie papierosów. Po kilku dniach pobytu w karnej kompanii widziałem, jak blokowy zabił więźnia kijem za to, że znaleziono u niego bibułkę do kręcenia papierosów. Nie wolno też było otrzymywać nic z kantyny, gdy na wolnych blokach od czasu do czasu można było otrzymać pewną określoną ilość papierosów, zsiadłego mleka w papierowych szklaneczkach lub sacharynę. Nikt z karnej kompanii nie był przyjmowany do szpitala obozowego. Jeśli ktoś czuł się chory i nie mógł pracować, to kapowie wykańczali go za to, że się uchylał od pracy.

Na wolnych blokach do szpitala przyjmowali dopiero wtedy, gdy więzień miał trzydzieści dziewięć stopni temperatury. Zdarzyło mi się raz przechodzić przez blok szpitalny, to widziałem, że chorzy mieli zupełnie znośne warunki. Leżeli na normalnych szpitalnych łóżkach, mieli ubrania szpitalne i karty gorączkowe. Podobno w następnych latach warunki w Dachau całkowicie zmieniły się na gorsze, tak jednak wyglądały wtedy, gdy ja to widziałem. na wolnych blokach jeden z więźniów mówił mi, że ciężko dostać się do szpitala, a w szpitalu też słabo leczą, bo dziennie wywożą za bramę, do krematorium, trzech do pięciu zmarłych więźniów. Zmarły więzień wywożony był za bramę wózkiem szpitalnym, przykrytym czystym, białym prześcieradłem. na wolnych blokach nikt nie umierał na bloku, tylko w szpitalu. W karnej kompanii też nikt na bloku nie umierał – umierali wykańczani przy pracy albo widząc, że ich wykańczają, szli na linię posterunków i nie było dnia, żeby kilku nie było zabitych przez posterunki otaczające karną kompanię.

Na wolnych blokach praca w sobotę trwała tylko do obiadu, a niedziela była wolna od pracy. W karnej kompanii praca trwała okrągły tydzień oraz niedzielę i święta od rana do wieczora. W niedzielę zaraz po śniadaniu, to jest po kawie, prowadzono nas do

kąpieli i do roboty. Apele odbywaliśmy przed swoimi blokami. W czasie pracy nie wolno nam było z sobą rozmawiać i za to dostałem wiele razy solidne bicie, nie mówiąc już o zwykłym biciu po twarzy.

Pierwszego dnia po południu sztubowy przydzielił nam łóżka i szafki oraz wydał nam kółka z czarnego i białego materiału. Białe kółka miały osiem centymetrów średnicy, czarne cztery centymetry średnicy. W środku białego kółka przyszywało się czarne i takie bukiety przyszywało się do marynarki i spodni. Jeden po lewej stronie na piersi pod numerem, drugi na plecach i dwa na spodniach, z boków powyżej kolana. Niektórzy starzy więźniowie mieli jeszcze czerwone punkty. Oznaczały one, że posiadacz takiego punktu uciekał z obozu. Niektórzy mieli znów nad winklem pasek tego samego koloru co winkiel. Pasek ten wskazywał na to, że właściciel jego znajduje się już drugi raz w obozie.

Tym razem znaleźliśmy się z Heńkiem B. na tej samej sztubie.

W południe więźniowie powrócili z pracy na obiad, a po obiedzie już i my razem ze wszystkimi poszliśmy do pracy. Teren naszej pracy otoczony był murem, tak że nikt z wolnych bloków nie widział nas przy pracy. Przy murze otaczającym teren naszej pracy znajdował się obóz z barakami mieszkalnymi.

Gdy uczyliśmy się śpiewać – będąc jeszcze na wolnych blokach – często słyszeliśmy strzały za murem, i wiedzieliśmy, że każdy strzał oznacza śmierć jednego z więźniów karnej kompanii. Każdy z nas myślał wtedy o tym, co też tam się dzieje za murem i co ci ludzie tam przeżywają. Teraz przyszło mi z bliska zapoznać się z tym wszystkim.

Po przyjściu na teren pracy z „radosnym śpiewem” na ustach obliczono nas… i gwizdek do roboty. To, co się w tym momencie zaczęło, można było nazwać krótko domem wariatów. Przy akompaniamencie wrzasków, bici przez wszystkich kapów, rozlecieli się wszyscy we wszystkich kierunkach tak, jakby w środek wpadła bomba albo piorun strzelił. Starzy więźniowie wiedzieli, gdzie należy pędzić, za co się łapać i do jakiej roboty się brać. Następnego dnia i ja już wiedziałem, co mam robić. Tego dnia jednak zacząłem kręcić się jak patyk w przerębli i nie wiedziałem, co mam z sobą robić.

Oberwałem kilka razy kijem i w końcu wszystkich nas nowych zaprowadzono do kupy taczek i kazano każdemu brać się za taczki, z którymi zaprowadzono nas do kopalni żwiru. Tu dopiero rozpoczął się taniec. Gdy patrzyłem na pracę w kopalni żwiru, przypominały mi się filmy amerykańskie pokazujące pracę katorżników w ciężkich więzieniach.

Kopalnia żwiru był to olbrzymi dół głębokości około dwudziestu metrów. na jednej ścianie były od dołu do góry platformy i na każdej platformie stało dwóch więźniów. na samym dole więźniowie podrzucali żwir do pierwszej platformy i tak kolejno z jednej platformy na drugą, aż do samej góry. Takich taśm było kilkanaście. na samej górze inni więźniowie ładowali żwir w taczki i taczkami odwozili go na odległe od kopalni o sto metrów usypisko. Usypisko to była już duża góra żwiru, więc trzeba było po ułożonych deskach wjeżdżać na samą górę i tam sypać dopiero żwir. Z pustymi taczkami schodziło się po żwirze, bo deskę trzeba było zwolnić dla następnych wjeżdżających. Wożenie odbywało się biegiem, ponieważ kapowie krzyczeli i bili bez przerwy, jeżeli ktoś tylko na chwilę stanął lub zwolnił tempo.

Do takich właśnie taczek dostałem się zaraz na przywitanie w karnej kompanii. Przez całe popołudnie ganiałem uczciwie z taczkami, bo widząc, jak kapowie bili innych, bałem się, żeby i mnie tak nie zbili. **Przez cały czas myślałem tylko, jak długo można wytrzymać przy takiej pracy i czy można w jakiś sposób ulżyć swojej doli.**

Od początku pobytu więźniowie Polacy, którzy też zostali przywiezieni niedawno, mówili, że jesteśmy tu przywiezieni tylko na trzy miesiące, na coś w rodzaju przeszkolenia, żeby po wyjściu z obozu nie zachciało się występować przeciwko władzom niemieckim, bo już człowiek wie, co go czeka, jeśli jeszcze raz wpadnie do obozu.

Przez pół dnia jazdy taczkami kilka razy oberwałem solidnie od kapa kijem po plecach za zwolnienie tempa i kilka razy po twarzy za rozmawianie z innymi więźniami. Wyszło mi to jednak na zdrowie, bo porozumiałem się z jednym warszawiakiem z Woli – Władek miał na imię – i ten na pytanie, co robić, żeby się urwać od tych taczek, kazał mi na drugi dzień rano szybko pędzić do skrzyń z łopatami, bo

taczki biorą ci, dla których już nie ma łopat. Łopaty te – to szufle o specjalnie wygiętych rękojeściach. Miały one różne wymiary i należało złapać jak najmniejszą.

Wieczorem, gdy po pracy wracaliśmy do obozu, czułem, że nogi moje były takie jakieś miękkie, no i miałem już pęcherze na rękach. Szliśmy raźnym krokiem, śpiewając, ile sił w gardle. Szybko miałem się przekonać, co się robi w wypadku, gdy kolumna nie idzie raźno albo za cicho lub nierówno śpiewa. Ganiali nas wtedy przez całą przerwę obiadową po placu apelowym. Biegi, żabki, turlanie, maszerowanie i znów śpiew. Po ćwiczeniach szliśmy bez jednej chwili odpoczynku do pracy, a obiad dostawaliśmy dopiero wieczorem, razem z kolacją. Jeśli ganiali nas po pracy, to ganianie trwało do późnego wieczora, tak że zaraz po ćwiczeniach rozdawano kolację i od razu spać. W ten sposób co kilka dni byliśmy na nogach przy robocie i ćwiczeniach od godziny czwartej do dziewiątej wieczorem.

Tego dnia po pracy usiadłem na swoim miejscu i na swoim stołku przy stole i rozpocząłem najpiękniejszą pracę całego dnia – jedzenie chleba i porcji kiełbasy, którą do chleba otrzymywaliśmy. W pewnej chwili zwrócił się do mnie mężczyzna lat około czterdziestu i tonem, jakim państwo zwykło zwracać się do służby, mówi do mnie:

– Przynieś mi stołek.

Popatrzyłem chwilę na niego i zajadam dalej.

– Przynieś mi stołek – mówi drugi raz.

– A kto ty jesteś? – zapytałem go.

– Ja jestem księdzem – odpowiedział.

– No to przynieś sobie sam – powiedziałem już zirytowanym głosem.

Arystokrata – cholera! Nie odwykł jeszcze od hrabiowskich manier. Nie tylko księdzem, ale nawet gdybyś był Bogiem, to tu jesteś, baranie, taki sam jak ja i sam sobie usługuj! Mimo że do końca mego pobytu w karnej kompanii siedzieliśmy razem przy jednym stole, nigdy już nie prosił o żadną usługę, a inni – widziałem, że sami szanownemu księżulkowi wciskali się bez wazeliny, prześcigając się wzajemnie w różnych usługach. Mierziło mnie zachowanie się tych ludzi, więc bliski kontakt miałem tylko z Heńkiem B. i z Władkiem. Tego samego wieczora słyszałem, będąc w umywalni, jak znów

Heniek odgryzał się komuś, kto chciał go odepchnąć od umywalni do mycia nóg. Nie wiem nawet, jak tam dokładnie było, posłyszałem tylko, jak Heniek mówił ze złością:

– No, ty, uspokój się, bo dostaniesz po łbie!

Te scysje były wynikiem tego, że starzy więźniowie, już zadomowieni, uważali nowych za coś gorszego i że im należą się wszystkie istniejące przywileje. Ale i ja, i Heniek nie daliśmy się sprowadzić do roli tych gorszych.

Następnego dnia czekałem na gwizdek do pracy z taką niecierpliwością i czujnością, z jaką biegacz czeka na strzał startowy. na gwizdek pierwszy pobiegłem w kierunku skrzyń z łopatami i złapałem od razu trzy łopaty. Szybko je obejrzałem i największą oddałem jakiemuś obcemu więźniowi, a z dwóch mniejszych jedną dałem Heńkowi. Wszystkie następne dni tak robiliśmy z Heńkiem, że łapaliśmy obaj łopaty. Jak któremu się nie udało, to drugi miał, a jak mieliśmy obaj, to mogliśmy z nich wybrać dla siebie najwygodniejsze.

Poza tym zauważyłem od razu, jak ustawiają się więźniowie, a gdzie są skrzynie. Wynikało z tego, że najlepiej jest ustawiać się w pierwszej setce, jak najbliżej czoła i po lewej stronie z brzegu, bo po przyjściu na teren pracy robiliśmy zwrot w lewo, stojąc w szeregach po pięć osób. W ten sposób stałem najbliżej czoła w pierwszym szeregu, a skrzynie z narzędziami stały około pięćdziesięciu metrów od czoła przed nami. na gwizdek do pracy miałem zawsze pełną szansę złapania łopaty i nigdy już nie musiałem brać się do taczek tylko dlatego, że nie miałem łopaty.

A więc następnego dnia złapałem już łopatę i stanąłem do pracy u góry. Ładowałem żwir do taczek – robota o tyle lepsza, że były w niej momenty przerwy, gdy nie było nikogo z taczkami. Ci, co wozili taczkami, też starali się robić w ten sposób, by dochodzić grupą po trzy osoby. Wtedy mieli chwilę odpoczynku. Tu jednak często interweniowali kapowie, dając nam biciem do zrozumienia, że ładowacze powinni się tak ustawiać, żeby mieli co robić przez cały czas i żeby ci z taczkami nie mieli przestojów. do ładowania chodziłem przez kilka dni, a cała praca odbywała się w tak wściekłym tempie, przy ciągłym krzyku i biciu, że nie miałem

możliwości przyjrzeć się, jakie jeszcze prace istnieją na terenie karnej kompanii.

Jednego dnia niemiecki Żyd – nowy więzień, który woził taczkami – w czasie gdy ładowałem jego taczki, pokazał mi ręce, całe w ranach po zdartych pęcherzach, i zbolałym głosem poprosił mnie, żebym go chociaż na kilka minut zastąpił przy taczkach, bo on już nie może. Nie wiem sam, czym się wtedy powodowałem, ale zamieniłem się z nim i do końca dnia już sam chodziłem z taczkami. Biorąc żwir, tłumaczyłem mu, żeby jutro brał łopatę, bo to lżej pracować. Mówiłem, że to był nowy więzień. Nowych więźniów poznawało się po nowych, a tym samym czystych pasiakach oraz po jasnej cerze, jaką mają ludzie po dłuższym pobycie w więzieniu. Następnego dnia złapałem łopaty; jedną dałem temu Żydowi i już razem ustawiliśmy się do ładowania taczek. W pewnej chwili wytchnienia, korzystając z tego, że w pobliżu nie było żadnego kapa, wyjął on z kieszeni czwartą część naszej kolacyjnej porcji chleba zawiniętego w chusteczkę. Odwinął szybko i daje mi do ręki, mówiąc, że to za to, że wczoraj zastąpiłem go, bo on jest chory na serce i za chwilę już mógłby paść trupem. Może nie mówił tego tak dosłownie, ale słabo znając język niemiecki, tak to zrozumiałem. Stanowczo odmówiłem przyjęcia, tłumacząc mu znanymi mi już słowami i częściowo na migi, że on nie ma więcej chleba jak ja – że obydwaj dostajemy jednakowe porcje. Posiadany przez niego przed południem kawałek chleba też wskazywał na to, że jest to nowy więzień, bo tylko ci zostawiali sobie przez pierwsze dni kawałek chleba na śniadanie. Po krótkim jednak czasie, gdy już odczuwało się głód, cały chleb zjadało się na kolację. Jednak kto wie, czy on specjalnie nie zostawił tego chleba dla mnie, by mi go dać przez wdzięczność za mój postępek?

Pewnego dnia po południu zabrał mnie kapo z łopatą i postawił na jednej platformie. Pracowałem tam do wieczora i już miałem dosyć. Tam kapowie nie musieli pilnować nas przy robocie. Każdy musiał pracować jak maszyna. Ci dwaj z niższej platformy rzucali na naszą platformę żwir, a my dwaj musieliśmy nadążać, odrzucając na platformę, która znajdowała się wyżej. Trzeba było spieszyć się, bo platformy były wąskie i w razie zwolnienia tempa robił się zapas

i żwir spadał z powrotem na niższą, więc można sobie wyobrazić, co robili wtedy ci ustawieni niżej.

Obowiązywało nas przychodzenie codziennie do raz wyznaczonej pracy. Nie zwracałem na to uwagi, bo wiedziałem, że kapo nie będzie mnie szukał, przecież w pasiastych ubraniach byliśmy do siebie tak podobni. Dlatego też następnego dnia nie stanąłem już na platformie, lecz zszedłem na sam dół kopalni. Zrozumiałem wtedy, dlaczego na platformach było takie wściekłe tempo pracy. Z samego dołu na pierwszą platformę rzucało żwir czterech ludzi. Oni się specjalnie nie przemęczali, ale mimo to rzucali tyle, że tym, którzy po dwóch stali na platformach, oczy na wierzch wychodziły z wysiłku, a kapo, jak przychodził, to zwracał uwagę tylko na tych czterech. Gdy znalazłem się na samym dole, ustawiłem się pod samą ścianą i zająłem się dłubaniem łopatą w ścianie i podrzucaniem żwiru w kierunku platformy. Zauważyłem szybko, że są momenty trwające nieraz po kilka minut, że tylko ja pracuję, a wszyscy inni stoją i nic nie robią. Zacząłem ich obserwować i zauważyłem, że gdy biorą się za robotę, to zaczyna jedna grupa, a za nią już wszyscy inni – no to i ja też. Przyglądając się nieznacznie, spostrzegłem, że gdy wszyscy robili, na krawędzi dołu zjawiał się kapo. Teraz dopiero połapałem się w technice tego zjawiska. W momencie gdy nic nie robiliśmy, nikt nie stał beztrosko, lecz każdy z napiętą uwagą obserwował górną krawędź dołu i więźniów stojących po przeciwnej stronie dołu. Jeśli zauważyłem, że ci po przeciwnej stronie dołu zaczynają raptownie pracować, znaczy to, że do krawędzi nad moją głowa zbliża się kapo albo esesman, więc należy z całą energią zabrać się do pracy. Obserwując przeciwległą krawędź dołu, widzę, że wyłania się czapka esesmana lub głowa kapa. Zanim taki zwróci uwagę, co się dzieje w dole, ja już z całym zapałem pracuję dla chwały Trzeciej Rzeszy, a zanim taki dojdzie do krawędzi i spojrzy w dół, wtedy już pracują wszyscy. Podobała mi się taka technika i już codziennie schodziłem na dół. Praca na dole miała tę dobrą stronę, że kapowi nie chciało się schodzić na dół, bo widział wszystko z krawędzi, a jak chciał kogoś obić, to kazał mu wyjść na górę.

W ten sposób nie napracowałem się i w pracy nie byłem bity. Tak że bicie odbierałem tylko przy południowych lub wieczornych karnych

ćwiczeniach, jakie przechodziliśmy co trzy–cztery dni za złe maszerowanie po pracy i za zły śpiew w marszu. Pociechą dla mnie było jednak to, że nie przepracowałem się, podczas gdy inni przechodzili te same ćwiczenia po ciężkiej pracy.

Pewnego dnia kapo raptownie zjawił się na krawędzi i złapał jednego więźnia, Niemca, który stał i nic nie robił. na środku dołu była duża, płytka kałuża wody. Kapo, stojąc na krawędzi, kazał mu wejść do tej kałuży. Wszedł. Kazał mu się położyć. Położył się, ale tak, że nogi i ręce były w wodzie, a sam się nie zamoczył. Ten z góry wrzeszczy, że ma się dobrze i uczciwie położyć, a on nic. Kapo po platformach zawinął się na dół, lecz ten, stojąc w wodzie, i tak nie chciał się położyć. Zszedł wtedy na dół drugi kapo. Kazali mu wyjść z wody, ustawili go na brzegu tyłem do wody i obydwaj jednocześnie uderzyli go w twarz. Tym razem przewrócił się i uczciwie wpadł w wodę. Kazali mu się turlać w wodzie – on nie chciał, tylko podniósł się i stanął w wodzie. Kapowie zawołali go do siebie. Poprzednia scena powtórzyła się od początku, lecz tym razem gdy upadł, jeden z kapów chwycił go za nogi i wykręcił twarzą do wody. Tamten oparł się rękami o dno. Wtedy drugi kapo wszedł do wody i kopiąc go ze wszystkich stron, w końcu zaczął mu wciskać nogami głowę do wody. Nie mógł on się bronić, bo rękami oparty był o dno, a nogi jego trzymał kapo. Kilka razy udało im się wcisnąć go do dna. Gdy go w końcu puścili, chwiał się na nogach i całą twarz miał skrwawioną od kopania i pozdzieraną żwirem. Kapowie zabrali go z sobą na górę i nie wiem, co z nim dalej zrobili.

Chyba w trzy dni po tym wypadku kapo przyłapał mnie, gdy stałem oparty na łopacie. Teraz będzie bal, pomyślałem sobie. No i zaczęło się. Kapo tak jak tamtemu kazał mi wejść w kałużę. Wlazłem. Kazał mi położyć się w wodzie – położyłem się, i to tak chętnie i energicznie, że aż woda rozbryzgnęła się na wszystkie strony, po prostu nie położyłem się, a zrobiłem prawidłowe padnięcie. Pokazał mi ręką i krzyknął, że mam się cztery razy przeturlać w jedną stronę – przeturlałem się sześć razy. Kazał cztery razy w drugą – znów mu dwa dołożyłem i przeturlałem się sześć razy. Wtedy kazał mi wyjść na górę. Wylazłem i stanąłem przed nim z uśmiechem. Ten drań, gdy wylazłem z dołu, stanął tak, że żeby stanąć przed nim, musiałem

utrzymać się na samej krawędzi, tyłem do dołu. Wyczułem, że będzie chciał zwalić mnie w dół – a wtedy ze mnie na pewno byłby już klops, koniec. Patrzył na mnie kilka sekund bez słowa, ze skupioną twarzą. Widać było, że zastanawia się, jak tu urządzić takiego chłopaka, który chętnie pławił się w wodzie, a teraz stoi przed nim uśmiechnięty, jakby zupełnie zadowolony z życia, i czeka na jego decyzję. Wreszcie wykręcił się na pięcie i powiedział: „Chodź". Chodziliśmy tak może kilka minut – on pierwszy, ja za nim. Wreszcie znalazł taczki i kazał mi wozić żwir. Pomyślałem sobie, że od tego właśnie rozpocząłem pracę w karnej kompanii – ale teraz mam już trochę doświadczenia. Więc zaczęła się znów jazda z taczkami.

Wożąc żwir, przyglądałem się, jak młody – może lat dwadzieścia – esesman wykańczał Żydów. Nie wiem, jak długo już trwała ta zabawa, bo byłem w dole. Strzały słyszało się codziennie kilka, a nawet kilkanaście razy. Wiadomo było, że każdy strzał to zabity człowiek, który wszedł na linię posterunków, ale nikt się nie interesował, kto i dlaczego poszedł pod kulkę. Teraz zobaczyłem z bliska, jak się taka zabawa odbywa.

Z głębokiego leja o spadzistych ścianach wysokości dziesięciu metrów wychodził człowiek z dużym kamieniem w rękach. Lej ten to prawdopodobnie stary dół po wykopanym żwirze.

Żółta gwiazda na piersiach wskazywała, że jest to Żyd. na krawędzi dołu stał z założonymi na piersiach rękami esesman i gdy z dołu wychyliła się głowa więźnia, kopał on żwir i ziemię, zasypując nim twarz wychodzącego. Wreszcie przy olbrzymim wysiłku wyszedł on z dołu z dużym kamieniem, którego wagę można by określić na dwadzieścia–trzydzieści kilogramów. Gdy więzień już wyszedł z dołu, esesman nogą spychał kamień do dołu, a więźnia ustawiał na samej krawędzi tyłem do dołu i uderzeniem w twarz zwalał go na dół. Nie widziałem, lecz mogłem sobie wyobrazić, jak on tam za każdym zwaleniem leciał na dno. Esesman stał na krawędzi i zachęcał go do wchodzenia na górę, a gdy ten się wychylał już z dołu, zaczynało się to samo – sypanie nogami ziemi i żwiru w twarz, zepchnięcie w dół kamienia i posyłanie w ślad za kamieniem więźnia metodą uderzeniową. Wreszcie po kilku turach – nie wiem, ile ich było przed

moim przyjściem – człowiek ten z wyrazem ostatecznego wyczerpania na twarzy po wyjściu z dołu nie stanął przed esesmanem, lecz minął go, zataczając się jak pijany, i poszedł w kierunku linii posterunków, która w tym miejscu znajdowała się za kupami wydobytego żwiru.

Za chwilę usłyszeliśmy strzał – wiedzieliśmy, że człowiek ten już nie żyje. Esesman z zadowoloną miną wybrał od taczek innego Żyda i tą samą metodą wysłał go w ślad za kamieniem na dno dołu. Tym razem więzień wyszedł bardzo szybko, ale bez kamienia i nie u nóg esesmana, lecz trochę z boku, i od razu skierował się na linię posterunków. Znów strzał – drugi gotów. A esesman? Widać było na jego twarzy grymas rozczarowania – jak u małego dziecka, z którym inne dziecko nie chce się bawić. Zakończył więc swoją zabawę i oddalił się od nas wolnym, majestatycznym krokiem na inny teren.

Ja dla odmiany zostawiłem taczki za kupą żwiru i poszedłem do ustępu. Było to jedyne miejsce, gdzie można było kilka minut urzędowo odpocząć. Zauważyłem tam, że dużo więźniów ma fioletowe pośladki, a nigdy nie widziałem, żeby kogoś bili po tej przeznaczonej do tego części ciała. Okazało się, że ci ludzie byli karani urzędowo, to znaczy, że esesman albo blokowy czy sztubowy na bloku robili oficjalny meldunek za ociąganie się w pracy albo za niedokładnie wymytą miskę czy garnuszek i po kilku dniach wołano takiego do specjalnego baraku, w którym odczytywano mu wyznaczoną za przewinienie karę i zaraz na miejscu wykonywano wyrok. Wyrok – to albo godzina wiszenia na słupku, albo dwadzieścia pięć kijów w miejsce, gdzie krzyż kończy swą szlachetną nazwę.

Gdy wracałem z ustępu, zauważyłem samotnie leżącą łopatę, którą prawdopodobnie ukrył w tym miejscu ktoś idący w to samo miejsce, z którego ja wracałem. Wziąłem łopatę jak swoją i idąc przed siebie, rozglądałem się, gdzie by tu się z nią ulokować. Obawiałem się stanąć do żwiru, żeby mnie nie rozpoznał kapo, który wykąpał mnie w kałuży, a łatwo mógłby mnie poznać, bo jeszcze byłem mokry. Zauważyłem, że po lewej stronie od kopalni sporo więźniów pracuje łopatami przy dużych kupach ziemi. Nie byłem tam jeszcze nigdy, więc nie wiedziałem, na czym ta praca polegała. Widziałem tylko

dużo większych lub mniejszych kup ziemi, którą więźniowie przerzucali z jednych na drugie. Bez słowa ustawiłem się przy dużej kupie ziemi, którą już jeden więzień przerzucał na inne miejsce, i zacząłem mu pomagać. Ten rozejrzał się i gdy stwierdził, że nikt nas nie obserwuje, powiedział mi półgłosem, żebym stanął przy tej drugiej kupie i przerzucał ziemię dalej. Zapytałem, co to za robota i co z tego ma być.

– Nic – odpowiedział. – Tu chodzi o to tylko, żeby bez przerwy pracować, a czy będziesz przerzucał z tej kupy na tę czy z tej na tę, czy gdzie ci się podoba – to już wszystko jedno. Trzeba tylko szybko i bez przerwy poruszać się przy pracy i nie wolno rozmawiać.

O tym, że nie wolno rozmawiać, przekonałem się zaraz za chwilę, bo dostałem kilka razy w twarz, tak że za każdym uderzeniem padałem na ziemię, a za chwilę taką samą porcję dostał mój rozmówca. **Nie mogłem zwrócić na niego uwagi, bo miał on tak jak inni kapowie żółty opatrunek na ręku z napisem „Kapo", a on już z daleka mógł zauważyć, że rozmawiamy, bo przy rozmowie patrzyliśmy na siebie.**

Przy tej ziemi pracowałem długi czas i codziennie brałem po twarzy po kilka, a nawet i kilkanaście razy. Szybko spostrzegłem, że kapo bije tak długo, aż bity co najmniej ze trzy razy upadnie, więc pomagałem mu w ten sposób, że choć mnie uderzył nawet nie bardzo mocno, ja za każdym uderzeniem prawidłowo przewracałem się. Po drugim uderzeniu ciężko się podnosiłem, a po trzecim chwiałem się na nogach. Jeśli ktoś tego nie umiał robić, to był bity tak długo, aż naprawdę przewracał się i nie mógł się podnieść, bo kapo bił zawsze w skroń. Z czasem doszedłem do takiej techniki, że padałem nie od uderzenia, lecz sam, i to z takim wyliczeniem, że cios dosięgał mnie już w momencie padania. W ten sposób kapo był zadowolony, że od jednego uderzenia zwala człowieka z nóg, a ja otrzymywałem lżejsze uderzenie, amortyzowane padaniem do tyłu. Technikę tę stosowałem bez przerwy w Mauthausen i w Gusen. W Gusen raz tylko zdradziłem się. Esesman ustawił mnie przed sobą, a ja już wiedziałem, że dostanę w twarz. Esesman machnął ręką, ja upadłem, a cios wcale mnie nie dosięgnął. Okazało się, że pierwszy ruch był oszukany, a cios miałem otrzymać z drugiej ręki. Udało mi

się jednak, bo gdy upadłem, esesman śmiał się i już mnie nie bił, tylko kazał mi uciekać do pracy.

Pracując przy przerzucaniu ziemi, nauczyłem się tak pracować łopatą, żeby dawać z siebie jak najmniej wysiłku, a żeby to jednak kapom nie rzucało się w oczy. Ponieważ nigdy nie wiadomo było, czy kapo nie obserwuje zza kupy ziemi, trzeba było jako tako się ruszać. Dużo później, bo dopiero w Mauthausen, doszedłem do wniosku, że lepiej było dostać kilka razy dziennie kijem czy po twarzy za niepracowanie niż cały dzień bez przerwy ciężko pracować, bo ci, którzy z obawy przed biciem ciężko pracowali, szybko dostawali się do krematorium. Często jednak bicie za uchylanie się od pracy kończyło się śmiercią bitego, ale o tym będzie mowa później.

Żeby poruszać się szybko, a mimo to nie przemęczać się i nie tracić drogiej energii, zastosowałem taką metodę pracy: szuflę całą wbijałem w ziemię, lecz po wbiciu nie podnosiłem jej jak inni do góry, bo wtedy na szuflę nabierało się ziemi dużo, z czubem. Wbitą już w kupę ziemi szuflę szybkim, energicznym ruchem cofałem po tej samej drodze, którą była wbita. W ten sposób cała szufla pokryta była ziemią na pół centymetra. Ziemię tę przerzucałem na inną kupę ruchem podrzucającym, tak że ziemia w powietrzu rozsypywała się i na odległość wydawało się, że ziemi na szufli było dużo. Przy każdym wbiciu szufli w ziemię nieznacznie rozglądałem się, czy w pobliżu nie ma kapa, bo wtedy bicie pewne. Gdy kręcił się blisko, wtedy nabierałem pełne szufle, jak odchodził, znów pracowałem swoją metodą. Sprawdzić mojej pracy nie mógł, bo praca nie była obliczona na żadne wyniki, lecz tylko na umęczenie. Mogłem przerzucać ziemię z jednej kupy na drugą pół godziny czy też godzinę, a jak mi się znudziło, to przerzucałem w odwrotną stronę. Każdy robił, gdzie chciał, jak chciał i w którą stronę mu się podobało, aby tylko robił szybko i nie odpoczywał, bo wtedy był bity. Jeśli jednak robił uczciwie, to też od czasu do czasu był bity – żeby nie zapomniał, gdzie się znajduje.

Pracy tej jednakże trzymałem się długo, bo była to najlepsza praca na tym terenie. Nie było tu takiej mordowni jak przy żwirze, były możliwości lawirowania, żeby za mocno się nie przepracować, i bity byłem tylko pięścią, a nie kołkiem. Pilnował nas i bił tylko jeden

kapo, który bez przerwy chodził między kupami ziemi i bez przerwy bił. Inni kapowie tu nie przychodzili, bo był to jak gdyby teren wydzielony, który nie łączył się z innymi odcinkami pracy.

Jednego dnia przyszedł esesman z jakimś kapem i kazali zgłosić się młodocianym do lat osiemnastu. Z naszej grupy zgłosiło się kilku, a między nimi i Heniek B., którego ja zaraz następnego dnia po mojej kąpieli w kałuży przyprowadziłem do pracy przy ziemi. Młodociani zaprowadzeni zostali na zupełnie inny teren. Wieczorem dowiedziałem się od Heńka, że mają oni bardzo dobrą robotę w nowo budowanych barakach.

Następnego dnia rano, nie zważając na to, że mam już całe cztery lata więcej od wieku młodocianego i przy tym wyglądam na swoje dwadzieścia dwa lata, ustawiłem się do grupy młodocianych. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, bo w tej grupie roboczej, w której byli młodociani, było dużo starszych więźniów. Byli to fachowcy – stolarze, cieśle, szklarze, ślusarze, elektrycy i inni specjaliści pracujący przy budowie baraków.

Po rozejściu się do pracy na własną rękę ustawiłem się przy jednym baraku i rozpocząłem pracę, która polegała na skrobaniu ścian baraku szkłem. Baraki te stały już pod dachem, były oszklone, lecz w środku jeszcze puste i bez podłóg. Zewnętrzne ściany baraków były pomalowane, a raczej pomazane jakąś brązową cieczą – której używa się tylko do smarowania drewnianych słupów linii telefonicznych czy elektrycznych, a która to ciecz chronić ma drzewo przed gniciem i robakami. Praca nasza polegała na zeskrobywaniu szkłem wierzchniej warstwy desek. W miejscu wyskrobanym deski miały jaśniejszy kolor, były idealnie gładkie. Widziałem, że przy ścianach baraków w różnych odstępach ustawiają się młodociani i że kawałkami szkła okiennego skrobią deski – ustawiłem się więc i ja. Stanąłem przy nieoskrobanym miejscu i z całym zapałem zacząłem skrobać; robiłem naprawdę z całym zapałem, bo obawiałem się, żeby mnie nie wypędzili, jeśli dojdą, że nie należę do tej grupy roboczej, a jak będą widzieli, że pracuję z całym zapałem, to mogą zostawić. I faktycznie. Po niedługim czasie widzę, że z boku zbliża się kapo i zatrzymuje się przy każdym, sprawdzając jednocześnie coś

w notesie. Wziąłem wtedy wyjątkowo duży kawałek szkła i skrobałem, aż barak piszczał i wióry się sypały.

W końcu doszedł do mnie – spojrzał na mój numer i szuka w swoim zeszycie. Wreszcie zwraca się do mnie po polsku:

– Dlaczego u mnie nie ma twojego numeru?

Po mowie poznałem, że był to Ślązak, lecz nie miał na winklu litery „P".

– Nie wiem – odpowiadam – wczoraj sam numer podałem, widocznie pan nie zapisał.

Sprawdził jeszcze raz – spojrzał na mnie, walnął mnie trzy razy w twarz, spojrzał na numer i zapisał w swoim zeszycie. Poszedł sprawdzać innych, a ja, zadowolony, że tylko dostałem po twarzy, zabrałem się znów do skrobania. **To było trochę szczęścia. Wiem, że był to tylko taki zbieg okoliczności, który ludzie zwykli nazywać szczęściem, bo gdyby kapem był Niemiec, sprawa mogłaby inaczej wyglądać. Nie umiałem przecież mówić po niemiecku, więc nic bym nie mówił, a kapo albo by mnie zostawił, albo natłukł i oddał z powrotem do poprzedniej pracy, gdzie za ucieczkę od nich mogliby mnie wykończyć tak samo, jak codziennie wykańczali innych.**

Przed wieczorem kapo przyszedł sprawdzić, ile zeskrobaliśmy, i… dostałem bicie, że za mało oskrobałem. A ja przecież cały dzień uczciwie skrobałem, lecz po południu już było ciężko skrobać, bo bardzo bolały palce – tak że nie mogłem nimi ruszać, a wieczorem ciężko mi było utrzymać w ręku jedzenie.

Na drugi dzień już nie byłem taki głupi. do skrobania ustawiłem się w miejscu, gdzie już duży kawał baraku był oskrobany. Udało się. Tego dnia już nic nie oberwałem. Kilka następnych dni stawałem do pracy w ten sam sposób. Ale jak jest już dobrze, to chce się mieć jeszcze lepiej. To samo było ze mną. Doszedłem do wniosku, że góra baraku też musi być skrobana. do tego ciekawego wniosku doszedłem dlatego, że już zapomniałem o pracy w kopalni żwiru i przy przewracaniu ziemi, natomiast spostrzegłem, że jak skrobię na dole, to mnie bolą nogi. Żeby skrobać na górze, wyszukałem sobie wysoki kozioł i teraz już pracowałem w pozycji siedzącej. Słowo „pracowałem" też nie jest już właściwe, bo od czasu, jak pracowałem przy częściowo oskrobanych ścianach, poruszałem się

tylko trochę i rozglądałem się, czy nie idzie ktoś taki, że trzeba lepiej pracować, a gdy się nie rozglądałem, to wystarczyło tylko poruszać się trochę i już wszystko było dobrze, bo przecież skrobaliśmy, stojąc twarzą do ściany, więc nikt z daleka nie mógł widzieć, czy ja skrobię mocno czy słabo, szybko czy wolno, czy w ogóle skrobię, czy się tylko ruszam, na wszelki wypadek trzymając w ręku kawałek szkła.

Na bloku poznałem się z więźniem nazwiskiem Koman – łodzianin, oficer straży pożarnej. Po kilkakrotnej z nim rozmowie zaproponowałem mu, żeby zaryzykował i poszedł rano pracować do naszej grupy. Przyszedł. Usiadł na jednym końcu mojego kozła, ja na drugim i teraz mogliśmy obserwować jednocześnie z dwóch stron. Koman pracował już kilka dni i nikt się go nie czepiał. Doszliśmy do porozumienia, że nie należy o tym mówić nikomu, bo jak się dowiedzą inni, że tak łatwo jest przeskoczyć z okropnych warunków do lekkiej pracy, to nawali się kupa nowych ludzi i wtedy może się to zakończyć tylko w jeden sposób. Zbiorą wszystkich do kupy, wybiorą potrzebnych, a resztę przerzucą znów do żwiru i ziemi.

Jeśli ludzie muszą tam pracować, to wolę, żeby to robili inni, a mnie żeby tam nie było. Praca przy barakach miała jeszcze ten plus, że w razie deszczu wchodziliśmy wszyscy do baraków, gdy przy żwirze i ziemi pracowało się bez względu na pogodę. Raz jeden tylko zaprowadzono nas do obozu, przed burzą. Ale była to niesamowita burza z ulewą, piorunami i ciemnościami. Przypuszczam, że zaprowadzili nas do obozu z obawy, że w taką pogodę niejeden mógłby próbować ucieczki.

Jednego dnia, gdy nas rano liczono, jakiś więzień wyszedł z szeregu i spokojnym krokiem skierował się w stronę, gdzie była – sto metrów od nas – furtka w murze, pod którym stały posterunki. Żaden z esesmanów, którzy nas liczyli, nie zatrzymywał go, a on spokojnym krokiem szedł do tej furtki prowadzącej na wolność. Dziesięć metrów przed furtką stał wartownik, który na widok idącego zdjął karabin i celując w niego, kazał mu się wrócić. Ten natomiast zawołał do wartownika, żeby strzelał, tylko żeby dobrze trafił. Wreszcie zeszli się z sobą. Wartownik w jednym ręku trzymał karabin, a drugą kilka razy uderzył więźnia, wykręcał go do tyłu, popychał w naszą stronę. Wreszcie więzień wyrwał się i znów wolno

i spokojnie skierował się do furtki. Wtedy z odległości trzech kroków wartownik strzelił… i więzień gotów, trup. My wszyscy staliśmy w szeregach, obserwowaliśmy tę scenę, lecz przyznać muszę, że wtedy już to na mnie żadnego wrażenia nie zrobiło. Staliśmy jeszcze w szeregach, gdy przyszedł oficer SS z innym wartownikiem. Zmienił tego wartownika, który strzelił do więźnia. Koman twierdził, że wartownik będzie srogo ukarany za to, że od razu nie strzelał, lecz pozwolił podejść do siebie więźniowi, który mógłby się połakomić i wyrwać mu z rąk karabin.

Innego dnia, siedząc z Komanem na naszym koźle – zaraz obok na innym siedział Heniek B. – przyglądaliśmy się scenie wykańczania więźnia Żyda. Odbywało się to pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym siedzieliśmy. „Zabawa" ta trwała dość długo. Więzień musiał z dużym kamieniem na ramieniu szybko przebiegać niedużą odległość, dwadzieścia pięć–trzydzieści metrów. na dwóch końcach tej trasy stali kapowie z kijami, a gdy więzień stawał przed którymś z nich, ten bił go kijem po głowie i plecach, goniąc za nim kilka metrów w kierunku drugiego, a tam znów to samo. I tak w kółko, w kółko, aż goniony więzień już prawie nie mógł chodzić. Wtedy dla odmiany nie mógł uciekać i otrzymywał więcej uderzeń. Cały czas musiał jednak biegać z dużym kamieniem w rękach. W końcu upadł i już nie mógł się podnieść. Kapowie kopaniem starali się zmusić go do wstania. Ten krzyczał, lecz podnieść się nie mógł. Wtedy kapowie obłożyli go słomą i podpalili. Człowiek ten już nie krzyczał, a wył. Kapowie, widząc, że naprawdę nie może się podnieść, zaczęli go gasić, sypiąc na niego szuflami żwir. Ugasili, wyciągnęli go spod żwiru, wrzucili na taczki i wiozą w naszą stronę. Z początku nie wiedzieliśmy, po co. za chwilę już jednak wiedzieliśmy. Przy końcu baraku, który skrobaliśmy, była zwyczajna cembrowana studnia, z której wiadrem wyciągało się wodę. Studnia ta miała nie więcej jak sześć metrów głębokości.

Przywiezionego taczkami więźnia przywiązali kapowie liną, wpuścili do studni i wiadrami wylewali na niego wodę. Zaczęliśmy liczyć, ile wiader na niego wyleją. Naliczyliśmy dwadzieścia sześć wiader. Po tej kąpieli wyciągnęli go na wierzch. Stał o własnych siłach, lecz oparty o barak, chwiał się na nogach, a kapowie coś z zupełnie zimną

krwią, spokojnie i bez żadnej emocji czy nerwów, do niego mówili. Odnosiło się wrażenie, że mordują człowieka zupełnie spokojnie, podchodząc do tego tak, jak każdy fachowiec podchodzi do dobrze znanej mu pracy, którą potrafi dokładnie i fachowo wykonać.

Mówili do niego chwilę, a on im w odpowiedzi potakiwał głową i za chwilę, opierając się o ścianę baraku, zaczął iść w naszą stronę. Wtedy zobaczyliśmy, jak był okropnie obity. Porozbijana głowa, potłuczone, spuchnięte palce u rąk, twarz zdeformowana, a jedno ucho to, bez przesady, było wielkości dłoni dorosłego człowieka – wyglądało jak świńskie.

Gdy człowiek ten przeszedł pod nami, zwróciłem się do Komana i B., że gotów jestem założyć się, że ten człowiek za dwie minuty już nie będzie żył, bo zrozumiałem, co mówili kapowie, a on potakiwał głową. I rzeczywiście, zobaczyłem, jak szedł w kierunku drugiego końca baraku. Tuż za barakiem biegła alejka, na którą więźniom nie wolno było wchodzić, bo trzy metry za alejką była już linia posterunków. Więzień ten szedł wolno, trzymając się baraku, a gdy doszedł do rogu, skręcił za barak i już za chwilę posłyszeliśmy strzał, a za nim drugi i… koniec.

Jak wspomniałem, te rzeczy już nie wywoływały u mnie żadnego wrażenia. To otępienie uczuciowe na krzywdę i ból innych wynikało z tego, że każdy musiał bez przerwy myśleć o sobie, żeby uniknąć bicia. Wracając z pracy na obiad czy wieczorem po pracy, nigdy nikt nie wiedział, czy dzień będzie „spokojny”, czy też do całego piekła w pracy nie dołączy się gimnastyka, która odbywała się przy bezustannym biciu kijami, kopaniu przez esesmanów.

Nikt tam nie miał czasu zajmować się niedolą innych, bo sam bez przerwy był tym samym zagrożony. do tego dochodziła obawa, czy na bloku jest wszystko w porządku. Czy dobrze posłane łóżko, czy ręcznik jest równo zawieszony, czy przy kontroli szafek nie znaleziono jakiejś małej plamki w środku szafki lub na naczyniach, czyli garnuszku lub misce – bo za każde z tych przekroczeń meldunek i za kilka dni wiszenie na słupku lub dwadzieścia pięć razy w tyłek, po czym tyłek fioletowy.

W dodatku zacząłem już odczuwać głód. To, co z początku było jakby niedosytem, obecnie już zamieniło się w ciągły głód. Rano

wstawałem głodny, bo wieczorem zjadałem całą porcję chleba, a rano dostawałem tylko pół garnuszka czarnej gorzkiej kawy. Po zjedzeniu obiadu byłem jeszcze bardziej głodny niż przed obiadem, a wieczorem, po zjedzeniu całej porcji chleba – też byłem głodny. Dostawaliśmy tylko swoją porcję zupy czy kartofli w łupinach, a reszta, którą na wolnych blokach rozdawano kolejno, szła między kapów, sztubowych, pisarza i blokowego. Kartofle należało obierać. Kto by ryzykował jedzenie kartofli w łupinach, narażał się na bicie, przy którym mogli mu odebrać zdrowie lub nawet zabić.

Jednego razu blokowy i sztubowy skopali młodego chłopca, który wyjmował nadpsute kartofle z kosza na odpadki, wyrzucone tam przez arystokrację, blokowych, którzy mogli sobie na to pozwolić, bo kartofli dla siebie mieli dosyć. Skopali go tak, że chłopak już się sam nie podniósł. Gdy my poszliśmy do pracy, on pozostał na bloku, a gdy przyszliśmy wieczorem na blok, jego nie było i już go więcej nie widziałem.

Chyba nic dziwnego, że w tym domu wariatów człowiek nie miał czasu na litość i współczucie dla innych.

W międzyczasie na sztubie poznałem kilku chłopaków i jeden z nich namówił mnie, żebym zostawił dla innych skrobanie szkłem ścian, a sam poszedł do jego grupy, która miała za zadanie zacieranie szpachlówką szpar i dziur po wbitych gwoździach wewnątrz baraków. Według jego zdania była to jeszcze lepsza robota niż skrobanie.

Zgodziłem się i już następnego dnia poszedłem do jego grupy, a on w jakiś tajemniczy dla mnie sposób wystarał się dla mnie o puszkę ze szpachlówką i szpachlę. Była to sporej wielkości puszka, jaką mieli wszyscy ci, co w tej grupie pracowali. Poszedłem tam z myślą, że jeśli mi się nie spodoba, to znów pójdę skrobać. W grupie tej pozostałem jednak do końca mego pobytu w karnej kompanii obozu koncentracyjnego w Dachau. Praca w tej grupie była naprawdę koncertowa. Kolega, który mnie tam sprowadził, nauczył mnie również, jak należy pracować. A więc szukałem w ścianie kilku dziurek czy większej szpary i stawałem przy nich ze swoim narzędziem i szpachlówką i stałem tak długo, aż trafił się esesman lub kapo. Wtedy dopiero zacierałem dziurę i od razu zmieniałem

miejsce pobytu, żeby mnie ten sam i w tym samym miejscu drugi raz nie złapał.

Chodziliśmy przeważnie parami, bo łatwiej było obserwować i można było porozmawiać. Z obserwowaniem była taka sama umowa jak przy żwirze w dole. Jak jeden – wszystko jedno kto – zaczynał pracować, wtedy nie oglądałem się, żeby zobaczyć, kto idzie, lecz równocześnie brałem się do roboty, a dopiero po dłuższej chwili dyskretnie rozglądałem się, kto to nas postraszył. Raz jednak udało się dwóm esesmanom złapać nas, gdy nic nie robiliśmy. Było nas wtedy pięciu – czterech Polaków i jeden Niemiec. na początek każdy z nas dostał kilka razy po twarzy, a dopiero po tym wstępie zaczęła się „zabawa".

Nie potrafiłbym określić, jak to długo trwało, lecz wtedy wydawało mi się, że dość długo. Wszystko było – czołganie, przysiady, kaczy krok, leżenie na brzuchu i unoszenie się na rękach, a esesmani w tym czasie popędzali nas kijami i butami. Gdy czułem, że już niedługo będę mógł ćwiczyć – skończyli gimnastykować nas, stanęli na zewnątrz baraku z kijami po obydwu stronach drzwi i kazali nam wychodzić. Stanęliśmy blisko drzwi i każdy zastanawia się, jak tu wyskoczyć, żeby za mocno nie oberwać kijami. A ci wrzeszczą, żeby prędzej wychodzić. Wreszcie wyskoczył pierwszy. Jak oberwał od obydwu kijami, to tylko jęknął, zatoczył się do przodu, przebiegł jeszcze kilka kroków i leży. za nim wyskoczył drugi i trzeci. Zauważyłem, że wszyscy powoli podnoszą się i oddalają się do innego baraku. Został jeszcze Niemiec i ja. Niemiec czai się, lecz boi się wyskoczyć, a ja kręcę się za nim. Esesmani wrzeszczą, ten się boi – wreszcie całą siłą wypchnąłem go za drzwi baraku, lecz nie między nich, a na stojącego z prawej strony. Ten już nie mógł go uderzyć kołkiem, tylko odepchnął go na drugiego esesmana i nim zdążył zamachnąć się – wyskoczyłem tuż za wypchniętym przeze mnie więźniem i przebiegłem między nim a esesmanem. Gdy już przebiegłem, to wiałem tak, że nawet się nie obejrzałem, i nie wiem, czy tamten dostał kołkiem czy też nie, ale też i wcale mnie to nie obchodziło. Byłem zadowolony, że ja nie dostałem, bo jeszcze jak się dostało po plecach, to nic strasznego, ale jeżeli trafiłby w głowę – klops, gotów.

Po tym wypadku w dalszym ciągu pracowałem w tej samej grupie, lecz już nigdy nie zatrzymywałem się tam, gdzie już stało kilku innych więźniów. Żeby mi nie zabrakło roboty, nosiłem z sobą gwóźdź i jeśli mi tylko miejsce odpowiadało, szukałem dziur do szpachlowania, a jeśli nie było, to wydłubywałem gwoździem szpachlówkę z zatartych już szpar i dziur, a deski w tym miejscu zamazane szpachlówką skrobałem szkłem i miałem czystą robotę na nowo do wykonania. Gwóźdź i szkło nosiłem zawsze w kieszeni, a po skończonej pracy zostawiałem pod swoją puszką. Bo w blokach wolno nam było nosić w kieszeniach tylko chusteczkę do nosa.

Pierwszej niedzieli po przywiezieniu mnie do Dachau, tej, kiedy przechodziliśmy na placu apelowym pierwszą zaprawę obozową, wieczorem było pisanie listów. Jeden z więźniów napisał mi po niemiecku list do matki. Gdy byłem w karnej kompanii, otrzymałem list od matki, w którym – znając moją ruchliwą i impulsywną naturę – prosi mnie, żebym był grzeczny, to może wtedy szybko przyjadę do domu. Kochana, naiwna mamuśka! Nie miała pojęcia, co to jest obóz koncentracyjny. W tym czasie mało jeszcze ludzi wiedziało o życiu w obozach koncentracyjnych.

Na wolnych blokach słyszałem ciągle opowiadania o tym, że najgorszym niemieckim obozem koncentracyjnym jest Dachau. Że Dachau to najstarszy obóz i w nim Hitler wykończył komunistów niemieckich. Mówiło się o tym i w karnej kompanii. Mówiono o tym, że przebywał tu przywódca komunistów niemieckich Thalmann oraz Gustaw Morcinek. Mówiono tak wiele o okropnościach tego obozu, na własnej skórze też już otrzymałem niezłe doświadczenie, że całkowicie zgadzałem się z tymi wszystkimi, którzy tęsknili za zmianą miejsca pobytu. Wszyscy mówili, że chętnie by wyjechali do każdego innego obozu, żeby tylko uciec z tego. Bo wszystko jedno, jaki to będzie obóz, to zawsze będzie lepszy niż Dachau, a już nie będzie mowy o żadnym porównaniu do warunków w karnej kompanii.

Wreszcie okazja przyszła. Dwunastego sierpnia 1940 roku w czasie pracy odezwały się gwizdki na zbiórkę. Ustawiliśmy się tak jak zwykle do wymarszu. Esesmani, którym towarzyszyli więźniowie w ładnych, czystych pasiakach, chodzili wzdłuż szeregów i na wyrywki pytali niektórych więźniów o zawód. Tych, którzy im

odpowiadali, odstawiano na bok w odległości pięćdziesięciu metrów od nas i tam zapisywano ich nazwiska i numery. Poszedł szept między więźniami, że wybierają na transport do innego obozu. Grupa wybieranych do transportu znajdowała się naprzeciwko miejsca, w którym stałem razem z Heńkiem B. Postanowiłem zaryzykować przeskok do grupy przeznaczonej do transportu i w momencie gdy esesmani oddalili się i wybierali na lewym skrzydle naszej kolumny, a pisarze zapisujący wybranych zajęci byli ustawianiem ich w kolumnę, spokojnym krokiem wyszedłem z szeregu i skierowałem się do drugiej grupy. W połowie drogi włączyłem się między tych, których wybrano, zostałem zapisany i ustawiony w szeregu. Przed przejściem do grupy transportu powiedziałem Heńkowi, że ja się będę tasował, a jeśli mi się uda, to niech i on ryzykuje, bo wychodząc jednocześnie, moglibyśmy podpaść. Gdy już byłem w drugiej grupie, dałem Heńkowi znak, żeby przeszedł do nas. Wahał się chwilę, lecz wyszedł i przyszedł bez żadnych kłopotów. Gdy inni zobaczyli, że nam się udało, zaczęli też przechodzić na naszą stronę, lecz niewielu już przeszło, bo zrobiło się zamieszanie. Wyskoczyło kilku jednocześnie. Dwóch czy trzech wróciło z powrotem – zauważyli ich – kilku dostało po twarzy, ktoś inny kopniaka i w ten sposób zakończono wybieranie do transportu. Wszystkich popędzono na powrót do pracy, a naszą grupę, która liczyła około stu osób, zaprowadzono na blok jedenasty.

Na bloku tym grupowano więźniów do transportu. Gdy nas przyprowadzono, było już tam dużo więźniów, a w ciągu dnia wciąż przyprowadzano nowe grupy z różnych bloków. Tu mieliśmy przejść trzydniową kwarantannę, a wiadomo już było, że pojedziemy do Mauthausen w Austrii, a może też do jakiegoś nowego obozu w pobliżu Mauthausen. Ten nowy obóz to Gusen, odległy cztery kilometry od Mauthausen, w którym przebywałem najdłużej, bo cztery lata i cztery miesiące. Wszyscy, nawet ci, co byli na wolnych blokach dla niepracujących, cieszyli się, że wyjadą z tego obozu, bo każdy inny będzie lepszy od Dachau. Razem transport nasz miał liczyć podobno tysiąc sześćdziesiąt osób.

Na tej trzydniowej kwarantannie zapanowała od razu inna atmosfera. Inny, jakiś wzniosły duch wstąpił we wszystkich. Ludzie

cieszyli się z wyjazdu. – Teraz wiemy, że będziemy żyli – mówili. – Z innych obozów dużo ludzi zwalniają do domu, a od nas jeszcze nikogo nie zwolnili. Tam, jak się przy pracy wyrobi swoją normę, to nikt się nikogo o nic nie czepia. **– I co dla mnie było ciekawe, że mówili to w większości ludzie, którzy byli na wolnych blokach dla niepracujących. I ci w dodatku narzekali właśnie na to, że nie pracują i dlatego otrzymują mniej chleba. Twierdzili, że w obozach, w których wszyscy pracują, więźniowie otrzymują wystarczającą ilość wyżywienia. Tym razem nie wierzyłem w ich gadanie.**

Po przydzieleniu nas do transportu automatycznie zostaliśmy zwolnieni z karnej kompanii i zaraz tego samego dnia pozrywaliśmy czarne punkty – znaki więźniów karnej kompanii. W rozmowie z Willim i Heńkiem B. powiedziałem – i oni zgodzili się ze mną – że tam musi być ciekawie, jeśli nam pozwolili zerwać czarne punkty. Wynikałoby z tego, że tam warunki normalnych więźniów w niczym nie będą lepsze niż w karnej kompanii w Dachau. Innym więźniom tego nie mówiliśmy, bo można było się im narazić, a poza tym jeśli sami nie wiedzieliśmy na pewno, nie było potrzeby psuć ludziom chwilowego nastroju zadowolenia.

Ostatniego dnia przed wyjazdem niektórym popsuł się dobry nastrój, a przyczyną był transport inwalidów, który przyszedł z obozów Mauthausen i Gusen. Ludzi tych prowadzono powoli obok naszego baraku. Powoli dlatego, że były to tylko szkielety ludzkie w zniszczonych łachmanach, nazywanych szumnie ubraniem, a każdy z nich był w bandażach lub w gipsie. Przez druty od nas padały chaotyczne pytania: skąd, jak długo byli, jakie tam warunki? Ktoś zawołał, że my tam jedziemy – na to niektórzy machnęli tylko ręką, mówiąc, że jak pojedziemy, to sami się przekonamy. Poszła plotka – która miała na celu przywrócić dobry nastrój – że ci inwalidzi to więźniowie, których poraniło przy przedwczesnym wybuchu w kamieniołomach, lecz nie wpłynęło to jednak na poprawienie nastroju.

Ludzie z wolnych bloków przynieśli papierosy i tytoń i częstowali nim chłopaków z karnej kompanii. Przyszedł też pod barak Janusz Kempisty i przyniósł mi paczkę tytoniu, bibułki, pudełeczko sacharyny. Dobry, kochany chłopak. Gdy już wychodziliśmy do

bramy, stał przed swoim blokiem i machał mi ręką na pożegnanie. Nie wiem, czy przeżył wojnę, ale to raczej wątpliwe, bo był to chłopiec młody i niezaradny.

W dniu wyjazdu blokowy naszego bloku, Niemiec z czerwonym winklem, miał do nas krótką przemowę i widać było, że był bardzo wzruszony. Przypuszczam, że ze swą mową wystąpił wbrew zarządzeniom, bez niczyjego zezwolenia, bo nie wierzę, żeby mu ktoś pozwolił mówić takie rzeczy. Przemówienie jego można streścić w kilku zdaniach: „Jedziecie na gorsze. Tam jest ciężka praca i wyniszczenie. Tu wewnętrzne władze obozowe – to komuniści, tam rządzą bandyci".

A na zakończenie powiedział:

– Pamiętajcie zawsze o tym, żeby nie upaść, bo który upadnie, ten już się nie podniesie.

Szesnastego sierpnia 1940 roku rano otrzymaliśmy prowiant na drogę – był to kawałek kiełbasy i pół bochenka chleba – i zaprowadzono nas na jakąś bocznicę kolejową. Tam prawie trzy godziny siedzieliśmy na trawie w oczekiwaniu na pociąg. Tego dnia było bardzo gorąco. Wszystkim chciało się pić, a nigdzie nie było wody. W dodatku z nudów i z głodu prawie wszyscy zjedli swój chleb, a nikt nie wiedział, jak długo będzie trwała jazda do miejsca przeznaczenia. Ja też swoją żywność zjadłem i chciało mi się bardzo pić, lecz starałem się o tym nie myśleć, żeby nie pogarszać swego samopoczucia. Przykrym dla mnie momentem był przejazd obok nas pociągu pospiesznego, w którym widzieliśmy ludzi, jak jeżdżą w luksusowych wagonach i cieszą się wolnością. Przed przejazdem tego pociągu esesmani ustawili się wzdłuż toru, żeby któremu z nas nie przyszedł przypadkiem do głowy pomysł skoczenia pod pociąg. Życie wolno było odebrać sobie w obozie, poza bramą obozu byłoby to wysoce nieprzyzwoite.

Wreszcie podstawiono pociąg towarowy, załadowano nas po pięćdziesiąt osób do każdego wagonu. Posłyszeliśmy jeszcze szczęk żelaznych sztab, którymi zamykano wagony… pociąg ruszył.

Mauthausen

Przy ładowaniu do pociągu ludzie starali się stawać obok siebie tak, żeby znajomi czy koledzy mogli jechać w tym samym wagonie. Ja ustawiłem się razem z Willim i Heńkiem B.

W poprzek wagonu poukładane były deski, na których siedzieliśmy. Ci, dla których zabrakło miejsca na deskach, siedzieli na podłodze pod ścianami. W wagonie było bardzo ciasno, a jedyną dobrą stroną jazdy były otwarte okienka po obydwóch stronach wagonu, w których były umocowane grube kraty. Przez okienka te wpadała do wagonu wystarczająca ilość powietrza.

Nie potrzeba wspominać o tym, że wszyscy byli głodni, bo tylko nieliczni zostawili sobie po kawałku chleba do pociągu. Wszyscy natomiast czuli wielkie pragnienie. na nielicznych postojach esesmani chodzili bez przerwy obok pociągu. Gdy na jednym postoju z naszego wagonu proszono o wodę, esesman zagroził, że jeśli się nie uspokoimy, to zamknie nam okna. na taką groźbę wszyscy się uspokoili i nikt już więcej o wodę nie prosił, **bo gdyby zamknął nam okna, to już nie mówiąc o tym, że byłoby ciemno w wagonie, na pewno podusilibyśmy się z braku powietrza.**

Wreszcie pociąg stanął. Było już po zachodzie słońca, lecz jeszcze zupełnie widno. Ktoś z wagonu przylepił się do okna i przeczytał napis na stacji: „Mauthausen". Ktoś celowo przekręcił nazwę i wymówił złowieszczym głosem: „Mordhausen". W wagonie wyczuwało się zaniepokojenie – co też przyniesie nam zmiana. Kilka minut panowała na stacji cisza, po której posłyszeliśmy zbliżający się powoli w naszym kierunku jakiś wrzask, pokrzykiwania, wreszcie już zupełnie blisko mogliśmy w ogólnym wrzasku odróżnić odgłosy bicia.

Słychać otwieranie wagonu przed nami. Krzyk, bicie, okrzyki bólu, tupot nóg – cisza. Otwierają nasz wagon. Spojrzałem: w pewnej odległości od wagonów gęsta linia posterunków, kilku esesmanów z karabinami przy drzwiach i krzyczą wszyscy jednocześnie. Nie musiałem rozumieć, co krzyczą, żeby zorientować się, że każą szybko wysiadać. Wyskoczyłem razem z innymi na peron. Dostałem karabinem po plecach, lecz nawet nie zwróciłem na to uwagi, bo całą uwagę skupiłem na robieniu uników, żeby nie oberwać od esesmanów, którzy stali ustawieni w szpaler, a my biegliśmy między nimi, żeby dołączyć do kolumny. Mimo wprost akrobatycznych uskoków dostało mi się jednak kilka solidnych uderzeń.

W kolumnie przypadło mi miejsce w pierwszym rzędzie po lewej stronie. Z obydwóch stron stali esesmani w odległości dwóch kroków od siebie. Karabiny trzymali w rękach, gotowe do strzału. Wszyscy jacyś dziwnie podnieceni, wrzaskliwi, sprawiali wrażenie ludzi nienormalnych. Gdy wreszcie po kilkakrotnym liczeniu nas ruszyliśmy w drogę, było już mocno ciemno.

Kiedy już wyszliśmy na stację, rozpoczął się teatr. Po bokach esesmani, jeden przy drugim, po prawej stronie esesmani z psami, a inni na motocyklach oświetlali całą kolumnę reflektorami. Z tyłu samochody, które również oświetlały kolumnę. Przy tej dekoracji nieprzerwany wrzask esesmanów, odgłosy uderzeń i krzyki lub jęki bitych. od czasu do czasu rozlegał się wystrzał, raz z przodu, to znów z tyłu. Nie wiedziałem, czy ktoś ucieka i strzelają do niego, czy też może ktoś upadł, więc pomagają mu w szybszym dostaniu się do nieba. Nie było czasu o tym myśleć. Zabawa polegała na tym, że na czele naszej kolumny szła normalnym krokiem grupa esesmanów, natomiast ci, co szli z boków i z tyłu, bijąc bez przerwy, poganiali nas do przodu. Więźniowie idący z przodu nie mogli pozwolić sobie na to, żeby wejść na SS, więc powstrzymywali siłą napierającą kolumnę, w której bici i poganiani ludzie pchali się do przodu. Doszło do tego, że szliśmy ściśnięci jak owce, siedząc jeden drugiemu na plecach i depcąc sobie po nogach. Nikt nie chciał być wypchnięty z kolumny na zewnątrz, bo mógł to przypłacić życiem, że niby chce uciekać.

Ja też byłem w takiej głupiej sytuacji, bo szedłem w zewnętrznym rzędzie. Pewien odcinek drogi szliśmy tuż nad brzegiem Dunaju.

Brzeg był bardzo wysoki i tylko spomiędzy drzew, głęboko w dole było widać i słychać płynącą rzekę. Opadła mnie natrętna, świdrująca w głowie myśl: skok między esesmanów, krawędź i – na złamanie karku w dół. Nie miałem pojęcia, czy brzeg był bardzo stromy, czy rosły na nim drzewa i czy zaraz na dole będzie woda, czy też jeszcze będzie do niej kawał drogi. Chwilowe oprzytomnienie: psy – złapią, mogę się potłuc czy połamać i zostanę na brzegu złapany. I znów poprzednia myśl: skok – jeden metr – nie zdąży strzelić – ciemno – pływam dobrze. Z myśli tych wyrwał mnie głos sąsiada idącego z prawej strony:

– Kolego, pomóżcie mi, ja już nie mogę.

Był to nieduży, starszy człowiek, w którego oczach widać było obłędny strach i wyczerpanie. Był w gorszej niż ja sytuacji, bo na nogach miał luźne drewniane trepy z płótnem tylko na wierzchu, takie, jakie mieli wszyscy, którzy mieszkali w blokach dla niepracujących. Żal mi się zrobiło tego starego, wystraszonego człowieka. Prawą ręką objąłem go w pasie, a jego rękę przełożyłem sobie przez kark i trzymałem ją swoją lewą ręką. Przeszliśmy zaledwie kilka metrów, gdy otrzymałem okropne uderzenie lufą karabinu w serce. Zatkało mnie, zakołowało mi się w głowie i… w tym momencie przypomniały mi się słowa blokowego w Dachau, który mówił: „Uważajcie, żeby nie upaść, bo kto upadnie, ten już się nie podniesie”. Nie wiem sam, kiedy puściłem swojego staruszka – a w głowie kołatała mi tylko jedna myśl: nie upaść, nie upaść, nie upaść.

Nie potrafiłbym opowiedzieć, ile wtedy kroków tak szedłem jak lunatyk, jakby tylko siłą rozpędu i bez oddechu, którego nie mogłem złapać. Wreszcie oddech raptowny, krótki – za chwilę następny, następny i wreszcie pomaleńku doszedłem do właściwego, normalnego oddechu. Spojrzałem w bok, lecz swojego dziadka już nie zauważyłem. Albo pozostał w tyle, albo jeśli upadł, to go zadeptali.

Zauważyłem, że weszliśmy między bloki skalne, które przy świetle reflektorów wydawały się jakieś niesamowite – ponure. Były to kamieniołomy, w których pracowali więźniowie z obozu. Z kamieniołomów tych wydostaliśmy się na górę po bardzo stromych

schodkach o nieforemnych kamiennych stopniach, których było sto dziewięćdziesiąt dwa czy też sto osiemdziesiąt sześć – obecnie już nie pamiętam, chociaż wchodząc na górę, często liczyłem je, żeby nie myśleć o wysiłku wkładanym w pokonanie tej cholernej ściany. Wyobrażam sobie, ile krwi, potu i zamęczonych ludzi kosztowało zrobienie tych schodów. Po jednej stronie schodów była gładka, niczym niezabezpieczona ściana, którą można było dostać się bezpośrednio na sam dół kamieniołomów, z tym że dusza szła bezpośrednio do nieba, a na dole zostawały zwłoki w postaci placka. Wtedy, gdy pierwszy raz pchałem się do góry, zanim wszedłem na schody, spojrzałem na ludzi idących przede mną: szli prawie prostopadle, jakby do nieba, bo już było tak ciemno, że w pewnej odległości ludzie idący po ścianie w górę znikali mi z oczu. Wreszcie wydostaliśmy się na górę. Schody pokonałem bez specjalnego wysiłku. Byłem młody, zdrowy i wysportowany. Wagę ciała miałem zawsze małą w stosunku do wzrostu. W roku 1939 ważyłem bez ubrania sześćdziesiąt dwa kilogramy przy wzroście sto siedemdziesiąt osiem centymetrów. Po wejściu na górę byliśmy już prawie w obozie. Po obu stronach drogi baraki. Dalej, po lewej stronie jakiś kamienny mur, wieża i brama z napisem po niemiecku: „Praca daje wolność".

Te wszystkie szczegóły zauważyłem tylko przy okazji, bo całą uwagę skupiliśmy na czym innym. Nim doszliśmy do bramy, obiegła nas nowa rozwrzeszczana grupa esesmanów z psami, z bykowcami, każdy jakby gotów sam zębami nas szarpać. Esesmani eskortujący nas zostawali przed bramą, a tu już brali nas w swoją opiekę nowi, przepojeni żądzą czynu i walki. Więc znów łomot, krzyk i popędzanie. Po uderzeniu, które otrzymałem lufą karabinu w serce, kołowałem tak, żeby być w środkowym rzędzie, więc byłem mniej narażony na bicie.

O, tu dopiero dom wariatów, pomyślałem sobie. Uważaj, Stasiu, bo cię przetrącą. Niezłe przywitanie. Dachau, wolne bloki – to Kanada. Tu dopiero będzie wesoło.

Z tyłu za nami wjechał na plac samochód ciężarowy, z którego wywalono ładunek. Byli to ci więźniowie, którzy po drodze upadli. Żyli, nie żyli – nie wiem. Wiem tylko, że leżeli i nie ruszali się.

Podobno było tam razem trzydzieści kilka osób. Wesoło – szkoda każdego słowa.

Od początku pobytu w obozie tak jakoś ciekawie się to u mnie w głowie ustawiło, że nic mnie nie obchodziły okropności obozu, lecz cała moja natura, energia, bystrość i psychika ustawiły się do walki z każdą przeciwnością, w każdej sytuacji. Niczemu się nie dziwiłem i nic mnie nie potrafiło zmartwić. Jak brałem po twarzy – to też na wesoło. Dostałem po twarzy, za chwilę śmiałem się i zwiększałem czujność, by uniknąć następnego bicia. Cieszyłem się, gdy na czas spostrzegłem zbliżające się niebezpieczeństwo. Jak wpadłem do ciężkiej pracy, cały nastawiałem się na maksymalną oszczędność ruchów, wysiłku i wyczucie możliwości urwania się do lżejszej pracy. Każdą sytuację uważałem za normalną w tych warunkach, w jakich się znajdowałem. Cieszyłem się, gdy udało mi się na czas uskoczyć, gdy bili na ślepo, kogo popadło. do tej chwili jeden tylko raz zapłakałem sobie po cichu i tak, żeby nikt nie widział, a przyczyną płaczu był pierwszy list mamuśki, o którym pisałem, a nie ciężkie warunki obozowe. do bicia tak już się przyzwyczaiłem, że też już żadnego na mnie nie robiło wrażenia. Trochę bólu i nic więcej. Przekonałem się, że do bólu człowiek może się też przyzwyczaić i wtedy przestaje bać się bicia. Tak było ze mną. Bicia nie bałem się wcale. Pilnowałem się tylko, żeby nie dać się złapać na wykroczeniu, za które mogli zabić. za pewne wykroczenia bili, za inne zabijali – lecz mogli zabić nie tylko z błahego powodu, ale i bez powodu. Zależało od tego, kto uderzył, czym uderzył i w co uderzył. Dlatego uważałem, żeby mnie nie przyłapano na większych wykroczeniach. Ta metoda była dobra w Dachau.

W Mauthausen szybko przekonałem się, że można być bardzo zbitym lub nawet zabitym bez żadnego wykroczenia, a nieraz duże wykroczenia uchodziły bezkarnie. Ścisłą regułą było tylko wykańczanie tych, których schwytano na kradzieży chleba innym więźniom.

Teraz więc, gdy znaleźliśmy się na placu apelowym, żadnego wrażenia nie robiły na mnie dzikie wrzaski esesmanów. Niech sobie wrzeszczą, myślałem sobie, aż im pępki popękają. Mnie to nie wzrusza, byleby tylko który pies mnie nie dosięgnął albo żebym nie

dostał bykowcem po głowie. Wyobrażam sobie jednak, jak pogłupieli ci, którzy w Dachau byli na blokach dla niepracujących i którzy albo gimnastykowali się na placu, albo śpiewali piosenki – a tu od razu wpadli w takie piekło. Ja przynajmniej przeszedłem już przedpiekle w karnej kompanii i to przywitanie nas uważałem za nowy numer w tym samym teatrze.

Na placu apelowym obliczono nas, podzielono na dwie części i zaprowadzono na bloki czternasty i piętnasty. Trafiłem na blok czternasty. Były to puste bloki bez łóżek. Podłogi były pokryte słomą, rozsypaną tak, jak ściele się bydłu. Otrzymaliśmy po misce zupy – i spać. Każdy kładł się tak, jak stał, w ubraniu, i gdzie chciał. W bloku odszukaliśmy się z Heńkiem B. Poradziłem mu, żebyśmy szybko zjedli i poszukali sobie dobrego miejsca do spania – najlepiej w rogu sali, pod ścianą, bo wtedy nie będą po nas chodzili ci, którzy będą musieli w nocy wychodzić do ubikacji. Po ułożeniu się na słomie okazało się, że jest jeszcze spora grupa więźniów, dla których zabrakło miejsca. Zaciekawiło mnie, gdzie też położą ich spać. Czy przypadkiem nie lepiej było być w tej grupie, bo miałbym wygodniejsze spanie? Ale nie doceniłem naszych możliwości. Przyszli do nas sztubowi, blokowy i zaczęli nas dociskać nogami. Wszyscy położyli się na tym samym boku i okazało się, że miejsca starczyło dla wszystkich. W nocy tylko słychać było przekleństwa i wymyślania pod adresem tych, którzy musieli wyjść do ustępu. Deptali oni wtedy po leżących, a ci dla odmiany klęli. Reszta jednak spała twardym, ciężkim snem po zmęczeniu i przeżyciach tego dnia.

Następnego dnia rano wyprowadzono nas na plac apelowy. na środku ustawiono stół, za którym siedzieli esesmani, a obok nich uwijali się więźniowie funkcyjni. Łatwo było poznać, że to obozowa arystokracja, po czystych, ładnie skrojonych pasiastych ubraniach i wypasionych mordach. Więźniów kolejno wywoływano według alfabetu. Wywołany więzień podbiegał szybko ze zdjętą czapką do stołu i stawał wyprężony na baczność, a esesmani ruchem ręki kierowali go na jedną lub drugą stronę. Zauważyłem, że po jednej stronie ustawiają się ludzie młodzi i zdrowi, po drugiej stronie starzy i wycieńczeni. Ja znalazłem się w grupie zdrowych, młodych ludzi. Po zakończeniu segregacji grupę drugą od razu ustawiono w setki

i wyprowadzono za bramę. Dowiedzieliśmy się, że do Gusen, w którym są jeszcze gorsze warunki niż w Mauthausen, bo obóz ten jest dopiero w budowie i ludzie żyją tam w bardzo prymitywnych i antysanitarnych warunkach.

Nas zaprowadzono na bloki i wydano obiad. Po obiedzie blokowy zapowiedział nam, żeby nikt nawet na chwilę nie oddalał się od bloku. Kilka minut pokręciłem się przed blokiem. Przyszli tam więźniowie z innych bloków rozejrzeć się, czy nie spotkają znajomych. Zapytałem się jednego z nich, na którym bloku są warszawiacy. Wymienił kilka bloków. Powiedział mi też, że dużo ludzi z Warszawy jest na bloku trzynastym, sąsiadującym z blokiem, na którym chwilowo się znajdowałem. Poszedłem ze swym informatorem na blok trzynasty. Wlazłem na sztubę B, na której zapoznał mnie on z kilkoma więźniami z Warszawy. Zauważyłem, że jeden z mieszkańców bloku bawi się mandoliną, na której od czasu do czasu pobrzęczy. Widać było, że nie umie na niej grać. Ja już wtedy na mandolinie grałem koncertowo. Grałem od czternastego roku życia, a od szesnastego zawsze w zespołach. Poprosiłem o mandolinę i zagrałem im kilka typowo warszawskich piosenek, jak *U cioci na imieninach*, *Fredzio*, *A u mnie siup!*, i jeszcze kilka humorystycznych melodii.

Wszyscy na sztubie okrążyli mnie, z ciekawością i zadowoleniem słuchając nieznanych im andrusowskich, „szemranych" piosenek. Postał przy mnie też sztubowy – jak się dopiero później dowiedziałem. Dzień ten to była sobota czy też niedziela, bo wszyscy więźniowie byli na bloku, a w roku 1940 pracowało się w soboty tylko do południa, a niedziele były wolne od pracy.

Tak mi tam było wesoło i przyjemnie, że zapomniałem o swoim bloku i o tym, że kazano nam się nie oddalać. Grałem tam blisko godzinę. Wreszcie obiecałem chłopakom, że jeszcze do nich przyjdę, i poszedłem na swój czternasty blok.

Gdy wyszedłem zza rogu trzynastego bloku – zgłupiałem. Przed blokiem było zupełnie pusto, nie licząc maleńkiej grupki więźniów stojących przed wejściem do bloku. Gdy podchodziłem do tej grupki ludzi, wyszedł naprzeciw mnie blokowy i ze słowami „jest nareszcie ten polski pies" zaczęło się bicie. Nie było to zwykłe walenie po

twarzy. Blokowy z wściekłości chciał mnie najwyraźniej w świecie uśmiercić. Przewalił mnie na ziemię i pięściami bił tylko wtedy, gdy się podnosiłem na nogi, żeby mnie z powrotem zwalić z nóg, a gdy leżałem, kopał mnie i starał się skoczyć mi nogami na piersi. Wyglądało to w ten sposób, że gdy już upadłem, wtedy blokowy, bijąc i kopiąc, układał mnie w pozycji wygodnej dla wykonania skoku na piersi. Gdy leżałem na wznak lub na boku, wtedy starał się przytrzymać mnie chwilę w tej pozycji, a sam podrywał się cały od ziemi i skakał na mnie z góry obydwiema nogami. Tym razem w ratowaniu się pomagały mi moje wysportowanie i orientacja nabyta przez dwa lata trenowania zapaśnictwa oraz rutyna nabyta w dość częstych bijatykach, jakie od dziecka uprawiałem, chowając się do wojny na Czerniakowie. Dużą rolę w mojej obronie – bo była to tylko obrona – odegrało to, że nie byłem jeszcze wycieńczony i miałem siłę szybko się obracać. za każdym jego podskokiem robiłem raptowny obrót ciała i spadał on nogami albo na ziemię, albo też tylko ześlizgiwał się po mnie. Ja zaś po każdym takim obrocie podrywałem się szybko na nogi i… od nowa to samo – bicie, zwalenie z nóg, kopanie, skok, unik i znów na nogi. Spostrzegłem, że wcale nie miałem uczucia strachu. Może dlatego, że całą energię fizyczną i umysłową skierowałem na swoją obronę. Okropne uczucie bronić się przed atakującą wszą, którą można zgnieść, lecz nie wolno tego zrobić, **a czułem się na siłach brać się za niego. Jestem pewien, że gdybym był na równych z nim prawach i też mógł bić, to biedny on byłby wtedy w moich rękach. Wiedziałem jednak, że gdybym raz jeden tylko uderzył go, byłby to wyrok śmierci na mnie – a ja zwyczajnym samobójcą.**

W pewnym momencie przez okno trzynastego bloku wyskoczył mały, szczupły człowiek, który dopadł do nas i ostrym, szczekającym głosem zaczął wymyślać coś blokowemu, który mnie bił. Ja stanąłem z boku. Blokowy chciał się do mnie dorwać, lecz ten zasłonił mnie i stanął do niego w bojowej postawie. Był to ten sam sztubowy, który przed kilkoma minutami z takim zadowoleniem słuchał mojego grania na mandolinie. Wreszcie blokowy machnął ręką i poszedł, a sztubowy z trzynastego bloku wszystkich stojących przed blokiem zabrał na swój blok. Było nas razem dziesięciu. Gdy przyszliśmy

przed blok trzynasty – pięciu skierowano na sztubę A, a innych pięciu wraz ze mną na sztubę B. Czysty przypadek sprawił, że w tej dziesiątce był też Heniek B. – lecz on został skierowany na sztubę A.

Blokowy bloku czternastego chciał mnie utłuc dlatego, że w tym czasie, gdy ja grałem na bloku trzynastym, rozdzielano po wszystkich blokach ludzi z naszego transportu. Rozdzielono wszystkich, tylko grupa ostatnich dziesięciu nie mogła być odstawiona, bo jednego brakowało – mnie. A ja w tym czasie byłem właśnie na tym samym bloku i tej samej sztubie, na którą zostałem przydzielony. Numer dostałem 1008 – po zmarłym.

Gdy wprowadzono nas na sztubę B, w sieni stał wysoki młody chłopak, który zapytał:

– Czy jest ktoś z Warszawy?

– Ja jestem – odpowiedziałem.

Podał mi rękę, mówiąc, że jest Stefan Krukowski, z Żoliborza.

– A ja Grzesiuk Stasiek, z Czerniakowa.

W ten sposób poznałem się ze Stefkiem, który był dla mnie największym przyjacielem, jakiego miałem w życiu; nie potrafię nigdy myśleć o nim bez wzruszenia i uczucia serdeczności. Stefan od razu się mną zaopiekował. Poznał mnie z drugim kolegą – też Stefanem. Ten Stefan Kęszycki przebywał z nim w obozie od chwili ich aresztowania w kawiarni „Bodega” w Warszawie. Porozumiał się z kimś w sprawie przydzielenia mi lepszego łóżka, gdzieś blisko jego łóżka. Zapytał mnie, czy na bloku czternastym otrzymałem kolację, a gdy mu powiedziałem, że nie, bo mnie w tym czasie nie było, powiedział to sztubowemu. Ten wyskoczył przez okno, a za chwilę znów przez okno wskoczył do izby i podał mi moją kolacyjną porcję chleba i kiełbasy. No, myślę sobie, jak do chwili obecnej wszystko klawo. Blokowy czternastego bloku, mimo jego najszczerszych chęci, żadnej krzywdy mi nie zrobił, a kilka kopnięć i uderzeń, które czułem, było tylko bolesnych, ale w sobie nic przetrąconego nie miałem.

Bloki w Mauthausen były tak samo urządzone jak w Dachau, to znaczy że każda sztuba dzieliła się na jadalnię i sypialnię. Ustęp i umywalnia w bloku, na łóżkach pościel. No i szafki w jadalni – jedna szafka na trzech. Różnice były tylko takie, że baraki były niskie, łóżka drewniane i jednopiętrowe, gdy w Dachau były żelazne i trzypiętrowe. Sienniki w Dachau były twarde, nabite i nikt ich nigdy nie wzruszał, tu sienniki były miękkie, słomy w nich było tylko trochę, a musiały być wysoko nastroszone i niedopuszczalne było, żeby na posłaniu było najmniejsze wgłębienie. Gdy spojrzało się na całą salę, wszystkie sienniki musiały być na jednym poziomie, idealnie równo. Precyzja. Kto źle posłał łóżko, był bity, a wieczorem albo w sobotę po południu lub w niedzielę, to znaczy w czasie wolnym od pracy, robiono nam karne ścielenie łóżek – które trwało nieraz kilka godzin. Po idealnym posłaniu wchodził sztubowy Karl – ten, który mnie obronił przed blokowym z czternastego bloku – sprawdził, zbił tych, którzy mieli źle posłane, porozwalał wszystkie łóżka i znów od nowa – nieraz i kilkanaście razy, zanim wreszcie pozwolił nam wyjść z sypialni.

Karl było to niesamowicie złośliwe bydlę – z czerwonym winklem, niby komunista. Miał w ustach tylko dwa zęby, a i te ruszały się. Opowiadał, że zęby wybili mu w Gestapo. Miał on w stosunku do nas taką metodę, że jak było ciepło, to całą niedzielę trzymał nas w bloku i nikomu nie było wolno nawet na chwilę wyjść z baraku, a jak był mróz lub deszcz, to znów wypędzał nas z baraku zaraz po śniadaniu, a wpuszczał na obiad po to, żeby po obiedzie znów wygnać, a w baraku pozostawaliśmy dopiero po wieczornym apelu i kolacji. Często cały dzień, gdy padał deszcz, staliśmy wokół baraku, spłaszczeni przy ścianie, a tuż przed nosem lała się woda z dachu i nogi były mokre. na inne bloki nie wolno było wchodzić, bo jeśli blokowy, sztubowy albo który z kapów rozpoznał kogoś obcego na swoim bloku, to już taki na pewno dostawał dobre lanie, żeby w ten sposób odstraszyć innych.

Gdy byliśmy zamknięci w bloku, to już nic nie mogłem poradzić, ale gdy Karl wygnał nas na deszcz czy mróz – tu z pomocą przychodziła mi moja umiejętność gry na mandolinie i znajomość atrakcyjnego

repertuaru. Sztubowy na sztubie A nie był takim wariatem jak nasz Karl, a i blokowy też nie był najgorszy.

Lecz ze sztuby B na A nie wolno było chodzić.

Mandolina była własnością blokowego, lecz opiekował się nią jeden młody Ślązak, strasznie zarozumiały i ważny smarkacz, który wobec mnie szybko przejawił swoją niechęć jako do warszawiaka i tylko interwencja kolegów z Warszawy, którzy mieszkali w sztubie B, między innymi Heńka Kowalczyka, z którym ja żyłem w zgodzie, przeszkodziła nam załatwić nasz spór ręcznie. Ważność jego wypływała ze świadomości tego, że jest pupilkiem blokowego, więc z tego tytułu może pozwolić sobie na ważność i bezkarne nawet bicie innych, bo przecież nikt nie chce narazić się blokowemu, który na bloku jest panem życia i śmierci wszystkich więźniów.

Gdy Karl wyganiał nas na dwór, starałem się porozumieć z chłopakami ze sztuby A, a ci w porozumieniu z blokowym wpuszczali mnie na sztubę, żeby im pograć. Zawsze ciągnąłem za sobą Stefka Krukowskiego, żeby i on nie musiał sterczeć pod okapem bloku na zimnie. Często po graniu chłopaki dali mi miskę obiadowej zupy albo kawałek chleba. Jedzeniem tym zawsze dzieliłem się ze Stefkiem dokładnie na pół. W zimie, jeśli w niedzielę Karl nie wyganiał nas z baraku, to kazał nam uczyć się słania łóżek w ten sposób, że słaliśmy bez czapek i bez marynarek, gdy on w tym czasie powyjmował w sypialni wszystkie okna. W ten sposób w sypialni był taki sam mróz jak na dworze, a my nieraz i kilka godzin kręciliśmy się tak rozebrani przy słaniu łóżek, ścieląc je bez przerwy zgrabiałymi z zimna palcami i tupiąc zmarzniętymi nogami.

Stefan wprowadzał mnie w życie obozowe Mauthausen, które w wielu wypadkach całkowicie różniło się od życia w Dachau. W soboty po południu, w czasie wolnym od pracy, nie robiono nam żadnych karnych ćwiczeń, bo czas ten był poświęcony na robienie porządków, czyszczenie szafek, łatanie podartego ubrania, przyszywanie guzików, numerków i winkli, golenie twarzy i głów wszystkich więźniów. W niedzielę, w czasie rannego apelu, blokowi, sztubowi i kapowie sprawdzali czystość i porządek i jeśli ktoś podpadł, że miał podarte ubranie, nieogoloną głowę lub twarz albo źle przyszyty numer – otrzymywał bicie, które często było przyczyną

śmierci. Taki zbity i skopany człowiek umierał po kilku dniach, bo jeśli na bloku dostał dobre bicie, odbierało mu ono pełną sprawność i orientację przy pracy. Wtedy łatwo podpadał w pracy i znów był bity za słabą pracę. A gdy już nie miał siły zejść z łóżka – rozbierano go do naga i wyrzucano do ubikacji lub umywalni i tam dopiero umierał – leżąc nieraz jeszcze dwa albo trzy dni.

Dowiedziałem się również od Stefana o podziale ludzi na sztubie, na lepszych i gorszych. Gorsi – to ta normalna, szara masa więźniów, wiecznie głodnych, bez przerwy bitych, walczących o to, by zdobyć dodatkowo źdźbło jedzenia, uniknąć bicia, wymigać się od ciężkiej pracy; to ci, którzy wstając rano, nie wiedzą, czy wieczorem jeszcze żyć będą.

Lepsi – to blokowy, sztubowi, pisarz blokowy, kapowie i fryzjer blokowy, do którego obowiązków należy golenie wszystkich poprzednio wymienionych. Ci, których tu wymieniłem, brali dla siebie tyle misek zupy, ile było im potrzeba. Zupę tę mogli niektórzy kupować za wieczorne porcje kiełbasy lub margaryny. Sami oni po zupę nie podchodzili. Brali za nich ich służący, należący do następnej grupy uprzywilejowanych. Gdy był lepszy obiad – makaron lub kasza – podchodzili oni kilkakrotnie, mając po dwie miski w rękach, i zawsze na koniec kotła, gdy już wydawane było gęste jedzenie. Bo jak było lepsze żarcie, to Karl prawie wcale nie mieszał w kotle i nabierał chochlą z wierzchu. Cała sfora wybrańców losu czekała, mając po dwie miski w garściach. Gdy zbliżał się koniec kotła, dawał znak i wtedy wszyscy ci podchodzili poza kolejką po jedzenie. Gdy jedzenie w kotle się skończyło, otwierano nowy kocioł, a ci wszyscy wybrańcy, którzy jeszcze nie wzięli lub czekali z następnymi miskami, stawali z boku i znów czekali na koniec następnego kotła; jedzenie z wierzchu kotła, rzadkie, często bez kawałka kartofla, brali ci, którzy stali w kolejce.

Dostawaliśmy wtedy nie więcej jak trzy czwarte litra zupy, a o dolewce nie było już mowy. Arystokraci bloku brali też dla siebie po całym garnuszku margaryny, marmolady i twarogu, które my dostawaliśmy jeden raz w tygodniu. Margaryny dostawaliśmy – z tego, co dla nas zostało – po kawałku wielkości pudełka zapałek, a marmolady i twarogu po pół, czasami trzy czwarte łyżki.

Drugą klasą uprzywilejowanych byli służący głównej arystokracji. Wszystkich dobrze sytuowanych, wyżartych i dobrze ubranych nazywano w obozie prominentami, a ludzi, którzy już ledwo chodzili z wyczerpania, ludzi załamanych fizycznie i psychicznie – muzułmanami. Więc władze blokowe i ich służba – to prominenci.

Prócz tych byli jeszcze młodzi chłopcy, którymi oni, to jest prominenci, opiekowali się i którzy w wyniku tej opieki też byli ładnie ubrani, umieszczani w lekkiej pracy i mieli jedzenia, ile tylko chcieli. W Mauthausen Stefek mówił mi, co on w tym podejrzewa. Spostrzeżenie to nasunęło mu się wtedy, gdy jak mi opowiadał, Karl zaczął dawać mu repety, następnie raz i drugi przy różnych okazjach zaczął go obmacywać. A że Stefek nie dał się macać – przestał mu repety dawać. Poza tym Stefan miał dwadzieścia trzy lata, sto osiemdziesiąt dwa centymetry wzrostu i był chudy, więc może małego wzrostu Karl doszedł do wniosku, że nie opłaci się dożywiać takiego drągala. W Gusen dopiero stała się dla mnie jasna sprawa homoseksualizmu w obozach i zrozumiałem wtedy wiele z tego, czego przedtem nie umiałem sobie nieraz wytłumaczyć.

Następną grupą ludzi, którzy otrzymywali dolewki śniadań i obiadów, byli fryzjerzy, którzy golili w sobotę wszystkich więźniów, ci, którzy sprzątali i szorowali sztubę, oraz ci, którzy mieli stałą funkcję noszenia z kuchni kotłów z jedzeniem i odnoszenia pustych kotłów na plac apelowy.

W odróżnieniu od Dachau tu na śniadanie zamiast czarnej kawy dawano nam garnuszek zupy gotowanej na kościach, z tym że dostawaliśmy nie więcej jak dwie trzecie garnczka.

Teraz opiszę, jak wyglądał przeciętny, normalny dzień na bloku.

Rano – dzwon dzwoni na placu apelowym na wstawanie i w tym samym momencie Karl od drzwi szczeka:

– Nosiciele jedzenia, wychodzić!

Ci pędzą tylko w koszulach za drzwi i biegnąc na plac apelowy, po drodze ubierają się. Karl po krzyknięciu: „Kostreger raus!”, zapala światło i jak małpa wskakuje na górne łóżka. Skacze z łóżka na łóżko

i wali kołkiem każdego, kto nie zdążył w chwili zapalenia światła zeskoczyć na podłogę. Następnie zeskakuje na dół i wali dalej, kogo popadnie. Gdy już sobie poszaleje, idzie do jadalni do swojego przegrodzonego kąta, w którym mieszkają władcy, ich służba i podopieczni, a my w sypialni bierzemy się do słania łóżek.

Najpierw ścielą ci, którzy śpią na górnych łóżkach, a ci z dolnych idą myć się do umywalni. Góra ściele pierwsza, bo ścieląc, łażą nogami po krawędzi dolnego łóżka, więc przeszkadzaliby tym z dołu i gnietliby łóżka. Precyzyjne składanie koców odbywa się w jadalni na stołach. Koc ładnie złożony i zwinięty rozciąga się na posłanym łóżku. Prześcieradło nie ma prawa mieć najmniejszego załamania, a siennik musi wystawać wysoko nad deski. Złożony koc rozkłada się na wierzchu i wygładza specjalnymi deskami. Żeby uniknąć bicia za źle posłane łóżko, należało zaopatrzyć się w dwie gładkie deski do prasowania i wygładzania podgłówka i łóżka. Sienniki i podgłówki musiały mieć jedną wysokość na całej linii łóżek.

Później każdy stawał obok swego łóżka, a Karl sprawdzał, jak są posłane. Co chwila słychać uderzenie kijem albo bicie po twarzy. Czy łóżka były posłane dobrze czy źle, to codziennie kilkunastu musiało na pierwsze śniadanie dostać bicie, a już zupełnie źle było z takim, którego łóżko naprawdę źle było posłane. Ten był zmaltretowany tak na cacy, a my wszyscy mieliśmy zagwarantowane, że wieczorem albo w niedzielę będzie słanie łóżek.

Po tej pierwszej porcji w jadalni odbywało się wydawanie rannej zupy. na początek do kotła podchodzili uprzywilejowani, którzy brali po całej misce zupy z samego wierzchu, to znaczy z tłuszczem, po nich braliśmy my, a po wydaniu wszystkim znów uprzywilejowani po jednej czy dwie miski. Jak ci już nabrali dosyć, wtedy Karl rozglądał się i poruszeniem palca wywoływał tych, którzy mu się podobali, i dawał im dolewkę. Więźniowie całej sztuby stali półkolem, wpatrzeni w Karla i kocioł, aż im oczy na wierzch wyłaziły. Gdy wzrok Karla spoczywał na którymś, ten uśmiechał się tak czule jak do kogoś bardzo kochanego, jednocześnie hipnotyzując go, żeby ten ruszył palcem. Wtedy wywołany wybiegał szybko i fasował małą chochelkę zupy dodatkowo. Przez pierwsze dni starałem się stać na przedzie, żeby łatwo wpadać w oczy, lecz szybko spostrzegłem, że to

nie ma żadnego znaczenia. Wybierał on powoli i z namysłem – a każdemu ślina napływała do ust i całym sobą pragnął, by on był tym, którego palcem przywoła sztubowy.

Wywołany byłem po dolewkę zaledwie kilka razy – Stefan dostawał częściej, ale bez względu na to, który z nas otrzymał dolewkę, każdą jedliśmy wspólnie. Dolewki te przeważnie były właściwym jedzeniem Stefana, bo gdy wyszły mu papierosy otrzymane na kantynę, z zasady sprzedawał swoją ranną zupę za papierosy; otrzymywał za nią cenę obozową, kształtującą się według ilości papierosów w obozie. Czasem dostał dwa papierosy, nieraz jednego, lecz przeważnie pół papierosa – i to było jego śniadanie, o ile nie otrzymaliśmy dolewki, z której połykał kilka łyków. Stefek twierdził, że te pół garnczka gorącego płynu i tak nic mu nie da, a zapalić rano musi. Ja w tym czasie nie miałem tych kłopotów, bo papierosów nie paliłem wcale. Tłumaczenie moje, że każdy łyk każdego jedzenia ma tu swoje znaczenie, nie odnosiło żadnego skutku, więc w końcu przestałem go przekonywać. Przy wydawaniu repety staliśmy zawsze z tyłu, udając, że małą uwagę zwracamy na dolewki. A jednak nieraz elektryzowało nas szczeknięcie Karla: „Sztefeki". To znaczy dolewka jest i Stefek wypije chociaż kilka łyków czegoś gorącego. On starał się podzielić to równo na pół, a ja chciałem, żeby on wypił sam albo żeby mnie dał tylko troszeczkę dla formy – symbolicznie – bo wiedziałem przecież, że swoją porcję już wypalił.

Po śniadaniu – mycie garnczków, szybkie robienie porządku w szafce, bo za krzywo zawieszony ręcznik w szafce też można było solidnie oberwać, i jazda przed barak, bez względu na pogodę. W tym czasie odbywało się zamiatanie i szorowanie podłóg w jadalni i sypialni, a na ostatku w łazience, ubikacji i sieni. Jeśli Karl był w dobrym humorze, to czasem – ale to zdarzało się nieczęsto – jeśli był duży deszcz, pozwalał nam poczekać w baraku do czasu, aż przyjdzie kolej na sprzątanie tych pomieszczeń. Przeważnie jednak wyganiano nas z baraku na najgorszą nawet pogodę. Pół godziny przed rannym apelem już robiono nam zbiórkę przed barakiem, skąd już ustawieni w dziesiątki szliśmy na plac apelowy.

Na apelu rannym zawsze oberwało się kilka uderzeń w kark lub w plecy, bo wszyscy funkcyjni bez przerwy kręcili się między

szeregami i równali nas do innych bloków, żeby wszystkie rzędy były równo ustawione na całej długości placu apelowego. W mordę to się nie dostawało; jak ktoś dostał, to był przypadek albo facet wystawił łeb za daleko przed siebie i psuł szyk szeregu. Bo szeregi równali według pleców, więc chodząc między szeregami, bili z tyłu po głowie, karku lub plecach.

Gdy już się wszyscy dosyć nakrzyczeli i nas naszturchali – odzywał się ryk za plecami, ryk potężniejszy od wrzasku kilku innych krzykaczy. To lagereltester – olbrzymie, potężne bydlę – wykańczał równanie. Pędził wzdłuż każdego prawie szeregu i bębnił po plecach wszystkich. Rozepchnął szeregi, pokotłował, pokręcił i poleciał dalej, by za chwilę wypłynąć w innym szeregu lub w blokach po przeciwnej stronie placu apelowego. A u nas od nowa zaczynało się wyrównywanie przy pomocy pięści naszych władz blokowych.

Tu nie było mądrych. Starszy obozu jak wpadł, to już walił wszystkich i kto dostał, a kto nie, zależało tylko od tego, jakimi drogami tego dnia to bydlę latało. Jak posłyszałem jego ryk za plecami, to mi na grzbiecie cierpła skóra i spokojnie, sprężony w sobie, żeby przygotowanym przyjąć uderzenie, czekałem na cios. Czasem dostałem, innym razem wpadał na mnie ten, który stał za mną; znaczyło to, że niosło go w szeregu z tyłu za mną i tamci dostawali łomot.

Po apelu – rozkaz: „Ustawiać się grupami roboczymi”, po którym następował wielki bałagan, bo każdy pędził do swojej grupy, by być tam jako jeden z pierwszych. Następowało błyskawiczne przemieszanie. W czym tkwiła tajemnica, że ludzie jak szaleni pędzili do swych grup roboczych?

Były prace bardzo dobre, dobre, nie bardzo dobre, niedobre i bardzo niedobre. Prace bardzo dobre i dobre to przeważnie małe, stałe grupy i nikt nowy tam wstępu nie miał. Tam się nie spieszyli, bo wiedzieli, że nikt inny miejsca nie zajmie. Inne prace nie miały stałego przydziału ludzi, więc jak ktoś trafił do paskudnej pracy, starał się jak najszybciej od niej uciec. Więc po przepracowaniu pół czy całego dnia następnego dnia ustawiał się do innej grupy. W ten sposób, jeśli była trochę lepsza robota, w której byli lepsi kapowie, ustawiało się więcej ludzi, niż im było potrzeba. Jeśli potrzebowali

trzystu osób, a ustawiło się pięćset dwadzieścia, wtedy kapowie, którzy mieli za mało ludzi, odcinali od tamtych grup tylu, ilu im było potrzeba, i przyłączali do swojej grupy.

I to już było najgorsze. Bo ci, którzy się tam sami ustawili, to nie byli głupcy, którzy nie wiedzieli, do jakiej pracy idą, lecz tacy, którzy w tej grupie mieli jakieś stałe funkcje, jak: zastępcy kapów, którzy dozorowali małe grupy ludzi, magazynier narzędzi, służący kapo czy też potrzebni fachowcy. Ci, których dołączono, przeznaczeni byli do najgorszych, najcięższych prac i to był ten podstawowy materiał ludzki przeznaczony do wyniszczenia w obozach. Dlatego na rozkaz: „Ustawiać się grupami roboczymi!", pędziłem zawsze tak, by ustawić się w czołówce swojej grupy roboczej, by mnie nie odcięto do innej grupy. Bo w tej grupie już znałem pracę i możliwości uchylania się od niej, czyli markieracji. A jak mnie odcięli, to nigdy nie można było wiedzieć, do jakiej roboty się trafi i czy podczas najbliższego apelu nie będzie się jednym z tych, których inni przynoszą na ramionach do obozu w charakterze nieboszczyków. Każdego dnia i na każdy apel przynoszono ich sporą ilość, odbywali swój ostatni apel w pozycji leżącej i nic ich już nie obchodziły krzyki i bicie związane ściśle z apelem.

W południe przychodziliśmy do obozu na obiad. Odbywał się wtedy apel południowy, taki sam jak rano i wieczorem. Apele niczym się od siebie nie różniły. Ustawianie, bicie i krzyk – chwila ciszy – to esesmani liczą. „Czapki zdjąć!" – to już raportfirer składa raport komendantowi. „Czapki włożyć! na boki odmaszerować!".

Wydawanie obiadu odbywało się w taki sam sposób jak śniadania. Pierwsi podchodzili z miskami uprzywilejowani, następnie my; jeśli był lepszy obiad, uprzywilejowani podchodzili dopiero pod koniec każdego kotła. Po rozdaniu obiadu uprzywilejowani brali jeszcze po kilka misek – i znów Karl palcem przywoływał do siebie tych, których chciał obdzielić dolewką, i znów, jeśli ja lub Stefek dostaliśmy dolewkę, zjadaliśmy ją wspólnie.

Przypomniał mi się tu system wydawania obiadów w Dachau na wolnych blokach, gdzie rozdawali obiad więźniowie wybierani przez ogół, a dokładki były wydawane według kolejności szafek. Miało to na celu sprawiedliwy podział jedzenia. Trzeciego chyba dnia mojego

pobytu w Dachau ogół więźniów zażądał od blokowego zmiany rozdzielających jedzenie, ponieważ wydawało im się, że dają oni większe porcje kartofli swoim kolegom z tej samej, co oni, miejscowości. Chciałbym ich teraz zobaczyć – ciekawe, co by mówili na istniejące tutaj zwyczaje.

Po obiedzie myliśmy miski i jazda znów z bloku na świeże powietrze. Jeśli nie było deszczu, wychodziliśmy na plac apelowy, by na rozkaz ustawić się do swoich grup roboczych i znów iść do pracy, do wieczora. Wieczorem normalny apel.

Po apelu często uczono nas na placu apelowym zdejmowania i zakładania czapek. Machaliśmy więc czapkami pół godziny, innym razem godzinę, a nieraz i dwie godziny. Chodziło o to, by na rozkaz: „Czapki zdjąć!", usłyszeć można było jednoczesny stuk czapek o nogę, a na rozkaz: „Czapki włożyć!" – jeden ruch wkładania i równoczesne uderzenie ręką w spodnie przy opuszczaniu ręki. Właściwym jednak celem tych ćwiczeń była chęć umordowania nas po całym dniu przeżytym w ciężkiej pracy, pełnym nerwowego napięcia, bicia i głodu. Zrozumiałem od razu ten cel, dlatego nigdy nie przywiązywałem najmniejszej wagi do dokładnego wykonywania tych ruchów, bo wiedziałem, że czy będę robił dobrze czy źle, będę ćwiczył i tak tyle czasu, ile na to przewidziano tego dnia.

Gdy po wieczornym apelu przychodziliśmy na blok, otrzymywaliśmy kolację, swoją porcję chleba i dodatek – kawałeczek kiełbasy, margaryny, twarogu lub marmolady. Chleb był już pokrojony, ułożony na stole przy wejściu. Po otrzymaniu chleba wydawana była czarna, niesłodzona kawa – mała chochelka do garnczka. Kawy otrzymywaliśmy więcej niż rannej zupy, bo do kawy nie było amatorów na dolewkę, a i uprzywilejowani też nie pchali się z dwiema miskami. Kolację spożywano w ciszy i namaszczeniu. Żadna chyba dewotka w takim skupieniu nie myśli o Bogu, odmawiając modlitwy, jak my o chlebie, który jedliśmy. Większość rozkładała na kolanach lub stołach ściereczki do wycierania naczyń, na nich chusteczki, a na chusteczkach dopiero chleb. Chodziło o to, żeby nie stracić najmniejszej okruszyny. Po zjedzeniu chleba zbierało się na środek serwetki okruchy. Było ich bardzo mało, lecz każdemu wydawało się, że poniósłby wielką stratę, gdyby te okruszyny spadły

na podłogę i nie można byłoby ich podnieść. Ludzie różnie jedli. Jedni, tak jak ja i Stefek, jedli całą porcję. Nie kroiliśmy go na małe porcje, a jedliśmy w całości, tak jak był, i przyjemnością było gryzienie dużego kawałka chleba. Inni kroili chleb na cieniusieńkie plasterki, bawili się nim, układali na kupki, jedli pomaleńku, a część zostawiali na następny dzień, na śniadanie; a niektórzy – ale tych to już było naprawdę mało – nawet do obiadu. Ja wolałem zjadać swój cały chleb na kolację. Bo jeśli byłem głodny przez cały dzień, to wiedziałem, że nie mam co jeść. Nie potrafiłem, będąc głodny, nosić chleba w kieszeni. Cały dzień byłem głodny, a wieczorem, po zjedzeniu swej porcji, też byłem głodny, ale wiedziałem też, że nie mam co jeść i nie mam kłopotu z pilnowaniem chleba, żeby mi go kto nie ukradł.

Bo mimo że złapany złodziej chleba był w okropny sposób wykańczany i musiał umrzeć, to jednak kradzieże chleba zdarzały się często. Kradziono chleb tym, którzy go mieli więcej, niż potrzebowali, to znaczy uprzywilejowanym, lub tym, którzy pieścili się z chlebem i w dzień, i w nocy, a jak taki usnął, to mu inny chleb wyciągnął – i nie ma chleba. Rano krzyk, raban – ukradli chleb – ale to już nic nie pomogło, bo z chleba nawet okruszyny już nie było. Ten, który ryzykował życie, żeby ukraść kawałek chleba, gotów był jeść go całą noc w łóżku pod kocem, by rano nie było żadnego śladu.

Po kolacji sztubowy łaskawie zezwalał na wejście do sypialni. Był to znak, że wieczór ten będzie spokojny i że można już kłaść się do łóżek. Często jednak przed kolacją odbywała się przed blokiem nauka zdejmowania i wkładania na rozkaz czapek albo na bloku nauka słania łóżek lub czyszczenia szafek. Czasem robiono nam to dopiero po kolacji. **Jeśli już zjedliśmy kolację, to nie było zmartwienia o chleb, lecz jeśli chleb nie był jeszcze zjedzony, to kłopot był, co z nim zrobić. Ja jadłem chleb zawsze od razu, jak dostałem tylko do rąk. Zanim doszedłem do szafki po garnczek, już porcja kiełbasy była zjedzona. Pchałem ją po prostu całą w usta i wiedziałem, że mam smak kiełbasy w ustach. Brałem kawę i... za jedzenie. Jeśli po wydaniu kolacji strzeliło Karlowi do głowy przećwiczyć nas, ja przeważnie już chleba nie miałem albo miałem jeszcze mały kawałek, który zawijałem w serwetkę i pakowałem do kieszeni**. Decyzja ćwiczeń zawsze zapadała

raptownie. Karl odrywał się od stołu, łapał za kij i wpędzał nas do sypialni, waląc tych z tyłu lagą. Przegrani wtedy byli ci, co tak pieścili się z jedzeniem, bo tacy dopiero szykowali sobie cieniusieńkie kanapki z chleba i tego ździebełka kiełbasy, które otrzymywaliśmy.

Jak Karl za kij – to ja chleb w serwetkę, na której leżał, w kieszeń i kołowałem tak, żeby być jeszcze z dala od niego i jego kija. Jak on pędził kijem tych przy stole, to ja wtedy do sypialni – a ci z tyłu zawsze oberwali nieźle kijem po głowach i plecach.

Gdy wreszcie przyszedł czas spania, ubrania ułożone w kostkę kładliśmy pod łóżka i spać. Nigdy nie usypialiśmy od razu. Po zgaszeniu świateł rozpoczynała się ogólna rozmowa o charakterze informacyjnym. Każdy podawał do ogólnej wiadomości to, co usłyszał w dzień. Były więc różne fantastyczne wiadomości. Najważniejsze problemy, które poruszano prawie codziennie, to sprawa podwyższenia naszych racji żywnościowych: że zupy będzie, ile kto zjeść będzie mógł, i po pół bochenka chleba. Drugim takim samym ważnym i stale omawianym problemem była sprawa zwolnień do domów. Mówiono, kogo, kiedy i w jakiej kolejności będą zwalniali, że już przygotowują papiery do wyjazdu, że na Boże Narodzenie wszyscy będą w domu. Trzeci problem – to wiadomości z teatru wojennego. Z Niemcami na wiosnę – klops. Anglia, Ameryka – na pewno tuż. Armia polska – potęga, Sikorski. Rewolucja w Niemczech, tak jak w roku 1918, jednym słowem – na pewno, mur, szkoda każdego słowa. Wiadomości zasłyszane od esesmanów, majstrów cywilnych, powiedziane do zaufanych więźniów, ci przekazują dalej, aż doszło to i do nas.

Nie wierzyłem w to gadanie, lecz słuchałem jednak z przyjemnością, tak jak słucha się ładnej i przyjemnej dla ucha bajki. Wie człowiek, że to nie może być prawdą, a jednak z przyjemnością słucha i myśli sobie, że może jednak w tej bajce jest jakiś maleńki procent prawdy, bo chyba niemożliwe, żeby wszystko to było zmyślone. Nasze „wiadomości wieczorne” miały też swój cel. Podtrzymywały ludzi na duchu. Mobilizowały do walki o życie. Nie pozwalały załamywać się ludziom. Trzymaj się, nie dawaj się, walcz o zdobycie jedzenia, walcz o to, by nie przemęczać się ciężką i wyczerpującą pracą, bo każdy wysiłek to wydatkowanie energii, to

strata łyżki zupy lub kawałka chleba. Będą zwalniać i musisz wytrwać. Jeśli nie zwolnią ciebie, to na wiosnę musi być koniec wojny – Niemcy przegrają i będziesz wolny, lecz do wiosny musisz wytrwać. Nie wolno umierać, jeśli niedługo wolność.

„Wiadomości" nasze były czasem przerywane nowym wyskokiem Karla. Wchodził on cicho do sypialni, zapalał światła i waląc kijem, wypędzał nas z łóżek. Szczególnie bił tych, którzy zaraz nie wyskoczyli. Robił to zawsze z wielkim szumem i wrzaskiem, drąc się tym swoim znienawidzonym przez nas, szczekającym głosem. Więc wypędzał nas z łóżek i sprawdzał, czy który nie ma na sobie kalesonów lub swetra pod koszulą, i biedny był ten, który został złapany w kalesonach. Bicie, prawie do zabicia. Chodziło o to, że spanie w kalesonach uważane było za przygotowywanie się do ucieczki i gdyby taką kontrolę zrobił esesman i kogoś złapał, cały blok miałby karne ćwiczenia, bicie, a sztubowy podpadłby, że nie pilnuje porządku na swojej sztubie. To też był tylko jeszcze jeden sposób umęczenia, bo nikt z nich nie wierzył w to, że ten, który śpi w kalesonach lub w swetrze, ma zamiar uciekać w nocy przez naelektryzowane druty i linię posterunków.

Gdy już przyszła zima, a z nią mrozy, zawsze spałem w swetrze i kalesonach, ale nie zakładałem ich wieczorem, tylko dopiero późno w nocy, gdy wiedziałem, że już nie będzie kontroli, którą robiono najpóźniej w godzinę po zgaszeniu świateł. Gdy była kontrola – nie wiem, jak to robili inni – lecz ja wtedy już na pewniaka zakładałem sweter i kalesony, bo nigdy nie było tak, by po jednej kontroli tego samego dnia była druga. Stefan robił tak samo jak ja. Nasze postępowanie było zawsze uzgodnione. Widziałem jednak, że po kontroli i zmasakrowaniu kogoś przyłapanego na „przestępstwie" inni byli bardzo wystraszeni, i przypuszczam, że strach przed biciem był dla nich zbyt wielki, żeby ryzykować ubieranie się w nocy.

Dlaczego my ryzykowaliśmy? Dlatego, że ta małpa złośliwa – Karl – gdy przyszły duże mrozy, wyjmował na noc okna i zabierał do swojej kapówki. Wiedział, że gdyby kazał tylko otworzyć okna, to w nocy – byśmy zamykali, a jak zabrał do siebie, to był pewien, że będziemy marzli. Uczciwie robił tylko to, że jednego dnia wyjmował okna po jednej stronie, a drugiego po przeciwnej. na zmianę. Dbał o nasze

zdrowie, żeby w nocy oddychać czystym powietrzem. Ale tam, gdzie spał on i jego sfora, było ciepło i okna były zamknięte, bo oni swoje ogrodzone kąty mieli w jadalni, oddzieleni ścianą od muzułmanów. Lepsza sfera.

I pomyśleć, że tak potrafił nas umęczyć jeden tylko człowiek, mały, szczupły, bez zębów, z czerwonym winklem, jakie nosili więźniowie polityczni. Człowiek, który sam siebie – tylko sam siebie – nazywał komunistą, bo przecież nikt więcej poza nim samym za takiego go nie uważał.

Pierwszego dnia, gdy znalazłem się na bloku trzynastym, Stefan pokazał mi moje łóżko, które było niedaleko od niego – na parterze. Naszym tłumaczem i pomocnikiem pisarza blokowego był Ślązak nazwiskiem Sroka, bardzo dobry chłop, który w miarę swych stosunków i możliwości starał się nam pomagać. Przy spisywaniu na bloku moich personaliów podałem zawód: elektromechanik, bo to był faktycznie mój zawód wyuczony i w tym zawodzie pracowałem od 1934 roku do wojny. Przydzielony zostałem do grupy elektryków i gdy pierwszy raz szedłem do pracy, Sroka zaprowadził mnie do mojej grupy roboczej. Elektrycy pracowali w baraku. Pokazano mi motor i spytano, czy potrafię go przewinąć.

– Tak, potrafię – odpowiedziałem.

Mimo to jeden z grupy zaprowadził mnie do sporego budynku, w którym mieściła się łaźnia. Było tam jedno małe pomieszczenie, w którym znajdowały się motory stacji pomp zasilających w wodę cały obóz. Uruchamiane były automatycznie – w miarę zapotrzebowania na wodę. Motorów tych było dwa i pracowały na zmianę. Podstawy, szajby oraz inne dostępne części były mocno zardzewiałe. Dostałem trochę szmerglu. Kazano mi czyścić te zardzewiałe części. Ten, który mnie tam zaprowadził, poszedł sobie, a ja zostałem. Czyściłem uczciwie cały dzień.

Następnego dnia znów mi kazał tam iść – poszedłem, lecz już nie miałem co czyścić, więc usiadłem na gorącym motorze i grzałem sobie tyłek. Przesiedziałem tak cały dzień, uważałem tylko, żeby

mnie na tym siedzeniu nie przyłapano, bo od czasu do czasu zaglądali tam jacyś więźniowie specjaliści, a czasem zajrzał też ten, co mnie tam pierwszy raz zaprowadził. Jak przez szparę swoich drzwi widziałem, że otwierają się pierwsze drzwi, szybko złaziłem z motoru i szmerglem tarłem motor tak, jakby całe moje życie zależało od tego, żeby go dobrze oczyścić. Siedzenie na tym motorze trwało przez dwa tygodnie. Miałem wtedy cudowny spokój. Mogłem sobie myśleć o różnych realnych i nierealnych rzeczach. Właściwie moja praca polegała tylko na obserwowaniu drzwi, żeby mnie nikt nie zaskoczył i nie złapał, jak siedzę okrakiem na motorze. Gdy byłem sam i nic nie robiłem, bardziej jeszcze odczuwałem głód, bo miałem czas o nim myśleć. Jednego dnia postanowiłem spróbować, jak smakuje oliwa używana do panewek w motorach. Oliwy tej stało w bańce dość dużo. Oliwa do maszyn to przecież tłuszcz, tylko trochę inny, ale może da się go pić. Wsadziłem palec w bańkę z oliwą i do ust. Nie. Niedobre było, jakiś wstrętny smak i nafta, i jeszcze diabli wiedzą co. Zrobiło mi się w gardle jakoś tak nie bardzo, poplułem sobie solidnie i już więcej za oliwę się nie brałem.

Po dwóch tygodniach, gdy rano ustawiłem się po apelu do swojej grupy, kapo Niemiec po prostu wypędził mnie. Więc ustawiłem się na ślepo do jakiejś grupy roboczej i w ten sposób zakończyłem karierę elektryka, a zaczęło się znów życie szarej masy, najgorszej kategorii więźniów, nikomu do niczego niepotrzebnych, skazanych na szybką zagładę przy pomocy głodu, pracy ponad siły i bicia.

Następnego dnia po zakwaterowaniu się w bloku trzynastym, w czasie obiadu, który tego dnia składał się z teoretycznego pół litra zupy z kapusty i kartofli w łupinach – teoretycznego, bo pół litra to była teoria, a w praktyce otrzymywaliśmy dużo mniej – zauważyłem, że większość zjada kartofle razem z łupinami i że robią to zupełnie oficjalnie i nikt o to nikogo się nie czepia. Więc i ja też kartofle włożyłem do kapusty i zjadłem razem z łupinami. Po obiedzie, gdy po wygnaniu nas z bloku staliśmy przed barakiem, z jeszcze większym zdziwieniem posłyszałem, jak Stefek Krukowski chwali się, że podjadł sobie nieźle, bo „zjadłem – mówił – swoją porcję, dostałem dokładkę kartofli, a potem jeszcze zorganizowałem miskę ładnych łupinek i teraz mogę spokojnie czekać wieczora”.

Okazuje się, że żeby podjeść łupin, trzeba dużej umiejętności organizowania i znajomości przy stole prominentów. Prominenci brali dla siebie jedzenia, ile chcieli, więc kartofle obierali grubo z łupin, które znajdowały się w osobnych miskach. Cała masa głodnych więźniów krążyła z daleka koło tego stołu i gdy wyczuwało się właściwy moment, wtedy dochodziło się do stołu po miskę z łupinami. Gdy jeden dostał taką miskę, inni patrzyli na niego z zazdrością. Jeśli ktoś podszedł za wcześnie, mógł łatwo dostać zamiast łupin po pysku. Najlepiej było mieć kogoś znajomego przy tym stole i ten zbierał od razu łupiny swoje i sąsiada, na przykład sztubowego, który jeszcze grubiej obierał, a po obraniu odsuwał się od stołu i sam podawał łupiny wybranemu przez siebie więźniowi. Stefanowi i mnie łupiny ze stołu prominentów dawał Zygmunt Jaczewski z Warszawy. O Jaczewskim opowiem jeszcze osobno.

Stefek – w chwilę po przechwalaniu się tym, jak to on najadł się łupinek – wyjął z kieszeni gestem arystokraty dwa głąby od kapusty i jeden dał mnie, a sam zaczął chrupać drugi.

– Głąbków też dzisiaj zdobyłem kilka – powiedział. – Trafiłem na dobrego esesmana. Nie strzelał.

Zauważyłem, że większość patrzy na niego z podziwem. Niedługo potem i ja już podchodziłem po głąby i liście surowej kapusty i zrozumiałem wtedy, co znaczyły słowa o dobrym esesmanie i że nie strzela. Niejeden więzień przypłacił życiem chęć zaspokojenia głodu głąbami. Byli to jednak głupcy, nieświadomi albo łatwowierni, którzy uwierzyli esesmanowi.

Zdobywanie głąbów odbywało się w ten sposób, że trzeba było podejść do kupy odpadków wyrzucanych z kuchni, która to kupa znajdowała się kilkanaście metrów od linii posterunków i stanowiska najbliższego posterunku. Tuż obok stały otwarte szopy, w których mieściły się przez nikogo niepilnowane magazyny z żelazem. Były tam takie różne grube i cienkie rury, pręty, płaskowniki i wszelkie inne żelazne śmieci. Między jedną taką szopą a najbliższym posterunkiem znajdowało się usypisko odpadków wysoce użytkowych – jak bym to nazwał. Odpadki te leżały kilka metrów od rogu szopy, a kilkanaście metrów za nimi stał posterunek z karabinem. Amator głąbów wychylał się lekko zza rogu szopy

i zwracał się do esesmana, czy pozwoli podejść do kupy odpadków. Ten znów albo nie odpowiadał wcale, albo zezwalał, albo też nie zezwalał. Jeśli nie zezwalał, to jasne było, że podejść nie można, lecz jeśli zezwolił albo patrzył z obojętną miną, tak jakby to nie do niego się mówiło, należało ryzykować. Podchodził taki bardzo wolno, przygotowany do natychmiastowego uciekania do tyłu, i gdy znalazł się już na miejscu, szybko ładował głąby do kieszeni. I tu niektórych gubiła zachłanność. Taki głodniak, jak już dorwał się, to chciał nabrać jak najwięcej, esesman zezwolił, nic nie mówi, można spokojnie wybierać. Spuszczał wtedy esesmana z oczu, a ten tylko na taki moment czekał. Podrywał szybko karabin, ktoś zza szopy krzyknął nieraz ostrzegawczo i sam krył się za rogiem. Strzał – chłopak gotów. Trafić z kilkunastu metrów nie było trudno. Nawet gdy taki usłyszał ostrzegawcze krzyknięcie, to wpierw spojrzał, czego ma się strzec, i już za późno było na ucieczkę.

Stefan i ja opracowaliśmy „naukowy" plan wybierania głąbów. Tak jak inni zapytywaliśmy, czy można podejść. Gdy milczał lub zezwolił – przyczajonym do ucieczki krokiem podchodziliśmy do śmietniska. Różnica polegała na tym, że nie wierzyliśmy esesmanowi i głąby wybieraliśmy po omacku, jak niewidomi, bo oczu nie spuszczając z wartownika, a w tym czasie pozycja nasza przypominała człowieka gotowego do startu w odwrotnym kierunku, czyli do szopy, do której nie było więcej jak sześć metrów.

Drugim, tak samo ważnym punktem naszej metody było to, że nie podchodziliśmy po głąby, choćby nas wartownik nawet zapraszał – gdy trzymał on karabin pod pachą. Poderwać z takiej pozycji karabin i strzelić – to przecież tylko moment, ale gdy trzyma karabin zawieszony przez ramię, na plecach, wtedy już musi zrobić dużo ruchów. I gdyby taki chciał strzelać, to nim zdejmie z pleców karabin, to ja już jestem za szopą. Kilka razy chcieli strzelać do mnie, lecz gdy on zrobił tylko pierwsze drgnienie ręką, ja już byłem za szopą.

Tak więc łupiny z gotowanych kartofli i głąby były pierwszym dodatkowym jedzeniem, które sam organizowałem.

Ze Stefanem każde zdobyte jedzenie dzieliliśmy dokładnie na pół – czy to były łupiny, głąby czy skórki od chleba, burak pastewny czy

cukrowy, czy też nawet ogryzek jabłka lub jedno ziarnko winogrona albo jeden listek cebuli – wszystko dzieliliśmy po połowie. Jeśli nie byliśmy razem, a jeden z nas zorganizował coś do jedzenia, to część przypadającą dla drugiego zostawiało się albo szukało się drugiego, żeby zjadł to w czasie pracy, albo też wnosiło się do obozu i tam drugi otrzymywał swoją część.

Łupiny ze stołu prominentów dawał nam – jak już wspomniałem – Zygmunt Jaczewski z Warszawy. W roku 1940 miał on coś trzydzieści cztery czy trzydzieści sześć lat. Skończył Wyższą Szkołę Handlową i przed wojną był jakąś sporą fiszą w handlu zagranicznym. Władał dobrze czterema obcymi językami. Przez cały czas pobytu w Mauthausen powodziło mu się dobrze – o ile można w ogóle mówić, że w obozie mogło być dobrze. W każdym razie cieszył się on sympatią Karla, siedział przy jego stole, dostawał jedzenia tyle, ile mógł zjeść, ale tylko zjeść, bo prócz resztek nie wolno mu było nikomu nic dawać. Więc dawał nam łupiny i kości, których nieraz dużo było w rannej zupie. Jeśli była na obiad zupa, to już nie było nic na dodatek, ale jak było pół litra zupy i kartofle, to zjadaliśmy same kartofle, a z zupą czekaliśmy na łupiny od Zygmunta. Gdy dostawaliśmy łupiny, dzieliliśmy na pół i wrzucaliśmy do zupy. Łatwiej wtedy można było je jeść, bo same łupiny miały nieprzyjemny smak i były suche – można się było nimi zakorkować. Kości płaskie zjadaliśmy w całości, skrobało się zębami, wierciło w nich nożem, tak że w końcu zjadało się całą kość albo zostawała tylko twarda, wierzchnia powłoka kości. Zygmunt, widząc, jak ludzie jedzą kości, chciał raz przez zwykłą ciekawość spróbować, jak to smakuje, i złamał sobie przedni ząb. Oddał mi te kości i powiedział, że już więcej kości do ust nie weźmie. Nie wiedział, biedny chłop, co go jeszcze czeka i jak nasze losy będą się układały. Podobało mi się w nim to, że podając nam łupiny czy kości, nie robił tego z gestem takim, jakby dawał żebrakowi jałmużnę, albo z wyrazem pogardy, że my zjadamy takie rzeczy – tak jak robili to inni. Robił to z dużą subtelnością, z uśmiechem takim, jakby chciał nas przeprosić, że nie może nam dać nic innego, tylko to. My z tego, co otrzymywaliśmy od niego, byliśmy bardzo zadowoleni, bo po zjedzeniu swego obiadu

i prawie całej miski łupin miało się przynajmniej uczucie zapełnienia żołądka.

Gdy w obozie było mało papierosów i palacze już nie mieli co palić, starałem się dla Stefana i Jaczewskiego o niedopałki. Robiłem to w ten sposób, że kilka razy w ciągu dnia obchodziłem wokoło wszystkie baraki SS. Więźniom niepracującym przy esesmanach nie wolno było na ten teren wchodzić, ale ja wchodziłem. Musiałem tylko chodzić szybkim krokiem, tak jakbym gdzieś szedł i bardzo mi się spieszyło. Czujnym wzrokiem rozglądałem się, czy mnie kto nie obserwuje, a jeśli zobaczyłem wyrzucony za okno kawałek chleba, ogryzek jabłka albo niedopałek – szybkim ruchem w biegu podnosiłem go i nie chowałem do kieszeni, lecz trzymając zakryty w dłoni, szybkim krokiem szedłem dalej. Jeśli widziałem, że jakiś esesman patrzy przez okno lub idzie naprzeciw, nigdy nic nie podnosiłem, bo zdradziłbym się w ten sposób, że jestem organizatorem, a nie pracownikiem SS, bo ci nie mieli potrzeby nic z ziemi podnosić. Zapamiętałem sobie tylko, gdzie co leży, i po jakimś czasie przychodziłem znów w to samo miejsce.

Do łażenia między tymi barakami też nie było amatorów. Bali się bicia. Drugim, który się też nie bał, był Stefan Krukowski i często też razem tam się kręciliśmy. Jednego razu jakiś starszy esesman wyrzucił nam przed samym nosem kilkanaście dużych skór chleba. Innym razem, gdy szliśmy szybkim krokiem, ktoś zawołał z okna. W takich wypadkach podchodził Stefan, bo znał on doskonale język niemiecki. Wołał go esesman, ten sam, który poprzednio wyrzucił chleb. Wtedy widzieliśmy go w oknie, a on, stojąc w głębi pokoju, uśmiechnął się i pokazał palcem na chleb, że to dla nas. Tym razem pomyśleliśmy, że będzie bicie. Stefek podszedł, a on podał mu dużą kiść winogron. Stefan szybko ją schował, żeby nikt nie zauważył i żeby esesman też nie miał jakiejś przykrości. Mieliśmy wtedy raj. Po naszym świńskim jedzeniu, łupinach i głąbach – winogrona. Nieraz robiliśmy sobie zabawę. Jak szedł jakiś esesman z papierosem lub z jabłkiem w ręku, szliśmy w pewnej odległości za nim, żeby być pierwszymi, gdy on będzie wyrzucał niedopałek lub ogryzek. Tu trzeba było popisać się większą odwagą niż inni i iść za nim, w takiej odległości, która dla innych była już niebezpieczna. Przy takiej

zabawie i chodząc między barakami SS, kilka razy dostałem bicie, w tym tylko jeden raz takie naprawdę dobre. Ale wszyscy ci, którzy w tym samym czasie, gdy ja łaziłem, pracowali, byli tak samo bici, tracili energię na ciężką pracę i nic nie zorganizowali do jedzenia. Moja metoda była lepsza.

Gdy jeszcze chodziłem między te baraki sam, znalezione niedopałki dzieliłem między Krukowskiego i Jaczewskiego. Ładniejsze i większe dawałem Jaczewskiemu, bo on zawsze mówił, że gdyby miał palić w gazecie, to wolałby wcale nie palić. Stefan otrzymywał więcej, ale wszystkie mniejsze, niektóre rozbite i zamoczone. On na to nie zważał. Zawijał w gazetę i palił. Musiał palić. Oddawał jedzenie, żeby tylko palić. Jak mu dałem niedopałków, to przynajmniej wtedy zjadł swoje śniadanie. Nie wiem dlaczego – lecz nigdy mi nie przyszło do głowy, żeby sprzedać te niedopałki za jedzenie. Organizowałem jedzenie z narażeniem życia lub zdrowia, ale gdybym brał za palenie jedzenie, zdawałoby mi się, że pazurami wyrywam temu człowiekowi kawałek życia. To w pierwszym okresie – później sprzedawałem.

Palenie więźniowie otrzymywali „na kantynę". Ci, którym przysyłano z domu pieniądze, mieli je zapisywane na swoim koncie. Co pewien czas, określonego dnia wszyscy, którzy pieniądze mieli, zgłaszali do pisarza, że dają na kantynę dwadzieścia marek, bo to była największa suma, jaką można było podawać. Po kilku dniach dostawali pewną ilość papierosów, cygar, bibułek, tabaki do wąchania i tytoniu do żucia. Przy odbieraniu kantyny, którą wydawał pisarz blokowy, siedział jeszcze kapo, blokowy i sztubowy; każdy wiedział, po co oni tam siedzą, i po otrzymaniu towaru co najmniej połową obdzielał tych ludzi. To było prawem. Kto nie dał, mógł się spodziewać, że następnego dnia zostanie posłany do gorszej pracy albo jego kapo będzie o tym wiedział i da mu taki wycisk, że jeśli dożyje do następnego rozdziału papierosów, to chętnie odda wszystko, żeby tylko odczepili się od niego; do tego dojdą jeszcze wszelkie szykany od władców bloku, których on tak zlekceważył, nie częstując ich całymi paczkami papierosów lub cygar.

Resztę palenia albo wypalali sami, albo jeśli kto nie palił, sprzedawał za jedzenie. Bardzo niecierpliwi i głodni sprzedawali od razu i wtedy otrzymywali bardzo małą cenę; kto potrafił przechować,

a mu nie ukradli, ten przed nowym rozdziałem, gdy było już mało palenia, dostawał cenę dziesięć razy większą niż na początku. Gdy brak było palenia, ludzie palili tabakę do wąchania i tytoń do żucia, zwany prymką.

Jedzenie organizowaliśmy jeszcze w ten sposób, że sprzedawaliśmy swoją porcję kiełbasy lub margaryny za zupę. Stefan wyszukał kogoś, od kogo codziennie kupowaliśmy miskę zupy za jedną kiełbasę. Kupowaliśmy do spółki. Żeby nie pozbawiać się tego źdźbła kiełbasy czy margaryny – drugą porcję zjadaliśmy. Może byśmy kupowali za obydwie porcje, bo były one przecież bardzo małe, ale mogliśmy kupować tylko jedną miskę. I to już było dobrze, bo amatorów do takiego kupna było bardzo dużo, a sprzedających mało. Sprzedający to arystokracja i uprzywilejowani na wszystkich blokach. Jak taki jeden czy dziesiąty nabrał sześć misek zupy, to przecież sam tego wszystkiego nie zeżre. Zeżre dwie, a resztę sprzeda za kiełbasy i ma wtedy dobrą kolację. Zupę braliśmy dopiero wieczorem, po otrzymaniu kolacji. My braliśmy z innych bloków, a u naszych prominentów kupowali więźniowie z innych bloków. Nie chcieli oni sprzedawać zupy więźniom z tych samych bloków, żeby nie wyglądało to tak, że trzeba kupować wieczorem tę samą zupę, którą nam w południe ukradli.

Dochodzimy już do pewnego bilansu dziennego. A więc rano – zupka i dodatkowo od czasu do czasu kości; na obiad – dodatkowo do swojej porcji miska łupin, a jeśli jest sama zupa, to czasami kości; wieczorem – swoja porcja chleba, pół porcji kiełbasy i za drugie pół porcji pół miski zimnej, obiadowej zupy. do tego dochodzi jedzenie zorganizowane w ciągu dnia, więc chwilowo głąby, liście surowej kapusty, ogryzki jabłek i od czasu do czasu kawałek skóry z chleba. To już jest razem bardzo dobrze, bo dużo więcej, niż normalnie otrzymywaliśmy.

Później organizowaliśmy w inny, też niebezpieczny sposób bardziej konkretne jedzenie – z baraków SS i magazynów SS, lecz o tym będzie mowa osobno.

Przy organizowaniu jedzenia pomagał nam też Heniek B. Po przyjeździe do Mauthausen został on przydzielony na blok trzynasty, sztuba A. **Ponieważ był to chłopak młody i ładny,** tam zaopiekował się

nim kapo Zaręba – Niemiec o polskim nazwisku. Był on w kamieniołomach kapem młyna do mielenia kamieni, w którym pracowała karna kompania. Heńka ulokował w pracy w kuchni i jak mi on sam opowiadał, praca jego była tylko fikcją, chodziło o to, żeby w czasie dnia nie przebywał na bloku, bo to było zabronione, lecz po porozumieniu się Zaręby z kapem kuchni Heniek nie robił nic albo z nudów robił to, co mu się podobało i jak mu się podobało. Miał on czyste, nowe i dobrze dopasowane ubranie oraz jedzenie. Masę jedzenia. Miał od Zaręby wszystko, co mogło być w obozie, i w nieograniczonych ilościach. Ograniczonych tylko jego apetytem. Mógł jeść wszystkiego tyle, ile dał radę zjeść. Miał tylko surowo zastrzeżone, że nie wolno mu nikomu z tego jedzenia dać nawet łupiny od kartofla, a Zaręba stale mu o tym przypominał. Mimo to Heniek znalazł zawsze jakiś sposób, by dać mi miskę zupy, kawałek chleba czy też kilka kartofli. Rano, gdy po śniadaniu wyganiano nas z bloku, ja nigdy nie odchodziłem daleko, lecz kręciłem się przed blokiem. Gdy zauważyłem, że Heniek wietrzy się, stojąc w otwartym oknie – bo jego nie wyganiali, był podopiecznym Zaręby – stawałem blisko niego, tak żeby mnie zobaczył. Wtedy dawał mi lekki znak ręką i odchodziłem dalej od wejścia. za chwilę wybiegał Heniek i stojąc w cieniu, żeby nas nikt nie rozpoznał, dawał mi kilka, a czasem i kilkanaście wczorajszych zimnych kartofli, którymi ja znów dzieliłem się ze Stefanem Krukowskim. Często wieczorem zajrzał Heniek na sztubę B. Stanął w drzwiach i rozglądał się po sztubie, tak jakby szukał kogoś z prominentów. Gdy odnaleźliśmy się wzrokiem, wychodził z powrotem, nie dając mi nawet żadnego znaku. Ale to była taka umowa – żeby go Zaręba nie złapał na wydawaniu jedzenia. Ja już wiedziałem, co to oznacza. Brałem swoją czystą miskę i szedłem myć ją do umywalni. za chwilę wchodził Heniek, niosąc kilka misek do mycia. Ustawiał się obok mnie i w pewnym momencie, gdy był pewien, że nikt z tych, którzy nie powinni widzieć, nie patrzy, z samego spodu odsuwał miskę z obiadową zupą, a brał moją, pustą. On swoje miski mył dalej, a ja z pełną szedłem do siebie i zjadaliśmy razem ze Stefanem. Mało kto wiedział o tym, że ja jestem tak blisko związany z Heńkiem, bo żeby

nikt nie domyślał się, że on mi pomaga, postanowiliśmy rozmawiać z sobą tylko tyle, ile wymagała tego konieczność.

Do tego wszystkiego dochodził jeszcze chleb, który Stefan kupował za papierosy otrzymane z kantyny. Ja nie miałem pieniędzy na swoim koncie. Stefan miał. Ale ja nie paliłem, a Stefan palił. Jak otrzymał papierosy, to zawsze kupował co najmniej dwie porcje chleba, za które trzeba było płacić dużą ilością palenia, bo kupował je zaraz po otrzymaniu kantyny. Sprzeciwiałem się temu. Tłumaczyłem mu, że teraz daje kilka paczek tytoniu, papierosów czy też cygar za trochę chleba, a później będzie płacił porcję rannej zupy za pół skręta. On się tym nie przejmował.

– Jest kantyna – mawiał – trzeba sobie pojeść, a jak nie będzie, będziemy sobie radzić.

Felerem u niego była gra w karty. Jednego razu przegrał z Jaczewskim w pokera wszystkie swoje papierosy. Dobrze, że w tym czasie przydział papierosów, które Stefan otrzymywał na kantynę, już rozdzielaliśmy. Po prostu Stefan pół otrzymanej kantyny oddawał mnie, twierdząc, że on pali, a ja nie, więc jest to z jego punktu widzenia niesprawiedliwe i ja jestem pokrzywdzony, więc będziemy rozdzielali kantynę i każdy będzie robił ze swoją częścią to, co mu się podoba. O przegranych w karty papierosach nic mi nie powiedział. Zauważyłem jednak, że coś za bardzo oszczędnie pali, a wreszcie zauważyłem, że oddaje swoją ranną zupę. Papierosów ode mnie nie chciał przyjąć. Twierdził, że gra w karty to jego sprawa – że mógł przecież wygrać i wygrane papierosy byłyby jego. Miał przyjemność grać, a ja tej przyjemności nie miałem. Przekonałem go, że gdyby za wygrane papierosy kupił chleb czy zupę, to na pewno nie zjadłby sam, lecz dałby i mnie. Przyznał mi rację – przyjął część papierosów, ale zaznaczył, że jest to tylko pożyczka, którą zwróci przy następnej kantynie. Dobry, kochany chłop. Nie wiem, czy w całym obozie znalazłby się drugi taki, który w tych ciężkich warunkach obozowych, w bezwzględnej walce o byt, gdzie ludzie zamieniali się w dzikie, krwiożercze bestie, zachował tyle cech człowieczeństwa. Ktoś, kto nie zna warunków obozowych w roku 1940, nie potrafi nigdy ocenić właściwie postępowania Stefana. Wtedy, gdy chodziliśmy zawsze głodni i gdy każdy z nas zjadłby kilkakrotnie więcej, niż jedliśmy.

Gdy mówię o organizowaniu dodatkowego jedzenia, wydawać by się mogło, że gdy do otrzymywanej porcji jedzenia dołożymy to, co organizowaliśmy dodatkowo – powinna być tego już wystarczająca zupełnie ilość, żeby nie być głodnym. Nieprawda. Całe to nasze pożywienie wystarczyło zaledwie na to, że po prostu żyliśmy, mogliśmy poruszać się dość energicznie i nie mieliśmy jeszcze zaćmienia umysłu. na wszystko reagowaliśmy szybko, dokładnie i z precyzją.

W tym czasie ludzie masowo umierali z głodu i bicia. na każdy apel znoszono z pracy masę zabitych lub takich, którzy już nie mogli chodzić o własnych siłach. Gdy wracaliśmy z pracy w kamieniołomach – bo wtedy pracowaliśmy już ze Stefanem w kamieniołomach – na końcu szła cała karawana z nieboszczykami. Każdego niosło dwóch innych, również słabych, bo silniejszy uciekał, żeby go nie złapano do niesienia pustych, ciężkich kotłów po zupie obiadowej albo nieboszczyków po tych pioruńskich morderczych schodach. Stefan śmiał się, że wygląda już jak koń wyścigowy – nogi w kolanach ma grubsze jak w udach. Jego szeroka klatka piersiowa wyglądała naprawdę jak klatka – wszystkie żebra na wierzchu, obciągnięte tylko skórą. W umywalni mieliśmy lustro. Zauważyłem, że i ja też przechodzę kurację odtłuszczającą. Zawsze byłem za chudy do swego wzrostu, lecz teraz już tylko skóra i kości.

W tych warunkach dopiero można ocenić postępowanie Stefana z podziałem kantyny czy podziałem kupowanej za porcje kiełbasy zupy. W bardzo krótkim czasie zżyliśmy się tak, że już nie istniało nic, co jego i co moje, lecz wszystko, co do jedzenia, do ubrania, jak i wszystkie inne kłopoty były nasze.

Zastanawiałem się, co nas tak zbliżyło do siebie. Stefek to inteligent, syn kapitana Wojska Polskiego, chłopak po maturze, przed samą wojną był w podchorążówce, dobrze przez całe życie sytuowany materialnie. Ja – syn robotnika, sam robotnik w fabryce. do samej wojny wychowywałem się w ciężkich warunkach robotniczego życia w Warszawie na Czerniakowie. Nie nowością dla mnie były łobuzerskie awantury i bijatyki, z którymi zżyłem się od dziecka i sam brałem w nich udział. Przed wojną niejeden raz w awanturze byłem dobrze bity i kopany. To mnie uodporniło na

bicie w obozie i nauczyło techniki uników. Ciężkie życie od lat dziecinnych nauczyło mnie sprytu życiowego i tego, że nie należy się wszystkiego i każdego bać. Dlatego i w obozie nikogo i niczego się nie bałem. Ale to nie znaczy, że narażałem się niepotrzebnie. Nie. Wszystko, co robiłem, musiało być logiczne, przemyślane, czasem nawet nie przemyślane, lecz musiało mieć jakieś szanse powodzenia. Po prostu – ryzykant. Stefan był jeszcze większym ryzykantem jak ja i to była pierwsza wspólna cecha, która nas ciągnęła do siebie i związała. Obaj byliśmy optymistami – warunki obozowe nie działały na osłabienie naszej woli czy załamanie psychiczne. Braliśmy wszystko tak, jak było, uważając, że nic w tym zmienić nie potrafimy, więc należy jak najbardziej przystosować się do tych warunków i starać się, żeby były one dla nas jak najlepsze. I co jeszcze? Obaj mieliśmy dużo poczucia humoru i za to też lubili nas inni. Tam, gdzie stał który z nas, czy też byliśmy razem, za chwilę już stała grupa innych więźniów, którzy z otwartymi gębami lub uśmiechnięci słuchali naszego gadania, małpowania, kawałów czy wesołych opowiadań. Humor nie opuszczał nas nigdy. W tym doskonale uzupełnialiśmy się, nie opuścił on nas nawet w jeszcze gorszych warunkach. Ja znany byłem później w Gusen z dwóch rzeczy: z humoru i bicia głową. Ale o tym potem. Jak wyglądał nasz humor, niech świadczy jeden chociażby mały przykład:

Jechaliśmy obydwaj taczkami po wapno na drugi koniec terenu pracy i staraliśmy się specjalnie, żeby kurs trwał długo i nie było nad nami kontroli. Gdy mijaliśmy baraki SS, zobaczyłem jakiegoś esesmana. Oferma – wojak Szwejk: duża czapa, luźne portki, gęba idioty. Byliśmy kilka zaledwie metrów od niego. Parsknąłem śmiechem i mówię do Stefana:

– Patrz, jaka kreatura. Przecież jakbym go trzepnął pięścią w łeb, tobym go po uszy w ziemię wtłoczył.

Mówię to i patrzę się na niego. Zauważył, woła mnie, kiwając na mnie ręką. Postawiłem taczki i stanąłem przed nim, zdejmując czapkę jak przed Bogiem. I to nowe porównanie znów mnie rozśmieszyło, więc stałem przed nim uśmiechnięty. Zapytał o coś, ale go nie zrozumiałem, nic mu nie odpowiadam, tylko wołam Stefana.

Gdy podszedł, esesman pyta go o coś z uśmiechem – Stefan też się uśmiechał.

– Pyta się ciebie – tłumaczy Stefek – z czego ty tak się śmiejesz.

– Powiedz mu, że ja tak od dziecka się śmieję.

Ledwie Stefek powtórzył, już dostałem w twarz. Zatoczyłem się i uskoczyłem w tym momencie, gdy chciał mnie kopnąć w tyłek. Nie trafił, lecz tak machnął nogą, że mu spadła czapka z głowy. Ja złapałem taczki i chichocząc, szybko oddaliłem się, a za mną powoli, majestatycznie długi i cienki Stefan. Z tego incydentu mieliśmy tego dnia jeszcze sporo radości, bo śmialiśmy się, ile tylko razy nam się to przypomniało.

Najważniejszym, moim zdaniem, czynnikiem, który nas tak ściśle z sobą połączył, była charakterność, która nas obu cechowała. Każdy z nas pewien był, że drugi nie opuści go w żadnej sytuacji. Nie było u żadnego z nas najmniejszego podejrzenia, że drugi mógłby go w czymś oszukać. W okresie gdy pracowaliśmy osobno, jeśli jeden z nas zorganizował coś do jedzenia, to choćby to był najmniejszy, nic nieznaczący drobiazg, trzymało się to tak długo, aż zeszliśmy się i zjedliśmy razem. Gdy ryzykowaliśmy coś wspólnie, odwaga jednego była dopingiem dla drugiego – mimo że żadnemu z nas nic pod tym względem nie brakowało. Omawialiśmy zawsze wieczorem przebieg całego dnia, wymienialiśmy doświadczenia, analizowaliśmy różne incydenty – wyciągaliśmy wnioski z niektórych spraw, jak należy postępować, co robić, jak się zachować w różnych sytuacjach. Nie będę tu przytaczał naszych rozmów. Przytoczę tylko jeden przykład.

Zatrzymał mnie jednego razu esesman, gdy łaziłem między ich barakami. Zapytał mnie, co ja tu robię. Rozumiałem i mówiłem już dość dużo słów po niemiecku, więc chciałem mu wytłumaczyć, w jakiej grupie pracuję, oraz w miarę znajomości języka odpowiadać na pytania. na zakończenie rozmowy dostałem kilka razy dobrze w twarz, a gdy upadłem, to jeszcze na dodatek kilka kopnięć po bokach. Analizując ten wypadek, wyciągnęliśmy taki wniosek:

Znając słabo język, nie należy z nikim wdawać się w żadne rozmowy po niemiecku, bo można dostać więcej, niż gdy się nic nie mówi. System ten stosowałem do samego końca mego pobytu w obozie, mimo że później już nieźle mówiłem tym językiem. Dobrze

mówić nigdy się nie nauczyłem. Nienawidziłem tej mowy, czułem do niej wstręt, a zapamiętałem tylko to, co przez ciągłe słuchanie samo wlazło mi do głowy. Po hiszpańsku i rosyjsku lepiej mówiłem jak po niemiecku.

Co mi ta metoda dawała? Gdy mnie pytał o coś esesman, kapo czy też blokowy, odpowiadałem: „nic fersztejn". To słowo „nic" powiedziane po polsku mówiło samo, że ja naprawdę znam tylko jedno niemieckie słowo: „fersztejn". Dostawałem wtedy tylko dla formalności w twarz albo kopniaka i przeganiano mnie. Gdy sprawa była poważniejsza, wzywano tłumacza. Gdy taki mówił coś tłumaczowi po niemiecku, ja już rozumiałem pytanie i miałem chwilę czasu – zanim mi to tłumacz powtórzył – zastanowić się nad odpowiedzią. W ten sposób ciężko było zaskoczyć mnie jakimś podstępnym pytaniem. Nie znaczy to, że w ten sposób unikałem zawsze bicia – przeważnie jednak metoda ta skutkowała.

Drugi przykład:

Jednej niedzieli zostałem złapany w zwykłej ulicznej łapance do pracy przy kopaniu długiego i na metr głębokiego rowu, który ciągnął się od Dunaju w kierunku obozu. Dałem złapać się jak głupi pies przez hycla. Widziałem, że niektórzy gdzieś pędzą. A niech sobie pędzą, myślę sobie, niepotrzebny wydatek energii. Okazało się, że wydałem jej jeszcze więcej, pracując przez pół dnia przy kopaniu rowu. od tego czasu prawie nigdy nie udało się złapać mnie do takich robót. Gdy zauważyłem, że kilka osób gdzieś ucieka, pędziłem i ja, i to tak, żeby przegonić tych uciekających. Gdy już nikt nie uciekał, dopiero wtedy pytałem, co tam się stało. Łapali do roboty albo bili na ślepo, gdzie kogo popadło, ludzi zgrupowanych na przykład przy jakimś handlu czy też przy jakiejś możliwości zdobycia jedzenia. Gdy przy pracy posłyszałem ostrzegawcze krzyknięcie: „woda!" czy *agua!* (po hiszpańsku), zaczynałem pracować tak, jakbym coś dla siebie robił. Dopiero po chwili, gdy nikt mi przed oczy nie wchodził, pracując, powoli i dyskretnie rozglądałem się, kto był powodem alarmu. Byli tacy, co jak posłyszeli ostrzeżenie, stawali i patrzyli, kto też taki idzie. Jeśli to był esesman czy kapo – bo tylko przed tymi przecież należało ostrzegać – i zobaczył, że taki baran stoi i rozgląda się, przyłożył mu już tak dobrze, że długo to pamiętał

i żeby to było ostrzeżeniem dla innych, że trzeba uczciwie i wydajnie pracować. Aby jak najprędzej dostać się do nieba przez komin krematoryjny, ku chwale Trzeciej Rzeszy.

Tego dnia, gdy mnie kapo wypędził z grupy elektryków, ustawiłem się do jakiejś dużej grupy roboczej, a że wszyscy byli już ustawieni, więc stanąłem na końcu. Okazało się, że w grupie tej odcinają do innych prac. Zostałem odcięty i przydzielony do jednej z najgorszych grup, pracujących przy budowie garaży. W tym czasie budynki garaży już stały, a my wykładaliśmy kamieniami dziedziniec. na ziemi układało się olbrzymie głazy, na nich drobniejsze kamienie, później jeszcze drobniejsze, już z młyna, i na wierzch drobniusieńkie, jak gruby piasek – ale to już było później. Tego dnia i wiele innych następnych dni układano dopiero te największe kamienie i ja miałem być jednym z tych, którzy mieli robić tę ciężką pracę. Kapów tam było dwóch, nie licząc kilku pomocników. Kapowie ci to Matucha i Ślezak – Niemcy bandyci. Praca tam niczym nie różniła się od pracy w karnej kompanii w Dachau. Wrzask kapów, krzyk bitych, walenie kijami, jednym słowem – wesoło. Oberwałem już kilka dobrych uderzeń kijem. W pewnym momencie Matucha zauważył, że stanąłem na chwilę, chciał uderzyć mnie oskardem. Odskoczyłem, a on rzucił oskardem za mną, lecz zdążyłem się uchylić i tylko trzonek zawadził mnie w nogę. Nie gonił mnie, tylko pokazał ręką, że mam zwalać kamienie z samochodów. Samochody podjeżdżały bez przerwy i trzeba było kamienie szybko zwalać, żeby zrobić miejsce dla następnych samochodów. Wlazłem na jeden z samochodów, na którym już pracowały cztery osoby. Po zwaleniu jednego rozładowaliśmy następny. Zwalali inni, a ja im tylko trochę pomagałem. Przecież miałem już dużą praktykę w pracy w karnej kompanii, wiedziałem, jak trzeba pracować. Nachylałem się nad kamieniem, opierałem na nim ręce i… rozglądałem się, czy żaden z kapów nie patrzy na nas. Jeśli nie, to stałem w tej pozycji i obserwowałem dwóch, a nieraz i trzech kapów stojących w różnych miejscach. Kręciłem łbem jak papuga, ale to kosztowało mniej

wysiłku niż zwalanie tych ciężkich kamieni. Gdy który z nich wykręcał się w naszą stronę, ciągnąłem kamień do krawędzi – jak się wykręcił, znów go puszczałem. Gdy patrzył dłużej, to zwaliłem jeden, brałem się za drugi – spojrzałem – nie patrzy się żaden, to i ja nic nie robię. Przy wyciąganiu kamieni przyciąłem sobie palec. Zauważyłem, że obok mnie na samochodzie inny więzień też ma w ten sam sposób pokaleczone palce. Ja pracowałem spokojnie, bez nerwów, bez strachu, odmierzając każdy ruch. Ten drugi natomiast pracował nerwowo. na jego twarzy widać było wielkie zmęczenie i strach. Tak – po prostu strach. Pracuje z całym wysiłkiem, żeby tylko nie podpaść i nie być bitym. Głupiec, pomyślałem sobie, zmęczy się szybko i będzie musiał odpocząć, a jeśli wtedy podpadnie, to zbiją, a w dodatku dadzą ciężką pracę, której może nie mieć siły już wykonać. A to będzie powodem nowego bicia… i zupełnie możliwa wtedy przesiadka do krematorium. Przy takiej pracy i przy tym wyżywieniu długo się nie wytrzyma. Pamiętałem przecież swój pierwszy dzień pracy w kopalni żwiru w karnej kompanii, jak nogi uginały się pode mną, gdy wracaliśmy z pracy. Ale tacy jak on byli potrzebni do tego, by tacy jak ja mogli uchylać się od pracy. On w swoim strachu pracował za mnie i za siebie, bo gdyby wszyscy chcieli pracować tak jak ja, to nie wyładowalibyśmy tego samochodu i przez pół dnia, **a on musiał być wyładowany w ciągu kilkunastu minut**. Tylko że mnie to nie obchodziło i tym się nie martwiłem. Jak wleją, to albo wszystkim, albo temu, którego złapią, że nie robi. Starałem się, żeby mnie nie złapali, **a jeśli dostaniemy wszyscy, to to samo dostaną i ci, którzy dobrze pracowali, a ja będę wygrany o tyle, że gdyby nawet dali jeszcze gorszą robotę, to nie podpadnę przy niej, bo gdy zajdzie tego konieczna potrzeba, potrafię szarpnąć robotą, bo nie będę taki zmęczony jak inni**. Kalkulacja mała – wymaga tylko opanowania uczucia strachu. Bo ten strach przecież podświadomie przebija się i stara się człowieka opanować.

W pewnym momencie, gdy kapowie czymś się zajęli, stojąc w kupie w dość dużej od nas odległości – postanowiłem uciec z garaży do innej pracy. Strach był – bo to pierwszy raz i nie wiedziałem, co będzie dalej, jak ucieknę z tego miejsca. Z kim wrócę do obozu. Tu przecież mnie obliczyli i tu zapisali mój numer. Pracując

u elektryków, zauważyłem jednak, że wracając do obozu, jedne grupy, które miały za dużo ludzi, oddawały ich innym, którym brakowało – więc powinno być dobrze. Żal mi się zrobiło tego wystraszonego człowieka, więc zwróciłem się do niego, mówiąc:

– To robota dla głupich, urywajmy się!

– Kiedy ja się boję – odpowiedział mi.

– No to zdechnij nawet na tym wozie, co mnie to obchodzi. Ja się urywam.

Kapowie w dalszym ciągu stali skupieni i nie zwracali na nas uwagi. Zeskoczyłem z samochodu i szybkim krokiem skierowałem się na schody i po schodach na górę. Nie pędziłem za szybko, bo to mogło zwrócić czyjąś uwagę. Gdyby mnie złapali – śmierć. Gdy już znalazłem się na górze, zastanowiłem się, co robić dalej. Zastanawiałem się jednak, idąc szybkim krokiem przed siebie – sam nie wiedząc, gdzie i po co. Terenu nie znałem, bo przez pierwsze dwa tygodnie pracy u elektryków cały czas siedziałem w małym, zamkniętym pomieszczeniu bez okien i nie miałem pojęcia, co dzieje się wokół mnie na terenie pracy. Czułem, że nie wolno mi się o nic pytać, nie wolno stać czy rozglądać się. Trzeba iść szybkim krokiem, tak jakbym miał przed sobą jakiś określony cel. Mijając jakąś grupę, zobaczyłem leżącą luzem łopatę. Podniosłem ją i już dobra nasza. Ja i łopata to już razem coś znaczy. Teraz łatwiej będzie chodzić i łatwiej przyczepić się do jakiejś większej grupy. Wiedziałem już, że łopatą się tylko kopie, a kopanie jest najlepszą z najgorszych robót.

Przylepiłem się wreszcie do jakiejś większej grupy roboczej kopiącej ziemię. Były to wykopy na fundamenty pod nowe budynki czy baraki. Śpiewająca robota w porównaniu z budową garażu. Spokojnie, bez wrzasku i ciągłego bicia kopało się ziemię. od czasu do czasu dostawało się kijem po plecach lub w twarz, żeby nam się nie nudziło, lecz to bicie nie było niebezpieczne. Ot – kapo bił, żeby nie wyjść z wprawy i żeby więźniowie nie myśleli, że jest im w obozie dobrze.

Wieczorem zauważyłem, że w tej samej sztubie mieszka również facet, z którym pracowałem przed południem. Był to niepozorny człowiek i dlatego wcześniej nie zwróciłem na niego uwagi. Po kolacji zapytałem go, gdzie pracował po południu.

– Na garażach – odpowiedział.
– Widziałeś, jak ja się urwałem?
– Widziałem, ale ja bym się bał.
– A gdzie jutro staniesz do pracy?
– Też tam pójdę, no bo gdzie mam pójść?
A to jakiś jełop, pomyślałem sobie, ale gębę ma dość inteligentną i sympatyczną.
– Czym ty jesteś z zawodu? – zapytałem go zdziwiony.
– Księdzem jestem.
No tak, cholera. Niedorajda życiowa.
– Długo się tu nie uchowasz. Jak cię w ciągu miesiąca nie utłuką, to będziesz miał wyjątkowe szczęście.
A on po tym moim powiedzeniu nie obraził się, nie pogniewał, nie zezłościł, tylko z wielkim żalem w głosie, żalem człowieka skrzywdzonego przez los, odpowiedział mi:
– Tak, kolego. Ja naprawdę jestem bardzo niezaradny. Ja sam sobie przecież łóżka nie potrafię posłać. Ja codziennie za słanie łóżka oddaję swoją kiełbasę.
Żal mi się go zrobiło, a jednocześnie zagrało coś we mnie. Jak to możliwe, żeby brać jedzenie od człowieka tylko dlatego, że jest taki niezaradny? To jest w moim pojęciu oficjalna kradzież jedzenia. Pierwsze bicie było zawsze rano za złe posłanie łóżka; ten człowiek ze strachu przed biciem oddawał jedzenie. Tak pracować jak on i jeszcze oddawać część jedzenia, nie organizując go dodatkowo – miesiąc życia, nie więcej. Dłużej nie wytrzyma. ze złością zapytałem go, komu on daje te kiełbasy. Pokazał mi wielkiego, zezowatego chłopa, którego z widzenia już zdążyłem poznać. Był on z zawodu murarzem. Podszedłem do niego i głosem pełnym wściekłości zapytałem go, jak on może brać od człowieka kiełbasę za słanie łóżka. Gdyby dużo skakał, to byłem wtedy w takim nastroju, że mogłoby dojść między nami do bijatyki. Lecz on, jak gdyby tylko zdziwiony, odpowiedział:
– Przecież on sam mi daje. Najwyżej mogę mu nie słać.
– I nie będziesz słał. Ja mu bez kiełbasy będę słał.
Zapytałem tego księdza, czy ma papierosy.
– Mam jeszcze cztery cygara.

– Palisz?

– Nie.

– Weź jutro rano swoje cygara po apelu w kieszeń, uważaj na mnie i ustaw się do pracy tam gdzie i ja.

Rano po apelu szybko przeskoczyliśmy do grupy, w której pracowałem dnia poprzedniego. Nie odcięto nas i poszliśmy do pracy. Ale takiego niełatwo nauczyć zmiany postępowania w zależności od warunków. Po rozejściu się szybko zdobyłem łopatę, a ten został bez żadnego narzędzia pracy i kręci się jak patyk w przerębli, i nie wie, co ma robić. Wiadomo, co dalej – wpadł kapowi prosto w oko, a ten pyta go, czy jest tu nowy.

Podszedłem do nich i mówię mu, żeby wyciągał cygara. Wyjąłem mu cygara z ręki i ze słowami: „To jest mój kolega", dałem cygara kapowi, a jemu swoją łopatę do ręki, żeby miał czym pracować. Kapo zabrał cygara i poszedł sobie. Roześmiałem się, gdy pomyślałem sobie, że dając cygara, powiedziałem: „To jest mój kolega". To nie ma żadnego znaczenia, argumentem tym razem były cygara. Był to typ małego kapa, nie z kategorii bandytów – władców obozu. Jemu nieczęsto trafiała się okazja otrzymać coś od więźniów, bo grupa jego składała się z muzułmanów, którzy sami nic nie mieli. Gdyby mój „protegowany" nie wpadł mu w oko, mógłby sobie za te cztery cygara kupić chleba. Trudno. Przepadło. On i tak był szczęśliwy, że ma teraz taką lekką robotę.

Poszukałem dla siebie łopaty i przyszedłem pracować do niego. Chciałem sobie z nim pogadać, dowiedzieć się czegoś o jego życiu, jakie warunki trzeba było mieć przed wojną, żeby być takim – mówiąc grzecznie – niezaradnym.

Okazało się, że mój podopieczny nazywa się Józef Szubert, lat trzydzieści cztery, jest Ślązakiem i był księdzem w Wodzisławiu. do Mauthausen przyjechał z Dachau tym samym transportem co ja. W Dachau był na bloku niepracujących. Łóżek na tych blokach nie słali. Wystarczyło tylko jako tako rozłożyć koc. W ten sposób zaczęła się jedna z najdziwniejszych przyjaźni. Ja – robociarz, chłopak trochę łobuzowaty, niewierzący – zyskuję przyjaźń inteligenta, człowieka, jak to ja nazywam, drętwego i księdza.

Niepraktykującym katolikiem byłem od czternastego roku swego życia. Nie wierzyłem w żadne dogmaty wiary, lecz wierzyłem w jakąś siłę wyższą, Boga, siłę kierującą wszystkim na świecie. W obozie, gdy popatrzyłem na tę mordownię, przestałem wierzyć zupełnie. Inni, którym zdawało się, że nie wierzą, w obozie raptem zapałali wielką miłością do Boga. Ja w pracy kręciłem głową i oczami i w ten sposób często unikałem bicia, inny zamodlił się i nie wiedział, co się wokół niego dzieje, aż dopiero kiedy dostał kołkiem w łeb, to oprzytomniał, albo już nie miał czasu, tylko szedł do nieba z modlitwą na ustach. Przed wojną i po wojnie nigdy nie bluźniłem tak, jak bluźniłem w obozie. Krzyczeli nieraz na mnie kupą: „Zamknij mordę, czego ty tak bluźnisz!". „To wy módlcie się za siebie i za mnie, a ja będę klął za siebie i za was wszystkich" – odpowiadałem.

Gdy kiedyś w złości klątem cały świat i jego okolice – Szubert nie wytrzymał i pyta mnie:

– Stasiek, jak ty się Boga nie boisz?

– Ty wierzysz w to, że jest Bóg? To powiedz mi, gdzie on jest? Tu go nie ma na pewno. Przecież tu nawet ptak nie przyleci, bo nie ma po co.

– Bóg jest wszędzie – odpowiedział Szubert.

– Tak? No to jeśli nawet tu jest, to nie w takich ciuchach jak my, deszcz mu na łeb nie leci i nikt go kołkiem po grzbiecie nie bije. Jeśli jest Bóg, to niech we mnie w tej chwili piorun strzeli – bo sam na druty nie pójdę.

Przypominam sobie, że akurat wtedy dwa tygodnie prawie bez przerwy padał deszcz. Zmoczeni do ostatniej nitki wracaliśmy z pracy do obozu. Rozbieraliśmy się do naga. na dworze wykręcaliśmy we dwóch ubrania. Mokre ubrania pod łóżka, a my do łóżek. Rano mokre ubrania zakładaliśmy na siebie i znów na deszcz do roboty. Mogło wtedy zgniewać człowieka? Mogło. Można było kląć wszystko i wszystkich z Bogiem włącznie? Można było. Toteż klątem bez przerwy i cieszyło mnie, jak inni boją się, żeby za moje bluźnienie Bóg ich nie pokarał, tak jakby Bóg mógł sprawić coś więcej od deszczu, którym nas moczył codziennie przez dwa tygodnie.

Do klęcia miałem wybitny talent. To, co opisuję, nie może być opisane dosłownie, bo wyrazy, które u mnie były na porządku

dziennym, przy każdej okazji, nie nadają się do pisania, a wiele osób może by ich nie zrozumiało, bo nie figurują one w żadnym słowniku. Pracował Szubert nad tym, żeby mnie oduczyć kląć, ale to nic nie pomogło. Podam taki przykład:

Czterech nas pchało duży wózek z ziemią. Trzech pchało, a czwarty uwiesił się przy nim i trzech musiało go ciągnąć. Założyłem mu większą mowę, kiedy, gdzie i jak należy się obijać. Mówiłem mu, że jeśli wózek musi jechać, to musimy go razem pchać. Przy łopacie albo gdy wozi się coś pojedynczo, obijaj się, jak ci się podoba. za chwilę widzę, że wisi znów przy wózku.

– No! Pchajże, ty! – i zatrzymałem się z dalszą mową, bo nie chciałem kląć.

Tak powtarzało się kilka razy. Wreszcie nie wytrzymałem i wyjechałem z całą artystyczną wiązanką.

– Stachu, czego ty klniesz! – woła Szubert.

A ten po otrzymaniu wiązanki pcha uczciwie.

– Widzisz, Józiu, to tacy… – tu odpowiedni dobór słów – ludzie, że innej mowy nie rozumieją… – i tak dalej. Istna artystyczna przeplatanka słów języka polskiego literackiego i nieliterackiego. – No patrz, Józiu, jak teraz dobrze pcha, a jak mu grzecznie mówiłem dziesięć razy, to nie rozumiał.

Nienawidziłem księży od czasu, gdy w 1938 roku po śmierci ojca ksiądz odmówił pójścia za zwłokami dlatego, że były czerwone sztandary. Mnie ksiądz nie był potrzebny, ojcu też nie, bo był niewierzący, lecz zamówiłem księdza na prośbę mojej wierzącej matki. Ja zadecydowałem wtedy szybko: nie chce iść, to pies z nim tańcował – idą sztandary. Lecz od tamtej chwili znienawidziłem ich, gdy przedtem byli mi tylko zupełnie obojętni i śmieszni. Tamten ksiądz „nawrócił" wtedy jedną duszyczkę, to znaczy mnie, na drogę nienawiści do kleru. Szubert natomiast pociągnął mnie swoją niezaradnością. Miałem z nim zabawę, a zarazem uczucie obowiązku opiekowania się nim. Wiedziałem, że jeśli przestanę opiekować się nim – zginie. Czułbym się wtedy winnym w pewnym stopniu jego śmierci. Gdyby mnie zraził jakimś złym postępkiem, gdyby za spowiadanie ludzi w obozie brał część wyżywienia więźnia, chleb

lub kiełbasę – jak robili prawie wszyscy księża, a przynajmniej ci wszyscy, których znałem – miałbym wtedy ręce rozwiązane.

Lecz on był cały uduchowiony. Wierzył w to, co robił, i to, mimo różnicy naszych przekonań, podobało mi się w nim. Opieka moja nad nim nie miała charakteru materialnego. Organizowaną żywnością dzieliłem się tylko ze Stefkiem Krukowskim, z nikim więcej, Szubert też mi nic nie dawał. Kilka razy, gdy kupił chleb za otrzymane na kantynę papierosy, chciał dać mi kawałek, lecz odmawiałem, bo i tak ja miałem więcej jedzenia jak on, a on mimo wszystkich moich nauk zawsze pracował uczciwie. Chodziło o to, żeby go wcisnąć do lżejszej pracy. I moją rolą było tak kręcić, żeby uchronić go przed niepotrzebnym i możliwym do uniknięcia biciem. Jak to wyglądało w praktyce?

Jak już wspomniałem, robiliśmy przy pchaniu wózków. Wózek pchały cztery osoby i pchaliśmy wszyscy z tyłu. Ja zawsze czujnie obserwowałem teren, żeby wcześnie wyczuć, skąd grozi niebezpieczeństwo. W pewnym momencie między szopami po lewej stronie, jeszcze daleko przed nami, mignęła sylwetka esesmana z kołkiem w ręku. Szedł w kierunku toru kolejki. Wiadomo, że spotkamy się z nim przy torze. Jeśli jest to człowiek pracujący lepiej prawą ręką, to będzie bił, stojąc po lewej stronie wózka. Szubert i ja pchaliśmy wózek, idąc po jego lewej stronie. Bez słowa daję mu znak, żeby przeszedł na prawą stronę. Sam przesunąłem się do przodu po prawej stronie, a Szubert pchał z tyłu po prawej stronie. Wózki pchaliśmy grupami po dziesięć–piętnaście wózków, jeden za drugim. Wyczułem dobrze. Przed nami wyszedł esesman i wali po kolei wszystkich, którzy pchają wózki, przechodząc obok niego. Wali wszystkich, którzy idą po lewej stronie, a ja idę po prawej i Szubert też po prawej. Przechodząc na prawą stronę, wiedziałem dobrze, że jeśli będzie bił, to tych po lewej stronie – a mimo to nie ostrzegłem ich, no bo jeśli już ktoś musi dostać, to niech dostaną inni, a ja nie. Gdybym ostrzegł wcześniej, wtedy wszyscy chcieliby być po prawej stronie. Zrobiłby się bałagan i dostalibyśmy wszyscy jeszcze lepsze grzanie, bo miałby już za co bić, a tak to bije tylko dla przyjemności i urozmaicenia życia sobie i nam.

Gdy widziałem, że przy robocie zaczyna być gorąco – Józefa za rączkę i urywamy się. On zawsze się bał, lecz wierzył w moją gwiazdę i spryt. Wierzył też, że to Bóg się nami opiekuje i każda sztuka nam się uda. Ja znów radziłem mu, żeby, jeśli chce żyć, więcej myślał o tym, co robi. Gdy Szubert po kilku dniach ulokował się wreszcie w możliwej pracy, poszedłem dalej swoją drogą, żyjąc na swój, odmienny od innych sposób.

Na jesieni Stefek Krukowski został wysłany karnie do pracy w kamieniołomach, a wkrótce po nim wyznaczono tam też Szuberta. Niedobrze, pomyślałem sobie. na pewno trafi znów do najgorszej pracy i mogą go tam zatłuc. Okazało się, że miałem rację. Wieczorem żalił się, do jakiej okropnej grupy został przydzielony. Trafił do grupy, która budowała kolejkę linową nad kamieniołomem. Kapem był tam bandyta, który starał się mieć u siebie ludzi otrzymujących kantynę. Miał spisane ich numery i z jakich są bloków. Sprawdzał na blokach, kto będzie fasował papierosy, i w dniu fasowania kazał oddawać sobie całą kantynę. Jeśli ktoś nie dał, mógł być pewien, że za kilka dni znajdzie się w krematorium. Gdy ktoś miał nieszczęście mieć złoty ząb i pracować u niego, szybko go stracił. Jeśli nie oddał go dobrowolnie – to już po kilku dniach kapo wyrywał mu sam, ale żeby nie mógł iść na skargę, to przedtem zabijał go. I do takiego właśnie przyjemniaka trafił Szubert. Źle. Trzeba coś robić, żeby go wyciągnąć z tej grupy. A tu już nieszczęście: kapo sprawdził, że Szubert ma kantynę, i już powiedział, że ma mu ją oddać w dniu fasowania, bo jak nie odda, to trup. Szubert powiedział, że odda. To już dobrze, bo przynajmniej do dnia fasowania będzie miał względny spokój, a ja pewność, że kapo nie zabije go, żeby nie stracić kantyny!

Trzeciego dnia pracy Szuberta w kamieniołomach zwróciłem się do szrajbera blokowego Sroki, żeby zapisał mnie do pracy w kamieniołomach. Popatrzył na mnie jak na wariata – a może jak na nieboszczyka, bo każdy pracujący w kamieniołomach oddałby pół życia za to, żeby się z nich wydostać. Zaczął mi odradzać, lecz powiedziałem mu, że chodzi mi o Szuberta, więc w końcu się zgodził. Powiedział mi, że jeśli będę chciał wydostać się znów na górę, to on mi pomoże.

Ktoś może zapytać, skąd miałem takie uważanie u Sroki. Odpowiem jednym zdaniem: granie na mandolinie i humor, który mnie nigdy nie opuszczał, zaczęły już dawać wyniki i łatwiej niż inni mogłem załatwiać różne sprawy na bloku.

Następnego dnia ustawiłem się do grupy, w której pracował Szubert. do kamieniołomów schodziliśmy po tych olbrzymich schodach na dół – a po innych wąskich schodach wchodziliśmy znów na górę – i tam dłubaliśmy się w ziemi i kamieniach, szykując teren na budowę wieży do wyciągu dla kolejki linowej, która miała transportować z kamieniołomu kamienie potrzebne do obróbki.

Praca wesoła – nie wiadomo było nigdy, ile i za co dostanie się kołkiem.

Na obiad schodziliśmy na dół, a po obiedzie znów do góry. Po pracy zbiórka na dole i znów do góry po głównych schodach do obozu. W ten sposób wchodziliśmy trzy razy dziennie na te wysokie schody.

Następnego dnia niewiele brakowało, żebym został prawidłowym nieboszczykiem rozklepanym na placek. Po południu, gdy do końca pracy pozostawała jeszcze godzina, przyszedł do naszego kapa jakiś cywilny majster i coś z nim na boku rozmawiał. Po tej rozmowie kapo krzyknął głośno: – Godzina sportu dla Polaków! – i wyznaczył cztery osoby do noszenia trag. Były to nosiłki, w których nosiło się ziemię lub kamienie, coś w rodzaju pudeł umocowanych na dwóch drążkach. W tej pierwszej czwórce był i Szubert. Pomyślałem sobie, że jeśli to ma być godzina sportu, to będzie tu niezły popęd, więc Szubert może się załamać i nie wytrzymać tempa. A upaść przy pracy – to bardzo niezdrowo, można się już nie podnieść. Chwila wahania – podszedłem, odsunąłem Szuberta i sam stanąłem na jego miejscu z tyłu przy tradze. No i rozpoczął się sport. Przed zakończeniem pracy musieliśmy zasypać ziemią kabel założony w skalną ścianę, który wieczorem miał spowodować wybuch i obsunięcie ściany na całej wysokości. Dźwigaliśmy ziemię tragami, przynosząc ją z odległości pięćdziesięciu metrów cały czas biegiem i nad samą krawędzią kamieniołomu. Ściana miała kilkadziesiąt metrów wysokości i była w tym miejscu zupełnie prostopadła. Biegiem nosiliśmy ziemię, a kapo ganiał razem z nami i bił bez przerwy kijem po plecach, rękach, głowach i twarzach. My

stawialiśmy tragę na ziemi, żeby inni napełnili ją ziemią, a kapo w tym czasie nas bił. Szybko nachylaliśmy się po tragę i łapaliśmy ją, nie patrząc, że jeszcze ją ładują. Jedna–dwie łopaty ziemi w twarz i na głowę i biegiem nad samą krawędzią, a kapo za nami i bije bez przerwy.

Po kilkunastu minutach spostrzegłem, że godziny nie wytrzymam. Utłucze mnie, pomyślałem. Dobrze, ale i ciebie, bandyto, też szlag trafi, a mnie będzie przyjemniej iść do nieba w takim towarzystwie.

Kapo był małego wzrostu. Postanowiłem, gdy będzie tuż przy mnie, złapać go wpół i przewrócić się do tyłu. Jak się uda, to fruwamy wtedy razem na dno kamieniołomu, a tam już klops, placek, koniec. Zacząłem się na niego czaić, lecz za każdym razem, gdy bił i przebiegał obok mnie, był trochę za daleko i bałem się, że jak go złapię, to mi się wyrwie, bo to przecież silne, wyżarte bydlę. Nie wiem, jak by to się wreszcie skończyło, bo nagle – stop. Odesłał nas do łopat, a wybrał następnych czterech, z którymi robił to samo co z nami, ganiał i bez przerwy bił. Po nich jeszcze gonił dwa razy po czterech ludzi. Z tych szesnastu trzech trzeba było już na plecach przynieść do obozu. Ja miałem kilka guzów od kija, a całą głowę i twarz miałem umazaną krwią. Szubertowi się udało. Kapo nie wyznaczał go już do żadnej grupy. Tym razem wymigałem się od śmierci.

Następnego dnia, gdy już przed zakończeniem pracy zeszliśmy na dół do kamieniołomu, okazało się, że zeszliśmy co najmniej godzinę za wcześnie. Kapo został jeszcze na górze. Nie wiedzieliśmy, co robić, więc stanęliśmy w kupie i czekamy na zakończenie pracy. Napatoczył się jakiś esesman. Gdy mu wytłumaczyli, dlaczego stoimy i nic nie robimy, kazał nam ładować na wózki-wywrotki kamienie dla młyna. Gdy ładowaliśmy kamienie, wpadł między nas jakiś bandyta kapo – wielki, rudy, szczerbaty. Miał on w ręku kawał trzonka od łopaty, którym walił nas po głowach. Wszystkich – w łeb, w łeb, w łeb – i popędził dalej. Wtedy wszyscy jak na komendę przestali pracować, tylko każdy zdjął czapkę i macał się po uderzonym miejscu – ma guza czy nie ma. Pomacałem się też przez czapkę – guz jest, i to nawet spory, nie spuszczałem jednak kapa z oczu. Nie oglądał się wcale i znikł mi z oczu za pobliską szopą. Byłem taki zły

na kapa, że chociaż już poszedł, dalej patrzyłem w tym kierunku, gdzie on poszedł, za szopę. I co to? Widzę, że na samym dole – pół metra od ziemi – coś się wysuwa zza szopy. Rudy łeb kapa. Że rudy, to tylko się domyśliłem, bo z tej odległości już ciężko było odróżnić kolor włosów. Domyśliłem się, że schylony mocno do ziemi, podgląda, co my robimy. Był to dobrze mi znany z zabaw lat dziecinnych trik: jak chciałem coś podglądać zza rogu, to kładłem się na ziemi i wtedy trudniej było mnie zauważyć. Jak go zobaczyłem, a widzę też, że nikt nic nie robi, pomyślałem sobie, że będzie bił. Patrzę, gdzie jest i co robi Szubert. Podchodzę do niego, daję mu znak i ciągnę go dyskretnie w stronę wózków, a on zdjął czapkę i mówi:

– Mój Boże kochany – i za co on mnie uderzył?

– Tak, pytaj się Boga, to cię walnie jeszcze raz i cię zabije. Chodź tu za wózki, bo będzie znów bił.

Po drugiej stronie wózków była długa i wysoka kupa kamieni. Przeszliśmy między wózkami niby po to, żeby ładować kamienie z tamtej strony wózków. W chwilę później wyskoczyło to rude bydlę i jak zaczął operować po głowach tym swoim uciętym trzonkiem od łopaty, to z grupy naszej znów czterech trzeba było na górę nieść. W tym czasie, gdy kapo bił, my dwaj skryliśmy się za kupę kamieni i udawaliśmy, że wybieramy kamienie do ładowania. Kapo wcale nas nie zauważył. Nie wiem, może gdyby nas zauważył, nie byłoby nam bardzo przyjemnie.

W tym czasie Stefan pracował tam, gdzie klinami rozbijano wielkie kamienie na mniejsze. Robili oni przy cywilnym majstrze. W ten sposób nie byli tak narażeni na bicie przez kapów. Tu już więcej zależało od tego, czy cywil był niezłym człowiekiem czy bydlakiem. Cywile też bili, ale tego Stefek chwalił, że dobry chłop.

Stefan pytał go, czy przyjmie do tej grupy jeszcze jednego, na co on kiwnął potakująco głową. Szubert bał się, namówiłem go, żeby szedł tam, niech tylko uważa, żeby go kapo nie odszukał. O siebie się nie bałem. Wiedziałem, że złapać się nie dam, poza tym czułem, że nie będzie mnie szukać, bo wiedział już, że ja nie fasuję kantyny. Pytał mnie zaraz następnego dnia, gdy przyszedłem tam za Szubertem, czy mam kantynę. Gdy powiedziałem, że nie mam,

obiecał mi, że sprawdzi na moim bloku, a jak się przekona, że go oszukałem, to już ja go popamiętam.

Tak jak przewidywałem, tak się stało. Kapo szukał Szuberta po wszystkich trzech kamieniołomach – widziałem go kilka razy, jak chodził od jednej grupy do drugiej i przyglądał się tym, którzy byli niskiego wzrostu. Szukał Szuberta, lecz Stefek już pilnował, żeby go nie znalazł. Spotkali się przypadkowo po kilkunastu dniach. Kapo dla formalności uderzył tylko raz Szuberta w twarz i w ten sposób zerwali na zawsze istniejące między nimi stosunki. Potem poprosiłem Srokę i ten znów przeniósł mnie do pracy na górze.

W październiku i listopadzie zwolniono do domu trochę Ślązaków. Zwalniano dwa razy w tygodniu grupy po trzydzieści–czterdzieści osób. Pewnego dnia wywołano do zwolnienia Szuberta, nie puszczono go jednak, bo… miał na łopatce czyraka i kazano mu przybrać na wadze, bo był za chudy. Odesłano go do rewiru – szpitala obozowego. Tam dokarmiono go i zlikwidowano mu czyraka. Wreszcie zwolniono z rewiru – ale w tym czasie zakończono zwalnianie i nikogo nie wysyłano do domu.

W czasie gdy Szubert był na rewirze, wszyscy księża zostali przesłani do Dachau. Szubert martwił się, że o nim zapomniano. Poradziłem mu, żeby zakręcił się koło szrajbsztuby i jak zobaczy raportoficera, żeby mu się przypomniał. Tak też zrobił i już po trzech dniach w czasie rannego apelu został wywołany. Wiedziałem, że do domu. Tego dnia, pracując na górze, często kręciłem się w pobliżu bramy, żeby zobaczyć go już po cywilnemu. Gdy znów przechodziłem w pobliżu bramy, widzę, stoi Józio. W futrze, z kapeluszem w ręku, przy nim walizka.

– Cześć, Józiu! Trzymaj się! – zawołałem przez druty.

Na to on zrobił dyskretny znak krzyża i cicho powiedział:

– No, Stachu, ja o tobie nigdy nie zapomnę.

– Możesz gadać – pomyślałem. – Już ja wiem, jak to ci, co wychodzą, nie zapominają o tych, którzy tu zostają.

Tym razem omyliłem się. Szubert wyjechał w pierwszej połowie grudnia. za kilka dni otrzymałem już od niego pierwsze pieniądze i otrzymywałem ich tyle, że do końca pobytu w obozie na swym koncie miałem sporą sumę pieniędzy. Jeszcze przed świętami

otrzymałem od niego paczkę żywnościową, po świętach drugą, w Gusen trzecią, a czwartej już mi nie oddali. Każdego roku otrzymywałem od niego paczkę odzieżową, a gdy od 1943 roku wolno było przysyłać paczki w nieokreślonej ilości i wadze, otrzymywałem dwie paczki tygodniowo, każda około dwóch–trzech kilogramów wagi. Paczki te miały taką zawartość, że nie mieli co z nich ukraść i zawsze otrzymywałem je w całości. Szubert spowodował przysłanie mi do Gusen mandoliny, która stała się zaczątkiem zespołu muzycznego. Otrzymywałem dużo paczek od obcych mi ludzi ze Śląska. Z Wodzisławia przysyłali mi: Gertruda Glormes i Emilia Tatuś – te przysyłały mi paczki każdego miesiąca. Inni, z Rybnika, z Piekar i innych miejscowości, przysyłali mi po jednej paczce, czasem z jakiejś miejscowości otrzymywałem kilka, lecz nazwisko nadawcy na każdej paczce było inne. Wysyłanie tych paczek organizował Szubert.

Zorganizował on też pomoc dla mojej matki i siostry. Każdego miesiąca otrzymywały one od niego od kilkudziesięciu do kilkuset marek. Zastanawiałem się nieraz, co też on myśli o tym, że minął rok – ja żyję, dwa lata – ja żyję, trzy – żyję, cztery – jeszcze żyję i w końcu po pięciu latach, dziesiątego lipca 1945 roku, zjawiłem się u niego w Katowicach. Poznał mnie. A poznać mnie wtedy było ciężko, bo chociaż miałem dopiero ukończone dwadzieścia siedem lat, nikt, kto mnie nie znał, nie liczył mi mniej jak czterdzieści dwa–czterdzieści pięć lat.

Józef Szubert pokazał, że potrafi pamiętać o tym, kto mu w miarę swojego sprytu i umiejętności pomógł. Nie można było powiedzieć tego o innych księżach.

Kapem kamieniarzy w Mauthausen był Emil – Ślązak, który siedział już kilka lat w obozie. Był on wielkim opiekunem księży. Otoczył opieką również księdza B., który pochodził z tej samej miejscowości, gdzie mieszkała żona Emila i syn. Ksiądz B. obiecywał zawsze Emilowi, że gdyby go zwolnili, to zaopiekuje się jego żoną, a syna będzie kształcił. Gdy B. zwalniali, Emil poprosił go, czy nie mógłby zostawić mu swoich rękawiczek. Odmówił, mówiąc, że jemu przecież, jak wyjdzie z obozu, rękawiczki też będą potrzebne. Mówił mi Krukowski jeszcze w Mauthausen i kilka razy powtórzył mi to już

w Warszawie, że Emil żalił się na B. Gdy żona Emila odwiedziła B., żeby się czegoś o mężu dowiedzieć, ten wcale z nią nie rozmawiał, lecz kazał ją wygnać i więcej do niego nie wpuszczać. O, to jest dopiero właściwie pojęta przez niektórych ludzi wdzięczność za uratowanie im życia. Bo w tym przypadku spokojnie mogę twierdzić, że Emil tym księżom, którymi się opiekował, uratował życie. Nic nie robili, tylko grzali się przy ogniu w szopach, w których pracowali kamieniarze, a jeszcze dostawali od Emila żarcie. Nie byli narażeni na ciężką pracę i bicie, nie chodzili głodni. Takich ludzi jak Szubert mało można było spotkać. Mówiłem już o tym, że Szubert spowiadał ludzi bezinteresownie. Inni brali za spowiedź porcję kiełbasy, margaryny lub pół porcji chleba. Taka była cena.

Gdy w roku 1949 odwiedziłem Szuberta i w rozmowie poruszyliśmy ten temat, Szubert starał się tłumaczyć ich, mówiąc, że „przecież oni też chcieli żyć".

– A ty nie chciałeś żyć? – spytałem go. – Więc dlaczego ty tego nie robiłeś? Dlaczego ty nie brałeś?

Nie odpowiedział mi na to.

Nie wiem, dlaczego ci, którzy dokładnie, drobiazgowo opisują życie w obozach, nigdy tematu tego nie poruszyli. Może dlatego, że wszyscy, którzy opisują życie w obozach, siedzieli w nich dopiero od 1943 roku. Jeden Gustaw Morcinek przesiedział pięć lat – reszta to „milionerzy", jak z lekceważeniem starzy więźniowie nazywali tych, którzy przyszli późno do obozu. Nazywano ich „milionerami" dlatego, że mieli olbrzymie numery, gdy starzy więźniowie mieli małe numery. Gdy czytałem książkę Laffitte'a *Życie to walka*, w której opisuje on życie w Mauthausen, do którego przywieziony został w 1943 roku w lecie czy też na jesieni – w pewnym momencie serdecznie się roześmiałem. Pisał on – nie wiem, czy dosłownie tak, jak ja to powtarzam, lecz sens jest ten sam. A więc pisał on tak: „Po trzech tygodniach zaczęły przychodzić pierwsze paczki żywnościowe i był to już najwyższy czas, bo niektórzy z nas zaczęli już słabnąć".

Wierzę w to, że zaczęli słabnąć – lecz uśmiałem się z tych trzech tygodni. My na paczki czekaliśmy prawie trzy lata, oficjalnie wolno było przysyłać tylko jedną kilogramową paczkę na święta Bożego Narodzenia. W Mauthausen w 1940 roku tylko Ślązacy otrzymywali

paczki częściej. Jeśli ktoś, omijając przepisy, wysyłał więcej paczek, to więzień mógł je dostać. W opowiadaniu moim będzie mowa i o tym, jaki przełom w życiu obozowym spowodowały przysyłane paczki.

Odbiegłem daleko od tematu, lecz jak już zacząłem opisywać moje współżycie z Józefem Szubertem, to chciałem ten temat doprowadzić do końca.

W tym czasie, gdy pracowałem razem z Szubertem przy wózkach, często urywałem się od roboty, spotykałem się ze Stefkiem i szliśmy polować na niedopałki, ogryzki lub głąby. Stefek w swoim ryzykanctwie dochodził do tego, że w ciągu dnia wchodził spać do wieżyczek małej linii posterunków, rozstawionych na noc wokół obozu mieszkalnego, które nazywaliśmy gołębnikami. Gdy nikogo w pobliżu nie było, właził on po drabinie do takiego „gołębnika" i spał. Wiedziałem o tym i gdy wyczuwałem, że zbliża się południe albo koniec dnia, kręciłem się w pobliżu i w odpowiednim momencie, gdy powietrze wokół było „czyste", rzucałem w gołębnik małymi kamieniami. Jak Stefek odpukał, to znaczyło, że już nie śpi, tylko rozgląda się przez szpary między deskami i za chwilę będzie złaził. To dla mnie był ciężki moment, bo za każdym razem bałem się, żeby go nie złapano. **Niebezpieczeństwo groziło tylko przy wchodzeniu i schodzeniu, bo gdy już siedział w środku, był bezpieczniejszy od wszystkich innych więźniów. Nikomu przecież nie przyszło do głowy, że znalazł się taki odważniak, który tam wlazł spać.** Jednego razu Stefanowi zachciało się spać w słomie. Wszedł na strych budynku, w którym było krematorium. Pracowała tam grupa robocza Stefana. Chłopaki wiedzieli, że on siedzi w słomie, i pilnowali, żeby go na czas ostrzec, gdyby esesman lub kapo wchodził na górę. Nie ustrzegli. Jeden rudy i strasznie krzykliwy esesman wszedł po rusztowaniu na dach, przez małe okienko w dachu na strych i prosto na Stefana. Złapał go. Sprowadził na dół i zaczął zadawać pytania: imię, nazwisko, skąd pochodzi.

– Czym jesteś z zawodu?

– W czasie wojny byłem urzędnikiem.
– A przed wojną?
– Podchorąży Wojska Polskiego.
– Udział w wojnie brałeś?
– Brałem.
– Gdzie?
Powiedział mu gdzie.
– To z Niemcami się biłeś?
– Biłem.
– To strzelałeś do Niemców?
– Strzelałem.
– To znaczy, że biłeś Niemców?
– Biłem.
– To teraz ja ciebie będę bił.

Bił Stefana tak, że ten przewracał się w błoto, bo tego dnia po deszczu było wielkie błoto. I w tym błocie: padnij, czołgaj się, padnij, czołgaj się, i znów bicie, i znów padnij i czołgaj się. Stefan zamienił się już w jedną kupę błota, a ten wciąż go ganiał.

Przechodziłem w tym czasie obok nich – jak zwykle krokiem szybkim i zdecydowanym, jak człowiek, któremu się bardzo spieszy i który wie, gdzie i po co idzie. Zobaczyłem, jak Stefan jeździ brzuchem po błocie. Nie wiedziałem jeszcze, za co on podpadł. Wlazłem między cegły, część cegieł zwaliłem z kupy na ziemię i zabrałem się znów do układania ich. Chodziło mi o to, żeby mieć podstawę do zatrzymania się w tym miejscu, żeby obserwować, jak rudy bije Stefana i jak to się skończy. Gdy już skończyło się bicie i czołganie w błocie, wleźliśmy ze Stefkiem w jakiś kąt, gdzie patykiem staraliśmy się chociaż z grubsza zgarnąć z ubrania błoto, i Stefan opowiedział mi, w jaki sposób wpadł. Doszliśmy do wniosku, że lepsza jest wieża – ale w niej słomy nie było, a robiło się coraz zimniej. za to spanie dostał Stefek jeszcze oficjalną karę: piętnaście kijów w tyłek na koźle i stanie do dwunastej w nocy pod wieżą.

Po pewnym czasie znudziła mi się praca przy wózkach, przyłączyłem się do grupy, która ciągnęła olbrzymi walec. Walcowaliśmy garaże – te same, w których poznałem Szuberta. Kamienie już były ułożone i należało ubić je walcem. Walec ten

ciągnęło czterdziestu ludzi. do brzegów walca przymocowano druty, które były poprzetykane drążkami. Byliśmy ustawieni przy drążkach dwójkami, po dziesięć dwójek na każdej stronie, i ciągnęliśmy walec oparci brzuchami o drążek. Pamiętałem o tym, że nigdy nie wolno ciężko pracować, bo każdy ruch czy wysiłek to niepotrzebna strata energii. Przy walcu pracowałem tak, że nachylałem się mocno na drążek i wisiałem na nim, ale nie ciągnąłem. Nikt się na tym nie połapał. Raz tylko, gdy mijało nas dwóch esesmanów, jeden drugiemu pokazał mnie i powiedział:

– Patrz, ten to potrafi się koncertowo obijać.

Przetłumaczył mi te słowa mój wspólnik od drążka, którego nauczyłem, jak ma to robić. Musiałem mu powiedzieć, bo drążek nasz musiał być równo. Po uwadze esesmanów zastanowiłem się, po czym oni poznali, że ja się obijam. Tropnąłem się. Nogi mnie zdradziły. Całym tułowiem wysunięty byłem do przodu, jak w wielkim wysiłku, lecz nogi były prosto, jak przy zwykłym chodzie, a nie naprężone i wyciągnięte bardziej do tyłu, jak powinny być przy dużym wysiłku. Gdy się w tym połapałem, ciągnąłem uczciwie zawsze wtedy, gdy niebezpieczeństwo było tuż przy mnie.

Kapem naszym był Ślązak – Śniegoń Starszy, bo był jeszcze i jego syn, Śniegoń Młodszy. Nie mieli oni na winklu litery „P", znaczy się, że uważani byli za Niemców. Śniegoń Młodszy pracował u stolarzy. Nienawidził Niemców i bił każdego, który mu wszedł w drogę. Żaden inny nie mógł sobie na to pozwolić, bo Polaka by zabili, jeśli pozwoliłby sobie na uderzenie innego więźnia Niemca. za to tato – Śniegoń Starszy – bydlę. Chodził z kołkiem i bił. Wymyślał nam też bez przerwy: „Wy, kurwy polskie, wy, inteligenty polskie, ja was nauczę pracować", i kijem, i kijem nas po plecach, a wygodnie było mu nas bić, bo byliśmy przy ciągnięciu mocno nachyleni. Gdy walcowaliśmy garaże w poprzek i dociągaliśmy walec do samych schodów, wtedy musieliśmy wejść na schody. Niewygodnie było ciągnąć, bo musieliśmy iść tyłem po schodach. Raz, gdy już podciągnęliśmy walec do samych schodów, wpadł między nas esesman, który schodził na dół. Bił każdego, kogo tylko dosięgnął ręką lub nogą. Wszyscy się rozbiegli, a gdy mnie już minął,

powiedziałem po polsku i zupełnie normalnym i spokojnym głosem, żeby mu się to, co powiem, nie wydało podejrzane:

– Zejdźcie z drogi, bo bydlę leci.

Gdy to powiedziałem, esesman, który był już na samym dole, zatrzymał się raptownie, obejrzał się i zaczął nas kolejno lustrować oczami. Widocznie rozumiał po polsku i chciał, patrząc na nas, połapać się, kto to powiedział. Lecz gdy patrzył na mnie, to spojrzałem na niego obojętnie, jak krowa na pociąg, i gdy nie doszedł, kto to powiedział, popędził dalej.

Innego znów dnia, gdy przyparła mnie potrzeba, wszedłem między stosy cegieł, które pozostały z budowy garaży. Przechodzący esesman zobaczył mnie „rozmawiającego" ze stosem cegieł. Jak on mnie wtedy strasznie zbił! Bił mnie, bił i bił. Bił z początku rękami, a na ostatek zaczął walić cegłą. Cegłą bić jest niewygodnie, więc nie mógł mi zrobić żadnej krzywdy, uważałem tylko, żeby mnie nie klapnął w głowę. Wreszcie pobity i pokrwawiony wróciłem do swego drążka przy walcu. Wracałem i śmiałem się. Tak – śmiałem się najnaturalniej w świecie. Chłopaki pewnie myśleli, że albo jestem z natury głupi, albo zwariowałem od tego bicia, bo wypadki zwariowania w obozie były dość częste. Wreszcie jeden nie wytrzymał i pyta mnie:

– I czego ty się, wariacie, jeszcze śmiejesz?

– Z czego się śmieję? Z tego, że on jest taki głupi. Wydaje mu się, że tylko on będzie bił. Może niedługo przyjdzie czas, że i ja będę bił. No – ale wtedy dopiero zobaczą, jak to się bije.

Powiedziałem to już nie ze śmiechem, lecz z wielką nienawiścią w głosie.

Po kilku dniach praca przy walcu skończyła się. Gdyby miała trwać dłużej, to ja i tak bym się z niej urwał. Była niewygodna do organizowania jedzenia. Ciężko było cały dzień plątać się po obozie bez celu. Trzeba było mieć jakąś bazę wypadową, a tylko kilka razy w ciągu dnia wyskoczyć na „obiad". Przy drążku robiliśmy dwójkami. Jak jeden odszedł, to drugi nie mógł ciągnąć sam i od razu rzucało się w oczy, kogo brak – a Śniegoń potrafił dobrze kijem walić. **Po zakończeniu tej pracy kazano nam odstawić walec do budki kontrolnej na drodze, przy szlabanie. Droga ta biegła w dół i miała silną pochyłość.**

Gdy już zbliżyliśmy się do pochyłości, pod walec podłożono kamienie, a my przyczepiliśmy nasze drążki z tyłu i po odrzuceniu kamieni mieliśmy powoli popuszczać walec w dół po pochyłości drogi. Nie doceniono jednak ciężaru trzymetrowej wysokości walca. Zaparliśmy się wszyscy uczciwie, żeby nam walec nie uciekł, lecz wyprostował się gruby grunt łączący nas z walcem i walec nam uciekł. Popędził on w dół, nabierając coraz większej szybkości. Wydaliśmy z siebie wszyscy jakiś niemiłosierny wrzask, bo niżej na szosie pracowało kilkunastu więźniów, a walec pędził wprost na nich. Rozbiegli się. Jeden upadł na szosę, lecz szczęśliwie wzdłuż, a nie w poprzek szosy. Jakiś przytomny chłopak. Nie podrywał się z ziemi, bo już na to nie miał czasu, lecz tuż-tuż przed walcem zrobił raptowny obrót na bok, plecy, bok i znów na brzuch, a walec przeszedł bez żadnej przesady dziesięć–dwadzieścia centymetrów od niego. Odetchnęliśmy z ulgą. A walec skręcił z drogi i popędził w dół łąką i wpadł do małego lasku, waląc przed sobą kilka drzew. Nic nam za to nie przylał, bo nie było tu naszej winy. Chociaż przecież bez żadnej winy i tak zawsze byliśmy bici. Po walec do lasu już nas nie posyłali. Żeby tam iść, musieliby przydzielić grupę esesmanów do pilnowania nas, bo walec uciekł już za linię posterunków.

Trzeba było od nowa szukać dla siebie odpowiedniej pracy. Teraz już nie przyczepiłem się do żadnej grupy. Stefan Krukowski pracował w grupie murarzy, a ja zostałem „wolnym strzelcem", polowałem i żyłem na własną rękę. Rano ustawiałem się do jakiejkolwiek grupy i od razu się urywałem. Odbywało się to w ten sposób:

Po przyjściu na teren pracy grupa licząca kilkaset osób na rozkaz: „Formować się w grupy robocze!", rozbijała się na wiele małych grupek. Gdy kapowie dobrali sobie potrzebną ilość ludzi, prowadzili ich na swoje odcinki pracy i tam przed przystąpieniem do pracy spisywali numery, żeby im nikt nie uciekł z grupy. Przeważnie zanim zaprowadzono grupę, do której ja się przyłączałem, na miejsce pracy, mnie już tam nie było. Najlepszy moment do oderwania się od grupy był wtedy, gdy wszystkie grupy rozchodziły się już do swej pracy. Kapo grupy stawał na czele i prowadził. Ja przeważnie starałem się iść z tyłu. Gdy grupa ruszyła, zatrzymywałem się na chwilę pod byle jakim pretekstem, lecz grupy swej już nie goniłem, a szedłem w to miejsce, gdzie miałem stały punkt spotkań ze

Stefanem, i już wtedy razem ruszaliśmy na wędrówkę po organizowanie żarcia.

Stefan miał swoją stałą grupę roboczą, lecz mieli oni bardzo dobrego kapa, który, gdy można było, pozwalał swoim ludziom chodzić na organizowanie żarcia. Nie zawsze udało mi się na czas wycofać z grupy, ale gdy nawet zapisano mój numer, to i tak uciekałem.

Raz jeden tylko, gdy już stałem w szeregu przed wymarszem do obozu na południowy apel, kapo wywołał mój numer.

– Tysiąc osiem! – zawołał.

Wystąpiłem z szeregu. Podszedł do mnie razem z esesmanem. Zapisał moje nazwisko i blok, esesman dał mi kilka razy w twarz – i do szeregu. Gdy mnie nie było, sprawdzili jeszcze raz numery, czy kogo nie brakuje, no i brak było tylko mnie. Inni bali się bicia grożącego za odejście od pracy, więc ciężko pracowali i byli bici bez przerwy, a ja nie pracowałem i mogłem być bity tylko wtedy, gdy mnie złapali, a złapać mnie było już wtedy dość ciężko. Ryzykowałem zawsze ucieczkę przed spisaniem numerów i prawie zawsze udawało mi się.

Chodziłem po całym terenie krokiem szybkim i zdecydowanym. Gdy zauważyłem esesmana czy kapa, nie oddalałem się w innym kierunku, lecz prosto na nich. Zawsze gdy mnie pytano, co ja robię, odpowiadałem: „nic fersztejn", „abort", „curik abort" albo „komando", „kapo" – i do tego nieokreślony ruch ręką, co miało oznaczać, że kapo coś mi kazał robić, a może gdzieś po coś pójść i że albo wracam do swojej grupy, albo idę do jakiejś grupy, w każdym razie słowa „komando", „kapo" oznaczały, że jestem całkowicie w porządku. Przeważnie kazano mi uciekać, czasem dostałem w twarz albo kopniaka, ale przecież ci, co pracowali, dostawali więcej.

Rano, gdy tylko odłączyłem się od grupy, szybko pędziłem na miejsce spotkania ze Stefanem. Musieliśmy się spieszyć, żeby nam nikt nie sprzątnął żarcia sprzed nosa. Bo szliśmy polować na zlewki jedzenia z baraków esesmańskich. Po rozejściu się do pracy pracownicy świniarni brali wóz z taczkami i jechali zabierać zlewki jedzenia z baraków. Musieliśmy organizować szybko, zanim zlewki

zostaną zabrane. Esesmani zlewali resztki jedzenia z całego dnia do wiaderka od marmolady, które stało w łazience. Tu trzeba było wykazać dużą odwagę. Należało wejść do baraku, do umywalni, zabrać wiaderko i wyjść. Nieraz nie było nikogo w korytarzu i w łazience, wtedy brało się bez żadnego ryzyka. Częściej jednak o tej porze, w okresie wstawania i śniadania, można było tam zastać nieraz i kilku esesmanów. Korzystne było to, że wóz świniarni nie podjeżdżał pod wejście do baraku, bo tu były tylko wąskie chodniki, lecz stał z boku na głównej drodze, więc ci, którzy byli w umywalni, nie wiedzieli, czy zlewki zabrali ludzie ze świniarni, czy inni, tacy jak my. Polując na zlewki, nigdy nie zauważyłem, żeby stał na drodze ktoś, kto by z nami konkurował w tej dyscyplinie sportu. Konkurowała z nami tylko świniarnia, lecz konkurencja ich nie była uczciwa, bo oni robili to oficjalnie i należało to do ich obowiązków. Przy ściąganiu zlewek dwa razy tylko dostałem dobre lanie. Raz od jednego, innym razem tłukło mnie kilku, bawiąc się mną jak piłką. Omijałem już te baraki, ale do innych chodziłem w dalszym ciągu.

Ze zlewkami szliśmy przeważnie do budującej się kantyny oficerskiej. Właziliśmy do podziemi, nieraz pod scenę lub do jakiegoś pomieszczenia zawalonego materiałem budowlanym i różnymi gratami. Chowaliśmy się tam i w spokoju konsumowaliśmy to pierwszorzędne jedzenie, składające się z resztek wczorajszego całodziennego wyżywienia SS. Była w tym ranna zupa, resztki chleba, jarzyn, kartofli, mięsa, kawy – razem pierwszej jakości jedzenie i w dużej ilości. Tyle że wszystko było zmieszane razem i zimne. Gdy nie mogliśmy zjeść od razu, mieliśmy zakonspirowane litrowe puszki od konserw, w których chowaliśmy resztki i zjadaliśmy je przed obiadem lub po południu. Po jedzeniu szliśmy na poszukiwanie deseru, którym były znalezione ogryzki od jabłek, oraz szukaliśmy czegoś do popalenia dla Stefana. Ale to tylko wtedy, gdy już zabrakło mu papierosów. Po takim jedzeniu żałowaliśmy tylko, że nieczęsto nam się jednak udawało zorganizować takie wiaderko.

Obok budującej się kantyny oficerskiej znajdował się barak, w którym mieścił się magazyn żywnościowy zaopatrujący w produkty kuchnię gotującą dla SS. Gdy nie udało nam się ze zlewkami, kręciliśmy się w pobliżu tego magazynu. W sionce magazynu stała

w kącie nieduża skrzynka, do której wrzucano odpadki. Bardzo często można było wybrać z niej kilka, a nawet kilkanaście całkowicie zgniłych jabłek lub odkrojonych zgniłych kawałków. Trzeba było tylko wejść do sieni i wyjąć, a to w razie przyłapania też groziło biciem. Mimo że miałem stracha, jednak zawsze wchodziłem i brałem jak swoje. Raz znalazłem tam wielki surowy łeb jakiejś ryby – zabrałem i chciałem go ogryźć na surowo, ale coś mi nie szedł, nie wiedziałem, co mam z tego łba zjeść, bo nic nie dawało się ugryźć, i w końcu z żalem wyrzuciłem go. Raz jeden wpadłem jednak paskudnie przy tej skrzynce. Znalazłem w niej dużo papieru grubo oklejonego twarogiem. Papierem tym wyłożone były wewnątrz duże beczki z twarogiem przeznaczone dla esesmanów. Poderwałem papier. Szybko zacisnąłem mocno w rękach, by zmniejszyć pakunek, jaki z niego powstał. W tył zwrot i zderzyłem się z esesmanem, który wchodził do magazynu. Spojrzał – zobaczył, co mam w rękach, i razem z pakunkiem zaprowadził mnie do podziemi kantyny oficerskiej. Kazał mi odrzucić papier, a sam rozpoczął bicie. Z początku bił prawidłowo, pięściami po twarzy, i kopał spokojnie i systematycznie. Powoli jednak zapalił się do swego zajęcia, dostał wścieklizny. Porwał w ręce kołek grubszy jak noga od stołu i walił mnie nim, jak mu podeszło. Zwalił mnie z nóg i już leżącego walił dalej. Bił z pianą na ustach i coś bezładnie wykrzykiwał pod moim adresem. Jak zobaczyłem, że ma pianę na ustach i wali tym kołkiem, pomyślałem, że zwariował i teraz już mnie zabije. Nawet na moment nie pomyślałem, że się może to inaczej skończyć. Byli esesmani, którzy podejmowali zobowiązanie, że zabiją dziesięciu ludzi dziennie. I zabijali – rachunek musiał się zgadzać. Kręciłem się na plecach po ziemi tak, żeby nie mógł uderzyć w głowę. Wykręcałem się zawsze nogami w jego stronę, a on walił tam, dokąd sięgnął kołek. Gdy już nie miałem żadnej nadziei, że ujdę z życiem, rzucił we mnie kołkiem i wybiegł szybko z podziemi. Tym razem uszedłem z życiem. Żal mi było tylko papieru z twarogiem, który już ktoś zdążył zabrać. Ci, którzy widzieli, jak mnie bił, powiedzieli, że z jego bełkotu zrozumieli, że w czasie działań wojennych w Polsce został zabity jego brat – to on teraz będzie zabijał Polaków.

To bicie nie odstraszyło mnie od zaglądania do skrzynki. Niedługo potem znów trafiłem na papier z twarogiem. Tym razem – żeby nas nikt nie złapał – schowaliśmy się do przykrytego ciężką drewnianą klapą głębokiego dołu za kantyną oficerską. Podzieliliśmy między siebie papier i małymi deseczkami, które mieliśmy przy sobie, a które normalnie służyły nam do wyskrobywania kotłów po rannej i obiadowej zupie, zeskrobywaliśmy papier oblepiony twarogiem. Mieliśmy wyjątkową ucztę. Siedzieliśmy w tym dole ze trzy godziny. Trudno określić, ile tego twarogu tam było, lecz wydaje mi się, że zjedliśmy co najmniej po kilogramie. Najedliśmy się.

Wspomniałem tu o małych deseczkach, którymi skrobaliśmy papier. Deseczkami tymi wyskrobywało się kotły, które po śniadaniu i obiedzie stawiano w pobliżu placu apelowego. Nosiciele jedzenia mieli jedzenia tyle, że już nie musieli wylizywać kotłów. Więc my skrobaliśmy swymi deseczkami wewnętrzne ściany kotła, do których przylepione były resztki jedzenia. Deseczka taka była zrobiona z twardego drewna, gładka, o wymiarach dziesięć na cztery centymetry. Wyskrobywanie kotłów stojących na placu było niedozwolone i można było za to być zbitym, lecz widziałem, że wielu więźniów ma takie deseczki i poluje na moment, kiedy można będzie podejść i skrobać kotły. Tu można było uniknąć bicia, bo jak zbliżał się kapo, to pierwszy, który go zauważył, uciekał, a za nim uciekali wszyscy. Jeśli ktoś był już takim muzułmanem, że nie miał siły uciekać, to oberwał w twarz albo kopniaka. Przy tych kotłach bicie otrzymywało się nieduże, ale i nieduża była z nich korzyść. Naszym codziennym uzbrojeniem, z którym szliśmy do pracy – mówię tu o Stefanie i o sobie – była taka właśnie deseczka oraz łyżka z uciętą grubszą częścią rączki – żeby zajmowała mało miejsca w kieszeni. Jednego dnia, gdy nam się polowanie nie udało i gdy już szykowaliśmy się wrócić do „swojej" pracy, zauważyliśmy kocioł pod oknem budki, która stała przy bramie wejściowej do obozu. W budce tej dyżurował esesman, który zapisywał każdego wchodzącego i wychodzącego z obozu na teren pracy. Okienko było nisko umieszczone, tak że esesman, siedząc w budce, miał twarz na wysokości okienka. Kocioł stał pod samym oknem. Zastanawialiśmy się, czy kocioł jest pusty, czy też w nim coś jest. Doszliśmy do

wniosku, że kocioł nie może być pusty, a na pewno są w nim zlewki, które zostały przyniesione z kuchni SS i czekają na zebranie przez ludzi pracujących w świniarni. Trochę strach brać, ale wiemy znów, że tupet pomaga wiele. Przeszliśmy kilka razy w pobliżu, tak żeby nie zwrócił na nas uwagi esesman z budki. Wszystko wydaje się w porządku. Nie widać nikogo, kto mógłby pasować do tego kotła. Raptem Stefan mówi: – Bierzemy! – I wali po kocioł na pewniaka, a ja za nim.

Podeszliśmy do budki, zdjęliśmy przed esesmanem czapki – bo mógłby przyczepić się o niezdjęcie czapek – i nie mówiąc nic, bierzemy kocioł za uszy. Ciężki był. Teraz już na pewniaka, jakby to niesienie kotła należało do naszego obowiązku, zanieśliśmy go za kantynę oficerską, do rowu, który tam był wykopany. Po otwarciu kotła stwierdziliśmy, że nasze przewidywania były słuszne. W kotle znajdowały się zmieszane razem kartofle i buraczki na gęsto. Kocioł o pojemności pięćdziesięciu litrów był pełny. Po kilku minutach opychania się zawołaliśmy jakiegoś obcego przechodzącego muzułmana. Po chwili znów się ktoś przyłączył, potem jeszcze ktoś i jeszcze ktoś, tak że w końcu było nas chyba ośmiu czy dziesięciu. Żarcia starczy, pięćdziesiąt litrów i w dodatku kit. Wszyscy zajęci byli jedzeniem, ale my, starzy rutyniarze, wiedzieliśmy, co trzeba robić. Jedliśmy, ale i nie spuszczaliśmy z oka terenu. Co chwila któryś z nas unosił się i wysadziwszy kawałek głowy z rowu, rozglądał się na wszystkie strony, czy nie zbliża się jakieś niebezpieczeństwo. Zauważyłem idącego w naszym kierunku esesmana. Był jeszcze na tyle daleko, że nie mógł nas zobaczyć. Obserwujemy, czy nie skręci w inną stronę – nie – idzie dalej prosto na nas. W wywrócone na lewą stronę czapki nakładliśmy sobie jedzenia i nic nie mówiąc, oddaliliśmy się rowem, żeby nas nie zobaczył esesman. za chwilę tamtych już walił. Dostali trochę po zapchanych jedzeniem gębach, a dwóm z nich kazał odnieść kocioł.

Jednego dnia polowaliśmy ze Stefkiem. Gdy dochodziliśmy do bramy obozowej, natrafiliśmy na kolumnę blokowych, którzy z kuchni nieśli do bloków kolacyjne porcje kiełbasy. Stali dwójkami. Gdy zbliżyliśmy się do ostatniej dwójki, zaczęli zakładać sobie na ramiona skrzynki z porcjami, bo już brama otworzyła się i za chwilę mieli

wchodzić do środka. Gdy doszliśmy do ostatniej dwójki, Stefan – wielki taki – wyciągnął łapę, wsadził ją w skrzynkę z kiełbasami i wyjął w jednej garści cztery sztuki; jedną od razu całą wsadził w usta, a trzy spokojnie pakuje sobie do kieszeni. W pierwszym momencie przestraszyłem się, lecz szybko rzuciłem oczami na wszystkie strony, czy ktoś tego nie widział. Jestem pewien, że jeden blokowy, który w tym momencie podnosił z ziemi swoją skrzynkę, zauważył to, lecz Stefan z uśmiechem mrugnął do niego szelmowsko okiem i poszliśmy dalej. Gdy już minęliśmy bramę, dał mi Stefek dwie kiełbasy i sam też zjadł swoją drugą porcję.

Innym razem szliśmy między barakami SS. na parapecie okna ostatniego baraku zauważyłem olbrzymiego jak dwie pięści, pięknego pomidora. W baraku tuż przy oknie rozmawiali esesmani. Nie wiem, jak to się stało, lecz jeden nieznaczny ruch ręką i pomidor już był w moim ręku, a za chwilę w kieszeni. Stefek podziwiał mnie, że nie bałem się ściągnąć pomidora na oczach esesmanów, a ja podziwiałem jego, że nie bał się wyciągnąć kiełbas ze skrzynki; a w jednym i drugim przypadku, gdyby nas złapali – zatłukliby na śmierć, jeśli nie obydwóch, to już na pewno tego, który brał.

Stefan kiedyś w pogoni za żarciem zapuścił się z wiaderkiem od marmolady w ogród SS po pomidory. Chciał wykorzystać mgłę, która tego ranka była bardzo gęsta. Gdy już miał pełne wiaderko, przyłapał go kapo ogrodników. Nie bił go, lecz tylko zapisał numer i odebrał pomidory. Kapo wiedział, co robi. Tego dnia było wydawanie papierosów. Wieczorem Stefan poszedł go prosić, żeby o nim nie meldował. Dał mu dziesięć cygar i kapo zniszczył kartkę z zapisanym numerem. Były jeszcze inne okazje, gdzie przy odrobinie szczęścia czy sprytu można było coś zjeść. Takie szczęśliwe okazje były wtedy, gdy esesmani prosili o przyniesienie im węgla. Śmieszna rzecz – lecz wartownicy SS otrzymywali przydział węgla dla opalania baraków w niewystarczającej dla nich ilości. Zwracali się do nas, żeby im nanosić węgla. Nie wolno było im tego robić i nie wolno było im samym brać, a węgiel leżał daleko od ich baraków. Węgiel nosiło się im w specjalnych pudłach. do mnie tylko raz jeden zwrócili się o przyniesienie węgla. Przyniosłem cztery takie pudła i dostałem za to od nich pięć dużych skór chleba. Byłem głodny, więc jedną

skórę zjadłem, a cztery przyniosłem do obozu, żeby podzielić się z Krukowskim, który wtedy już pracował w kamieniołomach. Po wieczornym apelu dałem Stefanowi dwie i pół skóry – sobie zostawiłem półtorej – bo jedną zjadłem już w robocie. Ten sposób organizowania byłby dobry, gdyby była pewność, że codziennie coś się zarobi. Tam jednak było więcej pewności, że się dostanie kijem za kręcenie się w pobliżu baraków SS. Ja już wolałem swoje metody organizowania.

Kiedyś znów zarobiłem porcję chleba za opowiedzenie pornograficznej bajki naszym prominentom na sztubie A. Jest to bajka o pewnej królewnie. Autorstwo przypisywane jest Aleksandrowi Fredrze, a ja tej bajki nauczyłem się na pamięć, gdy byłem w siódmym oddziale szkoły powszechnej. Mówi się ją wierszem piętnaście minut.

W tych dwóch przypadkach chleb zdobyłem całkiem uczciwym sposobem, tak jak i uczciwym sposobem zdobywałem jedzenie, które otrzymywałem od prominentów naszego bloku za granie na mandolinie i śpiewanie im wesołych, typowo warszawskich, humorystycznych piosenek.

Raz znalazłem zmarzniętą małą brukiew, wielkości pięści, tak zmarzniętą, że była twardsza od kości. Kość potrafiłem zeskrobać całą zębami, a tej brukwi nie, więc w końcu z wielkim żalem musiałem ją wyrzucić.

Raz udało mi się złapać gorących tłuczonych kartofli z jakąś ostrą przyprawą, które więźniowie Niemcy pracujący przy SS nieśli im na śniadanie. Wylazłem zza kantyny oficerskiej i zauważyłem, że ci, którzy niosą kocioł z jedzeniem dla SS, wchodzą za barak. W tym momencie podszedł do nich inny więzień z wiaderkiem od marmolady i nabiera w nie kartofle. Podbiegłem szybko do nich – zerwałem z głowy czapkę, kucnąłem i czapkę położyłem na kolanach, a obie ręce wsadziłem w kocioł; nabrałem kartofli i wrzuciłem w czapkę. Moje zachowanie ich zaskoczyło. Gdy już ładowałem kartofle do czapki, dostałem taką bombę w nos, że mi się na początek jasno, a później ciemno w oczach zrobiło. Złapałem czapkę i uciekłem. Nie gonili mnie i nie zabierali zdobytego przeze mnie łupu, bo mogli przy tym podpaść sami. Gdy przyniosłem

kartofle do piwnicy, okazało się, że Stefan zdobył zlewki. Pierwsze zjedliśmy zimne zlewki, a na deser mieliśmy dobre, gorące kartofle. To, że od uderzenia bolał mnie nos, w tym przypadku nie miało żadnego znaczenia.

Nie wspomniałem jeszcze o tym, że od czasu do czasu udało nam się zdobyć surowe kartofle, które gotowaliśmy w nielasowanym wapnie. Przy dołach z wapnem, które my woziliśmy, była szopa z wapnem nielasowanym. Gdy było potrzeba, staraliśmy się nabrać w taczki wapna nielasowanego i w tym wapnie gotowaliśmy kartofle. Gotowaliśmy w wiaderkach od marmolady. na dno wiaderka sypało się cienką warstwę piasku, na to warstwę wapna, na wapno warstwę kartofli już do samego wierzchu, potem znów warstwa wapna, a na sam już wierzch znów warstwa piasku. Napełnione wiaderko zalewało się wodą, zamykało pokrywką i wszystko zakopywało się w ziemi, w rogu piwnicy. Zakopywaliśmy dlatego, żeby w tym czasie, gdy wapno się lasowało, a kartofle gotowały, nikt nas na tym nie złapał. Ten sposób był lepszy od pieczenia, bo pieczone kartofle poczuć można już z daleka i piec czy gotować na ogniu to tak samo, jakby od razu nadstawił tyłek do bicia. Po półgodzinie, gdy powietrze w pobliżu było „czyste” i nie groziło żadne niebezpieczeństwo, wywalano z wiaderka kartofle. Były ślicznie ugotowane, tylko już nie można było ich jeść z łupinami, bo na skórce było jeszcze wapno, które przy obieraniu paliło skórę na rękach, lecz na to już nikt nie zważał.

Jednego razu udało mi się zdobyć dużo gotowanych gorących kartofli. Przy niedzieli po kartofle obiadowe nie poszli ludzie z każdego bloku, lecz nałapano nas między blokami w normalnej łapance. Byłem zły sam na siebie, że tak głupio dałem się złapać, lecz gdy w kuchni pozwolono nam podnieść z ziemi i zjeść kilka kartofli, które upadły przy napełnianiu kotłów, pomyślałem sobie, że mógłbym chodzić do kuchni nawet kilka razy dziennie. Gdy nasza piątka wyszła z kotłami, jeszcze nie było w kuchni dużo ludzi. Wchodzili po pięciu, wynosili kotły i ustawiali się z nimi na końcu kolumny. Uchyliłem pokrywę i wyjąłem nieznacznie kilka kartofli, które przez rozporek wrzuciłem do nogawki spodni, które zawsze miałem na dole owiązane sznurkiem. Podobało mi się, że nikt nie

zauważył, więc znów wyjąłem kilka kartofli. Gdy zobaczyli to inni, też zaczęli wyciągać kartofle ze swych kotłów i ładować je w nogawki albo w kieszenie. To ja też jeszcze doładowałem sobie tyle, że miałem w obydwóch nogawkach do samych kolan. Więcej nie mogłem brać, nie mógłbym iść. Ale teraz zaczęło robić się już niedobrze. Przykład działa. Wszyscy bezczelnie i na grandę zaczęli wyciągać kartofle. Kilku już dostało lanie od blokowych, którzy nas pilnowali, a inni dalej brali. Poczułem, że będzie z nami źle, a nie mogłem już wyjąć, bo blokowi biegali bez przerwy, bili i w końcu doprowadzili kolumnę do porządku. Będzie źle, pomyślałem sobie.

Gdy już weszliśmy na plac apelowy, czoło naszej kolumny stawiało kotły, a od frontu zagrodziło im drogę kilku blokowych i kazali zaczekać. Źle – będzie rewizja. I tu rozwiązanie przyszło samo: ten, z którym niosłem kocioł, był słabszy niż ja i już nie miał sił nieść do końca, nogi się pod nim uginały i kocioł kilka razy zawadził o ziemię. Nagła myśl – rozsypać kartofle! Gdy kocioł znów dnem zawadził o ziemię, puściłem ze swej strony, lecz tak, że szarpnąłem kotłem do przodu. Kocioł przewrócił się i kartofle wysypały się szeroko po placu. W ludzi jakby strzelił piorun. Ci, którzy już kotły postawili, rzucili się na kartofle, a ci, co szli z tyłu, stawiali kotły tam, gdzie kto stał, i też zaczęli zbierać. Blokowi z furią wpadli w tłum i bili wszystkich bez wyjątku, depcząc nogami ludzi i kartofle, lecz z tych, którzy zbierali, nikt na to nie zważał. Gdy tylko kocioł się przewrócił i zrobił się bałagan, ja od razu uciekłem na blok, dałem znak Stefanowi i szybko wyładowałem kartofle, które schowaliśmy w łóżku. za kilka minut już i przy naszym bloku zrobił się hałas. To blokowi gonili i bili tych, którzy im uciekali. Wpadli do sztuby i przyglądali się, kto tu może być z tych, którzy narobili im takiego bałaganu. Kogo wtedy zbili, to zbili – lecz na pewno wielu było takich, którzy wieczorem nieźle sobie podjedli.

Mówię wieczorem, bo my kartofle zjedliśmy dopiero po kolacji. Gdybym jadł wcześniej, to nikt by mi nie uwierzył, że odłożyłem sobie z obiadowej porcji, a wieczorem mogłem kupić za kolacyjną kiełbasę.

Takimi to sposobami organizowaliśmy ze Stefanem jedzenie w obozie koncentracyjnym Mauthausen w roku 1940. na bloku –

łupiny, pomoc od Heńka B. i wymiana kiełbas na zupę. W pracy – głąby, zlewki z baraków SS i odpadki z magazynu żywnościowego SS. Później doszły jeszcze inne, też niebezpieczne i jeszcze bardziej ryzykowne sposoby, ale o tym będzie mowa osobno.

Jedzenie organizowali i inni, lecz brali się do tego wtedy, gdy już umierali z głodu, muzułmani, którzy już nie mieli siły chodzić. Takiemu ciężko było organizować, bo był już do ostatnich granic wycieńczony. Taki nie myślał już jasno i logicznie i nie miał siły nawet uciekać, gdy groziło niebezpieczeństwo. Lazł taki, na przykład, do wozu z kapustą, stojącego przed kuchnią, i brał główkę kapusty, nie zważając na to, że widzi go ten, który pilnuje wozu. Kończy się to tym, że odbierają mu kapustę i jeszcze go zbiją. Taki nie reaguje na uderzenia, lecz później, po biciu, nie może pracować, co staje się powodem nowego bicia, i w końcu człowiek pewnego dnia wykończy się. Jeśli uda mu się odejść z główką kapusty, to grozi mu biegunka, na którą w tym czasie ludzie umierali masowo. Z naszych kolegów pierwszy na biegunkę wykończył się Stefan Kęszycki, ten, z którym mnie Stefek Krukowski poznał, gdy przyszedłem na blok trzynasty. Ludzie ci z obawy przed biciem nie brali się za organizowanie jedzenia. Pracowali też uczciwie, żeby nie podpaść i uniknąć bicia. Chcieli przetrwać do końca wojny lub zwolnienia do domu. Przecież o zwolnieniach mówiło się bez przerwy, a większość wierzyła, że do lata 1941 roku wojna na pewno się już skończy. Więc po co ryzykować – mówili tacy – odbiorą człowiekowi zdrowie albo i zabiją, a ja chcę przeżyć, chcę wrócić do domu, do rodziny. Ciężko, bo ciężko. Jest głód – no jest i głód, lecz te kilka miesięcy jakoś człowiek wytrzyma – i robili, robili ponad siły, a jedli tylko to, co otrzymali. Chcieli przeżyć i bali się ryzykować zdrowie czy też życie, a nie wiedzieli, że w ten sposób sami szli do krematorium. Gdy taki się wreszcie zorientował, jak to wszystko wygląda, było już przeważnie za późno: nie miał on już ani zdrowia, ani sił do nowego zrywu. Częściej jednak ludzie czekali do końca i dopiero gdy go pierwszy raz przynoszono z pracy, bo już sam nie mógł przyjść, widział, że to koniec. Lecz wtedy zostawało mu do życia nie więcej niż kilka dni, bo do pracy musiał chodzić codziennie, i wreszcie przynoszono go jednego dnia już w charakterze nieboszczyka.

Będąc raz w ubikacji, widziałem siedzących obok siebie dwóch Hiszpanów. Jeden z nich obierał i jadł surowe kartofle, drugi podnosił i zjadał łupiny. Wydało mi się dziwne, że ludzie jedzą surowe kartofle. Nie myślałem wtedy nawet o tym, ile ja jeszcze zjem surowych kartofli. Patrząc na nich, roześmiałem się. Pomyślałem sobie – oto jest arystokrata i biedak. To samo było z jedzeniem kości. Arystokrata objadał z nich mięso, i to niezbyt dokładnie, a kości oddawał swoim służącym. Ci obskrobywali dokładnie resztki mięsa i oddawali gołe już zupełnie kości swoim znajomym, a ci już zjadali samą kość. Takie właśnie kości dostawaliśmy od Zygmunta Jaczewskiego i jedliśmy je całe.

Organizowanie jedzenia – to był dopiero pierwszy, podstawowy warunek dający szansę przeżycia dnia. Drugim, tak samo ważnym warunkiem istnienia w obozie była umiejętność uchylania się od pracy, i to nie tylko od ciężkiej, lecz od każdej, najlżejszej nawet pracy.

Należało wyrobić w sobie uczucie wstrętu do pracy, i to takiego wstrętu, żeby człowiek był gotów iść na każde ryzyko, żeby był przygotowany na każde bicie, aby tylko nie pracować.

Gdy zakończyła się praca przy walcu, nie włączyłem się już do żadnej stałej grupy, lecz stawałem do pierwszej z brzegu i odłączałem się, zanim kapo zapisał nasze numery. Potem spotykałem się ze Stefanem i organizowaliśmy jedzenie.

Organizowanie nie mogło trwać cały dzień. Gdy już wszystkie możliwości były wyczerpane, trzeba było jednak czymś się zająć. Więc Stefek, jak długo było ciepło, chodził spać do wieżyczek posterunków, a później włączył się do grupy murarskiej pracującej w podziemiach kantyny oficerskiej.

Ja poszedłem inną drogą. Przyznać się muszę, że bałem się spać w tych wieżach. Wiedziałem, że jeśli tam złapią – nic już nie uratuje od śmierci. Stefan nie dał się przekonać. Twierdził, że jest to najlepsze schowanko, trzeba tylko dobrze uważać przy wchodzeniu i wychodzeniu. Ja dobrałem sobie trzech kolegów z naszej sztuby – Marian Krysiak i Zbyszek K. byli z Łodzi, a Leon Cerak z Bydgoszczy. Żaden z nich już nie żyje. Marian Krysiak umarł w Mauthausen, a Zbyszek K. i Leon Cerak w Gusen. Leon Cerak umiał mówić dobrze

po niemiecku. na daleko wysuniętym odcinku, gdzie w pobliżu nie pracował nikt, sterczały ułożone w równe stosy rury cementowe długości jednego metra i chyba piętnastu, może osiemnastu centymetrów średnicy. Tamci trzej też urywali się tak jak i ja i stawali przy tych rurach, a ja dołączałem się do nich. Nieraz przychodził też do nas Krukowski lub B., żeby pogadać i razem z nami popracować. Leon Cerak też był niezłym kombinatorem. Zaczęło się to tak:

Spotkaliśmy się raz na drodze i żeby trochę pogadać, stanęliśmy przy tych rurach. Żeby nasze stanie nie wydało się nikomu podejrzane, stanęliśmy z dwóch stron stosu. Zauważyłem długi, gruby drążek leżący obok, podniosłem go i przesunąłem go przez jedną rurę – żeby można ją było w razie czego podnieść – i tak zabezpieczeni prowadziliśmy rozmowę. Jak już powiedziałem, w pobliżu nie było żadnych prac, więc teren był pusty, raz na jakiś czas przechodził tamtędy w kierunku baraków esesman lub jakiś więzień. Mieliśmy na oczach całą drogę, bo wzdłuż drutów otaczających obóz i teren w kierunku baraków. Nikt nas tu nie mógł znienacka zaskoczyć. Szybko zorientowaliśmy się, do jakiego celu mogą służyć te piramidy rur. Dobraliśmy sobie Mariana Krysiaka i Zbyszka K., wyszukało się drugi kołek i staliśmy całymi dniami przy tych rurach. Gdy z daleka zobaczyliśmy esesmana, rozpoczynaliśmy pracę, która polegała na podwyższaniu piramidy. Z zachęcającymi okrzykami: Oooo-hop! oooo-hop!, podnosiliśmy rurę przy pomocy drążka wyżej, układając stos do góry. Gdy niebezpieczeństwo minęło, zdejmowaliśmy na dół kilkanaście rur, żeby w razie niebezpieczeństwa były znów do układania. Wprost nie do wiary – lecz przy rurach tych staliśmy kilka tygodni i nigdy żaden z nas nie dostał bicia. Raz tylko jeden esesman zainteresował się nami. Z dziesięć minut przyglądał się naszej pracy, podszedł i zapytał, do jakiej grupy należymy.

– Kanał-komando, grupa kopiąca kanał – odpowiedział Leon Cerak.

Wiedzieliśmy, że jest taka grupa, i odpowiedź była z góry przygotowana.

– A co wy tu robicie? – pyta dalej.

– Przyszliśmy po rury.

Ten jednakże nie odchodzi, tylko stoi dalej. Nam już zabrakło rur do podnoszenia, więc Leon rozkazał brać rury na drągi i marsz. Poszliśmy wzdłuż drutów w kierunku baraków mieszkalnych SS, a on kilka kroków za nami. Minęliśmy już kuchnię, krematorium, garaże i komendanturę, a on idzie za nami. Przecież nie możemy iść z rurami wokół obozu i przyjść w to samo miejsce, więc szepnąłem po cichu Cerakowi, który szedł obok mnie, że rury zwalimy za oficerską kantyną. Może się uda. Miałem na myśli rów, do którego weszliśmy z kotłem jedzenia zabranym spod bramy.

Odetchnęliśmy z ulgą, gdy esesman skręcił między baraki. za kantyną odpoczęliśmy i poszliśmy z rurami na swoje miejsce.

Rozmowy, jakie prowadziliśmy, stojąc przy rurach, były przeważnie na tematy kulinarne. Omawiano, jak się przyrządza różne potrawy, w których główną rolę odgrywał tłuszcz. Rozmowy o jedzeniu były aż do końca stałymi rozmowami ludzi głodnych, którzy nie tylko rozmawiali o tym, lecz niektórzy starali się o papier, ołówki i zapisywali sobie, jak przyrządza się różne potrawy. **Zbyszek K. zabawiał nas opowiadaniem o życiu pozagrobowym, które wygląda nie tak, jak mówi o tym religia, tylko w człowieku tkwią siły astralne i te istnieją dalej. Mówił, że tym kierunkiem wiedzy bardzo się interesował, a że pozostali trzej byliśmy ciemną masą, robotnikami, więc nawet z ciekawością słuchaliśmy jego wywodów.**

Po kilku tygodniach, w niedzielę rano, nałapano ludzi, którzy poszli do południa pracować. Gdy w poniedziałek poszliśmy do pracy – okazało się, że nasze rury zniknęły. Zostały one w niedzielę wywiezione samochodami. Zostaliśmy bez pracy. Dobrze nam było tak we czterech, więc szkoda było rozwiązać naszą grupę roboczą. Postanowiliśmy rozejść się i do południa wyszukać odpowiednią pracę.

Tym razem pracę wyszukał Zbyszek K. Niedaleko naszego poprzedniego miejsca pracy stał barak elektryków, a z tyłu przy baraku była odkryta szopa. Były to dwie boczne ściany dochodzące do baraku i daszek. Frontowej ściany nie było w ogóle. W szopie tej stały w skrzyniach porcelanowe izolatory. Gdy weszliśmy tam pierwszy raz, mieliśmy stracha, co z tego wyniknie. na drugi dzień już strach był mniejszy, a po czterech – to już szliśmy jak do

normalnej pracy. Nasza „praca” w szopie polegała na tym, że z deseczek i pokryw od skrzynek zrobiliśmy półki, poustawialiśmy na nich różne instalacje, każdy z nas w jednym ręku trzymał jakiś izolator, a w drugim trochę waty drzewnej, która była w skrzynkach do ochrony izolatorów przed potłuczeniem, i tą drewnianą watą „czyściliśmy” izolatory – wtedy tylko, gdy zbliżało się niebezpieczeństwo. Przy tej pracy musieliśmy się trochę poruszać, bo szopa nasza znajdowała się tuż przy ścieżce, którą przechodziło dużo osób. Miejsce przez nas obrane było pod względem ruchu śródmieściem dużego miasta w porównaniu z poprzednią pracą przy rurach, gdzie zaledwie kilka razy dziennie ktoś przechodził. Barak elektryków był jednym z wielu baraków, w których mieściły się różne warsztaty, do których często przychodzili esesmani.

Dziwne nam się wydało jedynie zachowanie kapa elektryków, który musiał wiedzieć o dzikich lokatorach zakwaterowanych w jego pomieszczeniu, lecz nie ruszał nas wcale. Nieraz przechodził obok, ale zachowywał się tak, jakby nas wcale tam nie było. To samo robili inni ludzie z grupy elektryków. Izolatory te nie były nikomu potrzebne, bo chociaż niektóre skrzynki były zabite, to izolatory z innych, rozbitych, walały się na ziemi w wielkim nieładzie. Te walające się luzem poukładaliśmy na naszych półkach, a resztę ułożyliśmy w kącie na ładną kupkę i przez dwa tygodnie znów trwały rozmowy o życiu każdego z nas na wolności. **Umawialiśmy się, że każdy z nas opowie dobry dowcip albo ciekawe epizody ze swego życia, lecz dużo czasu przechodziło nam na omawianiu jadłospisów różnych tłustych i smacznych potraw.**

Tu dopiero uświadomiłem sobie dokładnie, że uchylanie się od pracy nie jest wcale takie trudne, należy robić to tylko z dużym tupetem i odwagą. Niedługo potem zrozumiałem i stosowałem ulepszoną metodę, metodę w ruchu. Trudniejsza do uchwycenia i przez to bezpieczniejsza, dawała jednocześnie możność organizowania, bo człowiek wciąż zmieniał miejsce pobytu i nikomu nie rzucał się w oczy.

Przy izolatorach staliśmy chyba więcej jak dwa tygodnie. Aż raz, przed samym obiadem, wpadł do nas jakiś starszy esesman i zapytał, co my tu robimy.

– Czyścimy izolatory – odpowiedział Leon Cerak.

– Kto jest waszym kapem?

– Ja – mówi spokojnie Leon.

– Stójcie i nie odchodźcie stąd – powiedział esesman. A sam wszedł za róg szopy i słyszymy, jak puka w okno baraku i woła kapa.

To my za drugi róg i… chodu. Zauważył, że uciekamy. Wrzeszczy: „Stać! Stać!", i odpina kaburę pistoletu. Wróciliśmy z powrotem. Wtedy on zapytał kapa elektryków, który wyszedł z baraku, co my tu robimy. Ten wzruszył ramionami i powiedział, że on o nas nic nie wie, pierwszy raz nas widzi. Dobry musiał być chłop z niego, bo nic nie mówił, że my tu już tyle czasu stoimy.

Kapo poszedł do swego baraku, a esesman zaczął nas oprawiać. Rozpoczął ode mnie. Dotknął mnie paluchem w piersi i kazał odpiąć marynarkę i koszulę. Wsadził rękę i wyjął… pęk wełny drzewnej. Włożył rękę znów – drugi pęk. I jeszcze raz, i jeszcze raz. Następnie powyciągał mi zza koszuli kawały papy i papieru z worków do cementu. Przez cały czas, co włoży rękę i coś wyciągnie, to mnie w twarz – dwa, trzy, cztery razy. I znów łapę pod koszulę – jest papier, znów po twarzy i dalej szuka, i znów bije. Wreszcie wyciągnął wszystko i zabrał się do następnego. Tak obrobił nas wszystkich czterech. Następnie zaprowadził nas do magazynu z cementem. Słyszymy – sygnał na zbiórkę do apelu południowego. Esesman wziął w łapę trzonek od łopaty i kolejno każdemu z nas, przełożonemu przez worki z cementem, wlał po dziesięć w dupę.

Sygnał na apel obronił nas przed większym biciem, bo kapo musiał się spieszyć, żebyśmy zdążyli na zbiórkę. W przeciwnym razie wszyscy zgrupowani na apel musieliby czekać na nas. No cóż – dobrze było w szopie, ale się skończyło i obecnie znów człowiek został „bezrobotnym".

Żeby nie podpaść, należało wstawić się do jakiejś grupy roboczej i ciężko pracować albo szukać sobie nowej „roboty". Zrozumiałe chyba, że wybrałem bezrobocie i poszukiwanie pracy. Tym razem nasze „komando" rozpadło się i każdy z nas poszukiwał roboty na własną rękę. Zbyszek K. i Marian Krysiak pojęli już nieźle zasady „pracy" i mogli działać osobno.

Po kilku dniach Marian Krysiak wykończył się. Zabolała go prawa noga i na udzie zrobiło mu się mocno zaognione stwardnienie.

Poszedł na rewir, a po dwóch dniach już przyniesiono na blok jego ubranie. Był to dowód, że już nie żyje. Nie przypuszczam, żeby umarł na ten ból w nodze. Wyglądało na to, że go zabili, bo następnego dnia po pójściu na rewir, a dzień przed przyniesieniem ubrania, widziałem go wyglądającego przez okno i przez druty, na odległość zamieniliśmy kilka słów. Mówił mi wtedy, że czuje się bardzo źle, lecz wygląd jego nie wskazywał na to, że już następnego dnia będzie nieboszczykiem.

Opowiedziałem, jak to esesman wyciągał nam spod koszuli papiery, papę i wióry drzewne. Mówiąc o pracy przy izolatorach, nie wspomniałem o tym, że przez cały ten czas było bardzo zimno i prawie bez przerwy padał drobny dokuczliwy deszcz. Mieliśmy na sobie tylko bieliznę i cienkie pasiaste ubranie, które jak zmokło, to po zdjęciu można je było postawić w kącie i stało, bo było sztywne. Żeby chociaż częściowo chronić się przed zimnem, kto mógł, wkładał pod ubranie papier z worków po cemencie lub kawały papy. Papier z worków był lepszy, bo w dużym kawale robiło się dziurę i wkładało przez głowę, wtedy papier zakrywał piersi, plecy i ramiona. Był jednak i feler – papier przy poruszaniu się szeleścił. na apelach blokowi, sztubowi i kapowie chodzili między szeregami i każdego dotykali łapą. Jeśli zaszeleścił papier, więzień płacił za to biciem, i to często takim biciem, że tracił zdrowie, a nieraz i życie. Mimo to ci, co mieli możność zdobycia toreb od cementu, wykorzystywali je do osłony przed zimnem i deszczem.

Prócz papieru wtykaliśmy jeszcze pod koszulę papę i całe pęki wiórów drzewnych, które wkładaliśmy na piersi i plecy. Codziennie przed wejściem do obozu na południowy i wieczorny apel zdejmowaliśmy nasze dodatkowe ubrania, żeby nie podpaść na apelu. Nie opłaciło się nam ryzykować zdrowiem lub życiem i chodzić w papierowej koszuli na apele, bo duża była możliwość wpadnięcia.

Po rozpadnięciu się naszej grupy pracowałem solo. Rano urywałem się jak zwykle, polowałem ze Stefanem na jedzenie, a potem brałem schowaną łopatę i szukałem sobie miejsca do pracy. Łopatę chowałem dlatego, żebym nie musiał codziennie szukać sobie narzędzia do pracy.

Przez kilka dni ustawiałem się przy dużej kupie piasku. Robota polegała na podrzucaniu piasku, który cienką warstwą leżał wokół wysokiej kupy. Wiadomo, że robotę tę sam sobie wymyśliłem, żeby się piasek nie marnował. Nie była to dobra robota, bo piasek był widoczny ze wszystkich stron i chociaż powoli, jednak trzeba było się poruszać. Poza tym kupa była wysoka i nie było widać drugiej strony, więc w każdej chwili mógł mi ktoś przed sam nos wyskoczyć z drugiej strony piasku.

Tym razem w dalszej markieracji przyszedł mi z pomocą Stefan Krukowski i przypadek. Jednego wieczora wpadło do nas na sztubę kilku typów w białych fartuchach, jak się okazało – sanitariusze z rewiru. Kazali nam odpiąć spodnie, unieść koszule i kolejno oglądali nam brzuchy. Obejrzeli już sporo ludzi, a kilku odstawili na bok. Szukali na brzuchu wysypki. Stefan posłyszał, że chodzi o świerzb, który pokazał się w obozie. Wyczuł od razu możliwość odpoczynku. Naradziliśmy się szybko i postanowiliśmy dostać się do grupy chorych na świerzb. Udało się. Nie wybrali nas, lecz sami tak zakręciliśmy się, że ustawiliśmy się w grupie odstawionych. Po skończonej kontroli zapisano nasze numery i zaprowadzono na blok czternasty. Okazało się, że jest nas z całego obozu pełna sztuba. Ułożono nas na siennikach rozłożonych pod ścianami, po dwóch na każdym sienniku. Ja leżałem ze Stefanem, a obok nas położył się Stefan Boruciński – młody, bardzo grzeczny chłopak z Piastowa koło Warszawy. Żywot jego nie był jednak długi, bo kilka dni po opuszczeniu baraku czternastego został rozstrzelany. na bloku tym przez cały tydzień mieliśmy zupełnie przyjemne życie. Nawet na chwilę nie wypuszczano nas z bloku, żebyśmy nie roznosili świerzbu. Apele odbywaliśmy na bloku, a cały dzień leżeliśmy w koszulach i kalesonach na siennikach, czas spędzając na różnego rodzaju opowiadaniach. Cały tydzień musieliśmy codziennie, rozebrani do naga, nacierać się wzajemnie maścią. Ostatniego dnia zrobiono nam gorącą kąpiel, oddano ubrania i z powrotem odesłano na bloki. Przez ten tydzień dobrze sobie odpoczęliśmy i wygrzaliśmy się. Urlop – wczasy. Stefan miał dobre wyczucie, bo przez cały ten tydzień padały deszcze. Brak było nam tylko jedzenia, bo tu już nic nie mogliśmy zorganizować.

Po powrocie do pracy Stefan namówił mnie, żebym spróbował iść do jego grupy. Kapo Wincens – Austriak z czarnym winklem – to dobry chłop i na pewno mnie przyjmie. Poszedłem. Już ze dwie godziny pracowałem uczciwie, żeby mu się podobać, gdy kapo mnie zauważył.

– Co, nowy? – zapytał.

– Tak jest, nowy – odpowiedziałem grzecznie i skromnie, patrząc na niego z miłym uśmiechem.

– To chodź ze mną.

Poszedłem za nim do drugiej piwnicy, a kapo bierze deskę i mówi do drugiego Niemca:

– Trzymaj go za łeb.

Ten wsadził mi głowę między swoje nogi, a kapo wlał mi pięć razy deską i powiedział, że dostałem za to, bo przyszedłem do niego bez pozwolenia. Wygnał mnie, więc poszedłem pracować na swój sposób. Wieczorem Stefan powiedział mi, że rozmawiał z Wincensem, prosił go, więc jutro mogę spokojnie już ustawić się do jego grupy.

W ten sposób dostałem się do grupy Wincensa i znalazłem się razem ze Stefanem. Pracowaliśmy wtedy przy cementowaniu oraz stawianiu różnych ścianek działowych w podziemiach kantyny oficerskiej. W tych samych, w których niedawno chciał mnie esesman zabić kołkiem. Stefan i ja mieliśmy obowiązek dostarczania murarzom wapna, które przywoziliśmy taczkami z dołu, znajdującego się w sporej odległości od naszego miejsca pracy. Wincens powiedział, że go nic nie obchodzi, co i jak będziemy robili, aby tylko murarze nie skarżyli się, że nie mają wapna, ale murarze też oszczędzali robotę, żeby im starczyło jej na dłuższy czas, bo to była przecież robota pod dachem.

Grupa nasza razem z kapem liczyła trzynaście osób, w tym trzech Niemców i dziesięciu Polaków. Kapo grupy Wincens miał tak ze trzydzieści lat, był średniego wzrostu, krępy, silny, dobrze zbudowany, bardzo dobrego charakteru człowiek. Te pięć uderzeń deską, które otrzymałem od niego na przywitanie, były jedyne, które od niego dostałem. Nigdy nikogo nie bił. Raz jeden zbił tylko Niemca, swojego zastępcę, za to, że niesprawiedliwie rozdzielił kartofle, które

Wincens wieczorem zorganizował dla swojej grupy. Często dzięki jego staraniom otrzymywaliśmy wieczorem z kuchni prawie pół kotła kartofli, które on sam rozdzielał. Wydawał sprawiedliwie. Podchodziliśmy do kotła kolejno i po otrzymaniu kartofli stawaliśmy znów na końcu. Gdy ten pierwszy znów stanął przed kotłem, zaznaczał, że już raz brał. Wtedy kapo dawał mniejszą ilość, ale też wszystkim. Zdarzyło się raz, że musiał gdzieś iść, więc kazał swojemu pomocnikowi rozdać kartofle. Ten wydawał tak, jak wydawali inni kapowie. Każdemu po kilka kartofli, a resztę sobie i innym Niemcom. Chłopaki, nieprzyzwyczajeni do takiego podziału, zaczęli się buntować. W odpowiedzi zbił on po twarzy jednego z nas. na tę scenę nadszedł Wincens.

– Co jest? – zapytał.

Powiedzieliśmy. Żadnego z obdzielonych Niemców nie ruszył, lecz swojemu pomocnikowi odebrał wszystkie kartofle i oddał nam. Po rozdaniu tych kartofli zupełnie spokojnie, bez nerwów, zaczął go bić. No, ten dostał dobrze za swoje, a my mieliśmy uciechę, bo nikt z nas go nie lubił, a tego dnia wyjątkowo, bo skrzywdził nas na jedzeniu. na drugi dzień Wincens był już bez zastępcy, bo dotychczasowego wypędził.

Pracując teraz u Wincensa, staraliśmy się dalej o zlewki, które mieliśmy tylko dla siebie, ale kapo nieraz przynosił do piwnicy kocioł ze śniadaniem esesmanów. Była to przeważnie tłusta zupa knorrowa (z kostek) albo sago. Zupą tą obdzielał wszystkich. W kącie, w drewnianej skrzynce mieliśmy schowane puszki po konserwach, w które nalewał nam zupę. Podczas polowania na zlewki udało nam się ze Stefanem kilka razy zabrać kocioł ze śniadaniem, lecz to już oddawaliśmy Wincensowi do rozdziału dla wszystkich. **Umywalnia znajdowała się prawie naprzeciw drzwi wejściowych, a kocioł ze śniadaniem stał głębiej w korytarzu i esesmani, którzy już byli gotowi do śniadania, sami nalewali sobie zupę z kotła. Gdy braliśmy kocioł z jedzeniem, to w wypadku złapania nas mogliśmy mówić, że zabieramy kotły do kuchni, bo kotły te po opróżnieniu w naszej piwnicy faktycznie odstawialiśmy do esesmańskiej kuchni.**

Pracując w piwnicach oficerskiej kantyny, mieliśmy blisko do magazynu żywnościowego SS. Teraz już wszystkie odpadki

wyrzucane do skrzynki należały do nas. Po każdym przyjeździe z wapnem jeden z nas sprawdzał, co nowego zostało wrzucone. Prócz skrzynki znaleźliśmy nowy sposób organizowania jedzenia z magazynu. Często do magazynu przyjeżdżały samochody z prowiantem, który trzeba było wyładować. Więźniowie, którzy pracowali w magazynie, to prominenci, którzy sami nie wyładowywali, było ich poza tym mało, więc esesman pilnujący samochodu każdego, kto mu wpadł pod rękę, łapał do przenoszenia produktów z samochodu do magazynu. Nas nie musiał łapać. Zgłaszaliśmy się sami na ochotnika. Teraz dopiero zaczynała się gra. Różne artykuły nosiło się w różne końce magazynu. Przechodziło się między półkami i workami z różnymi produktami. Braliśmy wszystko, co można było włożyć do ust i zjeść – kasza, groch, ryż, płatki owsiane, jabłka. Te produkty przeważnie pchaliśmy w kieszenie. Wiadomo, robiliśmy to tak, by nikt nic nie zauważył – bo wtedy bicie. Gdy już mieliśmy sporo w kieszeniach, należało urwać się tak, żeby nikt tego nie zauważył, bo czasem po wyładowaniu samochodu rewidowano tych, którzy nosili, i niejeden raz ktoś dostał dobre lanie, jeśli znaleziono u niego coś w kieszeniach.

Łatwo było urwać się, jeśli przy samochodzie nie było esesmana. Często jednak stał taki padalec przy samochodzie i obserwował, jak przebiega wyładunek. Wychodziliśmy wtedy razem ze Stefkiem z magazynu i szybkim krokiem skręcaliśmy w stronę wejścia do piwnic. Nie staraliśmy się ukryć, lecz gdy przechodziliśmy obok esesmana, prawidłowo zdejmowaliśmy czapki i szybkim krokiem szliśmy dalej. Myliła go wtedy nasza spokojna postawa i pewność siebie.

Muszę przyznać, że bezczelności i tupetu nam nie brakowało. Widziałem często, jak urywali się inni. Gdy taki wychodził z magazynu, a widział, że esesman patrzy w inną stronę, wtedy skręcał w bok, a nieraz jeszcze oglądał się, czy go nie zauważył. Gdy esesman takiego zobaczył, wiedział zaraz, o co chodzi, zawracał, sprawdzał, co ma w kieszeniach, zbił – i kazał pracować dalej. Niby łatwiej jest urwać się pojedynczo, a jednak w tym wypadku łatwiej było urwać się dwóm jednocześnie, lecz tylko bezczelnie, tak jak my to robiliśmy. **Nie pomyśli taki wybraniec boży, że tam, gdzie wszyscy**

drżą przed nim ze strachu, mogą być i tacy, co z naładowanymi kieszeniami tak spokojnie odchodzą. Ten trik przechodził zawsze. Pomagały nam w tym pasiaste ubrania, bo esesman musiałby się dokładnie przyglądać, żeby każdego poznać.

Nieraz nie można było nic zorganizować, a znów żal było wyjść z magazynu z pustą kieszenią. Kiedyś nosiliśmy płatki owsiane w papierowych workach. Już niewiele worków pozostało do zniesienia, a kieszenie puste. Worki były lekkie i nosiliśmy je na ramieniu. Przechodząc z jednym workiem, celowo zawadziłem nogą o próg i gdy się potknąłem, całą siłą walnąłem torbą o podłogę. Rozleciała się. Płatki się rozsypały. Ja dostałem bicie po twarzy, ale płatków nabrali wszyscy, i to prawie oficjalnie, bo zebrali tylko z wierzchu, to, co było czyste, a resztę zostawiono dla nas.

Innym razem nosiliśmy kartony z małymi kostkami margaryny. Wtedy nie wytrzymał Stefan. Idzie przede mną, niosąc pudło kartonowe na ramieniu, i widzę, jak drugą ręką stara się otworzyć pudło, żeby wyciągnąć kostkę margaryny. Pudło stawiało opór. Pociągnął mocno i… wszystko się rozsypało. Stefan też dostał kilka razy w twarz, lecz przy zbieraniu schował jedną kostkę, a ja dwie i mimo że pilnował nas esesman, a my mieliśmy w kieszeniach margarynę, w bezczelny, nam właściwy sposób urwaliśmy się do swoich piwnic.

Wydawane wieczorem kartofle naprowadziły nas na nowy pomysł. Po kolacji, gdy różne grupy wydawały repety, było już prawie zupełnie ciemno. Wincens organizował dla nas jedzenie dwa–trzy razy w tygodniu. W inne dni chodziliśmy z miskami na plac apelowy i podchodziliśmy pod cudze kotły. Ustawialiśmy się w innych grupach, a że było zupełnie ciemno, często udawało nam się repetę otrzymać. To jednak było bardzo niebezpieczne. Gdy już podchodziłem pod obcy kocioł, to zawsze robiłem to z wielkim strachem. Tu naprawdę łatwo było stracić życie i niejeden ten sport życiem przypłacił.

Tu bezkonkurencyjny był Stefan Krukowski. Mimo że mnie też niczego nie brakowało, podziwiałem go, gdy widziałem, jak spokojnie i z zimną krwią ustawia się w cudzym szeregu, bierze jedzenie, spokojnie odchodzi i stojąc kilka kroków od kotła, spokojnie zajada.

Jednej niedzieli dwieście osób poszło do jakiejś pracy. do pracy tej wzywano ochotników, obiecując dobre jedzenie. My nie lubiliśmy robić, więc się nie zgłosiliśmy, uważaliśmy, że miska jedzenia nie wyrówna nam tego, co stracimy przez cały dzień pracy. Po południu ludzie ci powrócili, rozeszli się na bloki i po chwili znów zebrali się już z miskami na placu apelowym. Ale co się okazało: w pracy było dwieście osób, a z miskami na placu było więcej jak pięćset osób. Kapowie w przewidywaniu tego mieli zapisane numery wszystkich tych, którzy pracowali. Wniesiono kotły i rozpoczęła się zabawa. Jeden kapo wywoływał numery, drugi sprawdzał numer, trzeci wydawał jedzenie. Była to zupa obiadowa SS, a później okazało się, że w innych kotłach są kartofle zmieszane z sosem. Po wywołaniu występował wywołany, sprawdzano numer i dostawał porcję jedzenia. Kapo jednak szybciej czytał numery, niż ten drugi wydawał, więc przed kotłami robiła się kolejka. Gdy już w kolejce stało kilka osób, gubili orientację, a wtedy dołączali się inni i od razu kolejka wydłużała się. Szły wtedy w ruch kije i wszystkich stojących rozpędzano, znów zaczynano wywoływanie. za chwilę ta sama sytuacja – ogonek, ogon, bicie i znów od początku. Wtedy bałem się podejść pod kocioł, a Stefan podszedł dwa razy i dostał raz zupę, drugi raz kartofle, które zjedliśmy razem. Stefek połapał się w cyklu: wywoływanie – ogonek – ogon i bicie, więc gdy jeszcze trwało bicie poprzedniego ogonka i wszyscy się rozbiegali, wtedy Stefan podchodził, spokojnie stawał przed kotłem i w momencie rozpoczęcia nowego cyklu pierwszy brał jedzenie. Inni, którzy nie pracowali, a chcieli dostać jedzenie, podchodzili dopiero wtedy, gdy robił się bałagan, lecz wtedy dostawali kijami i ci, co pracowali, i ci, co nie pracowali, a po biciu wyczytywano dalsze numery, więc wielu z pracujących zamiast jedzenia dostało kijem, a wielu niepracujących, tak jak Stefan, dostało jedzenie.

Praca nasza była lekka. Obliczyliśmy ze Stefanem, że jeden normalny kurs po wapno powinien trwać pół godziny, a u nas trwał on więcej jak półtorej godziny. Robiliśmy trzy kursy do południa

i dwa–trzy po południu. Jeździliśmy drogą, która jakby serpentyną okrążała baraki i ogrody SS, które od tej strony ogrodzone były wysokim murem zaporowym, więc z baraków droga ta była niewidoczna. Więźniowie tą drogą nie chodzili wcale, bo do dołów z wapnem prowadziła jeszcze inna droga. My wybraliśmy tę, bo była lepsza, dłuższa, nieuczęszczana przez więźniów, więc znajdowaliśmy na niej, szczególnie rano, dużo ogryzków od jabłek i niedopałków papierosów. Nie odpoczywaliśmy nigdy z pustymi taczkami w drodze po wapno. Jechaliśmy wolno, majestatycznie i rozglądaliśmy się na wszystkie strony, czy nie leży coś, co można włożyć do ust. Najwięcej znajdowaliśmy rano, przy pierwszym kursie, bo wtedy leżało wszystko, co rzucono dnia poprzedniego wieczorem i tego dnia rano. Ale przy następnych kursach też jeszcze można było coś znaleźć. **Gdy wracaliśmy z wapnem, przystawaliśmy w każdym martwym punkcie i staliśmy tam tak długo, zanim nas ktoś nie spłoszył. Gdy zza któregoś zakrętu wyłaniał się „strach", jechaliśmy z wapnem tak daleko, zanim nam nie zniknął za drugim zakrętem, wtedy znów stawaliśmy i staliśmy tak długo, aż znów ktoś nas spłoszył. Gdy mijaliśmy martwą strefę, wtedy już jechaliśmy do bazy, a odpoczynki robiliśmy bardzo krótkie.** Nieraz, gdy była deszczowa pogoda, kursy robiliśmy szybko, a odpoczywaliśmy w piwnicy. Gdy byliśmy w kursie, a Wincens zorganizował zupę śniadaniową, po powrocie dostawaliśmy swoją część, którą dla nas zostawiał w puszkach po konserwach.

Raz, gdy wszyscy zapalili papierosy, ustawiłem się na czatach przy wejściu do piwnic. W pewnym momencie widzę buty z cholewami szybko zbiegające po schodach w dół, a za butami stopniowo wyłaniał się esesman. Gdy tylko zobaczyłem buty, ostrzegawczo krzyknąłem: „Woda!…". Posłyszałem za sobą ruch – rozbiegli się wszyscy i pogasili papierosy. Ten zaś zatrzymał się przy mnie i pyta: *Was ist woda? Was ist woda?* Zrobiłem głupią minę, że nie wiem, o co mu chodzi, a on znów pyta: *Was ist woda?*, i łup mnie z jednej, z drugiej ręki i jeszcze raz, i jeszcze raz. Gębę obił mi wtedy dobrze, ale byłem zadowolony, że nie chwycił chłopaków na paleniu, bo skończyłoby się to biciem wszystkich, a Wincens, który stał i palił razem z nimi, na pewno znalazłby się w karnej kompanii – a szkoda

by go było, bo dobry był chłop. Zauważyłem kiedyś, że nie ma on co palić, i powiedziałem to Stefanowi. Uradziliśmy dać mu paczuszkę, sześć sztuk cygar. Nie chciał przyjąć, chociaż nie miał co palić, w końcu przyjął, lecz prosił, żeby nikomu o tym nie mówić.

W tym samym czasie ze Stefanem i Heńkiem B. doszliśmy do wniosku, że właściwie to można przecież próbować ucieczki. Nie będę opisywał, jakie mieliśmy plany i różne warianty ucieczki, faktem jest, że myśleliśmy o niej poważnie i prawdopodobnie doszłaby ona do skutku. Gdy doszło już do zamiaru zdobycia cywilnych ubrań – mieliśmy je ukraść przez zakratowane okno z magazynu, w którym przechowywano nasze cywilne ubrania – przyszło nam do głowy to, co często było nam powtarzane, a mianowicie, że w razie ucieczki więźnia zostanie aresztowana i osadzona w obozie cała jego rodzina. W Warszawie – przed aresztowaniem – widziałem sam kilka przypadków aresztowania całych rodzin w wypadku, gdy nie zastali tego, kogo przyszli zamknąć. W dwóch znanych mi wypadkach poszukiwani zgłosili się, lecz rodziny mimo to nie zostały zwolnione. To zdecydowało o tym, że z ucieczki zrezygnowaliśmy.

W tym czasie, gdy projekt ucieczki dojrzewał w nas, Stefan Krukowski zapoznał mnie z kolegą swoim, Stefanem W. z Warszawy, który poprzedniego dnia został przeniesiony do nas z Gusen. Stefan cieszył się, że spotkał kolegę, z którym przebywał razem od chwili aresztowania: na Pawiaku, w transporcie, w Sachsenhausen i Mauthausen. Później W. przeniesiono do Gusen, a teraz znów przyszedł on do Mauthausen. Widziałem, jak bardzo Stefek cieszył się z tego spotkania i jak wiele wspólnych tematów mieli do rozmowy. Żeby im nie przeszkadzać, poszedłem sobie, zostawiając ich samych. Wieczorem opowiedział mi Stefan, jaki to fajny z W. chłopak.

Wieczorem, pół godziny po zgaszeniu świateł, gdy już po naszych „wiadomościach obozowych” nastała cisza i wszyscy ułożyli się do uczciwego snu, na salę wszedł sztubowy Karl i głośno zawołał: „Krukowski!”. Spojrzałem w stronę drzwi i zobaczyłem

w oświetlonych drzwiach jadalni mundury SS. Coś niedobrze, pomyślałem. Wiedziałem, że w nocy przychodzą oni przeważnie wtedy, gdy chcą sami kogoś wykończyć. Stefan wyszedł tylko w spodniach, koszuli i butach. Słyszałem z jadalni podniesione głosy i bicie. Dopiero po godzinie Stefan wrócił i położył się do łóżka. Był mocno zbity. do samego rana Karl prawie co godzinę wchodził na sztubę i sprawdzał, czy Stefan jest w łóżku. Rano dopiero dowiedziałem się od Stefana, że kazano mu się przyznać, kiedy i z kim zamierza uciekać z obozu. Nie przyznał się, więc go bili, kopali i powiesili za ręce przy suficie. Wisiał niedługo, bo na pytanie skierowane do Karla, jakich on ma kolegów, ten roześmiał się i powiedział, że ma on jednego kolegę, ale tylko śmiać się można z tego, żeby on mógł szykować się do ucieczki. Zawołał do jadalni Stefana Kęszyckiego, którego wykańczała biegunka. Był on okropnie chudy i już nie miał siły chodzić.

Po tygodniu, gdy wróciliśmy z pracy, Karl powiedział nam, że Kęszycki już nie żyje. Ostatnie dwa dni Karl sam zostawiał go na bloku, żeby nie chodził do pracy w takim stanie wycieńczenia. Dziwny chłop z tego sztubowego. Bydlę okropne i bandyta, a nieraz miał jednak ludzkie odruchy. Przecież dobrze wiedział, że ja jestem Stefana przyjacielem, a jednak nie powiedział, tylko wskazał umierającego Kęszyckiego i w ten sposób osłabił prawdziwość informacji o ucieczce Stefana z kolegami. O przyjaźni łączącej nas z Heńkiem nikt nie wiedział. Trzymaliśmy to w tajemnicy, żeby kapo Zaręba nie podejrzewał, że Heniek ma przyjaciół, którym może dawać otrzymywane od niego jedzenie.

Karl co godzinę zaglądał do Stefana, bo obiecał esesmanom, że go dopilnuje, by nie uciekł i żeby nic sobie nie zrobił. Gdyby nie zobowiązanie Karla, byliby zabrali Stefana od razu, tak jak stał, bez marynarki, i trzymaliby przykutego do wieży przy bramie obozu.

Głowiliśmy się, kto sypnął. Z nas trzech nikt. Może ktoś z nas trzech wspomniał komu cośkolwiek o naszych planach? Nie. Więc kto, kto? Nie wiadomo.

Rano Stefek nie poszedł do pracy, bo miał stanąć przed komendantem obozu. Cały ten dzień chodziłem zdenerwowany. Nie wiedziałem, co jest ze Stefkiem. Co będą robili. Jeśli będą męczyć, to

może się załamać i wydać mnie i Heńka. Wtedy nowe bicie, po którym, jeśli się je przeżyje, przeniesienie do karnej kompanii – a karna kompania to znów śmierć, tylko że tu nie umiera się od razu, lecz trzeba się jakiś czas pomęczyć, zanim zaniosą człowieka do krematorium.

Wieczorem, gdy wracaliśmy do obozu, zobaczyłem Stefana stojącego na łańcuchu przy wieży. Jeszcze nie było wiadomo, co z nim jest. Po kolacji powiedział mi Jaczewski, że wszystko jest dobrze, Stefan nic nie powiedział, a przy wieży będzie stał do godziny dziesiątej wieczorem. Jaczewskiemu powiedział to sztubowy, który zamienił ze Stefanem kilka słów, gdy przechodził przez bramę, idąc do kuchni po kolacyjne kiełbasy. Ponieważ esesmani dopytywali się o kolegów Stefana na bloku, przezornie trzymaliśmy się wszyscy trzej z daleka od siebie.

Dopiero następnego dnia w pracy Stefek wszystko mi opowiedział. na bloku esesmani bili go i kazali mu przyznać się do planowania ucieczki. Zagrozili mu, że go powieszą. Powiesili go, ale tylko za ręce. Po tym biciu pluł on przez dłuższy czas krwią. Następnego dnia odbyło się dalsze badanie u komendanta obozu. Stefan do planowania ucieczki nie przyznał się. Wtedy zarządzono konfrontację. Nareszcie dowie się, kto sypnął. Wprowadzili… Stefana W. Komendant zapytał go, pokazując na Krukowskiego:

– Czy to ten chce uciekać?

– Tak, ten – odpowiedział W.

Wtedy komendant popatrzył długo na W. i zapytał go, czy jest Polakiem.

– Tak jest, ja jestem Polak.

– Świnia jesteś, nie Polak – odpowiedział komendant i kazał mu wyjść.

Po wyjściu znów zapytał Stefana, czy zamierzał uciekać. Stefan zaprzeczył. Powiedział tylko, że owszem, rozmawiał z W., a gdy rozmawiali, że ciężko jest żyć, i ten zapytał, co ma zamiar robić, odpowiedział mu, że nie wie. Uciekłby, gdyby ucieczka była możliwa, ale o tym nie ma co myśleć nawet we śnie, bo ucieczka jest rzeczą niemożliwą. Komendant powiedział Stefanowi, że na takie tematy nie

wolno nawet myśleć. za rozmowę na ten temat mógłby przesłać go do karnej kompanii.

Po tej rozmowie Stefan stał bez jedzenia przykuty łańcuchem do ściany do godziny dziesiątej wieczorem. Karl zostawił mu jednak jego obiad i kolację, które zjadł po powrocie na blok.

Po tygodniu wezwano go po wieczornym apelu i z oficjalnego wyroku dostał piętnaście razy bykowcem w tyłek na specjalnym koźle. Kozioł ten był tak zrobiony, że ręce i nogi przymocowane były do niego klamrami, a przez pół dociskali pasem i wtedy bili w solidnie wypięty tyłek. Po otrzymaniu piętnastu razów Stefan znów musiał stać pod wieżą do godziny dziesiątej bez kolacji, lecz już go do ściany nie przykuwali.

Stefan powiedział mi, jak odbyła się właściwie jego rozmowa z W. Było to wtedy, gdy po poznaniu zostawiłem ich, żeby sobie pogadali. Rozmawiali oni o tym, że tu tak ciężko, a na pytanie W.: „Co myślisz robić?", Stefan odpowiedział:

– Albo przyjdzie tu zdechnąć, albo będę wiał.

– Jak to, tak sam będziesz uciekał?

– No, sam może nie, ale tak we dwóch–trzech.

Po tej rozmowie W. zaczepił jakiegoś esesmana i powiedział, że na trzynastym bloku jest jeden taki – Krukowski – który ze swym kolegą chce uciekać z obozu. Z tego już wywiązał się ciąg dalszy.

W. tłumaczył kolegom, że zrobił to ze strachu przed konsekwencjami, jakie muszą ponosić wszyscy więźniowie w przypadku czyjejś ucieczki. Miał przykład po ucieczce Nowaka z Gusen, po której urządzono okropną mordownię. Dużo więźniów wtedy zabili, a jeszcze więcej było zbitych i poranionych. Tego Nowaka po czterech dniach złapano i w Mauthausen był on na jednym bloku z nami, tylko że na sztubie A. Wkrótce potem został złapany w nocy na kradzieży chleba innym więźniom. Wiedział, że rano zaczną go wykańczać i że w ciągu dnia musi umrzeć, więc jeszcze w nocy wyszedł z baraku przykryty ciemnym kocem i tak zasłonięty próbował za świniarnią przejść pod drutami. Nie udało mu się to jednak. Zabił go prąd, gdy głowa była już po drugiej stronie drutów. Stary to był chłop, ale odważny. Wiedział, że i tak zginie, ale jeszcze chciał wykorzystać ostatnią szansę.

Od czasu tej historii W. zawsze, ile razy go zobaczyłem, posłyszał ode mnie kilka słów prawdy w rodzaju:

– Co, jeszcze żyjesz, ty… taki owaki itd. Zdechniesz, bydlaku, wolności już nie zobaczysz, a jeśli zobaczysz i ja zobaczę, to wtedy ja ci gardło poderżnę.

W Gusen dostawał przy każdym zetknięciu ze mną takie same porcje. Latem 1941 roku widziałem go bardzo słabego i musiał się już wkrótce potem wykończyć, bo więcej go nie zobaczyłem. Nieraz, gdy dostawał taką wiązankę, inni zwracali mi uwagę, jak mogę mówić tak do słabego człowieka. Wtedy opowiadałem historię ze Stefanem. Nie uderzyłem go nigdy, bo zawsze był słabszy niż ja. Ciężkie on miałby ze mną życie, gdybyśmy obaj byli w pełni sił. Już ja bym zawsze znalazł okazję do bijatyki, a wierzę, że wygrany byłbym zawsze ja.

Krótko po całej tej historii Stefan rozchorował się. Biegunka. Ta biegunka, na którą tak masowo umierali ludzie w obozie. Jedyny wtedy ratunek to nie jeść nic przez dwie–trzy doby. Ale mało kto mógł się zdobyć na taki wysiłek. Gdy chory na biegunkę nie jadł ani też nie pił nawet kropli wody przez dwie doby, wtedy organizm wypoczął i trzeciego dnia można było na śniadanie zjeść już dwie–trzy suche skórki od chleba, w południe pół porcji zupy, a wieczorem całą porcję kolacyjną – ale to wszystko dopiero trzeciego dnia. Przez dwa dni absolutnie nic. Biegunki tej dostawało się z głodu i wycieńczenia oraz, jak to wykazała dokładna obserwacja, po solidnym biciu. na tę biegunkę umarł Stefan Kęszycki, a obecnie zachorował Stefek.

Po kilku dniach już ciężko mu było chodzić i prowadziłem go pod rękę na apele, do pracy i z pracy. W pracy Wincens postawił go w kącie z łopatą w ręku i kazał mu nic nie robić. Niech tylko porusza się, jeśli do piwnicy wpadnie esesman. Sam zaś grzał w ogniu cegły, zawijał w szmaty i kazał Stefanowi przykładać do brzucha. Taki charakterny, odważny i zdecydowany na wszystko chłop jak Stefan nie miał jednak siły przerwać palenia lub chociaż nie sprzedawać jedzenia za palenie. Okazało się także, że nie ma on siły przerwać na te dwie doby jedzenia. Gdy Stefan siedział w piwnicy, ja organizowałem żarcie, które mu przynosiłem. Nie mogłem go

oszukać i zjadać sam, z drugiej strony nie mogłem go przekonać, by nie jadł, bo to były albo zgniłe jabłka, albo zimne zlewki, a tu przecież nie wolno jeść żadnego jedzenia. Gdy dawałem mu te zimne zlewki, zdawałem sobie sprawę, że go tym dobijam, a znów nie mógłbym sobie darować, gdybym ukrył przed nim i sam zjadł jakieś zorganizowane jedzenie.

Doszło do tego, że na apelu trzeba go było podtrzymywać pod ręce. Wysoki, przeraźliwie chudy, ubranie wisiało na nim jak na wieszaku – a mimo to zawsze uśmiechnięty, z humorem i dowcipem. Mimo że nie było jeszcze bardzo zimno, on trząsł się bez przerwy. Sprawa jasna – wykańcza się i za kilka dni wysiadka w ostatnią drogę do krematorium, a stąd kominem na wolność. Gdy na apelu Stefan dygotał cały z zimna, ktoś stojący przed nami popatrzył na niego i pełnym współczucia głosem powiedział:

– Mój Boże kochany, jak my cierpimy. Ale Chrystus też cierpiał.

– I do domu nie wrócił – odpowiedział Stefan, uśmiechając się przy tym ironicznie.

Tego dnia wieczorem za poparciem Zygmunta Jaczewskiego Karl wyznaczył mnie na nosiciela jedzenia. Dobra funkcja, z którą łączyło się otrzymywanie dodatkowych porcji jedzenia. Funkcję miałem objąć od następnego dnia rano.

Tego samego dnia wieczorem Krukowski zwrócił się do mnie z pytaniem, czy nie mam przypadkiem żyletki.

– Mam.

– Daj mi ją.

– A po co ci ona?

– Dzisiejszej nocy poderżnę sobie żyły.

– Wariat jesteś – mówię mu.

– Nie, nie wariat – odrzekł Stefan – tylko, widzisz, ja wiem, że już się kończę. Jutro, może pojutrze już nie będę mógł chodzić, wrzucą mnie wtedy do łazienki albo ustępu i zdychać będę jeszcze dwa–trzy dni. Przyjdzie ktoś z potrzebą, to stanie nade mną okrakiem i będzie się załatwiać albo odepchnie nogą dalej i będzie jeszcze wymyślał, że nie mieli mnie gdzie położyć, tylko pod samymi nogami.

Bo faktycznie tak odbywało się umieranie w obozie. Albo przynieśli już zabitego z pracy, albo rozebranego do naga – jeśli już nie mógł

sam stać na nogach – kładziono w umywalni, przeważnie jednak w ustępie. Nie otrzymywał on więcej żadnego jedzenia i w ten sposób oczekiwał śmierci. Często ludzie ci byli zupełnie przytomni, tylko nie mieli siły poruszać się. Częściej jednak kończyli życie w stanie nieprzytomnym.

Starałem się Stefana namówić, żeby zaniechał myśli o samobójstwie. Lecz chyba nie robiłem tego z wielkim przekonaniem, bo gdy mnie zapytał, czy ja w tym samym przypadku postąpiłbym inaczej, zgodziłem się z nim i dałem mu żyletkę, o którą mnie prosił. Żal było tracić serdecznego przyjaciela, i to przyjaciela, którego zdobyłem w tak ciężkich warunkach obozowych. Całą noc znajdowałem się w półśnie – budziło mnie każde stęknięcie, każdy jęk. Tej nocy nieprzespanej słyszałem, jak ludzie w nocy, w czasie snu, jęczą. Każde posłyszane jęknięcie otrzeźwiało mnie. Unosiłem się na łóżku i czujnie nasłuchiwałem, z której strony dochodzi. Jeśli jęk dochodził od tej strony, gdzie spał Stefan, wydawało mi się, że to on i że już z nim koniec. Po jakimś czasie znów jęk. Kto? Czy dopiero teraz on, a wtedy kto inny jęczał, czy może odwrotnie? Męczyłem się całą noc, a nie miałem odwagi wstać i sprawdzić, czy Stefan jeszcze żyje czy już nie żyje.

Rano, gdy tylko zabrzmiał sygnał na wstawanie, Karl wrzasnął od drzwi: „Kostreger raus!", a sam z kołkiem już skakał i bił na górnych łóżkach. Wciągnąłem na siebie spodnie i buty, marynarkę i czapkę w rękę – i jazda po jedzenie. W przelocie spojrzałem na łóżko Stefana i zobaczyłem, jak podnosi się do wstawania. Ucieszyłem się, że żyje. Pomyślałem sobie, że na pewno strach go obleciał albo postanowił umrzeć prawidłowo, tak jak inni – w ustępie. Przeważnie takich słabych wykańczano w robocie. Stefanowi to nie groziło, bo nasz kapo był dobrym człowiekiem i dbał o każdego ze swych ludzi. Tu już murowane zakończenie żywota w ustępie.

Po przyniesieniu jedzenia posłałem łóżko swoje i Szuberta. **Gdy zostałem nosicielem jedzenia, mało miałem czasu na słanie łóżek. Wtedy zacząłem Szuberta uczyć słać, lecz dobrze słać nie nauczył się do końca swojego pobytu w obozie. do ostatniego dnia układałem mu koce na stołach w jadalni, on sam rozkładał na łóżku, a na ostatku znów ja wyrównywałem mu deskami, które nazywano biglami, całe łóżko, żeby**

nie miało zmarszczek i było wyrównane do poziomu z innym łóżkiem. Gdy sztubowy zaczynał wydawanie jedzenia, byłem już w jadalni. Teraz dopiero przekonałem się, jaka to popłatna funkcja nosiciela jedzenia. Przy wydawaniu zupy z wierzchu kotła Karl między innymi wołał nosicieli jedzenia i dostawałem porcję zupy z wierzchu. Następnie brałem swoją właściwą porcję. Po wydaniu śniadania, gdy już dawano dolewkę, znów wołano nosicieli – to już trzecia porcja – a w każdym kotle Karl zostawiał jeszcze co najmniej pół litra zupy i często kupę gnatów, co daje znów litr jedzenia z dwóch kotłów. Ranną zupę przynosiło się z daleka, z kuchni, a obiadową i wieczorową kawę z placu apelowego, kotły odnosiło się zawsze tylko na plac apelowy. Z obiadowym jedzeniem też było podobnie. Swoja porcja, dolewka i przeszło pół litra w kotle. na obiad były tylko dwa kotły, bo większość ludzi z bloku pracowała w kamieniołomach i tam na miejscu jedli obiad. na jednego człowieka tyle jedzenia to było bardzo dużo.

Ja dzieliłem się wszystkim ze Stefanem. Pierwszego dnia po śniadaniu Stefan powiedział mi, że żył nie przerżnął sobie, bo wieczorem, gdy chciał się przed tym zabiegiem pomodlić, usnął i spał całą noc. Przypuszcza, że choroba mu przeszła, bo całą noc nie miał potrzeby iść do ustępu. Prosiłem go znów, żeby dużo nie jadł na śniadanie, lecz on, wycieńczony chorobą, głodny, uparł się, że zje wszystko, co na niego przypada. Gdy okazało się, że choroba naprawdę przeszła, wtedy prawie wszystko, co dochodziło mi z tytułu mojej funkcji, oddawałem Stefanowi, a sam brałem dla siebie nie więcej jak czwartą część. Wszystko, co zdobyłem, oddawałem jemu. Wiedzieliśmy, że był on w takim stanie wycieńczenia, z którego już bardzo ciężko się wyrwać, i dlatego cały wysiłek poszedł w kierunku wyciągnięcia go z tego stanu.

Nosicielem jedzenia byłem zaledwie kilka tygodni, lecz to już wystarczyło, żeby Stefan stanął na nogi. Mimo że już było bardzo zimno, chodził uśmiechnięty, z wypiętą piersią, rozpięty pod szyją i wołał:

– Komu zimno, bo mnie nie! Komu zimno, bo mnie nie!

Sam śmiał się z tego, jak to jeszcze przed kilkoma tygodniami, gdy było jeszcze zupełnie ciepło, on trząsł się bez przerwy z zimna.

W czasie gdy byłem nosicielem jedzenia, nie zaniechaliśmy wszystkich naszych sposobów organizowania. Żeby nie wyjść z wprawy, to raz, a po drugie, dawaliśmy sobie radę ze zjedzeniem wszystkiego, a jeśli mieliśmy więcej, to mieliśmy też komu dać. Często dawaliśmy ranną lub obiadową zupę Józefowi Brzezińskiemu. Był to starszy od nas człowiek, nauczyciel z Tomaszowa Mazowieckiego. Opowiadał nam często o swojej pracy, o tym, że wraz z żoną pracowali społecznie w jakiejś organizacji zwanej „Kropla Mleka". Opowiadał o swym dziecku – nie pamiętam tylko, czy było ono jeszcze bardzo małe, gdy go aresztowano, czy też urodziło się dopiero po jego aresztowaniu. Był to bardzo dobry człowiek. Pracował w kamieniołomach.

Ten Brzeziński w połowie stycznia straszliwie odmroził sobie nogi i został przyjęty na rewir. W tym czasie, dwudziestego czwartego stycznia 1941 roku, wszystkich Polaków i Hiszpanów przesłano do Gusen. Z Polaków pozostało tylko trochę fachowców i niezdolni do transportu, to znaczy chorzy przebywający na rewirze. Ci z rewiru, którzy mogli chodzić, zostali do transportu włączeni. od nich, gdy już staliśmy ustawieni do wyjścia, dowiedziałem się, że przed chwilą zabity został Brzeziński – za to, że zanieczyścił łóżko, bo sam nie mógł już wcale chodzić i nikt mu nie pomógł wyjść do ustępu. Wszyscy byli zajęci, jedni wypędzaniem ludzi do transportu, inni kołowaniem, żeby ich nie wygnano – a ten nie mógł się doczekać niczyjej pomocy, narobił w łóżko i za to zapłacił życiem.

Więc ten Brzeziński pytał nas często, dlaczego dajemy mu jedzenie. Przecież on nam nic takiego nigdy nie zrobił, żebyśmy mogli być mu wdzięczni.

– Bierz, bierz, jak ci dają, i nie pytaj się. Czy dawać trzeba tylko za coś? Nie zastanawiaj się, za co, tylko jedz, jak ci dają – mówiliśmy mu.

My wiedzieliśmy, za co dajemy mu jedzenie.

Jeszcze przed chorobą Stefana zauważyliśmy, że Brzeziński za papierosy kupił kilka porcji chleba, które trzyma w szafce. Wiedzieliśmy, że za kradzież chleba czeka nas śmierć, jednak postanowiliśmy sprzątnąć mu trochę tego chleba. Umówiliśmy się, że ja go wezmę, bo moja szafka była blisko szafki Brzezińskiego. Stefan

miał szafkę po przeciwnej stronie, więc łatwo mógł podpaść, gdyby go kto zobaczył przy tej szafce. Jak postanowiono, tak zrobiono. W czasie gdy w jadalni było dość dużo osób, otworzyłem szafkę jak swoją i wyjąłem z niej woreczek z materiału, w którym trzymał on swoje zapasy. Była tam jedna porcja chleba i nie więcej jak trzy dekagramy smalcu, który widocznie kupił on za papierosy od kogoś, kto otrzymał paczkę. Odeszliśmy daleko od swego bloku, zjedliśmy chleb i smalec, a worek i papier po smalcu zagrzebaliśmy w kupie piasku. Żalił mi się później Brzeziński, że ktoś ukradł mu chleb i źdźiebełko smalcu. Szumu żadnego nie robił, bo wiedział, że to mu nic nie pomoże – a poza tym to był już z natury cichy człowiek. Chleb ukradziony Brzezińskiemu był jedynym jedzeniem, które ukradłem innemu więźniowi w obozie. Raz jeszcze ukradłem Niemcowi miskę z kartoflami, lecz wtedy chodziło mi o miskę, a nie o kartofle. Niemiec, któremu zabrałem miskę, był prominentem i świnią, a ja, robiąc to, nie wyrządziłem mu żadnej krzywdy, lecz złośliwy kawał, który był powodem do radości innych więźniów.

Kradzież chleba innemu więźniowi była zawsze i dla każdego najbardziej ryzykownym sposobem zdobycia jedzenia. Był to też okrutny postępek w stosunku do współwięźnia. Znam ten ból, bo i mnie w 1941 roku, w okresie największego dla mnie głodu, skradziono chleb.

Mówiłem już o tym, że schwytanie na kradzieży jedzenia innemu więźniowi było wyrokiem śmierci na złapanego. Zaczynało się od tego, że od razu przy schwytaniu taki więzień był bity przez blokowego, sztubowego lub kapów. Bili na zmianę. Jak zmęczył się jeden, zaczynał drugi. W przerwach między biciem wylewali na niego kilkanaście wiader wody. Jeśli bił tylko jeden, to po porcji bicia szedł do bloku odpocząć, a delikwentowi kazał poczekać i nigdzie nie odchodzić. Po odpoczynku blokowy znów zaczynał od nowa bicie, kopanie i lanie wodą. Jeśli taki człowiek, uderzony dobrze, nie mógł się podnieść, wtedy kopali go i bili kijami. Chcieli w ten sposób zmusić go do podniesienia się. Jeśli ten uparcie leżał na ziemi, kopali go tak długo, aż byli pewni, że teraz już naprawdę nie da rady się podnieść. Wtedy rozbierano go i kładziono nago na posadzce w ustępie.

Jeśli wytrzymał bicie, złodzieja kierowano tego dnia do pracy w kamieniołomach. Jeśli pracował u góry, to wyłączano z tego bloku jednego więźnia, a na jego miejsce kierowano na ten jeden dzień tego, którego miano wykończyć. Kapowie kamieniołomów byli poinformowani, o kogo i o co chodzi. Zeszli się przy nim, pokazali go sobie, porozmawiali, wywołali z szeregów, troszkę pobili, pokopali i poinformowali, że na dole w kamieniołomie zostanie wykończony.

W kamieniołomie, gdy tylko obliczono więźniów, wywoływano delikwenta, jeden kapo zabierał go z sobą i zabawa zaczynała się. Kapo zakładał mu na ramię duży kamień i kazał mu biegać, a sam biegł za nim i bez przerwy bił go cienkim jak palec kijem. Cienkim dlatego, żeby go za szybko nie zabić. Musiał się pomęczyć i umierać świadomie, a inni żeby mieli wystarczająco odstraszający przykład, w jaki sposób umiera się za kradzież jedzenia. Tu powtarzało się do końca to, co byłoby na bloku. Męczony biegał coraz wolniej, wił się z bólu przy biciu, krzyczał, nieraz prosił o litość, w końcu padał i już nie miał się sił podnieść. Wtedy kopano go systematycznie, miejsce przy miejscu, a w końcu wrzucano w jakąś kałużę lub w śnieg, jeśli było mokro, i wieczorem do obozu już niesiono nieboszczyka. Jeśli jeszcze żył, to rozbierano go do naga – i do ustępu. Takie zakończenie bywało jednak tylko wtedy, gdy więzień był bardzo uparty i nie chciał sam odebrać sobie życia. Przeważnie, gdy już był bardzo zbity i wiedział, że go wykończą, sam szedł na druty, a w kamieniołomach na linię posterunków. Byli tacy, którzy gdy ich schwytano na kradzieży jedzenia, nie czekali, aż zaczną ich bić, tylko od razu szli na druty.

Raz, gdy fasowaliśmy kolację, dla ostatniego zabrakło porcji chleba. Karl posądził Krukowskiego, że on brał dwa razy kolację. Sprawdził w jego szafce, pod szafką i mimo że nic nie znalazł, zaczął Stefana bić. Nakazał nam, żeby nikt nie poruszył się ze swego miejsca. Wszyscy staliśmy na swoich miejscach, a Stefan brał lanie. Karl walił go po twarzy, a za każdym uderzeniem Stefan uderzał głową o szafkę. Nagle ktoś krzyknął:

– O! Tu jest!

Wszyscy spojrzeli w tym kierunku. Okazało się, że ten, który pobrał chleb dwa razy, nie wytrzymał nerwowo, i w tym czasie gdy uwaga

wszystkich skierowana była na Stefana i sztubowego, on chciał pozbyć się chleba, który miał przy sobie. Schylił się i włożył chleb pod szafkę, ktoś jednak to zauważył i krzyknął. W ten sposób wszyscy widzieli, jak on to robił. Zakończenie wiadome – krematorium.

Ciekawa była walka sztubowego ze złodziejem. Jeden cwaniak i drugi cwaniak. Jeden zastawiał pułapki, drugi sprytnie je omijał i kradł ciągle chleb z szafek prominentów. Ogrodzony kąt, gdzie spali prominenci, znajdował się w rogu jadalni. na noc szafki zastawiano stołami. Żeby dostać się do szafki, trzeba było odsunąć stół, a przy tym mógł powstać hałas, a co najmniej szmer – który mógł posłyszeć ktoś ze śpiących w arystokratycznym kącie. Rano okazywało się, że chleb skradziono, mimo że stoły stały na swoim miejscu. Karl zakładał też „dzwonki alarmowe". Robiono to w ten sposób, że u góry w szafce wkładano nóż, a pod nożem umieszczano miskę. Nóż był wkładany ostrzem między górę szafki i drzwi. na zewnątrz nie było go widać, ale jeśli ktoś otworzył szafkę, nóż upadał do miski z wielkim brzękiem. W ten sposób złapano niejednego początkującego złodzieja. **W Gusen też był specjalista, który potrafił otworzyć szafkę tak, że nóż nie upadał. Kradł dłuższy czas, wreszcie wpadł. Wtedy blokowy kazał mu pokazać wobec wszystkich, jak to robił. Założył nóż i kazał mu otworzyć szafkę tak, żeby nóż nie zadzwonił. Zrobił on to bardzo sprytnie. W połowie wysokości wcisnął głęboko drzwi do środka, a dół odciągnął od siebie i poruszał nim w jedną i drugą stronę, trzymając wciąż górę drzwi wciśniętą do środka. W ten sposób powstawał u góry nieznaczny ruch drzwiami w obie strony i ten nieznaczny ruch drzwi powodował wysunięcie się ostrza noża na zewnątrz. Już po kilkunastu ruchach zobaczyliśmy wysuwający się czubek noża. Po dalszych minutach nóż wysunął się więcej, a gdy już wystawał tak, że można było go chwycić palcami, wtedy trzymając nóż jedną ręką, drugą otworzył szafkę. Śliczna robota, ale ja bym tego bez dłuższego treningu nie próbował. Tym razem zakończenie jak zwykle.**

W tym wypadku „dzwonki" zakładane przez Karla też nie odnosiły skutku – chleb ciągle ginął. Sprytny złodziej. Omijał wszystkie pułapki. Wiedzieliśmy o tej cichej walce Karla ze złodziejem i staraliśmy się naprzód przewidzieć, kto wygra następną grę.

Wiedzieliśmy, że zastawiane są różne pułapki, lecz nie wiedzieliśmy jakie. Chleb ginął, znaczy, że złodziej działa i drwi sobie ze sprytu sztubowego.

Trwało to dość długo – w końcu jednak wpadł. Karl tym razem ustawił dobrą pułapkę – pomysł wprost szatański. Niewiele brakowało, żeby przy złodzieju wpadł Stefan. Złodziejem okazał się młody chłopak, który spał nad Stefanem. Sprawiał on wrażenie takiego jełopa, który do trzech zliczyć nie potrafi. Tego dnia, gdy przegrał walkę z Karlem, poprosił Stefana, żeby mu posłał łóżko, bo on idzie w jakiejś sprawie na inny blok. Gdy wrócił, chciał dać Stefanowi kawałek chleba za posłanie mu łóżka. Stefan odmówił przyjęcia, mówiąc, że nie może brać od niego chleba za taką niewielką przysługę. Gdy już wszyscy zebraliśmy się w jadalni po fasowaniu śniadania, Karl zrobił zbiórkę i obliczył, czy są wszyscy. Potem szedł wzdłuż szeregów i każdemu zaglądał w usta, które kazał nam szeroko otwierać. Pomyślałem, że Karl dostał kota w głowie, bo co on może zobaczyć w gębie. Minął mnie, minął Stefana, minął jeszcze kilku. Gdy doszedł do tego młodego chłopaka i zajrzał w usta – od razu bez słowa wyjaśnienia uderzył go w twarz. Wykończył go według wszelkich prawideł.

Wtedy dowiedzieliśmy się, w jaki sposób go złapał.

Codziennie przez kilka dni wkładał on na wabia chleb do kilku szafek, do których złodziej miał największe zamiłowanie. Sztuczka polegała na tym, że w tym chlebie był pokruszony kopiowy ołówek. Wiadomo było, że złodziej zje chleb w nocy, więc nie zauważy ołówka. Złodzieje zjadali chleb zaraz po ukradzeniu, bo mógł on mieć jakieś niewidoczne znaki, po których właściciel mógł poznać swój chleb. Ciekawe, co by było, gdyby Stefan przyjął od niego kawałek chleba nadziewanego kopiowym ołówkiem. Przecież my wszystko jedliśmy razem, a w szeregu staliśmy tak, że ja byłem pierwszy, za mną stał Stefan, a dopiero piąty czy szósty za Stefanem stał właściwy złodziej. Karl go o nic nie pytał, tylko od razu bił. Może by się zdążyło wyjaśnić, zanimby zabił, a z drugiej strony znów nie wiedzieliśmy, o co chodzi i z czego należy się tłumaczyć. Ale że odbyło się wszystko tak, jak być powinno, więc nie było potrzeby nad tą sprawą więcej się zastanawiać.

Mimo że wiele razy byliśmy świadkami wykańczania złodziei jedzenia, Brzezińskiemu chleb ukradliśmy. Mieliśmy jednak to moralne zadowolenie, że jego stratę wyrównaliśmy mu z wysoką nadwyżką.

W obozach koncentracyjnych starano się wszystkimi możliwymi sposobami zabić w człowieku wszelkie ludzkie uczucia, upodlić go, zrobić z niego już za życia nieboszczyka. Muszę przyznać, że im się to udawało. Szczególnie łatwo łamała się inteligencja. Byli to przeważnie ludzie, którzy w życiu nie walczyli o utrzymanie się na powierzchni życia. Tu – gdy nagle zmieniono im całkowicie warunki na bardzo ciężkie – ludzie ci okazali swą niezaradność życiową. Wielu wartościowych ludzi umierało przez swą nieumiejętność życia w ciężkich warunkach. Wielu z tych, którzy przeżyli, często zawdzięcza to ludziom, którzy przed wojną należeli do tych „gorszych".

Gdy mówię, że w obozie zagłuszano w ludziach uczucia, myślę o tym, z jakim spokojem i obojętnością patrzyło się na krzywdę i śmierć innych ludzi. Każdy zajęty był sobą, troską o przeżycie godziny, pół dnia, dnia i nocy. W każdej chwili człowiek mógł być zabity. Ludzie stali się źli i nieżyczliwi dla siebie. O każdy drobiazg wybuchały kłótnie i bijatyki. Silniejszy uderzał słabszego, odpychał go, zabierał to, co jemu było potrzebne.

Ja miałem też niezliczoną ilość awantur, lecz prawie nigdy nie uderzyłem słabszego, nie uderzyłem też z tytułu pełnionej funkcji, bo jedyną funkcją, którą miałem przez pięć lat w obozie, to była funkcja nosiciela jedzenia, na której byłem przez kilka tygodni. Nieraz drobiazgiem, jakąś małą przysługą można było sobie kogoś zjednać. Muszę powiedzieć, że w bloku i w robocie mieliśmy sporo przyjaźnie do nas nastawionych ludzi. Wpływał na to nasz ryzykancki charakter, humor, który nas nigdy nie opuszczał, życzliwość w stosunku do słabszych i bojowość w stosunku do tych, którzy wchodzili nam w drogę. Jeśli mnie ktoś silniejszy zrobił przykrość, a wiedziałem, że pobić go nie dam rady lub że nie wolno mi go uderzyć, to

przynajmniej posyłałem takiemu piękną wiązankę warszawską, że odechciało mu się na następny raz włazić mi w drogę, bo wiedział, że mu nie ustąpię.

Starszy nad zamiataczami sztuby, Heniek miał na imię, był z Warszawy, uderzył mnie w twarz i wypchnął z sypialni. Pchnął mnie tak, że upadłem. No! Już wtedy usłyszał nielichą wiązankę – zakończyłem ją ostrzeżeniem, że jak się z nim spotkam na wolności, to mu łeb urżnę.

– Na pewno się nie spotkamy – odpowiedział mi.

I nie spotkamy się. Kilka tygodni później rozstrzelano go.

Innym razem jeden Ślązak, do którego obowiązków należało mycie sieni w bloku, wypędził mnie na deszcz. Dostał też swoją porcję „kwiatów". Miałem swoje zadowolenie, bo doprowadziłem go do wściekłości. Gdy już staliśmy w szeregach przed blokiem i za chwilę mieliśmy iść na ranny apel, ten ustawił się obok mnie. Gdy mnie poznał, zaczął gderać pod moim adresem:

– A to szczeniak! Tak mi naubliżał. A to ja mógłbym być twoim ojcem.

– Sowa sokoła nie zrodzi – odpowiedziałem – nie da rady. Musiałbyś być dużo mądrzejszy, żeby mieć takiego syna.

W pierwszym momencie zatkało go. Wreszcie gdy przemówił, to najbardziej się złościł o tę sowę i sokoła. Nie mógł mi tego darować. Ostrzegałem go, że jeśli mnie uderzy, to mu oddam, a chociaż jestem muzułman, to czuję, że dam mu radę.

W święta Bożego Narodzenia całymi blokami chodziło się po jedzenie. Po każdy posiłek szedł inny blok. Gdy kolejność przyszła na nasz blok, Stefan i ja jak zwykle urwaliśmy się i w tym czasie, gdy blok cały poszedł do kuchni po kotły, my spacerowaliśmy pomiędzy blokami i uważaliśmy, żeby nas ktoś niepotrzebny nie zauważył. Widzieliśmy, że tak jak my, kryje się jeszcze kilkanaście osób z naszego bloku. Gdy już przynieśli jedzenie, nieznacznie włączyliśmy się do tych, którzy przyszli z kuchni. na bloku Karl powiedział nam, że stan bloku się nie zgadzał i za to nasz blok za karę będzie nosił jedzenie jutro przez cały dzień albo ci, którzy się urwali, przyznają się i poniosą karę. Ja nie miałem najmniejszego zamiaru się ujawniać, ale nie zdążyłem dobrze pomyśleć, gdy Stefan już wystąpił

z szeregu. Jak on, to i ja. Wystąpiło nas tylko dwóch. Karl kazał nam zrobić trzysta przysiadów – zrobiliśmy i ja nie czułem wcale zmęczenia. Mógłbym zrobić jeszcze dwieście, ale Karl, widząc, że nas tym nie umordował, kazał nam robić inne ćwiczenia – dotykając czubkami nóg ziemi, unosić się na rękach. Po kilku takich ruchach spostrzegłem, że tego nie da się tyle razy zrobić. Czy zrobię dziesięć, czy sto – to i tak, jeżeli mam jeszcze coś dostać, to dostanę, a przynajmniej nie będę za bardzo zmęczony, bo kto go tam wie, co on nam jeszcze szykuje. Po kilku ruchach położyłem się brzuchem na ziemi i nie unoszę się. Karl wrzeszczy, żeby robić ćwiczenie dalej, a ja niby chcę, ale nie mogę. Kopnął mnie kilka razy po bokach i… zostawił nas w spokoju. Dobrze, że nie dałem się umęczyć do końca.

Gdy wyszliśmy przed blok, kilku wyskoczyło na nas z krzykiem, dlaczego my nie poszliśmy po kotły. Między krzyczącymi było trzech, którzy tak jak i my chodzili w tym czasie między blokami. Zgniewało mnie. Wygarnąłem im to, a ci jeszcze więcej i jeden chodzi mi ręką koło nosa. Nie wytrzymałem i dałem mu pięścią w oko. Skoczył drugi – dostał głową, trzeci i czwarty też. Wrzeszczeli jeszcze, ale z rękami byli już z daleka.

W tym czasie, gdy Stefek był chory, nie jeździłem po wapno, bo murarska robota już się kończyła i czuć było, że niedługo będą kazali naszej grupie robić co innego. Chwilowo każdy robił, żeby tylko nie przyczepili się esesmani. Stefan siedział w piwnicy, a ja tragami wynosiłem gruz z piwnic. Tragę nosiłem razem z niemieckim Cyganem. Był to chłop średniego wzrostu, wyżarty i silny jak niedźwiedź. Co jakiś czas zostawiał mnie przy tradze, a sam odchodził i nie było go przez dłuższy czas. Ja nie wiedziałem, gdzie poszedł i kiedy wróci, więc od tragi nigdzie nie odchodziłem, a Wincens co kilka minut pytał znów, gdzie on jest. Raz gdy wrócił, Wincens mu coś nawymyślał. Cygan ze złością podszedł do tragi z tyłu i uniósł rączki. Ja stanąłem z przodu i gdy pochylony unosiłem tragę, on ze złością pchnął tragę do przodu. Widać było, że szuka ze mną zaczepki. Gdy mnie pchnął tragą w tyłek, potknąłem się, upuściłem tragę, upadłem na ręce. Poderwałem się i uderzyłem Cygana pięścią w twarz. On zgłupiał. Silny jak niedźwiedź, nie spodziewał się, że ja go uderzę. W tym momencie znalazł się przy nas Wincens i dwóch innych Niemców, którzy po coś do niego przyszli.

Wleją mi teraz, pomyślałem sobie i patrzyłem z napięciem, co teraz będzie. Staliśmy z Cyganem obok siebie, a oni coś podśmiewali się z niego, śmiali się i pokazywali na mnie. Stefan, który był blisko nas, powiedział mi później, że oni śmiali się, że Cygan mi nie da rady. Że ja chociaż jestem taki szczupły, pobiję go. Ja nie rozumiałem nic z ich rozmowy i dałem się zaskoczyć. Cygan coś odpowiedział im i w tym samym momencie chwycił mnie jedną ręką za gardło. Chwyciłem go za ręce i odciągnąłem szeroko w bok i w ten sposób rozkrzyżowani przez moment leżeliśmy na ziemi. W tym momencie Stefan stanął nad nami z łopatą i chociaż sam chory, chciał jednak mi pomóc, bo pyta:

– Pomóc ci? Dać mu w łeb łopatą?

Odpowiedziałem, trzymając dalej Cygana za ręce:

– Daj spokój, on jest głupi.

Szybkim przerzutem wyszedłem na wierzch i poderwałem się na nogi, chwyciłem go za marynarkę w ten sposób, że naciągnąłem mu ją na głowę i ograniczyłem ruchy rąk, a nogą kopnąłem go co najmniej trzy razy w twarz. Tu już zareagował Wincens, który cały czas przyglądał się walce. Chwycił mnie w pasie i odrzucił do tyłu. Cygan podniósł się z twarzą całą we krwi, a mój prawy but też był cały uwalony krwią. Moje skórzane buty, te, w których przyjechałem z Dachau, były pod spodem nabijane gwoździami. Okazało się, że żadnej większej krzywdy nie zrobiłem, tylko gwoździem przejechałem mu po twarzy. Miał on zdartą skórę na brodzie, nosie i czole. Gdy się podniósł, wyjął z kieszeni świstek papieru i kawałek ołówka, podszedł do mnie bliżej, ale już nie za blisko, bo nie wiedząc, po co podchodzi, byłem przygotowany do dalszej walki, spojrzał na mój numer i chciał go zapisać. na to Wincens pogroził mu pięścią przy samym nosie, kazał mu iść na opatrunek i powiedzieć, że spadł ze schodów. Jeśli powie inaczej lub komuś poskarży na mnie, to go wykończy. Tego dnia po wieczornym apelu kilku Cyganów polowało na mnie. Nieźle bym wyglądał, gdyby tak złapali mnie samego. Przez dwa tygodnie nie ruszałem się z bloku sam. Jeśli szedłem gdzieś, to zawsze w towarzystwie co najmniej dwóch kolegów. Widziałem tego Cygana jeszcze w Gusen, a później zmuzułmaniał i znikł mi z oczu. na pewno wykończył się. Miał on już zawsze na czole, nosie i brodzie jaśniejsze plamy – pamiątkę po naszej bijatyce.

Awantury w obozie miałem dość często. Wspominam tu tylko kilka dla przykładu. Kiedyś zaatakowany zostałem przez dwóch braci. Pochodzili z Łodzi. Nie wycofałem się. W czasie bijatyki zaskoczył nas esesman. Wtedy jeden z nich wziął mnie pod rękę i zgodnie chcieliśmy iść dalej, esesman jednak zatrzymał nas i zapytał, dlaczego biliśmy się. Ten łodzianin znał język niemiecki, więc odpowiedział, że my tylko żartowaliśmy, i na zadokumentowanie, że to, co mówi, jest prawdą, z radosnym uśmiechem objął mnie ręką za szyję – a ja jego też, chociaż na twarzy dobrze czułem uderzenia ich pięści. Esesman dał każdemu z nas w twarz, kopniaka w tyłek i zostawił nas w spokoju, a my teraz już naprawdę w zgodzie poszliśmy dalej razem. Podobali mi się chłopaki. Żyłem z nimi w wielkiej zgodzie i koleżeństwie. Jeden z nich zmarł w Mauthausen, drugi w 1941 roku w Gusen.

W podobny sposób poznałem się z Mietkiem Rączką z Będzina. Nieśliśmy kotły z kawą. On był dużo niższy niż ja, więc kocioł z jego strony był niżej ziemi, tym samym na mnie przechodził większy ciężar i kocioł obijał mi nogę w kostce. Kilka razy prosiłem, żeby niósł wyżej, a on jak na złość jeszcze się schylał, tak że po jego stronie kocioł prawie dotykał ziemi. Zgniewało mnie to wreszcie, więc mówię mu już ze złością:

– Wyprostuj się i nieś, jak się należy, bo ci przyleję.

– Tak? No to już! – odpowiedział on na to i zostawił kocioł.

Więc ja też i już awantura gotowa. Nie zdążyliśmy dobrze się potłuc, bo inni wtrącili się i nie dali nam się bić. Ponieśliśmy kotły dalej – z tym że ze mną wziął równy ze mną wzrostem. Takie było moje poznanie się z Mietkiem. Po tym incydencie przypadliśmy sobie do gustu i razem przeżywaliśmy jeszcze wiele różnych historii. Jemu zawdzięczam to, że zacząłem palić papierosy. Ile razy klątem go za to, chociaż chłopak w 1941 roku na jesieni wykończył się. Wciskał on mi codziennie rano pół skręta. Robił to ze szczerego serca, ale ja po tygodniu już sam szukałem palenia, a w Gusen, gdy nie było co palić, goniłem za kawałkiem niedopałka. Nie miałem siły przerwać palenia. Jak na jesieni 1940 roku zacząłem palić, to przestałem dopiero na jesieni 1952 roku, gdy już wiedziałem, że będę operowany w związku z gruźlicą płuc.

Byłem jak ten przysłowiowy medal, który ma dwie różne strony. Jedna strona medalu – to awanturnictwo. Nie uchylałem się nigdy przed żadną awanturą, jeśli ktoś jej ze mną szukał, jeśli to nie był muzułman, który już nie miał sił stać na nogach. Druga strona – to uczynność, którą okazywałem wszystkim tym, którzy mi się podobali lub potrafili mnie czymś ująć. Te dwie jednocześnie występujące cechy były charakterystyczne dla mnie w ciągu całego mego pobytu w obozie.

Wyraźnym tego przykładem był mój stosunek do księdza Szuberta. Starałem się mu pomóc, nie otrzymując za to nic prócz przyjaznego spojrzenia z jego strony. Gdyby mi obiecywał, co to on zrobi dla mnie, jeśli go zwolnią, zraziłbym się do niego, bo uważałbym to za pewnego rodzaju wabik, który ma mnie dopingować, żeby dać z siebie jak najwięcej, żeby zasłużyć na obiecaną nagrodę.

Inny wypadek. Młody chłopiec z Poznania. Niewiele go nawet znałem. Wysoki był i bardzo już chudy. Pożalił mi się pewnego dnia wieczorem, że ma kilku kolegów na sztubie, lecz żaden z nich nie chce mu umyć nóg. Jutro idzie do rewiru i jeśli będzie miał brudne nogi, to go zbiją, a on nie może się wcale schylać, więc sam nie da rady.

– Chodź do umywalni, to ci umyję – powiedziałem.

Umyłem mu solidnie nogi i – co ciekawe – miałem wrażenie, że myję nieboszczyka, chociaż cały czas rozmawialiśmy. Następnego dnia rano, gdy miał iść na rewir, przyniósł mi prawie całą porcję chleba, który otrzymał wczoraj wieczorem. Odmówiłem przyjęcia. Uparł się, że muszę przyjąć, bo on i tak nie może jeść. Gdyby mógł jeść, toby już wczoraj zjadł. Koledzy od wczoraj krążą przy nim i czekają, że im odda chleb, ale on im nie dał, bo żaden z nich nie chciał mu umyć nóg, a ja umyłem, mimo że jestem dla niego obcy.

– Zresztą – powiedział – ja mam zapalenie płuc, to i tak umrę za kilka dni, a tobie ta porcja się przyda.

Przyjąłem chleb, a on – tak jak przewidywał – za trzy dni już nie żył.

Miałem wiele podobnych przypadków, lecz opowiem jeszcze tylko o dwóch.

Pierwszego listopada spadł deszcz ze śniegiem. Pracowaliśmy tego dnia przy przewożeniu taczkami węgla z jednego miejsca na inne, a ubrani byliśmy w lekkie, letnie pasiaki, pod którymi była tylko koszula. Żeby się nie zamrozić, szybko jeździliśmy z węglem albo dla rozgrzewki przerzucałem węgiel łopatą. Tego dnia odmroziłem sobie ręce – na wiosnę na palcach porobiły mi się rany. Wieczorem wydano nam grubsze, zimowe pasiaste ubrania i czapki, rękawiczki zrobione z kawałka cienkiej szmaty, które wcale nie chroniły rąk przed zimnem, sweterki zielone z rękawami, nauszniki i zimowe pasiaste płaszcze. Płaszcze dostali tylko ci, którzy pracowali w kamieniołomach, oraz niektóre wybrane grupy fachowców i wszyscy Niemcy. Z tego, że otrzymali płaszcze wszyscy Niemcy, wywnioskowałem, że płaszczy jest mniej niż ludzi, ale wydano je na bloki z jakimś szczególnym obliczeniem. Gdy wydawano płaszcze, wkręciliśmy się ze Stefanem – niby nieświadomi tego, co się dzieje – do grupy pracującej w kamieniołomach i płaszcze otrzymaliśmy. Płaszcze wydawał blokowy, a on mieszkał w drugiej sztubie, więc nie mógł wiedzieć, gdzie my pracujemy.

W kilka dni po wydaniu płaszczy pracowałem w dole, w którym ładowałem ziemię w wiadra, a Niemiec – ten, który dostał bicie od Wincensa za niesprawiedliwy podział kartofli – wyciągał wiadro do góry, wysypywał ziemię i znów podawał mi wiadro do napełnienia. Po pewnym czasie poszedł sobie gdzieś, a mnie powiedział, żebym na niego czekał, że niedługo przyjdzie. Usiadłem na odwróconym dnem wiadrze i czekałem. Gdy mi się po półgodzinie sprzykrzyło, wylazłem z dołu, żeby rozejrzeć się trochę po świecie. Zatrzymał się wtedy przy mnie, żeby pogadać trochę, więzień z naszego bloku – Franek Mańkowski, gospodarz z Pomorza. Stosował on moją metodę pracy, łaził po całym obozie i robił wtedy, gdy mu się chciało i jak widział dobrą robotę. Był bez płaszcza. Żalił się, że nie otrzymał płaszcza, a na rannych apelach jest już bardzo zimno. na kołku, tuż przy dole, w którym pracowałem, wisiał płaszcz tego Niemca, z którym pracowałem. Zdjąłem płaszcz i podałem Mańkowskiemu.

– Masz, bierz – to Niemca. Ja nie jestem do pilnowania jego płaszcza.

Nałożył na siebie – dobry. Sprawdziliśmy tylko, czy nie ma na nim jakiego znaku szczególnego. Przy oglądaniu okazało się, że w kieszeniach płaszcza jest dużo skór od chleba – pewnie dostał od esesmanów. Zostawiłem mu kilka skór, resztę wsadziłem w kieszenie i poszedłem do piwnicy. Tam powiedziałem o wszystkim Stefanowi. Szybko zjedliśmy skóry, żeby ich nie trzymać przy sobie w razie jakiejś hecy o ten płaszcz.

Po pewnym czasie przyszedł mój Niemiec i pyta mnie, gdzie jest jego płaszcz. Ja jak zwykle nic nie rozumiałem i Stefan był naszym tłumaczem. Kazałem mu powiedzieć, że nie mogłem siedzieć tyle czasu w dole i nic nie robić, więc przyszedłem do piwnicy. A gdzie jego płaszcz? Przecież kazał mi go pilnować. Faktycznie, jak odchodził, to mówił mi, żebym mu przypilnował płaszcza. Kazałem mu odpowiedzieć, że ja nie jestem do pilnowania jego płaszcza – a poza tym jak wyszedłem z dołu, to żadnego płaszcza nie widziałem. Ktoś musiał go zabrać w tym czasie, gdy ja jeszcze byłem w dole.

W ten sposób Franek Mańkowski miał płaszcz i kilka skór od chleba, a Stefan i ja skóry i zadowolenie z tego, że Niemcowi, którego nie lubiliśmy, zrobiłem taki kawał, a swojemu chłopakowi przysługę.

W 1941 roku w Gusen złapano Mańkowskiego w nocy na kradzieży chleba. Postawili go na resztę nocy pod drutami na placu apelowym. Dowiedziałem się o tym z samego rana. Była to niedziela, więc apel był później. Poszedłem go zobaczyć. Stał boso, bez marynarki i czapki, twarzą do drutów, i oglądał się często, czy jest ktoś ze znajomych. Gdy mnie zobaczył, zapytał, co ma robić.

– Czy cię posądzają o kradzież, czy cię przyłapali? – zapytałem.

– Złapali mnie na innym bloku, bo poszedłem kraść na inny blok.

– No to cię wykończą.

– Więc co mam robić? – pyta znów.

– Właź na druty – mówię mu. – To jedno ci tylko pozostaje, a przynajmniej nie będziesz się męczył.

– Tak, trzeba tak zrobić. Cześć, Stasiek, trzymaj się! – powiedział zupełnie spokojnie, tak jakby szedł na inny blok, a ja na inny, i wziął rękami za druty. na chwilę zesztywniał, potem zwiotczał i dym

poszedł mu z rąk i głowy. Posterunek za drutami strzelił do niego jeszcze z bliska – z Mańkowskim koniec. Posterunek strzelał do każdego, kto szedł na druty, po to, żeby w raporcie nie pisać „samobójstwo więźnia", lecz „zabity przy próbie ucieczki".

Druga sprawa z płaszczem była inna. Złapały silne mrozy, a ci, co płaszczy nie otrzymali na początku, nie mieli ich w dalszym ciągu. W robocie zetknąłem się z młodym chłopcem, który dla rozgrzewki tupał nogami i zabijał ręce. W rozmowie dowiedziałem się, że jest on z Poznania i ma osiemnaście lat. Był bez płaszcza i żalił się, że strasznie marznie.

– Wiesz – mówił do mnie – na apelu tak strasznie zmarzłem, że byłem pewien, że trupem padnę. A ja tak chciałbym jeszcze swoją matkę zobaczyć.

Zobaczyłem, że ma łzy w oczach, które ukradkiem obtarł.

– Dlaczego nie zorganizujesz sobie jakiegoś płaszcza? – zapytałem.

– A jak można zorganizować?

– Chodź ze mną, to ci pokażę.

Poszliśmy przed siebie. Szliśmy szybkim krokiem, żeby nie zmarznąć. Ja pierwszy, on za mną. Gdy przechodziliśmy obok budujących się baraków, spostrzegłem płaszcz wiszący na belce baraku. na dachu pracowali stolarze – Niemcy. Nie zatrzymując się nawet na moment, w marszu zdjąłem płaszcz i normalnym krokiem poszedłem dalej, trzymając płaszcz przed sobą. za pierwszym zakrętem dałem mu płaszcz, żeby założył na siebie, a dopiero za oficerską kantyną zrobiliśmy przegląd płaszcza w poszukiwaniu znaków. Znak znaleźliśmy w rogu, na dole płaszcza na podszewce – atramentowym ołówkiem dużymi cyframi wypisany był numer właściciela płaszcza.

– Co teraz będzie? – spytał zatrwożony.

– Nic, wyrwiemy! – i wyrwałem cały róg podszewki, a jemu poradziłem, żeby swój numer wypisał pod kołnierzem i nie na podszewce, ale na materiale – ciężej usunąć.

W tym okresie, który opisywałem, miały miejsce różne wypadki, które mimo że z niczym się nie łączą, uważam, że warte są opisania. Są to epizody, które zapamiętałem ze względu na ich odrębność od życia codziennego.

W Dachau byli tylko Polacy, Niemcy i niewielu Czechosłowaków. Gdy przywieziono nas do Mauthausen, nowością dla mnie była obecność Hiszpanów, których w obozie nazywano popularnie Arabami. Mieszkali oni osobno i byli odgrodzeni drutami od reszty obozu. Przechodzili kwarantannę. Byli to Hiszpanie internowani w różnych obozach francuskich; po zajęciu Francji przez Niemców przywieziono ich na wyniszczenie do obozów koncentracyjnych. Nie otrzymali oni czapek, więc niektórzy z nich mieli na głowach różnokolorowe chustki. Im i nam nie wolno było zbliżać się do drutów odgradzających nas od siebie. Ponieważ nie mieli nic do palenia, starali się kupować od nas papierosy za chleb. za porcję chleba dostawali dużo mniej papierosów, niż można było dostać na naszych blokach. Dla nich dlatego była wyższa cena, że podejście pod druty było niebezpieczne, bo były wystawione warty, które miały na celu niedopuszczanie nikogo do drutów. Gdy raz w niedzielę przed południem padał duży deszcz, a sztubowy nasz wyjątkowo nie wygnał nas z bloku, doszliśmy ze Stefanem do wniosku, że warto przy święcie zrobić sobie bal: sprzedać Hiszpanom kilka papierosów – i podjemy sobie trochę. Podjąłem się podejść pod druty. Pada duży deszcz, więc pewnie ci, co pilnują, schowają się gdzieś w kąt, żeby nie zmoknąć. Wyjrzałem z bloku, rozejrzałem się – nie ma nikogo. Z ostatniego okna baraku Hiszpanów wygląda kilka głów. To ci, którzy czekają na ryzykantów z naszej strony drutów i przyniosą coś do wymiany. Porozumieliśmy się z daleka na migi – pokazałem na palcach, ile daję papierosów za porcję chleba. Jeden zgodził się. za chwilę wyszedł z baraku i jednocześnie podbiegliśmy do drutów i wymieniliśmy swój towar. Gdy już miałem chleb w ręku, posłyszałem ostrzegawczy okrzyk, więc nie traciłem czasu na patrzenie, kto mnie woła, tylko szybko uciekłem na blok. Wpadłem na sztubę i od razu oddałem Krukowskiemu chleb. Tuż za mną wpadło dwóch Niemców, którzy mnie gonili. Stałem blisko drzwi, więc obmacali mnie, czy nie mam przy sobie chleba. Obmacali

jeszcze dwóch. Aha – no to dobrze, znaczy się, że nie wiedzą, kto im uciekł. Gdyby wiedzieli, że to byłem ja, toby mnie od razu bili. Zapytali, który z nas uciekał. Ja jak zwykle z głupią miną udawałem, że nic z tego, co oni mówią, nie rozumiem, a sztubowy powiedział im, że przed chwilą nikt nie wchodził i nie wychodził ze sztuby. Zrezygnowali ze znalezienia winowajcy i poszli polować na innych. Kilka razy przedtem podchodziłem pod druty i zawsze mi się udawało, a tym razem niewiele brakowało do tego, żeby mnie złapali i… zbili.

Przy takiej wymianie można było dobrze papierosy sprzedać, ale łatwo też było je stracić. Bo mogli złapać na wymianie albo można było być oszukanym przez kupujących. Niejeden raz tak było, że otrzymał papierosy, a nie oddał chleba, lecz uciekał do siebie na blok z papierosami i chlebem. Sprzedawanie chleba za papierosy równało się w naszych warunkach wejściu na prostą drogę do nieba, ale nie mieliśmy w tym wypadku żadnych skrupułów. Jak ktoś chce koniecznie umierać, to proszę bardzo – nie będę mu w tym wzniosłym celu przeszkadzał. W niebie musi być chyba lepiej jak w obozie, bo nikt jeszcze stamtąd nie uciekł.

Trudno – w obozie nie było miejsca dla głupich, takich, którzy nie umieli lub nie chcieli walczyć o życie. Jak ktoś nie chce walczyć, niech umiera w spokoju. Pomocną rękę należy podać tym, którzy mądrze walczą, a nie mogą dać sobie rady. W obozie ludzie muszą masowo umierać, więc co za różnica, czy ten, który nie walczy i wobec tego musi umrzeć, umrze za dwa miesiące czy za miesiąc? Nie dziwię się też i tym, którzy będąc w stanie ostatecznego wyczerpania, sprzedawali jeszcze chleb za papierosy. Ale tylko tym. Bo ktoś, kto jeszcze dobrze się trzyma, ma szansę żyć. Lecz taki, co już nie ma siły mówić, to i tak umrze za kilka dni.

Byłem świadkiem takiej wymiany w 1944 roku w Gusen. Kupujący nie miał siły mówić, a targował się, żeby otrzymać dwa papierosy za chleb, który trzymał w ręku.

– Jednego ci dam – mówi sprzedawca.

– Dwa daj, dwa – ledwie wypowiedział kupujący muzułman.

– Nie, dam ci tylko jednego.

– Dwa – mówił uparcie tamten.

Wtedy wtrąciłem się:

– Zeżarłbyś, bydlaku, swój chleb, zamiast sprzedawać go za papierosy. Gadać nie ma siły, a palić, cholera, palić mu się chce.

Widziałem już śmierć w jego oczach.

Wtedy on, z wysiłkiem wydobywając z siebie głos, odpowiedział mi spokojnie:

– No, a co ja mam robić – przecież ja za dwa–trzy dni już zdechnę. A tu jeść się chce i palić się chce. Tym kawałkiem już i tak się nie najem, a przynajmniej będę wiedział, że sobie zapalę.

Przyznałem mu rację. Dałem mu trzy papierosy i kazałem od razu przy mnie zjeść swój chleb. Zjadł błyskawicznie.

Kilka dni przed przesłaniem nas do Gusen przywieziono nowy transport Hiszpanów. na nasze warunki wyglądali imponująco. Byli wyżarci, w wojskowych mundurach koloru khaki, plecaki, koce. Ustawiono ich przed blokiem czternastym, więc mogliśmy z nimi porozmawiać przez okna z naszego bloku. Patrzyli na nas ze zdziwieniem. Nie orientowali się, gdzie i po co tu trafili. Jedli konserwy z puszek i czekoladę, które wyciągali ze swych plecaków. Ci, którzy znali język francuski, radzili im, żeby zjedli swoje zapasy, a jeśli nie mogą, to niech rozdadzą innym, bo i tak im zabiorą. Jedni nie wierzyli, inni częstowali naszych chłopaków. Po kilku godzinach byli już wykąpani, przebrani w pasiaste ubrania i włączeni do tych, którzy przebywali na kwarantannie. Wszystko, co mieli, zabrano im, tak jak zabierano wszystkim innym. Jedynym po nich znakiem były dwulitrowe menażki, które w Gusen dano do użytku więźniów, gdy zabrakło innych misek. Dwudziestego czwartego stycznia 1941 roku razem z Polakami przesłano do Gusen również wszystkich Hiszpanów.

Na kilka dni przed przejściem do Gusen w magazynie odzieżowym wymieniano podarte buty. W moim prawym bucie oderwał się cały czub, przez który dostawała mi się woda, mimo że zatkałem dziurę szmatą. Poszedłem wymienić. Okazało się, że do wymiany butów jest bardzo dużo ludzi. Kręcąc się przy magazynie, zawarłem znajomość z innym więźniem, który znów miał rozwalony lewy but. Mimo że nie byłem jeszcze przy oknie, przez które wymieniano buty,

zacząłem mu opowiadać, że jak jest popsuty jeden but, to nie wymienią. Muszą być zniszczone obydwa.

– Oddałbym ci swój dobry but, ale on mnie już widział, to może mi teraz nie zechcieć zamienić. Idź ty, to ci zmienią.

Dał mi swój prawy dobry but, a ja oddałem mu swój i w spokoju rozstaliśmy się. za chwilę posłyszałem, że magazyn już zamknęli i więcej wymieniać butów nie będą. Uciekłem na blok, żeby mnie nie odnalazł ten, z którym zrobiłem wymianę butów. Miałem znów całe buty, chociaż każdy z nich był od innej pary, a tamtemu już nie sprawiało wielkiej różnicy, czy ma jeden tylko czy obydwa buty rozwalone.

W Mauthausen, a później i w Gusen, do 1942 roku wolno było rodzinom obejrzeć zmarłych przed spaleniem ich w krematorium. W początkach mojego pobytu w Mauthausen, zanim jeszcze Stefan poszedł pracować do Wincensa, przez dwa dni kręciliśmy się przy urządzaniu ogródków dla SS. na tym terenie było zejście pod ziemię do jakiegoś kanału. Zastanawialiśmy się, czy tędy nie można byłoby próbować ucieczki. Teren ten znajdował się tuż przy drodze, którą prowadzono cywilne osoby przyjeżdżające zobaczyć swych bliskich zmarłych. Gdy ktoś umarł, rodzina była o śmierci zawiadamiana telegraficznie. Jeśli ktoś chciał zwłoki zobaczyć, odpowiadał telegraficznie i czekano z paleniem, aż go rodzina obejrzy. Pierwszego zaraz dnia, gdy esesman prowadził mężczyznę i trzy kobiety w ciężkiej żałobie, domyśliłem się, że to wycieczka do zmarłego. Szepnąłem do Stefana: – Uważaj, będę gadał! – i specjalnie głośno zacząłem coś do niego mówić. Gdy minął nas już esesman, który szedł na przedzie, zapytałem, tak jak bym dalej mówił do Stefana:

– Skąd przyjechaliście?

Na to kobieta idąca na końcu odpowiedziała:

– Macie pozdrowienia z Częstochowy.

Zadowolony byłem, że mi się ta sztuczka udała. Okazało się, że moje zadowolenie było przedwczesne. Po piętnastu minutach esesman podszedł do mnie, bez słowa obił mi mordę i nie mówiąc słowa, poszedł dalej. Umiał widocznie drań po polsku. Chodziły słuchy, że esesman, który prowadzi rodzinę do zmarłego, bardzo

wzruszonym i żałobnym głosem pociesza płaczącą i zrozpaczoną rodzinę. Zastanawialiśmy się, jakim artystą musi być ten, który tak dobrze potrafi udawać.

Później dowiedziałem się, jak to odbywało się w Gusen. Opowiadał nam o tym kolega Słomiany – przed wojną właściciel knajpy portowej w Gdańsku – który w tym czasie pracował w krematorium. Opowiadanie jego przyjęliśmy wielkim śmiechem. Odbywało się to przeważnie tak:

Krematorium otrzymywało kartkę, że należy wystawić do oglądania taki to a taki numer. Szukają w wielkim stosie trupów, czekających w przechowalni krematoryjnej na spalenie. Wreszcie znajdują gdzieś potrzebnego nieboszczyka, ale nie można go wystawić: twarz zmasakrowana.

– O, tu jest niezły trup! – woła któryś i wyciąga z kupy trupów jednego, który jeszcze możliwie wygląda. Twarz – jeśli były siniaki – smarowali kredą. Jeśli usta otwarte, podpierali brodę patykiem, wkładali do pudła, które zastępowało dolną część trumny – i na wystawę z nim.

Zwłoki wystawiano w małym, specjalnie do tego celu postawionym domku, składającym się z dwóch maleńkich pomieszczeń. W pierwszym pomieszczeniu byli ci, którzy przyjechali obejrzeć zmarłego, a w drugim, większym, sam zmarły, wystawiony na wysokim drewnianym podwyższeniu. Pomieszczenia te były oddzielone zamkniętymi drzwiami z oszklonym otworem w górnej części, przez który można było patrzeć na nieboszczyka. Zmarły przykryty był prześcieradłem pod samą brodę, a pod głową nie było żadnego podwyższenia – leżał on wysoko i zupełnie płasko, więc przez szybę widać było tylko kawałek brody i czubek nosa. Dlatego można było wystawiać innych zmarłych albo trzy rodziny oglądały jednego truposza, i to może nieraz człowieka innej nawet narodowości. Po włosach nie poznali, bo łby mieliśmy golone brzytwą każdego tygodnia. Niektórzy wyrażali zdziwienie, że tak bardzo po śmierci ten ktoś się zmienił.

Budynek ten był mi dobrze znany, bo gdy w pobliżu pracowałem, niejeden raz służył mi on za schronienie przed deszczem lub robotą. Odwiedzających prowadził zawsze ten sam esesman i tak jak

mówiono o tym już w Mauthausen, żałobnym i zbolałym głosem pocieszał rodzinę według pewnej ustalonej i zawsze powtarzanej formułki:

– No cóż, szkoda go, dobry był człowiek, dobrze pracował. Wszyscy go lubili. Po cóż rozpaczać – płacz tu już nic nie pomoże. Robiliśmy, co było w naszej mocy, żeby go uratować. Sprowadziliśmy najlepszych lekarzy z Linzu, z Wiednia, ale tu już sam sobie był winien, bo nie słuchał lekarza. Przy wysokiej temperaturze otwierał okno, nie wkładał ciepłych pantofli, jak wychodził do ustępu. To i nic dziwnego, że tak się skończyło.

Rodzina popatrzyła, popłakała – może ktoś głupi pomyślał, że naprawdę było tak, jak im mówi esesman – zostawiali przywiezione z sobą kwiaty i wracali do domu oczekiwać na urnę z prochami. Może myśleli, że są to prochy ich zmarłego. A to były naprawdę ludzkie prochy, lecz nabrane szuflą z wielkiej kupy popiołu po spalonych ludziach, która znajdowała się za krematorium. Kto by tam się bawił w wybieranie i odsyłanie właściwych prochów. Wystarczy, że ludzkie, więc niech sobie inni płaczą nad nimi.

Niejeden raz było tak, że jednego nieboszczyka odwiedzały dwie albo trzy rodziny tego samego dnia. Nieboszczyk zawsze był ten sam, zmieniały się tylko rodziny odwiedzających, a esesman wszystkim powtarzał tę samą formułkę o leczeniu i niesłuchaniu przepisów lekarza.

Po odejściu rodziny obsługa krematorium chowała zostawione kwiaty pod plandekę wózka, którym przywożono nieboszczyka, a wieczorem w obozie sprzedawali je za papierosy blokowym lub kapom, żeby ci z kolei mogli podarować je swoim paniom, „urzędującym” w obozowym domu publicznym. Raz zdarzyło się, że przegapili zabranie kwiatów, a przyszła inna rodzina oglądać nieboszczyka. Po wysłuchaniu pocieszającej formułki wygłoszonej przez esesmana krewni zapytali, co to za kwiaty leżą. na to on im spokojnie odpowiedział, że kwiaty te przysłał komendant obozu, bo zmarły był bardzo przez niego lubiany. Ponieważ musiał on służbowo wyjechać i nie mógł sam przyjść, przesłał te kwiaty.

Na jesieni 1940 roku, tak gdzieś od listopada, zaczęły przychodzić paczki żywnościowe. Były one po uprzedniej kontroli w całości oddawane więźniom, do których były przysyłane, lecz w listach pisanych do domu nie wolno było nic o paczkach wspominać. Nie wolno było dziękować za paczki, prosić o paczki ani w ogóle nic takiego pisać, co byłoby potwierdzeniem odbioru. W tym samym czasie zwolniono do domu kilka grup Ślązaków. Odważniejsi z nich zaczęli przysyłać paczki innym więźniom lub informować rodziny innych więźniów, że paczki są więźniom doręczane, mimo że na listach wysyłanych do domu był drukowany regulamin, w którym między innymi było, że „paczek żywnościowych przysyłać nie wolno. W obozie jest kantyna, w której wszystko można kupić". Ci, którzy otrzymywali paczki, byli obiektem zazdrości wszystkich innych więźniów, a oni sami, gdy już mieli paczkę w rękach, zamieniali się w okropnie złe, zgłodniałe psy, które gotowe są rzucić się na każdego, kto tylko znajdzie się za blisko ich żarcia. To nie jest przesada.

Niektórzy, lecz takich było bardzo mało, poczęstowali najbliższego sąsiada czy kolegę jakimś pierniczkiem lub maleńką kanapką. Wszyscy inni zagarniali całą paczkę przed sobą na stole i warczeli na wszystkich, którzy się do nich zbliżyli.

Dokładnie pamiętam, jak po rozdaniu paczek przyszło trzech z naszej sztuby i na stole przeglądali otrzymane produkty. Wśród tych trzech było dwóch braci, z zawodu sędziowie. Najbardziej łobuzerskimi słowami odpędzali każdego, kto z ciekawości zbliżył się, żeby zobaczyć, co oni dostali, albo pytał, co im przysłano. Stałem z daleka, oparty plecami o szafki, i z ciekawością przyglądałem się tej scenie. Widziałem oczy tych, którzy otrzymali paczki, wlepione w produkty, radosne, że wreszcie zjedzą coś ludzkiego i treściwego. Widziałem też oczy tych, którzy jako koledzy czy znajomi z tej samej miejscowości chcieli obejrzeć paczkę. Te oczy wyrażały głód i pożądanie, mimo że usta mówiły różne słowa, oczy nie odrywały się od paczki. Jakie to okropne, pomyślałem sobie, przecież ci ludzie w tej chwili niczym nie różnią się od zwierząt i gdyby nie strach przed śmiercią, gdyby nie wielkie pragnienie życia, które traciło się

za kradzież jedzenia, kto wie, czy nie gryźliby się jak głodne psy o kości.

Patrzyłem na to i zrobiło mi się okropnie przykro, że ludzie mogą dojść do stanu takiego zezwierzęcenia. Podszedł wtedy do mnie Józef Brzeziński i zapytał, czego ja taki jestem smutny. Nie odpowiedziałem mu nic, tylko zanuciłem refren piosenki: „Czy ty wiesz, co to ból samotności" – i dalej już nie mogłem, bo nie wytrzymałem i zacząłem strasznie płakać. Chciałem powstrzymać się, lecz wtedy zamiast płaczu wstrząsnęło mną łkanie i minęło kilka minut, zanim się uspokoiłem.

Brzeziński, gdy mu powiedziałem, czego płaczę, przyznał mi rację. W czasie gdy płakałem, tłumaczył mi, starszy był ode mnie, że to robią warunki obozowe, że to jest celem obozów, żeby zanim ludzie umrą z głodu i przemęczenia, zamienić ich przedtem w bydło, upodlić, wyzuć z wszystkiego, co ludzkie.

To było u mnie tylko chwilowe załamanie się. Po kilku minutach byłem znów sobą i samemu było mi dziwno, że tak serdecznie płakałem. ze złością pomyślałem sobie, że nad bydlakami nie warto się rozczulać; jak już ktoś został bydlakiem, to widocznie już od urodzenia miał w sobie te zalążki, a nad takimi nie warto litować się, nie warto im współczuć.

Gdy zwolniono Szuberta, już po kilkunastu dniach otrzymałem od niego pierwszą paczkę. Przyszła ona tuż przed świętami Bożego Narodzenia, a dnia dwudziestego czwartego grudnia otrzymałem drugą oraz paczkę od matki. Otworzyłem paczkę od matki i niewiele brakło, żebym się znów popłakał. W paczce był jeden kilogram razowego chleba. Przed świętami do listów naszych pisanych do domu włożono kartki informujące, że na święta wolno przysłać nam jednokilogramową paczkę żywnościową – więc matka przysłała mi kilogram chleba. Paczka ta poinformowała mnie, w jakiej sytuacji znajduje się matka moja i siostra, jeśli już nic innego nie mogła przysłać.

Stefan otrzymał również na święta dwie kilogramowe paczki oraz paczkę odzieżową. W paczce odzieżowej dostał dwa wełniane swetry. Jeden sweter narciarski z szalowym kołnierzem, drugi – czarny wełniany golf. Miał od razu na te swetry dużo amatorów,

którzy chcieli za nie dobrze zapłacić, on jednak golf oddał mnie, a narciarski zatrzymał dla siebie.

Stefan pracował w kamieniołomach przy przewracaniu kamieni. Przy tej robocie porwały się całkowicie jego szmatki, zwane szumnie rękawicami, i strasznie cierpiał na ręce, które miał kiedyś odmrożone. Stefan z otrzymanego na kantynę palenia oddawał mi połowę. za te papierosy postanowiłem kupić mu ciepłe rękawiczki. Kupiłem dwie całkiem inne rękawiczki, lecz były one wełniane i ciepłe. Nie zapomnę nigdy, jaką mu tymi rękawiczkami sprawiłem radość. Cieszył się z nich jak dzieciak i nie chciał zrozumieć, że zostały one kupione za papierosy, które dostawałem od niego. „To była twoja część i nic mi się już z tego nie należało, ja swoją część wypalam, a ty możesz przejeść", mówił.

Nie wyobrażam sobie, że mógłbym za to palenie kupić sobie chleba czy zupy i zjeść to sam. Trzymałem palenie zawsze tak długo, aż zabrakło Stefkowi. Częstowałem go swoimi wtedy, gdy widziałem, że może sprzedać jedzenie, a gdy już wiedzieliśmy na pewno, którego dnia będą znów dawali papierosy, wtedy za nadwyżkę, która mi zostawała, kupowałem jedzenie. Miało to tę dobrą stronę, że przed samą kantyną za pewną ilość papierosów mogłem otrzymać cztery razy więcej jedzenia jak po otrzymaniu kantyny. na kantynę dostawali też tabakę do zażywania oraz tytoń do żucia zwany prymką. Widziałem, że wielu, przeważnie Ślązaków, nosi to w ustach i pluje czarną śliną, bo prymka była nasycona jakąś czarną, lepiącą się mazią. Później wyssany już tytoń suszyli, kroili i robili z niego papierosy. Gdy już bardzo brak było palenia, to niektórzy palili też tabakę do zażywania, zwaną „schnupftabak". Sąsiad mój, który spał obok mnie, już po zgaszeniu światła przyszedł do łóżka, niosąc z sobą to, co otrzymał na kantynę. Wykazał mi, co mu dali za dwadzieścia marek. Gdy mi powiedział, że otrzymał pewną ilość prymek, zapytałem, co to takiego, bo widzę, że niektórzy trzymają w gębie, a ja nie wiem nawet, jaki to ma smak.

– To masz, zobacz – powiedział, wsadzając mi po ciemku jedną prymkę w łapę. – Odwiń i ugryź kawałek.

Odwinąłem, ugryzłem i połknąłem ślinę. Zapiekło mnie w ustach, nabiegło mi dużo śliny i poczułem, że będę wymiotował. Wyplułem ten kawałek, zakląłem i resztę prymki rzuciłem przed siebie. Trafiłem

jednego Ślązaka, Muszalskiego. Ten zaczął kląć po śląsku tego, który w niego czymś „ciepnął", ale gdy za chwilę znalazł i poznał, że to prymka, ucieszył się i zaczął chwalić dobrego człowieka, który dał mu prymkę.

– Toć ja pół prymki na raz w gębę wrażam.

Któremu prymka niepotrzebna, to niech jemu odda, bo mało kto jej używa, a on bez niej nie może żyć. Powiedziano mi później, że żucie prymki jest takim samym nałogiem jak palenie. Niedługo sam się o tym przekonałem, bo w Gusen na dobre zacząłem palić, a gdy zabrakło palenia, zacząłem ssać prymkę i już źle się czułem, gdy jej nie miałem. Dopiero jeden z dobrych kolegów, Kornacki Stasiek, odciągnął mnie od wpadnięcia w ten nowy nałóg. Po prostu zabierał mi prymkę, prał, suszył, kroił drobno i paliliśmy zamiast papierosów. Był to przecież tytoń, który po wypraniu był tylko słabszy od normalnego tytoniu.

Zbliżały się pierwsze święta Bożego Narodzenia w obozie. Było już dla wszystkich jasne, że żadnych zbiorowych zwolnień nie będzie. W wilię świąt Stefan kupił bochenek chleba za papierosy. Nie pamiętam już, ile dał, lecz wiem, że zapłacił drogo. Mieliśmy więc na święta bochenek obozowego chleba, bochenek otrzymany z domu oraz prawie całe paczki od Szuberta i paczkę Stefana. Wszystkie produkty mieliśmy schowane w siennikach, bo mimo groźby śmierci zdarzały się wypadki kradzieży z szafek. Nie gwarantowałbym za to, czy to nie kradli nasi władcy blokowi, którym nikt nic nie przysyłał, a oni też chcieli pożreć ciasta i lepszego tłuszczu niż margaryna, z której nas okradali. Wszystką żywność naszą zachowaliśmy na święta. W Wigilię po wydaniu kolacji zasiedliśmy do stołów. Spodziewaliśmy się, że tego dnia Karl lub esesman urządzą nam jakiś kawał – gimnastykę, słanie łóżek, a może jakieś karne ćwiczenia. Nic takiego jednak nie zrobili. Nasi prominenci prosili Karla, żeby nie robił nam żadnych kawałów. Przy kolacji więźniowie dzielili się między sobą opłatkiem, który niektórzy otrzymali w paczkach. Ja też otrzymałem opłatek w paczce od Szuberta. Umówiliśmy się, że kolację tego dnia zjemy w większym gronie.

Do naszej uczty zaprosiliśmy Leona Ceraka, Mietka Rączkę i Franciszka Opasa, którzy nie otrzymali jeszcze z domu świątecznych paczek. W nasze miski wsypaliśmy ciasteczka, cukierki i kilkanaście

maleńkich kanapek z domowego chleba z domowym tłuszczem i wędliną. Gdy przyszedł moment, że różni ludzie przy stołach zaczęli składać sobie życzenia, nastąpiło załamanie. Wielu zaczęło płakać, inni siedzieli z minami skazańców na chwilę przed wykonaniem wyroku. Jeden Zygmunt Jaczewski trzymał fason. Zaczął nawoływać do uspokojenia się, rzucił kilka dowcipów, znalazł się chociaż na chwilę przy każdym stole – w końcu wezwał do zaśpiewania kolędy i sam pierwszy zaczął śpiewać. za nim zaśpiewali inni i nastrój żałobny minął.

My przy naszym stole podzieliliśmy się opłatkiem i zjedliśmy przygotowane jedzenie. Każdy brał z misek ciasteczka, kanapki i cukierki. Robiliśmy to spokojnie, powoli, bez nerwowości ludzi głodnych, kulturalnie. Nie wiem, co w tym czasie myśleli inni, ja myślałem o tym, że gdyby tego jedzenia było trzy razy więcej, to też dałbym radę zjeść wszystko sam. Myślę, że inni myśleli to samo, lecz mimo to żaden nie wyrwał się z tym, żeby zjeść więcej jak inni. Po skończonej kolacji Stefan przyniósł jeszcze pół bochenka chleba kupionego za papierosy, który już zjedliśmy sami.

W naszej wspólnej kolacji brał udział Franciszek Opas. Był to starszy już człowiek z Konina, czy też z okolic Konina, mówił nam, że był wójtem. Przywieziono go na jesieni z małym transportem więźniów z Polski. Przywieziono ich w cywilnych ubraniach. Opas różnił się tym od innych, że miał olbrzymią brodę i wąsy. Gdy stali pod komendanturą, esesmani przychodzili oglądać jego brodę. Pracowałem wtedy ze Stefkiem u Wincensa, więc kilka razy przejechaliśmy się taczkami w pobliżu, żeby im się przyjrzeć. Po wieczornym apelu kilku z nich przydzielono na nasz blok, między nimi i Opasa. Teraz dopiero, na bloku, stali się podobni do ludzi, bo jak stali pod komendanturą, to strasznie wydawali się nam śmieszni w swych cywilnych kapeluszach, czapkach i z włosami. Transportem tym przyjechał też Tadeusz Marcysiak z Inowrocławia, z którym później kolegowałem się i z którym utrzymuję kontakt do chwili obecnej. Opas – człowiek o prawym charakterze – podobał się nam i lgnęliśmy do niego. Opowiadał nam o niewoli niemieckiej w czasie poprzedniej wojny, lecz mówił, że obecna nasza niewola jest bez porównania gorsza. Spokojnie znosił warunki życia obozowego.

Uważał, że łagodnością i przy uczciwym wykonywaniu zarządzeń obozowych będzie można przeżyć wojnę. Dla nas było jasne, że jeśli wojna potrwa dłużej jak do wiosny, to Opas wolności nie doczeka. Mizerniał w szybkim tempie. Modlił się stale i mnie do modlitwy namawiał. Gdy z kamieniołomów z kamieniem na ramieniu wracaliśmy do obozu, mówił, że idąc po schodach, modli się i lżej mu się wchodzi, bo nie myśli wtedy o schodach, tylko o Bogu. W Gusen widziałem się z nim jeszcze kilka razy. Po kilku tygodniach, gdy wracałem z pracy, zobaczyłem Opasa w oknie. Powiedział, że jest chory, i zostawili go na bloku. Zrobił mu się na brzuchu w pasie wielki wrzód i to stało się przyczyną jego śmierci Gdy po kilku dniach chciałem go wieczorem odwiedzić, dowiedziałem się, że już nie żyje.

Gdy Ślązaków zwalniano do domu, w tym samym czasie rozstrzeliwano warszawiaków. Podobno przyjechali do Mauthausen przedstawiciele Gestapo z Warszawy, przeglądali akta i podpisywali wyroki śmierci, które były wykonywane za drutami obozu, na terenie pracy. Przy niwelacji terenu pod budowę baraków powstała skarpa wysokości trzech metrów i pod tą skarpą dokonywano egzekucji.

Jak gdyby celowo robiono w ten sposób, że zwalniano i rozstrzeliwano w te same dni. Przed południem pisarze blokowi biegali po terenie pracy i wywoływali numery do uśmiercenia. Bo ci do zwolnienia byli zawiadamiani poprzedniego dnia wieczorem, że jutro nie idą do pracy i że mają się ogolić. Rano, po kąpieli, badaniach lekarskich i przebraniu się w swoje cywilne ubrania, które przedtem czyszczono i prasowano, ustawiano ich przed drzwiami baraku komendantury. Barak ten stał prostopadle do drogi, którą my chodziliśmy, i miał dwa wejścia. Przed pierwszym wejściem, bliżej drogi, stała grupa licząca około czterdziestu więźniów, którzy w tym czasie, gdy my będziemy stali na wieczornym apelu, będą umierali. Stali oni smutni, milczący, nieruchomi, z opuszczonymi na piersi głowami. Byli jacyś mali, skurczeni, nieporadni. A w odległości dziesięciu metrów od nich, przed drugim wejściem, stała grupa licząca w przybliżeniu taką samą ilość osób. Grupa radosna, roześmiana, z głowami wysoko uniesionymi radością. Przecież za kilka godzin będą na wolności. Cóż ich obchodzić może, że w tym samym czasie, gdy ich będą prowadzili na dworzec w Mauthausen, ci

obok nie będą już żyli. **Ale niby dlaczego mieliby się przejmować losem innych. Przecież do tego dnia też każdej godziny każdy z nich mógł utracić życie, a na pewno wielu z tych, którzy obecnie mogli być zwolnieni, nie żyło już.** My, którzy pozostawaliśmy w obozie dalej, też nie przejmowaliśmy się tym. Żal nam było trochę kolegów z tej samej sztuby i tych, z którymi byliśmy zżyci. Jak umierał muzułman, to już przedtem było wiadomo, że taki za kilka dni pójdzie do pieca, a tu wyrywano nam często ludzi zdrowych, w pełni sił i nieraz nawet dobrze odżywionych. Naszemu sztubowemu uśmiercili prawie wszystkich jego podopiecznych. Nazwisk ich już nie pamiętam. Zapamiętałem tylko Henia Kowalskiego, Zbyszka Lajcherta, Stefana Borucińskiego, Zygmunta Jurkowskiego i Wacka Radeckiego. Zbyszka, Zygmunta i Wacka pamiętam dokładnie dlatego, że żyliśmy z sobą dobrze i lubiliśmy się.

Z Zygmuntem Jurkowskim często prowadziliśmy wieczorami długie rozmowy. Chorował on na żołądek, więc nigdy nie jadł świeżego chleba, tylko wczorajszy. Chleb świeżo otrzymany kroił na kilka części, żeby mu szybciej wysechł, i jadł dopiero następnego dnia wieczorem. Podziwiałem go zawsze za silną wolę, że jest głodny, a nie zje chleba, który ma przy sobie. Opowiadał mi on często o swej żonie i córce, która miała wtedy piętnaście czy szesnaście lat. Jednego dnia namówiłem go, żeby poszedł ze mną na markierację i popracował trochę moją metodą. Po urwaniu się ze swej grupy szybko znalazłem odpowiednią pracę. Wleźliśmy z łopatami w jakiś niedawno wykopany rów. Był on tak głęboki, że wystawały nam tylko głowy, ale to wystarczyło już, żeby nic nie robić, tylko z rowu rozglądać się na wszystkie strony, czy nie zbliża się niebezpieczeństwo. Po jakimś czasie zbliżyło się któreś tam z rzędu niebezpieczeństwo – widoczny z daleka zbliżający się do nas więzień w eleganckim pasiastym ubraniu. Był to pisarz z obozowej kancelarii. Zatrzymał się w pobliżu i wywołał kilkanaście numerów. Zygmunt chwycił mnie za rękę. Spojrzałem na niego, a on blady jak ściana.

– Mnie wywołał – mówi. – Stasiek, jeśli przeżyjesz, powiedz mojej żonie i córce, jak zginąłem, mieszkają w Warszawie, Hrubieszowska.

Wtedy dopiero odkrzyknął, że jest, wylazł z rowu i poszedł za nim. Po południu już nie wlazłem do rowu, lecz kręciłem się w pobliżu

komendantury, żeby zobaczyć, kto znajomy stoi w tej partii. Robiłem to zawsze, gdy mieli rozstrzeliwać. Przechodziłem wtedy szybkim krokiem drogę i patrzyłem, czy nie zobaczę znajomych w obu grupach. Potem wpadłem na lepszy pomysł, ładowałem taczki cegłą i w pobliżu tego baraku robiłem odpoczynek albo przewracałem taczki i układałem z powrotem wysypaną cegłę. W tym czasie mogłem nieraz zamienić ze skazanymi kilka słów.

Tego dnia ustawiłem się z taczkami. Zobaczyłem kilku znajomych. Ciężko było ich rozpoznać, bo stali z nisko spuszczonymi głowami. za to ci do zwolnienia byli ruchliwi i głowy trzymali wysoko. Zygmunt Jurkowski stał na brzegu grupy, zobaczył mnie i tak jak Szubert, gdy odjeżdżał – pobłogosławił mnie znakiem krzyża. W roku 1946 byłem na ulicy Hrubieszowskiej, lecz dowiedziałem się, że rodzina wyjechała na Ziemie Odzyskane i nikt nie znał ich nowego adresu.

Zbyszek Lajchert wywołany został w czasie południowego apelu, widocznie nie mogli go przed południem odszukać. na kilka minut przed zbiórką, gdy już szedłem w kierunku miejsca zbiórki, żeby się przyłączyć do którejś grupy i z nią razem wejść do obozu, zauważyłem biegnącego Zbyszka.

– Gdzie pędzisz, Zbysiu? – zawołałem.

– Gówno mnie goni! – odpowiedział ze śmiechem i pobiegł w kierunku ustępu. W czasie apelu stał w szeregu przed nami. Po apelu wywołano kilka numerów, a między nimi numer Zbyszka Lajcherta. Gdy go wywołano, zawołał: „Tutaj!", i szybko zaczął ściskać nam kolejno ręce. Żegnał się z nami.

– Nie martw się, Zbyszek, to może nic nie jest – powiedział któryś z nas.

– Już ja wiem, co to jest – odpowiedział Zbyszek i pobiegł tam, gdzie wywoływano numery. Tego dnia po południu w grupie czekającej na śmierć jeden Zbyszek stał z podniesioną wysoko głową.

Jeden z naszych kolegów, który przebywał w tym czasie w rewirze, mówił, że z ostatniego okna baraku, w którym on leżał, widać było, jak rozstrzeliwano więźniów, i że nie będąc widziany, obserwował wszystkie egzekucje. Rozstrzeliwano pojedynczo. Wszyscy rozstrzeliwani zachowywali się spokojnie. Raz jeden tylko jakiś

młody, może osiemnastoletni chłopiec załamał się. Wyrwał się, czołgał się u nóg esesmanów i prosił o litość. Rozstrzeliwani przed egzekucją rozbierali się z butów, marynarki i koszuli. Tylko w spodniach podchodzili do wału ziemnego i klękali tyłem do plutonu egzekucyjnego. Ten, który mi to opowiadał, znał dobrze Lajcherta, o którym mówiono, że był porucznikiem lotnictwa. Podobno targował się z esesmanami, żeby pozwolili mu stać, nie klęczeć, i przodem do plutonu egzekucyjnego. Podszedł do niego jakiś oficer SS i po krótkiej rozmowie z nim Zbyszek już spokojnie podszedł do wału i rozstrzelano go tak jak innych, w pozycji klęczącej.

Wacka Radeckiego znałem od początku mego pobytu w Mauthausen. Był to młody chłopak z Warszawy, z Mariensztatu. Lubiłem go bardzo, bo był to typ podobny do mnie. Ruchliwy, wesoły, odważny i mocno cwaniakowaty. Wydawało mi się, że to było u niego sztuczne, i kilka razy mówiłem Stefanowi, że po mojemu to Wacek więcej pozuje na cwaniaka i że chyba nie jest on taki wielki urkes, jakiego odstawia. Jednego dnia wywołano i jego. Gdy z taczkami naładowanymi żwirem zatrzymałem się w pobliżu baraku, zauważyłem Wacka Radeckiego. Stał na brzegu grupy i gadał głośno do każdego znajomego, którego zauważył przechodzącego ulicą. Wszyscy stali spokojnie, cicho, z nisko opuszczonymi głowami, a Wacek stał wyprostowany i uśmiechnięty. Gdy mnie zobaczył, zawołał:

– No, Stasiek, trzymaj się, ja jadę do Warszawy – w takiej puszce! – i tu rękami pokazał mi, w jakiej wielkości puszce będzie jechał do Warszawy. Roześmiał się przy tym, jakby się cieszył, że będzie miał ciekawe przeżycie.

Położyłem palec na ustach, prosząc go w ten sposób, żeby nie krzyczał tak głośno.

– A co mi teraz mogą zrobić – nie zabiją mnie za to, bo nie mieliby do kogo wieczorem strzelać.

Bałem się, żeby mnie nie złapali na rozmowie, więc wziąłem taczki i pojechałem dalej. Po jakimś czasie zawróciłem i znów stanąłem w tym samym miejscu. Radecki znów do mnie mówił, lecz teraz mówił ciszej. Zrozumiał, że wprawdzie jemu już nic więcej zrobić nie mogą, ale może tym narazić mnie. Mówił mi jeszcze, żeby o nim nie

zapomnieć, żeby powiedzieć chłopakom, że Wacka niełatwo jest nastraszyć, że wcale nie boi się tego, co go wieczorem spotka – tu posłał odpowiednią wiązankę pod adresem Niemców.

– Słyszysz, co do ciebie mówię? – zawołał.

– Słyszę – odpowiedziałem i kiwnąłem głową.

Zapytał, czy słyszę, bo stałem przy taczkach tak, że patrzyłem w innym kierunku, a nie na niego. Chodziło mi o to, że jeśli wyjdzie z baraku jakiś esesman, to nie połapie się, że on mówi do mnie. na zakończenie kazał mi jechać dalej, bo jak kto zobaczy, że tyle czasu stoję, to mnie zbiją. Mówił on cały czas zupełnie spokojnym głosem, tym typowym akcentem ludzi wychowanych na przedmieściach Warszawy. Pomyślałem, że omyliłem się w poprzedniej ocenie. Okazał się on naprawdę równym i charakternym chłopakiem.

Wśród rozstrzeliwanych byli również więźniowie z Gusen. W Gusen uważano, że ci wszyscy, których wyprowadzono do Mauthausen, są zwolnieni do domu. Rano wywoływano pewną ilość ludzi i prowadzono do Mauthausen. Byli to Ślązacy i warszawiacy. do czasu naszego przyjścia do Gusen nikt tam nie wiedział, że w Mauthausen rozdzielano ich – warszawiaków stawiano przed jednymi drzwiami, Ślązaków przed drugimi, a w czasie apelu jedni szli na dworzec, a drudzy pod wał na rozstrzelanie.

Egzekucja sama odbywała się po zakończeniu apelu wieczornego. W czasie trwania apelu obserwowaliśmy pilnie bramę, żeby widzieć, jak będą prowadzili naszych chłopaków. Nasz blok stał w pobliżu bramy i łatwo było poznać znajomych, dlatego że szli pojedynczym szeregiem – gęsiego. na przedzie szedł pluton egzekucyjny z karabinami, potem gęsiego więźniowie i na końcu esesmani z komendantury. Przyglądaliśmy się kolumnie, żeby po raz ostatni zobaczyć znajomych. Gdy ich prowadzono, w naszych szeregach słychać było szeptem wypowiadane słowa: „Ten i ten czwarty, ten siódmy, ten ósmy… ” itd., aż do chwili, gdy się już wszystkim pomylił rachunek. Po ukończonym apelu staliśmy na placu tak długo, aż umilkły salwy karabinowe. Liczyliśmy. Po czwartej salwie czyjś cichy głos w szeregu: „Ten i ten – koniec”. Po siódmej: „Ten – koniec”. Po ósmej: „Ten – koniec”. A wielu po każdej salwie robiło ukradkiem znak krzyża.

Żaden z warszawiaków nie był wtedy pewien swego życia. Każdy spodziewał się, że któregoś dnia zostanie wezwany i postawiony pod barakiem komendantury. Takiego zakończenia nie obawiali się tylko ci, którzy dostali się do obozu ze zwykłej łapanki. Wiedzieli, że nie dla nich przeznaczona jest taka śmierć. do nich śmierć przyjdzie powoli. Namęczą się długo jeszcze, zanim wreszcie przyjdzie im umrzeć powolnym konaniem z głodu, bicia i wycieńczenia pracą ponad ludzkie siły.

Patrząc na ludzi, widać było, że nieliczne tylko jednostki przeżywały śmierć współwięźniów, inni zachowywali się obojętnie. Mnie też wiele nie wzruszało. Gdy słyszałem salwę uśmiercającą kolegę z bloku – to całym przeżyciem było tylko wspomnienie w tym momencie nazwiska zabitego.

Jednego dnia, po wieczornym apelu, pisarz blokowy zawiadomił mnie, że jutro rano nie wychodzę do pracy, bo wezwany jestem na przesłuchanie polityczne do komendantury. Kazano mi się wieczorem dobrze umyć, ogolono mnie i następnego dnia po rannym apelu pisarz blokowy zaprowadził mnie na przesłuchanie. Wszedłem do pokoju, w którym siedziało sześć osób – trzech esesmanów i trzech gestapowców. Popatrzyli na mnie, zadali kilka drobnych pytań i kazali mi iść do pracy. Następnego dnia znów mi powiedziano, że mam iść na przesłuchanie. Znów mycie, golenie i czyszczenie butów. Esesmani i gestapowcy w takim samym składzie. do przesłuchania tego odniosłem się obojętnie. Wiedziałem, że mnie nie zwolnią, a mogą tylko rozstrzelać. Bałem się tylko trochę, żeby mnie przedtem nie bili, bo w czasie obydwóch przesłuchań na stole leżały dwa bykowce i dwa pistolety.

Rozpoczęło się przesłuchanie. Przed tym, który zadawał pytania, leżały jakieś papiery, w których niektóre zdania były podkreślone czerwonym ołówkiem. Pytania były dla mnie niezrozumiałe. Pytano o różnych ludzi, nazwiska i miejscowości, których nie znałem. Zapytano mnie, czy znam Hrubieszów.

– Znam – odpowiedziałem.

A jak często tam bywałem? Wcale nie bywałem. To skąd znam? Z mapy.

– Z mapy to ja znam cały świat – odpowiedział gestapowiec.

No, to ty pod tym względem nie jesteś mądrzejszy jak ja, pomyślałem. Tłumaczył esesman, który dobrze znał polski język.

Gdy przesłuchanie było skończone, wróciłem do pracy. Stefan i Wincens pytali, co chcieli ode mnie. Opowiedziałem im wszystko z detalami. Wincens pokazał na mnie palcem i powiedział, że jestem czarny. Miało to oznaczać, że nie podobam się naszym władzom i że pewnie mnie rozwalą. Wincens mi to wyraźnie powiedział.

– Mnie tam jest wszystko jedno – odpowiedziałem znudzonym głosem.

Nie wiedziałem, że to zdanie wywoła taką reakcję u Wincensa. Poderwało go. Skoczył do mnie, złapał mnie za marynarkę na piersiach, przysunął swoją twarz do mojej i ze złością powiedział:

– Co? Tobie jest wszystko jedno? Ty masz rodzinę? Masz matkę, siostrę, brata?

– Mam – odpowiedziałem.

Puścił mnie i mówił dalej:

– Tobie może być wszystko jedno, ale przecież matka twoja by płakała – a ty chciałbyś, żeby twoja matka płakała? To ty taki syn jesteś?

Gdy wspomniał o matce, zrobiło mi się głupio. Starałem się nie myśleć nigdy o domu, o wolności i o tym, że na świecie żyje tyle wolnych ludzi, którym nie grozi śmierć każdej godziny, a Wincens swoim wyskokiem przypomniał mi, że gdzieś tam, daleko ode mnie, w nieosiągalnej może już nigdy dla mnie Warszawie żyje moja matka, siostra, brat…

W ciągu najbliższych dwóch tygodni codziennie przed południem nasłuchiwałem, czy po obozie nie uganiają się ludzie, którzy wywołują numery, albo czy nie wywołują mojego numeru na apelu południowym. A dnie przechodziły mi tak jak wszystkie poprzednie, to znaczy głównym celem było organizowanie jedzenia, uchylanie się od pracy i czujna obserwacja terenu, żeby nie dostać kijem albo po twarzy.

Nie wywołano mnie. Zdecydowano, że nie zasługuję na szybką i lekką śmierć. Skazany zostałem na długie i powolne konanie i ciągły strach przed śmiercią, lecz w moim przypadku pomylili się. Strachu przed śmiercią nie odczuwałem i byłem zawsze przygotowany na jej

przyjęcie. A największy kawał zrobiłem im tym, że mimo ich najlepszych chęci, żeby mnie uśmiercić, nie udało im się to i chociaż z gruźlicą, ale żyję dalej. Często śmieję się i żartuję, że ja zasadniczo to już od roku 1940 żyję na kredyt. Według wszelkich prawideł i istniejących w obozie norm powinienem umrzeć już w roku 1940. Marzeniem naszym w obozie było doczekać wolności, zobaczyć dom i rodzinę, umyć się porządnie, najeść się dobrze, położyć się w czystą pościel, usnąć – i umrzeć. Ale to były już marzenia z Gusen, bo tam żyliśmy w brudzie, robactwie, wrzodach, świerzbie, liszajach, a spaliśmy w barłogach bez pościeli. Ale o tym opowiem osobno.

Gdy grupa nasza zakończyła pracę w piwnicach pod oficerską kantyną, Wincens trzymał nas wszystkich dalej u siebie. Wyszukiwał nam robotę, często wcale i nikomu niepotrzebną. Kazał nam stać i uważać tylko, żeby nas nikt nie złapał. Przydzielono do nas dużą grupę Hiszpanów. Przy grupie dwudziestu Hiszpanów, którzy łopatami wykonywali jakąś robotę ziemną, Wincens postawił Stefana Krukowskiego, mianując go przy tej grupie swoim zastępcą. W ten sposób Stefan awansował na mniejszego kapa. Obowiązki jego były takie jak każdego innego kapa: pilnować i bić. Wincens sam tego nie robił, to postawił Stefana, który też się do tego nie nadawał. Kapem był on tylko kilka godzin. Ja miałem wolną rękę, więc łaziłem szybkim krokiem po całym obozie. Gdy po jakimś czasie zatrzymałem się przy Stefku i jego Hiszpanach, to nie było ich już więcej jak czternastu.

– Rozłażą mi się jak karaluchy – mówił Stefan.

W tym momencie jeden Hiszpan zupełnie spokojnie wyszedł z grupy i zaczął się oddalać. Stefek pobiegł za nim, zatrzymał go i starał się go zawrócić. W tym czasie inni rozleźli się na wszystkie strony, tak że pozostał mu tylko ten jeden, którego trzymał, i ten upierał się, że chce iść gdzie indziej. Jak Stefan zobaczył, że nie ma ludzi, machnął ręką i tego ostatniego też zostawił w spokoju.

Zaproponowałem, żeby razem ze mną pochodził po terenie. Gdy już zrobiliśmy dwa czy trzy okrążenia, Stefana zawołał esesman,

który miał do niego dziwną miętę. Był to ten sam, który miał go w obrotach w sprawie ucieczki. do mnie się nie przyczepił, tylko do Stefka. Zapytał, co on tu robi.

– Szukam swoich ludzi – odpowiedział Stefan.

– A gdzie są ci ludzie?

– Nie wiem – rozleźli mi się wszyscy.

– No to już możesz ich nie szukać. Bierz się za robotę, a jutro pójdziesz pracować do kamieniołomów.

Następnego dnia, tuż po apelu, odszukał on Stefka i zaprowadził go do grupy pracującej w kamieniołomach. W ten sposób Stefan dostał się do kamieniołomów, a ja zostałem sam na górze.

Gdy esesman skierował Stefana do kamieniołomów, uważał, że on długo tam nie wytrzyma. Omylił się jednak w swoich obliczeniach. Stefek przeżył i do chwili obecnej jesteśmy tak samo przyjaciółmi jak w obozie. Obawa nasza wynikała z tego, że czepiał on się Stefana, ile razy go tylko gdzie spotkał. Widocznie dobrze go sobie zapamiętał. W okresie rozstrzeliwań zabrał raz Stefana do komendantury i wypytywał go o nastroje wśród więźniów, a szczególnie krążył wokół tematu, co więźniowie myślą o strzałach, które słychać wieczorem, i co mówią o tych, których widzimy pod komendanturą. Stefan odpowiadał mu, że przecież ludzie ci jadą do domu, bo jest już kilka wiadomości od rodzin o powrocie niektórych więźniów do domu. A strzały w czasie apelu? To esesmani ćwiczą się w strzelaniu do ruchomych celów.

Faktycznie w tym czasie takie ćwiczenia się odbywały – esesmani strzelali do psa uwiązanego na długim łańcuchu. Po pierwszych strzałach pies jak oszalały miotał się na łańcuchu. Zabite psy kazano więźniom zakopywać. Kopano dół i zasypywano go z powrotem, a gdyby komu przyszło do głowy ten dół odkopać, stwierdziłby, że pies znikł. Bo kopanie i zasypywanie odbywało się zupełnie prawidłowo, lecz pies pokrojony na kawałki przynoszony był pod ubraniem do obozu i tu albo sprzedawany za chleb, albo też niektórzy mieli sami możność upiec go czy też ugotować.

Niedługo potem, jak Stefek poszedł do kamieniołomów, poszedłem i ja za Szubertem – żeby go nie utłukli w przyspieszonym tempie. Po kilku dniach wróciłem na górę, a w trzy dni po wyjeździe Szuberta do

domu zostałem skierowany do kamieniołomów już na stałe i pracowałem tam do końca swego pobytu w Mauthausen, to jest do dwudziestego czwartego stycznia 1941 roku.

W pierwszych dniach stycznia 1941 roku rozbity został blok trzynasty. Rozdzielono nas po innych blokach, a na blok trzynasty skierowano nowy transport więźniów. Po rozbiciu bloku zostałem skierowany na blok jedenasty, Stefan na blok siódmy, a Heniek B. na blok ósmy.

Teraz dopiero przekonałem się, ile może zrobić sztubowy. Obecny mój sztubowy – nie przypominam sobie jego nazwiska – to anioł w porównaniu z Karlem. W mordę bił, krzyczał, pilnował dobrego słania łóżek, lecz nie było w nim tej małpiej złośliwości, która kazała Karlowi bez żadnej przyczyny trzymać nas w bloku przy ładnej pogodzie i na dworze, gdy był deszcz lub mróz. Pierwszy ząb, który straciłem w obozie, wybił mi ten sztubowy za to, że uderzyłem jego służącego. Składałem rano, na stole w jadalni, koce do posłania swego łóżka. Gdy już koc miałem złożony i trzeba było go tylko zwinąć, podszedł do stołu młody chłopak, który bez żadnego wyjaśnienia zrzucił mój koc na podłogę i ze słowami „ja teraz będę składał" zarzucił swój koc na stół. Wobec tego ja też bez słowa strzeliłem go łbem, poprawiłem pięścią, zwaliłem jego koc na podłogę i spokojnie zacząłem składać swój. Zauważyłem tylko, że „synkowi" – bo tak nazywano takich chłopaczków do wszystkiego – rozbiłem nos i usta, bo miał twarz zakrwawioną. Po chwili był już przy mnie sztubowy i znów bez słowa gruchnął mnie kilka razy pięścią w twarz, wybił mi ząb i poszedł do siebie. O, proszę, to dopiero nazywa się porozumienie bez słów. Każdy wiedział, co chciał, i każdy wiedział, za co dostał. **Żałowałem tylko, że nie mogłem w ten sam sposób oddać sztubowemu, ale ja jeszcze nie miałem zamiaru umierać, a uderzyć sztubowego to to samo, co popełnić samobójstwo.**

Sztubowy nasz miał mandolinę. Ktoś powiedział mu, że ja dobrze gram na tym „drewnie". Kilka razy na prośbę sztubowego grałem i śpiewałem wesołe warszawskie piosenki. Sztubowy nie rozumiał nic po polsku, widziałem jednak, że słucha z przyjemnością i nie spuszcza ze mnie oczu w czasie gry.

Nie posądzałem go o uboczne myśli, bo od dziecka nie grzeszyłem urodą i nigdy w obozie nie miałem przypadku, żeby przystawiał się do mnie któryś z „panów", o których wiadomo było, że lubią chłopców. Dużo ludzi bliskich mówiło mi, że zanim mnie bliżej nie poznali, to bali się mnie z powodu mojego wyglądu i spojrzenia. Tylko za swoje spojrzenie niejeden raz dostałem od Niemców lanie. Nienawidziłem ich każdą cząstką swego ciała i każdym nerwem. Sam może nie zdawałem sobie sprawy ze swego spojrzenia, wiedziałem tylko, że gdy patrzę na Niemca, rozsadza mnie nienawiść i chęć zemsty. Bywało tak, że patrzyłem na przechodzącego esesmana, kapo czy innego bandytę, a ten, gdy spojrzał na mnie, skręcał w moim kierunku i bez powodu walił w twarz.

Po graniu sztubowy dawał mi zawsze chleb lub miskę zupy, a niektórzy prominenci też coś od siebie jeszcze dołożyli. Jedzeniem dzieliłem się ze Stefanem Krukowskim.

W połowie stycznia komendant obozu zarządził dzień głodu – za lenistwo przy pracy. W niedzielę nie wydano nam żadnego jedzenia. Okropna to kara zabrać jedzenie w warunkach, gdy tego jedzenia jest tak mało, że ludzie umierają powoli z głodu. Wszyscy siedzieli osowiali przez cały dzień. Arystokraci obozowi mieli pewne zapasy chleba, a poza tym nie byli zagłodzeni. Musieli wcześniej wiedzieć o tym, że w niedzielę nie będzie jedzenia, bo prawie wszyscy mieli w miskach sobotnią zupę obiadową, a przecież nigdy nie zostawiali zupy na następny dzień, tylko tego samego dnia wieczorem sprzedawali za porcje kiełbasy lub papierosy. Wieczorem sztubowy poprosił, żeby mu pograć na mandolinie. Głodny jak bezpański pies – grałem i śpiewałem wesołe piosenki, śmiejąc się przy tym wesoło. Powiedziałem kilka wesołych monologów i rozruszałem ludzi. Gdy skończyłem, sztubowy dał mi – co za radość – pełną miskę zupy. **Wyjął z szafki i postawił przede mną na stole, każąc mi jeść. Szybka myśl – zjeść, bo mi każe. Będę usprawiedliwiony przed Stefanem, że zjadłem sam. Lecz w tym samym momencie wstydziłem się już swej myśli. Poprosiłem jednego więźnia, żeby przetłumaczył sztubowemu, że mam brata na bloku siódmym i chcę się z nim podzielić otrzymaną od niego zupą. Zgodził się i pochwalił mnie za to, że pamiętam o bracie.**

Poszedłem z miską do Stefka i zjedliśmy razem z jednej miski. Jedliśmy, nabierając łyżką na zmianę – raz on, raz ja, sprawiedliwie.

Odtąd wyraźnie już widziałem, że mam jeszcze jeden sposób organizowania jedzenia. Zarabiać graniem, śpiewaniem i wyładowaniem swego niespożytego humoru.

W tym samym czasie znów kapo Zaręba, ten sam, który pomagał B., poczuł sentyment do Stefana. Kazał przychodzić Stefanowi codziennie w południe do młyna, gdzie on był kapem, i dawał mu dwie miski zupy. Stefan jedną zjadał, a drugą brał z sobą, mówiąc Zarębie, że to na później, a zupę tę oddawał mnie. W kamieniołomach nie mieliśmy zlewek i magazynu, to w inny sposób zaczęło nam dochodzić jedzenie.

Kamieniołomów nie bałem się. Gdy na stałe przydzielono mnie do pracy w kamieniołomach, żal mi było tylko magazynu żywnościowego, gdzie zawsze coś zorganizowałem do jedzenia. Stefan dalej pracował przy przewracaniu kamieni dla majstrów do wymierzania, a ja pierwszego dnia trafiłem do drugiego kamieniołomu.

Kamieniołomy w Mauthausen dzieliły się na trzy kamieniołomy i młyn, który stał osobno. Przydzielono mnie do grupy, gdzie ładowano duże kamienie na samochody. Kamienie ładowaliśmy na tragi, które obsługiwało dwóch lub czterech więźniów. Olbrzymie kamienie nosiliśmy w czterech. Każdy z nas chwytał jedną rączkę tragi, donosiliśmy kamień do samochodu, olbrzymim wysiłkiem podnosiliśmy kamień i zwalaliśmy go na samochód. Inni więźniowie układali kamienie na samochodzie. Praca była bardzo ciężka, a tu jeszcze bez przerwy bili nas kijami przy nieustannym wrzasku kapów: „Tempo! Tempo!…”. Po zwaleniu kamienia na samochód trzeba było pędzić biegiem po nowy. Bili nas przy ładowaniu kamienia na tragę, przy przenoszeniu i przy załadowywaniu na samochód. Dom wariatów, pomyślałem, przecież ja nie będę w takich warunkach pracował, tym bardziej że ja do obozu się nie prosiłem, więc i robić nie mam potrzeby. Stefan miał dobrą robotę,

więc nie musiał kombinować tak jak ja. Przy przekładaniu kamieni pracowało ich tylko czterech przy tym majstrze, więc trzeba było mieć wyjątkowe szczęście, żeby który z nich zachorował lub umarł, żeby zająć jego miejsce. W porównaniu z innymi pracami ta była wyjątkowo lekka i spokojna, bo cywilny majster nie nastawiał się na zabijanie więźniów, to i kapowie też mniej bili.

Szybko więc wykorzystałem pierwszy dogodny moment i już mnie tam więcej nie zobaczyli. na początek poszedłem do Stefana, żeby on mi coś doradził, nie powiedział mi on jednak nic nowego. Żeby chodzić po kamieniołomach z jakimś narzędziem na ramieniu, to ja sam dobrze wiedziałem, a nic innego nie mogliśmy wymyślić.

Idąc szybko przed siebie, zauważyłem leżące samotnie taczki. O, to coś dla mnie, pomyślałem sobie. Teraz już nie byłem sam, lecz w towarzystwie taczek, które były dla mnie tarczą chroniącą przed biciem. Objeździłem cały teren, zwiedziłem wszystkie zakamarki i odnalazłem przy okazji kilku kolegów. W wędrówce tej wyszukałem jakąś starą, małą szopę, zamkniętą na zardzewiałą kłódkę, i postanowiłem za tę szopę chować swoje taczki na noc i na czas obiadu. Z taczkami już nie rozstawałem się do końca mego pobytu w kamieniołomach. **W zimę praca trwała krócej jak latem. do pracy wychodziliśmy dopiero wtedy, jak było dobrze widno, a wracaliśmy, gdy było jeszcze dobrze widno. Robiono to z obawy, żeby im kto nie uciekł. Bo jak jest ciemno, to niejeden mógłby pokusić się o ucieczkę**. Dzień pracy potrafiłem sobie zorganizować tak, że mi się wcale nie nudziło. Rano – po zejściu do kamieniołomów – liczono nas i na rozkaz: „Ustawić się grupami roboczymi", każdy stawał do swojej grupy. Ustawiałem się też do jakiejś grupy i urywałem się, gdy tylko wyruszaliśmy z placu do swoich miejsc pracy. Szedłem szybko do „swojej" szopy, zabierałem taczki i jechałem z nimi na obchód kamieniołomów. Zanim wszyscy nie stanęli do swoich prac, jechałem w kierunku młyna, na sam koniec terenu pracy, gdzie znajdował się mały osłonięty placyk. Placyk ten zawalony był drzewem. Były to wielkie korzenie i pniaki całkowicie przykryte śniegiem, **tak że jeśli ktoś wszedł na ten placyk pierwszy raz, to widział tylko masę rozwalonego śniegu. Nie wiem, jak wysoka była warstwa tych korzeni, bo do końca pobytu do dna jeszcze się nie dobraliśmy. Placyk ten**

odkryłem w taki sposób, że raz postanowiłem jechać za drugim więźniem, pchając taczki – dwóch będzie mądrzej wyglądało. Gdy byłem tuż za jego plecami, zapytał mnie, czy ja też jadę po drzewo.

– Po drzewo – odpowiedziałem i żeby mnie nie zaczął egzaminować, zapytałem pierwszy, dla kogo on to drzewo wozi.

– Dla nas – odpowiedział.

– W którym kamieniołomie robisz? – zapytałem znów.

– W drugim.

– A ja w pierwszym i drzewo wożę kamieniarzom – skłamałem, ale to kłamstwo nasunęło mi myśl, że naprawdę można im będzie drzewa zawieźć. W ten sposób odkryłem miejsce dobrej pracy i odpoczynku. Zorganizowałem sobie oskard, którym wyrywałem ze śniegu splątane z sobą korzenie i pniaki. Praca ta była dobra, bo nikomu w niej nie podlegałem i robiłem tylko wtedy, kiedy chciałem, i tylko tyle, ile chciałem. Gdy był duży mróz, robiłem więcej i rąbałem i ładowałem drzewo na taczki, żeby się rozgrzać.

Drzewo to wiozłem do kamieniarzy, którzy pracowali w szopach. Cieszyli się zawsze, gdy zobaczyli mnie wiozącego drzewo, o które w kamieniołomach było bardzo trudno. Wolno mi wtedy było posiedzieć dłuższy czas w szopie i pogrzać się przy ogniu. Czasem w palenisko włożyłem kilka wczorajszych, zimnych gotowanych kartofli w łupinach, które rano dostałem od Heńka B. Przyjemnie było zjeść kilka tak upieczonych gorących kartofli.

Kapem kamieniarzy był Emil – ten, o którym wspominałem, że otaczał opieką księży. Był to bardzo dobry człowiek; wiedział, że to ja przywożę drzewo, i też czasem dał mi kilka kartofli lub pół litra zupy. Gdy mi się w szopie znudziło, jechałem znów po drzewo. Przed obiadem chowałem taczki i oskard za szopę i szedłem polować na buraki cukrowe.

Główną drogą kamieniołomów przejeżdżały cywilne wozy z burakami. Każdy wóz konwojowany był przez jednego esesmana z kołkiem w ręku. O tej porze, gdy przejeżdżały wozy z burakami, wielu więźniów ustawiało się na trasie. Jedni udawali, że coś robią, inni wyczekiwali w ustępie. Gdy pokazywały się wozy, wszyscy byli już w czujności bojowej. Atak na wozy rozpoczynał się w pobliżu ustępu. Grupa „myśliwych” osaczała powoli wóz i w pewnej chwili

któryś wyczuwał dobry dla siebie moment; robił skok do wozu, chwytał w ręce dwa–trzy buraki i uciekał. od razu za nim rzucali się inni, a esesman bił wszystkich kołkiem. Buraki te jedliśmy ze Stefanem dopiero wieczorem na bloku. Pokrojone w cienkie plasterki, jedliśmy z chlebem. Samych buraków nie można było dużo zjeść, bo chociaż były one bardzo słodkie, to równocześnie miały w sobie jakąś gorycz i paliły w gardle.

Na sygnał wszyscy pędzili do pierwszego kamieniołomu i ustawiali się w kilka kolumn, przed szeregiem kotłów z jedzeniem. Ci, którzy otrzymali jedzenie, przechodzili na drugą stronę, żeby ktoś nie pobrał drugi raz. Były to jednak małe grupy fachowców. Nie zbliżaliśmy się nigdy do tego zamkniętego kręgu, bo nie mieliśmy żadnej szansy na otrzymanie dolewki, a nie sprawiało mi żadnej przyjemności przyglądanie się, jak inni się obżerają. Sprzedaż zupy za kiełbasę odbywała się tu tak samo jak i na górze. Po obiedzie z pomieszczeń kapo wyjeżdżały jedna miska za drugą. Zupę tę kupowali różni znajomi służących różnych kapów, którzy zupę wydawali, a wieczorem przynosili mu swoją porcję kiełbasy. Możność stałego kupowania zupy można było nazwać szczęściem, bo każdy chętnie by kupił, ale tylko nieliczni z masy więźniów mieli taką możność. Stefan i ja kupowaliśmy na górze, więc w kamieniołomach nie szukaliśmy już źródła kupna. Kupowaliśmy tylko jedną zupę, wychodząc z założenia, że chociaż to ździebełko mięsa trzeba jeść, bo jeśli dają, to znaczy, że jest nam potrzebne. Gdy nam udało się kupić dwie zupy za obydwie kiełbasy, to kupowaliśmy tylko takiego dnia, którego zorganizowaliśmy buraki cukrowe. Po zjedzeniu zupy Stefan szedł do Zaręby, który w ostatnim okresie pobytu dawał mu dwie miski zupy dziennie. Zjadał jedną na miejscu, a drugą przynosił mnie. Gdy zbliżał się koniec obiadu, na sygnał kapo wszyscy przechodziliśmy za dużą skałą, a chwilę po tym następowały wybuchy we wszystkich trzech kamieniołomach. Powtórnie wysadzano skały wieczorem, gdy byliśmy jeszcze na apelu. Zawsze po wybuchach krzykiem i biciem rozpędzano nas do naszych robót. Kiedy szedłem do taczki, znów zaczynałem swoją „normalną" pracę. Gdy był duży mróz, woziłem drzewo, gdy mniejszy, to od czasu do czasu przywiozłem kamieniarzom drzewa, lecz już nie grzałem się w szopie, tylko robiłem inspekcję kamieniołomów.

Moją „pracę” znali już wszyscy koledzy z bloku pracujących w kamieniołomach i nazwali mnie „królem markierantów”. Ostrzegali mnie zawsze, żebym dał spokój z tą zabawą, bo w końcu wpadnę i zabiją mnie. Uważali, że długo w ten sposób nie da się kołować. Ponieważ ta metoda była bardzo niebezpieczna i groziła zabiciem każdego, kto w ten sposób postępuje – nie było chętnych do stosowania jej, **bo każdy chciał przecież żyć i przeżyć i do domu wrócić, więc woleli szukać sobie lżejszej i spokojniejszej pracy, niż narażać się tak jak ja. Te lekkie prace były jednak też bardzo ciężkie, można było też nieraz dostać kijem i w każdej chwili mogli przerzucić do innej ciężkiej pracy w zwariowanym tempie i przy ciągłym biciu. A przy takiej pracy mogli zabić każdej godziny. Wystarczyło dobre uderzenie w głowę, które ogłuszało i czyniło człowieka niezdolnym do wymaganego tempa, a wtedy już koniec – bili tak długo, że albo wieczorem niesiono już do obozu nieboszczyka, albo po takim biciu człowiek nie wracał do równowagi, bity był za niewydolność w pracy i po kilku dniach już był wykończony.**

Ale moja metoda pracy tylko teoretycznie była tak niebezpieczna w porównaniu z innymi. Praktycznie była lepsza od innych. Robiłem, kiedy chciałem i co chciałem. Musiałem tylko bez przerwy być czujny, czujny jak dzikie, tropione zwierzę, **bo przy jednej chwili osłabienia czujności już mógłbym wpaść**. Musiałem widzieć wszystko, co się dzieje i blisko, i daleko ode mnie. Oczy bez przerwy biegały na wszystkie strony. Gdy zobaczyłem z daleka coś, co mogło być niebezpieczeństwem, ruszałem się, pozorując pracę, lub oddalałem się w innym kierunku. Gdy niebezpieczeństwo było blisko, nie uciekałem, lecz szedłem naprzeciw niego. Gdy odwiedziłem kilka miejsc pracy, należało zniknąć na jakiś czas, bo jeśli zobaczy mnie kilka razy z pustymi taczkami ten sam esesman lub kapo – to mogłoby mu to wydać się podejrzane, a gdyby przypadkiem chciał sprawdzić, do której grupy roboczej należę, byłbym gotowy, bo mojego numeru nie mieli zapisanego w żadnej grupie. Jechałem wobec tego na swój placyk po korzenie i pieńki. Po obiedzie jeździłem jeszcze godzinę, może trochę więcej, z taczkami, lecz już obserwowałem, czy nie zbliża się polowa kuchnia z gorącą czarną kawą. W okresie dużych mrozów dawano nam po pół małego

kubeczka gorącej czarnej kawy. Ja – że nie potrzebowałem wracać do swojej pracy – przez cały czas rozdawania kawy byłem przy kuchni. Grzałem sobie ręce od gorącego kotła, co jakiś czas wypijałem nową porcję kawy, a gdy jechali dalej, opierałem się ręką o kocioł i udawałem, że pomagam go pchać. Ci, co obsługiwali kocioł, poznali mnie szybko i nie wypędzali mnie, bo uważali, że pomagam im, pchając kuchnię, i wziąłem ich swoim humorem i opowiadaniem raźnych wesołych anegdotek i kawałów. Gdy już kawę rozdali, wracali do bazy, która mieściła się w szopie, gdzie trzymano kuchnię i przygotowywano kawę. W bazie opróżniano całkowicie kocioł i wtedy często otrzymywałem od nich całą miskę fusów od kawy. Nie wiem, ile pożytku dawały zjedzone fusy, wiem tylko, że dawały mi uczucie najedzenia i zapełniały żołądek. Moje kręcenie się przy kuchni, błyskanie humorem i dowcipem miało na celu zyskanie sobie przychylności obsługi kuchni, bo amatorów na fusy było więcej. Fusów też było więcej, lecz tak się ułożyło, że pierwsza miska była dla jednego więźnia, który zjawiał się zawsze wtedy, gdy kuchnia wracała do szopy, druga miska dla mnie, jako cichego i nieoficjalnego pomocnika, a resztę rozdawali według uważania.

Po zjedzeniu fusów już nie brałem taczek, bo wiedziałem, że za pół godziny powinien być już koniec pracy. za wcześnie było jeszcze na składanie narzędzi, więc szedłem do ustępu i tu starałem się odczekać kilkanaście minut. Gdy w ustępie robiło się luźno, był to znak, że za kilka minut będzie koniec. Przesuwałem się wtedy do pierwszego kamieniołomu na plac zbiórki i kręciłem się w pobliżu dużych kup kamieni, żeby na sygnał zbiórki być jednym z pierwszych przy kamieniołomach, chwycić jakiś dobry kamień i ustawić się w pierwszej lub drugiej setce.

Codziennie, gdy wracaliśmy z pracy, każdy musiał zanieść na górę kamień. Kamienie na rozbudowę obozu woziły przez cały dzień samochody i tych kilkanaście setek kamieni było znikomą ilością w stosunku do potrzeb. Chodziło o to, żeby nas jeszcze bardziej umęczyć. Wejście na te cholerne schody kosztowało mnie więcej wysiłku niż cały dzień pracy. A przecież ja prawie nic nie robiłem. Jak więc musiało być ciężkie wejście dla tych, którzy, bici kijami, ciężko

pracowali cały dzień. Starałem się przed zbiórką być pierwszy na placu, żeby złapać odpowiedni kamień. Odpowiedni kamień to taki, który był duży, a mało ważył. Przed wyruszeniem do obozu kapowie i esesmani sprawdzali, przechodząc wzdłuż szeregów, kto ma jaki kamień na ramieniu. Jeśli jakiś kamień wydawał im się za mały, więzień dostawał po twarzy i musiał brać taki kamień, który nawet na równym terenie ciężko było dźwigać. Podpadłem i ja raz z małym kamieniem. Dostałem po twarzy i kapo pokazał mi kamień, który mam nieść. Poniosłem go tylko na pierwsze stopnie i elegancko ułożyłem na jednym stopniu, lecz bałem się trochę, żeby który z kapów nie zobaczył, że idę bez kamienia. od tamtego czasu zawsze dobierałem sobie kamień duży i płaski. Gdy trzymałem taki kamień na ramieniu, to nieraz zasłaniał mi całą głowę, lecz miał on zaledwie kilka centymetrów grubości i był całkiem lekki. Najważniejszy był przegląd na dole, przed wyruszeniem. Gdy ruszyliśmy z miejsca, nikt się już do tego nie wtrącał.

Raz jeden esesmani zrobili sobie wesołą zabawę. Gdy pierwsza setka była już u samej góry, kilku esesmanów, stojących u szczytu schodów, zaczęło bić więźniów, pędząc ich na dół. Powstała taka sytuacja, że dalsze setki pchały się jeszcze pod górę, a ci z przodu, bici, pędzili na łeb na szyję na dół. Każdy rzucał swój kamień. Kamienie, tocząc się, pędziły w dół i zatrzymywały się dopiero na przeszkodach, które stanowili zbici w kupę ludzie. Schody z jednej strony dotykały skalnej ściany – z drugiej strony była przepaść. Między schodami a przepaścią była metrowej szerokości ścieżka, lecz na nią strach było wchodzić, żeby nie stoczyć się w przepaść. Jednak gdy powstał ten bałagan, udało mi się zsunąć ze schodów na tę ścieżkę i po niej dopiero powoli zsuwać się w dół. Cały mętlik odbywał się na schodach. Najgorzej wychodzili ci, co uciekali pod ścianą, bo idąc w dół, schody wciąż lekko skręcały w lewo, więc rzucone przez więźniów kamienie zawsze kończyły swój bieg uderzeniem o ścianę, pędziły dalej w dół, aż zatrzymywały się dopiero na przeszkodzie z ludzi. Ścieżką, którą schodziłem, zsuwało się na dół więcej osób, lecz mimo to były między nami duże odległości. Zsuwałem się w dół, idąc bokiem, a tyłem do przepaści. Pochylony do przodu przytrzymywałem się krawędzi schodów. Gdy

wszyscy znaleźliśmy się znów na dole, dowiedzieliśmy się, że kazano nam „zejść" z powrotem na dół dlatego, że nieśliśmy na górę zbyt małe kamienie. Zabraliśmy większe i znów marsz pod górę, który tym razem odbył się już spokojnie, z tą tylko różnicą, że na końcu niesiono i prowadzono więcej osób, bo przybyło trochę ludzi poturbowanych w czasie „schodzenia" na dół. Dopiero w Mauthausen, a potem i w Gusen dowiedziałem się, jaka to jest przysłowiowa „austriacka pogoda". Cztery pory roku w ciągu jednej doby. W maju – w nocy szron na dachach, a już w lutym w południe pracowaliśmy bez koszul. W drugiej połowie stycznia, gdy była bezchmurna pogoda, słońce tak mocno grzało, że rozpuszczał się śnieg leżący na schodach i w dół lały się całe strumienie wody. Gdy wstawaliśmy rano, a było jeszcze dobrze ciemno, nie wierzyło się nieraz własnym oczom – mróz, zadymka i śnieg wyżej kostek. Woda spływająca w ciągu dnia po schodach zamarzła, a na wierzchu była warstwa śniegu. I teraz dopiero zaczynała się zabawa. Niektórzy z nas chodzili do pracy w butach na skórzanych podeszwach nabijanych gwoździami, inni na grubych drewnianych, przez które nie wyczuwało się, na czym się staje. Gdy się jeden pośliznął, to jechał na tyłku w dół z dużą szybkością. Po drodze podcinał jeszcze kilka osób i teraz już jechała grupa. Często było to podobne do sztafety: jeden jechał tak daleko, aż wpadł na drugiego, na którym się zatrzymał; ale teraz znów tamten zasuwał w dół i starał się kierować na ludzi, żeby się móc zatrzymać. Byli tacy, którzy w obawie rozbicia się przy upadku siadali na blaszanych miskach, które codziennie nosili do pracy, i trzymając miski za uszy, zjeżdżali na nich w dół jak na małych saneczkach, podcinając innych po drodze.

Kiedyś rano, w drodze do pracy, gdy jeszcze nie doszliśmy do schodów, z szeregów wyszedł jeden więzień i poszedł w bok, w kierunku posterunku. Gdy był już przy nim, skręcił w bok i poszedł dalej, a dopiero po chwili zaczął uciekać biegiem. Uciekał w stronę małego lasku. Kolumnę naszą zatrzymano, a wszyscy eskortujący nas esesmani strzelali za uciekającym, który, nietrafiony przez nikogo, uciekał dalej na oczach wszystkich. Trzech esesmanów popędziło jego śladem. Żeby było im lekko gonić, zrzucili z siebie

wierzchnie okrycia i biegli w spodniach i koszulach z zawiniętymi rękawami. Nam kazano szybko schodzić na dół, a gdy już zeszliśmy, z krzykiem i biciem kazano wszystkim położyć się na śniegu twarzą do dołu i leżeć bez ruchu. Położyliśmy się, a esesmani i kapowie chodzili po nas i nogami wciskali w śnieg głowy tym, którzy je za wysoko trzymali, i kopali tych, którzy się ruszali. **Gdy ze Stefanem położyliśmy się, odgarnęliśmy świeży, miękki śnieg, ręce złożyliśmy pod głową i rozmawiając po cichu, doszliśmy do wniosku, że możemy tak leżeć cały dzień. Dziwiliśmy się tym, którzy jak barany podnosili głowy. Przecież nikt nic ciekawego nie zobaczy, ale zobaczą jego podniesiony łeb i zarobi za to kilka dobrych kopniaków po bokach i nogami wcisną mu gębę w śnieg. Gdy już to leżenie zaczynało być dla mnie nudne, dano rozkaz podnieść się, przeliczono nas i do pracy. Leżeliśmy niecałą godzinę, a że nie było wtedy dużego mrozu, więc nie słyszałem o żadnych wypadkach odmrożeń.** Ten, który uciekał, to zwykły samobójca, który poszedł prosto na wartownika, żeby ten go zastrzelił. A że wartownik przegapił, to ten już uciekał dalej. Nie wypadało przecież podejść do esesmana i prosić go, żeby dobrze strzelił. **Kiedy już rozstawiono posterunki i złapali czy też zabili zbiega, kazano nam iść do pracy.**

Gdy wspomniałem, że przed zakończeniem dnia pracy kręciłem się w pobliżu placu zbiórki, żeby być w pierwszej lub drugiej setce, chodziło mi o złapanie odpowiedniego kamienia, który trzeba było zanieść na górę. Nie to jednak było najważniejszą przyczyną mojego postępowania. Gdy raz trafiłem dopiero do końcowych setek, kazano nam nieść do obozu kotły po naszym obiadowym jedzeniu. Podobno pusty kocioł-termos ważył dwadzieścia pięć–trzydzieści kilogramów, ale że w kuchni mieli za mało lekkich, to dawali pewną ilość ciężkich kotłów-termosów. Idąc z takim niewygodnym ciężarem, zostawaliśmy w tyle, więc kapowie popędzali nas kijami, żebyśmy dołączyli się do kolumny. Po wejściu na górę nie czułem rąk i nóg, natomiast dobrze czułem ramiona i plecy, po których dostałem solidnie kijem.

Teraz byłem już mądry, jeśli chodzi o kotły, ale jeszcze wciąż głupi i niedoświadczony w różnych innych sprawach. Nie dałem złapać się więcej do niesienia kotłów, to zachciało mi się być litościwym nad

jakimś więźniem, który upadł, biegnąc na zbiórkę. Zatrzymałem się chwilę przy nim, żeby zobaczyć, co mu się stało. Gdy kilku pędzących na zbiórkę przebiegło po nim, uniosłem go do góry i chciałem odprowadzić na bok, lecz jeden z kapów złapał innego biegnącego więźnia, zaprowadził nas na koniec kolumny i kazał nam prowadzić go do obozu. na dole to on jeszcze jakoś stał na nogach, ale na schody wchodzić nie mógł. Nogi się pod nim uginały i nie mógł wejść nawet na jeden stopień. Musieliśmy we dwóch nieść go na ramionach do góry. Szliśmy na samym końcu kolumny, poganiani kijami przez kapów. Oczy nam wychodziły na wierzch z wysiłku. Schody były bardzo strome. Bokiem iść nie było można. A iść normalnie – to jeden był zawsze dużo wyżej od drugiego, a tu z tyłu bez przerwy biją kijami. Takich jak my było więcej. Codziennie wynoszono z kamieniołomów do obozu trzydziestu–czterdziestu takich umrzyków i tę kolumnę nazywano „karawaną". Gdy staliśmy na placu apelowym, a wchodziła „karawana", niejeden raz liczyliśmy, ilu wnoszą. Przeważnie było trzydziestu–czterdziestu wniesionych. Byli to tacy, których wykończono w ciągu dnia, i osłabieni, którzy już nie mieli sił stać na własnych nogach i nieraz już kilka godzin przed końcem pracy leżeli na jednej kupie z nieboszczykami. Wszystkich takich zbierano w ciągu całego dnia i kładziono na kupę w pobliżu placu zbiórki. Ten, którego ja niosłem, wytrzymał cały dzień przy pracy. Trzymał go pewnie strach przed biciem. Ale gdy już biegł na zbiórkę, nastąpiło odprężenie i raptowne załamanie. Gdy przynieśliśmy go do obozu, był już nieprzytomny. Już nigdy więcej nie brałem się do niesienia zmarłego człowieka i nie dałem się też nigdy więcej złapać. od tego czasu z daleka omijałem zabitych i takich chorych, którzy już nie mogli chodzić. Wiadomo było, że ktoś ich musi przynieść do obozu – ale niby dlaczego to ja mam nieść? Jest tylu innych. Jak nie potrafią uciekać, to niech noszą. Dla nieboszczyka obojętne było, kto go będzie niósł, a godziny życia tego żywego, który już nie miał sił iść, były policzone.

Pamiętam, jak wykończono chłopaka, który spał nade mną, na górnym łóżku. Łódzki grandziarz. Wyschnięty był jak szczapka, ledwie chodził i już od kilku dni codziennie przynoszono go z pracy w kamieniołomach. Jak zjadł kolację i przespał się, to rano miał tyle

sił, żeby zejść do pracy, lecz wieczorem znów go przynoszono. Tego dnia, gdy go zabili, bardzo długo słał swoje łóżko i dlatego ja nie mogłem posłać swojego, bo łaził nogami po krawędzi mojego i gniótł mi siennik i koce. Poprawiłem raz i drugi, w końcu uderzyłem go ręką w nogę, mówiąc mu, żeby wreszcie zakończył słanie. No, ten posłał mi wtedy koncertową wiązankę, poruszył całą rodzinę, odczytał mi metrykę urodzenia i zagroził, że jak mi da biglem, czyli deską do wygładzania łóżka, to… itd. Zostawiłem go w spokoju i czekałem, aż zakończy słanie. Gadałbym z nim inaczej, gdyby był silniejszy. Tego dnia wieczorem przyniesiono go do obozu już w charakterze nieboszczyka. Zapytałem chłopaków, którzy razem z nim pracowali, czy umarł prawidłowo, czy mu ktoś pomógł. do nieba pomógł mu się dostać esesman przy pomocy rękojeści od oskarda. Właśnie dlatego, że za wolno pracował, dostał od esesmana kilka razy kijem. Popatrzył wtedy na esesmana i ze złością powiedział:

– No, gdybym ja cię tak na wolności drapnął, tobym ci wtedy… twoja mać pokazał, jak się bije!

– Co on powiedział? Co on powiedział? – pytał esesman.

I wtedy jeden młody Czech, który z nim pracował, powtórzył mu to po niemiecku. Esesman porwał trzonek od oskarda, gruchnął go w głowę i zabił na miejscu.

Gdy ze Stefanem już nieźle zorganizowaliśmy się w kamieniołomach, pech chciał, że Stefan dostał flegmony na nodze. Tego dnia od rana już nie mógł chodzić. Noga mu się zaogniła i spuchła. Wiedzieliśmy, że to flegmona – bo to była często spotykana choroba obozowa, która podobno powstawała, tak jak i biegunka, z niedożywienia. Powstawała ona w miejscach uderzonych. Dokładnie nie mogę o tym nic powiedzieć, bo sam flegmony nigdy nie miałem. Stefek został przyjęty na rewir, a ja znów zostałem sam. ze Stefanem nie mogłem się zobaczyć, bo wstęp na rewir był wzbroniony. Gdy jednak dostałem papierosy i tytoń za pierwsze pieniądze otrzymane od księdza Szuberta,

postanowiłem zaryzykować i jakimś sposobem dostać się do Stefana. Umieściłem po kieszeniach wszystkie papierosy i tytoń, poszedłem w stronę rewiru. na moje szczęście furtka była otwarta. Z duszą na ramieniu wlazłem do środka. Tu nie czułem się tak pewnie jak na terenie pracy. Jakiegoś chorego, który wyglądał przez okno, zapytałem, czy nie wie, gdzie jest Krukowski i że ma flegmonę. Pokazał mi, w którym baraku jest chirurgia. Szedłem powoli wzdłuż baraku chirurgii. Przy jednym oknie wsadziłem głowę i zajrzałem do środka. Zobaczyłem leżącego na stole chorego, który miał na twarzy maseczkę do usypiania. Przy nim uwijał się inny więzień w białym fartuchu. Proszę – higiena. Gdy tak się przyglądałem, do pokoju wszedł esesman w białym fartuchu i z papierosem w zębach. Podszedł do chorego, odsłonił mu nogę i zagłębił w ciało lancet. Chory wrzasnął przeraźliwie. Nie był jeszcze dobrze uśpiony. Esesman szybko przełożył lancet do lewej ręki, a prawą zupełnie fachowo, po boksersku, całą siłą uderzył chorego w szczękę. Chory od razu zamilkł. Ręczna narkoza pomogła. Esesman położył papierosa i… dostałem w twarz, że ciemno mi się w oczach zrobiło. Wybity ząb wyplułem już w drodze powrotnej do furtki, którą przebyłem błyskawicznie. Gdy otrzymałem uderzenie, nie spojrzałem nawet, kto mnie uderzył, tylko co sił w mych chudych nogach uciekałem do furtki. Wiedziałem, że ktoś, kto bije z taką siłą, ma prawo bić, i nie chciałem z takim zawierać bliższej znajomości. Ząb nie martwił mnie wcale, chociaż był to drugi wybity ząb w ciągu kilkunastu dni. Martwiłem się tylko, jak dostarczę papierosy i tytoń Stefanowi. Wreszcie poprosiłem o pomoc Jaczewskiego. Nie wiem, jak on to zrobił, ale Stefek wszystko otrzymał, pokwitował odbiór, gdzie wszystko wyliczył.

Następnego dnia, to jest dwudziestego czwartego stycznia 1941 roku, nie poszliśmy do pracy. Wiadomo już było, że tego dnia odchodzi duży transport do Gusen. Każdy łudził się, że może on nie zostanie wysłany, bo wszystkim było wiadomo, że w Gusen są bez porównania gorsze warunki, Mauthausen to obóz stary, zorganizowany, a Gusen dopiero się buduje. Wiedzieliśmy, że brak tam wody, ustępów, że nie ma łóżek, ale za to jest dużo robactwa, wszy i pchły. W Mauthausen, gdy ktoś znalazł u siebie wesz, jego

ubranie, koce i pościel oddawano zaraz do parowania, a więźnia strzyżono, golono i kąpano. A tam nie robiono nic, żeby robactwo zlikwidować.

Warunki w Mauthausen można było nazywać rajem w porównaniu z Gusen, tak jak warunki w Dachau można było nazywać rajem w porównaniu z Mauthausen. (Nie mówię tu oczywiście o warunkach karnej kompanii w Dachau, lecz o warunkach przeciętnych więźniów, żyjących na tak zwanych „wolnych blokach").

Żal mi było wyjeżdżać z Mauthausen, bo znałem tu już wszystkie chody, a tam człowiek idzie na wielką niewiadomą, z jednym tylko przekonaniem, że będzie gorzej. Żal mi też było, że rozdzielą mnie ze Stefanem, który jako chory, niezdolny do transportu pozostawał w Mauthausen. Okazało się, że do Gusen idą wszyscy Polacy i Hiszpanie, a zostaje tylko kilkudziesięciu Polaków niezbędnych jako fachowcy: stolarzy, ślusarzy, elektryków i kamieniarzy. Wszyscy inni – przesiadka do Gusen. Zabrano nam płaszcze, obozowe swetry, rękawiczki i nauszniki, wydano wieczorne porcje chleba, ustawiono na placu apelowym i… marsz do Gusen. Tym razem nie bito nas tak jak w drodze do Mauthausen. Szliśmy cicho i spokojnie. Po drodze nie spotykaliśmy osób cywilnych. Nawet gdy przechodziliśmy obok domów mieszkalnych, nikogo nie było widać. Tylko w jednej chałupie przy drodze widziałem przez okno stojącą w głębi pokoju kobietę, która patrzyła na nas i wyraźnie widać było, że płacze, bo wycierała sobie chustką oczy.

Gusen

Już jestem w Gusen. Sam – bez Stefana. Trzymamy się razem z Leonem Cerakiem, Mietkiem Rączką i Heńkiem B.

O zatrzymanie Heńka w Mauthausen walczył jak lew kapo Zaręba, lecz mimo swoich naprawdę wielkich wpływów tej sztuczki nie udało mu się przeprowadzić i Heniek przyszedł razem z nami. Mam jednak wrażenie, że jego to poleceniu zawdzięcza Heniek swą karierę w Gusen. Najważniejszy był początek. Później już musiał sobie sam dawać radę i trzeba przyznać, że radził sobie doskonale, a i ja zawdzięczam mu tak dużo, że niczym w życiu zaciągniętego wobec niego długu nie mógłbym spłacić. Pomoc od niego – to miska obozowej zupy dziennie. To byłoby za mało, żeby żyć, ale ta miska zupy miała duże znaczenie w całości organizowanego jedzenia. Heniek robił to beznamiętnie, nie zadawał sobie najmniejszego trudu, żeby dla mnie coś zostawić czy zorganizować. Żył dla siebie i nie pomylę się chyba, gdy powiem, że był on w sobie zakochany. Powodzenie w obozie, osiągnięte nie przez zdolności zawodowe czy wybitny organizatorski zmysł, lecz dzięki protektorom, **którym podobali się chłopcy o ładnej i gładkiej buzi,** uderzyło mu do głowy. W obozie mądrych określało się ilością jedzenia w żołądku i wagą ciała. Kto miał dużo jedzenia, ten był bardzo mądry. Forma, w jakiej Heniek dawał mi tę miskę zupy, była tak przykra, że często mimo głodu miałem zamiar nie brać od niego, lecz gdy po kilku dniach zapytywał, dlaczego nie przychodzę, i serdecznym tonem posyłał mi kilka wiązanek – przychodziłem znów do niego pod okno po zupę. Będę o tym pisał jeszcze niejeden raz w związku z różnymi sytuacjami w obozie. Obecnie mogę i muszę jeszcze raz powiedzieć,

że pomoc od Heńka była dla mnie nieoceniona i przykrości, które nieraz mi zrobił, są wielkim zerem w stosunku do tego, co od niego otrzymałem. Nie wiem, czy w warunkach wolnościowych istnieje forma wdzięczności, która by mogła wyrównać zaciągnięty tam dług. Wydaje mi się, że zawsze, do śmierci będę dłużnikiem jego i wszystkich, którzy mi w jakiejkolwiek formie pomogli w obozie. I gdyby mnie od tych ludzi spotkała największa krzywda, ważniejsza będzie dla mnie pamięć o pomocy, którą od nich w tej czy innej formie otrzymałem. A pamiętam każdą miskę zupy i każdy kawałek chleba.

Na placu apelowym staliśmy kilka godzin, zanim nas zapisano i zdecydowano, co z nami zrobić, gdzie nas umieścić. na placu trzymano nas w cienkich ubraniach, bez swetrów, płaszczy, rękawic i nauszników, żeby nas prędzej szlag trafił. Naszą czwórkę przydzielono na blok osiemnasty, sztuba B i tu wydano nam nowe numery. Kolejny numer w Gusen, którym mnie nacechowano, był 8420, a otrzymałem go dwudziestego czwartego stycznia 1941 roku. do piętnastu tysięcy dawano numery kolejne. Następnie dawano numery po zmarłych. A w 1943 roku stworzono centralną kartotekę dla wszystkich obozów podległych Mauthausen i dano nowe numery. Wtedy dostałem numer 43429. Obóz Gusen I mieścił mniej więcej dziesięć tysięcy ludzi, późniejszy Gusen II – około piętnastu tysięcy. Razem około dwudziestu pięciu tysięcy ludzi.

Przyglądałem się wszystkiemu z ciekawością i stwierdziłem jedno: prowizorka. Naelektryzowane druty kolczaste na drewnianych palach. Brama wejściowa taka jak brama wjazdowa w biednym gospodarstwie. Plac apelowy na gołej ziemi. Żadnych chodników, wszędzie brud, bałagan, kupy ziemi, błota. Baraki na palach. Baraki w Mauthausen to były kurne chaty w porównaniu z barakami w Dachau, lecz baraki w Gusen to stajnie w porównaniu z Mauthausen. Zupełnie w inny sposób zbudowane. Nie było tu jadalni i sypialni. Nie było szafek, nie było stołów, nie było łóżek, nie było pościeli, nie było na miejscu umywalni, nie było na miejscu

ustępu. Każda sztuba składała się z dużego pokoju, tak zwanej kapówki, miejsca zamieszkania władz blokowych – blokowego, sztubowego, pisarza blokowego i dyplomowanych kapów z oznaką kapa na rękawie – oraz z jednej olbrzymiej, gołej, niczym niezastawionej sali na pół baraku. Sienniki były ułożone na kilku kupach pośrodku sali. Każda taka kupa przykryta była pewną ilością koców – dwa koce na jeden siennik. Wokół baraku, na ścianach, przybite były deski i to była półka na miski. pod każdą miską przybity był gwoździk, na którym zawieszone były ręczniki.

Ręczniki te były ciągłym naszym utrapieniem, a dla władz blokowych źródłem wyżywienia. Każdego dnia wieczorem zabierano nam trzydzieści–czterdzieści porcji kiełbasy, jako karę za niedokładnie złożony i zawieszony ręcznik. Wychodzili oni z założenia, że jeden kawałek kiełbasy nic nikomu nie da; czy zjemy, czy nie zjemy, to i tak niedługo wykończymy się, ale jak jeden zje dziesięć porcji kiełbasy smażonej z kartofelkami, to już mu coś to da. Robiono to zupełnie otwarcie. Piec znajdował się tuż przy drzwiach do kapówki, lecz nam nie wolno było do niego podejść, bo za to otrzymywało się takie bicie, że ten, który podszedł, już więcej nie miał okazji tego robić. Przy piecu za to uwijała się służba naszych władz. Smażyli oni nasze kiełbasy, nam musiał wystarczać tylko zapach. Nie mogliśmy mówić, że nic z kiełbasy nie otrzymywaliśmy, bo piękny zapach to co? Kiełbasy te zabierano nam codziennie i nie było to zorganizowane tak, żeby codziennie brać innym. Brano na ślepo. Czasem komuś przez tydzień nie wzięli, to znów brali kolejno przez cztery dni, a jeszcze na dodatek, żebyśmy byli pewni, że ręczniki źle były złożone i zawieszone, robiono nam przed blokiem karne ćwiczenia, przy których pękła niejedna głowa pod uderzeniem kija i niejeden człowiek z tego powodu wcześniej się wykończył. Gdy wracaliśmy z pracy na kolację, każdy myślał tylko o tym, czy mu zabiorą dzisiaj kiełbasę i czy będą karne ćwiczenia.

Dzielenie chleba było osobną ceremonią. Otrzymywaliśmy jeden bochenek na trzech lub czterech. Chleb dzielił jeden, krojąc go przeważnie na cztery części, a jeśli chleb był na trzech, to jedną ćwiartkę dzielił jeszcze na trzy części. Wszyscy wypowiadali się, od której porcji trzeba odjąć, a do której dołożyć. Wielu miało wagi.

Waga – to kawałek patyka z uchem w środku i dwoma kawałkami sznurka z ostrymi patyczkami na końcach, służącymi do wbicia w chleb przy ważeniu. Po podzieleniu jeden odwracał się tyłem – reszta patrzyła na chleb, żeby nie było oszustwa – i jeden z pozostałych dotykał palcem porcji i pytał:

– Dla kogo ta?

– Dla Władka – odpowiadał ten, który był odwrócony.

– Dla kogo ta?

– Dla mnie.

No, a trzecia zostawała dla trzeciego. Jedzenie chleba to była modlitwa. Nie zmarnowała się żadna okruszynka. Niektórzy delektowali się. Robili maleńkie kanapeczki z chleba i kawałka kiełbasy, zawijali to w szmatę, nosili na piersiach – żeby kto nie ukradł – i jedli, dopiero leżąc w łóżku. Ja kiełbasę jadłem od razu po wylosowaniu porcji. Dwa razy w usta i kiełbasy nie ma – bez kiełbasy nie było też pokusy kupna papierosa. Chleb brałem do czapki i jadłem całą porcję bez krojenia, a okruchy też zbierałem do czapki i zjadałem. Wtedy byłem pewien, że mi nikt kawałka chleba nie ukradnie. A mimo to dwa razy skradziono mi chleb w czasie, gdy cierpiałem głód, a trzeci raz to już w roku 1944, gdy już żywiłem innych. Pierwszy raz skradziono mi chleb w grudniu 1941 roku. Po otrzymaniu chleba pobiegłem w koniec sztuby, położyłem chleb przed własnym nosem na łóżku i zdejmowałem płaszcz. Gdy płaszcz odrzuciłem do tyłu, mignęła mi przed nosem jakaś ręka i chleb znikł. Pożyczyłem wtedy jedną czwartą porcji i to była cała moja kolacja.

Drugi raz skradziono mi chleb z kieszeni płaszcza w marcu 1942 roku. Wtedy jednak już nie odczuwałem tak straty chleba, bo dostałem tego dnia od Heńka czubatą michę kartofli w łupinach, w której było też trochę grubo obieranych łupin z kartofli, które on sam zjadł. **Kartofle włożyłem do czapki, a łupiny chciałem oddawać, więc rozglądam się za jakimś znajomym. Z boku podszedł do mnie jeden, prosząc, żebym mu dał te łupiny. Odmówiłem. Gdy odszedł, spostrzegłem brak chleba w kieszeni płaszcza. Dobry, co? Nie dostał łupin, zabrał chleb. Wtedy jednak już nie odczułem tak straty chleba, bo miałem swoją porcję kartofli i do tego pełną czapę od Heńka.**

Nauka nie poszła w las. Ja sam gwizdałem wszystko, co tylko zostało mi skradzione. Nie kradłem tylko nigdy chleba – z wyjątkiem jednego wypadku, który opisałem. Ukradli mi czapkę, płaszcz czy rękawiczki – gdy spostrzegłem brak, nigdy nie robiłem szumu. Kradzieże były na porządku dziennym i jeśli zrobiłbym szum, że na przykład zginęła mi czapka, już nie mógłbym jej „zorganizować" na swojej sztubie. Poza tym, jeśli już coś „zorganizowałem", to szybko szedłem do znajomych z innego bloku i wymieniałem nawet na gorsze – ale już nikt ze sztuby nie rozpoznał u mnie swojej własności.

Śmiercią karano w obozie tylko kradzież jedzenia. Wszystko inne było dozwolone i nikogo to nie interesowało. Gdy w roku 1943 przeniesiono mnie na blok trzeci, nie dostałem miski, a dwa koce, które znalazłem na przydzielonym mi łóżku, składały się z ośmiu podartych kawałków. Z tą sprawą nie warto było do nikogo chodzić. Przez okno zorganizowałem sobie z innego bloku dwa dobre koce. Spaliśmy na siennikach rozłożonych na podłodze całej sztuby, jeden przy drugim, bez żadnych przejść. Ja spałem obok Mietka Rączki. Gdy jeden z nas musiał w nocy wstać do ubikacji, to przed wyjściem budził drugiego, żeby mu pilnował miejsca. Ten z nas, który pozostawał, podkurczał wysoko nogi, a ręce wystawiał łokciami przed siebie, żeby nie zacisnęli miejsca po tym, który wyszedł. Gdy wracało się na swoje miejsce po głowach i ciałach innych, półgłosem należało wołać imię wspólnika, on się odzywał i w ten sposób wracało się na swoje miejsce. Gdy ulokował się ten, co już wrócił, wtedy wychodził drugi. W tym czasie musiałem wychodzić do ubikacji dwa razy w ciągu nocy, ale byli i tacy, co musieli wychodzić i sześć razy. W roku 1942 wychodziłem już cztery razy w ciągu nocy, z dokładnością zegara co dwie godziny. Ostatni raz wychodziłem zawsze kilka minut przed budzeniem. do ustępu trzeba było chodzić kilkadziesiąt metrów. Nie wolno było ubierać się w kalesony i spodnie. Wolno było założyć tylko buty i marynarkę lub jeśli ktoś miał – płaszcz. Wyglądało to w ten sposób, że przez całą sztubę szło się boso, w marynarce, z butami w ręku. Buty wolno było założyć dopiero za drzwiami. Biegiem do ustępu i z powrotem, na progu znów buty z nóg i spać. Niejeden raz marsz do ustępu odbywał się

z przygodami. Gdy było zimno, każdy chciał jak najszybciej przebiec tam i z powrotem. Większość ludzi w obozie zamiast butów nosiła trepy, które stukały głośno na kamieniach. Arystokraci nasi zaczajali się wtedy w sieni i bili tych, którzy stukali trepami. Jeden blokowy, zdenerwowany tym, że stukanie nie daje mu spać, zabił więźnia, który przebiegał pod oknem, a innym, którzy to widzieli, powiedział, że tak samo zabije każdego, kto mu będzie przeszkadzał spać. Wypadek ten posłużył koledze mojemu, Bohdanowi Zalewskiemu, obecnemu spikerowi z Polskiego Radia, do ułożenia wesołego wierszyka pod tytułem *Trup w trepach*, w którym mówił, jak to więzień stukaniem trepów zbudził blokowego, jak blokowy go zabił, a teraz trup mści się na blokowym, stukając trepami po całych nocach. Okropnie bici byli ci, których złapali na tym, że oddawali mocz po drodze i nie dochodząc do ustępu, wracali z powrotem. W ten sposób raz złapało mnie dwóch kapów w lutym 1942 roku. Nie bili mnie wcale, tylko wciągnęli do umywalni, rozebrali do naga i na dziesięć minut postawili pod zimny prysznic. Myślałem, że mnie wtedy już wykończą, bo to była jedna z wielu metod wykańczania: kąpiel pod prysznicem, a gdy człowiek osłabł, to go wtedy głową do beczki – i koniec. Czułem, że jeszcze trochę kąpieli, a upadnę. Paskudne uczucie, gdy w czasie mrozu stoi się pod lodowatym prysznicem. Gdy mnie wreszcie wygnali, złapałem pod pachę ubranie i nago, na bosaka popędziłem szybko na blok. Bałem się, żeby się nie rozmyślili i nie chcieli zabawić się ze mną do końca. Wlazłem pod koce, położyłem na wierzch płaszcz, spodnie i marynarkę, lecz mimo to długo jeszcze trzęsło mną zimno, zanim znów usnąłem. Rano wstałem i normalnie, jakby nic się nie stało, poszedłem do pracy. Byłoby gorzej, gdyby mnie wykąpali w ubraniu, bo wtedy musiałbym w mokrym iść do pracy.

Kiedy w nocy miałem wyjść, przedtem leżałem i słuchałem, jak chodzą inni. Słyszę, że ktoś idzie: poszedł. Znów ktoś idzie: poszedł. Ktoś wraca: już jest w sztubie. Teraz już mogę iść i ja. Tak wyglądało normalne wyjście. Często jednak było tak: słucham, idzie ktoś, dochodzi do sieni. Łup! – słychać uderzenie kijem i – Eeech! – głębokie jęknięcie. Znów ktoś wychodzi: Łup! – Eeech! – znów jęknięcie. Wraca ktoś – to samo. Oho, Stasiu, nie wychodź teraz, bo

i ty dostaniesz pałą. To któryś drań – kapo, sztubowy albo blokowy – ustawił się z pałą w sieni i bawi się. Nie pracuje, więc jak w dzień się wyśpi, to w nocy nie może spać i szuka sobie jakiejś rozrywki. Ale ja muszę iść do ustępu. W łóżko – nie można, zabiją na pewno. W miskę nie można, bo też zabiją, a przedtem każą wypić. Ale są przecież buty – drewniaki albo czółna, całe z drzewa, które nie nasiąkną. A więc w but. Gdy budziłem się drugi raz, a zabawa już się skończyła, wtedy wychodziłem. za progiem wylewałem z butów i biegłem do ustępu.

Któregoś dnia przyszedł do nas na sztubę jakiś wysoki, postawny kapo; wywołał Heńka B. po nazwisku. Po godzinie Heniek przyszedł i powiedział, że od jutra idzie pracować do magazynu bieliźnianego SS. Przed pójściem prosił blokowego, żeby mnie dawał jego zupę obiadową. Obiadem tym dzieliłem się z Mietkiem Rączką. Heniek od razu został arystokratą. Samo to, że znany i wpływowy kapo nim się zajął, już dawało mu przywileje na bloku. Po czterech dniach został on już oficjalnie przeniesiony na blok siódmy. Był to blok prominencki, na którym mieszkali więźniowie pracujący przy SS. Byli to krawcy, szewcy, fryzjerzy, sprzątacze baraków SS, kucharze i kelnerzy, pracownicy magazynów i miejscowego szpitala dla SS. Wkrótce przeniesiono ich na bloki pierwszy i drugi i już do 1945 roku były to bloki arystokracji obozowej. Mieli oni bez porównania lepsze warunki bytowania niż szara masa więźniów, przeznaczona na wyniszczenie. Nie chodzili nigdy głodni, byli elegancko i ciepło ubrani, nikt ich nie bił i w tym czasie, gdy my spaliśmy na siennikach, w brudzie i robactwie, oni mieli już łóżka powleczone czystą pościelą. Wiosną 1941 roku ustawiono łóżka we wszystkich blokach, lecz pościeli nie dano nam nigdy.

Gdy Heniek przeszedł na blok siódmy, codziennie szybko zjadałem swój obiad, myłem miskę i pędziłem do niego po jego obiadową porcję, którą mi podawał przez okno. Z tą miską zupy wracałem na blok i jedliśmy ją z Mietkiem. To jedzenie do spółki trwało prawie miesiąc. Jednego dnia, gdy szedłem z pełną miską na blok i po drodze zjadłem kilka łyżek zupy, Mietek zrobił mi awanturę, że zjadam zupę, zanim ją rozdzielimy. Powiedziałem mu wtedy, że zupę Heniek daje mnie, on znów twierdził, że to jest dla nas dwóch.

Wtedy do naszej rozmowy wtrącili się inni i wytknęli Mietkowi, że w tym czasie, gdy ja idę po zupę, a on dostanie dolewkę, to szybko zjada ją sam. Zapytałem wieczorem Heńka B., czy daje zupę na dwóch, czy tylko dla mnie. Odpowiedział mi, że Rączka go nic nie obchodzi, a jak chcę, to mogę dać mu wszystko albo nie dać nic, jego to już nie interesuje. od tego dnia przestałem dzielić się z Mietkiem i ta miska zupy dziennie od B. była jedyną stałą pomocą żywnościową przez cały rok 1941 i do połowy roku 1942. Mówię o pomocy stałej, bo poza tym starałem się to tu, to tam zdobyć jeszcze trochę żarcia.

Wiosną 1941 roku na bloku czternastym poznałem murarza z Warszawy, był to Ignac Wysmułek z ulicy Wiśniowej. W Gusen był też murarzem, a murarze dostawali codziennie kocioł jedzenia dodatkowo, więc na każdego z nich przypadało po dwie–trzy miski. Jedną porcję dawał mnie. **Sam oprócz porcji otrzymanej na bloku zjadał jeszcze dwie porcje – jedną oddawał mnie, a jedną sprzedawał za papierosy, których jeszcze w tym czasie było w obozie dużo.** Papierosami też dzielił się ze mną; to nie znaczy, że dzielił się tak jak Stefek Krukowski w Mauthausen – po prostu gdy byliśmy razem, to paliliśmy razem. Wieczorem, już po zgaszeniu świateł przykrywaliśmy się kocami dokładnie, z głowami, i paliliśmy papierosy. Zabawa ta groziła śmiercią, gdyby złapał nas ktoś z władz blokowych. **Jednego razu jakiś baran rozdarł się na cały głos: „Ktoś pali papierosy! Czuć dym z papierosa! Cała sztuba podpadnie". Żal było nam gasić, więc tylko z głowami wleźliśmy pod koce i wypaliliśmy swoje połówki.** Jedną z naszych zabaw po zgaszeniu świateł było też łapanie wszy na dotyk. Wsadzało się rękę za koszulę i szukało się wszy. Bywało i tak, że za jednym włożeniem ręki wyjmowało się dwie, a nawet trzy wszy. Dobraliśmy się z Ignacem dobrze, rozrabialiśmy razem i nie daliśmy nikomu wejść sobie w drogę. Ale co dobre, nigdy nie trwa długo. Po miesiącu Wysmułka zabrali do innego obozu i znów musiałem szukać i kolegi, i żarcia.

Jedyną stałą pomocą była dalej miska zupy dziennie oraz od czasu do czasu kawałek chleba od Heńka B. Swoim humorem, opowiadaniem kawałów, dowcipów, monologów i pornograficznej bajki zyskałem sobie dużo kolegów i – jak to się mówi – zacząłem

być znany wśród więźniów. Jednego dnia stałem otoczony grupą więźniów, którym opowiadałem anegdoty. Było tam kilku muzułmanów, kilku prominentów i ja w środku – też muzułman – ale pełen humoru, z odpowiednią mimiką i gestykulacją opowiadałem kawały. Gdy już po pewnym czasie rozchodziliśmy się, jeden prominent kazał mi chwilę zaczekać i wyniósł mi z bloku porcję chleba. Powiedział przy tym, że nie może mi codziennie dawać, bo ma takiego, którego żywi, ale dwa razy w tygodniu to może mi dawać – i dawał, przez długi czas. Był to Józef Kowaczyk z Sosnowca, były marynarz, a w obozie pracownik kuchni.

Dużo znajomości z prominentami zawarłem dzięki Heńkowi. **Mieszkał on na bloku prominentów i miał tam dużo kolegów. Ponieważ papierosy można było palić tylko na placu apelowym, tam można było zastać każdego palacza. Heniek stał zawsze w towarzystwie „arystokracji", a ja razem z nim.** Z tej grupy serdeczną przyjaźń zawarłem z Tadziem Kiełbasą, który pochodził z miejscowości Kozy, powiat Bielsk. W obozie był on rajningerem, sprzątał pokoje oficerów SS. Tadzio często wsadził mi w rękę kawałek chleba czy pół miski zupy.

Czas wolny od pracy i karnych ćwiczeń do lata 1942 roku spędzałem zawsze w okolicy bloków prominenckich. na początku był to blok siódmy, potem blok drugi, i w końcu blok pierwszy. Kręcenie się w pobliżu tych bloków dawało okazję do zapalenia niedopałka, a czasem B. lub który inny dał pół albo nawet całego papierosa, miskę jedzenia, kawałek chleba czy też kawałek kiełbasy jarzynowej dawanej na kantynę. Wiedziałem zawsze, że jeśli złapię palącego Tadzia Kiełbasę, to niedopałek na pewno będzie mój. Palenia już w obozie nie było wcale. Po wydaniu nam palenia, zaraz po przyjściu do Gusen, następne papierosy otrzymaliśmy dopiero na święta Bożego Narodzenia 1941 roku – po dziesięć papierosów francuskich na osobę. za każdym, kto palił papierosa, szło kilku muzułmanów czatujących na maleńki wydmuch z fifki, na który rzucali się wszyscy. W 1941 roku za jednego papierosa można było otrzymać pół bochenka chleba. Papierosów nie mieli nawet blokowi i kapowie. Mieli tylko ci, którzy pracowali u SS – więc mieli też B. i Kiełbasa. Palenie zdobywałem też w ten sposób, że rano kręciłem się

w pobliżu kantyny SS. Wiedziałem, że przed południem zawołają kilku więźniów do sprzątania kantyny. Pierwszą rzeczą, którą robiłem po wejściu do kantyny, to wypróżnianie popielniczek do własnej kieszeni i zbieranie niedopałków z podłogi.

Polowałem też na psie żarcie, które przywożono w kotłach z kuchni obozowej i stawiano w pobliżu psiarni. To dopiero było żarcie! Przeważnie gęsta kasza na kościach i mięsie, a jedynym felerem tego jedzenia było to, że było w nim dużo piasku. Podobno psom tak trzeba dawać. Mnie zdawało się jednak, że piasek sypali specjalnie po to, żeby więźniowie nie kradli psom żarcia. Mnie piasek nie przeszkadzał, gdyby było go nawet dużo więcej – to też by mnie nie odstraszył. Największy strach – to strach przed esesmanem, żeby który nie złapał przy kotłach. Kilkanaście razy udało mi się podebrać tego żarcia, a tylko raz złapał mnie esesman. Tak wtedy zbił mnie kołkiem, że myślałem już, że mam kości połamane. **Polowanie na psie żarcie było niebezpieczne dlatego, że tam nie można było ani stać, ani się kręcić, bo było tam zawsze dużo esesmanów i nawet jak już nagarnęło się z kotła żarcia, to zawsze istniała obawa, że już z żarciem nadzieję się na esesmana, a łatwo było poznać, co się niesie, bo bańka zawalona była z wierzchu jedzeniem. Z bańką trzeba było oddalić się na sporą odległość i tam dopiero jeść w takim miejscu, gdzie była pewność, że nikt mnie nie złapie. Inni też nie byli głupi. Jak niosłem bańkę, to zaraz znalazło się dwóch–trzech wspólników, którym trzeba było też troszkę żarcia oddać, bo z głodu mogli się rzucić i wtedy wszystko by diabli wzięli. Wyglądało to w ten sposób, że jeden chciał nabrać w jakąś starą puszkę – to i inni też, zaczynał się kocioł i kończyło to się w ten sposób, że żarcie się wylało, ktoś złapał troszkę w puszkę, a inni zjadali łyżkami z ziemi, równocześnie depcząc ziemię nogami. Bańkę po marmoladzie miałem zawsze zakonspirowaną gdzieś w pobliżu psiarni i gdy zobaczyłem, że żarcie już przyniesione, wtedy polowałem na moment podejścia do kotłów, zanim obsługa psiarni zabierze je do psów.**

Gdy angażowałem się do sprzątania kantyny, to przecież za te trochę niedopałków nie pracowałem kilka godzin. Trzeba było tam zamieść i wyszorować podłogę i stoły. Po zdobyciu niedopałków normalną swoją metodą urywałem się, zabierając z sobą na pamiątkę wiaderko od

marmolady. Z wiaderkiem łatwiej było się ruszać, bo na czyjeś pytanie mogłem powiedzieć, że idę po wodę, piasek, wapno czy węgiel dla esesmanów, a wiaderko przydało mi się później do organizowania psiego żarcia.

Poprzez różne znajomości poznałem Edmunda R.[2], którego osoba wymaga dokładniejszego omówienia. R. był listonoszem z Warszawy, a w obozie pracował jako krawiec w pracowni dla SS. Mieszkał na arystokratycznym bloku drugim, gdzie był nosicielem jedzenia. Mieszkali tam więźniowie, którzy pracowali w takich grupach roboczych, gdzie mieli dosyć lepszego jedzenia. Niektórzy z nich brali jedzenie na bloku po to, żeby oddać je innym (jak na przykład Heniek B. oddawał mnie), a było dużo takich, co tego jedzenia nie brali wcale. R., jako nosiciel kotłów, miał więc do swojej dyspozycji dość dużo jedzenia, które rozdzielał wśród znajomych więźniów… Robił to z taką reklamą i szumem, że do obecnej chwili w oczach większości obozowców uchodzi za filantropa i dobroczyńcę, a mało osób wiedziało, jak ta pomoc wyglądała od podszewki. A wyglądało to tak:

Jak przychodził do obozu nowy transport, to R. brał kilka kawałków chleba, trochę papierosów i szedł do tych ludzi. Rozmawiał z nimi, wypytywał, jak długo są w obozie, skąd są – i szukał ludzi z Warszawy. Jednemu dał kawałek chleba, innemu papierosa, jeszcze innemu kazał przyjść pod blok drugi, to może trochę jedzenia się znajdzie. W niedzielę w południe zaczynał się teatr. Kupa muzułmanów pod blokiem drugim. Mundek wynosi jedną miskę i daje któremuś ze swych stałych podopiecznych, wynosi następną, daje drugiemu i w ten sposób wynosi kilka porcji. za każdym jego wyjściem ci, którzy przyszli na końcu, pędzą do niego w nadziei, że coś im się dostanie, i zawsze słyszą: „Zaczekajcie jeszcze”. Wreszcie ukazuje się R. z kotłem i wtedy rozpoczyna się raban. Wszyscy się pchają. Niektórzy wołają:

– Panie R., panie Mundziu, Mundeczku!

On uspokaja i palcem wywołuje z tłumu tych, którym chce dać pół miski zupy. Wszyscy ci ludzie przychodzili każdego dnia w nadziei, że dostaną od czasu do czasu te pół miski zupy. Jeśli ktoś z nich od czasu do czasu tę zupę dostał, to wysławiał dobroć R. — a znów sposób wydawania był pierwszorzędną reklamą dla niego. A więc jak ta pomoc wyglądała naprawdę?

Ano tak: R. robił sobie reklamę, a jednocześnie szukał takich ludzi, którzy mu byli potrzebni. Podstawowym zagadnieniem, które go interesowało, to sytuacja materialna danego więźnia w Warszawie. Gdy dowiadywał się, że jest to człowiek dobrze sytuowany, którego rodzina posiada jakiś majątek, wtedy zaczynał żywić takiego gościa uczciwie. Dawał mu każdego dnia ranną zupę, miskę obiadowej i często jeszcze kawałek chleba. Była to pomoc, która wystarczała do utrzymania go przy życiu. Po dwóch-trzech tygodniach w rozmowie zaczynał żalić się, że „my to jeszcze mamy co jeść, ale tam moja rodzina cierpi głód, biedni, nie mają nawet tego, co my tu mamy" — i dalej w tym tonie. Wtedy taki facet proponował, że przecież można dać jakoś do zrozumienia jego rodzinie — „to oni mogliby pomóc, chociażby przez wdzięczność za pomoc, którą ja tutaj otrzymuję od ciebie". R. zgadzał się na to i gdy przychodził dzień pisania listów, sam ofiarował się pisać takiemu list, w którym w umowny sposób kierował rodzinę tego chłopaka do swojej żony. Z drugiej strony w swoim liście kierował żonę do rodziny tego, któremu pomagał, i... już kontakt rodzin w Warszawie nawiązany. Jeśli ktoś odmówił nawiązania kontaktu — kończyła się pomoc od R.

Przypuszczam, że R. poinformował żonę, jak ma postępować, przez więźniów, którzy byli w 1940 roku zwalniani do domu. Grupa robocza krawców, w której pracował R., prasowała im ich cywilne garnitury i podobno (tak mówił Stasiek M., o którym będzie jeszcze długa mowa) wszywał on im w ubrania listy dla swojej żony.

Ja należałem do grupy reklamujących R. Sterczałem często przed blokiem i czekałem, co mi kapnie do miski. Zjadałem porcję od Heńka B. i czekałem, co wpadnie jeszcze. Nieraz ktoś ze znajomych wyniósł zupę dla kogoś ze swych podopiecznych. Wyszedł, rozejrzał się, a gdy nie spostrzegł swojego, oddawał komu innemu, a gdy ja stałem pod blokiem, to oddawał mnie. W ten sposób kilka razy

dostałem trochę żarcia od R. – Jednego dnia, gdy głodny jak bezpański pies stałem pod blokiem drugim, R. wynosił miskę za miską. Po którejś już misce wyniósł jeszcze jedną i zaczął wywoływać nazwiska. Wywołał jedno – nie było takiego, wywołał drugie – też go nie było, nie było trzeciego i czwartego. Wtedy zapytałem go:

– Mundek, nie miałbyś czego dla mnie?

Odpowiedział mi z wściekłością, jakbym mu jakąś wielką krzywdę zrobił:

– Dla ciebie nie ma nic i nie będzie nic.

Aż przysiadłem z wrażenia, bo nie spodziewałem się czegoś podobnego. Zaczekaj, bydlaku, pomyślałem, ja jeszcze ciebie poszukam. I zacząłem szukać. I doszedłem, może nie do wszystkiego, ale wystarczająco, żeby go zdemaskować z jego pseudofilantropią i dobrocią. Ci, którzy korzystali stale z jego pomocy, musieli za nią drogo płacić. A oto przykłady:

Matka Stanisława M., zamieszkała w Warszawie, miała dwa domy i ogród warzywny czy owocowy. Zabrała ona do siebie na stałe córkę R. i każdego miesiąca płaciła żonie jego pewną sumę pieniędzy oraz dawała owoce i jarzyny. W roku 1943 matka M. napisała do niego, że nie może podołać żądaniom „ciotki Romy". M. już jego pomocy nie potrzebował. Poradziłem mu, żeby napisał matce, że w razie jakichkolwiek żądań pomoc ma natychmiast przerwać. Zupy dla M. ja chodziłem odbierać.

Pewnego dnia, gdy wszedłem po zupę, R. wrzasnął: „Zupy więcej nie będzie!". Roześmiałem się, bo zrozumiałem, że dostał list od żony, w którym napisała mu, że matka M. zbuntowała się. Gdy w Warszawie w roku 1946 odwiedziłem matkę M. (on sam nie wrócił do kraju), powiedziała mi, że żona R. terroryzowała ją, mówiąc, że jeśli nie otrzyma tego, czego potrzebuje, to napisze do męża, ten przestanie żywić syna i syn zdechnie z głodu. Mówiła mi M., że R. powtarzała zawsze: „Mąż pisał mi, że jak wróci, to ja muszę wyglądać jak jabłuszko".

Rodzina Stefana L. wzięła do siebie na stałe syna R. i też pomagała pieniężnie. Gdy w roku 1942 L. przesłano do innego obozu, napisał on o tym do rodziny i ci pomoc przerwali. R. narzekał na

niewdzięczność ludzką i pokazywał mi list, w którym żona mu opisuje, jak została potraktowana przez rodzinę L. W Warszawie L. miał fabrykę gilz do papierosów.

Bronek J. długi czas gimnastykował się, nie chcąc kontaktować swojej rodziny z żoną R. Ta kilka razy przychodziła do rodziny J., lecz nic nie wskórała – więc R. przestał mu dawać zupy. Jednego dnia rano wyniósł w kotle sporo zupy za barak. Wokół kupa muzułmanów. Z boku stał Bronek. R. rozdawał dla reklamy.

– Ty Polak? Masz.

– Ty Polak? Masz.

– Ty Polak? Masz.

Tylko J. nie był Polakiem i nic nie dostał, bo rodzina jego nie dała się sterroryzować pani R. O sobie już nic nie mówię, bo ja w jego oczach nie byłem nawet człowiekiem. Byłem robotnikiem, od którego ani wówczas, ani też po wojnie niczego spodziewać się nie mógł – a powtarzał on zawsze, że w obozie tak musi sobie ułożyć życie, żeby więcej w życiu już nie musiał pracować.

Stefan C. Dla tego pomoc skończyła się wtedy, gdy jakimś cudem otrzymał zagraniczną paczkę odzieżową, w której były dobre buty z cholewkami. R. podobały się one i postawił wyraźnie sprawę, że powinien mu je dać za zupy, które dostaje. Ponieważ nie okazał się na tyle wdzięczny – skończyła się pomoc.

Ch. (imienia nie pamiętam) wziął go na stosunki z wysoko postawionymi osobami z przedwojennego rządu. Opowiadał różne historie, z polowań, z orgii pijackich, jakie to on załatwiał sprawy, i w opowiadaniach tych ministrowie, generałowie i inni dygnitarze to Wacio, Edzio, Kazio – po prostu kumple. I tu się, baran, dał złapać – ale to już była moja odgrywka za to „dla ciebie nie ma nic i nie będzie nic". Ja napuściłem Ch. i powiedziałem mu, co to za typ z R. Tak potrafił on urobić Mundzia, że ten sam przynosił mu na blok jedzenie. Ch. nie sterczał jak muzułman pod blokiem, żeby otrzymać miskę zupy czy kawałek chleba. Ch. umarł w obozie.

Już po Powstaniu Warszawskim napuściłem jednego chłopaczka i ten powiedział R., że rodzice jego mają w Warszawie na Nowym Świecie cztery kamienice. Jak przyjeżdżał nowy transport, to szedł tam R. i szedłem ja. On po to, by szukać nowego kandydata, ja po

to, by mu kogoś podstawić. W ten sposób podstawiłem mu kilka osób, które żywił przez pewien czas, dopóki nie połapał się, że został wykiwany.

Poza tym opowiadałem kolegom i znajomym o jego metodzie. Niektórzy nie wierzyli, między innymi nie wierzył mi Józek Kowaczyk. Po pewnym czasie przyznał mi rację. Obserwował R. i raz podsłuchał jego rozmowę z młodym chłopcem, który przyjechał nowym transportem. R. wypytywał go, na jakiej ulicy mieszkał, z czego żył, jak powodzi się jego rodzicom. Dowiedział się, że to biedny chłopak, którego rodzice klepią biedę, więc i z pomocy nic nie wyszło.

– Widzisz, chłopcze – powiedział – chętnie chciałbym ci pomóc, ale przecież wszystkim pomóc nie mogę. Przychodź pod blok, to czasem coś będę mógł ci dać.

I to wszystko. Jeszcze jeden do robienia reklamy, bo taki na pewno przychodził, a jeśli dostał raz czy dwa razy, to już miał nadzieję, że to dłużej będzie trwało.

Tadzio T. (kilka dni po wyjściu na wolność został przypadkowo zastrzelony przez kolegę, Staszka Nowocina, z Radomia) żalił się, że w pierwszym okresie pobytu w Gusen, gdy R. źle się wiodło, a on organizował dużo jedzenia – to pomagał R., a gdy teraz on ma głód, a R. ma dosyć jedzenia, to udaje, że go nie zna.

Wreszcie na jesieni w roku 1943 bomba pękła. Podpuściłem jednego zasrańca, którego ojciec był jakoby kapitanem Wojska Polskiego. Pouczyłem go, jak ma postępować, a ten śmierdziel powtórzył wszystko R. W niedzielę, gdy szedłem razem z kolegami, spotkałem R. idącego z tym małym. Odwołał mnie na bok, woła tego gnojka i pyta się mnie, co ja mu mówiłem – jednym słowem konfrontacja.

– Mówiłem to, co ci ten zasraniec powiedział – odpowiedziałem.

– I ty możesz tak mówić?

– Mogę, bo to wszystko prawda. Pokaż mi takiego jednego, któremu na stałe pomagasz bezinteresownie.

Ten dopiero się rozwrzeszczał:

– Ty, łobuzie, ty mi opinię psujesz – mnie cały obóz zna!

– Ale ja się na tobie, bydlaku, pierwszy poznałem.

Szarpnął się do mnie. Przytrzymali go, a ten rwie się dalej i woła:

– Puśćcie mnie do niego, puśćcie mnie do niego — wszystkie zęby mu z mordy wybiję!

Wreszcie i mnie to zgniewało, więc wołam do chłopaków:

– Puśćcie go, k… jego mać, niech spróbuje — ja też zęby wybijać potrafię!

Puścili go, ale nie skoczył do mnie. Tylko groził mi, że on mi jeszcze pokaże, i zawołał jeszcze:

– Jakie masz na to dowody, że ja tak robię?

Zacząłem szukać dowodów i znalazłem. Jako nowego pacana R. zaczął urabiać młodego chłopaka z Warszawy. Nazywał się Maciek S., ojciec jego miał garaże i reperacyjne warsztaty samochodowe w Warszawie na ulicy Przemysłowej. Metoda jak zwykle, trochę zupy i chleba — płakanie nad ciężkimi warunkami w domu, deklaracja pomocy ze strony chłopaczka. R. pomaga w pisaniu listu, list idzie do pisarza blokowego — a tu już ja go podciąłem dla siebie i list nie poszedł do Warszawy, lecz stał się dowodem metod R. Drugi list też przejąłem (miałem możność), a w końcu wytłumaczyłem S., kto to jest Mundzio, i zrezygnował on z pomocy, zresztą otrzymywał już duże paczki żywnościowe.

Tak to wyglądał od środka filantrop i dobroczyńca R. i tak wyglądała większość tych, których widziało się wynoszących zupę z bloków dla innych. Mało było takich jak Heniek B., którzy dawali i nic za to nie chcieli. Inni dawali za różne usługi, jak pranie, cerowanie, czyszczenie butów. Inni znów płacili za różne przedmioty przysłane w paczkach. Inni — tak jak R., a jeszcze inni zawierali umowy handlowe na piśmie, że jeden drugiemu odpisuje dom, młyn, morgi albo jakiś inny majątek — a nawet umowy małżeńskie. I znów, jak zwykle w życiu, górą byli ci, którzy całe życie byli dobrze sytuowani, a człowiek biedny i tu, w obozie, też był na końcu, bo mało było takich, którzy pomagali bezinteresownie. R. — w tym przypadku jest tylko symbolem; poprzez niego wskazałem na pewną grupę ludzi i stosunki panujące w obozie.

Przez krótki czas z Leonem Cerakiem i Mietkiem Rączką w ciekawy sposób organizowaliśmy jedzenie. Każdego wieczora jeden z nas szedł do kuchni obierać kartofle, marchew lub brukiew. Obieranie trwało nieraz do godziny trzeciej rano. Jeśli który z pracujących chciał wyjść do ustępu, musiał zostawić u wartownika w drzwiach swoją marynarkę i czapkę – żeby nie uciekł. Jeśli tej nocy dyżur wypadł na Mietka Rączkę, to gdy ten widział, że za pół godziny będzie koniec obierania, wychodził niby do ustępu, a szedł na nasz blok (on mieszkał na innym bloku) i budził mnie i Ceraka. Ubieraliśmy się i szliśmy do kuchni obierać kartofle (szliśmy bez bluzy i czapki). Niejeden raz koniec obierania następował po piętnastu–dwudziestu minutach, ale było i tak, że musieliśmy obierać jeszcze i półtorej godziny. za to po zakończeniu obierania następował bal – repeta. Było i tak, że rąbaliśmy po trzy miski zupy. Wydawali wtedy wszystko, co mieli w kuchni z dnia poprzedniego. Czasem było to już trochę kwaśne – ale kto by tam na taki drobiazg zwracał uwagę. Przy skrobaniu kartofli można było zjeść kilka surowych. Ale jak skrobaliśmy marchew lub brukiew, to już z nas oka nie spuszczano, a z zasady rewidowano każdego, kto wychodził do ustępu, żeby przypadkiem nie wyniósł kawałka brukwi. A brukiew to był delikates, marchew też. Kartofel surowy też jadło się z przyjemnością, ale ten już lepiej smakował z chlebem.

Widziałem też ludzi, którzy jedli glinę – jakiś specjalny gatunek – która podobno robiła dobrze na krwawą biegunkę. Ale ja w to nie wierzyłem, bo ci, co przy biegunce jedli glinę, szybko przenosili się do krematorium. Tych z gliną widziałem tylko w 1941 roku – widocznie przekonali się, że to nic nie daje, i przestali jeść. Ale węgiel brunatny to jedli zawsze i jeszcze w 1944 roku widziałem, jak przy kupach z węglem brunatnym stały posterunki, a muzułmani, nie zważając na to, że ich walili kołkami, kupą wpadali w węgiel, chwytali go po dwa–trzy kawałki i uciekali, gryząc go z zadowoleniem. Jedli też ludzie pastę do butów. Była to pasta bezbarwna, galaretowata, wydawana na kantynę w dużych pudełkach. Nie była to właściwie pasta, lecz jakiś tłuszcz do butów. Spróbowałem kiedyś tego, ale mi nie smakowało. O tak, kartofle, brukiew, buraki pastewne, liście mleczu, lebioda, szczaw, żywokost –

wszystko to jadłem na surowo, gdy mi tylko w ręce wpadło, ale o tych przypadkach, o organizowaniu i ryzyku, jakie się z tym łączyło, opowiem osobno.

Trzynastego listopada 1941 roku doliczono się na apelu wieczornym, że brak jednego więźnia. Było to jedno z tak zwanych przykrych przeżyć obozowych. Trzymali nas wtedy na placu apelowym do godziny pierwszej w nocy. Było to wkrótce po tym, jak w trepach i letnich ubraniach wygnali nas na śnieg i tego dnia (pierwszego listopada) wydano nam zimowe ubrania i buty. Śnieg się skończył i tego dnia było zupełnie sucho, tylko wiał cholernie silny i zimny wiatr, a my staliśmy na placu bez ruchu, na baczność, a blokowi, kapowie i esesmani bez przerwy równali szeregi i równając, bili po kolei. W tym czasie esesmani szukali uciekiniera na terenie pracy, mając do pomocy psy. Wiadomo, że ten, którego było brak, schował się gdzieś na terenie pracy, żeby w nocy wydostać się przez linię posterunków. Po stwierdzeniu ucieczki zgęszczano trzykrotnie posterunki i stały one przez trzy doby bez przerwy. Jeśli przez ten czas nie znaleziono zbiega, posterunki ściągano na noc, a w dzień już stały w normalnej ilości, zabawiając się strzelaniem do więźniów ze złości za przestane noce i wstrzymane przepustki. Starzy więźniowie wiedzieli o tym i po każdej próbie ucieczki trzymali się z dala od linii posterunków, a z nowych więźniów niejeden głupi podszedł do posterunku, który go wołał, i został zastrzelony przy „próbie ucieczki".

W czasie tego stania, już po godzinie dwudziestej drugiej, można było oglądać wypadki, gdy ktoś walił się jak kłoda na ziemię. Tych, co mdleli z wycieńczenia i zimna, odciągano na bok, a zabawa w równanie szeregów trwała dalej. Strzał – każdy odetchnął z ulgą, złapali zbiega, koniec stania. Lecz nie – okazało się, że to tylko ktoś poszedł na druty. Po kilkunastu minutach znów strzał – znów tylko druty. Epidemia samobójców – cholera. Wiele razy jeszcze tak staliśmy, i w gorszych warunkach, i nigdy tylu baranów nie poszło na druty co wtedy.

Nasz blok stał w pobliżu drutów. W pewnej chwili mój sąsiad w szeregu mówi: „Idę". Wychodzi z szeregu i idzie w stronę drutów. Skręcił trochę za barak… strzał i gotów. A na górze

w kamieniołomach widoczne światła wielu latarek, poruszających się we wszystkich kierunkach. To poszukiwanie zbiega. Wreszcie strzał na dużej linii posterunków – i po kilku minutach rozkaz rozejścia się na bloki.

Chociaż już ledwie stałem na nogach, wpadłem na blok jako jeden z pierwszych, złapałem miskę i z powrotem na blok drugi do B. po swoją zupę. Bałem się, żeby rano nie wylał jej, gdy będzie potrzebował miskę do kawy. Zupę zjadłem, zanim doszedłem do swojego bloku, dostałem chleb, który zjadłem do ostatniej okruszynki mimo późnej nocy, żeby nikt nie ukradł – i lulu, bo o piątej znów wstawać trzeba.

Opisywałem tutaj sposoby wyżywienia w Gusen, które miały pewne cechy stałości i ciągłości. Były jeszcze inne okazje zdobywania jedzenia – ale raczej sporadyczne, tylko od przypadku do przypadku, i o tych mówić będę w trakcie opowiadania o życiu codziennym w Gusen.

Życie takie trwało dla mnie do lata 1942 roku. od lata 1942 roku zacząłem czwarty okres życia obozowego. Pierwszy okres to pobyt w Dachau, drugi – Mauthausen, trzeci – Gusen do lata 1942, a czwarty – od lata 1942 do końca pobytu, to jest do piątego maja 1945 roku.

Sam okres pobytu w Gusen też mogę podzielić na kilka części. Pierwszy okres – od stycznia do maja 1941 roku – to okres chodzenia luzem, sam dla siebie kapo i pracownik. Drugi okres – od maja do sierpnia 1941 roku – praca przy budowie kolei Gusen–Linz. od sierpnia do września izolacja obozu – tyfus. od września 1941 do maja 1944 roku praca w kamieniołomach w charakterze kamieniarza. od maja do sierpnia 1944 roku – karna praca w tunelach, i od sierpnia 1944 roku do maja 1945 roku – zakłady Steyr.

A więc najpierw okres pierwszy, styczeń–maj 1941 roku.

Przez pierwsze kilka dni pobytu w Gusen nie wysyłano nas do żadnej roboty. Po trzech czy czterech dniach zaczęto wysyłać nas grupami do noszenia kamieni i innych robót. Żeby uniknąć wysyłania

do pracy, był w zasadzie tylko jeden sposób – ucieczka pomiędzy bloki w momencie zakończenia rannego apelu. Gdy raportfirer zdawał raport komendantowi obozu, więźniowie stali z odkrytymi głowami. Po zakończeniu raportu następuje komenda: „Czapki włóż!", i od razu następna: „Ustawić się grupami roboczymi!". W tym momencie dawałem dęba pomiędzy bloki i gnałem w drugi koniec obozu. Jeśli chwilę się przegapiło, już nie udało się zwiać na tyły obozu, bo po zakończeniu apelu blokowi obstawiali przejścia między blokami i pilnowali, by ktoś nie uciekł z placu apelowego. Takich, którzy ryzykowali ucieczkę do tyłu, było tylko kilku lub kilkunastu, dlatego że ta zabawa groziła śmiercią, więc jedni się bali, inni mieli stałe miejsca pracy, inni znów stali za daleko od baraków i już nie zdążyli uciec. Po zakończeniu apelu pisarze blokowi, fryzjerzy i niektórzy blokowi szli od razu do swych baraków pilnować, żeby kto czego nie nakradł – więc chowanie się między barakami było o tyle niebezpieczne, że w razie odkrycia jakiejś kradzieży ci, którzy kręcili się w obozie, mogli za to odpokutować.

Gdy już grupy robocze wyszły do pracy i resztki z placu apelowego weszły pomiędzy bloki, wtedy łatwiej było dekować się. do bloków wrócili wszyscy niepracujący: pupilki blokowych, chorzy ze zwolnieniami z pracy – a byli i tacy szczęściarze – chorzy zapisani do lekarza, chorzy czekający na opatrunek i ci, którzy sprzątali uliczki obozowe. Często ustawiałem się w liczącej kilkaset osób kolumnie do opatrunków z różnymi wrzodami, ranami, skaleczeniami i odmrożeniami. Ja miałem odmrożone ręce, a na jednym palcu otworzyła mi się duża, gnijąca głęboko rana. Ta rana dawała mi podstawę do stania w grupie ludzi idących na opatrunki, ale z tej metody szybko zrezygnowałem, bo trzy razy odcięli z końca trzy czwarte stojących ludzi i pognali do noszenia kamieni, a raz to po prostu wygnali wszystkich. na opatrunku byłem tylko kilka razy… i nie podobało mi się. Zobaczyłem potworne, gnijące rany. Ktoś stawia nogę na stołku, a sanitariusz wpycha mu pod skórę długą metalową iglicę z założoną na końcu gazą. Pacjent wyje z bólu, ale nogi nie rusza. Innemu znów sanitariusz odcina jakieś postrzępione ciało na palcu. Krzyczeć można, ale jak który rusza się albo wyrywa, to dostaje kilka razy w mordę lub w brzuch i wtedy zapomina, co go

właściwie boli, i już stoi spokojniej. Mnie kładli tylko maść i bandażowali. Palec ten paskudził mi się do czerwca, aż wreszcie B. postarał się z rewiru SS o jakąś maść, po której w krótkim czasie rana zarosła i zabliźniła się.

Gdy jednego dnia nie udało mi się uciec między baraki, ustawiłem się na placu apelowym do grupy więźniów, którzy chcieli iść do lekarza. Stało nas tam kilkudziesięciu. Jeszcze przed wymaszerowaniem więźniów do pracy przyszedł do naszej grupy esesman i przeprowadził pierwszą selekcję. Spacerował przed nami i na oko oceniał, kto tu może być chory. Połowę ludzi wygnał z szeregu, a resztę po wyjściu więźniów do pracy zaprowadzono do rewiru. Było to w pierwszych dniach marca i rano było jeszcze dość zimno. Kazano nam rozebrać się do naga i ustawić się w szeregu w pobliżu naszych ubrań. Gdy już staliśmy tak na golasa więcej jak pół godziny, wyszło do nas kilku sanitariuszy, wyżartych i w nowych, czystych pasiakach. Byli tam też i Polacy, a przynajmniej ci, których słyszałem. Gdy podeszli do nas, zaczęło się wstępne badanie – a może to było nawet już to zasadnicze badanie, dokładnie nie wiem, bo uciekłem.

– Co ci jest? – pyta jeden z sanitariuszy pierwszego chorego.

– Ucho mnie boli.

A ten jak go trzepnie w ucho, to chłop od razu zarył nosem w ziemię.

– A tobie co jest? – pyta drugiego.

– Sraczkę mam.

A ten go pięścią w brzuch.

– Ile dni?

– Trzy.

Bach, bach, bach – już dostał trzy bomby pięścią w brzuch. Przewrócił się. To ten podstawia mu nogę pod twarz i każe pocałować się w kapeć. Chory nie chce. Wtedy drugi sanitariusz zaczął go kopać po bokach, a ten wciąż podsuwa mu swój kapeć. Wreszcie już chce go pocałować, to on odsunął nogę i dalej każe się całować – a drugi kopie. Popatrzyłem na to i rakiem, rakiem do swojego ubrania, ubranie w ręce… i chodu! – do furtki. Dopiero jak wyskoczyłem z terenu rewiru, to ubrałem się między blokami

i na rewir po raz drugi poszedłem dopiero… w sierpniu 1944 roku, ale wtedy już w innych warunkach.

Gdy zrobiło się trochę cieplej, to rano, żeby nie złapali i nie bili, razem z Cerakiem właziliśmy do szopy, w której leżały stosy półtrumien, w których noszono umarlaków do krematorium. Arystokratycznie – bo wkrótce wprowadzono wóz krematoryjny, który rano jeździł po blokach i zbierał truposzów. Brano ich za ręce i za nogi, po rozbujaniu wrzucano na platformę i odwożono od razu całą kupę do krematorium.

Te tak zwane półtrumny leżały do góry dnami, **po kilka naraz. Postaraliśmy się o papier od cementu, który rozłożyliśmy pod skrzyniami,** i gdy urwaliśmy się rano między baraki, właziliśmy pod te skrzynie i leżeliśmy tam do apelu południowego. **Rano po apelu blokowi obstawiali przejścia, a po obiedzie – na sygnał – więźniowie wychodzili na plac apelowy i ustawiali się do pracy. Wtedy już dużo było takich, którzy kryli się na tyłach obozu, ale i władza obozowa to też nie barany. Wiedzieli o tym i zachodząc od samych drutów, szli wszystkimi uliczkami i wyganiali nas ze wszystkich dziur i uliczek, waląc przy tym kołkami wszystkich, których udało się dosięgnąć. Dlatego po południu rzadziej udawało mi się urwać od pracy. Przez pewien czas pomagały mi trumny.** Po zjedzeniu obiadu, zanim dano sygnał do pracy, już niepostrzeżenie starałem się dostać do swojej szopy i znowu właziłem pod trumny. **Słyszałem potem, jak inni uciekali, jak poganiacze wrzeszczeli i bili, ale mnie to już nie interesowało. Ja sobie spokojnie odpoczywałem po „dobrym" obiedzie. Ale takich cwaniaków znalazło się więcej i ta zabawa zaczynała już być niebezpieczna. A wreszcie stało się.**

Tego dnia nie udało mi się rano urwać. do obozu wlazłem dopiero przed południem i wtedy dowiedziałem się, że przyłapano chłopaków pod trumnami i dwóch zabito kołkami. Meta była spalona i już bałem się ukrywać pod trumnami.

Jak było ciepło, to będąc w obozie, można było bawić się w ciuciubabkę z esesmanami i blokowymi. Przeważnie staliśmy pod barakami i w rozpiętej koszuli lub kalesonach szukaliśmy wszy, przy okazji dokładnie obserwując teren. Gdy zbliżało się niebezpieczeństwo, wszyscy całą kupą uciekali w inną uliczkę.

Wystarczyło, że kilku wypadło zza baraku i już przyłączali się do nich inni i uciekali wszyscy razem. Gorzej było, gdy padał deszcz. Ustępy i umywalnie były pozamykane, a do baraku nie wolno było wchodzić. W baraku było zawsze kilku więźniów, którzy potrafili dostać się do lekarza i otrzymywali kilka dni zwolnienia od pracy. Byli to tacy chorzy, którzy przed śmiercią przeważnie nie zdążyli już wykorzystać wszystkich dni zwolnienia. Siadali na stołkach w kącie sztuby i czekali na śmierć.

Kilka razy udało mi się wśliznąć na blok i wkręcić między tych muzułmanów. Siadałem przy nich i siedziałem pochylony do przodu, bez ruchu, tak jak i oni. I znów trwało to tak długo, aż mnie złapali. Było to na bloku czternastym – wtedy gdy trzymałem sztamę z Wysmułkiem. Jednego dnia, w czasie deszczu, wsunąłem się do bloku i siedziałem wśród muzułmanów. Wszyscy jak zwykle łapali wszy i pchły. Patrzę – jeden więzień trzyma w rękach sweter i co chwila podnosi go do twarzy. Co on robi? Przyglądam się dokładniej i widzę, że on zębami bije wszy.

– Co ty robisz? – pytam. – Wszy zębami bijesz?

– A co mam robić? Przecież muszę się przed nimi bronić, bo mnie zjedzą, a patrz, jakie ja mam ręce… – i pokazał mi swoje ręce. Były potwornie spuchnięte i całe w ranach – odmrożone.

W tym momencie krzyk sztubowego: „Achtung!". SS na sztubie. Wszyscy musieliśmy stanąć na baczność i zdjąć czapki – a esesmani razem ze sztubowym zaczęli kontrolować kartki zwolnienia z rewiru. Przesunąłem się w bok i chciałem przejść do tych, których już sprawdzono. Mój manewr zauważył sztubowy – Czech, młody jeszcze chłop, szczupły i wściekły. Bez przerwy bił. Złapał mnie, postawił przed esesmanami i pyta o kartkę. Ja udaję idiotę, że niby nie wiem, o jaką im kartkę chodzi. za chwilę już dostałem od esesmana w mordę. Nie zdążyłem się nawet dobrze zachwiać, gdy prawie w tej samej chwili dostałem z drugiej strony od sztubowego i znów, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Chciałem uciec w drzwi. Sztubowy mnie złapał, ustawił odpowiednio i znów walili po twarzy prawie jednocześnie z dwóch stron. Wreszcie solidnymi kopniakami zostałem przez sztubowego wyrzucony z baraku. Niedługo potem zostałem przeniesiony na blok trzydziesty drugi, ale pepika tak sobie

zapamiętałem dokładnie, że gdy w roku 1943 ja byłem arystokratą, a on muzułmanem, niejeden raz posyłałem mu wiązanki warszawskie z przypomnieniem okresu, kiedy był bydlakiem. Niejeden raz miałem ochotę obić mu mordę, ale nigdy nie potrafiłem zdobyć się na to, żeby bić człowieka słabszego i bezbronnego. Niejednego z tych, którzy bili mnie w pierwszych latach, mógłbym bić w latach, gdy już byłem wyżarty – i niejeden też dostał – ale tylko taki, który dorównywał mi kondycyjnie, ale jeśli zmuzułmaniał i ledwie sam łaził, takiego nie miałem sumienia bić. Przy każdej okazji tylko posyłałem życzenia rychłego wyzwolenia przez komin krematorium – z przypomnieniem „zasług", za które składam życzenia.

W obozie był wtedy wielki bałagan. W każdej grupie roboczej były prace stałe, lepsze i najgorsze, gdzie nie było stałego składu ludzi, a dobierano ich przed każdym wyjściem do pracy.

Od stycznia do maja poznałem prawie wszystkie najgorsze grupy robocze. Nigdy w żadnej nie pracowałem dłużej jak pół dnia. Z tych najgorszych najlepszą jeszcze pracą było noszenie kamieni, bo najłatwiej było się urwać.

Zygmunt Jaczewski przez pierwsze dni pobytu w Gusen był tłumaczem na blokach hiszpańskich, bo znał nieźle język francuski, ale gdy Hiszpanów rozdzielono po wszystkich blokach, został bez pracy i musiał wychodzić do noszenia kamieni. Gdy trafiłem do noszenia kamieni, staraliśmy się, żeby być w jednej grupie, bo dzielono nas na wiele grup – każda po pięćdziesiąt osób i każda miała swojego kapa. A przy stosach kamieni stali już kapowie „dyplomowani", z winklami, którzy bili kijami przy braniu kamieni i kontrolowali, czy każdy ma odpowiednio duży kamień. Jeśli ktoś miał mały, dostawał kijem i wsadzano mu na ramię taki kamień, pod którym siadał, a gdy nie mógł go udźwignąć, wtedy zaczynała się zabawa, która kończyła się albo wykończeniem więźnia na miejscu, albo umierał on po kilku godzinach.

W ten sposób wykończyli mojego wspólnika z łóżka. Nazywał się Lachera – Ślązak, z którym byłem na jednej sztubie w Mauthausen. Chodził on w innej grupie nosicieli kamieni, ale mijałem go kilka razy i widziałem, jak go bili i pędzili z kamieniem, pod którym siadał.

Spocony, z oczami prawie na wierzchu, starał się unieść kamień, ale zawsze siadał po kilku krokach i wtedy znów był bity przez kapów. W nocy długo rzęził. Zasnąłem, a gdy znów się przebudziłem, słyszę, że już nie rzęzi. Pewnie umarł. Dotykam go, a on już zimny. No, myślę sobie, ty już jesteś w niebie, to koc ci niepotrzebny. Zdjąłem z niego koce, sam się w nie okręciłem i spałem do rana. Rano dopiero powiedziałem, żeby zabrali z mojego łóżka nieboszczyka. W nocy nie wolno mi było nikogo budzić z powodu takiego drobiazgu, bo kto wie, czy rano nie byłoby dwóch nieboszczyków – sztubowy mógłby mnie zabić za to, że go w nocy obudziłem.

Miganie się od noszenia dużych kamieni czy uciekanie z grupy groziło tu tak samo śmiercią jak wszędzie. Zawiązałem kolektywną współpracę z Jaczewskim. Staraliśmy się brać po dwa mniejsze kamienie i zaraz po ruszeniu w drogę pozbywaliśmy się po jednym, zwalając go z nasypu w dół. Widzieli to tylko niektórzy więźniowie, ale nie widział kapo, który szedł na przedzie, ani ci, którzy byli przy kupach kamieni. Po drodze nie było już żadnych kontroli, tylko na trasie kapowie nieraz dla zabawy pognali nas kołkami. Łażąc tak z kamieniami, opowiadaliśmy sobie z Jaczewskim różne historie obozowe i wolnościowe. Mimo że warunki mu się pogorszyły, nie stracił humoru. Opowiadał mi swoje sny, z których wynikało, że robią o niego starania i że niedługo będzie zwolniony.

W pamięci utkwił mi pamiętnik, który obiecałem napisać na temat naszych obozowych ustępów, które dopiero wybudowano i które zawsze były zamknięte, a gdy były otwarte, to wpuszczali tylko po dwie osoby, mimo że sedesów było chyba dziesięć czy dwanaście. Pamiętnik miał wyglądać tak:

„Poniedziałek. Zachciało mi się srać – ustęp zamknięty. Wtorek. Idę do ustępu – zamknięty. Środa. Jak wczoraj. Czwartek. Już ciężko wytrzymać, idę do ustępu – zamknięty. Piątek. Już nie mogę wytrzymać, a ustępy zamknięte. Sobota. Już nic nie potrzebuję – zesrałem się!!!!!!”. Tu koniecznie musi być dużo wykrzykników.

Więc prowadziliśmy takie i tym podobne rozmowy, żeby szybciej mijał czas. Z tymi ustępami to naprawdę było wesoło. Były one otwarte wtedy tylko, gdy nikogo nie było w obozie, ale w środku mogło być tylko dwóch więźniów. A rano i w południe, a często też

wieczorem, ustęp był zamknięty. Tak było przez kilka miesięcy, później już ustępy otwarte były dzień i noc, dla wszystkich. Nie wolno było siadać tylko na pierwszym sedesie, który przeznaczony był dla blokowych, sztubowych, kapów, pisarzy blokowych, i niejeden, który o tym nie wiedział, dostał dobrze po łbie, gdy pozwolił sobie swoją zwyczajną dupę posadzić na arystokratycznym sraczu.

Z Jaczewskim nosiło się przyjemnie, bo organizacja noszenia była dobra i potrafił on interesująco opowiadać o swoich eskapadach pijackich, wyjazdach za granicę, ale miało to ten feler, że trzeba było jednak nosić kamienie i być narażonym na oberwanie kijem.

I właśnie najprostszym sposobem urwania się było pójście do ustępu. Ten, który szedł do ustępu, opuszczał jeden kurs, a wszyscy szli dalej, ale gdy wracali, to przeważnie dołączał do grupy i nosił kamienie dalej. Ludzie bali się urywać od roboty – nie wiedzieli, co robić dalej. Ja szedłem w okolice psiarni i kantyny – tam albo coś zdobyłem, albo nic, a następnie starałem się dostać do obozu.

Ustęp, do którego chodziliśmy, to nie był właściwie ustęp, tylko olbrzymi dół w kształcie leja, do którego wyrzucane były też odpadki z kuchni. Więźniowie przykucnięci załatwiali swoją potrzebę – to z tyłu – a z przodu dłubało się palcem w gęstym błocie wynoszonym tu z kuchni i z błota tego wyciągało się plasterki marchwi, niejeden raz to jeszcze z kawałkiem naci. Były to odpadki wyrzucane z kuchni SS. Gdy w zasięgu ręki nie było już nic – wtedy nie kończąc zajęcia ubocznego, to znaczy załatwiania swojej potrzeby fizjologicznej, przesuwało się o dwa kroki dalej i znów grzebało się palcem w błocie. Wszyscy, którzy tam przychodzili, robili to samo. Uważać tylko trzeba było, żeby nie wsadzić palca w gówno, które było nieraz przykryte świeżą warstwą błota. Szukać trzeba było ostrożnie i tylko w kucki, z opuszczonymi spodniami, bo inaczej dostawało się kijem od tego, który pilnował, żeby nikt za długo tam nie siedział. Gdy już miałem z pół kieszeni marchwi, wychodziłem z tego przybytku szukać kałuży, w której te odpadki płukałem, i później zjadałem, wyciągając z kieszeni po jednym kawałku. Gdy już minął czas organizowania psiego żarcia, a nic nie zorganizowałem, szedłem w swoje miejsce, w którym miałem schowane widły, i stawałem przy

dużej kupie gnoju w okolicy, w której nie było żadnych grup roboczych. Było to stałe miejsce „urzędowania” Franka Falandysza, chłopaka ze wsi, który wskazał mi kiedyś miejsce swojej pracy. Wiedziałem zawsze, że go tam zastanę. Staliśmy przy tym gnoju i ruszaliśmy się tylko wtedy, gdy szedł jakiś esesman. Miejsce to było o tyle dobre, że sześćdziesiąt metrów od nas były zakopane w ziemi buraki pastewne i jeśli nikt uliczką nie przechodził, to można było ryzykować skok po buraki. Często te skoki robiliśmy, każdy z nas na swoją rękę, i przeważnie udawało nam się złapać jeden lub dwa buraki. **Było wtedy jeszcze trochę śniegu i cienki lód na kałużach, a ziemia była tylko lekko z wierzchu zmarznięta. Pierwszy raz, gdy zrobiłem skok do buraków, wpakowałem się nogą powyżej kolana w błoto, które było pod lekką powłoką śniegu i cienką warstwą lodu. Później już wiedziałem, którędy trzeba podchodzić, lecz i tak za każdym razem błoto miałem powyżej butów. Ale błoto z butów i spodni zmyło się w kałuży, to, co wpadło do butów, wyschło, a burak był i po pokrojeniu go w plastry wnosiłem część do obozu, żeby zjeść z chlebem na kolację, a część zjadałem od razu na terenie pracy.**

Podobną jak ja metodę pracy stosował Leon Cerak. Przyznać mu trzeba, że kręcił dobrze, odważny był i wielkim dla niego plusem było to, że dobrze znał język niemiecki. Gdy razem trafiliśmy do noszenia kamieni, umawialiśmy się, gdzie się spotkamy, i dalej już kręciliśmy razem. Spotkanie umawialiśmy przeważnie w ustępie kamieniołomu w Gusen – bo były trzy kamieniołomy: Gusen, Kastenhoffen i Oberbruch – bo to miejsce było daleko od trasy nosicieli kamieni (kamienie nosiło się w kamieniołomie Kastenhoffen). Ustęp ten był to długi drąg umieszczony nad maleńkim strumykiem. Pilnował go Niemiec, muzułman – cholerny. Ledwie stał na nogach. Stał, stał i raptem zaczynał wrzeszczeć: „Prędzej, prędzej, uciekać, uciekać!”, i kijem wypędzał tych, którzy jego zdaniem za długo siedzieli. Lał takich kijem i wypędzając, krzyczał, że nie przyszli za potrzebą, a tylko odpocząć. Mimo wszystko było to jeszcze najlepsze miejsce do spotkania i umawialiśmy się tam często z Leonem Cerakiem.

Gdy spotkaliśmy się, wtedy już nie kręciłem się za jedzeniem, nie chciałem, żeby on poznał moje chody – bo byłoby za dużo chętnych i nie miałbym już takich możliwości. Nasza współpraca polegała na

wejściu w czasie pracy do obozu, oficjalnie, bramą. On był odważny, ale nie miał partnera do tego rodzaju sportu, bo każdy bał się ryzykować, a mnie to nie odstraszało. Więc wyruszaliśmy na poszukiwanie odpowiedniego sprzętu, z którym można będzie wejść do obozu. Przeważnie były to tragi, na które braliśmy jakieś materiały budowlane albo węgiel. Cerak meldował w bramie, że dwóch więźniów niesie węgiel do kuchni… i wpuszczali nas zawsze bez przeszkód. **Po wejściu do obozu kierowaliśmy się z węglem do kuchni, węgiel sypaliśmy do kupy węgla, tragę zostawialiśmy za kuchnią, a sami między barakami razem z innymi, którzy byli w obozie, staraliśmy się uniknąć spotkania z esesmanami i władzami obozowymi, a w chwilach spokoju zajmowaliśmy się wyłapywaniem wszy i pcheł z bielizny.**

Pewnego dnia, gdy ja z Cerakiem szukałem wolnych trag, podszedł do nas jakiś kapo i zabrał do kamieniołomu Gusen. Kazał nam zrobić porządek w szopie z narzędziami. Po zrobieniu porządku, gdy już w szopie nie było nic do roboty, inny Niemiec kazał nam iść do „swojej pracy". Gdy wracaliśmy do swojego punktu wyjściowego, dogonił nas kapo i dał solidnie po pysku za to, że uciekamy od roboty. Cerak zdążył wśród bicia powiedzieć mu, że kazano nam już iść. Przestał nas bić i zabrał z sobą do swojej budy. Tam siedziało jeszcze dwóch Niemców. Zapytał jednego, czy kazał nam iść, i tamten potwierdził, że tak. To było nasze szczęście. Przecież ten diabeł zabiłby nas, gdyby tamten zaprzeczył, a dlatego mogę tak mówić, bo gdy usłyszał potwierdzenie, to potwornie się wściekł. Zaczął bić tamtego pięściami. W końcu złapał kawał grubego kija, we dwóch przełożyli go przez ławkę, jeden usiadł mu na głowie i wyłamywał ręce do tyłu, a ten bił i bił, tak że przestał bić, gdy połamał cały kij, a pobity, gdy wychodził, chwiał się na nogach tak, jak gdyby wypił co najmniej litr wódki. Patrzyliśmy na tę egzekucję, a mnie skóra cierpła i na tyłku, i na głowie. To była już masakra, a nie bicie.

Pewnego razu wygnano nas do roboty w czasie dużego deszczu. Gdy wyganiali nas do pracy, już ubranie było przemoczone do ciała. Najgłupszy moment jest wtedy, gdy czuje się pierwsze krople wody, które od kołnierza spływają po gołych plecach w dół. Potem już jest wszystko jedno. Robiliśmy sobie zabawę, klepiąc się po mokrych

plecach. Tego dnia było bardzo zimno – były to dopiero pierwsze dni marca. Przy pracy nikt nas nie pilnował, toteż nikt nic nie robił. Esesmani i kapowie pochowali się po kątach i szopach, a my musieliśmy łazić po deszczu, bo nie było gdzie się schować. Co znalazłem jaką szopę lub daszek, to już stali tam kapowie i wypędzali każdego kijami i biciem w mordę. W pewnym momencie poczułem, że robi mi się coś tak przyjemnie, tak jakoś pusto w głowie… i zachwiałem się raz i drugi, i trzeci. Połapałem się, że ze mną niedobrze. Osłabłem. Nie było wtedy ze mną Ceraka, a jak komu proponowałem wejście do obozu, to wszyscy bali się. Wreszcie udało mi się namówić jednego na wniesienie do obozu nieboszczyka, który leżał w błocie. Wzięliśmy go na ramiona i wnieśliśmy przez bramę do obozu. Gdy esesman o coś nas zapytał, powiedziałem tylko jedno słowo: „kapo” – pokazując na umarlaka i na obóz. Miało to oznaczać, że kapo kazał nam go wnieść do obozu. Wpuścił nas.

Po wejściu do obozu ułożyliśmy nieboszczyka pod umywalnią, a ja spróbowałem szczęścia na bloku – i udało się. Tego dnia wściekły Czech nie wypędzał nikogo ze sztuby. Metodę nieznajomości języka stosowałem do końca pobytu w obozie. Po niemiecku rozmawiałem tylko w rozmowach koleżeńskich albo gdy załatwiałem jakiś interes, ale gdy tylko ktoś miał do mnie jakąś pretensję, blokowy, kapo albo esesman, nigdy nic nie rozumiałem. To dużo dawało. Bo jak udawałem jełopa, to najwyżej dostałem w mordę i to było wszystko.

Poza tym nienawidziłem tego języka i umiałem tylko tyle, ile wbili mi do głowy ciągłym powtarzaniem. Nie robiłem najmniejszego wysiłku, żeby jakieś słowa zapamiętać. Już w latach 1944–1945, gdy powiedziałem Niemcowi – wówczas już po polsku – „nie rozumiem”, przedrzeźniał mnie ze złością:

– Nie rozumiem, nie rozumiem! Ile ty lat siedzisz w obozie? – zapytał mnie.

– Cztery i pół.

– I przez tyle czasu nie nauczyłeś się po niemiecku?

– A ile ty lat siedzisz w obozie z Polakami?

– Też cztery i pół.

– I dlaczego przez tyle lat nie nauczyłeś się po polsku? Polaków jest więcej jak Niemców, a ja i tak lepiej mówię po niemiecku jak ty

po polsku. Jak ja będę miał do ciebie interes, to będę mówił po niemiecku, ale jak ty masz interes do mnie, to mów do mnie po polsku albo przez tłumacza.

Jeszcze dziś, jak ten język posłyszę, to wariacji dostaję i zdolny jestem popełnić niepoczytalny czyn w stosunku do tego, kto tym językiem mówi. Trudno – uraz psychiczny, który już mi zostanie do śmierci.

Kilka razy wpadałem do paskudnej roboty. Dwa czy trzy razy łapano mnie do noszenia tragami żwiru przy pompach obsługujących obóz. Kapo był tam taki wściekły, że nawet na chwilę nas nie odstępował. Chodziliśmy całą grupą, a on bez przerwy z nami i bez przerwy bił grubym stalowym prętem. Tam nie było wesoło. **Przez pół dnia pracy człowiek wychodził cholernie zbity, pół dnia dlatego, że nikt tam nigdy więcej sam nie stanął, chyba że przypadkowo znów do niego złapali. Urwać się od niego było ciężko, bo chodziliśmy całą grupą, a po dwóch przy tradze i on zawsze z nami. Nawet do ustępu, i nie można było się urwać, bo te sprawy kazał załatwiać na komendę, gdy byliśmy przy pompach. Rozkaz – „Kto chce, niech się tu załatwia". „Koniec, do pracy". Przed dostaniem się do tej grupy uciekałem jak przed ogniem.**

Była jeszcze jedna grupa robocza, przed którą uciekałem jak przed śmiercią. Pracę tę nazywano w obozie zdrobniale „piekiełkiem" – ale to było chyba coś więcej niż piekiełko.

Była to praca przy budowie młyna do mielenia kamieni, a właściwie w tym czasie – dopiero kopanie olbrzymiego i głębokiego na kilkanaście metrów dołu pod przyszłe fundamenty młyna, który miał kilka pięter w dół i kilka pięter nad ziemią. do pracy tej wychodziło codziennie rano i po południu stu pięćdziesięciu więźniów, a wracało około stu. Reszta niesiona była przez tych stu w charakterze nieboszczyków, nieprzytomnych lub ciężko pobitych. Urwać się od tej pracy było bardzo ciężko, a nieudana ucieczka to pewna śmierć. Praca w tym miejscu to też prawie to co śmierć. Cały teren tej pracy otoczony był linią posterunków, którą stanowili więźniowie Niemcy, każdy z solidnym kołkiem w ręku. Jeśli ktoś próbował ucieczki, a został przyłapany, kapowie bili go kołkami – przy wszystkich, dla odstraszenia – aż do zabicia. A jeśli komuś udało się uciec, to gdy przy końcu pracy – w południe czy też wieczorem – stan ludzi był

mniejszy chociaż o jednego, każdy z tych, którzy stali na posterunku, dostawał kijem dwadzieścia pięć uderzeń w tyłek. Nikt ich nie żałował, ale oni znów starali się pilnować dobrze, bo pilnując, nie musieli ciężko pracować i nikt ich nie bił. W grupie tej na sto pięćdziesiąt osób pracowało chyba nie więcej jak sto, reszta to kapowie, posterunki i poganiacze. Z tych pracujących około pięćdziesięciu osób przynoszono do obozu na każdy apel, to znaczy w południe i wieczorem.

Praca tam była w ten sposób zorganizowana, że ciężką, mokrą glinę wynosiło się z dołu do góry – po deskach bez poręczy – i odnosiło się na odległe o sto pięćdziesiąt metrów usypisko, którym niwelowało się nierówności terenu. Jedna grupa ludzi pracowała w dole – i to była trochę lepsza praca. Kopali oni ten dół i podrzucali glinę do środka dołu, gdzie stało znów kilku więźniów, którzy nakładali glinę na tragi tym, którzy nosili. Kilku było takich, którzy tylko chodzili z kijami i bili bez przerwy, żeby ludzie dobrze i szybko pracowali. Gorsza praca była tych, którzy nosili. Byli oni bez przerwy w ruchu. Ich runda wyglądała w ten sposób, że po wyrzuceniu gliny z tragi trzeba było biegiem pędzić do dołu – bo z tyłu bił kijem specjalnie do tego postawiony poganiacz. Po deskach schodziło się do dołu i biegiem trzeba było przejść przez szpaler ładowaczy, którzy w tym czasie ładowali tragę. Pędzenie biegiem dawało szansę, że dwóch–trzech może nie zdążyć przyłożyć swojej łopaty i traga będzie lżejsza. Ci, co nosili, starali się jak najszybciej przebiec przez szpaler, a ci, co ładowali, starali się nakłaść na tragę jak najwięcej, bo jeśli który kapo zobaczył, że na tradze jest mało, to ładowacze dostawali dodatkową porcję bicia i kilku szło do noszenia tragi.

Z pełnymi tragami wychodziliśmy już po innych deskach do góry. na deskach już nikt nie bił, ale groziło niebezpieczeństwo spadnięcia, bo deski były śliskie, mokre i zamazane gliną. Gdy ktoś spadł na dół, stał tam już taki magik, który go dokańczał. Nie – on go nie bił po to, żeby go zabić. Bił tylko, żeby się podniósł i szedł do pracy – a gdy już był pewien, że ten, który spadł, nie da rady podnieść się – odciągał go do kupy innych i… czekał na następnego pacjenta. Gdy już wylazło się na wierzch, trzeba było przebyć szybko odcinek drogi do usypiska, bo co dwadzieścia pięć metrów stał poganiacz z kijem

i bił tych, którzy obok niego przechodzili. Wreszcie usypisko. Stał tam jeden więzień z łopatką i odrywał nią od tragi glinę, która się przylepiła, oraz drugi, który w tym czasie bił kijem tych, którzy trzymali wykręconą bokiem tragę.

Wpadłem tam trzy razy – i trzy razy uciekłem. za każdym razem musiały mnie widzieć posterunki „piekiełka", lecz myliłem ich tym, że nosiłem na sobie jakiś solidny ciężar. Zawsze brałem zza drutów ciężką belkę, którą dźwigałem tak, że aż się uginałem. Posterunkom nie przyszło do głowy, że może ktoś urywać się z „piekiełka" z ciężką belką na plecach. Myśleli zapewne, że to ktoś z innej grupy roboczej zapuścił się w pobliże w poszukiwaniu potrzebnej mu belki. Tyle o „piekiełku" – o tej jedynej pracy, której bałem się naprawdę, bo tam bez przerwy czuło się śmierć.

Kilkakrotnie dostałem się też do pracy w kamieniołomie Kastenhoffen, gdzie oberkapem był Krudzki, Niemiec o polskim nazwisku, zwany w obozie „Tygrysem". Miał on do pomocy „Młodego Tygrysa" – Polaka, nazwiska jego nie pamiętam – który był takim samym bandytą jak Krudzki. Był to z wyglądu bardzo miły i przystojny chłopak – podobno chorąży Wojska Polskiego. Krudzki był to facet o wyglądzie i spojrzeniu bandyty, który nigdy się nie uśmiechał. Co pewien czas wychodził ze swej budy i szedł szukać sobie kogoś do zabicia. Wybranego prowadził do swojej budy i tam go zabijał. Nigdy nie wiedzieliśmy, kogo w czasie obchodu wybierze. Gdy zbliżał się, wszyscy zaczynali energicznie pracować, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Dopiero później dowiedziałem się, kto padał jego ofiarą. Miał on swoich piesków wśród więźniów i ci donosili mu, który z więźniów ma złote zęby. Wykańczał takiego przy pomocy „Małego Tygrysa" i w ten sposób stawał się właścicielem złotych zębów. za to złoto kupował sobie przyjemności niedostępne więźniom, jak wódkę, dobre jedzenie i „miłość" kobiety. Był tam jego zaufany majster, który mu wszystko przynosił. W południe przynosiła majstrowi jedzenie kobieta i gdy ten zjadał, siedząc przed budą i obserwując, czy nie zbliża się esesman, ona w tym czasie „urzędowała" w budzie z „Tygrysem".

Kilka razy wpadłem też do grupy roboczej kapa Strońskiego Stanisława, Ślązaka, który miał wielkie zamiłowanie do mordowania

ludzi. Po wojnie z wyroku sądu powieszono Strońskiego w Katowicach. Zabił on wielu więźniów, ale nie wiem dlaczego, gdy u niego pracowałem, nigdy mnie nie uderzył, a raczej wyczuwałem, że lubi mnie za mój humor. na wszelki wypadek starałem się unikać jego grupy – a poza tym to ja w ogóle starałem się unikać pracy.

Dwa razy przyszło mi pracować w obrębie baraków SS, raz przy wysypywaniu uliczki drobnymi kamieniami, a drugi raz przy skopaniu placyków między barakami, na których miały być kwietniki. **Pierwszy raz wpadł na nas pędzący tabun esesmanów i przeszedł po nas jak pędzący pociąg. Mnie tylko przewrócono, kilku podeptano, a Hubertowi Niewidokowi z Czuszowa w dodatku zbili okulary o grubych szkłach, a on bez okularów prawie nie widział, więc musiałem mu pomóc przyjść do obozu. Po kilku dniach widziałem, że ma on już inne okulary, które zorganizował po jakimś nieboszczyku.**

Praca w ogródkach była o tyle nieprzyjemna, że przez całe pół dnia (nigdy więcej nie wracałem do tej samej pracy) padał deszcz. W roku 1944 te pół dnia przypomniał mi Władysław Latkiewicz, nauczyciel z Żywca, z którym pracowałem w jednej hali kamieniarskiej. Mówił on powolnym, flegmatycznym tonem:

– Stachu, ja o tobie nigdy w życiu nie zapomnę. Nie z tego powodu, że ty teraz – wyżarty, z czapką na bakier – stale jesteś wesoły i z humorem. Ale pamiętam, jak w 1941 roku robiliśmy za barakami SS, na deszczu, stojąc po kostki w błocie. Jedni płakali, inni klęli, inni modlili się – a ten stoi i śpiewa sobie banalne piosenki. Pierwszy raz wtedy ciebie widziałem i zapamiętałem. Pomyślałem sobie: I czego ten człowiek się cieszy – przecież on za miesiąc zdechnie. Pamiętam nawet, co ty wtedy śpiewałeś: *U cioci na imieninach*.

Ja też tę scenę pamiętam. Robiliśmy na deszczu. Kapo stał pod okapem baraku i jak chciał komu mordę obić, to wołał do siebie, obił mordę i znów wysyłał do pracy. Ja rzucałem łopatą błoto i do taktu śpiewałem sobie humorystyczne tango. I tak – raz łopatą i „U cioci na imieninach", raz łopatą – „jest flaszka, dwie butle wina", raz łopatą – „śledź, pączki i wieprzowina", raz łopatą – „są goście i… morowo jest". A tam naprawdę morowo było. Wszy, pchły, mendy (skąd? – sam nie wiem), świerzb, liszaj na pół gęby, wrzody – po

osiem–dziesięć naraz, oraz bez przerwy bity i głodny – to właśnie byłem ja. Wszy – gdy szukało się każdego dnia, w samej koszuli znajdowałem około osiemdziesięciu sztuk. Walczyłem z nimi przez ciągłe kontrolowanie bielizny i koców, ale wciąż przychodziły nowe. Jak się jedną zabiło, to pięćset przychodziło na pogrzeb i wszystkie gryzły. Chodząc na opatrunki, prosiłem o bandaż, a jak nie chcieli dać, to sam „organizowałem". Każdego rana zakładałem kawał bandaża na szyję, tak że końce wchodziły pod koszulę, jeden na piersi, drugi na plecy. Gdy już byłem w pracy albo nie w pracy – no, tak po dwóch godzinach delikatnie zdejmowałem z siebie bandaż, a w nim roiło się od wszy i pcheł. Wszy właziły prawie wszystkie. Gdyby wtedy przeszukać koszulę, to znalazłoby się zaledwie kilka lub kilkanaście sztuk.

Z pchłami była lepsza heca. Tych to było miliony. Skakały po sztubie, w ustępie, między blokami i na placu apelowym. Całe armie. Stawialiśmy na noc pod łóżka miski z wodą, w których rano pływał cały kożuch z potopionych pcheł. Gdy odpięło się koszulę, to tylko szur, szur – pryskały jak fontanna, a gdy zdejmowałem z siebie koszulę, to od razu przerzucałem na lewą stronę. Było ich tyle, jakby kto makiem posypał koszulę. Pcheł się nie szukało. Brałem koszulę za kołnierz i strzepywałem pchły ręką. Mieliśmy na bloku Żyda – podobno redaktor „Expressu Wieczornego", nazwiska nie znałem – to jego zjadały wszy. Nie chciał ich bić. Gdy go wreszcie napędziliśmy i zaczął szukać w swetrze – to liczył tylko do osiemsetnej, a później go zgniewało i już nie liczył, tylko bił. Mendy – te zgubiłem przez ogolenie owłosienia oraz nacieranie naftą, o którą postarał się jeden z kolegów, a za którą musiałem dać kawałek chleba. Liszaj rozlał mi się na pół gęby – cała prawa strona – i swędział jak cholera. Przez jakiś czas nacierałem własnym moczem – tak mi doradzono – później smarem wyciągniętym z fifek od papierosów – to piekło – a w końcu znikł pod maścią, o którą znów postarał się Heniek B. z rewiru SS.

Świerzb miał cały obóz. Nie mieli go tylko prominenci z arystokratycznego bloku, bo ci unikali kontaktu z muzułmanami i otrzymywali z rewiru SS maść na świerzb. Dawali im dlatego, że oni przecież pracowali wśród esesmanów, a ci bali się, żeby im

więźniowie nie przywlekli wszy i świerzbu. Nam na świerzb nic nie dawali – niektórzy mieli rany od świerzbu; tam znów pchały się wszy – no i wszawica już była. Ja nie miałem wszawicy ani ran świerzbowych. Dlaczego, to sam dobrze nie wiem – może dlatego, że nigdy nie drapałem się zbyt namiętnie, bo zdawałem sobie sprawę, czym grożą rany. No i wypędzałem w każdej wolnej chwili wszy i pchły.

W końcu przyszedł czas – chyba w czerwcu – że przywieźli do obozu beczkami maść na świerzb. Wieczorami – po kolacji – wygnano nas nago przed blok, ustawialiśmy się po kilkunastu w rzędy, a „władze" blokowe okładały nas maścią z przodu i z tyłu, nabierając ją na drewniane łopatki. Stojąc w rzędzie, każdy nacierał plecy tego, który stał przed nim, a z przodu już każdy sam się natarł. Wtedy w zasadzie świerzb został zlikwidowany – po kilku dniach nacierania. Później pokazywał się jeszcze od czasu do czasu, lecz już odtąd było tyle maści, że każdy mógł zawsze ją otrzymać. Wykorzystałem to na jesieni 1941 roku, gdy codziennie kąpano nas pod gołym niebem, ale o tym opowiem osobno.

Wrzody – tych nikomu też nie brakowało. Wrzody mieli chyba wszyscy, którzy pracowali na zimnie i deszczu, a do tego byli głodni. Ja miałem ich po osiem–dziesięć, do dwunastu naraz. Niejednego wrzody uśmierciły. Widziałem u niektórych fantastyczne wrzody ulokowane na tyle głowy. Ci z zasady po kilku dniach byli odnoszeni do krematorium. „Wuja" Opasa uśmiercił olbrzymi wrzód na brzuchu. Ja takich potwornych wrzodów nie miałem – ot, takie średniaki. Lokowały mi się przeważnie na łopatkach, pod pachami, w pasie, w pobliżu pachwiny i na pośladkach. Pośladkowe i na łopatkach często były roztrzaskane przez kapów. Inne wyciskaliśmy sami. Bardzo często, gdy po kolacji nie było „sportu", szedłem z Cerakiem za baraki i tam wyciskaliśmy sobie dojrzałe wrzody. Ja wyciskałem Leonowi, a on mnie. Ten – nie, tego jeszcze nie można. Ten – za wcześnie. Ten – można. I gniotło się go, że tylko trzeszczał i bryzgał ropą. Wycierało się je jakimiś brudnymi, starymi szmatami, przez które chwytało się i wyciągało rdzeń wrzodu. I dzisiaj dziwi mnie tylko, że nie dostałem zakażenia. Dwóch znajomych chłopaków umarło na wrzody, które uformowały się im na odbytnicy. Mnie tylko

raz zrobił się taki czort na lewej nodze, od zewnątrz – piętnaście centymetrów powyżej kolana. Nie mogłem już ani chodzić, ani się schylić i już sam nie wiedziałem, co mam z nim robić. Siedział głęboko, więc nie można go było wycisnąć. Rozwiązanie przyszło samo. na apelu należało stać na baczność i metodą niemiecką ręce należało trzymać przyciśnięte na szwach. Apel trwał bardzo długo, więc nikt przez cały czas tak nie stał. Każdy prostował się i przyjmował taką postawę, gdy zbliżał się esesman. Ja stałem przeważnie w ostatnim, dziesiątym szeregu. Tego dnia stałem z nogą w kolanie na spocznij i z rękami luźno opuszczonymi. Nie usłyszałem, że z tyłu idzie esesman. Ten chciał kopnąć mnie w dłoń – za to, że nie trzymam jej prawidłowo – i całą siłą kopnął mnie o pięć centymetrów niżej, dokładnie we wrzód. Zrobiło mi się ciemno w oczach, słodko w gardle, zachwiałem się na kolegów stojących w dziewiątym szeregu – myślałem, że zemdleję. Wreszcie wszystko minęło i wtedy poczułem, że mam mokro w nogawce.

Po zafasowaniu chleba postarałem się o wielką szmatę, usiadłem za barakiem i do końca wycisnąłem rozbity wrzód. Ropa leciała jak woda z kranu. Bez przesady mogę powiedzieć, że wyciekło jej co najmniej pół litra. Już na zawsze w tym miejscu pozostało mi na nodze duże wgłębienie. Gdy już wycisnąłem go całkowicie, uśmiechnąłem się z zadowolenia, bo pomyślałem sobie o esesmanie, który mnie kopnął: „Wściekłbyś się, bydlaku, gdybyś wiedział, jaką mi tym zrobiłeś przysługę”. Poza tym nic na nie nie robiłem i jak mi w lato zginęły wszystkie, tak już nigdy ich nie miałem, nie licząc jednego.

Przypomniała mi się nowela Maupassanta; opisuje on w niej chłopka, który jechał do doktora, a okazało się, ze to pchła siedziała mu w uchu. Ludzie, czytając tę nowelkę, śmieją się i ze skąpstwa tego chłopka, i z jego głupoty, że z takim drobiazgiem jechał do lekarza. „Drobiazg” – ja takiego drobiazgu mógłbym życzyć swoim wrogom. Przecież to można zwariować. Łomocze to w uchu jak karabin maszynowy. Utknie bydlę w woskowinie i drży widocznie ze strachu, a we łbie tłucze tak, jakby ktoś tłukł młotkiem pneumatycznym. Gdy wpadła mi pchła pierwszy raz do ucha – w nocy – to nie wiedziałem, co robić. Dłubałem w uchu palcem,

potem słomką – a ta cholera warczała mi we łbie. Wreszcie wpadłem na jedyny słuszny – jak się okazało – pomysł: utopić ją. Wlazłem do łazienki, nalałem wody w ucho – tak jak nieraz naleje się w kąpieli, że człowiek głuchnie na to ucho. Łeb trzymałem bokiem przez kilkanaście minut – i utopiła się. Wpadła mi jeszcze dwa razy, ale od razu, jak poczułem w głowie karabin maszynowy, pędziłem do ubikacji i serwus, pchełka – trup. Pomyślałem sobie wtedy, że to jest dobry sposób pozbywania się wszystkiego, co żywe (prócz stworzeń wodnych) i co dla nas jest przykre i niewygodne. Dlatego widocznie topienie było podstawową metodą uśmiercania muzułmanów i takich, co podpadli władzom.

W tym czasie, który obecnie opisuję, przeniesiony zostałem na blok pierwszy. Wtedy blok pierwszy nie był jeszcze blokiem prominenckim. Arystokracja obozowa mieszkała na bloku siódmym. na bloku pierwszym nie przebywałem długo – a utrwalił on mi się w pamięci tym, że kilka razy dostałem dobry łomot nogą od stołka od sztubowego. Był to Feliks Jakubowski, chłopek ze wsi, który przez cały okres pobytu w obozie niesławnie zapisał się w pamięci jako jeden z większych bandytów Polaków – tak jak Stanisław Stroński, Stanisław Kołeczko, Bronisław Ott czy też Karol Szmidt, który z nich wszystkich był jeszcze najlepszy.

Na drugim łóżku obok mnie leżał nauczyciel wiejski – nazwiska już nie pamiętam – którego Jakubowski postanowił wykończyć. Nauczyciel ten miał ten feler, że w nocy się moczył. Jakubowski codziennie rano przychodził z kołkiem w nasz koniec sztuby i dawał mu solidne lanie. Robił to metodycznie, bez złości, nawet z pewnym zadowoleniem. Któregoś dnia powiedział, bijąc go, że wykończy go w ciągu tygodnia. I od tego dnia bił go każdego rana bez względu na to, czy w nocy zmoczył się, czy też nie. Czwartego dnia po rannym biciu człowiek ten płakał i mówił do mnie:

– Teraz już wiem, że mnie wykończy. Jeżeli przeżyjesz, powiedz ludziom o tym, jak mnie Jakubowski wykończył, chociaż nie zasłużyłem sobie na to.

W myśl umowy siódmego dnia Jakubowski bił go tak długo i dokładnie, że nie miał on już siły wyjść do pracy, a gdy przyszliśmy

w południe do obozu – nauczyciel ten był już trupem, który nago w umywalni czekał na transport do krematorium.

W kwietniu 1941 roku rozebrano bloki szósty, siódmy i ósmy i zaczęto budować na ich miejsce bloki piętrowe, murowane, które wykończono dopiero w roku 1944; prominentów przeniesiono na blok pierwszy, a nas na blok trzydziesty drugi. Przydzielono mi łóżko na dole z brzegu sztuby. Zauważyłem, że w środku sztuby jest wolne górne łóżko, w ganku przy oknie. Najlepsze łóżko, bo można na nim siedzieć – gdy na środkowym i dolnym tylko leżeć. U góry zawsze było cieplej, a okno służyło do szybkiej ucieczki w razie bicia w sztubie, bo ryzykowną, ale najlepszą rzeczą było wtedy pryskać przez okno. Niebezpieczną tylko dlatego, że gdyby ktoś na tym przyłapał, nie wiadomo, jaką chciałby zastosować karę, mogliby i zabić. Ale to groziło tak często i bez żadnego powodu, że już się do tego przyzwyczaiłem i cokolwiek robiłem, nigdy o tym nie myślałem, wiedziałem tylko, że pewnego dnia wykończą mnie albo „za winy popełnione", albo za darmo, bez żadnej winy, po prostu nie spodoba się komu moja morda – a szczególnie oczy.

Ale miałem pisać o pobycie na bloku trzydziestym drugim. A więc na własną rękę – tak się robiło – zająłem to górne łóżko. Powiedział mi jeden, że ma tam przyjść ktoś inny – więc położyłem się i czekałem na tego innego, który zechce mnie z tego łóżka wygnać. Nie mogłem odejść, bo to przecież nie mieszkanie, do którego po zajęciu wstawia się graty i zamyka na klucz. Tu jedynym gratem byłem ja. Gdybym odszedł, a na łóżku zostawił czapkę, buty czy marynarkę – po powrocie mógłbym nic nie znaleźć. Przyszedł wreszcie sąsiad z łóżka obok. Zdziwiony zapytał, czy ja tu na stałe, bo tu ma przyjść jego kolega. Odpowiedziałem mu grzecznie, że ja tu na stałe, kolega wobec tego musi pozostać na swoim miejscu, a od dzisiaj ja mogę być jego kolegą. Tu z fasonem podałem mu rękę, przedstawiłem się, on mnie też… i byliśmy naprawdę dobrymi kolegami przez cały okres pobytu w obozie. Nazywał się on Stanisław Kornacki – nauczyciel z Łęczycy, pochodził z Łodzi. Po takim załatwieniu sprawy mogłem już spokojnie pozostawić łóżko i wyjść z baraku, bo nie wolno było zajmować łóżka już przez kogoś zajętego. Ja zająłem łóżko wolne, bo jego były mieszkaniec został

tego dnia przyjęty w charakterze chorego do rewiru „na wykończenie”.

Blok trzydziesty drugi był z tym niewygodny, że było daleko do ustępów i umywalni, bo ich jeszcze nie wykończono. Jeden ustęp i umywalnia obsługiwały zamiast jednego trzy baraki, a więc był tłok i do mycia, i do reszty; do umywalni i ustępów innych bloków nie wolno było chodzić, bo lanie pewne. do naszej umywalni i ustępu było około dwustu metrów, do mycia trzeba było chodzić bez koszuli, bez względu na pogodę, a w nocy do ustępu wolno było założyć na siebie tylko płaszcz i buty. Kto włożył spodnie, kalesony albo czapkę – lanie, jeśli go ktoś przyłapał. A tę wędrówkę musieli niektórzy robić po sześć–osiem razy w ciągu nocy. Ja wstawałem cztery razy. Gdy byłem czwarty raz, to wiedziałem, że już w łóżku nie zdążę się ogrzać. **Niejeden raz dzwonek zastał mnie w ustępie lub w drodze powrotnej z ustępu. Przy wychodzeniu do ustępu też trzeba było mieć specjalną technikę, bo blokowi, którzy wysypiali się w dzień, robili w nocy zabawę. Ustawiał się taki w sieni i lał kijem każdego, kto wchodził i wychodził. Gdy miałem iść w nocy do ustępu, to wpierw leżałem kilka minut i słuchałem, jak wchodzą i wychodzą. Jeśli spokojnie, to wychodziłem. A jeśli słyszałem uderzenie i stęknięcie, to lałem do buta i cicho wylewałem za okno, ale to tylko wtedy, gdy już nie mogłem wytrzymać. Raczej starałem się przeczekać.**

Drugą niewygodą bloku trzydziestego drugiego było to, że z każdym papierosem trzeba było gonić aż na plac apelowy, to znaczy przez cały obóz. Palenie w pobliżu baraku groziło śmiercią, w baraku to w ogóle nie było mowy. **Niektórzy ryzykowali i palili w pobliżu bloku, za szopami. Nie było tam świateł, to kapowie często, szczególnie rano, gdy było ciemno, a po śniadaniu wszystkich wyganiano z baraku, kręcili się wśród więźniów i uważali, gdzie zobaczą ogień papierosa. Złapany dostawał dobre lanie, a na zakończenie salto mortale do głębokiego dołu za pomocą uderzenia pięści. do dołu, z którego nikt sam nie mógł się wydostać, bo był za głęboki i miał równo ścięte ściany. Dół wykopano w tym miejscu, gdzie wkrótce powstało kąpielisko. Ja codziennie rano goniłem na plac apelowy, nie specjalnie dlatego, że się bałem, ale dlatego że tam mogłem zorganizować coś do palenia od znajomych prominentów. Jeśli był to większy niedopałek, to**

pędziłem znów w drugi koniec obozu, zabierałem Kornackiego i znów na plac apelowy, żeby wypalić. Przez to kilka razy dostałem po pysku, bo gdy już bloki ustawiały się przed swoimi barakami do apelu, to ja wtedy przeciskałem się za szeregami, chcąc dostać się do swojego bloku. Po drodze nieraz spotkałem takiego, który ustawiał blok, taki dobrodusznie, bez złości dał mi w mordę albo kopniaka, żebym mu nie przeszkadzał, i dalej robił swoje. Gdy już dotarłem do swojego bloku, to nieraz okazało się, że stoi on już ustawiony, wtedy też można było oberwać za to, że późno dołączam, ale to bicie było nieszkodliwe, ot tak dla formalności i żeby nie wyjść z wprawy. Z paleniem było coraz gorzej. Muzułmani palili, co się tylko dało palić i zawierało troszeczkę nikotyny. Ja, że też byłem na najlepszej drodze do muzułmaństwa – bo już nogi w kolanach grubsze były jak w udach – robiłem to samo. Paliło się tabakę. Z papieru robiło się coś w rodzaju lejka, napełniało tym świństwem – i paliło. Dawało to ciężki, słodki dym – a dymiło jak samowarek kolejki wilanowskiej. Paliło się też tabakę do żucia. Niektórzy suszyli ją z całym tym smarem, którym była przesycona – było to cholernie mocne. Niektórzy rozwijali, prali, suszyli i dopiero pokrojoną palili. Ja tabakę do żucia zużywałem w sposób racjonalny – brałem kawałek do ust i trzymałem, plując bez przerwy; później suszyłem ją, kroiłem i paliłem. Tak przyzwyczaiłem się do żucia tabaki, że zaczęło mi jej brakować tak jak palenia – wtedy przestałem jej używać i prałem przed wypaleniem. Paliło się też wyciąg z fifki. Robiliśmy sobie druty, zaklepane na końcu, żeby działały jak wiertło, i tym drutem czyściło się innym fifki, a to, co zostało wyciągnięte, wycierało się w papier, który z kolei skręcało się w rurkę i ten papier paliło się tak jak papierosa. Było to też pioruńsko mocne. Niektórzy rozcinali drewniane fifki na cztery części i kawałeczkiem szkła zeskrobywali ze środka dość grubą warstwę drewna przesyconego nikotyną. Były to drobne wiórki, z których tak jak z tytoniu robiło się skręta i paliło. Wielu kupowało palenie za chleb lub porcję wieczornej kiełbasy – ci nie żyli długo. **Ja taki „mądry" byłem nie więcej jak trzy razy, gdy do spółki z Kornackim kupiliśmy sobie palenia za kiełbasę, drugą jedliśmy do spółki. Niektórym z nich to ja się nawet nie dziwiłem. Widziałem raz muzułmana, któremu**

już śmierć patrzyła z oczu, a który sprzedawał kiełbasę za palenie i targował się, żeby sprzedający dał mu jednego skręta więcej.

– Dwa, dwa – mówi sprzedający

– D-a-j t-rz-y – prosi kupujący, a nie ma już siły mówić.

– Zeżarłbyś baranie – mówię do niego – ledwie stoisz na nogach, a jeszcze żarcie za palenie sprzedajesz.

– Kolego – odpowiedział mi – ja i tak, i tak za kilka dni zdechnę, a tu i jeść się chce, i palić się chce. Kiełbasa ta i tak mnie nie uratuje, a tak to przynajmniej sobie popalę.

Miał rację.

Tadeusz Faliszewski – piosenkarz z Warszawy – urządził kiedyś fajny kawał. Było to właśnie w tym czasie, kiedy nawet blokowi nie mieli co palić. W niedzielę przed południem chodził po placu apelowym, gdzie w tym czasie kręciło się sporo ludzi, i wołał głośno: „Kto chce papierosa? Kto chce papierosa?". Każdy spoglądał na niego i uśmiechał się, myśląc, że nie da się nabrać na jakiś kawał, który on szykuje. Gdy tak zawołał już kilkanaście razy, podszedłem do niego i mówię dla zbytków:

– Tadziu, ja chcę.

A on wyciąga z kieszeni papierośnicę i częstuje mnie jedynym w papierośnicy papierosem. Wtedy wszyscy prominenci, którzy byli w pobliżu, podbiegli do niego, wołając:

– Daj i mnie – i mnie – i mnie!

– Co? – mówi on. – Teraz? A jak ja już od pół godziny chodzę i wołam: „Kto chce papierosa?" – to chętnych nie było? Myśleliście, że Faliszewski zwariował, prawda? Teraz już nie mam. Jednego tylko miałem do oddania.

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni papierosa, którego z gracją zapalił, i towarzystwo się rozeszło.

Jednej niedzieli spotkałem przed blokiem pierwszym Tadzia Kiełbasę trzymającego w ustach kawałek skręta.

– Tadziu, zostaw popalić.

I nie śmiałem wierzyć szczęściu, bo oddał mi prawie całego skręta. Był wygaszony.

– Tylko uważaj – mówi Tadek – bo mocny. To już nawet nie siekiera, to armata.

Zauważyłem, że tytoń jest koloru ciemnozielonego. Zaczepiłem faceta z ogniem i przypaliłem. Przypaliłem i… nawet nie powiedziałem dziękuję, bo mnie zatkało. Zatkało tak, że skręt znów zgasł, a ja po długim kaszlu złapałem normalny oddech. Przypaliłem znów, lecz już się nie zaciągnąłem – mimo to poczułem, jak mnie ścisnęło w gardle. Z zapalonym skrętem podszedłem do grupy chłopaków i pytam jednego, czy chce pociągnąć, ale tylko raz. Pomyślałem sobie, że jak raz, to już on się dobrze sztachnie. I tak się stało – pociągnął i zdrętwiał. Piąty już ciągnął, gdy pierwszy dopiero zaczął kaszleć – a każdy z nich, gdy powiedziałem, że mają ciągnąć tylko jednego dyma, starał się złapać tego dymu jak najwięcej.

Gdy pewnego dnia nie miałem co palić, wyszedłem z fajką między baraki. Kto wie – może zorganizuje się papierosa, a może trochę tytoniu. No i spotkałem kolegę z tytoniem.

– Daj nabić fajkę – poprosiłem go.

Wyjął pudełko z tytoniem i podstawił, żebym brał. No to ja biorę raz, biorę drugi raz, trzeci, czwarty. Wreszcie ten pyta:

– Ile tytoniu włazi do tej fajki?

– Już pełna – odpowiedziałem. A nabijałem fajkę w ten sposób, że raz tytoń do fajki, a raz obok fajki do ręki, raz do fajki, raz obok fajki.

W końcu, gdy on się połapał, że coś dużo do niej wchodzi, miałem już nabitą fajkę i na trzy fajki w ręku. Cóż – tak też trzeba było nieraz robić.

Inną bolączką bloku trzydziestego drugiego były ciągłe ćwiczenia, po pracy i w niedzielę, zakładania i zdejmowania czapek. Blokowy, nazwiska nie pamiętam – gruby, tęgi Austriak – miał kota w głowie na tym punkcie oraz na punkcie maszerowania. Szkolił nas gwizdkiem, żeby za bardzo nie strzępić gęby. Gwizdek – czapki zdjąć. Gwizdek – czapki włożyć. I tak godzinami. Jak mu się sprzykrzyło, to wołał kogoś z bloku i kazał mu gwizdać. Sztubowym u nas był kapo Górnego Kamieniołomu Hajdeman, facet powyżej dwóch metrów wzrostu, bandyta, który w pracy chodził z kołkiem z wielką gałą na końcu. Jak kogo tym przeciągnął, to potrafił od razu zabić. Był niesamowicie złośliwy – ale o tym osobno. Zastępował on często blokowego przy gwizdku. Jak im się znudziło zdejmowanie czapek,

poganiali nas między blokami. na jeden gwizdek – maszerować, na dwa – w tył zwrot i maszerować z powrotem, na trzy gwizdki – biegiem marsz. do tego dochodziły niejeden raz ćwiczenia gimnastyczne urozmaicone biciem i kopaniem przez wszystkich z bloku uprawnionych do bicia – a więc kapów, sztubowych i pisarza blokowego. Jak nie ćwiczenia przed blokiem, to na bloku nauka słania łóżek i egzekucje na tych, którzy niby źle słali. Wciąż zajęcie, wciąż bałagan, wciąż bicie.

Utrwaliła mi się mocno w pamięci taka scena z umywalni, do której po kolacji poszedłem umyć nogi.

Pod jednym sitkiem jeden Niemiec wykańcza drugiego, który stoi nago pod lodowatą wodą i wrzeszcząc, chce uciec; ten drugi, też wrzeszcząc, wpędza go z powrotem, tłumacząc mu to odpowiednio grubym kołkiem. Z jednej strony umywalni Hiszpan myje nogi i śpiewa głośno jakąś arię. Z drugiej strony Polak myje się i głośno się modli. A pod ścianą, w skrzyni zwanej trumną, leży nagi człowiek, który jeszcze żyje, lecz pewnie już nieprzytomny – tak jak ryba łapie od czasu do czasu powietrze. na brzuchu umierającego siedzi inny, który spokojnie zajada swój kolacyjny chleb, krojąc go na maleńkie kawałeczki. Myślałem, że może to jaki kolega, który chce być przy jego śmierci, więc pytam:

– To twój kolega?

– Nie, tylko na bloku taki bałagan, że tu przynajmniej spokojnie zjem kolację.

Gdy tylko zrobiło się cieplej, zabrano wszystkim w obozie buty, skarpety i czapki. Zostawiono tylko tym, co pracowali wśród SS – arystokracji na bloku pierwszym – oraz tym, co pracowali daleko za obozem. Wszyscy inni dostali na nogi trepy z płótnem na czubkach palców. Buty dano znów pierwszego listopada, po paskudnym dniu pracy, bo w nocy na pierwszego listopada spadł śnieg do pół łydki. W ciągu dnia śnieg stopniał i zrobiła się packa. Gdy wieczorem wracaliśmy z pracy, wielu szło boso, niosąc trepy w ręku, wszyscy jeszcze w letnich ubraniach, to znaczy cienkich pasiakach, koszulach,

kalesonach i… trepach. Apel wieczorny przedłużał się, bo wozami zwozili trupy i wciąż kogoś jeszcze brakowało, a znajdowano ich gdzieś w dole lub w rowie nieżywych. Wieczorem dopiero wydano nam ciepłe ubrania – czerwone spodnie (jugosłowiańskie bryczesy), granatowe marynarki, pasiaste płaszcze i buty na drewnianych podeszwach. Ale kto zginął tego dnia, to już mu nic nie przyszło z tego. **Ja wtedy pracowałem już u kamieniarzy u Hajdemana w Górnym Kamieniołomie. W śniegu w trepach stałem tylko na rannym i wieczornym apelu oraz w drodze do kamieniołomu i z powrotem. Gdy tylko przyszliśmy do swojej szopy, okręciłem sobie nogi papierem z worków od cementu i cały dzień pracowałem pod dachem. Hajdeman urządził sobie ciekawą zabawę. Długi, cienki, z maczugą w ręku gonił muzułmanów. Gonił tylko tak długo, aż taki zgubił trep. Wtedy przestawał gonić, podnosił z zadowoleniem trep, obejrzał go z ciekawością jak małpa i w pobliżu swojej budy rzucał trep w kilkudziesięciometrową przepaść, na której dno nie było żadnego zejścia… i upatrywał, kogo znów przegonić. Obserwowaliśmy to przez szpary w naszej szopie**.

Skarpet już nam nie wydano nigdy. do końca pobytu w obozie nie było nigdy fasowania skarpet. Zimą owijaliśmy nogi papierami i szmatami, a gdy już byłem prominentem, to miałem skarpet dosyć dla siebie i jeszcze dla innych.

Czapki wydano nam po dwóch miesiącach – musieli wydać, bo więźniowie zrobili z obozu dom wariatów. Porobili sobie czapki z papieru. Piszę „porobili”, bo ja wtedy już pracowałem przy budowie kolei za obozem, więc miałem buty i czapkę, a kradzieży nie bałem się, bo nikt pracujący w obrębie obozu nie miał prawa nosić obozowej czapki. Czapki papierowe były najrozmaitsze. Ludzie wykazali wielki spryt i pomysłowość; były czapki rogatywki z denkami, cylindry, jakie kto tylko chciał. Gdy wychodzili do pracy – czapki były pochowane. za bramą robił się z kolumny różnokolorowy, maskaradowy tłum. Ludzie robili czapki dlatego, że tym, którzy pracowali na słońcu bez czapek, puchły głowy i dostawali zapalenia mózgu. Przecież każdej soboty mieliśmy łby golone brzytwą.

Z tym goleniem to też była niewąska zabawa. W sobotę po południu zaczynało się golenie twarzy i głów w umywalni. Chłopaki

robili sobie scyzoryki, które wyostrzali, i żeby za długo nie siedzieć w umywalni – golili jedni drugich. Jak ktoś miał pokaleczoną głowę i twarz – to wiadomo było, że golił się nożem. Ci, co golili, mieli pierwszeństwo – tak jak i ci, co sprzątali sztubę – do dolewek jedzenia przez cały tydzień i nikt o to nie wnosił pretensji. Poza tym w sobotę trzeba było pocerować ubranie, poprzyszywać guziki, numery, winkle. Niejeden zapłacił życiem za nieprzyszyty guzik albo krzywo przyszyty numer lub winkiel, bo gdy esesman zobaczył takiego, dawał po pysku blokowemu, że nie przypilnował porządku. Gdy ten kilku za to dla przykładu zabił, to już inni uważali, żeby na niedzielny apel wszystko było w porządku i żeby blokowy nie dostał po pysku.

Jedna niedziela w miesiącu przeznaczona była na pisanie listów. Ci, co znali dobrze język niemiecki, pisali tym, którzy go nie znali. Długi czas listy były bardzo lakoniczne: „Jestem zdrów i jest mi dobrze. Znaczki pocztowe i pieniądze otrzymałem, za które dziękuję. Całuję Was – Wasz Stasiek Grzesiuk". I to wszystko. Tak do jesieni 1941 roku. Później, i to już do końca, wolno było pisać więcej – całą jedną stronicę na specjalnym blankiecie listowym. Kto nie napisał: „Jestem zdrów i jest mi dobrze", dostawał dwadzieścia pięć w dupę i na kilka miesięcy zakaz pisania listów. Więc nikt nie ryzykował i wszystko szło według powiedzenia komendanta, że „w obozie są tylko zdrowi i umarli". Już od roku 1943 pisałem po dwa, trzy, cztery listy każdego miesiąca. Robiłem to w ten sposób, że szukałem ludzi (Polaków), którzy nie mieli nikogo i do nikogo nie pisali. za porcję chleba kupowałem od nich prawo do pisania listów. Nadawca był to ktoś taki to a taki, jego data urodzenia, numer i blok, adresat ten, do którego ja pisałem – a więc mój brat, kuzyni czy też ksiądz Szubert. Treść pisana moją ręką i dla nich zrozumiała i podpisano: Stasiek. Ten, kto cenzurował, musiałby dokładnie zapamiętać imię nadawcy, żeby spostrzec, że imię podpisane jest inne. Lecz oni całą uwagę zwracali na treść – a ja listy wysyłałem i otrzymywałem na nie odpowiedzi na swoje nazwisko. Klawo – no nie? W tym okresie zabroniono nam posiadać rzeczy osobiste, prócz paska do portek i chusteczki do nosa. Rewizje odbywały się codziennie na placu apelowym, w pracy, a szczególnie na blokach po wieczornym apelu.

Chłopaki chowali po różnych dziurach to wszystko, co ktoś uważał za wartościowe lub potrzebne. Chowali w baraku, między deskami łóżek, w siennikach, w pobliżu baraku w kupach piachu – wszędzie jednak dranie znaleźli. Pierwsze rewizje dawały całe kupy rupieci: papiery, sznurki, listy z domu – no i scyzoryki, na które szczególnie polowali. Stwarzało to kłopoty przy podziale chleba, bo noży do krajania nie dawali, a bochenek był na trzech lub czterech. Następne rewizje dawały mniejsze wyniki, a gdy już nikt nic prawie nie miał, to jak coś znaleźli, to bili. Ja postanowiłem przetrzymać mały scyzoryk w okładkach z perłowej masy. Przeszedłem wszystkie rewizje i nie znaleźli. **Rewidowali też tak, że wyganiali nas wszystkich z bloku i pilnowali, żeby nikt sprzed bloku nie odszedł, a w tym czasie całą gromadą rewidowali w bloku, w łóżkach, siennikach i wszelkich możliwych miejscach, gdzie cokolwiek można było ukryć. Po zakończeniu rewizji w bloku kazano nam rozebrać się do naga i pojedynczo wchodzić do sztuby, a w drzwiach sprawdzano, czy ktoś czegoś nie przenosi w ręku lub w ustach. Gdy już wszyscy byliśmy w baraku, wtedy dopiero dokładnie rewidowano nasze ubranie. Co kilka minut wywoływano czyjś numer i szanowny numer dostawał bicie na gołe ciało za to, że pozwolił sobie mieć jeszcze coś w ubraniu. Mnie też dupa cierpła i już czułem, jak mnie biją, bo w ubraniu miałem schowany swój scyzoryk.** Scyzoryk miałem schowany w rozporku w spodniach. U góry rozporka przeciąłem kawałek podszewki i przez tę dziurkę wpuszczałem go niżej. Gdy pracowałem w kamieniołomach, zapytał mnie jeden z zastępców kapa, czy nie mam scyzoryka. Był to Heniek Dworzaczek z Warszawy – niezły chłopak, bo w zasadzie nie bił ludzi, których pilnował. Scyzoryk był mu do czegoś potrzebny, więc wyjąłem go z rozporka i podałem mu. Jak zobaczył taki śliczny scyzoryk – to zabrał mi go i już nie oddał. na moją prośbę, żeby go oddał, pogroził mi kijem i powiedział, że nie odda, bo scyzoryków mieć nie wolno. Dworzaczek wkrótce zachorował na gruźlicę, lecz go nie wykończono, bo sam zgodził się być „królikiem doświadczalnym" przy badaniu działania jakichś nowych leków przeciwgruźliczych. Żył jeszcze jakiś czas i miał prawo wychodzenia z rewiru na teren obozu. Całą twarz miał obsypaną krostami. Kiedy tylko go zobaczyłem,

witałem go zawsze koncertową wiązanką i przypominałem mu mój scyzoryk.

W tym też czasie, to jest od lutego do maja 1941 roku, wykończono wszystkich Żydów. Nie było ich dużo. Znałem wielu z nich, bo mieszkali oni na bloku czternastym w tym czasie, gdy i ja tam mieszkałem. Gdy już byłem na bloku trzydziestym drugim, wpadałem często na czternasty blok, żeby zobaczyć się ze znajomymi chłopakami. Raz, gdy tam byłem, trafiłem na moment, gdy jeden z więźniów Żydów, inżynier z zawodu, zwariował. Śmiał się jakimś histerycznym śmiechem, wykrzykiwał niezrozumiałe dla nikogo zdania, rwał sobie palcami twarz. Jak zawsze w takich przypadkach – wieczorem utopili go w beczce. Mimo że znałem go dobrze, patrząc na niego, nie czułem nic więcej prócz zwykłej ciekawości. do widoku wariatów i śmierci już tak się przyzwyczaiłem, że nie wywierało to na mnie żadnego wrażenia. A przecież znałem go dobrze, bo mieliśmy łóżka w pobliżu siebie i często z sobą rozmawialiśmy.

Żydzi pracowali przy wynoszeniu nieczystości z rewiru – bo wtedy na rewirze nie było ustępów. Były tylko rusztowania, pod którymi stały beczki, i te beczki wynosili Żydzi za obręb obozu i wylewali do wielkiego dołu. Wielu więźniów zazdrościło im tej pracy. W zasadzie nie widziało się wśród nich muzułmanów. Byli silni i zdrowi, bo na rewirze mieli możliwości organizowania jedzenia. Przecież tam codziennie wykańczano dużą ilość więźniów, a za zmarłych w ciągu dnia przez cały ten dzień fasowano jedzenie. Tylko że niejeden Żyd z tytułu swej pracy musiał zażywać kąpieli w dole z nieczystościami, wepchnięty tam przez kapów z dużym poczuciem humoru, którzy taką wesołą zabawą urozmaicali sobie czas.

Przyszedł wreszcie moment, że na czyjś rozkaz nastąpiło całkowite wykończenie Żydów. W Gusen nie było ich chyba więcej jak trzydziestu. Wykończono ich w ten sposób, że kąpali ich godzinami w zimnej wodzie. W końcu pozostał tylko jeden. Był to tragarz z Legionowa pod Warszawą – nieduży, krępy chłop, którego również znałem osobiście. Tego w żaden sposób nie mogli wykończyć. Nie wiem, dlaczego nie wykończono ich wtedy bardziej brutalnymi metodami, które stosowano później, jeszcze w roku 1941, jak

seryjne topienie w beczkach albo wymordowanie grupy ludzi w kamieniołomach w ciągu pół dnia. Tu – niby dbano o czystość i kąpano ich każdego dnia, aż wszyscy umarli „śmiercią naturalną". Jeden tylko tragarz nie chciał umrzeć. Nie pamiętam dokładnie daty tych wypadków, wiem jednak, że było wtedy jeszcze dobrze zimno – koniec marca lub początek kwietnia. Kąpali go po dwie godziny pod lodowatym prysznicem, a on po kąpieli spokojnie szedł do bloku i nic mu nie było. Po kilku dniach takich kąpieli pewnego dnia zniknął. Chłopaki mówili, że został odesłany z grupą więźniów do Mauthausen – a ja jestem pewien, że go po prostu w nocy utopili w beczce.

Widziałem kiedyś, jak się taka egzekucja odbywa. Gdy szedłem w nocy do ubikacji, zobaczyłem, że w umywalni świeci się słabe światło. Była to lampa naftowa, taka, jakich używa się do wozów konnych. Światła elektrycznego nie zapalili. Zajrzałem do środka przez górną szybkę w drzwiach. Pacjent stał nago, skulony w kącie, a dwóch osobników wiaderkami od marmolady napełniało beczkę wodą. Robili wszystko w całkowitej ciszy. Widocznie już dosyć było wody w beczce, bo po chwili złapali go, wrzucili głową do beczki, a sami trzymali go za nogi. Gdy go puścili, spokojnie wypalili papierosy, przewrócili beczkę i nieboszczyk jak śledź wypłynął razem z wodą, a ja wszedłem do ustępu, bo bałem się podglądać dłużej, żeby mnie nie zauważyli. Nigdy nie wiadomo, co by takim bydlakom wpadło do głowy. Nie trzeba było nawet żadnej winy, żeby być uśmierconym. Kiedyś muzułman, wyskakując z umywalni, wpadł na kapa i obydwaj się przewrócili w błoto. Kapo z wściekłości zbił go i skopał, w końcu wciągnął do umywalni, ściągnął z niego ubranie, postawił w kącie i tak długo lał wodą z węża, aż tamten nieborak upadł z osłabienia – a on i bez tej kąpieli ledwie trzymał się na nogach. Gdy już leżał, wtedy kapo wsadził go głową do beczki – i gotów.

Kapo – van Lozen czy van Loosen, diabli wiedzą, jak się pisał – największy bandyta w Gusen, któremu obliczali, że własnoręcznie uśmiercił powyżej pięciu tysięcy ludzi, potrafił topić nawet w wiaderku. Sam kiedyś podglądałem, jak w ten sposób w swojej szopie utopił człowieka. Miał on do swojej pomocy pomagierów –

Czecha i Hiszpana. Tego, co ja widziałem, topił z Czechem. „Pasażera” przełożyli przez ławkę, Czech siedział mu na plecach i wyłamywał ręce do tyłu, a Loosen spokojnie wpychał głowę do wiadra. No i faceta utopili.

A jak wyglądała normalna doba w obozie?

O godzinie piątej rano wstawanie – góra ściele łóżka, dół do umywalni, a następnie odwrotnie: góra do umywalni – dół ściele. do umywalni należało iść bez koszuli – bez względu na porę roku i na pogodę.

W umywalni stał „bydlak”, który tłumaczył tym, którzy przyszli w koszulach, że tego nie wolno robić. Mnie też kiedyś to tłumaczył – i od tamtego dnia żyję ze złamanym nosem, bo dostałem w mordę, a jak upadłem, to dostałem na dokładkę kilka razy butem w twarz. Nos nigdy się nie zrósł – no bo mu nie pozwolili. Co rusz znów dostałem po nosie, tak że teraz jeszcze, jak nim poruszę, to trzeszczą połamane chrząstki. Z umywalni wracało się mokrym na blok i wycieraliśmy się ręcznikami, których kilkanaście wisiało w sztubie na sznurku. Kilkanaście na kilkaset osób i właściwie nie były to nawet ręczniki, tylko kwadratowe cienkie ściereczki, jakie w Dachau otrzymywaliśmy do wycierania misek. Mydła otrzymywaliśmy – raz na długi czas – kawałeczek lub pół kawałeczka „gliny”, która wcale się nie mydliła. A zmianę bielizny raz na trzy–cztery miesiące. W następnych latach częściej – raz na sześć tygodni. Po myciu przeważnie kontrola łóżek i odręczna wypłata tym, którzy źle łóżka posłali. Po „wypłacie” – wszyscy na sztubę i wydawanie zupki, której otrzymywaliśmy troszeczkę więcej niż ćwierć litra. Powinno być pół litra, ale co by wtedy jedli wszyscy prominenci, blokowi, ich pomagierzy i inne małe pieski, które były na usługach władz.

Na dworze wypijało się tych kilka łyków zupy i bez względu na pogodę czekaliśmy na dworze na apel. Gdy padał deszcz, szczęście było, gdy „bydlak” pozwolił wejść ludziom do ustępu i umywalni, bo przeważnie je zamykał, musiał zrobić tam porządek przed wyjściem

na apel. Gdy jednak wpuścił, staliśmy tam w niesamowitym ścisku aż do sygnału ustawienia się do apelu. Przy ustawianiu się w dziesiątki ciągłe walenie – w twarz, brzuch lub w plecy – zależnie od tego, z której strony przechodził jeden z tych, którzy nas ustawiali. Po zakończeniu apelu komenda: „Ustawiać się grupami roboczymi!", i… dom wariatów. Wszyscy kapowie bili kijami każdego, kto nawinął się pod rękę, wszystko przy piekielnym wrzasku. Wymarsz do roboty następował zawsze dopiero wtedy, gdy już zrobiło się zupełnie widno albo też opadła mgła – ze względu na możliwość ucieczki więźniów. Dlatego praca zimą trwała dużo krócej niż latem.

Gdy już byliśmy na terenie pracy, znów ta sama komenda: „Ustawiać się grupami roboczymi!", i znów taki sam bałagan i bicie jak na placu apelowym. W południe wymarsz do obozu i apel południowy – wszystko tak samo jak rano – bicie i ustawianie. Po obiedzie ustawianie się do pracy – i tu już bez bicia, bo ludzie wychodzili na plac stopniowo i przyłączali się do różnych grup roboczych. Po wyjściu do pracy znów wszystko jak rano i znów apel wieczorny – jak każdy.

Po apelu wydawano nam zupę na dworze. Między blokami ustawiano kotły i miski i każdy, kto otrzymał zupę, przechodził na drugą stronę kotłów – a za wszystkimi szedł jeden, który pilnował, żeby ktoś nie dołączył się z tyłu. Mógł dołączyć się ktoś z innego bloku albo z tego samego, jeśli okrążył blok wkoło. Jak takiego złapali, to już był z niego „klops". U nas było mniej misek jak ludzi, to ci, co otrzymali pierwsi, musieli błyskawicznie jeść gorącą zupę, bo gdy miski skończyły się, zabierano je tym, co jedli, nie patrząc na to, czy już zjedli, czy też nie. **A ja musiałem to robić każdego dnia, żeby szybko dostać się do B. po drugą zupę. Starałem się, by być zawsze na początku kolumny po jedzenie. Z miską szedłem prawie pod same druty, na róg naszego baraku. W pewnej chwili znikałem za rogiem i po chodniku biegnącym wzdłuż baraku przy linii drutów biegłem na blok pierwszy.**

Ironia losu. Blok pierwszy był pierwszy od lewej strony od placu apelowego, a mój trzydziesty drugi ostatni po prawej w końcu obozu. Gdy byłem już przy bloku pierwszym, czekałem, aż mi Heniek wyniesie zupę. Niejeden raz dostałem jeszcze od innych znajomych prominentów

z tego bloku. Stałem zawsze już z czysto umytą miską. Później już nie czekałem przed blokiem pierwszym, lecz podchodziłem pod okno i Heniek podawał mi zupę, a ja jemu czystą miskę.

Gdy w obozie zorganizowano stałe grupy robocze i dokładną kontrolę w bramie, apele odbywały się dwa razy dziennie, a jedzenie przywożono do pracy, a jeszcze później był tylko jeden apel wieczorowy, i to tylko dla tych, którzy byli w obozie, to znaczy władz blokowych, nocnych zmian pracujących w przemyśle zbrojeniowym i markierantów, do których w tym czasie i ja należałem. A generalny apel wszystkich więźniów odbywał się tylko raz w tygodniu, w niedzielę, w południe. Dużo wysiłku i próśb kosztowało mnie, by B. zgodził się zostawiać dla mnie zupę do wieczora, bo jego grupa zawsze wchodziła w południe do obozu na obiad. Miskę z zupą trzymał pod łóżkiem, a wieczorem mi dawał. Gdy niejeden raz z powodu jakiegoś bałaganu trzymano nas do późnej nocy na placu, zawsze pierwszą rzeczą po rozpuszczeniu nas na bloki było u mnie odebranie zupy od Heńka, a jeśli mi się to już nie udało, to pędziłem rano zaraz po sygnale na wstawanie. Przy głodzie, który znosiłem, ciężką stratą byłaby utrata miski zupy.

Ale rzadko szliśmy po apelu spokojnie na bloki i od razu dostawaliśmy kolację. Bo – jak wspominałem już – godzinami „uczono" nas maszerować na placu apelowym lub odbywała się nauka zdejmowania czapek, słania łóżek, mycia naczyń, szukanie wszy w kocach i w ubraniu, gimnastyka na bloku, to znów mycie albo rewizje osobiste lub w siennikach. Wszystko to było zawsze połączone z biciem kijami w mordę, w dupę i gdzie popadło.

Gdy już byliśmy w łóżkach – nowa zabawa. Z kapówki wychodził blokowy albo sztubowy z kapami i komenda: „Wystawić nogi spod koców!". Sprawdzali czystość nóg. Wiedząc o ciągłych kontrolach nóg, każdy mył nogi przed spaniem, jeśli na to pozwolił czas, ale wystarczyło włożyć buty tylko na czas powrotu do bloku, a już na nogach pozostawał pewien ślad. Przed wejściem do łóżek jeszcze stopy wycierało się ślinami, a mimo to przy kontroli wielu musiało pędzić do umywalni, by jeszcze raz umyć nogi. Gdy ktoś miał brudne nogi, dostawał kilka razy w twarz, kopniaka i jazda myć nogi. Wesoła komedia, bo do umywalni wyganiali tylko w koszuli i… boso. Trzeba było umyć nogi i przyjść na blok, a tu już drugi raz nikt nie

sprawdzał. Pamiętam, jak raz wygnano mnie biciem tak szybko, że nie zdążyłem złapać butów. Okazało się, że wszyscy wygnani do mycia byli boso – a na dworze było błoto po kostki. Prawidłowo umyłem nogi – a jakże – i przyszedłem do bloku z nogami umazanymi do kostek w błocie. I tak wlazłem do łóżka. W tym czasie kontrola trwała dalej i ci, co kontrolowali, widzieli, że z nogami w błocie wchodziliśmy do łóżek.

W nocy też nie było spokoju. Albo bili tych, co wychodzili do ustępu, albo tych, co sikali po drodze do ustępu, albo też wykonywali egzekucje na tych, którzy w ciemności nieraz przez pomyłkę wleźli w drzwi kapówki zamiast do sieni – a drzwi były jedne przy drugich. Takich „przestępców" uśmiercano zaraz w nocy dla przykładu dla innych, żeby nie „wchodzili kraść" do kapówki. Wieszali ich na belce za ręce związane z tyłu i bili. Zdejmowali z belki i dalej bili, tak że kołki się łamały i człowiek taki do rana był gotów do krematorium. Widziałem wiele takich egzekucji, ale ponieważ to nie ja wisiałem na belce ani nie ja byłem bity, to tylko martwiłem się, że się do rana nie wyśpię, a tu jutro znów całodzienna zabawa. Gdy sąsiad zapytał mnie kiedyś, za co tamtego biją, to mu odpowiedziałem, że nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. „Daj mi spokój", powiedziałem ze złością, „spać mi się chce, a nie dadzą usnąć". Mówiąc to, przykryłem się kocami na głowę i za chwilę już spałem. A egzekucja trwała dalej, bo rano w ustępie widziałem trupa.

Po nocy, w czasie której na dodatek gryzły pchły i wszy i kilka razy trzeba było wstawać do ustępu, następował znów dzień taki jak każdy. Człowiek nigdy nie wiedział, czy za godzinę będzie jeszcze żył. Umęczony ciężką pracą, bity, głodny, jedzony przez wszy, pchły, mendy, toczony przez liszaje, wrzody i świerzb – to właśnie ja, tysiące takich samych jak ja, a w tych tysiącach jednostki, którym życie w obozie ułożyło się inaczej.

W pierwszych dniach maja dowiedzieliśmy się, że w najbliższą niedzielę będą gazowane bloki, żeby wytępić wszy i pchły. O godzinie czwartej w nocy obudzili nas i wypędzili nago na plac apelowy.

Pisałem już o austriackiej pogodzie. Teraz było tak samo. W pierwszych dniach maja w nocy był szron na dachach, a w dzień już wielkie upały. Ludzie na placu apelowym zbili się w duże grupy, tak że ściśle przylegali do siebie. Najgorzej mieli ci, co stali z brzegu. Był to ciągły magiel, bo ci z brzegu chcieli dostać się do środka, a ci ze środka trzymali się, żeby nie dać się wypchnąć na brzeg. Rano zrobiło się już ciepło i można było chodzić luzem. Ale teraz znowu zrobiło się gorąco, a na placu ani kawałka miejsca z cieniem dla takich jak ja i tysięcy podobnych do mnie muzułmanów, bo gdzie był cień, to miejsce takie było zajęte przez najważniejszych prominentów. Gdy słońce zaszło, znów zrobiło się zimno. W nocy – szron na dachach, a my wciąż staliśmy na placu, bez jedzenia, bez kropli wody, raz na zimnie, to znów słońcu i znów w zimnie. W pobliżu jednego baraku zrobiono szczalnik. Lano po prostu na ziemię i zrobiła się tam olbrzymia kałuża. Inną potrzebę załatwiano do dwóch dużych beczek, nad którymi było odpowiednie rusztowanie. Muzułmani nie potrzebowali z tego korzystać, bo potrzebę tę załatwiało się normalnie raz na trzy–cztery dni i to ledwie dawało się radę. Stękało się przy tym jak przy porodzie, a tym, co się wreszcie urodziło, to prawie można by było jak kijem drugiemu rozbić głowę.

Staliśmy od godziny czwartej rano do ósmej rano następnego dnia. Siedzieć nie było można, bo plac apelowy pokryty był z wierzchu drobnym szutrem, to jest ostrym mielonym kamieniem, który wbijał nam się w nasze chude tyłki. Najbardziej cierpieli chorzy z rewiru, których wyniesiono na plac apelowy w prześcieradłach. Dawało to pewną ochronę przed zimnem w nocy i przed słońcem w dzień, ale kamienie wciskały im się w ciało przez prześcieradło tak samo, jak i nam bez prześcieradeł. My mogliśmy kucnąć, usiąść na własnych rękach, stać albo chodzić, a ci ludzie leżeli w jednym miejscu przez tyle godzin bez jedzenia, picia i bez żadnej pomocy, bo przecież przez cały ten czas nikt się nimi nie interesował. Dopiero chyba o godzinie trzynastej czy czternastej wpuszczono do bloków gaz, a uliczki wysypano chlorem.

Przed zachodem słońca otworzyli w barakach drzwi i okna – koniec gazowania. Pewnie za godzinę, dwie puszczą na bloki. Już widać, jak

blokowi i kapowie idą na swe bloki i przez okna wyjmują swoje ubrania. To samo robią prominenci z bloku pierwszego i drugiego – ale oto pędzą do okien w pierwszym rzędzie baraków inni, „normalni" więźniowie i… dom wariatów. Esesmani, blokowi i kapowie, już ubrani i z kijami, z krzykiem i biciem wypędzili wszystkich na plac apelowy… i trzymali do godziny ósmej rano. Ubranie udało się złapać tylko nielicznym, którzy mogli sięgnąć po nie oknem, i tylko z pierwszego rzędu baraków.

Ja też polowałem na możliwość wyrwania się po ubranie. Po długim lawirowaniu dotarłem w końcu niezauważony przez nikogo do swego trzydziestego drugiego bloku. Chciałem wejść wolno do sztuby, lecz poczułem zapach gazu, więc cofnąłem się, nabrałem w płuca powietrza i biegłem do swego łóżka, które, jak już zaznaczyłem, znajdowało się w połowie sztuby. Złapałem ubranie z łóżka, buty spod łóżka i z powrotem do drzwi. Już blisko drzwi zabrakło mi oddechu i wciągnąłem w siebie zatrute powietrze. Zakręciło mi się w głowie, lecz w następnej chwili byłem już na świeżym powietrzu. Schowałem się za stopnie prowadzące do bloku i spokojnie ubrałem się. Będąc w ubraniu, zacząłem plątać się przy tych, którzy też byli w ubraniu. Wkrótce zrobiło się ciemno. Ci, co byli nago, znów pozbijali się w gromady jak owce – a ja bawiłem się w chowanego z esesmanami, którzy chodzili po placu, łapali i bili tych, którzy byli ubrani. Zdjąłem z siebie koszulę i zaniosłem Kornackiemu, który później mówił, że nigdy nie myślał, że koszula może być taka ciepła. Znalazłem sobie odpowiednie miejsce, gdzie leżało na ziemi kilku ubranych. Wcisnąłem się między nich i po prostu spałem, a jak zdrętwiałem, to pochodziłem trochę po placu i znów kładłem się.

W nocy poczułem się trochę nieklawo – jakiś szum w głowie, mdłości, czułem się cały tak jakoś mętnie. Wreszcie doszedłem, co mi jest. W kieszeni miałem tytoń z pokrojonego kawałka cygara, które dostałem od któregoś prominenta, i kilka razy paliłem go w papierze, który też przeszedł gazowanie w mojej kieszeni. Po prostu zaciągałem się dymem z tytoniu przesyconego gazem. do rana już nie paliłem i głupie uczucie przeszło. Rano, po wydaniu śniadania, pozwolono nam położyć się do łóżek i – o ironio! – co

godzinę spędzano nas i sprawdzano, czy kto nie zatruł się gazem. Tak to dbali o nasze życie i zdrowie.

O godzinie jedenastej wygnali nas wszystkich z powrotem na plac apelowy, który w międzyczasie posypali grubo chlorem czy też jakimś innym białym proszkiem. Wygnano nas z miskami i na placu wydano nam wczesny obiad. Szpinak czy jakieś inne zielsko. Tego dnia pobiłem rekord życiowy w żarciu: od godziny jedenastej do czternastej trzydzieści zjadłem jedenaście i pół miski tej nadkwaszonej zupy. W misce mieściło się półtora litra. Wrąbałem jedenaście i pół miski, tak że czułem żarcie w gardle i… byłem głodny. Był to obiad za niedzielę, a o godzinie trzynastej trzydzieści zaczęli wydawać takie samo żarcie, tylko że był to już obiad poniedziałkowy. Wieczorem dopiero wydali nam chleb.

Tak więc skończyło się pierwsze gazowanie w obozie i od następnego dnia zaczęło się znów „normalne" życie – przyjemniejsze o tyle, że już nie gryzły pchły i wszy. Gdy jeszcze wkrótce zlikwidowano świerzb, a ja swój liszaj, ranę od odmrożenia na palcu i wrzody też mniej dokuczały – to już była duża ulga w tym zwariowanym codziennym „życiu".

W kilka dni po gazowaniu – trzynastego maja 1941 roku – w czasie wieczornego apelu przyjechał do naszego obozu Ziereis – komendant wszystkich obozów w Austrii. Urzędował on stale w Mauthausen. Po skończonym apelu wlazł na podwyższenie, na którym komendant odbierał raporty. Mówię „wlazł", bo był on na cacy pijany, i przemówił do nas w ten sposób:

– Świńskie psy, narodzie wyklęty przez Boga… – to do nas, do Polaków, bo wtedy w obozie było tylko kilkuset Niemców i Hiszpanów, kilkudziesięciu Czechów i reszta sami Polacy. A więc: – Świńskie psy, narodzie wyklęty przez Boga! Chodzę po terenie i widzę, że nikt nie chce pracować, nie ma tempa pracy. Jak nie będziecie pracowali, to odbiorę żarcie i w dwa tygodnie wszyscy wyzdychacie. Czy ta kupa gnoju zrozumiała?

– Tak jest! – wrzasnęliśmy.

– Psi narodzie, wyklęty przez Boga, czapki zdjąć!

Wszyscy zdjęliśmy czapki. No, trzeba było widzieć to, co się działo w ciągu kilku następnych dni. na drugi dzień wyszli z kołkami do pracy wszyscy blokowi, sztubowi i wszyscy wolni od służby esesmani. Mordownia – ludzi mordowano masowo. Z grupy pięćdziesięciu więźniów pracujących przy układaniu nawierzchni przy barakach SS żaden nie wszedł o własnych siłach do obozu; było tam wielu nieboszczyków, a reszta ciężko poranieni. Ja uniknąłem tej masakry, bo, jak zaznaczyłem, pracowałem wtedy przy budowie torów kolejowych. Przy tej robocie szaleli tylko nasi kapowie: Niemiec Kepke i Polacy – Stanisław Kołeczko, sierżant z Poznania, i Bronisław Ott, dozorca więzienny z Turka koło Kalisza, oraz cała sfora ich zastępców i pomagierów skorych do bicia. Była to najgorsza grupa robocza, w jakiej przyszło mi pracować przez czas dłuższy. Nie mówię tu na przykład o „piekiełku" – gdzie było gorzej – ale to nie była praca, tylko mordownia, i tam co pół dnia zmieniali ludzi.

W grupie budującej linię kolejową pracowało sto pięćdziesiąt osób, a każdego tygodnia ubywało około pięćdziesięciu ludzi i na ich miejsce przychodzili inni. Ci, co ubyli, to ludzie, którzy „umarli" w pracy, na bloku albo jak który miał więcej szczęścia, to szedł umierać na rewir.

Z naszego bloku wydzielono sto pięćdziesiąt osób do pracy przy budowie linii kolejowej. Nie brano tylko takich, którzy mieli stały przydział pracy i w dodatku wykonywali pracę fachową, jak na przykład kamieniarze, ślusarze, stolarze itp. Byłem nawet zadowolony z tego przydziału, bo to była praca poza obozem. na terenie obozu robiliśmy krótko, bo zakładaliśmy tylko końcowy odcinek torów – rampę kolejową. Potem poszliśmy za druty. Z początku pracowaliśmy tuż za obozem i stopniowo przesuwaliśmy się, w kierunku St. Georgen. Dopiero przy pracy okazało się, że jest to jedna z najgorszych grup roboczych. Dużo kapów, i to jeden gorszy od drugiego, z oberkapem Kołeczką na czele. Był tam jeden kapo – Cygan niemiecki – potężny chłop, który był razem ze mną jeszcze w Dachau w karnej kompanii. Lecz tam był jednym z tych, którzy byli traktowani na równi z Żydami, tu od razu został kapem. Chodził ten bydlak z grubym gumowym kablem i bez przerwy bił. Bił

i cieszył się, gdy bity człowiek wyginał się i robił z bólu głupie miny. Uśmiechał się i po każdym uderzeniu pytał: – Boli? – mówiąc to słowo po polsku.

Mnie też dostało się od niego wiele razy, ale gdy zauważyłem, że bije on według swego widzimisię, a nie za wykroczenia czy lenistwo przy pracy – to robiłem tylko wtedy, gdy stał nad nami, gdy na nas patrzył. Ten z kablem to był tylko pomocnikiem kapa, a właściwym kapem naszego odcinka był Niemiec Kepke. W zasadzie to nawet nie był zły chłop. Wściekał się tylko wtedy, gdy widział w pobliżu esesmana, popisywał się wówczas, jaki z niego dobry kapo.

Niebezpieczny był naprawdę, gdy wpadł we wściekłość. Wtedy źle było z takim, który wpadł mu w ręce. Walnął kołkiem w głowę – i koniec. Sadystą nie był, nie maltretował, nie znęcał się – po prostu uderzył raz, ale dobrze, że więzień długo już się nie męczył. Unikałem go, jak mogłem – zapobiegawczo, żebym mu się nie rzucał w oczy; wolałem, żeby nie znał mnie nawet z widzenia. Raz to tylko mojej spostrzegawczości zawdzięczam, że mnie nie uśmiercił. W żadnym momencie, nigdy i nigdzie nie zapominałem, że należy się rozglądać we wszystkich kierunkach, żeby na czas zauważyć zbliżające się niebezpieczeństwo. Tak było i wtedy. Było nas pięciu przy wózku z ziemią, który spadł nam z toru. Wtedy jeszcze nie miałem wprawy, bo w dalszych latach to taki wózek sam jeden potrafiłem postawić na torze. Wszyscy podsadziliśmy się pod wózek i wołaliśmy:

– O-o-o-o-o-op! O-o-o-o-o-op!

A wózek stał w miejscu i nawet nie drgnął, bo każdy patrzył, żeby inni się wysilali. Ja też krzyczałem „O-o-o-o-o-op!", ale przy okazji rozglądałem się i zobaczyłem, że z odległej o pięćdziesiąt metrów budy wyskoczył Kepke z krótkim ostrym szpadlem w ręku. Widocznie obserwował nas przez okienko i już się wściekł. od razu dałem nura pod wózek i niby staram się podnieść wózek, ciągnąc go od dołu. Nad sobą posłyszałem zamieszanie, ktoś upadł, poczułem coś mokrego – a gdy wylazłem spod wózka, to cały byłem obryzgany krwią, a obok leżało dwóch, których przed chwilą Kepke zabił. Jeden dostał łopatą w głowę, drugi w szyję – a jemu już złość minęła. **Przyniósł długi drąg, na torze w poprzek położył grubą belkę, jeden**

koniec drąga podłożył pod tył wózka, drugi koniec przycisnął, przesunął w bok i wózek już jedną stroną stał na torze. Tę samą operację powtórzył po drugiej stronie i sam jeden postawił wózek naładowany ziemią na torze, a my w tym czasie staliśmy obok i przyglądaliśmy się jego robocie. Gdy już go ustawił, zawołał dwóch nowych, których przydzielił do naszego wózka, a sam spokojnie poszedł do swojej budy.

Innym razem wlał mi zupełnie na zimno. Dużą grupą nieśliśmy na ramionach ciężki odcinek toru kolejowego razem z podkładami. W grupie tej byli prawie sami Hiszpanie, którzy mają to do siebie, że są niskiego wzrostu. Ja mam sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, więc niosąc, nie mogłem iść wyprostowany, a jeśli już szedłem lekko schylony, to mogłem schylić się jeszcze niżej, tak że ramieniem ściśle przylegałem do podkładu, ale go nie dźwigałem. Z tyłu ktoś co chwila kopał mnie w tyłek, na którym miałem kilka wrzodów. Nie mogłem obejrzeć się do tyłu, więc tylko zawołałem:

– Co to za sukinsyn mnie kopie?

– To jeden Arab – odezwał się ktoś z tyłu po polsku – jak staniemy, to ci go pokażę.

Gdy w czasie chwilowego odpoczynku pokazał mi go, podszedłem spokojnie, strzeliłem go łbem i wybiłem mu tym uderzeniem dwa zęby. Widząc, że nic nie mówi, odszedłem. Gdy przeszedłem kilka kroków, ktoś wrzasnął ostrzegawczo z tyłu: „Eee!”. Automatycznie, nie oglądając się, zrobiłem skok w bok, a w tym miejscu, gdzie stałem przed momentem, Hiszpan wbił łopatkę w ziemię. Uderzenie przeznaczone było dla mojej głowy i wyskoczyłem mu formalnie spod łopaty. Zabiłby mnie na miejscu, tak jak Kepke tych przy wózku. Dałem mu wtedy jeszcze kilka dobrych trafnych i… Kepke stoi przy nas i pyta, o co nam chodzi. Hiszpan nie umiał po niemiecku i ja też nie, więc Kepke zabrał nas do swojej budy; Hiszpana wprowadził do środka, a mnie zostawił przed otwartymi drzwiami. Kazał mu się położyć przez stołek i grubym kwadratowym kijem wtłoczył mu dziesięć uderzeń w tyłek. Ten ryczał, jakby go kto zarzynał, a mnie tylko przeszły ciarki po tyłku i grzbiecie, bo pomyślałem o swoich wrzodach. Hiszpana wygnał, zawołał mnie, dostałem taką samą porcję. Potrzaskał mi wszystkie wrzody, ale nawet nie pisnąłem.

Do bicia można się przyzwyczaić, tak że nie robi już żadnego wrażenia, a ból przestaje być bólem. Nie mogłem tylko przewidzieć, gdzie, kiedy, od kogo i za co otrzymam uderzenie, które mnie uśmierci – wszystkie inne uderzenia to drobiazg, coś, co było nierozłącznie związane z codziennym życiem. Nieraz ktoś chwalił się, że miał bardzo dobry dzień, bo przez cały dzień oberwał tylko cztery razy kijem.

Gdy już z robotą odeszliśmy trochę od obozu, przyszło mi pracować nad regulacją rowu w pobliżu obozu, główna grupa robiła już w pobliżu szosy. Musieli wkopać się głęboko w ziemię, żeby zrobić przekop dla torów, bo przy szosie była kilkunastometrowej wysokości góra, która brzegiem swym ostro kończyła się przy szosie. Praca przy rowie była lepsza jak inne, bo było nas tam tylko kilku i nie mieliśmy nad sobą kapa. Brzegi rowu kopaliśmy wolno. Oszczędzaliśmy dobrą pracę.

Drugą dobrą stroną tej pracy był żywokost, który rósł nad rowem. Po wydobyciu łopatą ziemi patrzyliśmy, czy nie ma żywokostu. Gdy był, płukaliśmy go w rowie i jedliśmy. Koledzy mówili, że żywokost jest bardzo zdrowy, dla mnie było to po prostu coś, co można zjeść. Jadłem tam też mlecz – takie zielsko, nazywają je też dmuchawcem – gorzkie, ale zupełnie dobre do jedzenia. Jadłem też lebiodę – inni nazywali to komosą; były to spore krzaki, ale ja zrywałem tylko czubki i tak jak żywokost czy dmuchawiec żarłem na surowo. Narwane zielsko ładowałem do kieszeni i co pewien czas, gdy w pobliżu nie było esesmana lub kapa, w kieszeni oddzielałem kilka liści, które skręcałem w kulkę i niepostrzeżenie wkładałem ją do ust.

Z jedzeniem tych zielsk najbardziej trzeba było pilnować się, żeby nie zobaczył Ott, bo ten cholernie za to bił. Raz znalazłem na ziemi kilka kłosów żyta, które biegnąc, podniosłem, wykruszyłem i kilka ziarnek włożyłem w usta. Gdy przebiegałem koło Bronka Otta, ten krzyknął, wołając mnie. Gdy podszedłem, szczeknął:

– Co żresz?

– Żyto – odpowiedziałem i pokazałem mu kilka ziarnek, które miałem jeszcze w ręku.

Jak on mnie wtedy zbił, skopał, sponiewierał. Nie wiem, jak to się stało, że mnie nie wykończył.

Ott bił na zimno, z przyjemnością. Był wypadek, że posterunek SS chciał do niego strzelać, widząc, jak morduje człowieka – zdążył tylko skoczyć za kupę ziemi. Był młody, silny, zgrabny i przystojny. Musiał zabijać. Raz zabił swego kolegę, którego długi już czas żywił, za to, że otrzymaną od niego zupę sprzedawał na „giełdzie" za papierosy.

Raz, gdy już staliśmy w szeregu przed powrotem do obozu, nie wiedząc, że Bronek liczy, poruszyłem głową. Jak mnie trzepnął równocześnie w szczękę i w żołądek, to od razu skręciłem się na ziemi bez oddechu. Później zapytałem go:

– Bronek, dlaczego ty tak ludzi bijesz?

– Nauczyłem się bić i mnie to przyjemność sprawia – odpowiedział – bo jak nie będę bił, to nie będę kapem i mnie będą bili. A ja chcę jeszcze przeżyć i do domu wrócić.

– Ale jak wrócisz, to ci życie na wolności będzie bardziej miłe jak w obozie. A czy nie pomyślałeś sobie, że może stanąć przed tobą jakiś mściwy typ z rurą w łapie i powie ci: Przypomnij sobie! I ci w łeb wykopci?

– Co – straszysz mnie? – zapytał.

– Co ja ciebie mogę straszyć – przecież ja jestem muzułman i może już za miesiąc zdechnę. Ot, tak tylko sobie powiedziałem.

Następnego dnia w południe zawołał mnie po dolewkę.

– Nie chcę – odpowiedziałem.

– Chodź, bierz! – szczeknął.

Będzie bił, pomyślałem i wziąłem, ale usiadłem na ziemi i nie jem, tylko czekam, żeby komu oddać – to miała być taka moja złośliwość.

– Żryj! – wrzasnął.

Oho, już teraz nieklawo – i szybko zjadłem, a on w tym czasie, gdy jadłem, mówił w obecności wszystkich:

– Ty nie myśl, że się ciebie boję. A dałem ci dlatego, że jesteś pierwszy, który tak do mnie powiedział. Bo ci wszyscy to tylko – Bronuś, Broneczku, Bronuś, Broneczku – ale ja i tak wiem, co te skurwysyny sobie myślą.

W dniu wyzwolenia Bronisław Ott został przez więźniów zabity.

Obiady w tym czasie były strasznie głodne. Przez przeszło dwa miesiące dostawaliśmy liście sałaty rozgotowane w wodzie, bez odrobiny tłuszczu, bez soli i bez kartofli – bo w obozie zabrakło dla nas kartofli. Po otrzymaniu porcji obiadowej przytrzymywałem łyżką liście i z miski wypijałem wodę, a później zjadałem cztery–pięć łyżek sałaty – nie więcej. I takie to jedzenie dawali nam bez przerwy i bez żadnej zmiany przeszło dwa miesiące. Tu już nic nie pomagała miska „zupy", którą wieczorem dostawałem od Heńka B. – no, były to zawsze jednak dwie miski dziennie, a nie jedna. Dlatego też jadłem dmuchawiec, lebiodę, szczaw i żywokost. Po południu wydawali nam po pół garnuszka kawy. Jak już rozdali kawę, to często dostałem od nich miskę fusów – fusy to też żarcie.

Raz wlazłem do budy kapów. Wiedziałem, że oni gotują sobie żarcie. Buda była już całkowicie pusta, ale znając metody, szukałem ruchomej deski w podłodze – i znalazłem. pod podłogą znalazłem łupiny od surowych kartofli i kilka małych kartofli. Schowałem to do kieszeni i później po trochu zjadałem.

W pewnym miejscu tor kolejki przechodził przez pole kartoflane. Nać wystawała na kilkanaście centymetrów ponad ziemią. Pracowaliśmy boso. Pchaliśmy jeden wózek z Cerakiem. W pobliżu toru kartofle już były wyrwane, ale my ryzykowaliśmy, odchodziliśmy kilka metrów w bok od wózka i tam bosą nogą chwytałem nać, wyrywałem i znów do wózka. Wrzucałem do wózka nać, a pół kartofla, który był do niej przyczepiony, chowałem do kieszeni. Zjadaliśmy go z łupiną, bo nie było czasu obierać i szkoda było łupiny. Wystarczyło, że kartofel wytarło się o spodnie.

Kartofle trzeba było rwać z wielką ostrożnością, bo tor z obydwóch stron obsadzony był posterunkami SS, które obserwowały nas, siedząc na wysokich stołkach w odległości dwudziestu metrów od toru. Tu już nie groziło bicie, a zabicie – bo jak się posterunkowi coś nie podobało, to wołał więźnia do siebie i strzałem z karabinu zabijał go za „próbę ucieczki".

Mnie taki baran wołał kiedyś do siebie. Udawałem, że nie słyszę i nie rozumiem, o co mu chodzi. Dopiero inny więzień wykręcił mnie twarzą w jego stronę i mówi, że mnie esesman woła.

– To idź ty sam – powiedziałem mu – mnie jeszcze nie spieszy się do nieba.

Wtedy i on połapał się, czym to może grozić. Esesman kazał tamtemu sprawdzić, co ja mam w ustach – a ja miałem prymkę, tytoń do żucia. Gdy ten drugi odpowiedział, że to tylko prymka – kazał mi podejść, żeby sam mógł zobaczyć. Nie podszedłem. od razu jedni drugim powiedzieli, że ten esesman ma dzisiaj chęć kogoś zastrzelić, i wszyscy pilnowali się, żeby nie podchodzić za blisko do niego.

Dużo dmuchawca rosło przy szosie, na naszej trasie, gdy szliśmy do pracy. Codziennie rano i wieczorem starałem się narwać kilka kępek. Niejeden raz dostałem solidnego kopniaka albo karabinem od esesmana idącego obok, ale przeważnie udawało mi się. Gdy urwałem rano, to stawałem w jakiejś kałuży wypłukać z grubej warstwy kurzu i zjeść, a jeśli wieczorem, to już ładnie płukałem w umywalni i jadłem z chlebem na kolację.

Nie wszyscy esesmani bili. Raz przydarzyło mi się, gdy byliśmy już ustawieni do wymarszu z placu, że stojący obok mnie esesman – starszy człowiek – jadł cukierki. W pewnej chwili włożył mi do kieszeni kilka cukierków, które zjadłem dopiero w obozie. Gdy robiliśmy przy szosie, każdego rana, gdy tylko rozeszliśmy się do pracy, szukaliśmy wśród podkładów, taczek, łopat i w innych zakamarkach paczek z jedzeniem, które wieczorem lub w nocy podkładała tam miejscowa ludność. Paczuszki nie były duże, ale było ich dość dużo. Przeważnie dwa kawałki chleba z czymś w środku – masło, ser, miód, smalec, wędlina. Mam wrażenie, że nie wszyscy wiedzieli o paczkach, bo większość od razu szła do roboty, a tylko nieduża grupa węszyła – ostrożnie, żeby kapowie nie połapali się, co tam można znaleźć.

Gdy raz kapo Kołeczko bił kołkiem więźnia w pobliżu szosy, jakiś cywilny staruszek, który przechodził szosą, zaczął kapowi wymyślać. Krzyczał, groził laską – że jak on może człowieka kijem bić. Wtedy kapowie otrzymali polecenie, żeby nie bić przy szosie. Jak chciał który komu wlać, to prowadził do budy albo za kupę ziemi i tam dopiero bił. Nie wiem, czy to było gorsze czy lepsze dla nas, bo wtedy nie było przypadkowego bicia, gdzie dostało się dwa–trzy razy

kijem, ale za to jak się dostało w szopie, to już na fest. Ja w szopie dostałem jeden tylko raz, ale tak dokładnie, że myślałem, że to już koniec ze mną.

A było to tak:

Gdy razem z innymi pracowałem w pobliżu szosy przy przekopywaniu góry, natrafiliśmy – na sporej już głębokości – na jakiś pogański cmentarz. Były to urny obłożone dużymi kamieniami. W ziemi nie było najmniejszego kamienia, więc jak pod łopatą poczuło się kamień, wiadomo było, że tam jest urna. Naszym kierownikiem grupy był esesman, który miał kota w głowie na punkcie urn i ja nazwałem go „śmieciarzem". Pracowałem wtedy przy ładowaniu wózków ziemią. Gdy odkryłem pierwszą urnę, delikatnie poodsuwałem kamienie i gdy była już częściowo odkryta, zobaczył to nasz esesman. od razu odsunął wszystkich z tego miejsca, powbijał wkoło kołeczki, które połączył sznurkiem, i powiedział, żeby nie wchodzić za sznurek i nic tu nie dotykać. A sam gdzieś sobie poszedł.

– Ale „śmieciarz"… jego mać – mówię do chłopaków. – Czekajcie, ja mu na to naszczę.

Co powiedziałem, to zrobiłem i gdy byłem w największym natchnieniu, „śmieciarz" wyskoczył zza kupy ziemi i złapał mnie. Nie uderzył mnie – tylko zawołał Kołeczkę i kazał mi wlać. A Kołeczko – żeby go nikt nie posądził o niechętne wykonywanie rozkazów – wlał mi tak, że długo miałem to bicie w pamięci. Bił mnie grubym drewnianym słupkiem, a walił z wierzchu, gdzie popadło. Chowałem tylko głowę, bo gdyby jedno z tych uderzeń, które otrzymałem, spadło na głowę, to już nie miałbym innych przeżyć prócz ostatniego – krematorium. Myślałem, że mi połamał kości, ale w miejscach uderzeń miałem tylko sińce o różnych odcieniach. **To wcale nie zniechęciło mnie do urn i za to, co później robiłem z urnami, „śmieciarz" kazałby mnie na pewno zabić. Znalazłem jeszcze kilka urn, ale ode mnie więcej urny nie dostali. Jak trafiłem na kamienie, rozwalałem wszystko, szybko ładowałem na wózek i jazda na wysypisko. Kiedyś, gdy nikogo nie było w pobliżu, zainteresowało mnie, co też może być w takim garnku glinianym. Odsłoniłem ładnie jedną urnę, była zupełnie mała, jakieś dwa litry pojemności. Ostrożnie rozbiłem skorupę i zacząłem**

grzebać w zawartości. Była tam ziemia, która prawdopodobnie była starymi prochami zmarłego. Były jakieś drobiazgi, ale rozlatywały się przy dotknięciu. Wreszcie uderzyłem solidnie, wszystko się rozleciało i wtedy znalazłem w całości zachowaną szpilkę i bransoletkę, były koloru ziemi, jakby rdzy – i lekkie. Szpilka miała chyba osiem centymetrów długości z główką, którą można by porównać z kształtem głowy węża. Gdy ścisnąłem troszeczkę mocniej, szpilka rozprysnęła się na kilkanaście kawałków. To samo zrobiłem z bransoletką – po tym wszystko na wózek i wysiadka – na wysypisko. od „śmieciarza" miałem jeszcze jedną pamiątkę. Gdy na kilka minut przed końcem pracy przyszliśmy na miejsce zbiórki z oddalonego odcinka – ten zaczął nas bić kijem. Rozbiegliśmy się. On rzucił za mną kamieniem, który nie trafił mnie bezpośrednio, lecz odbił się o inny kamień i rykoszetem uderzył mnie w piszczel lewej nogi. Starł mi tylko skórę do krwi, ale w tym miejscu zrobiła się ropiejąca rana, która nie goiła się przez rok. Dopiero jesienią 1942 roku zagoiła się całkowicie, ale blizna pozostała mi na całe życie.

„Śmieciarz" nosił zawsze lornetkę, przez którą obserwował z górki przy szosie kawał terenu pracy. Gdy jeszcze pracowaliśmy w pobliżu rowu, z daleka od szosy, jednego dnia wynikła wesoła heca. Po dużym deszczu robiliśmy grupą około dziesięciu ludzi, grzebiąc się po kostki w błocie. Nie mieliśmy przy sobie żadnego kapa. Pół godziny przed fajrantem umyłem buty w wodzie, założyłem marynarkę i czekałem na gwizdek. To samo zrobiło jeszcze dwóch innych więźniów. Patrzę – od strony szosy idzie do nas „śmieciarz". Nie mówiąc nic nikomu, zdjąłem marynarkę, wlazłem solidnie butami w błoto, łopatę do ręki i znów przerzucam błoto na kupę. Wpadł, rozejrzał się i wali w mordę jednego. Skończył, rozejrzał się – i wali po mordzie drugiego. Skończył – rozgląda się, rozgląda się i nie wie, kogo bić. Chodzi od jednego do drugiego i gada sam do siebie: „Gdzie jest ten trzeci, gdzie jest ten trzeci?". A trzeci to byłem ja. On z górki obserwował nas przez lornetkę i widział trzech, którzy myli buty. Tamtych poznał po umytych butach i chociaż pracowali, zostali obici – a potem szukał trzecich czystych butów. Ale ja wyczułem, po co on idzie do nas – i dlatego zabłociłem buty.

Po biciu, które otrzymałem za szczanie na urnę, miałem wielką ochotę wsadzić rękę pod wózek, tak żeby ucięło mi co najmniej pół palców. Wtedy poszedłbym na rewir i w ten sposób uciekłbym z tej roboty. Gdy kopałem poniżej poziomu torów i wagoniki ruszały, a kręcące się koła przyciągały mój wzrok i rękę – to przez kilka dni ta myśl mnie prześladowała. Dobrze, że tego nie zrobiłem, bo już wkrótce – na jesieni – wykończono wszystkich inwalidów, chorych i muzułmanów.

Drugim „magnesem", który mnie przyciągał, był wał nad wykopem przy szosie. Układaliśmy tam wtedy darninę na pochyłości wykopu i sialiśmy trawę. na wierzchu była linia posterunków. na samej krawędzi była ścieżka, a tuż przy ścieżce wysokie żyto, pół kilometra od nas był las. Oj, ciągnęło mnie to żyto i las, myślałem o tym, jak bym uciekał, i jeśli nie uciekłem, to znów tylko z tego samego powodu, dla którego zrezygnowaliśmy z Krukowskim z ucieczki z Mauthausen – chodziło mi o rodzinę, którą mogli aresztować w odwet za moją ucieczkę. O siebie nie bałem się. Było lato – w polu owoce, jarzyny, zboża, a i ukraść po drodze też bym potrafił. A jakby złapali, to tylko wcześniej byłby koniec – bo przecież nie wierzyłem w to nigdy, że przeżyję i kiedyś jeszcze będę wolność oglądał. Zadowolony byłem, gdy mnie wreszcie przenieśli na inny odcinek, gdzie już nie było tak łatwo wywiać, i skończyła się pokusa.

Przykrym dla mnie momentem było przechodzenie obok zabudowań stojących przy drodze. Gdy pierwszy raz poczułem zapach gnoju, to wciągałem go z taką przyjemnością, z jaką na wolności nie wciągałbym najpiękniejszego zapachu perfum. W chałupach przez otwarte okna widziałem meble, talerze pozawieszane na ścianach, kwiaty na stołach i niejeden raz mówiłem do sąsiadów w szeregu, że oddałbym ostatnie pięć lat swego życia, gdyby mi pozwolili posiedzieć pół godziny w takim mieszkaniu.

Przy budowie kolei pracowałem we wszystkich grupach roboczych – i wszędzie maksymalnie oszczędzałem swoje siły, starając się pracować jak najmniej i jak najwolniej. W końcu zostałem dokładnie poznany przez Kołeczkę, Otta i wszystkich pomagierów, jak Franek Szmidt z Poznania, Czesiek Baranowski i jeszcze dwóch, których nazwiska zapomniałem, a którzy właśnie najwięcej mnie bili. Bo

Kołeczko i Ott kazali mnie bić, jak będę wolno pracował. Kilka razy dostałem od Szmidta, ale okazało się, że był to bardzo dobry chłop, a bił mnie na wyraźny rozkaz Kołeczki. Wkrótce potem bardzo mi dopomógł i jak sam mówił, robił to dlatego, że nie mógł sobie darować tego, że mnie bił. Najlepszy z tej całej ferajny był Czesiek Baranowski (żyje i jest w Polsce). Nieraz krzyczał na nas, a gdy ja mimo wszystko nie zdradzałem chęci do szybszego ruchu, przylał mi lekko kijem, a po cichu szepnął:

– Ruszaj się, do cholery! Kołeczko patrzy i kazał ci wlać!

Był on później kapem jakiejś innej grupy roboczej, a jednak nikt nigdy nie miał do niego żalu i nikt nie mógł powiedzieć o nim, że jest draniem i świnią. Dobry był chłop i starałem się zawsze dostać do jego grupy.

Równo w tydzień po wybuchu wojny z Rosją – w niedzielę – staliśmy przed blokiem trzydziestym drugim przygotowani do wymarszu na ranny apel. Odbywało się normalne bicie przy równaniu szeregów. W tym samym szeregu co ja stał nauczyciel z Bydgoszczy (długo pamiętałem jego nazwisko, lecz później zapomniałem). Był on chory – więc stał w szeregu tak, że nogami równał, a tułowiem wystawał z szeregu. To nie było ważne, bo i tak za chwilę, jak wychodziliśmy na plac apelowy, robił się wielki bałagan. Ott, gdy go zobaczył, po cichu szurnął w jego kierunku i potężnym uderzeniem w szczękę poderwał go do góry. Upadając, uderzył głową o krawężnik – i już się nie podniósł. za dwie godziny już nie żył – zmarł bez odzyskania przytomności, a Ott chodził z taką miną, jakby mu tamten zrobił jakąś osobistą krzywdę. Po chwili słyszałem, jak Kołeczko mówił do niego:

– Bronek, co ty robisz! Wojna z Rosją. Jak się co zmieni, to ci ludzie zabiją cię.

– To niech się skurwysyn nauczy stać, jak się należy, w szeregu.

Taka była jego odpowiedź po zabiciu człowieka.

W tym czasie opanowała ludzi psychoza zbiorowych modlitw. Dużymi grupami zbierali się wieczorami – jak był spokój – w końcu

sztuby i modlili się. Ja natomiast lubiłem chodzić w niedzielę na jeden blok, na którym jakiś nauczyciel cytował z pamięci całe rozdziały *Trylogii* Sienkiewicza. Proponował kilka różnych rozdziałów, ludzie wybierali jeden i potrafił on przez godzinę cytować tak, jakby czytał z książki.

Jednej niedzieli zauważyłem przed kuchnią wesołą zabawę. Szef kuchni kładł na stopniach przed drzwiami kuchni dużą brukiew, a sam chował się do kuchni. Gdy amator brukwi podbiegał, ten lał na niego wiadrem wody, następnie rzucał brukwią w gromadę gapiów w ten sposób, że uderzał nią mocno o ziemię. Brukiew rozpadała się na kilka części, a muzułmanie rzucali się na nią gromadą. Wtedy esesman znów starał się polać ich wodą. Położył nową brukiew i schował się do środka. Odszedłem pod baraki i doszedłem do rogu kuchni. Gdy esesman oblał jednego wodą, szybko podbiegłem, porwałem brukiew i uciekłem. W tym samym kierunku wyskoczył esesman, chlusnął za mną wiadrem wody, ale już nie zlał mnie całym wiadrem, tylko polał mi trochę plecy i spodnie, a ja zdobyłem sporej wielkości brukiew.

Był już sierpień. W pracy nic się nie zmieniło. Codziennie praca, codziennie bicie, a ja w ciągłej ucieczce przed pracą i w ciągłej pogoni za jedzeniem. Po południu wydawali nam po pół garnuszka kawy – zawarłem bliższą znajomość z tymi, którzy kawę gotowali. Jak już rozdali kawę, to często dostałem od nich miskę fusów – fusy to też żarcie.

Przyszedł wreszcie dzień, który miał być ostatnim dniem mego życia. Ott dał mi do ręki krótki szpadel i kazał kopać twardą glinę, a sam z kawałem rękojeści od łopaty, który służył mu do bicia ludzi, stanął przy mnie i ja kopałem glinę, a on spokojnie od czasu do czasu, ale systematycznie, walił mnie tym kołkiem po plecach, mówiąc za każdym uderzeniem:

– No, ja cię nauczę robić – więcej już migał się nie będziesz.

Wytrzymałem to bicie od obiadu do fajrantu. Gdy odgwizdano koniec pracy, Ott przerwał zabawę, tylko na do widzenia powiedział mi:

– Jutro idziesz do krematorium.

Stojąc w szeregu, omdlałem i koledzy, trzymając mnie pod ręce, przyprowadzili tak do obozu. Tu w czasie apelu nie stałem już w szeregu, tylko siedziałem za innymi, jak ci, którzy już kończyli się, a których sam oglądałem codziennie i w duchu zawsze już uważałem ich za umarłych.

Po zjedzeniu kolacji poczułem się lepiej – ale wiedziałem, że i tak Bronek jutro mnie wykończy. Postanowiłem iść na druty, chwila – i człowiek gotów. Poszedłem już alejką, której nie wolno było przekraczać. Już widziałem, jak posterunek za drutami zdejmuje karabin, by – gdy już złapię za druty – zastrzelić więźnia przy „próbie ucieczki". Pomyślałem sobie, że może przeżyję, to będę mógł odegrać się, a jak zginę na drutach, to kto się za mnie odegra? Wtedy wróciłem.

Następnego dnia, gdy już po apelu staliśmy w grupach roboczych, Ott liczył szeregi i gdy doszedł do mnie, powiedział:

– Dzisiaj idziesz do krematorium.

No, Stasiu, pomyślałem, koniec z tobą. Myśl o tym nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. Przyjąłem to jako coś normalnego i naturalnego. I tu tak zwany łut szczęścia. Oto stoimy na placu, a brama nie otwiera się godzinę, dwie – w końcu rozkaz – wszyscy do bloków. Co jest? Tyfus w obozie. Szpera obozowa – zakaz wyjścia za teren obozu.

Obóz zamknięty był sześć tygodni. Tylko nieliczne grupy pracujące w obrębie obozu wychodziły do pracy. W tym czasie dostaliśmy zmniejszone porcje jedzenia jako niepracujący. Ci, co wychodzili do pracy, dostawali normalne porcje.

Chodziłem kilka dni do kopcowania kartofli, ale oszczędność pracy już mi weszła w krew i choćbym nawet chciał dobrze pracować, to już nie potrafiłem. do kartofli poszedłem wraz z Leonem Cerakiem i od razu znaleźliśmy sobie dobrą „robotę". Właziliśmy pod samochód i niby wyrzucaliśmy kartofle spod samochodu, żeby się nie gniotły pod kołami. Przy okazji mogliśmy jeść, ile nam się podobało. Jadłem wtedy co najmniej dwa kilogramy surowych kartofli dziennie. Po kilku dniach praca została zakończona. Dostałem potem cholernego rozwolnienia, które trwało dłuższy czas. **Nie była to biegunka. Jak**

mnie złapało, to natychmiast musiałem pędzić do ustępu, a z placu nie wpuszczali pomiędzy bloki, do ustępów do południa. Codziennie robiłem tak jak wtedy, gdy w czasie gazowania poszedłem po ubranie... Rozpęd i biegiem między bloki. do ustępu i wysiadka. Nie pamiętam nawet, kiedy i jak to się skończyło. Najważniejsze dla mnie było to, że przez cały ten czas nawet jeden raz nie narżnąłem w portki, tak jak to się innym dość często zdarzało.

W tym czasie wspomagał mnie jedzeniem Franek Szmidt z Poznania, ten, który na rozkaz Kołeczki kilka razy mnie zbił. Otrzymywałem od niego codziennie pół miski zupy, nieraz więcej, i od czasu do czasu kawałek chleba. Pomagał mi też Józef M. z miejscowości Tarnowskie Góry, który spał obok mnie. W czasie szpery dostał się on do pracy w rewirze. Tam miał dosyć jedzenia, ale nie wolno mu było wynosić. On jednak ryzykował i codziennie starał się wynieść w kieszeni garnuszek gęstej zupy, którą mnie oddawał. Po skończonej szperze pozostał na rewirze i przenieśli go na blok pierwszy – prominencki. W każdą niedzielę dostawałem od niego miskę zupy. Latem 1942 roku kazano mu podpisać listę folksdojcza i zwolniono do domu. Tydzień przedtem miał przesłuchanie i żalił mi się, że pewnie go wykończą – a po tygodniu lista i zwolnienie.

– Co miałem robić? – pytał mnie. – Czy znalazłby się ktoś, kto by odmówił podpisania? Przecież by mnie wykończyli.

I tak faktycznie było. od roku 1943 już odmawiali.

Wreszcie przyszedł dzień, że trzeba było znów pójść do pracy. Stanęliśmy do rannego apelu. Pomyślałem sobie, że znów muszę iść do pracy przy budowie kolei, że znów Ott i Kołeczko – i zwróciłem się do Hajdemana, tego długiego bandyty z Górnego Kamieniołomu, czy nie potrzebuje ludzi.

– A co chciałbyś robić?

– Chciałbym być kamieniarzem.

– O tak, umarło mi dwóch kamieniarzy – weź jeszcze kogoś i chodź.

– Jaruga, chodź do Długiego na kamieniarza! – krzyknąłem. (Jaruga był sędzią z zawodu).

– Dobrze – odpowiedział.

Bronek Ott, widząc to, odezwał się ironicznie:
– No, też sobie znalazłeś protektora!
– Lepszego jak ty! – odpowiedziałem mu ze złością.
Od tego dnia zaczął się dla mnie nowy okres – praca kamieniarza w kamieniołomach. Kamieniarzem byłem do pierwszego maja 1944 roku, do chwili, gdy pięćdziesięciu kamieniarzy wyrzucili karnie za zbyt małą wydajność pracy. **Z tej grupy trzydzieści osób skierowano do pracy przy młynie do mielenia kamieni, a dwadzieścia do budowy tuneli. Ja byłem w grupie skierowanej do tuneli. Pierwszego dnia w Górnym Kamieniołomie skierowano mnie do mniejszej szopy kamieniarskiej, w której pracowało nie więcej jak dwunastu kamieniarzy. W drugiej, większej, pracowało chyba dwadzieścia pięć osób.**

Z rozpoczęciem tej pracy skończył się dla mnie w zasadzie okres bicia przy pracy. Dostawało się bicie w bloku, na zbiórkach, przy karnych ćwiczeniach, ale nie było już bezmyślnego bicia bez powodu przy pracy. Kamieniarze to fachowcy, którzy wykonywali ciężką, ale jakże często artystyczną pracę w granicie. Bo kamieniołomy w Gusen to tylko twardy granit. Drugą wielką zaletą tej pracy było to, że pracowaliśmy pod dachem, w szopach. Już nie byliśmy narażeni na całodzienne działanie deszczu, wichru i mrozu, chociaż w ścianach były szpary, chociaż w dachu były kominki spełniające funkcję wentylatorów, przez które śnieg wpadał do środka. Mieliśmy też piecyki, przy których można było się ogrzać. Można było też odpocząć. A bicie w pracy można było dostać tylko od Długiego, gdy znienacka wpadł do szopy i zobaczył, że ktoś siedzi albo pali papierosa. Nie mógł za dużo bić, bo do obrony mieliśmy majstra – cywila. Żeby wyuczyć kogoś na kamieniarza, trzeba co najmniej roku, więc majster nie może pozwolić kapowi na taki luksus jak zabijanie kamieniarzy, bo to nie robotnik, który robi łopatą. Kamieniarze to przeważnie z wolności urzędnicy, profesorowie, był też jeden kleryk; robotników tam nie widziałem prawie wcale. Później byli również i robotnicy, w halach kamieniołomów Kastenhoffen i Gusen.

W mojej szopie trafiłem na towarzystwo modlące, które prawie cały dzień, pracując, odmawiało półgłosem zbiorowe modlitwy – pacierze i różne litanie. Złościło mnie to, ale nie chciałem im się sprzeciwiać, bo tacy modlący mogliby mi zrobić jakieś świństwo i wysadzić z pracy. I Herkules dupa, kiedy ludzi kupa, mówi przysłowie. I racja. Z początku praca szła mi słabo; szpicowało się kamienie młotkiem o wadze półtora kilograma, a wygładzało paski młotkiem o wadze jednego kilograma. od 1943 roku szpicowałem dwukilogramowym młotkiem, a gładziłem półtorakilogramowym. A jak mnie nerwy porwały, potrafiłem szpicować młotkiem o wadze dwóch i trzech czwartych kilograma. Stasiek M. uczył mnie, że należy nauczyć się robić szybko i dobrze – nie po to, żeby dużo robić, lecz po to, żeby dużo wypoczywać. Bo kto nie potrafi robić szybko i dobrze, musi narobić się dużo więcej, żeby wyrobić normę.

Norma w kalkulacji obozowej wynosiła trzydzieści marek miesięcznie. do każdego kamienia był rysunek z kalkulacją i ceną. Gdy wyrobiłem normę, otrzymywałem talony na dwadzieścia papierosów. Jak wyrobiłem sześćdziesiąt marek, dostawałem talony na czterdzieści papierosów. Byli tacy idioci, którzy starali się wyrabiać jak najwięcej. Ja nie. Jak zwykle. Norma moja to trzydzieści dwie–trzydzieści cztery–trzydzieści sześć marek. To już często zależało od kamienia, jaki dostałem do pracy. Gdy miałem na przykład wyrobione dwadzieścia siedem marek, a dostałem kamieni za osiem marek, to już musiałem je zrobić. Gdy już poprawiły mi się warunki życiowe, to po prostu kupowałem zrobione kamienie. na przykład miałem wyrobione osiemnaście marek – a tu zbliża się koniec miesiąca, a mnie się nie chce robić. To za bochenek chleba kupowałem sobie kamienie za piętnaście–szesnaście marek i wpisywałem na swoje konto.

Na wykonanie kamienia otrzymywało się rysunek. Po zrobieniu odbierał go obermajster, cywil, i podpisywał się na rysunku, że kamień zrobiony i odebrany. Rysunek oddawałem pisarzowi halowemu, a ten wpisywał go na moje konto – ale nikt nie zapisywał przydzielonego kamienia. W ten sposób ktoś, kto miał wyrobioną normę, a zrobił jeszcze jeden kamień, mógł go sprzedać za chleb lub papierosy i ja właśnie takie kamienie kupowałem. Z początku

byłem kamieniarzem w Górnym Kamieniołomie, a następnie w Gusen w małych szopach, a później w dużej murowanej hali dziewiętnastej. W 1943 roku kręciłem razem z Tadziem Starczewskim z Warszawy. Jeden miesiąc pisaliśmy kamienie na jego konto, drugi miesiąc na moje konto. Listy obecności nikt tam nie prowadził. Mogłem na przykład chorować albo mogli mnie pozostawić do pracy w obozie. Kapo ani majster nie znali naszych nazwisk, a wyrzucić mogli tylko wtedy, jak widzieli, że za mało normy wyrabia się przez kilka miesięcy.

Teraz chcę pisać tylko o zagadnieniu pracy. Inne sprawy i wypadki, które w tym czasie działy się w obozie, opiszę osobno.

Minusem tej pracy było to, że nie można było na terenie pracy organizować jedzenia, a dodatkowym jedzeniem było tylko jedzenie organizowane wieczorem i w niedzielę w obozie.

Buda Długiego znajdowała się w pobliżu naszych szop – prawie nad samym brzegiem urwiska, a właściwy kamieniołom, w którym rozsadzano i łupano kamienie, znajdował się dalej i my nie mieliśmy z nim bezpośredniej styczności. Tylko rano i wieczorem, na zbiórkach, i z tymi, którzy przywozili nam kamienie do obróbki. na naszym cyplu były schody w dół, nasze szopy, szopa bez ścian dla kostkarzy, buda Długiego i ustęp. Ustęp kazał Długi zrobić na samej krawędzi urwiska – chyba złośliwie – i jak siedziałem na drągu, to miałem wrażenie, że wiszę w powietrzu nad kilkudziesięciometrową przepaścią. Zawsze z wrażeniem, że tych kilka słabych desek może się urwać. Poza tym bez przerwy wiało w d., wszędzie mogło być cicho, a tam wiało. **Żeby dostać się do ustępu, trzeba było przejść wąską ścieżką między skałą a budą Długiego. Innego dojścia nie było. W ustępie mogły przebywać jednocześnie tylko dwie osoby. Jak przyszedł ktoś trzeci, to Długi wychodził z budy i rzucał w nich kamieniami i wypędzał wszystkich. Uciekając, musieli przejść obok niego i każdy na pożegnanie dostawał w pysk i kopniaka. Długi wiedział, ilu siedzi w ustępie, bo jedno okno z jego budy wychodziło na ustęp. Przykrą złośliwością było to, że do ustępu wolno było chodzić dopiero od godziny jedenastej, i źle byłoby z takim, który by tam poszedł wcześniej, a z drugiej strony bicie, a może i zabicie, jeśli kogoś złapali na załatwianiu się wśród kamieni.**

W szopie Długiego odbywały się różne transakcje – kombinacje, gotowanie dobrego żarcia, lecz nikt nigdy na niczym go nie złapał. Położenie geograficzne, jak to my mówiliśmy. Długi wystawiał posterunki, jeden przy rogu naszej szopy, a drugi przy wysypisku. Obowiązkiem ich było tylko pilnować, kto do nas idzie. Ci na posterunkach zapłaciliby życiem, gdyby udało się komu z esesmanów zaskoczyć Długiego. Górny Kamieniołom był osadzony wysoko i były do niego tylko dwie drogi – schodami i jezdnią dla samochodów. Obydwa dojścia były pod stałą obserwacją z góry. Wejście po schodach trwało kilkanaście minut – a jezdnią jeszcze dłużej, bo prowadziła ona przez gospodarstwo obozowe i kamieniołom. Komendanci i inni esesmani nieraz zajeżdżali na motorze wprost pod budę… i rewizja. Ale jak taki pokazał się jeszcze daleko na dole, Długi już wiedział, że jadą do niego, i zdążył zawsze pochować wszystko, co mogło mu szkodzić. O charakterze Długiego niech powie następujący wypadek:

Wybrał on dla siebie młodego Hiszpana, który ładnie śpiewał. Kazał mu śpiewać, a sam w tym czasie dusił go za gardło i z małpią ciekawością patrzył na jego twarz i oczy. Zabawę tę powtarzał kilka razy dziennie. Bawił się tak z nim tydzień – aż go w końcu zadusił naprawdę. Kiedyś szliśmy do pracy, a szykowało się na deszcz – Długi, po obliczeniu nas na górze, nie kazał nam rozejść się do pracy, tylko stanął sam pod dachem kostkarzy i rozpoczął przemowę. Mówił, że trzeba pracować, co wolno, a czego nie wolno, jak będzie karał – i co rusz zadziera łeb do góry, zdziwiony, że jeszcze nie leje deszcz. Skończył mu się temat. Rozejrzał się, przeszedł w jedną, w drugą stronę – znów spojrzał tęsknie w górę – i zaczynał swe kazanie od początku. Nareszcie deszcz i ulewa. Długi, zadowolony już wtedy, pogadał jeszcze kilka minut – a gdy widział, że już jesteśmy całkowicie przemoczeni, wydał rozkaz rozejścia się do swoich prac. **Pracując w Górnym Kamieniołomie, obserwowałem dwa razy, jak baran bił esesmanów. W pobliskim gospodarstwie obozowym było stadko owiec i baran, którego więźniowie nauczyli bić. Naszym kierownikiem był esesman, którego z powodu jego sposobu chodzenia nazywaliśmy „łabędziem". Stanął on kiedyś nad kostkarzami i tłumaczył im coś. Ręce miał założone na plecach i mówiąc, kiwał się do przodu.**

W tym momencie zza szopy wyszły owce. Baran, jak zobaczył, że ten tak się kiwa, pokręcił łbem, oblizał się, rozpędził... i grzmotnął go łbem w tyłek. Esesman poleciał w przód, potknął się, przeskoczył przez kamienie, wykręcił się z wściekłością i już sięgał po pistolet, gdy zobaczył, że to go tak urządził baran, który znów oblizał się i ruszył do nowego ataku, ale wtedy już więźniowie złapali go w biegu i odpędzili. My przyglądaliśmy się tej scenie przez szpary naszej szopy. Innym razem owce pasły się na dole, przy torze kolejki łączącej Mauthausen z Gusen. Kolejką tą odwoziło się do polerowania kamienie obrobione w Gusen przez naszych kamieniarzy. Było to w czasie przerwy obiadowej i wszyscy siedzieliśmy na powietrzu przed szopą. Jeden z kolegów zawołał nas na krawędź wysypiska i pokazał nam, że obok torów kolejowych idzie esesman z białym węzełkiem w ręku. „Uważajcie, zaraz baran będzie go bił". I faktycznie – gdy tylko minął on owce, baran pobiegł za nim i uderzył go z tyłu łbem pod kolana. Przewrócił się, węzełek wypadł mu z ręki, spadła czapka. Łapie za pistolet, baran do niego, on chodu, baran za nim. Wreszcie zaczął w barana rzucać kamieniami i odpędził go. Włożył czapkę, popatrzył na węzełek, machnął ręką i poszedł. Zastanawialiśmy się, co niósł. Wreszcie zsunąłem się po wysypisku w dół i zobaczyłem, że to były potłuczone jajka w chusteczce do nosa, które widocznie esesman zorganizował sobie w gospodarstwie. Z chusteczką wróciłem już schodami w górę, a chusteczka ta służyła mi jeszcze długo. Tak wyglądało w pracy do połowy stycznia.

Kiedyś znowu Hajdeman urządził sobie ciekawą zabawę. Gonił kogoś tak długo, aż taki zgubił trep. Wtedy przestawał gonić, podnosił trep z zadowoleniem, oglądał go z ciekawością – jak małpa – i zrzucał go z kilkudziesięciometrowej wysokości w przepaść, na której dno nie było żadnego zejścia… Potem upatrywał, kogo znów pogonić. Obserwowaliśmy to przez szpary w naszej szopie.

Więźniowie pracujący w kamieniołomach mieszkali w specjalnie zorganizowanych tak zwanych blokach Kastenhoffen – bloku czwartym i piątym. Nasz kamieniołom też należał do tej grupy, więc przeniesiono mnie na blok czwarty sztuba B. na bloku tym, przystosowanym dla trzystu osób, umieszczono osiemset sześćdziesiąt. Wstawiono dodatkowe łóżka, które ściśnięte były do granic możliwości, i na każdym łóżku spało po trzech. Gdy po pracy

weszliśmy na blok, to niemożliwością było się poruszyć. na sztubie B byłem tylko tydzień – lecz w ciągu tego tygodnia dostałem cztery razy w gołą dupę grubym, ogumionym kablem. Kapowie i sztubowi każdego wieczora wcześniej niż trzeba wpędzali nas do łóżek, a następnie wyciągali z łóżek i bili po pięć w tyłek. za nic, ot, tak sobie, dla zabawy. I tak każdego wieczora.

Pożaliłem się kamieniarzom ze sztuby A i ci zapoznali mnie z kapem sprzątaczy sztuby – Feliksem Leśniczakiem, drogistą z Ostrowa Wielkopolskiego – i ten postarał się, że zaraz na drugi dzień zostałem przeniesiony na sztubę A. Feliks Leśniczak to z kościami poczciwy człowiek, który dużo dobrego zrobił dla ludzi. Zawarliśmy przyjaźń i zawsze byłem mu wdzięczny za to przeniesienie. Później niejeden raz dostałem od niego pół miski zupy. Drogę do ludzi, ich serc i łaski – torował mi mój humor, wesołe usposobienie i typowo warszawski sposób bycia, cwaniakowski, bezpośredni, zawsze z dowcipem, a nieraz z pięścią i uderzeniem głową. Znajomi moi zawsze mówili, że „Stasiek to takie typowe dziecko Warszawy" – i dlatego może łatwiej było mi załatwić coś, czego inni przeciętni więźniowie załatwić nie mogli. O, chociażby takie przeniesienie ze sztuby B na A.

Ścisk taki na bloku nie trwał długo – ludzie się szybko wykańczali i już po miesiącu spaliśmy po dwóch. Zlikwidowano wszystkie dodatkowe łóżka, a jeszcze po dwóch tygodniach to już wielu spało w łóżkach pojedynczo – tak jak ja, bo pewnego dnia mojego wspólnika od łóżka przyniesiono z pracy, a po apelu już nago zaniesiono do umywalni. do rana już był gotów do krematorium.

W tym czasie w obozie zaczęło się masowe mordowanie muzułmanów. Przede wszystkim – kąpiele. Wybudowano już prysznice, pod którymi mogło się kąpać jednocześnie kilkaset osób. Betonowa posadzka, prysznice – tylko nie było ciepłej wody, dachu i ścian. Zimna kąpiel pod gołym niebem, i to codziennie wieczorem, prawie do listopada. Jednym słowem – wykończalnia. A jak wykończalnia, to trzeba było się bronić. na bloku trzydziestym drugim kilka razy chowałem się pod łóżka – ale to nie było bezpieczne, bo mogli zabić, gdyby złapali. Wpadłem na inny sposób, który z powodzeniem stosowałem razem z Cerakiem (Leon Cerak

z Bydgoszczy, z ulicy Stepowej, wykończył się w 1942 roku, pracując przy budowie kolei). Smarem od butów smarowaliśmy ręce i jak wyganiali nago do kąpieli, to pokazywaliśmy ręce, mówiąc, że jesteśmy nasmarowani maścią, bo mamy świerzb. Było to już po likwidacji świerzbu, ale jeszcze dość częste były przypadki, że ktoś dostawał na nowo. Gdy byłem na bloku czwartym – uciekałem do piwnic nowo budowanych bloków, które stawiano na miejscu po blokach szóstym, siódmym i ósmym. Były one dopiero w budowie i zaledwie wychodziły z fundamentów.

Wiele jednak razy nie udało mi się uciec i musiałem iść się kąpać. Nieraz czekaliśmy nago dwadzieścia minut i więcej – czasami na deszczu – żeby wejść na kilka minut pod zimną wodę. Niektórzy nie chcieli wchodzić. Tych kapowie wpędzali kołkami z rykiem i wrzaskiem. Jeden dom wariatów. Tu ja miałem inną metodę, którą wielu stosowało. Wpadałem jako jeden z pierwszych w sam środek kąpieliska i ustawiałem się dokładnie w środku kwadratu między sitkami. Odległości te były takie, że woda na mnie tylko trochę pryskała. Dopiero gdy już wychodziłem, przebiegłem pod ostatnim sitkiem, żeby zmoczyć ciało i głowę, bo widziałem, jak biją i kąpią tych, którzy wychodzili z suchą głową i ciałem. Potem biegłem do bloku, koszulę na siebie i pod koce. Bo ręczników i mydła do tych kąpieli nie dawano.

Komendant obozu, Chmielewski, zapytał jednego rana pisarza obozowego, gdy już staliśmy na placu apelowym:

– Ilu na dzisiaj mamy umarłych?

Gdy ten mu odpowiedział, roześmiał się głośno, z zadowoleniem mówiąc:

– Wciąż myć, wciąż kąpać – ha, ha, ha!

I to był sens kąpieli – wycieńczać i w ten sposób zwiększać śmiertelność. Podobno projekt ten dał esesman – Jencz – tak wymawiano jego nazwisko. Och, bydlak! Gonił, bił, kąpał, kąpał i wciąż kąpał. **Gdy jednego dnia staliśmy w szeregach przed blokiem, ustawił się przed nami, pogimnastykował nas trochę, a potem kazał stać bez drgnięcia i zabronił mrugać oczami. Kto mrugnął, dostawał bicie. Nigdy nie myślałem, że tak przykre może być stanie bez mrugnięcia powieką. Mrugałem wtedy, gdy Jencz bił kogoś za mrugnięcie.**

Pamiętam, stało nas kilku w niedzielę przed blokiem. Stanęliśmy na baczność i zdjęliśmy czapki przed Jenczem, który jechał na rowerze. Miał w ręku palącego się papierosa. Przejeżdżając obok nas, rzucił papierosa tak, że uderzył mnie w piersi i upadł na ziemię. Nikt nie drgnął. Prowokacja. Gdy odjechał kilka metrów, obejrzał się i zauważył, że ja z lekceważeniem nogą odrzuciłem rzucone przez niego pół papierosa. Było to w czasie największego głodu tytoniowego. Jeden z więźniów rzucił się podnieść. Wtedy Jencz zawrócił i zbił go tak, że chyba następnego dnia już nie dożył. Zmasakrowanego wynieśli chłopaki od razu do umywalni.

Gdy zakończono kąpiele bloków pracujących, zaczęto kąpać inwalidów, którzy byli zgrupowani na oddzielnych blokach. Kąpano ich w listopadzie i grudniu – dwa razy dziennie po półtorej do dwóch godzin. Zatykano ścieki, oni kładli się w wodę tak, że tylko głowy wystawały, i kąpali się – czystość przede wszystkim. Po każdej kąpieli część zostawała w wodzie – nieboszczycy. Inni szli na blok i nikt ich tam nie bił, nie męczył, dostawali swoje porcje jedzenia, a jutro znów kąpiel przed południem i kąpiel po południu. Po trzech tygodniach „wykąpali" już wszystkich. Bloki inwalidzkie były puste – gotowe na przyjęcie nowego materiału do palenia w krematorium.

Wybór „inwalidów" wyglądał w ten sposób, że w niedzielę po apelu stawaliśmy wszyscy na placu apelowym, a komendant obozu z całą świtą SS i władz obozowych robił dokładny przegląd. Brał do przeglądu jeden blok. Szedł wolno przed szeregiem i pokazywał palcem na ludzi słabych, zmuzułmaniałych. Z tyłu szedł blokowy i pisarz blokowy i zapisywali numery tych, których komendant wskazał. Po przejściu przed jednym szeregiem szereg ten występował dziesięć kroków do przodu i lustrowano następny szereg. Po obejrzeniu wszystkich przechodzili do następnego bloku. W ten sposób przejrzano wszystkie bloki i wybrano tylu muzułmanów, że ciasno zapełnili dwa osobne bloki – a ludzi z tych bloków, którzy byli tam poprzednio, przeniesiono na inne bloki.

W obozie mówiono, że wybiera się inwalidów po to, żeby ich wysłać do Dachau, a tam będą leczeni. Krążyły różne fantastyczne wersje. Że interwencja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, że ultimatum Anglii i wiele innych bzdur. Gdy pierwszą grupę „wykąpali",

wszyscy już się połapali, co to są „inwalidzi”, jak ich będą leczyć – i już nie było chętnych na inwalidów, tak jak przy pierwszej selekcji. Wtedy wielu było takich, co się sami zgłosili. Przy tych selekcjach już nie mogłem być cwaniakiem – tu można było tylko stać z ważną miną, wyprężony, uśmiechnięty, żeby wyglądać na zdrowego, zadowolonego i zdolnego do pracy, a w duchu drżeć i odetchnąć swobodnie, gdy komendant moją osobę minął, gdy już spojrzał na następnego, a na mnie nie wskazał palcem. I to znów nie wiadomo, na jak długo, bo później już nie wybierano na apelu, ale łapali przy wychodzeniu do pracy. Przy bramie stała setka ludzi, którzy wchodzili do szeregów w zastępstwie tych, których z szeregu wyciągnęli esesmani. Tu łapali pobandażowanych i takich, po których można było poznać, że już ledwie idą. Wybranych z szeregów przenoszono od razu na bloki inwalidzkie i „kąpano”.

Jednej niedzieli esesmani urządzili zabawę, którą nazwałem biegiem o życie. Wybrali chyba ze sto pięćdziesiąt osób na „inwalidów”. Ustawili ich piątkami i tak, jak stali, musieli przebiec około pięćdziesięciu metrów. Kto nie miał siły biec, potknął się lub upadł, był kierowany do grupy obok – kto przebiegł dobrze, zwalniany był na swój blok. Trzeba było widzieć, jak ci ludzie biegli – jak konie na końskim targu, głowa do góry, buty z nóg i boso, żeby nie zaplątać się w trepach. W jednej piątce zobaczyłem znajomego, starszego szewca, jak biegł, wyrzucając nogi wysoko w górę. Puścili go, przeżył i wyszedł na wolność. Pracował później w obozowym warsztacie szewskim. Ja czułem się jeszcze silnie, lecz byłem bardzo chudy – bo przy stu siedemdziesięciu ośmiu centymetrach wzrostu ważyłem pięćdziesiąt sześć kilogramów – to nigdy nie byłem pewien, czy nie wpadnę w oko któremu z tych, którzy polowali na „inwalidów”.

Wiosną 1942 roku, gdy już pracowałem w kamieniarskich halach w Gusen, pewnego dnia rano urządzono łapankę. Wygarnięto wszystkich zapisanych do lekarza, a gdy im brakowało do stanu, który pewnie sobie wyznaczyli, resztę wyciągnęli z szeregów. Z tylnych drzwi naszej budy kamieniarskiej widać było cały plac apelowy. Wyłapani stali na placu. O godzinie dziesiątej przyszedł obejrzeć ich komendant Chmielewski. Gdy podszedł, wszyscy zdjęli

czapki. A wtedy Czesiek Cichocki z Poznania – kolega, kamieniarz, który obok mnie stał – powiedział coś po łacinie, co miało oznaczać: „Mający umrzeć pozdrawiają cię". do obiadu już ich nie było. Zaprowadzili ich pod rewir, w kąt ogrodzony wysokim płotem, a kapo van Loosen tak długo lał na nich wodę z hydrantu przeciwpożarowego, aż ich wszystkich uśmiercił.

Ta zabawa w topienie trwała do późnego lata 1942 roku. W 1942 roku nasz blokowy Adi – na bloku piątym – codziennie po wieczornym dzwonku wchodził na sztubę i wywoływał jednego więźnia, którego zabierał z sobą, nie każąc mu się ubierać, tylko w koszuli. Drugiego brał z drugiej sztuby i prowadził ich do kąpieliska, które w tym czasie miało już dach i ściany, i tam topili w beczkach. Blokowy każdego bloku musiał codziennie przyprowadzać dwóch ludzi do utopienia i sam ich utopić. Ponieważ to było dla niego za męczące, więc on tylko wybierał, a topili na zmianę. Jednego dnia blokowy, a następnie jeden sztubowy, drugi sztubowy i pisarz blokowy. W zasadzie blokowy wybierał najsłabszych. Ale kto by mu zabronił zabrać takiego, który mu z czymś podpadł albo z jakiegoś powodu mu się nie podobał? Wiedzieliśmy, że wieczorami topią, i każdy człowiek słaby drżał każdego wieczora z obawy, czy to dzisiaj nie na niego przyszła kolej. Przed tym losem też nie było obrony. Tu już nie pomagał żaden spryt.

Jeszcze jesienią 1941 roku, przed selekcją do „kąpania", zapisywano inwalidów na wyjazd do Dachau. Ochotniczo. Wielu wtedy zapisało się. Z moich znajomych zapisał się Jurek Łuczko z Warszawy i Zbyszek K. z Łodzi – ten sam, który razem ze mną markierował w Mauthausen. Zbyszek przyszedł kiedyś do mnie w nocy, oddał mi swoją fajkę, scyzoryk i inne drobiazgi, mówiąc, że rano go wykończą, bo złapali go, jak wyjmował zmarłemu złoty ząb. Krzyku narobił drugi więzień, który chciał zrobić to samo. Facet umierał w nocy, a ci nie spali, tylko czuwali, kiedy on umrze, bo wiedzieli, że ma złote zęby – a złote zęby w ręku to dużo chleba i zupy.

Ale na następny dzień oddałem mu jego drobiazgi, bo nikt go nie wykończył. Złoto mu odebrali, dostał od razu w nocy po mordzie

i koniec. Gorzej byłoby, gdyby ukradł chleb. Wtedy krematorium pewne. On chciał w nocy iść na druty, ale mu odradziłem. „Przecież to nie chleb", mówiłem mu, „może się wymigasz, a na druty to jeszcze i rano zdążysz iść".

Zbyszek zapisał się na inwalidę, bo pracując w cegielni, specjalnie wsadził dłoń w maszynę i zmiażdżyło mu dłoń. Zrobił to dlatego, żeby wyrwać się z grupy roboczej, która należała do tych najgorszych, a inaczej nie mógł – bo tak jak przy kolei, tak i do cegielni wyznaczone były stałe grupy. Uciekł z cegielni, ale nie uciekł śmierci. Wiosną 1942 roku wywieziono wszystkich, którzy wtedy byli zapisani. Czekali z wysyłką od jesieni do wiosny – pół roku. Wielu z zapisanych już nie żyło. Wielu było muzułmanami, a wielu „zorganizowało się" i dawali sobie radę. K. pracował w tym czasie w kuchni i dobrze już wyglądał, ale nikt nikogo o nic nie pytał. Lista była, wywołali i serwus. Po kilku tygodniach już zaczęły przychodzić wiadomości, że wielu z wywiezionych już nie żyje. Pisały ich rodziny do tych więźniów, którzy byli z tej samej miejscowości i przebywali jeszcze w obozie. Chodziły różne wersje, a głównie taka, że wywieziono ich do jakiegoś instytutu badawczego w charakterze królików doświadczalnych. Ja miałem inne zdanie. Nie wywieziono ich jednego dnia, lecz przez kilka kolejnych dni, wieczorem, przyjeżdżał duży kryty samochód, w który ładowano ludzi do granic możliwości. Moim zdaniem wieziono ich od razu pod krematorium w Mauthausen. na tę myśl wpadłem dopiero dużo później, latem 1942 roku, gdy przez pewien czas „autobus" ten krążył między Mauthausen a Gusen. Jechał on bardzo wolno i prosto pod krematorium. Tam wywalał ładunek ciepłych jeszcze trupów, wietrzono wóz i ładowano chorych z rewiru, których jakoby wieziono do Mauthausen, gdzie mieli ich leczyć w specjalnie dobrych warunkach. Właśnie latem 1942 roku widziałem te samochody, jak w ciągu dnia jeździły pod krematorium i rewir. Były one szczelne – bez okien – tak jak samochody lodówki do przewozu mięsa lub ryb. Jechały wolno dlatego, żeby był czas na wyduszenie zawartości. Nie wiem, czy wpuszczano im gaz. Mówiono, że do środka załączona była rura wydechowa i ludzi duszono gazami spalinowymi.

W obozie znów pokazały się wszy, które kazano wytępić. Po Nowym Roku na bloku czwartym blokowym został Emil Lipiński, Niemiec z obecnych zachodnich terenów Polski. Mówił nieźle po polsku. Przystojny, elegancki chłop, sportowiec – boks i piłka nożna – artysta i pierwszorzędny bandyta z arystokratycznymi manierami. Znaki szczególne: mała lilia wytatuowana nad lewą dłonią, w tym miejscu, w którym nosi się zegarek. Klął ten tatuaż i chciał go zniszczyć. Wreszcie zezłościł się, brzytwą chlasnął rękę w kwadrat i zerwał skórę razem z tatuażem. Taki człowiek został blokowym i obiecał, że na jego bloku nie pokaże się wesz. Pierwsze – czystość. Codzienne szorowanie podłóg. Drugie – codzienne kontrole bielizny. Porobił grupy po dwadzieścia osób i każda grupa miała swego kontrolera Niemca. Codziennie przed kolacją kontrola. Przed podejściem do kontroli każdy z nas długo szukał w bieliźnie. Kontrolowaliśmy każdy odcinek koszuli i mimo to znajdował codziennie jedną–dwie wszy. Gdy nas kontrolował Niemiec, to nie śmiał nic znaleźć, bo jedna znaleziona wesz – to śmierć. Pasażera uśmiercano, a kontroler stawał się właścicielem jego kolacji. Taki starał się wyszukać – a my staraliśmy się, żeby nie znalazł. Były wypadki, że Niemiec zobaczył wesz. To więzień mówił cicho: „Oddam ci swoją porcję". I taki nieraz nic nie mówił, a po kolacji otrzymywał chleb. Śmieszne, co? Wartość ludzkiego życia równała się wartości dziennej, głodowej porcji chleba. Zanim mnie przeniesiono na blok dwudziesty trzeci – na wykończenie – byłem świadkiem wykończenia dwóch ludzi, u których znaleziono wesz. Pierwszy to Niemiec, który dopiero był kilka tygodni w Gusen – przedtem był w Dachau i brał wszystko tak, jakby to tam było. Gdy znaleziono wesz, Lipiński z miną artysty przemówił do niego:

– No cóż, brudas jesteś – masz wszy.

Zawołał pomagiera Niemca, który miał w gębie tylko jeden ząb.

– Patrz – rzekł do niego – on jest brudny, umyj go.

Ten wziął kołek w rękę, zawołał delikwenta i poszedł z nim do umywalni, a ja i Kornacki za nimi, żeby zobaczyć, jak będzie go wykańczał.

– Rozbieraj się! – wrzasnął bandyta.

– Co ty? Zwariowałeś? Przecież jest mróz, mogę się zaziębić.

Ale jak dostał kilka razy dobrze kijem, rozebrał się. Bandyta odkręcił prysznic i każe mu wchodzić pod wodę.

– Przecież ja mogę dostać zapalenia płuc! – bronił się tamten.

I znów dopiero kij przemówił mu do przekonania. Wszedł pod kran. Co chwila chciał wyskoczyć spod lodowatej wody, a Kuchencan – tak nazywali tego Niemca – krążył koło niego i kołkiem wpędzał go pod wodę.

Kornacki nie wytrzymał. Podszedł do niego i mówi:

– Kuchencan, puść go! Ty jesteś Niemiec i on też Niemiec. Co ci z tego przyjdzie, jak go utopisz?

Spojrzał na Kornackiego tak, że myślałem już, że i on kijem dostanie, ale nie. Machnął ręką i wyszedł z umywalni. Kąpany Niemiec wziął pod rękę ubranie, wyszedł z umywalni i wszedł tak, jak był, nago, do ustępu. Załatwiał się pod ścianką i mówił: „To bandyci, za jedną wesz człowieka zabiją". Słyszał to van Loosen, który już wychodził z ustępu. Wrócił na blok i powiedział Lipińskiemu. Gdy kąpany Niemiec wszedł nago z ubraniem w ręku do bloku, Lipiński już na niego czekał.

– Co ty tam mówiłeś w ustępie? – zapytał i uderzył go w twarz, że od razu nakrył się nogami. – Podnieś się – powiedział spokojnie. – Kuchencan, patrz, jak ty go myłeś? Zobacz, on jest cały brudny. Umyj go jeszcze raz.

I znów to samo od nowa – prysznic i bicie – i znów Kornacki przemówił do niego. Zostawił go. na bloku chłopaki masowali go, przykryli kocami – nie wiem, dlaczego w nocy umarł. Chyba od bicia, bo na zapalenie płuc chybaby tak szybko nie umarł. Mnie trzymali pod wodą tylko dziesięć minut. Fakt, że już byłem sztywny, ale nikt mnie nie rozcierał i nic mi nie było – rano poszedłem do pracy.

W drugim przypadku wesz znaleziono u Czecha. Z tym załatwili się inaczej. Przełożyli przez stołek i kijami bili w tyłek. Pomagier siedział mu na głowie i ciągnął mu ręce do tyłu, z jednej strony bił Lipiński, a z drugiej leworęki kapo, kowal, potężny chłop. Bity ryczał nieludzkim głosem. Gdy dostał pięćdziesiąt uderzeń, puścili go i Lipiński kazał mu opuścić spodnie. Gdy opuścił, okazało się, że

jądra przesunęły mu się do tyłu, i bili go kijami po jądrach, z których zrobił się duży balon napełniony krwią. Spojrzeli się na siebie… i Lipiński uderzył go w twarz, a gdy się przewrócił, obydwaj skoczyli na niego z nogami. Słychać było tylko trzask łamanych kości. Zaraz potem w kocu zaniesiono go na rewir, a za pół godziny przyniesiono na sztubę jego ubranie.

To było ciekawe życie! Wszędzie niebezpieczeństwo – selekcje, kąpiele, śmierć za wszy, wybieranie do utopienia, nie mówiąc o normalnym biciu na bloku, apelach, zbiórkach, ćwiczeniach i w pracy. I tak było przez cały rok 1941 i 1942 – a do tego jeszcze ciągły przeraźliwy głód. Ludzie padali jak muchy. na każdym apelu za każdym blokiem leżało kilku „zmarłych" lub umierających. Umierający, wynoszeni nago do umywalni, obowiązani byli do rana umrzeć. Przecież zima, a oni nago na betonowej posadzce… Kłopot mieli pisarze blokowi, bo zapisali ich wszystkich nieraz jako zmarłych, a tu rano okazuje się, że niektórzy jeszcze żyją. Wtedy pomagano im troszeczkę i apel się zgadzał. Pomoc polegała na włożeniu w usta końca węża do polewania i puszczeniu wody. Pacjent zupełnie prawidłowo topił się – bo przeważnie był już nieprzytomny. Niektórzy wynajdywali nowe metody uśmiercania – na przykład przez wetknięcie skuwki węża do odbytnicy i puszczenie wody. Woda rozrywała wnętrzności. Kiedyś widziałem, jak blokowy postawił pacjenta przed blokiem, na mrozie. Przywiązał go paskiem, nalał mu za kołnierz wiadro wody i kazał stać bez ruchu. Nie miałem czasu przyglądać się, ale mówiono mi, że po pewnym czasie przewrócił się i został odniesiony już nago do umywalni.

Doktor Gosiński, chirurg z rewiru, obliczył, że w Gusen stosowano kilkadziesiąt sposobów mordowania ludzi. Po masowym wykąpaniu „inwalidów" na bloku trzydziestym drugim założono blok inwalidzki, który dość długo egzystował. Posyłano tam ludzi słabych i niektórych rekonwalescentów z rewiru. na bloku trzydziestym drugim „umierało" kilkadziesiąt osób dziennie. Blokowym był tam Karl, mój sztubowy z trzynastego bloku w Mauthausen. Nie bił ludzi. Jego metoda polegała na tym, że ludzi wpuszczał do bloku tylko spać – a od rana do nocy trzymał ich przed blokiem. Stali ustawieni w dziesiątki i nie wolno było im chodzić ani się poruszać. Blok był ogrodzony płotem –

i nie wolno było nikomu tam wchodzić ani też wychodzić. Przez dziury w płocie wiele razy widziałem tych ludzi stojących bez ruchu na mrozie. Gdy który upadł, układano go pod blokiem. Raz miałem okazję być w środku. Wieczorem kręciliśmy się z Kornackim po placu apelowym, w pobliżu kuchni. Kto wie, może uda się zorganizować coś do jedzenia albo do palenia. Raptem Karl szczeknął na nas, miał on szczekliwy głos, i kazał iść za sobą do kuchni. Tu kazał nam zabrać skrzynkę z porcjami kiełbas i zanieść na blok trzydziesty drugi. za odniesienie dostaliśmy po pięć kiełbas i po trzy ćwiartki chleba, które od razu wieczorem zjedliśmy. Gdy weszliśmy po schodkach, w sieni leżało kilku ludzi jeszcze żywych, bo się ruszali, a jakiś pomagier polewał ich wodą. Gdy wychodziliśmy, przewracał ich na drugą stronę, a pełne wiadro wody już stało obok. Tak pomagano im rozstać się z życiem.

Oto co mnie czeka, pomyślałem sobie, jeśli zmuzułmanieję, a żaden kapo nie zabije mnie przy pracy: albo blok trzydziesty drugi, albo samochodem do Mauthausen na „kurację", albo w najlepszym wypadku „szpryca". Później był jeszcze „banhof" – dworzec do nieba.

„Szpryca" to zastrzyki uśmiercające. Z początku w serce, później udoskonalono i robiono dożylnie. Tymi sposobami uśmiercano tylko w rewirze. Facet nago siadał na stołku, głowę kazano mu odwrócić w drugą stronę, zastrzyk dożylny – i gotów. „Szpryca" w serce była chyba mniej przyjemna. Podglądałem raz przez okno – dostałem w mordę i wybili mi ząb; to już trzeci. Uciekałem tak, że nawet nie wiedziałem, kto mnie uderzył, bo mogli i mnie zaszprycować. Albo – co było pewniejsze – ten, co mnie uderzył, nie wiedział, co robią w środku, za tym oknem. Bo gdyby zobaczył, toby mnie już dawno nie było. Wyglądało to tak: „Pacjent" wchodził nago z korytarza do pokoju. Tu jeden sanitariusz łapał go wpół i trzymał ręce, drugi w tym czasie pchał mu w usta kawał ligniny – nazywaliśmy to hammer-narkozą (młotkowa narkoza). Wtedy podchodził esesman z wielką strzykawką z długą igłą na końcu, wbijał igłę w serce – i od razu trup. Nieboszczyka wciągano do drugiego pomieszczenia, chwila przygotowania i… następny proszę! Ci, którzy szli na „szprycowanie", wiedzieli, gdzie i po co idą. Niektórzy czekali kilka dni, aż zbierze się większa partia. Trzymani byli w pomieszczeniu

w rodzaju odrutowanej klatki – nago – i każdy miał już kopiowym ołówkiem obrysowane serce, a w środku tego kółka punkt, w który należy wbić igłę. Opowiadał mi o tym Stasiek Nowocin z Radomia, który w tej klatce siedział już dwie doby, a wyciągnął go blokowy bloku rewirowego, wyżywił go i chłopak przeżył.

„Banhof" znów – to wydzielona część na jednym bloku rewirowym, w którym stały dwa trzypiętrowe łóżka, na podłodze słoma, a w pomieszczeniu przeciętnie czterdzieści osób. Obliczyliśmy powierzchnię „banhofu" i wyszło nam, że było to pomieszczenie o powierzchni osiem na dwa osiemdziesiąt metra. Osiem metrów – to szerokość bloku, dwa osiemdziesiąt – to wydzielona część z długości bloku. Sam nigdy tam nie byłem, lecz opowiadało mi o tym kilku kolegów – między innymi Janek K., który ostatni rok pobytu leżał na rewirze, a zmarł dopiero w 1948 roku na gruźlicę. do tego pomieszczenia wrzucano ludzi przeznaczonych do wykończenia – nago – i już nie dawano im nic do jedzenia, a tylko każdego rana usuwano zmarłych. Słomę zmieniano raz na kilka miesięcy. Nieraz jakiś zbytny pracownik rewiru wrzucił im ze dwie porcje chleba i przyglądał się, jak ludzie biją się w zwolnionym tempie o ten chleb. Piszę „w zwolnionym tempie", bo widziałem kiedyś taką walkę na bloku. Blokowy chciał się zabawić, więc przyniósł bochenek chleba i kawał margaryny – wyszukał dwóch najgorszych muzułmanów i kazał im się bić. Który wygra, ten dostanie chleb i margarynę. Co to była za komedia! Walka jak na filmie w zwolnionym tempie. W końcu, gdy już dosyć było radości, blokowy przerwał „walkę" i wydał salomonowy wyrok: „Żaden nie zwyciężył". Więc podzielił chleb i margarynę na połowę. na „banhofie" w końcu 1944 roku zginął mój kolega, Henryk Gajger z Otwocka.

Do tych metod dochodziły jeszcze operacje chirurgiczne, które podobno przeprowadzał jeden z lekarzy SS na rewirze. Piszę „podobno", bo nie rozmawiałem z żadnym z operowanych – powtarzam tylko to, o czym wszyscy głośno w obozie mówili. Wybierał on codziennie kilku więźniów, na których przeprowadzał różne operacje – nie według choroby więźnia, lecz według własnej potrzeby. Operował, zaszywał i „szpryca". Raz nabrał ludzi z tych, którzy zgłosili się na opatrunki, to przez kilka dni nikt na opatrunki

się nie zgłaszał. Jak lekarz ten wchodził do rewiru, to zdrowsi chorzy uciekali przez okna aż do chwili, gdy już wybrał dla siebie ludzi do operacji.

Można było też zginąć za posiadanie na ciele ładnego tatuażu. Był taki lekarz SS, który kochał się w ładnych tatuażach. Chodził po terenie pracy i jak u kogo zauważył ładny tatuaż, to zapisywał numer. Po kilku dniach wzywał go do rewiru, „szpryca", zdejmował skórę z tatuażem, wyprawiał ją i robił z niej album. Chodziły pogłoski, że w obozie wyrabia się różne rzeczy z ludzkiej skóry. Nie chciałem w to wierzyć. Przekonałem się dopiero w 1943 roku – na bloku trzynastym – gdy już robiłem w tunelach. Blokowy, zły na jednego Niemca, który zajmował coś w rodzaju osobnego pokoiku, w ciągu dnia (ja robiłem wtedy na nocną zmianę) wyrzucił mu wszystkie jego manatki na środek sztuby. Były tam najrozmaitsze śmiecie – jakieś wypchane ptaki i… kilka arkuszy ludzkiej skóry. Była to na pewno ludzka, jeszcze niewyprawiona skóra. Brałem całe kawały do rąk i przyglądałem się z bliska. Były skóry z tatuażami, było kilka skór z całych piersi – owłosienie, brodawki i włosy pod pachą. Jedną nawet przyłożyłem do piersi, żeby stwierdzić, że się nie mylę. Wtedy uwierzyłem, że te rzeczy się robi.

Chyba w pierwszych dniach listopada 1941 roku przywieziono pierwszy transport rosyjskich jeńców wojennych – pierwszy i ostatni – bo następne transporty były cywilne. Przywieziono ich pięć tysięcy. W tym celu odgrodzono bloki trzynasty, czternasty, piętnasty, szesnasty, dwudziesty pierwszy, dwudziesty drugi, dwudziesty trzeci i dwudziesty czwarty, okna zabito gęstymi siatkami – żeby nie było kontaktu z nami – a nad wejściem do tych bloków umieszczono wielką tablicę: „Obóz jeńców wojennych". Byczo – nie? Nikt nie może powiedzieć, że jeńców wojennych wsadzano do obozu koncentracyjnego. Obóz w obozie – i obydwa dobre.

Transport ten został całkowicie wykończony do kwietnia 1942 roku. Ostatnich pięćdziesięciu sześciu jeńców ubrano w pasiaki i rozdzielono na nasze bloki – w ten sposób został zlikwidowany

„obóz jeńców wojennych”, a bloki te stały się znów normalnymi blokami. Wykańczano ich głodem, gazem wpuszczanym do bloków w czasie styczniowego gazowania bloków. Tak zagazowano blok rewirowy (mieli swój) razem z ludźmi. Jeden blokowy, jak chciał zjeść sześć porcji kiełbasy na kolację, to wołał swoich pomocników i palcem pokazywał im sześciu ludzi, których szybko topiono w beczkach, a blokowy miał dobrą kolację. Rosjanie ci chodzili osobno do roboty. Gdy jednego dnia wychodzili przed naszą grupą, jeden oficer SS rzekł do drugiego, pokazując na idących Rosjan:

– Zobacz, to są ci, którzy nam chcieli przynieść swoją kulturę.

– I przyniosą – odezwał się półgłosem Stasiek Kornacki, idący obok mnie. – Ja bym ciebie tu, byku, wsadził w te warunki, zobaczyłbym, jak byś ty wyglądał.

Śmieszny wydał mi się fakt, że rozstrzelano w obozie dwóch oficerów za to, że posiadali jakieś najwyższe odznaczenia radzieckie. Wydał ich jeden ze współwięźniów. Przecież rozstrzelanie to była łaska w porównaniu z warunkami, w jakich wykończono innych.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Drugie święta w obozie. Nie ma co jeść, nie ma co palić. Głód, chłód, smród, nędza i ubóstwo. Dali nam kilka razy ser topiony, nadziewany robakami. Niektóry był taki, że było kilka robaków, a w innych papierkach były robaki, a sera prawie wcale…

Na święta dostaliśmy – pierwszy raz od stycznia – po dziesięć papierosów, francuskich „guluazów” – tak je nazywano. ze Stachem Kornackim sprzedaliśmy po pięć sztuk za chleb, resztę wypaliliśmy w święta, a chleb razem z własną porcją zjedliśmy spokojnie w Wigilię. W pierwszy dzień świąt zarobiłem pół bochenka chleba, którym podzieliłem się z Kornackim, i pół bochenka dostałem od B. Te pół od Heńka to już zjadłem sam. Tak że w zasadzie w Wigilię zjadłem pół bochenka i swoją porcję. W pierwszy dzień świąt swoją porcję, pół bochenka od Heńka, a do tego dodatkowa zupa od Heńka i ćwiartka wygrana – tak że było nieźle. W drugi dzień świąt – dzień jak co dzień, tylko bez pracy.

W Wigilię po południu poszedłem do Heńka. Chciałem mu złożyć życzenia świąteczne, z nadzieją, że odpali mi na święta kawałek chleba. Poprosiłem jednego, by go zawołał. Heniek nie podszedł do okna, a widziałem go i on mnie widział. Czekałem na mrozie więcej jak pół godziny. Wreszcie znów poprosiłem, żeby go zawołano. Podszedł do okna i podając mi pół bochenka chleba, powiedział ze złością:

– I czego wołasz? Wiem, że jesteś, i jak mam ci dać, to i tak dostaniesz – nie musisz wołać. Jak drugi raz będziesz wołać, to nic nie dostaniesz.

Już brałem chleb do ręki i puściłem. Wykręciłem się i bez słowa, wolno wróciłem na blok. „Boso, ale w ostrogach", jak to ja mówiłem. Jałmużna? Tak – ale nie w takiej formie. Ciężkie to było dla mnie przeżycie. Wiedziałem, że już więcej nie pójdę do niego po zupę, i wiedziałem, że teraz będę miał jeszcze większy głód – ale nie pójdę.

W pierwsze święto Heniek przyszedł do mnie, przyniósł mi chleb, powiedział mi, że jestem głupi, że się obrażam, że powiedział tak tylko dlatego, że był zły z innego powodu, a odchodząc, przypomniał, żeby w południe przyjść po zupę – i tak wszystko zostało po staremu.

Gdy jednego dnia czekałem za oknami na Heńka, miał mi podać żarcie – wiosną 1942 roku – fryzjer z fryzjerni SS wyjrzał przez okno i mówi:

– Zjeżdżaj stąd!

– Nie chcę, nie na ciebie czekam.

– Zjeżdżaj, bo dostaniesz po łbie.

– A spróbuj – mówię. Ten cholernik wyskoczył przez okno i tak grzmotnął mnie trepem w łeb, że usiadłem. A tu już Heniek trzyma go przy ścianie baraku, stuknął nim o barak i mówi spokojnie:

– Co, taki z ciebie bohater? Muzułmana uderzyć, a może na mnie się porwiesz, co?

Puścił go. Tylko ja jeszcze krzyknąłem za nim:

– Czekaj k... twoja mać łachudro! Ja ci się odegram.

Długo przyszło mi czekać na odgrywkę, ale doczekałem się. W lecie 1944 roku uderzył muzułmana za to, że stał pod blokiem. Wtedy ja mu dałem. Pewnie dawno nie dostał tak jak wtedy ode mnie. Pierwsze

uderzenie łbem, a po tym pod nogi. Gdy już mnie od niego odłączyli, przypomniałem mu, co mu obiecałem przed dwoma laty. Bohater, cholera – muzułmanów bić.

Wspominałem, że w pierwsze święto wygrałem pół bochenka chleba. Wygrałem na konkursie kawałów. Koledzy kamieniarze powiedzieli, że na jednym bloku odbywa się taki konkurs. Zapisałem się i ja – byłem na końcu listy. Opowiadali różne kawały – o księżach, o dupach – tylko nikt nie powiedział politycznego. Ja zagrałem na całego i powiedziałem taki kawał:

W niemieckiej szkole nauczyciel pytał dzieci, u kogo w domu jeszcze nie ma portretu Hitlera. Wstało troje dzieci. „Dlaczego u ciebie nie ma?", pyta nauczyciel pierwszego. „Ano, bo mój tatuś pracuje w ministerstwie wojny, to u nas wisi portret Göringa". „No, dobrze", mówi nauczyciel, „ale portret Hitlera też musi wisieć. A u ciebie dlaczego nie ma?". „Bo mój tatuś pracuje w ministerstwie propagandy, to u nas jest portret Goebbelsa". „Ale portret Hitlera też musi być, powiedz w domu. A u ciebie dlaczego nie ma?", pyta trzeciego. A chłopak mówi z zażenowaniem: „No, bo, proszę pana profesora, mój ojciec jest teraz w obozie koncentracyjnym. Ale to nic", mówi szybko, „powiedział, że jak wróci, to wszystkich trzech powiesi".

Brawo! – i przyznana nagroda, pół bochenka chleba. Święta, po świętach i Nowy Rok, 1942. Chyba gdzieś w drugiej połowie stycznia, ponieważ znów pokazały się wszy i były wypadki tyfusu, w obozie zrobiono ogólną weszkontrolę. Kolejno blokami szło się na blok trzynasty nago, tylko w butach, i tam sprawdzali, czy nie ma wszy i gnid na owłosieniu w kroku i pod pachami, a w tym czasie inna grupa kontrolowała bieliznę i ubrania nasze pozostawione na bloku. Tego dnia miałem awanturę na sztubie – z jednym Niemcem. Ale nie byłem mu dłużny. Walnąłem łbem, poprawiłem pięścią i uciekłem na dwór, bo on był dużo silniejszy niż ja i byłby mi dobrze wlał. Wkrótce po tym incydencie rozebraliśmy się i nago, tylko w butach, poszliśmy do kontroli.

Niewiele brakowało, a byłbym za to uderzenie zapłacił życiem. Po skończonej kontroli wróciliśmy na blok, ubraliśmy się – i kazano nam wychodzić na dwór. W drzwiach stał sztubowy i każdemu

wychodzącemu zaglądał za kołnierz koszuli. Mnie odstawił na bok, a potem jeszcze czterech. Gdybym wiedział, czym to pachnie, to jak zwykle, gdy czaiło się niebezpieczeństwo, wylazłbym przez okno. Tym razem nic nie czułem, jak idiota nie zastanowiłem się, po jaką cholerę on zagląda pod kołnierz koszuli i czego tam szuka. Po ubraniu się, jeszcze przed kontrolą kołnierzy, widziałem, jak Niemiec, którego uderzyłem, rozmawiał ze sztubowym i pokazywał na mnie. Po zakończonej kontroli pisarz blokowy zaprowadził nas – chyba osiem osób – na blok dwudziesty trzeci.

W styczniu bloki dwudziesty pierwszy, dwudziesty drugi, dwudziesty trzeci i dwudziesty czwarty już stały puste. Rosjanie już z łatwością mieścili się na pozostałych czterech blokach. Nie opisuję z detalami wszystkich istniejących mordowni. Opisuję te przypadki, w których sam brałem udział albo które miały wpływ na moje losy. Tak więc nie opisuję z detalami metod wykańczania jeńców wojennych lub karnej kompanii w Gusen, którą wykończono prawie całkowicie na naszych oczach, gdy pracowałem w Górnym Kamieniołomie, ponieważ nie miało to żadnej bezpośredniej łączności z moim życiem w obozie. Dlatego i tu stwierdzam tylko, że z ośmiu bloków, które w listopadzie były zajęte przez Rosjan, w drugiej połowie stycznia cztery z nich już były wolne i na jeden z nich – blok dwudziesty trzeci – przeniesiono mnie w drugiej połowie stycznia 1942 roku z bloku czwartego.

W ciągu dnia przybywały wciąż nowe grupy i razem zebrało nas się sto dwadzieścia pięć osób – umieszczonych na jednej sztubie. Łóżek tu nie było, spaliśmy na siennikach, jeśli to, co nam dali, można było nazwać siennikami. Spokojne mieliśmy tam życie. Nikt nas nie bił, nikt nie wyganiał na dwór, a na dworze prawie przez cały czas mróz dochodził do czterdziestu pięciu stopni. Siedzieliśmy tam trzy tygodnie.

Od początku wiedzieliśmy, że wszystkich nas wykończą, nie wiedzieliśmy tylko – gaz czy „szpryca". Wszyscy, których przyprowadzono na blok dwudziesty trzeci, mieli na kołnierzu narysowany krzyż niebieskim ołówkiem – pokazywali mi. Pokazywali, bo ja mimo dokładnych poszukiwań krzyża na kołnierzu ani pod kołnierzem, ani gdzie indziej nie znalazłem. Wtedy przypomniałem sobie

rozmowę Niemca ze sztubowym i jak sztubowemu wskazywał na mnie. Sztubowy widział, gdzie i po co nas wysyła, i w ten sposób chcieli mi zapłacić za uderzenie Niemca. Wieczorem tego samego dnia zabrano nam ubrania, wygolono wszędzie, gdzie był chociaż jeden włos, położono na siennikach, a do przykrycia dali jeden, nieraz podarty koc na trzech i ten jeden koc na trzech dawali przez cały czas. Kładliśmy się, a dopiero wtedy władze blokowe rozdzielały koce – jeden na trzech i później na wierzch kładliśmy jeszcze swoje płaszcze, bo buty i ubranie kładliśmy pod głowę zamiast poduszek. W Gusen nigdy nie mieliśmy żadnych podgłówków. Gdy byłem „prominentem", kazałem sobie uszyć poduszkę wypchaną szmatami, a zawsze spało się z ubraniem pod głową, bo to i wyżej było, i była większa pewność, że nikt nic nie ukradnie. Mimo nadziei szybkiej śmierci humor i apetyt nie opuściły mnie. Może dlatego, że inni byli osowiali i nic ich nie interesowało, ja zgarniałem ze stołu „władz" prawie wszystkie łupiny od kartofli, co łącznie z moją porcją nieźle zapychało mi żołądek. Heniek przysyłał mi trzy razy po porcji chleba i po kilka papierosów. Gdy już w obozie wiedzieli, że z nami będzie koniec, przestano się nami interesować. od czasu do czasu przyszedł tylko ktoś pod druty porozmawiać z kimś od nas. do mnie kilka razy przyszedł Kornacki. Prosiłem go, żeby poszedł do B. i powiedział, że ja nie narzekam na brak apetytu i chętnie coś zjem. Heniek sam przyszedł tylko raz, a pozostałe dwa razy chleb i papierosy przysyłał przez Kornackiego. za palenie papierosa dostałem kiedyś dobrze od blokowego po mordzie. Paliłem w sieni, bo nie chciało mi się iść z paleniem do odległego ustępu przy czterdziestu pięciu stopniach mrozu. Wystarczyło, jak poszedłem za właściwą potrzebą, żeby przez kilka minut zmarznąć na kość. Stało nas w sieni kilku, gdy wszedł blokowy, a ja w tym momencie miałem papierosa w ustach. Jak dostałem w pysk, to mi papieros wypadł z ust, a blokowy lał. Ogłupił mnie. Zapytał o coś, a ja nie mogłem go zrozumieć, więc bił dalej. Pytał kilka razy o coś i kilka razy poprawiał bicie. Wreszcie w momencie wytchnienia ktoś inny po polsku powiedział mi, że blokowy pyta, czy wiem, za co on mnie bije.

– Wiem – wrzasnąłem po niemiecku. – za palenie papierosa.

– No widzisz – mówi blokowy spokojnie – trzeba było od razu powiedzieć, a nie biłbym ciebie.

Kazał mi podnieść swój niedopałek i ponieważ za palenie dostałem, to już mogłem w sieni dokończyć palenie. Głupia fantazja – wlał mi, bo miał widocznie ochotę komuś wlać. W zasadzie nie był złym chłopem, powiedziałbym nawet, że był z niego dobry chłop. W sztubie prawie nie wiedzieliśmy o jego obecności. A może to ze strachu przed tyfusem. Bo tych stu dwudziestu pięciu – to ci, u których w czasie kontroli znaleziono wszy albo gnidy i jako tacy uważani byli za nosicieli tyfusu. Dlatego mieli nas wszystkich wykończyć. W czasie tych trzech tygodni naturalną śmiercią zmarł tylko jeden człowiek. Umarł dlatego, że w nocy zlewał się, więc blokowy z siennikiem i jednym kocem kazał mu mieszkać w ustępie. Po dwóch dniach już nie wstawał z łóżka, a chyba po czterech już nie żył. Umarł z powodu siusiania pod siebie, a u nas nikt nie miał swojego siennika. Rano wszystkie sienniki zwalało się na kupę w końcu sztuby, a na sienniki układano koce. na kocach tych nie wolno było nikomu siadać. To było trochę przykre, niewygodnie było siadać na ziemi, a niczego innego nie było w sztubie.

Razem ze mną z naszej sztuby z bloku czwartego przyszedł młody chłopak. Miał on osiemnaście lat, na imię Selwin, nazwiska nie pamiętam – z Łodzi. Przeżył obóz i wyszedł na wolność. Był on kamieniarzem w halach Kastenhoffen – na dole.

Po przejściu na dwudziesty trzeci blok tego samego dnia powiedział mi, że czuje się źle, że ma gorączkę. Kazałem mu o tym nikomu nie mówić – tu już byłem trochę mądrzejszy niż na bloku czwartym, gdzie tak głupio dałem się złapać w pułapkę. Ale naszą rozmowę słyszał jeden Czech (który w 1942 roku wykończył się).

Trzeciego dnia pobytu na bloku dwudziestym trzecim wpadli lekarze esesmani, a z nimi doktor Gosiński. To, że nas wszystkich nie wykończono, mamy podobno do zawdzięczenia doktorowi Gosińskiemu z rewiru, który tłumaczył Niemcom, że szkoda ludzi, którzy jeszcze mogą pracować. Uśmiercić tych, którzy mają tyfus, resztę potrzymać kilka dni, czy nie wyniknie coś nowego, i jeśli nie – to wysłać do roboty. I tak zrobili. Jeden z esesmanów trzymał w ręku strzykawkę o pojemności chyba ćwierć litra – taką samą jak ta, którą widziałem wtedy, gdy podglądałem, jak „szprycują" ludzi. Wesoło będzie, pomyślałem. A tu przemowa do chińskiego ludu – doktor Gosiński przetłumaczył nam po polsku. Brzmiało to mniej więcej tak:

„Pokazał się w obozie tyfus. Kto ma temperaturę, niech się zgłosi – będzie leczony i uratowany, bo później na ratunek będzie już za późno i taki człowiek musi umrzeć”.

Postawiono na nogi pięciu leżących i na ochotnika zgłosiło się jeszcze czterech z wysoką temperaturą.

– Nikt więcej nie ma gorączki? – padło pytanie.

– Ty masz – mówi Czech i wypycha Selwina z szeregu.

Grzmotnąłem go łokciem w żołądek, że tylko beknął, zwinął się w dół i może dlatego nie widział, jak „władze” spojrzały w naszym kierunku. Złapałem Selwina za rękę i mówię: – Stój, nie wyłaź! – I po chwili przesunąłem się z nim na inne miejsce, żeby stać dalej od zdradliwego Czecha.

W ten sposób przypadła mi opieka nad Selwinem. Po chwili „władze” razem z chorymi opuściły barak. Nie więcej chyba jak po dziesięciu minutach wyszedłem do ustępu. Gdy po chwili wychodziłem z ustępu, widzę, że woła mnie esesman, który stoi w drzwiach dwudziestego drugiego bloku. Nie wiedząc, o co chodzi, dla pewności puściłem się biegiem do swojego bloku. Zanim jednak dobiegłem do drzwi, już mnie złapał. Skończyło się grzecznie: na uderzeniu w twarz. Złapał mnie i jeszcze dwóch i zabrał na dwudziesty drugi blok. A tam, w kapówce pustego bloku, ładnie – jak śledzie – jeden obok drugiego, nago, dziewięć świeżutkich trupków. Już „wyleczeni”.

Kazano wynieść nam trupy do umywalni. Złapałem jednego za nogi, które jak dyszle wsadziłem sobie pod pachy, i wio! – biegłem do umywalni. Słyszałem tylko, jak głowa podskakiwała po stopniach. Esesman stał na stopniach bloku, więc pobiegłem po drugiego, a gdy odwiozłem drugiego i wychodząc, nie zauważyłem esesmana – na wszelki wypadek uciekłem na swój blok. Każdy z nieboszczyków miał kroplę krwi na piersiach na wysokości serca, a kilku z nich widocznie w chwili „zabiegu” oddało kał.

Pierwszego dnia pobytu zabrano nasze ubrania do parowania i spaliśmy we trzech przykryci tylko jednym kocem. Tak wypadło, że dla mnie i Selwina przypadł jeden koc, do którego mieliśmy jeszcze wspólnika. Zimno było w nocy pod takim marnym przykryciem. Następnego dnia oddano nam ubrania, ale postanowiłem

zorganizować koce. Codziennie, gdy czułem, że już niedługo rozpocznie się słanie, zabierałem Selwina i kręciliśmy się przy kocach. Starałem się rozpoznać, który „siennik" ma więcej wiórów, a także w momencie nieuwagi obsługi wsadzałem drugi koc, a nieraz trzeci i czwarty – do tego jeden koc na siebie, za pasek i w spodnie, i jeden na Selwina. Biorąc po kilka koców, nie krzywdziłem nikogo, ale myślę, że gdybym nawet krzywdził – to też bym tak robił, bo przecież Selwin był chory. Selwin w nocy był taki gorący, że aż po prostu parzył. W nocy tracił przytomność i majaczył. Prawie nic nie jadł. Ja zjadałem większą część jego zupy obiadowej i chleba i ukrywałem przed wszystkimi jego chorobę. Szkoda mi było chłopaka i – co tu dużo mówić – żarcia, które od niego brałem, też mi było szkoda, bo gdyby go uśmiercili, to koniec z dodatkowym jedzeniem. Ale okazało się, że nie chodziło mi tylko o żarcie, bo gdy dostałem pierwszą paczkę świąteczną (w końcu stycznia), sam zjadłem tylko chleb (a nie było go dużo – kawałek) i trochę smalcu, a ciasto, cukier, miód i masło oddałem Selwinowi. Paczka miała jeden kilogram i była – przypuszczam – od księdza Szuberta. Było tam pół kilograma chleba i chyba po dziesięć dekagramów masła, smalcu, miodu, cukru, maleńki topiony serek, kawałątek kiełbasy i kawałeczek ciasta. Dwa dni przed końcem kwarantanny Selwin przestał gorączkować i odzyskał apetyt.

Tak więc to, co miało być naszą zgubą, przez ironię losu wyszło nam na zdrowie. U siebie, w bloku, Selwinowi nie udałoby się ukryć choroby, bo to i praca, i apele na mrozie – i kto wie, czyby go to nie uśmierciło, nie mówiąc już o możliwości „szprycy". A na bloku dwudziestym trzecim apele odbywały się na sztubie, a on w ciągu całej doby musiał wychodzić tylko do ustępu, a jadł bardzo mało. Chciał dużo pić, a nie było co, to tylko wieczorem wypijał swoją i moją kawę. Moja wieczorna kawa przez cały okres gorączkowania była dla niego.

W tym czasie wymarło tyle osób w obozie, że nie było komu wykonywać najniezbędniejszych robót. od grudnia zwaliły śniegi, tak że tylko część ludzi w obozie pracowała. Dużo ludzi wydusiły mrozy, a przez cały czas nie dochodziły żadne nowe transporty. I to nas

uratowało – tych sto dwadzieścia pięć osób na bloku dwudziestym trzecim.

Po ukończeniu kwarantanny rozdzielono nas po różnych blokach. Ja dostałem się z kilkoma innymi na blok osiemnasty. Blok, w którym „rządzili" Hiszpanie. Blokowym był Niemiec – reszta Hiszpanie. Poszliśmy tam po południu, a wieczorem przydzielono nam łóżka. Obok mnie spał Janek Pażuchowski, z Pułtuska. od razu umówiliśmy się, że będziemy spali w jednym łóżku, żeby było cieplej. na sztubie dużo łóżek było wolnych, zajętych była może jedna trzecia. Wtedy dopiero zobaczyłem, jak wymarł obóz przez te trzy tygodnie mrozów.

Zaraz pierwszego wieczora zobaczyłem egzekucję. Przed kolacją sztubowy – Hiszpan – wywołał innego Hiszpana, kazał mu się położyć na stole i bił go kołkiem po tyłku, po krzyżu i po plecach. Delikwent wrzeszczał, ale inni trzymali go za głowę i nogi. od Janka dowiedziałem się, że już przez tydzień biją go tak codziennie za to, że naszczał w nocy w miskę. Kazali mu to wypić, zbili go i kazali iść na druty – a że on się uparł, że nie pójdzie, to oni uparli się, że go wykończą. Po kilku dniach, gdy po nowym biciu już nie mógł sam wstać, rozebranego do naga wyniesiono do umywalni i do rana już był trup. Drugim, którego kilka dni później uśmiercono, był adwokat z Bydgoszczy – cichy i spokojny facet. Miał biegunkę i w nocy stwierdzono, że zapaskudził łóżko i podłogę, gdy chciał pobiec do ustępu – a od bloku osiemnastego do ustępu był kawał drogi: pół bloku osiemnastego, uliczka wszerz, cały blok dziesiąty, druga uliczka wszerz i dopiero ustęp dla bloków dziesiątego i osiemnastego. W nocy zapalili światło i na zmianę bili go kołkami, a był on tylko w koszuli. Dołem był cały zlany krwią. Cholera brała ich, że człowiek ten nawet nie sapnął. Nie wiem, czy był już taki nieczuły z muzułmaństwa, czy taki wytrzymały. Po pewnej ilości uderzeń przerywali bicie i o coś się go pytali – a on za każdym razem odpowiadał tak spokojnym głosem, jakby prowadził towarzyską rozmowę.

Nie wiem, kiedy zakończyli bicie, bo przykryłem się z głową, żeby nie raziło światło, i usnąłem. Rano bity adwokat już nie mógł wstać. Sztubowy kazał go rozebrać i wynieść do umywalni. Podjąłem się tego razem z Jankiem – z sympatii, że nie krzyczał przy biciu.

Rozebraliśmy go i w kocu zanieśliśmy do umywalni. Chcieliśmy go zostawić z kocem, ale wszedł za nami sztubowy, Hiszpan, dostaliśmy po pysku i kazał zabrać koc. Gdy wieczorem przyszliśmy do obozu, wszedłem do umywalni – to nie żył już. Człowiek był do wszystkiego przyzwyczajony, ale nie było przyjemnie wynosić całkowicie przytomnego człowieka i nago w zimę położyć go na mokrej betonowej posadzce. Gdy chcieliśmy zostawić mu koc, tłumaczył nam, żeby go zabrać, bo jemu to już nie pomoże, a sobie zaszkodzimy – a jesteśmy młodzi, to może przeżyjemy. I przeżyliśmy.

Na osiemnastym bloku często odbywały się nocne egzekucje. Bicie albo wiązanie u belki za ręce. Po kilku przypadkach przestałem się interesować, kogo biją i za co. Przeszkadzali tylko spać – a przecież rano trzeba było wstawać i znów do pracy, i znów nowe bicie i głód.

W tym samym ganku, po drugiej stronie na dole spał stary chłop z jakimś drugim w łóżku. Stary ten pracował w lagerkomando, odpowiedzialnym za utrzymywanie obozu w czystości. Zaraz w pierwszych dniach pobytu na tym bloku w nocy zauważyłem, że wstają i znów się kładą. Co jest? Okazało się, że mają na górnym łóżku schowane wiaderko od marmolady, do którego w nocy sikali, zamiast kilka razy w nocy wychodzić do ustępu. Powiedziałem Jankowi, co zauważyłem, i postanowiliśmy zostać wspólnikami do wiaderka, nic nie mówiąc właścicielom. Szybko zauważyli, że w kubełku jest dużo więcej zawartości. Zaczęli chować przed nami wiaderko, a ja je zawsze znalazłem. Oni nic nie mówili i my też nic. W końcu postawiłem sprawę jasno, tylko czterech jest nas w ganku – jak znajdą pełne wiaderko, to odpowiemy „wszyscy" i nikt nie będzie pytał, kto w nie leje. Jeśli mam odpowiadać, to będę lał – a jak nie da mi lać, to wyrzucę każde wiaderko, bo nie mam zamiaru za nich odpowiadać, a wynosić będziemy kolejno. I nastąpiła zgoda. Gdy tylko rano nas obudzono, na zmianę jeden z nas ubierał się szybko, wychodził i przez okno odbierał wiaderko, którego zawartość wylewało się do studzienki ściekowej na szczycie bloku. Po wylaniu znów podawało się wiaderko przez okno i chowaliśmy pod siennik na górnym łóżku. Co to była za wygoda, nie trzeba było kilka razy każdej nocy wychodzić tylko w butach i w płaszczu do odległego ustępu. A jakie to było niebezpieczne, gdyby tak ktoś z nas lał nieumiejętnie albo gdyby wiaderko z zawartością

wypadło z rąk, gdy się je w nocy stawiało na miejsce. Ale o tym, jak będę nas obrabiać, starałem się nie myśleć.

Pewnego dnia na kantynę wydano nam czerwone buraki – surowe, krojone w plastry, robione na kwaśno, w occie. Buraki były oblodzone. Dostałem tego dwa litry i takie oblodzone zjadłem wszystkie od razu wieczorem. W nocy poczułem, że jestem gotów. Wyskoczyłem z łóżka i boso, w samej tylko koszuli popędziłem biegiem do ustępu. Pozostało mi jeszcze z dwadzieścia metrów i… nieszczęście, poleciało po nogach. Teraz już nie musiałem się spieszyć. Spojrzałem tylko, czy nikt tego nie widział. Jeszcze dobrze miałem w pamięci adwokata z Bydgoszczy. W ustępie umyłem się, a potem biegiem popędziłem do bloku – boso i w koszuli po śniegu i mrozie, w dodatku mokry. A od rana głodówka. Jedyne moje lekarstwo na biegunkę. Niezawodne. Stosowałem trzy czy cztery razy. Kto jadł, ten umarł. Jeden zbierał i jadł papierowe flaki z kiełbas, a gdy zwróciłem mu uwagę, powiedział mi, że to dobrze robi. Tak – dobrze robiło na szybsze wykończenie, bo za kilka dni był już w niebie. Ja – gdy mnie tylko chwytała biegunka – dwie doby nie brałem do ust nawet kropli wody. Chleb odkładałem, a zupę obiadową też sprzedawałem za chleb. Trzeciego dnia rano jadłem wysuszone skórki od chleba, w południe pół porcji zupy, a wieczorem całą kolację. Czwartego dnia zjadałem prócz swojej porcji odłożony chleb – i znów człowiek zdrów. **Kiedyś sztubowy rozwalił mi łeb chochlą. Miał drań smykałkę do nalewania zupy w miski. Chochlę z zupą wkładał do miski i błyskawicznie przekręcał do góry dnem. Gdy staliśmy w kolejce po zupę, każdy starał się szybko podejść pod kocioł. Gdy już podszedłem pod kocioł, stojący za mną pchnął mnie, żebym na czas zdążył podstawić miskę. Gdy mnie pchnął, ze dwie łyżki zupy wylały się na podłogę. Jak mnie gruchnął chochlą w łeb, to go roztrzaskał, że tylko krew bryznęła i zalała mi twarz, a chochla tak się zgięła, że musiał przerwać wydawanie jedzenia, żeby wyprostować chochlę. Ja natomiast zjadłem zupę, a dopiero po zjedzeniu poszedłem się umyć.**

W niedzielę rano dowiedzieliśmy się, że znów będzie gazowanie bloków. Pół obozu jednego dnia, a druga połowa następnego dnia. Nie mogli robić od razu całego obozu, nikt by nie wytrzymał na dworze przez dobę, bo było jeszcze kilka stopni mrozu. W obozie

było mało ludzi, więc połowa baraków na stojąco spokojnie zmieściła się w czterech barakach zwolnionych po ruskich jeńcach. Rano, zupełnie nago i boso, musieliśmy iść z bloku osiemnastego na blok piąty – kawał drogi; przebyliśmy ją biegiem. Tam ustawiliśmy się w kolejkę. Wchodziliśmy sztubą B, a wychodziliśmy sztubą A. za drzwiami stało czterech magików z pędzlami i wiadrem brązowej cieczy, której działanie miałem poznać już po chwili. Wchodzących odptaszkowywał pisarz blokowy. W tym czasie jeden mazał pod jedną pachą, drugi pod drugą, trzeci z przodu – piersi i w kroku – a gdy myślałem, że już koniec, jak ich minąłem, czwarty przeciągnął mi pędzlem między pośladkami. Jak to cholernie paliło – oj! Kto wyskoczył, biegiem pędził na bloki jenieckie, a tam znów wpędzali do łazienki. Gdy szliśmy wokół umywalni gęsiego, wąskim przejściem między korytami umywalni i ścianą, czterech czy pięciu polewało nas zimną wodą z węży załączonych do kranów. To była kąpiel, którą trzeba było przejść w imię czystości – a o tyle zrobiła dobrze, że zmyła trochę tego palącego płynu. Teraz – już nagi i mokry – biegiem na blok. Tym razem przypadł mi w udziale blok dwudziesty pierwszy, sztuba B. Byliśmy tam do następnego rana. Napakowano nas tam sporo golasów i mimo że sztuba nie była ogrzewana – bardzo zimno nie było. Tylko było ciasno, a siedzieć nie można było długo, bo bolał tyłek. No bo jak siedzieć takim chudym, gołym tyłkiem na twardych, zimnych deskach. Życie starał się umilić nam chwilowy nasz blokowy – ten był w ubraniu. Wychodził co pół godziny z kapówki z wrzaskiem:

– Smród jest! Otworzyć okna!

Wtedy otwierano po jednej stronie wszystkie okna – a ludzie zbijali się w kupę po drugiej stronie baraku. Po piętnastu minutach zamykano okna, by znów za pół godziny usłyszeć ten sam rozkaz:

– Smród jest! Otworzyć okna!

I tak przez całą dobę. Przynajmniej nie było nudno. W nocy spadł śnieg i zadymka. na dworze gwizdało i kręciło śniegiem we wszystkie strony. Jak otwierano okna, to wiatr wpędzał śnieg do baraku. Przegrani byli ci, co musieli w tym czasie wyjść do ustępu. Jak taki wrócił, to jakiś czas musiał stać osobno, bo go wszyscy odpędzali z obawy, żeby się kogoś nie dotknął. Po prostu sopel lodu. Ale

i na mnie przyszedł czas, że musiałem tam iść. Dobrze chociaż, że nie na długo. Wyszedłem do sieni i lekko uchyliłem zewnętrzne drzwi, żeby tylko wysadzić nos. A tu – wziuu! – tylko zakotłowało śniegiem. Uchyliłem drugi raz – wziuuu! – to samo. Nie ma na co czekać, trzeba pędzić. Wyszedłem, zamknąłem za sobą drzwi i biegiem przez zaspy, w zadymce – do ustępu. Po chwili już pędziłem z powrotem. W drzwiach czekało kilku i namyślali się – iść czy nie iść. Specjalnie wlazłem między nich. Narobili krzyku, posłali mi kilka wiązanek i wypchnęli do sztuby. Tam znów – dla zabawy – przytulałem się do znajomych i cieszyłem się, gdy każdy z nich wrzasnął i odskakiwał, jakbym go sparzył.

Rano wygnali nas. Biegiem na swój blok – i ledwie zdążyłem się ubrać, już bicie od końca sztuby i wyganiają nas z bloku. Przy drzwiach też biją. Wyskoczyłem przez okno. Wpuścili nas do ustępu i umywalni, a później i do sieni. do sieni i ja wlazłem. Stanąłem w kącie, oparłem rękę o ścianę, a głowę na przedramieniu. Obudziłem się – a tu ja tylko sam jeden stoję w sieni z gębą do ściany. A gdzie inni? Nie myślałem, że tak mocno można na stojąco spać. Nie słyszałem nic, gdy wszyscy weszli do środka baraku. Zajrzałem, ludzie leżą w ubraniach na łóżkach. Położyłem się i ja, ale po dziesięciu minutach znów wygnano nas i wtedy już poszliśmy do pracy.

Było jeszcze jedno gazowanie latem 1944 roku, ale to już była zabawa. Wykąpano nas pod ciepłą wodą. Bo już całkowicie urządzono łaźnie i kąpano nas każdego tygodnia. Byliśmy w butach, a po kąpieli wydano nam czystą bieliznę i zaprowadzono do niezajętych baraków w Gusen II, gdzie były sienniki, i wydano nam jedzenie. Tam byliśmy też dobę, ale odbyło się wszystko bez szykan. Widziałem tylko, jak posterunek postrzelił w nogę jednego z naszych więźniów za to, że podszedł za blisko do drutów, a w drutach jeszcze nie było prądu. Gusen II było dopiero w budowie, odległe było od naszego obozu o pięćset metrów. W nocy stały osobne linie posterunków, a w dzień otoczeni byliśmy jedną linią. Pracowaliśmy razem w tunelach, kamieniołomach i wielu innych grupach pracy.

Od B. dostawałem częściej i więcej jedzenia. Odniosłem wrażenie, że dawał mi nie tylko to, co brał i nie zjadał – lecz zaczął myśleć o tym, żeby mi pomóc. W tym czasie codziennie dawali kartofle w łupinach, to Heniek dawał mi pełne michy, a jeszcze niejeden raz kazał mi przyjść wieczorem. I tu znów kiedyś sobie pożarłem. Dostałem swoją porcję chleba, drugą od Heńka, część dokupiłem za otrzymane na kantynę papierosy i jeszcze Heniek dał mi wieczorem cztery miski zupy. Obliczyłem, że tego wieczora zjadłem półtora bochenka chleba i cztery miski zupy. Nieźle, co?

Gdy jeszcze było mocno zimno, kazano nam wygolić wszelkie owłosienie. Ponieważ nie chcieli robić tego na bloku, przenieśli się z goleniem do łaźni, ale woda była jeszcze zimna. Stał tam koksownik, żeby nie marzły ręce fryzjerom, a my rozbieraliśmy się do naga. Ponieważ czułem, że uda mi się zorganizować trochę żarcia, poszedłem pod blok drugi i rzeczywiście dostałem michę kartofli od B. i drugą od Tadzia Kiełbasy. Zaniosłem kartofle na blok i dowiedziałem się, że już czas golić się, bo niewielu już zostało do golenia. Pobiegłem do łaźni. Zdążyłem. do golenia było jeszcze piętnaście osób. Ja byłem ostatni. Koniec kolejki wypadł przy beczce stojącej pod pojedynczym sitkiem. W beczce siedział człowiek, a z sitka lała się zimna woda. Obok stało dwóch kapów z kijami w rękach. Palili papierosy i prowadzili z sobą jakąś interesującą rozmowę. Kilka razy pasażer w beczce chuchał z zimna i miał chęć wyskoczyć, ale gdy tylko podnosił się, dostawał w głowę od jednego i drugiego kapa, zanurzał się znów w wodzie po szyję – a oni dalej palili i kończyli zaczęty temat. Wreszcie zanurzył się z głową, puścił kilka baniek, znów się zanurzył i puścił kilka baniek. Jak się znów zanurzył, kapowie przycisnęli mu głowę pod wodą, facet tylko puścił nosem bańki – i gotów. Zaczekali jeszcze kilka minut i wylali nieboszczyka razem z wodą – żeby nie było kłopotu w czasie apelu, że ktoś uciekł. Zanim mnie ogolili, „operacja” w beczce była zakończona.

Z otrzymanych tego dnia kartofli część zjadłem, resztę obrałem, pokroiłem do miski i schowałem pod siennik na jutro rano. Robiłem tak kilka razy – ale kartofle nigdy do rana nie doczekały. Zjadałem

w nocy. Nie mogłem spać, gdy byłem głodny, a pod głową miałem jedzenie.

Gdy po wyjściu z bloku dwudziestego trzeciego po trzytygodniowej izolacji poszedłem następnego dnia do pracy w Górnym Kamieniołomie, majster w mojej budzie – cywil – jak mnie zobaczył, wystawił ręce przed siebie, jakby bronił się przed diabłem, wołając: „Nie, nie, nie, nie!”. Nie chciał mnie. Powiedział, że jestem leniwym robotnikiem. A co on chciał? Żebym jakim był? Dobrym? za co? Dla kogo? A czy ja prosiłem się do obozu, żeby teraz uczciwie pracować? Poszedłem do drugiej szopy – majster powiedział, że mu nie jestem potrzebny. Wlazłem do kostkarzy i uczyłem się robić kostki. Przez cały dzień zrobiłem zaledwie kilkanaście kostek. Nie chciało mi się robić. Przez cały czas gadałem do chłopaków i opowiadałem wesołe kawały. Miałem zamiar urwać się przed końcem pracy, żeby nie zauważyli, że prawie nic nie zrobiłem. Nie udało się. Długi przyszedł na długo przed końcem pracy. Zobaczył, że przy mnie prawie nie ma kostek, i – walnął mnie kołkiem w głowę, tylko jeden raz. Zatoczyłem się w jedną, w drugą stronę. Przejechałem nosem prawie przy ziemi – i podniosłem się. Nie uderzył mnie więcej. Poszedł – długi jak żyrafa – na swoich cienkich, długich nogach do swojej budy. Ale głowę mi rozbił. Po wieczornym apelu poszedłem na rewir i tu znajomy sanitariusz zrobił mi opatrunek – rozbite miejsce chwycił czterema klamerkami, które zdjął po kilku dniach. Długiego nie bałem się, bo byliśmy na innych blokach, ale już nie miałem po co iść do Górnego Kamieniołomu. Tak zakończyła się tam moja praca.

Ale co teraz robić dalej? Wieczorem wyszedłem na plac apelowy i żartując, opowiedziałem prominentom, jak to od Długiego dostałem kołkiem po łbie, i przy tym podśmiewałem się z niego. Śmiałem się, że na dwudziestym trzecim bloku mnie nie uśmiercili, Długiemu też się nie udało – a teraz pewnie uśmiercą mnie dopiero w jakiejś nowej, jeszcze lepszej grupie, do której może wpadnę przypadkowo.

– Czekaj – mówi jeden – chodź ze mną na blok dziesiąty do Chałupki, to jest kapo kamieniarzy z Gusen.

Poszliśmy do niego. Ja trochę pomałpowałem, tamten powiedział, że ja jestem kamieniarzem, że po izolacji zajęli mi miejsce u Długiego, żeby mnie wziął do siebie, że będzie miał wesoło ze mną – i Chałupka kazał mi stawić się jutro u siebie. Stawiłem się.

Wesoło miał on ze mną bardziej, niż się spodziewał. Niejeden raz na całą szopę klął ten dzień, w którym do niego przyszedłem. Gdy rozejrzałem się w warunkach, robiłem tylko tyle, ile wymagała norma – nie więcej. Nie dałem się poganiać i bić. Gdy Chałupka raz chciał mnie uderzyć, stanąłem z młotkiem w ręku i zagroziłem, że mu dam, jak mnie uderzy. A jeśli poskarży i mnie wyrzucą, to niech tak robi, żeby mnie od razu zabili, bo jak nie zabiją, to ja jego uśmiercę – i na wszystko, na co można było, przysiągłem, że to zrobię. Przecież ja po kilku dniach już wyczułem, że Chałupka to tchórz, że boi się esesmanów, „władz", ludzi i własnego cienia. Postraszyłem go i udało mi się. Nie uderzył mnie nigdy, tylko zawsze przygadywał. A czy wszyscy warszawiacy to, a czy wszyscy warszawiacy tamto.

Zbiórka – ja poszedłem za szopę za małą potrzebą. Gdy dołączyłem do szeregu, już Chałupka swoje:

– Czy to wszyscy warszawiacy takie inteligenty, że jak zbiórka, to idą szczać?

– Ty, Chałupka – zapytałem – czy ci przypadkiem jaki warszawiak nie nadepnął na... – i tu dałem popularne określenie przyrodzenia. – Dlatego pewnie tak warszawiaków nienawidzisz. No to uważaj, bo ja ci drugi raz nadepnę i wtedy będziesz miał podstawę mnie nienawidzić.

I tak z nami już zawsze. Poznaniak. Nienawidził warszawiaków tak jak wszyscy Poznaniacy. Nie mogli słuchać naszych wiązanek, a że Polacy kapowie to Poznaniacy i Ślązacy, bo znali język niemiecki – to bili warszawiaków, gdzie tylko mieli okazję. W 1943 roku na trzecim bloku jeden mały Poznaniak w rozmowie z drugim powiedział z nienawiścią:

– Gdybym mógł, tobym wszystkich warszawiaków powywieszał.

Gruchnąłem go pięścią w ryja, że go krew zalała, i powiedziałem ze śmiechem, że teraz przynajmniej będę wiedział, za co on mnie powiesi, bo do tej chwili nic mu złego nie zrobiłem i byłem zawsze dla niego grzeczny.

Kapem w drugiej budzie był Prusinowski. To już było gorsze bydlę – ten bił. Po likwidacji naszych bud, gdy przeniesiono nas do wielkiej murowanej hali dziewiętnastej (tak ją nazywano), był on moim kapem. Ale wtedy ja byłem już silny i potrafiłem utrzymać go w strachu. Nie uderzył mnie nigdy – bał się. **Raz jeden chciał mnie uderzyć, gdy pyskowałem mu „po warszawsku", ale uchyliłem się i tak uderzyłem młotkiem w narzędzie do gładzenia, że urwałem róg prawie gotowego kamienia. Poszedłem do oberkapa. Paul się nazywał i Prusinowski dostał od niego po pysku za to, że uderzył mnie przy kamieniu. Bić można, ale obok kamienia, żeby nie psuć kamieni. Ale ja znów naskoczyłem na niego. Zagroziłem mu, że będzie ciężko przegrany, jak mnie uderzy.**

Chałupka i Prusinowski to z wolności zawodowi sierżanci Wojska Polskiego. Chałupka nie był zły chłop – lubił tylko przemawiać.

– Co – wariata chcecie z Chałupki zrobić? Wy myślicie, że Chałupka to dupa – co? Ale ja wam pokażę, że Chałupka nie jest dupa.

I tak w kółko. A my też nieraz do śmiechu gadaliśmy: „Chałupka to dupa, co?". W zasadzie nie bił. Jak uderzył, to już wtedy, jak musiał, przy esesmanie, ze strachu, żeby sam nie dostał – no i wtedy, jak się nie bał bitego więźnia. Mnie się bał – to i sam nie uderzył, i bał się poskarżyć. W budzie Chałupki pracowałem do lata 1943 roku, gdy wszystkich nas przeniesiono do hali dziewiętnastej.

Tu chłopaki nie modlili się tak jak na górze. Tu była fajna ferajna, cwaniaki, tu się klęło, na czym świat stoi, wszystko i wszystkich – życie, kapów, majstrów, esesmanów, żarcie, pracę i Boga – tego też tu nie oszczędzano. Wywaliłem pierwszy raz oczy i z zadowoleniem zapytałem:

– To tu się klnie? To klawo, ja to lubię i też potrafię. Tamte barany w Górnym Kamieniołomie tylko modlili się całymi dniami.

To moje z nimi przywitanie zawsze później ze śmiechem wspominali. Tu poznałem Staśka M. z Warszawy, z którym związałem swój los do połowy czerwca 1944 roku. Zaczęło się zwykłą znajomością, a gdy z bloku osiemnastego przeniesiono mnie w maju 1942 roku na blok piąty, zawarliśmy ścisłą sztamę, która rozpadła się po dwóch latach.

W pracy – słabe wyżywienie i cały dzień biały pył kamienny. Kurz ten nazywaliśmy „białą śmiercią”. W hali dziewiętnastej, gdzie były młotki pneumatyczne do wybijania dziur, było tak dużo pyłu, że wychodziło się z niej jak z młyna. W nosie robiła się skorupa i kamień trzeszczał w zębach. Ja za każdym uderzeniem młotka robiłem energiczny wydech – coś w rodzaju dmuchnięcia – żeby odpędzać pył, który po każdym uderzeniu młotka uderzał prosto w twarz. Odpryski uderzały też w oczy. Miałem okulary, ale tak potłuczone, że wolałem pracować bez okularów. Kilka razy dziennie wpadał odprysk w oko, ale takiej nabrałem wprawy w wyrzucaniu, że mrugnąłem raz i drugi – i już nie było kamienia. Raz tylko wbił mi się kawałek w oko, na krawędzi źrenicy. Bolało i widziałem przez mgłę. M. urwał paździor z miotełki i chciał mi ten kamień wyrwać. Co podejdzie patykiem do oka, to mnie się wydaje, że patyk już siedzi w głowie, i zamykałem oko albo mrugałem nim. Wreszcie wytrzymałem podejście, zawadził i… ból, ciemno w głowie, jeszcze większa mgła – ale wyrwał. Po trzech dniach już było wszystko dobrze. M. nauczył mnie też spać w czasie przerwy obiadowej. Szybko zjeść, kamień pod głowę i spać do samego gwizdka. Spałem i w zimę, i w lato. W lato to wszystko klawo, a w zimie spałem też, chociaż był mróz w hali. Gdy na gwizdek wstawałem, to byłem sztywny z zimna, ale przespałem się.

Zajęciem w hali było też tłuczenie kości. Jeśli w obiedzie trafiły się kości, chowałem je po kieszeniach, a dopiero w hali zaczynał się rejwach. Swoim dwukilogramowym młotkiem miażdżyłem kości, palcem zbierałem z młotka i z kamienia tłuszcz, który wyłaził po uderzeniu, a kość, tę miękką, też zjadałem albo całkowicie wysysałem, że zostawała tylko kość pokruszona, bez źdźbła tłuszczu.

Raz przewrócił się wóz z jedzeniem obiadowym. Chyba ze czterdzieści kotłów po pięćdziesiąt litrów każdy. Co tam się działo! Zbiegli się muzułmani z kamieniołomu, których nikt nie potrafił odpędzić. Stali po kostki w żarciu i jedli, ładowali w czapki, a nawet w skarpetki. Była wtedy na obiad suszona brukiew. Dla pewności byłem tam jeden z pierwszych i jak zaczęli bić, to ja już sporo zjadłem i uciekłem do budy z pełną czapką jedzenia. Obiad

dostaliśmy tego dnia dopiero wieczorem w bloku. Inni byli głodni, ja pojadłem sobie.

Mieliśmy bardzo dobrego majstra – nazywaliśmy go Mruczek, bo nigdy do nikogo nic się nie odzywał. Rozmawiał tylko ze swym pomocnikiem, więźniem Staśkiem Krzekotowskim z Poznania.

Gdy przychodziliśmy rano do budy, często na każdym stanowisku leżało kilka jabłek albo po kilka niedopałków papierosów, które on prawdopodobnie zbierał dla nas, bo były różne gatunki papierosów i skrętów. Nigdy sam nie wypalił całego skręta. Gdy wypalił pół skręta, to albo podchodził „sprawdzić" czyjś kamień, albo jeden z nas zapraszał go do swego kamienia. Wymierzał kamień, odchodził, a skręta zostawiał na kamieniu.

Obermajstrem był Pramer. Chodził on w mundurze SS, ale nie miał wstępu do obozu z barakami mieszkalnymi. Złoty człowiek. Niezapomniany przez nikogo, kto z nim w obozie się zetknął. Gdy otworzono obóz – po wyzwoleniu – Pramer ubrany po cywilnemu przyszedł do nas i więźniowie oprowadzili go po obozie, pokazując mu kuchnię, baraki mieszkalne, krematorium, ścianę śmierci i szubienicę. Gdy w 1956 roku była wycieczka do Mauthausen i Gusen, okazało się, że Pramer mieszka, jak mieszkał, i gdy tylko ktoś przyjeżdża do Gusen, przychodzi rozpoznawać, czy przypadkiem nie przyjechał ktoś znajomy. Mundur SS założył po to, żeby go nie zabrali do wojska. Inny majster kamieniarski nie chciał założyć tego munduru i poszedł do wojska. Też dobry chłop. Brat jego był majstrem w kamieniołomie. Ten bił i maltretował ludzi, toteż po wyzwoleniu chłopaki zabili go. Zimą roku 1943/1944, gdy przy niedzieli woziliśmy śnieg, majster z rodziną jechał wozem. Wrzasnęliśmy:

– Dzień dobry, panie majster!

Był w mundurze Wehrmachtu – pewnie na urlopie. Ucieszył się, ściskał ręce, jakby witał się z nami, mówiąc do rodziny: – To są moi ludzie, to są moi ludzie! – a my też machaliśmy czapkami na jego cześć.

A z Pramerem poznałem się tak:

Wylazłem przed budę, żeby odetchnąć chwilę świeżym powietrzem. Raptem woła ktoś. Spojrzałem, między gotowymi kamieniami stoi

esesman i woła mnie. Ja z powrotem do budy. Nie zdążyłem stanąć przy kamieniu, a on już stoi przy mnie. No, teraz dostanę – pomyślałem. A ten śmieje się rozradowany i mówi:

– Co, myślałeś, że mi uciekniesz? O nie, ja szybciej potrafię gonić. Weź młotek zębaty i chodź.

Zabrałem młotek i poszedłem. Okazało się, że zębatym młotkiem trzeba zbić cechę mylnie namalowaną.

Raz znów – już w hali dziewiętnastej – stanęło nas czterech z samego rana przy drzwiach i politykowaliśmy. Wszedł esesman, zobaczył, że gadamy, złapał kołek i byłby nas natłukł, gdyby spod ziemi nie wyrósł Pramer.

– Co chcesz od nich? – pyta. – Ja kazałem im tu stać. Oni na mnie czekają. – I nie dał nas bić.

Pięknie śpiewał – jodłował po tyrolsku. Miał tak wprawioną gębę, że jeszcze w życiu nie słyszałem lepszego jodlera – ni w radiu, ni na filmach. Gdy przychodził odbierać kamienie, to wraz z jego wejściem do hali wchodziła radość i uśmiech. Każdy, kto zobaczył Pramera, musiał się uśmiechnąć. Cała twarz, cała postać jego – to zawsze jedna radość. Szedł po hali i kolejno odbierał zrobione kamienie. Sprawdził wymiary, winkiel płaszczyzny, podpisał odbiór. Spojrzał – stoi grupa więźniów, bo przez całą halę szła za nim zawsze duża grupa ludzi. Wskakiwał na kamień, mówił po niemiecku jakiś wierszyk – i jodłował. Układał sam te wierszyki – na SS, na obóz, o więźniach – a wszystkie z humorem i po każdej strofce jodłował. Bywało, że jakiś muzułman zwraca się do niego z prośbą o zaśpiewanie. Pramer roześmiał się – aż usiadł z radości, że takiemu muzułmanowi chce się śpiewu, i zaśpiewał. Przynosił nam w kieszeniach jabłka, cebulę i papierosy. Gdy chciał któremu dać, to oglądał jego kamień, a odchodząc, „gubił" kilka cebul lub kilka papierosów. Przynosił nam workami jabłka, które rozdzielali kapowie pod okiem naszego patrona SS, żeby nie posądzili go, że jabłka przynosi dla jakichś kombinacji.

Wiele, bardzo wiele dobrego można by o nim napisać. Dwóch takich ludzi było w obozie – więzień, starszy obozu, Austriak Rorbacher Karl, i SS-obermajster kamieniarzy Pramer – imię nieznane. Gdy przydzielono Pramerowi opiekę nad gospodarstwem

obozowym (rodzaj farmy z inwentarzem) – Pramer wystawił do oddania wielką bańkę, w której było tylko pięć litrów mleka – a na wierzchu położył kartkę, na której napisał: „Kajne geld – kajns musik, kajne futer – kajne milch, hojte fynf liter". Co po polsku znaczy: nie ma pieniędzy – nie ma muzyki, nie ma żarcia – nie ma mleka, dzisiaj pięć litrów.

Już w roku 1945, gdy staliśmy w szeregach przed wymarszem z pracy do obozu, słyszymy jodłowanie. Aha, Pramer! Gdzie? Rozglądamy się. Pramera nie widać, ale słychać jego śpiew. Ale oto jest. Wyjeżdża wozem w dwa konie zza zakrętu szosy i śpiewa, stojąc na wozie. Podjechał, zatrzymał się przed jedną grupą – zaśpiewał.

Ruszył, zatrzymał się przed drugą grupą – zaśpiewał. Tak zatrzymywał się cztery razy. Gdy nas wreszcie minął, wykręcił się tyłem do konia, a twarzą w naszą stronę – i śpiewał, śpiewał, aż znów zniknął nam za następnym zakrętem.

Pramer to był uśmiech radości w każdej, nawet najcięższej sytuacji. Koniec – kropka – szlus.

W szopie mieliśmy jednego wesołego chłopaka – Antka Szulca z Torunia. Ten dla odmiany puszczał w obieg różne plotki, nieraz najbardziej fantastyczne, i miał zabawę, jak plotka błyskawicznie rozchodziła się po obozie. My, w budzie, już mu nie wierzyliśmy. Wtedy przerzucił się do ustępu. Plotka rozchodziła się od razu po całym terenie, bo do tego ustępu przychodzili ludzie z różnych robót. Kiedyś puścił plotkę, że uciekł więzień z grupy, która ścinała drzewa w lesie. Mówił, że stolarze robią cztery kozły do bicia ludzi, że będą bić po wieczornym apelu, jeśli go do tego czasu nie złapią. A było to wkrótce po ucieczce kamieniarza, kiedy to haratali ludzi na koźle.

Gdy przyszedł z ustępu do hali, to już mu opowiedziano to ze szczegółami: że uciekł Cygan, że esesman strzelał za nim, ale go nie trafił, że skoczył w wodę i w ten sposób uciekł. Cały teren pracy był podenerwowany, co to będzie wieczorem. Antek Szulc mówił później, że sam zgłupiał i już nie wiedział, czy to rozdmuchana jego plotka, czy naprawdę uciekł ktoś.

Antek przysyłał też do mnie każdego, kto mu opowiadał swój sen.

– Idź do Staśka Grzesiuka – mówił z tajemniczą miną – on dobrze tłumaczy sny.

Przychodził do mnie taki padalec i gada, i ględzi. Gonił go pies, powiada.

– To źle – mówię mu.

– Ale mnie nie dogonił.

– No to dobrze – odpowiadam.

– Bo wpadłem do dołu.

– O, to źle!

– Głęboki dół, że nie mogłem z niego wyjść.

– O, to bardzo źle!

Wreszcie, gdy już się we mnie zebrała wściekłość, jak wrzasnę:

– A idźże ty… twoja itd.

Antek stoi z boku i cieszy się.

Gdy już wspomniałem o ustępie, to muszę dodać, że w 1942 roku w kamieniołomach w Gusen wybudowano duży ustęp, w którym jednocześnie mogło „urzędować" chyba czterdzieści osób. Reprezentacyjny. W dole wybetonowany i przepływała woda. Nie było sedesów, tylko ścianka z długą deską do siadania. Deski były z dwóch stron, ale… – właśnie to „ale". Po wybudowaniu wpuszczali tylko po dwie osoby jednocześnie, a stać w pobliżu też nie było wolno. Tragedia. Ale od 1943 roku ustęp ten był już dostępny dla każdego. Tam zbierali się ludzie, żeby pogadać, popalić, odpocząć i przy okazji załatwić się. Żeby ludziom nie siedziało się na tej desce zbyt wygodnie i żeby nie siedzieli za długo, przybito do desek drewno w kształcie klina, ostrym końcem do góry. Teraz już nie siedziało się na desce szerokiej na dziesięć centymetrów, lecz na ostrym kancie klina. To też nie trwało długo. Doszli widocznie do wniosku, że to też jeszcze za wygodnie, więc klin ten obili jeszcze drutem kolczastym ze wszystkich stron, gęsto, żeby nie można było wcale siedzieć. Ale dawaliśmy sobie radę. Trzeba było siadać bardzo wolno i nogi jakoś potrafiły ułożyć się i na drucie kolczastym, że te kilka minut „seansu" można było odsiedzieć.

W maju 1942 roku wszystkich kamieniarzy umieszczono na blokach trzecim, czwartym i piątym. Wtedy mnie z osiemnastego bloku, a Staśka M. z dziewiątego przenieśli na blok piąty – i spaliśmy w jednym ganku w środkowych łóżkach. Ja przy M. spełniałem rolę służącego, a w zamian za to otrzymywałem jedzenie, które on zarabiał, masując Niemców. M. na wolności był porucznikiem Wojska Polskiego, miał ukończone prawo handlowe i miał dwa domy w Warszawie. Jego to matka wzięła na utrzymanie córkę R. i była szantażowana przez jego żonę. do moich obowiązków należało słanie jego łóżka, pranie prywatnej bielizny, czyszczenie butów, cerowanie skarpet, przynoszenie jedzenia od R., a w tym czasie, gdy sam nie polowałem na jedzenie, zwracałem uwagę na jego prywatne rzeczy, żeby mu kto czego nie ukradł. W zamian otrzymywałem od niego zupy, których on miał dużo i nie chciał tego jeść, i od czasu do czasu kawałek chleba. Tak te sprawy były w obozie traktowane. M. był lepszym panem niż inni. Jako sportowiec, przechodził kursy masażystów i ta umiejętność była dla niego w obozie źródłem utrzymania. Ten stosunek między nami trwał do roku 1943, to znaczy do chwili, gdy zezwolono na otrzymywanie paczek żywnościowych. Wtedy już od niego nie byłem zależny. A gdy zacząłem grać i organizować zespół muzyczny, to miałem więcej od niego – mimo to umówiliśmy się, że będzie wszystko wspólne. za zarobione przez niego papierosy kupowałem mu margarynę. Cena porcji zależna była od ilości papierosów na rynku.

W obozie była giełda i rynek handlowy. Mieścił się on między blokami a umywalniami bloków dziesiątego, jedenastego, dwunastego i trzynastego – z największym nasileniem przy blokach jedenastym i dwunastym. Można tam było kupić wszystko, co było w obozie – ubranie, pasek, jedzenie, igły, nici, papierosy, łyżkę, nóż i inne przedmioty potrzebne w obozie. Coś w rodzaju Kercelaka. Blokowi i kapowie robili nieraz obławy; jak nie mieli co palić, to zabierali handlującym. Gdy w roku 1943 do obozu przyjechał samochód z aparatem rentgenowskim – na rynku handlowym sprzedawano… płuca. „Komu płuca! Komu płuca!” – słychać było na rynku. W obozie od początku do samego końca wykańczano chorych na gruźlicę. Kto nie był siebie pewien, wolał nie chodzić na

prześwietlenie – ale musiał być odnotowany. Wysyłał więc zastępcę, któremu dawał porcję chleba i pożyczał mu swój numer z ręki dla kontroli. Ja też „kupiłem" sobie zdrowe płuca. za długo już siedziałem i dużo już przeszedłem, żeby być pewnym swoich płuc – a widziałem też, jak wykańcza się nawet zdrowych ludzi, którzy niejeden raz przez przypadek zapisani zostali do „inwalidów".

Kupując margarynę, trzeba było uważać, żeby nie zostać oszukanym. Gapowe zawsze trzeba płacić. Raz – gdy kupiłem dla M. sześć porcji margaryny – jedną dał mnie. Okazało się, że moja porcja to odpowiednio wykrojony chleb posmarowany ze wszystkich stron margaryną. Zjadłem wtedy kawałeczek chleba z margaryną, a nie margarynę. Później już uważałem. Gdy kupowałem margarynę, to zanim zapłaciłem, mocno ściskałem w palcach – margarynę sprzedawano w papierze. Jak palce wlazły głęboko – to margaryna, a jak twarde – to smarowany chleb. Jak byłem w dobrym humorze, to kazałem szukać głupszego, a jak byłem zły, to dałem w ryja, jeśli był to chłop silny. Bo jak muzułman, to wiedziałem, że i głodny, i palić się chce, a jak wyżarty – to zawodowy kanciarz.

Ze mną na sztubie był taki fachowiec – Józiek Nowicki z Kalisza. Nie był wyżarty, ale tym sposobem utrzymywał się na powierzchni. Nikt mu nie pomagał i paczek nie dostawał. Był jednym z nielicznych, którzy zostali przy życiu z karnej kompanii – bo nie chciał żyć. Skoczył na druty… i oprzytomniał w rewirze. Miał na rękach wypalone ciało, a jak go od drutów odciągnęli – sam nie wiedział. Drugi raz znów wieszał się w umywalni na drucie telefonicznym. Wlazł na deski oparte o ścianę i gdy zawisł, deski przewróciły się. Ktoś idący do ustępu posłyszał, wszedł do umywalni, uniósł go za nogi, narobił wrzasku i odcięli go. Trzeci raz nałykał się kilku garści ostrych kamieni – odprysków z hali kamieniarni (on też był kamieniarzem) – nawet nie poczuł, że je zjadł, i nie poczuł, jak wyszły. Nie mógł umrzeć – a miał głód taki, że jadł zwykłą, surową trawę. Pasł się jak koza. Kładł się na trawie, głowę kładł na rękach, niby że śpi – i jadł trawę. Robił skręty ze starej słomy z siennika, a po końcach wsypywał po pół centymetra tytoniu. za te skręty kupował jedzenie; część zjadał, a za część kupował tytoń luzem, z którego znów robił oszukane skręty. Oddawałem mu zawsze małe

opakowania od tytoniu jugosłowiańskiego. Tu już na tych samych zasadach urządzał całe paczki – i żył, i przeżył, i na wolność wyszedł. Kilka razy, gdy miałem więcej żarcia, to dawałem mu po pół miski, a nieraz i całą miskę.

Do wiosny 1943 roku mieszkałem na bloku piątym. „Władze" nasze to blokowy Adi, sztubowy Gruszka i kapo sprzątaczy Sobczak Janek, dorożkarz z Kalisza i z nich największa świnia. Adi – Niemiec, cyrkowiec, sympatyk Cyganów. Gruszka – Niemiec, sympatyk Polaków. Gdy na tablicy w sieni napisali mu „Gruschka", z niemiecka, starł i napisał „Gruszka". Mówił, że w nim płynie polska krew. Najgorzej było, gdy Gruszka pokłócił się z Adim. Raz podarli się na sztubie – usiedli i nic do siebie nie gadają. Wtem wchodzi na sztubę jakiś Polak. Adi wyprysnął ze swego miejsca i w mordę go, w mordę – za to, że wchodząc, nie wytarł butów. Gruszce na złość. Gruszka nie odezwał się nic. Po chwili na sztubę wchodzi Cygan. Wyskoczył Gruszka i dawaj lać Cygana – za to, że nie wytarł butów, na złość Adiemu. W zasadzie jeden i drugi to nieźli ludzie w porównaniu z innymi na tych samych funkcjach. Sobczak – to już świnia. Ten bił bez powodu. Zbił kiedyś Władysława Latkiewicza, nauczyciela z Żywca – mało go nie zabił – za to, że wyniósł z bloku garnuszek, w którym miał od kogoś dostać trochę zupy. Mnie raz tak gruchnął pięścią w bok, że mi pękły dwa żebra. Przez dłuższy czas nie mogłem się ruszać ani oddychać, ani leżeć, W umywalni na podłodze znalazłem ładną chusteczkę do nosa, którą dałem M. Gdy uprałem mu bieliznę i zawiesiłem w sztubie na belce, zawołał mnie Sobczak i pyta, czyja to chusteczka. Powiedziałem, że znalazłem w umywalni. I dostałem za to, że ukradłem chusteczkę. Opowiadał on wieczorami różne fantazje – a my słuchaliśmy i żaden nie śmiał mu zaprzeczyć i powiedzieć, że zmyśla. Nie będę opisywał bzdur, które nam opowiadał jako własne przeżycia. Niech za wszystko wystarczy jedna – że był on osobiście w wieży Babel, i opowiadał, jak ona wygląda i co tam widział. W 1943 roku wysłano go transportem i podobno transport ten został przez lotnictwo alianckie zbombardowany gdzieś pod Wiedniem. Źle by się czuł, gdyby po wojnie wpadł w moje ręce.

Stasiek M. jadł dużo i dobrze – ważył dziewięćdziesiąt cztery kilogramy – a i mnie zup nie żałował. Wciąż jeszcze byłem głodny, ale już trochę mniej. Zauważyłem, że przybywa mi ciała, ale wciąż jeszcze byłem słaby. na obiad – dla urozmaicenia – zaczęto dawać nam suszoną brukiew z robakami. W każdym kotle na wierzchu ślicznie, jak tłuszcz, pływała co najmniej centymetrowa warstwa białych robaczków. Sztubowy chochlą zbierał z grubsza robaki, zamieszał i wydawał – a my jedliśmy z zamkniętymi oczami, żeby ich nie widzieć. Sporo żarcia można było wtedy dostać z bloków prominenckich. Kto miał możność jeść co innego, to tej zupy nie jadł. Dawano nam też przez pewien czas zupę owocową z suszonych owoców. Dobra była, gęsta, dobre owoce i rodzynki w tym były – tylko że też z robakami. Wyszukiwanie robaków było niemożliwe, bo była to gęsta papka. Przywieźli tego dużo w paczkach w celofanie. Było to przeznaczone dla żołnierzy frontowych, a że zalęgły się robaki, przysłano do obozu. Ja jadłem i brukiew, i owocową – i w każdej ilości, jaką udało mi się zorganizować. A wtedy już zupy wpadało mi sporo – od M. codziennie, od B. codziennie, od Józefa M. od czasu do czasu i od innych prominentów też od czasu do czasu. Dawano nam też kapustę suszoną bez robaków i szpinak też bez robaków, lecz często śmierdzący, że tego i ja nieraz nie mogłem jeść. Szpinak przywozili wozami i bez płukania – od razu do kotłów, a resztę pod kuchnię na kupę. Po dwóch dniach, gdy gotowano to, co leżało na słońcu, śmierdziało na całym terenie i nawet najgłodniejsi nie mogli jeść i wylewali. W szpinaku w każdej misce na dnie znalazła się łyżka lub dwie ziemi – czasem żaba, ja raz znalazłem skorupę z dachówki. Nie cięto go, były to całe krzaki. Jak się jadło, to jeden koniec był już w żołądku, a drugi jeszcze w misce. Kartofli w zupie było mało i były to tylko maleńkie kartofelki z łupiną – nieobierane. Poza tym trzeba było nauczyć się sztuki fasowania jedzenia. Ustawiać się w kolejce tak, żeby trafić na spód kotła – wtedy jedzenie było gęściejsze. Wieczorem porcję gęstej zupy można było kupić za dwie kiełbasy albo papierosy. Chętnych do kupienia było dosyć – trzeba było mieć tylko znajomość z „chłopczykami” i „pomagierami”. Przecież „władze” nie mogły żyć

samą zupą, musieli jeść dużo kiełbas, a popalić też musieli, więc w ten sposób dawali sobie radę.

W niedzielę przeważnie dawano lepszy i gęściejszy obiad. Wtedy my byliśmy najbardziej przegrani, bo niemiłosiernie nas wtedy okradano. Dostawaliśmy niewiele więcej jak pół litra zupy. Okradano nas też z marmolady, twarogu i margaryny. Były to niedzielne dodatki do chleba. Kiełbasy ukraść nam nie mogli, bo były to już w kuchni pocięte porcje, tu tylko okradała kuchnia: a w tych porcjach kradli wszyscy, którzy mieli do tego dostęp. Brali całymi garnczkami, a my dostawaliśmy ćwierć łyżki marmolady, tyle samo twarogu i margarynę wielkości paznokcia.

Jednej niedzieli – sensacja! na obiad grochówka – jeden jedyny raz na cały mój pobyt. Przyniesiono kotły. Gruszka wydaje i co to? Sama woda, mętna, ciepła woda bez ziarnka grochu. Ale oto jest i groch. Wszystek leżał na dnie niedogotowany. Gruszka dał znak i cała sfora „pomagierów" zabrała groch do samego dna. Następny kocioł. Ustawiłem się tak, by trafić na drugą połowę kotła. Gdy byłem drugi od kotła – znak – i znów sfora wybrała do dna. Nie mogłem się urwać, za blisko stałem i dostałem porcję ciepłej, trochę mętnej wody, bez jednego ziarnka grochu. Popłakałem się z wściekłości, że nie mam siły przetrącić kogoś. M. dał mi dwie łyżki grochu, żebym przynajmniej spróbował. On ze swoją miską też stał z boku i należał do tych, których zawołano. Bo on Gruszkę masował, więc miał względy.

Poznałem później M. dobrze. Służalczy typ. Słodko i obłudnie uśmiechnięty do silniejszych, bezwzględny dla słabszych. Ja nie potrafiłem uśmiechać się do wroga – i nie zmieniłem się mimo ciągłych nauk M. Sam nie palił i mnie nie dawał palić. Zabierał mi wszystko palenie otrzymane na kantynę, za pracę i to, co później zarabiałem graniem. To ja mu znów podciągałem tytoń i bibułki. Złapał mnie raz, jak brałem. Powiedziałem mu wtedy wyraźnie, że ja palenia przerwać nie mogę i nie chcę. Niech wszystko zostanie wspólne prócz palenia. On niech robi ze swoim, co chce – i ja, co chcę. Nic nie chcę z tego, co on kupi sobie za papierosy. Częstowałem innych – a gdy już dobrze mi się powodziło, to z papierosami wcale się już nie liczyłem. Jak mi zabrakło – to inni mi

dali. A on wciąż mówił, że częstować papierosem tylko tam i wtedy, gdy człowiek wie, że mu to zwróci się z procentem. Chociaż sam nie palił, nosił przy sobie papierosy i częstował. Po jego nauce obserwowałem, kogo częstuje, i kombinowałem, w jakiej formie mu się ten papieros zwróci. Ale na uśmiech, który wtedy wywoływał na swej twarzy, patrzeć nie mogłem.

Zapytałem go raz po prostu, znając już jego metodę postępowania w życiu, jak zwróci mu się zupa, którą mi dawał. Uśmiechnął się i powiedział, że faktycznie ma plan i że zwróci mu się ta zupa – ale nie tu, na wolności dopiero. Nie wrócił do Polski, a w roku 1955 dowiedziałem się od Cześka Cichockiego z Poznania, że M. podobno za jakieś grzechy został we Włoszech w Porto San Giorgio skazany na karę śmierci i wysłany do miejscowości Porto. Czesiek Cichocki był w tym czasie we Włoszech.

W tym samym czasie, gdy dawano nam robaczywe zupy, dostawaliśmy też spleśniały chleb. Niejeden raz udało się wykroić tylko jedną czwartą porcji, reszta na wylot przeżarta była przez pleśń. Jak się dmuchnęło, to zielono się robiło w powietrzu.

Jeden znajomy Cygan, który pracował przy budowie kolei, nażarł się tego chleba i umarł. Zjadł cały swój chleb i nazbierał jeszcze od innych. Tu ja byłem ostrożny. Miałem dużo więcej zupy i kartofli niż inni, to jadłem tylko chleb dobry albo tylko troszeczkę spleśniały – resztę wyrzucałem.

Pod koniec każdego roku mieliśmy głód chleba. Dostawaliśmy przez kilka dni chleb na sześć i osiem osób. Wyrównywano w ten sposób „braki" powstałe w ciągu całego roku. A „braki" – to po prostu złodziejstwo wszystkich tych, którzy mieli możliwość brania chleba na dworcu, w drodze do magazynu i – co najważniejsze – z magazynu.

Olbrzymia radość zapanowała wśród Polaków i Francuzów, gdy dowiedzieliśmy się, że do listów pisanych w grudniu dołączono kartki informacyjne, że wolno przysyłać paczki żywnościowe o nieograniczonej wadze i nieograniczonej ilości. Paczki te zaczęły przychodzić przed samymi świętami Bożego Narodzenia. To było w roku 1942. A więc przez prawie trzy lata pobytu w obozie otrzymałem dwie jednokilowe paczki, na święta 1940 roku i jedną taką samą na święta 1941, a trzecią dopiero w końcu stycznia 1942

roku. Trzy kilogramy jedzenia w paczkach na trzy lata pobytu w obozie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że zezwolenie na przysyłanie paczek będzie przełomem w warunkach obozowych – przełomem na lepsze. I tak też było. od roku 1943 warunki poprawiły się tak, że nie było żadnego porównania do warunków poprzedniego okresu.

Ale na razie jest jeszcze wciąż rok 1942, okres „kąpieli", „inwalidów", mordowni i głodu. To właśnie w tym czasie każdy blok musiał codziennie wieczorem dać dwóch ludzi do utopienia i w tym czasie trzystu pięćdziesięciu „inwalidów" zamknięto w piwnicach nowo budującego się bloku szóstego. Ludziom tym nie dawano wcale jedzenia, skazani byli na śmierć głodową. Tego też już i dla nas było za dużo. Utopić, zaszprycować czy zabić – jak zrobiono z grupą przeszło stu muzułmanów, których posłano do pracy w kamieniołomach z namalowanymi na czole krzyżami olejną czerwoną farbą i których uśmiercono w ciągu jednego dnia – to wszystko jeszcze było do wytrzymania. Ale zagłodzić tyle ludzi? Tu żywych jeszcze ruszyło sumienie. na blokach zrzekano się dolewek, a jedzenie kotłami noszono na blok szósty. Zrzekano się części chleba, który docierał do tych więźniów mimo wart wystawionych do pilnowania. Warty to też więźniowie. Po trzech tygodniach rozdzielono ich po innych blokach, bo nie umarli. I tak, nie wiem dlaczego, nie zadano im nagłej a spodziewanej śmierci. Przedłużono im tylko umieranie z głodu i bicia. Bo w tym czasie niemożliwością było dla nich przetrwanie pół roku, to jest do czasu zezwolenia na przysyłanie paczek.

Pewnego dnia w niedzielę ruch na placu apelowym w pobliżu bramy. na placu gra orkiestra obozowa złożona z więźniów, a blokowi i kapowie z całego obozu – wypasione byki – z radością rozrywają kamienie placu apelowego, walą oskardami, wożą taczkami. Co jest? W obozie buduje się puf, dom publiczny dla więźniów.

Wybudowali, sprowadzono prostytutki. Dziesięć sztuk – osiem Niemek, jedna Czeszka i jedna Polka. Wesoło było. Pierwszy raz, od kiedy zostałem zamknięty, zobaczyłem tak z bliska kobiety.

Spacerowały po trawnikach wzdłuż drutów ogrodzenia pod „opieką” esesmana. Nie wolno było rozmawiać z nimi. Zgrupowaliśmy się tylko w przejściach między barakami i przyglądaliśmy się im w milczeniu. Fajne babki, elegancko ubrane, ufryzowane i… wyżarte. Podobno ochotniczki z obozu koncentracyjnego z Ravensbrück. Przypuszczam, że zawodowe prostytutki. za bardzo były rozwydrzone jak na kobiety, które zgłosiły się, żeby ratować życie. Tak przynajmniej o sobie opowiadała Polka – z Warszawy – że głód, że karna kompania, że dwa razy próby samobójstwa, że wreszcie mieli ją wykończyć – i ogłoszenie ochotniczego poboru do domów publicznych w męskich obozach koncentracyjnych. za dobrze na to wyglądała.

Wszystkim nam dawały one jedną radość. Klęły i wymyślały przez okna esesmanom. Przydzieloną miały dla siebie specjalną esesmankę. Podlegały władzom obozu w Ravensbrück i naszym nie wolno było ich karać. Były u nas w obozie rok i za „złe zachowanie” wysłano je z powrotem do obozu. Przysłano drugą taką samą partię i w takim samym składzie i te były prawie do końca – aż do zlikwidowania tego przybytku miłości.

Każda z nich miała swojego przyjaciela, który gdy szedł do pufu, starał się do niej dostać. Dostawały one specjalne wyżywienie z kuchni – lepsze jak SS – a gdy wolno było przysyłać paczki, to już absztyfikanty starali się, by im niczego nie brakowało. Klawe baby – od jednych brały, innym rozdawały. Druga Polka – utleniona blondynka z Poznania – nie udawała ofiary, była to wyszkolona prostytutka.

Do pufu chodzili też muzułmani. Zapłacił taki jedną markę – pieniędzmi obozowymi – wpuścili go, a jakże. Dama pytała go już w swojej kabinie:

– Co chcesz?… Czy chleba?

– Chleba – mówił muzułman.

Wtedy ona szła do swego pomieszczenia mieszkalnego i przynosiła mu sporo chleba, dołożyła nieraz kilka papierosów i rozstawali się, oboje zadowoleni.

Kto chciał iść do pufu, musiał zapisać się u pisarza blokowego i wzywano w miarę zapisów kolejno, blokami. Czyli że nie wtedy,

kiedy miał chęć, a wtedy, gdy na niego wypadło. Dostawał wtedy kartkę i wieczorem – gwizdek i zawołanie: „Kto do pufu – zbiórka!”. Ustawiono, obliczono, wprowadzono do środka. Tam urzędowały zawsze dwie, które miały dyżur w poczekalni – na zmianę. Tego dnia te dwie nie przyjmowały gości. Tak mi opowiadano – bo sam nigdy tam nie byłem. Prócz nich dyżurował oficer SS, który przydzielał kabiny. W każdych drzwiach były wizjerki, przez które esesman mógł podglądać, „co tam się robi”. W kabinie wolno było przebywać pewien określony czas – nie wiem ile, dziesięć czy piętnaście minut – i wysiadka. W pierwszym okresie zabroniono tam chodzić Hiszpanom i Rosjanom. Później na indeksie byli tylko Rosjanie. Ponieważ „zakochani” nie mogli zbyt często tam chodzić, powstał nowy proceder zarabiania na życie. Chłopaki zapisywali się – a gdy już dostawali kartę wstępu, sprzedawali bilet potrzebującemu za pewną ilość jedzenia. W pierwszym okresie było mało amatorów. Niemców było mało, Czechów jeszcze mniej, Hiszpanom i Rosjanom nie wolno było, a Polacy zbojkotowali – nie chcieli chodzić. Później chodzili – kapowie i niektórzy arystokraci, ale koledzy przeważnie podśmiewali się z nich. Ci, którzy się „kochali”, to przeważnie Niemcy, a Polacy to znów prawie sami dranie. Kołeczko nosił w kieszeni fotografię żony i dzieci, a kurwie nosił produkty, które mu przysyłała żona. Następnie chodził Ott i może jeszcze zaledwie kilku.

Niejeden może chodziłby, ale krępował się kolegów z tej samej miejscowości, ludzi słabych i głodnych, że jeśli przeżyją, to opowiedzą, że ten i ten w obozie, zamiast pomóc innym, oddawał prostytutkom. A nawet jak nie oddawał, to może był chłop żonaty i nie chciał, żeby się kiedyś o tym żona dowiedziała.

Gdy na początku puf nie miał wielkiego powodzenia, blokowi sami wyznaczali ludzi – na oko, według wyglądu. W związku z tym wynikła jednej niedzieli zabawna historia. Blokowy czwartego bloku wyznaczył do pufu młodego chłopaka lat dziewiętnastu, Edwarda D. z Poznania. Wysoki, przystojny chłopaczek – ładnie ubrany. Był na czyimś „utrzymaniu”.

– Kiedy ja nie mam pieniędzy – bronił się D.

– To ja ci dam markę – mówi blokowy – i dał mu.

Ten znów mówi, że kamieniarze będą pracowali w niedzielę, to on będzie zmęczony.

– To nie pójdziesz do pracy.

I nie poszedł. Ale kartkę sprzedał pupilkowi blokowego innego bloku i dostał za nią chleb. Wygrany na całego. Nie pracował w niedzielę i jeszcze dostał chleb. Jak się za chwilę okaże, wygrał on do końca. Dnia tego dyżur w pufie miał Kluge – chyba największy bandyta wśród esesmanów. Zobaczył kartkę – Polak, kamieniarz, blok czwarty. A tu widzi przed sobą: Niemiec, blokowy dwudziestego pierwszego bloku, sporo starszy. Skąd ma kartkę, zapytał.

– Służący mój mi przyniósł.

Kluge wyszedł przed drzwi i wrzasnął:

– D……..! Wołać dalej!

Inni podchwycili okrzyk:

– D……..! Dalej wołać! – i już po chwili wszędzie słychać było:

– D……..! Wołać dalej!

Blokowy, jak to posłyszał, pogroził mu, że rozprawi się z nim, a D. popędził do pufu. Przed drzwiami już czekał na niego Kluge. Podszedł do niego z zaciśniętymi pięściami i pyta, dlaczego sam nie przyszedł. D., wystraszony, tłumaczył się – a znał dobrze język niemiecki – że pracował cały dzień i był zmęczony, a poza tym że nigdy nie miał z kobietą nic… – i tym rozbroił Klugego. Roześmiał się, wprowadził go do środka i przedstawił wszystkim, że to jest taki, który jeszcze nigdy itd. Posadził go między dwie dyżurne, które były niezbyt skromnie ubrane. D. sam nam to opowiadał, że czerwienił się i bladł z wrażenia – bo to, co powiedział Klugemu, to była prawda. Kiedy partia „załatwionych” gości opuściła kabiny, a panie czekały już na nowych klientów – Kluge przedstawił im znów tego, który jeszcze nigdy itd., i zapytał, która zechce go nauczyć. Chciały wszystkie. Wtedy Kluge sam wybrał jedną, której kazał się z nim grzecznie obejść i dobrze nauczyć, żeby był zadowolony. Nauczył się i był zadowolony, bo panienka dała mu jeszcze pełną garść papierosów i zapraszała, żeby częściej do niej przychodził. A jemu tak się ta robota podobała, że chodził jeszcze wiele razy i już nawet bez przymusu.

Ja zapisałem się jeden raz, ale nie dla siebie. W roku 1944, pracując w tunelach, miałem przyjaciela Rosjanina – Ośkę K. z Pskowa. Jednego wieczora przyszedł do mnie, mówiąc, że na naszym bloku zapisują do pufu.

– To zapisz się – mówię.

– Nie mogę, Ruskim nie wolno.

– To ja zapiszę się – a pójdziesz?

– Pójdę.

– Na pewno?

– Na pewno.

– No to zapisz mnie! – zawołałem do pisarza. Zapisał – a za dwa dni już dostałem kartkę. Dałem Ośce kartkę, swoje lepsze ubranie, numer z ręki, ogolił się, umył i poszedł. Jego koledzy, gdy zobaczyli, że ma na winklu literę „P", zaczęli pytać dlaczego.

– Bo Polakom w obozie lepiej – odpowiedział.

Dopiero jak posłali mu odpowiednie wiązanki, powiedział im, że idzie do pufu. Zbiórka, obliczenie, wprowadzili i – pech. Przydzielili go do Polki. Żadna Niemka nie spostrzegłaby się, że to Rosjanin, a Polka połapała się od razu. Rozmowa ich wyglądała tak:

– Ty Polak?

– A szto, nie widzisz? – pokazuje literę „P".

– Ty Ruski.

– Da, Ruski.

– A ty nie wiesz, że Ruskim nie wolno przychodzić?

– Da, znaju.

– To dlaczego przyszedłeś?

– Jobać ochota.

– A jak ja bym powiedziała dyżurnemu oficerowi, że tu u mnie jest Ruski?

– Mnie szicko jedno.

– A gdzie jest ten Polak, który miał być?

– Ty znajesz, on bolny, w rewiru jest.

– Palisz?

– Palu.

– To dlaczego nie palisz?

– Bo nie imieju.

Dała mu kilka papierosów. Jednego popalił chwilę, zgasił – i „pani" przyjęła go. Ale stara prostytutka, gdy już Ośka wychodził, powiedziała dyżurnemu esesmanowi, że to był Ruski. Dyżur miał wtedy chyba najlepszy esesman w obozie, to tylko roześmiał się. Gdyby był Kluge – to obydwaj mielibyśmy tyłki pełne.

Do Polki – pod okna tylko – chodził też Heniek B. Kochał się w niej starszy obozu, Beker. Był to jeden z największych bandytów w Gusen. Były esesman. W Mauthausen malował ustępy. Mieszkaliśmy w jednym bloku. Gdy pogniewała się ona na Bekera za to, że taki bandyta, powiedział, że będzie zabijał dziesięciu Polaków dziennie – i zabijał. Gdy mu mówiono, żeby tego nie robił, odpowiadał, że przestanie, jak ona się z nim pogodzi. No i pogodzili się – kurwa i bandyta – a przez takich ginęli niewinni ludzie.

Raz, gdy Heniek rozmawiał z nią przez okno, Beker złapał go z tyłu za gardło – żeby udusić. Ale tu się nadział na prawdziwą siłę. Heniek był potwornie silny. Złapał go jedną ręką i nogami poderwał do góry. Gdy podciągnął go tak, że ten już musiał puścić gardło, rzucił nim głową w dół. Beker dłuższą chwilę nie mógł się podnieść. Później Heniek mówił, że gdyby wiedział, że to Beker, toby nim tak trząchnął, że by go zabił. Uwolniłby obóz od jednego bandyty. Sam raz słyszałem, jak Beker zawołał pisarza z bloku dwunastego i kazał mu zapisać na jutro jakiegoś Niemca, który stał obok, jako nieboszczyka. Coś przeskrobał, nie wiem co. Człowiek ten, w tej chwili zdrów, na rano był już trupem. Wpędzili go na druty. Wkrótce potem, na naszych oczach, przy umywalni bloku pierwszego Bekera zastrzelił esesman. Wpadł w jakąś aferę i zaczął wydawać esesmanów – dlatego musiał umrzeć. Kazali mu iść na druty. Bał się drań. Schował się i nie wyszedł na ranny apel. Staliśmy na placu, gdy go esesmani znaleźli i znów kazali iść na druty. Ten zamiast w stronę drutów skręcił w prawo, w stronę baraków – wtedy esesman strzelił. Podobno postrzelił go tylko, a dokończyli go w krematorium.

Po Bekerze funkcję starszego obozu numer jeden objął jego zastępca, Rorbacher Karl – międzynarodowy kasiarz z Wiednia, jeden z najlepszych ludzi w obozie. Wiele osób zawdzięcza mu życie. Wielu uratował od bicia. Nie wynosił się. Nie bił. Lubiany był przez

wszystkich ludzi w obozie i gdy po wyzwoleniu innych Niemców, bandytów, więźniowie mordowali, jego noszono na rękach. Mnie też uratował raz od wielkiego bicia – ale o tym opowiem osobno. Chodził często urzędować do pufu. Prosił wtedy esesmana, że on będzie przydzielał do kabin. Wiedział, kogo do której kabiny ciągnie, i wyznaczał do innych. Taki prosił o tę, do której chodził.

– Daj sto papierosów.

Każdy dawał. A Rorbacher śmiał się, że zabrał to, co miała dostać dama. W ten sposób zbierał sporo papierosów, które po wyjściu z pufu rozdawał muzułmanom.

Kiedyś urządził sobie „wesołą" zabawę. W furtce do rewiru przeciągnął na wysokości twarzy druty kolczaste – a było tam ciemno. Następnie wysyłał gońców do różnych kapów i blokowych – największych bandytów w obozie – z zawiadomieniem, że w rewirze jest komendant obozu i wzywa ich. Pędził taki, ile sił w nogach, a w furtce nadziewał się twarzą na drut kolczasty. Mordy poharatane. Von Loosen też nadział się na drut kolczasty. Następnego dnia kilkunastu bandytów chodziło z podrapanymi albo zabandażowanymi mordami, a Karl, gdzie którego zobaczył, to śmiał się z nich. „Wysiadł" ze stanowiska w lutym 1945 roku za upicie się. Wisiał dwie godziny za ręce, ale nie wydał, skąd miał wódkę. Zdegradowano go i wysłano do pracy w warsztatach Steyra. na jego miejsce nastał Hail. Ostrzegł go Rorbacher, żeby nie skakał za dużo z ludźmi.

– Ty jesteś tylko Hail – a starszym obozu jestem ja. Bo mnie ludzie dalej za starszego obozu uważają. Jak będziecie skakać, to poślę wszystkich na druty. Ja wiem o was tyle, że mogę posłać każdego – a wy o mnie nic nie wiecie. A za to, że się upiłem, to już mnie ukarali.

Gdybym chciał wszystko o nim napisać, zajęłoby to zbyt dużo miejsca. W dwóch słowach – byczy chłop.

Zabawa w ciuciubabkę ze śmiercią trwa bez przerwy. Wybierają i wykańczają. Jak nie topią, to głodzą, to znów krzyże na czole i mordują, odwożą „samochodami" do Mauthausen, to znów

transport wywieźli kolejką łączącą Gusen z Mauthausen. Znów wybrali chorych do leczenia. Nie wiem, jak wyglądało to „leczenie", ale widziałem, jak ich wywożono.

Zza naszej hali widać było plac apelowy. Kilkudziesięciu „chorych" ustawiono na placu apelowym, na którym stali kilka godzin w czasie deszczu. Właściwie nie stali, tylko leżeli w błocie. Tacy byli słabi. Kolejka zaczynała się w kamieniołomie w Gusen – więc chorych trzeba było tam dostarczyć. Podwieziono dwie platformy. „Chorych" brano za ręce i nogi – rozbujano i o-op! – na wóz. Gdy już wszystkich wrzucono, okazało się, że trzeba ich obliczyć. Zdjęto boczne deski. Wysypali ludzi, ułożyli ich obok siebie na ziemi, obliczyli – i w ten sam sposób znów załadowali na wozy. Jak ich ładowano na wagony, jak wyładowano w Mauthausen i jak ich tam „leczono" – tego mogłem się tylko domyślać.

Jednej niedzieli wypędzono nas nago przed bloki. Staliśmy z godzinę, zanim przyszła do nas grupa SS. Byli tam nasi esesmani i jacyś obcy. Oglądali nas ze wszystkich stron i wybierali ludzi, którzy mieli jakieś fizyczne usterki – myszki, narośle i kaszaki. Jeden z obcych zwrócił się do innych z prośbą, żeby mu wyszukali ze dwa żołądki. Aha! – tropnąłem się. Szukają „chorych" do operacji. Dobrze, że ja nie miałem żadnego feleru. Kogo wybrali – tego numer zaraz zapisywali.

Był w obozie jeden karłowaty Hiszpan. Mały, krótkie nogi i wielka głowa. Musiał się jednak komuś bardzo podobać, bo wyglądał dobrze; a mimo to wkrótce w pracowni histopatologicznej stał w kącie jego szkielet.

Zauważyłem u siebie i u innych straszny zanik pamięci – przypuszczam, że powstał on w wyniku stałego niedożywienia, braku różnych składników potrzebnych dla organizmu i z powodu interesowania się małym zasięgiem spraw. Sprawy główne to jedzenie, spanie, ubranie i zagadnienie pracy. Był taki jeden, który miał w domu pięcioro dzieci i zapomniał imienia jednego dziecka.

W dyskusji, w której udział brał profesor, prawnik i ja, trzeba było użyć słowa „plebiscyt". Zatrzymaliśmy się w tym miejscu i żaden z nas nie mógł sobie tego słowa przypomnieć. Wiedzieliśmy, o co chodzi, ale słowa zabrakło. Dopiero po kilku dniach przypomniało mi

się to słowo i wtedy szybko pochwaliłem się tamtym, że to właśnie ja pierwszy przypomniałem sobie.

W jednym liście z domu matka napisała mi: „Pan Osowski przesyła ci pozdrowienia". Kto to jest Osowski? Zastanawiałem się nad tym dwa tygodnie. Wreszcie, gdy w nocy biegłem do ustępu, przypomniałem sobie. Mąż mojej koleżanki, sąsiadki z domu, w którym mieszkałem. Przed moim aresztowaniem piliśmy i bawiliśmy się często razem. Oni bywali u mnie, ja u nich. Zaraz, ale jak on ma na imię? Przemyślałem, zdawało mi się, wszystkie imiona. Żadne do niego nie pasowało. Dopiero znów po tygodniu, i znów w nocy w drodze do ustępu, przypomniałem sobie – Tadeusz. Pozapominało się nazwiska ludzi, daty. Po prostu łeb był zupełnie pusty, a człowiek stał się bez mała bezmyślną istotą.

Latem 1942 roku złapałem coś w nogi. Twardniały mi łydki i były zupełnie bez czucia. Chodziłem jak na szczudłach. Były tak twarde, że gdy naciskałem palcem, nie drgnęły nawet na milimetr – i bolały. Najbardziej bolały rano. Były wtedy miękkie, ale wcale nie mogłem chodzić. Dopiero jak się rozruszałem, to chodziłem na sztywnych nogach, ale bolało mniej – wtedy już łydki były twarde. Porobiło mi się też coś z dłońmi. Nie mogłem zginać palców – na palcach u góry porobiły mi się twarde górki. To trwało przez kilka tygodni. Wreszcie M. postanowił mnie z tego wyleczyć. Bóle rąk po jakimś czasie same przeszły. na nogi robił mi na noc kompresy. Mokre szmaty skrapiał jakimś lekarstwem, które nazywał kapsymentem – była to jakaś mieszanina spirytusów leczniczych. Kompresy te rozgrzewały mi nogi. Przed założeniem kompresów masował mi te łydki. Było to bardzo bolesne, lecz w tym czasie byłem już wytrzymały na każdy ból. Po dwóch tygodniach takich zabiegów nogi powróciły do normy. Tak więc i ręce, i nogi już miałem zdrowe i do dzisiaj nie wiem, co mi właściwie wtedy było i od czego to się zrobiło.

Pozwolono nam zapuścić włosy. Już nie golono nam łbów brzytwą każdego tygodnia. Strzyżono maszynką raz na trzy miesiące – a każdego tygodnia golono tylko czterocentymetrową ścieżkę, która biegła od czoła do tyłu przez środek głowy. Żeby każdy był znaczony, gdyby chciał uciekać. „Władze" robiły sobie wąskie, dwucentymetrowe ścieżki, a nam golono szerokie jak szosa. Ścieżki

te nazywaliśmy „ulicą dla wszy”. Zrobiono z nas dodatkowo hodowlę baranów. Włosy były Niemcom potrzebne do jakichś celów. Gdy raz na trzy miesiące strzyżono nas, włosy zbierano w pudła i każdy blok oddawał esesmanowi wszystko, co zebrał.

Zapomniałem napisać o nowościach wprowadzonych w obozach. W 1942 roku wprowadzono obowiązek noszenia pod numerem na marynarce numeru bloku, a na ręku swojego numeru, który był wybity na metalowej blaszce i drutem przywiązany do ręki. Był to tak zwany numer śmierci. To samo, co tatuowany numer w Oświęcimiu. Były kłopoty z rozpoznawaniem nieboszczyków, gdy numer odpadł albo gdy był utytłany w błocie. A tak to wiadomo było, kto to jest i z jakiego bloku.

Był wypadek, że pisarz pomylił numer. Umarł Niemiec, a wymeldowano Polaka. Gdy przyszło zwolnienie dla Niemca, musieli uśmiercić Polaka, który został wymeldowany jako zmarły, podać, że właśnie tego dnia zmarł Niemiec, i wymeldować go.

W związku z numerami na rękach muszę powiedzieć, że numer ten świadczył o sytuacji materialnej więźnia. Każdy traktował numer ten jako ozdobę i starał się mieć jak najładniejszy. Jedni kupowali, inni zajmowali się produkcją. Robiono różne, najbardziej fantazyjne wzory numerów i bransoletek. Najbiedniejsi nosili numery, które każdy dostawał urzędowo – drut i blaszka. Przez pierwsze kilka tygodni nosiłem numer na drucie. Później kolega zrobił mi bransoletkę z miedzianej blachy. Ta brudziła rękę, ale nosiłem ją dość długo. W roku 1943 kazałem sobie zrobić numer grawerowany w białym metalu, a bransoletka była ze stalowego nierdzewnego pręta, który z jednej strony był na stałe przymocowany do numeru, z drugiej strony miał uchwyt, który można było zwolnić przy silnym ściśnięciu. Ten numer już nie brudził. Następny numer zrobił mi w czerwcu 1944 roku specjalista od tych rzeczy – Hiszpan. Numer ten kosztował dużo papierosów i kilka bochenków chleba. Śliczna rzecz. Numery takie miało w obozie zaledwie kilkanaście osób. A dosłownie taki jak mój, to znaczy z ludzkiej kości – to nie wiem, ile osób mogło mieć. Kolega z rewiru – Michaś miał na imię – postarał mi się z patologii o kawał już wygotowanego ludzkiego piszczela i z tego wykonano numer i bransoletkę. Numer wyglądał jak

czterostopniowy postument z wtłoczonym w środek alpakowym numerem. Było to już po wymianie numerów na ogólną, mauthausenowską numerację. Zmieniono mi wtedy numery z 8420 na 43429, „milionowy" numer, który już nie wskazywał na staż obozowy. Bo ktoś, kto przyszedł tuż przed wymianą w 1944 roku, mógł dostać mniejszy numer niż ja, siedzący od 1940. Bransoletka do numeru zrobiona była z tej samej kości, w kształcie szarotek, łączonych kółkami ze srebrnego drutu. Stalowy numer oddałem w 1945 roku w Katowicach koledze Stanisławowi Nogajowi, prezesowi miejscowego Związku Więźniów Obozów Koncentracyjnych, na wystawę pamiątek obozowych, którą on organizował. Numer z ludzkiej kości zgubiłem w roku 1945 w Polsce. Zerwało się widocznie jedno kółko. **A szkoda, bo była to naprawdę śliczna sztuka. Z reszty kości artysta rzeźbiarz, Rosjanin, wykonał mi kotwicę z kustereczkiem, pilniczkiem do paznokci i ostrzem do czyszczenia paznokci, z wężem oplatającym kotwicę. Wąż nie był żłobiony w kości, a biegł wierzchem. Śliczna rzecz w skórzanej pochewce, ale gdy raz wysłano nas kilkunastu do Lungitz, do dawnej cegielni zamienionej na magazyny do załadowywania wagonów kolejowych wózkami, po załadowaniu usiadłem ciężko na marynarce leżącej na ziemi. Trzasnęło, a mnie ścierpła skóra. Kotwica gotowa – pomyślałem. Wyjąłem, patrzę, złamana w dwóch miejscach. Włożyłem do pochewki, żeby były wszystkie części razem, zapiąłem pochewkę i wyrzuciłem. Dopiero kilka lat później pomyślałem sobie, że przecież można byłoby to jeszcze zreperować.**

Prawie każdej niedzieli brano kamieniarzy do innych dodatkowych robót. Zawsze jakaś robota się znalazła. Ponieważ nie brano wszystkich, istniała szansa urwania się. Tak też robiłem. Po apelu nie szedłem do bloku, tylko urywałem się na tył obozu. Po godzinie kręciłem się w pobliżu bloku, aż spotkałem kogoś z naszego bloku. Gdy upewniłem się, że już nabrali ludzi do roboty, wtedy dopiero wchodziłem do bloku. Raz tylko wpadłem do roboty, ale to dlatego, że wybierano pięćdziesięciu ludzi z naszego bloku od razu na placu apelowym. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, wiem tylko, że były wtedy dwa dni świąt. Urwałem się wtedy z szeregu, ale spostrzegł mnie Sobczak – dał w mordę i znów wstawił do szeregu.

Bałem się ryzykować bardziej, żeby nie stać się „znajomym" blokowego, żeby mnie któregoś dnia nie wybrał do wieczornej beczki albo do „inwalidów". Cały dzień pracowaliśmy przy budowie młyna. Następnego dnia blokowemu nie chciało się wybierać nowych ludzi, to po skończonym apelu kazał wystąpić tym pięćdziesięciu ludziom, którzy wczoraj pracowali. Czułem, że chce wysłać tych samych ludzi drugi dzień do pracy. za przykre to było. Cały blok dwa dni odpoczywa, a ja mam pracować? Nie czekałem na wynik. Gdy brakowało im jednego, to – tak jak przewidywałem – blokowy dołączył pierwszego z brzegu. M. wysyłka taka nie groziła. Masażysta – człowiek znany. Przez kilka godzin łaziłem po ustępach i umywalniach. Bałem się iść na sztubę, bo Sobczak pamiętał, że wczoraj pracowałem. Wreszcie zdecydowałem się wejść. Gdy wszedłem, jeden baran zobaczył mnie i wrzasnął:

– Co ty tu robisz? Przecież byłeś wysłany do roboty!

Lizus. Popisał się przed Sobczakiem, ale okazało się, że było mu zupełnie obojętne, kto poszedł do pracy. Temu, który mnie wydał, powiedziałem kilka słów po cichu:

– A czy ty, taki, inny, bydlaku, poszedłeś za mnie do roboty? Czekaj – ja ci to jeszcze odbiję! – I odbiłem jeszcze tego samego dnia wieczorem, na gorąco. Dostał po ryju, żeby nie kapował. Kapowania nie lubiłem darować.

Raz złapali mnie wieczorem po kolacji do roboty przy betonowaniu szóstego bloku. Robili wtedy przez całą noc, ale ja pracowałem tylko godzinę. Wyjścia w kierunku innych bloków były obstawione i nie można było się urwać – ale przecież okna naszego piątego bloku wychodziły na szósty blok. Stanąłem z tragą napełnioną betonem pod oknami. Chłopaki zobaczyli mnie. Powiedziałem im, żeby otworzyli okno z haczyka… i już od tej chwili polowałem na właściwy moment. Gdy taki moment się trafił, wlazłem przez okno, razem z tym, który nosił ze mną tragi.

Następnego dnia do roboty wygnali prominentów – między innymi Heńka B. Zobaczyłem go, zawołałem i zaproponowałem mu zamianę – że pójdę za niego robić – albo niech skika w nasze okna. Nie zgodził się. Powiedział, że trochę pracy dobrze mu zrobi. Był on już wtedy kapem magazynów mundurowych SS. Dziwny chłopak.

Zaproponowałem mu, że będę mu czyścił buty. Zgodził się. Po dwóch dniach wygnał mnie i ze złością powiedział, że będzie sam sobie czyścił buty. I więcej nic nigdy ode mnie nie chciał, a zupy codziennie dawał. Gdy już mnie było stać na to, by żywić innych, nigdy, ale to nigdy nie pozwoliłem nikomu czyścić moich butów. Zajęty byłem, zaganiany, to słali mi łóżko, prali bieliznę, pilnowali moich manatków – ale buty zawsze czyściłem sobie sam. Miałem wciąż takie uczucie, że czyszczenie butów innym to symbol służalczości i poniżenia człowieka.

Wspomnieć muszę o Mietku Rączce z Będzina i Zygmuncie Jaczewskim. Mietek Rączka wykończył się wiosną 1942 roku. Długo go nie widziałem. Ktoś powiedział mi, że jest on na bloku dwudziestym. Chciałem go wywołać. Wyjrzał jakiś inny facet i powiedział, że Rączka od wczoraj jest na rewirze. Więcej go nie zobaczyłem.

Zygmunta Jaczewskiego zobaczyłem jednej niedzieli po południu. Siedział pod umywalnią w muzułmańskim ubraniu, w trepach, skrobał szkłem środek przeciętej na cztery części fifki. Wyskrobane wiórki zawinął w gazetę, wstał i rozglądał się za ogniem. Podszedłem do niego.

– No co, Zygmunt – mówię mu – mówiłeś w Mauthausen, że gdybyś miał palić w gazecie, to wolałbyś wcale nie palić. – Już nic nie wspominałem, że to nawet nie tytoń, tylko drzewo.

– Patrz – odpowiedział – nie mogę przestać palić.

– A jak ci się powodzi?

– Ano, jak widzisz, źle! Głodny jestem. Gdy prosiłem kolegów o łupiny od kartofli – to wyśmiali mnie. „Ty byś się nie wstydził jeść łupin?" – powiedział mi jeden. Mądry, bo ma dosyć jedzenia. Stachu, powiedz sam, czy kiedy pokazałem wam albo powiedziałem co przykrego, gdy tobie i Stefanowi Krukowskiemu dawałem łupiny? Nie mogłem dać kartofli, ale nie wstydziłem was, że chcecie jeść łupiny. Czuję, że jeśli mnie nie zwolnią, to już długo nie pociągnę.

Opowiedział mi „proroczy" sen, z którego wynika, że będzie zwolniony. W listach też dają mu do zrozumienia, że robią starania o zwolnienie. Miałem tego dnia więcej zupy, bo dostałem od M., od B. i od Józefa M. Jedną miskę zostawiłem sobie na kolację – ale żal

mi się go zrobiło i tę miskę zupy mu oddałem. Następnego dnia po wieczornym apelu wywołano kilkanaście numerów – podobno do zwolnienia. Wywołano też Zygmunta Jaczewskiego. Biegł w swoich trepach, podrzucając wysoko nogi. Rozmawiałem z nim jeszcze wieczorem. Prosiłem, by odwiedził moją matkę i powiedział, jak żyję i że daję sobie radę. Prosiłem, żeby matki nie martwił i niech nie opowiada żadnych okropności. Krótko – Stasiek żyje i daje sobie radę. Chciałem mu podać adres. Okazało się, że pamięta adres od czasu, gdy mu podałem go w Mauthausen. Następnego dnia ci wywołani nie poszli do pracy. W cywilnych ubraniach nie widziałem ich. Po wojnie kilka razy szukałem go przez Biuro Ewidencji Ludności w Warszawie, ale nie znalazłem żadnego śladu.

W jednym z transportów przyszedł Zbyszek Wlazłowski, student medycyny. Poznałem go z Jurkiem Kalinowskim z Warszawy, który od 1940 roku pracował w rewirze. Jurek postarał się o to, że Zbyszek dostał się do pracy w rewirze. Żyją obaj. Zbyszek jest dziś lekarzem – oficerem marynarki, a Jurek Kalinowski mieszka w Warszawie.

Ci dwaj to moje najważniejsze znajomości w rewirze. Jurek dostał się na rewir w ten sposób, że w 1940 roku wózek z kamieniami zmiażdżył mu nogę, którą mu ucięto do samej pachwiny. Po wyleczeniu pozostał na rewirze i był tam do końca wojny. Pracownicy rewiru mieszkali w blokach rewirowych. Dostałem na rękach kurzajek, więc poszedłem do Zbyszka na rewir i ten diatermią wypalił mi wszystkie. Gdy wychodziłem z rewiru, zobaczyłem w poczekalni dentystycznej cztery głupio skrzywione gęby. Co się okazało? W obozie – w rewirze – rwano zęby. Ci czterej przyszli wyrwać bolące zęby i czekając w poczekalni, rozmawiali sobie. Zęby wyrywał więzień, lecz w tym czasie znajdował się tam dentysta esesman, który powiedział swemu pomocnikowi, żeby uspokoił tych za drzwiami, żeby przestali gadać. Gdy po zwróconej uwadze znów po kilku minutach zaczęli gadać – zawołał ich do siebie, wyrwał każdemu po cztery zęby na przedzie i kazał czekać na wyrwanie właściwych, bolących zębów. Gdy ja wychodziłem, już im się gadać nie chciało – siedzieli cicho.

Pisałem już, jak wyglądał przeciętny dzień w obozie. Teraz napiszę o niedzieli. Nie chodzi mi o przeciętną niedzielę; ale po prostu utrwaliła mi się w pamięci jedna niedziela, której elementy powtarzały się każdej niedzieli.

Po wydaniu rannej kawy, poprzedzonej tak jak codziennie biciem za źle posłane łóżka – zbiórka przed blokiem. Tu blokowi, sztubowi i kapowie przeprowadzali kontrolę: czy wszyscy pogoleni, czy pogolone głowy, a później ścieżki na głowie, czy poprzyszywane guziki, czy ubranie niepodarte, czy każdy ma numery na ręku, spodniach i marynarce, czy są winkle i numer bloku. Gdy coś szwankowało – bicie, i to bicie, które niejednego zaprowadziło do krematorium.

Po apelu – marsz do bloków. A kamieniarze? Każdej niedzieli większa lub mniejsza grupa do pracy. Więc gdy chodzi o mnie, to urwanie się z bloku w niedzielę było równoczesnym urwaniem się od pracy. **Urwaniem się, bo gdy wzywano nas do pracy pół godziny po apelu, to okazywało się, że nikogo nie ma. Wtedy wydano polecenie, że z bloku wolno wychodzić dopiero, gdy na to pozwolą. Mimo to urywałem się od razu na placu apelowym. Wiedziałem, że nikt na sztubie nie będzie sprawdzał. Wystarczyło im, że mają ludzi, których na pierwsze zawołanie mogą wysłać do pracy. Gdy mi się nie udało urwać na placu, to w sztubie szedłem „porozmawiać" do kolegów na drugą stronę, gdzie było wejście, żeby gdy tylko wyczuję, że „idzie robota", dać dęba przez okno.** Wtedy miałem czas pochodzić sobie po obozie.

Front obozu to blok pierwszy i drugi – bloki prominenckie. Blok trzeci, czwarty i piąty – to kamieniarze. Blok trzeci był jakby półprominenckim blokiem, a czwarty i piąty to kamieniarze, starzy więźniowie, jako tako zorganizowani. Wymierali wolniej niż na innych blokach, a nowych nie przydzielano, bo kamieniarz to nie zwykły robotnik przy łopacie – trzeba go było długo uczyć, żeby był dobrym fachowcem. Bloki szósty i siódmy – w budowie, puste. Zajęte zostały dopiero w roku 1943 czy 1944. W tym czasie wybudowano jeszcze cztery bloki na placu apelowym na linii bloków drugiego, trzeciego, czwartego i piątego, które otrzymały numerację A, B, C, D. na linii bloku pierwszego był dom publiczny.

Poszedłem sobie przy niedzieli na tyły obozu, w okolice rewiru. Gromady nagich ludzi albo opasanych tylko ręcznikami lub w kalesonach z podniesionymi nogawkami leżały na uliczkach – na gołych kamieniach. Wygrzewali na słońcu swoje kości. Kości i skórę, bo nic więcej na nich nie było. Byli to najgorsi muzułmani, którym pozostało nie więcej jak dwa tygodnie życia. Widziało się to po wyglądzie, po oczach i po obojętnym, na nic niereagującym wyrazie twarzy. Wszedłem na blok czwarty. Mieszkało w nim dużo kamieniarzy Hiszpanów. Wszedłszy, posłyszałem dźwięki klarnetu. na sztubie przy łóżkach siedziało trzech na stołkach. Jeden grał na klarnecie, dwóch stukało łyżkami, co miało zastępować kastaniety, a na środku sztuby dwóch Hiszpanów tańczyło jakiś hiszpański taniec. Ręczniki w rękach zamiast chusteczek – ładnie to wyglądało. Ten, który był partnerem, to toreador z zawodu – wkrótce potem wisiał trzy godziny za ręce i na długo pozbawiony był w nich władzy. „Przyjemność" ta spotkała go dlatego, że miał „szczęście" spać obok Niemca, który spróbował ucieczki. Po pierwszym tańcu odegrano passodoble *Torrero*. Pikador był prawdziwym pikadorem – z kijem od szczotki w ręku i kocem, a drugi odstawiał byka, trzymając na głowie ręce, na które miał założone czółna, ostatni model butów, całe z drewna, tak zwane „holendry". Wszyscy kamieniarze chodzili w 1942 roku w takich butach. Taki but uratował mi kiedyś nogę. W czasie pracy kamień o wielkiej wadze zsunął się, spadł na nogę i strzaskał mi but, lecz zdążyłem jeszcze wyrwać nogę. Gdyby nie but, byłbym inwalidą i spotkałby mnie los inwalidy – beczka, samochód albo blok trzydziesty drugi.

Z bloku czwartego poszedłem na blok szósty. Tam w piwnicach zamknięto muzułmanów, którzy mieli umrzeć z głodu, a o których już pisałem. Nic interesującego – małe okienka do piwnic, do których nie pozwalano podchodzić, i ci, którzy „pilnowali" i którzy sami współczuli tym ludziom. Wlazłem po schodach na górę. Bloki szósty i siódmy miały już ściany i stropy, brak było tylko okien, dachów i ludzi. na górnym stropie było miejsce spacerowe dla prominentów. Było ich tam sporo. Stali grupkami, spacerowali albo siedzieli na murku, na krawędzi bloku.

W rogu platformy śpiewał chór złożony z kilkunastu muzułmanów – Rosjanie. Śpiewali ładnie. Otoczeni byli grupą ludzi, którzy po prześpiewaniu kilku piosenek ofiarowali im po dwa–trzy papierosy. Po otrzymaniu datków poszli śpiewać gdzie indziej, by znów zarobić kilkanaście papierosów, które jedni z nich wypalą, inni kupią za nie zupę lub chleb.

Przy prominenckich blokach kręcili się zawsze: młody, może siedemnaście lat liczący Ruski, który śpiewał po żebraninie i nieraz dostał coś do jedzenia, innym razem po łbie; i drugi – Hiszpan zwany przez nas „Barceloną", bo stale wracał do domu, do Barcelony. Udawał lokomotywę. Przebierał drobno nogami, ruszał rękami, gwizdał, fukał i jak konduktor wołał: „Barcelona!".

Nie wiem, czy on miał już źle w głowie, czy tylko udawał, by zmiękczyć serca ludzi, które niestety już na żadną nędzę ani cierpienia nie reagowały. Wkrótce przestano ich widywać. Prawdopodobnie przenieśli się do nieba przez krematoryjny komin.

Wyszedłem na plac apelowy. Tu dopiero widok! na placu dwie drużyny w kostiumach sportowych rozgrywają mecz piłki nożnej, dopingowane przez publiczność krzyczącą w różnych językach. Były w obozie cztery drużyny: Polacy, Niemcy, Hiszpanie i drużyna mieszana. Dopingowali prominenci i muzułmani. Gracze to wyżarte typy – pracownicy kuchni, rewiru, blokowi, kapowie i mieszkańcy bloków prominenckich.

Za boiskiem, w pobliżu bramy, pod pufem grała orkiestra obozowa. Artyści. Grali różne sonaty, uwertury, dury, bemole i od czasu do czasu coś lżejszego. Przystanąłem przy orkiestrze, posłuchałem. Orkiestra otoczona była sporą grupą ludzi. Jakiś muzułman westchnął i powiedział do drugiego:

– Mój Boże, kiedy nam tak zagrają?

Drugi – również muzułman – spojrzał zdziwiony.

– Tobie? – powiedział. – W krematorium.

– Ha, ha, ha, ha – roześmiał się tamten i odszedł.

Tuż obok, pod pufem, wyelegantowani amanci adorują swoje „panie", które wyglądają przez niewielkie okna. Widać tylko głowy, szyje i ręce oparte na parapecie. Panowie chodzą napuszeni jak pawie, wyżarci, silni i zdrowi. Uśmiechają się, powiedzą kilka słów

i maszerują dalej pod oknami. Bo wtedy jeszcze nie wolno było stać pod oknem i rozmawiać. Pilnował esesman albo specjalnie do tego postawiony człowiek. W następnych latach mogli już prawie oficjalnie stać godzinami pod oknem i patrzeć w oczy swojej „królewnie". I było tak, że w każdym oknie głowa, a na ziemi pod każdym oknem facet. W niedzielę w południe odbywał się apel. Wieczorem już apelu nie było. Po apelu wydawanie obiadu. Po obiedzie obskakiwałem wszystkie mety, gdzie można było dostać coś do żarcia. Około godziny szesnastej kolacja i po kolacji, kto chciał, mógł już kłaść się do łóżka. Przed kolacją leżenie w łóżkach było zabronione. Tak kończyła się niedziela – o ile esesmani nie urządzili ćwiczeń na placu albo blokowy nie uczył zdejmowania czapek lub słania łóżek. Często przy niedzieli rano kazano szukać w bieliźnie i kocach wszy i pcheł. Był czas, przed gazowaniem w 1943 roku, że muzułmani inwalidzi musieli pokazać pewną ilość zabitych pcheł. Jak który nie złapał – nie dostał obiadu. Były wypadki, że kradli jedni drugim papierki, w których były zabite pchły.

Tak mniej więcej wyglądała niedziela w obozie w 1942 roku. W następnych latach w niedzielę odbywały się jeszcze walki bokserskie i zapaśnicze. Udział brali ci, którzy byli silni i zdrowi, i ci, którzy biorąc udział w tych imprezach, mogli dostać dobrą robotę.

Latem 1942 roku z bloku czwartego uciekł kamieniarz, który przyszedł z Dachau z ostatnim, niedużym, liczącym około czterdziestu osób transportem kamieniarzy. Nieobecność jego stwierdzono przy wieczornym apelu. Gdy rewizja i poszukiwania w barakach nie dały rezultatu – bramą na plac apelowy zwaliła się chmara esesmanów. Wszyscy w sztok pijani. I zaczęło się. Bicie, padanie z gimnastyką – na rozkaz każdego pijanego esesmana. **Podszedł jeden i pyta, który to blok.**

– Piąty – odpowiada blokowy.

– Piąty blok – padnij!

My wszyscy klap. Ale nie ma miejsca, bo staliśmy w szeregach. Kładziemy się jedni na drugich. Rozkaz: Wstać! Padnij! Powstań! Padnij!... Połaził po nas. Kilku kopnął i poszedł dalej. To my wstaliśmy, żeby się inny nie przyczepił.

Na bloku trzecim stał specjalny kozioł do bicia ludzi. Wyższy był z tej strony, z której były nogi. Nogi przypinało się klamrami do kozła. W pasie przywiązywano do kozła szerokim pasem. W tej pozycji głowa była niżej od tyłka, a tyłek był dobrze wypięty i napięty. Wystawiono kozioł przed blok i esesmani z bykowcami wywoływali ludzi, którzy przyszli ostatnim transportem z Dachau. Tym transportem, z którym przyszedł uciekinier. Mój blok stał tak na placu, że dokładnie widziałem, co działo się przed blokiem trzecim. Całą wywołaną grupę ustawiono przed blokiem. Przywiązywali ich kolejno do kozła i bili. Bili w tyłek, w plecy, w głowę. Biło dwóch, trzech i czterech jednocześnie. Wszyscy pijani. Bili każdego tak długo, aż zwisał nieprzytomny. Wtedy rzucano go pod blok i przywiązywano następnego. Wywołano trzech kamieniarzy, tych, którzy mieli nieszczęście spać na łóżkach obok niego, nad nim i pod nim. Wśród tych trzech był Hiszpan, toreador, o którym już pisałem. Powieszono ich w bloku u belki za ręce związane z tyłu na plecach. Wisieli trzy godziny. Gdy przyprowadzono ich z powrotem na plac, były to tylko szmaty ludzkie, które rzucono na ziemię. Przez cały czas „zabawy" inni esesmani oraz część blokowych i kapów przeszukiwali teren pracy. Przy koźle czekało jeszcze kilkunastu delikwentów do bicia, gdy esesmani przyszli po nową partię. „Wystąpić wszyscy, którzy przyszli przedostatnim transportem z Dachau!". Znów wystąpiło ze czterdzieści osób.

Podczas tej egzekucji działał też starszy obozu – Karl Rorbacher. Biegał między blokami z bykowcem na ramieniu i ryczał. Ryczał na wszystko i na wszystkich. Ale znaliśmy go już dobrze – i słusznie Kornacki powiedział wtedy:

– Patrz, Rorbacher tak trzyma bykowiec, jakby chciał pokazać, że tym bykowcem nikt nie zostanie uderzony, bo on ma go w ręku.

Gdy wybrano do bicia przedostatni transport z Dachau, Karl z rykiem zebrał ich w celu zaprowadzenia do kozła na egzekucję. Ale zamiast poprowadzić ich między blok trzeci i czwarty, wprowadził ich między czwarty i piąty, a sam znów wrócił na plac apelowy. na koźle bili dalej. Teraz kazali wystąpić wszystkim pracującym w hali dziewiętnastej. Wystąpiło tylko kilkunastu. Wezwano pisarzy blokowych, którzy zaczęli wywoływać z listy. Znów zjawił się

Rorbacher. Zabrał tę grupę i znów poprowadził do bicia, znów między bloki czwarty i piąty. A tę grupę, która jeszcze tam stała, wyprowadził na plac i dołączył do innego bloku.

Słusznie rozumował, że esesmani są tak pijani, że nie połapią się w jego przeprowadzkach. Po kilkunastu minutach doprowadził na plac i tych z dziewiętnastej hali. Pozostali tylko ci, których zbili na koźle. Kilku z nich przeniosło się do wieczności. Jednego znałem dobrze, po tym biciu wycięli mu pośladki. Ciało gniło. na każdym pośladku miał dwie długie blizny, a w spodnie wszywał grubo szmat, bo nie miał na czym siedzieć.

Bicie na placu trwało do późnej nocy. Ćwiczyli tylko bloki kamieniarzy. W momencie jakiegoś zamieszania przeskoczyłem do bloku dziewiątego, który stał pięć metrów obok naszego bloku. Przeskoczyłem tak, że nie widział nikt z „władz" bloku mojego i dziewiątego. Kilku więźniów chciało mnie wygnać z powrotem. Bali się, żeby oni przy mnie nie podpadli, ale ktoś powiedział ostro, półgłosem:

– Niech zostanie.

Teraz tylko bałem się, żeby inni nie poszli moim śladem, bo wtedy wpadniemy wszyscy i może z nami stać się to samo co z tymi, którzy byli bici na koźle. Nie było jednak chętnych. Staliśmy chyba do godziny pierwszej w nocy. Wreszcie u góry w kamieniołomie Kastenhoffen strzał. Strzał ten nie mógł być bez powodu. Odetchnęliśmy z ulgą. Zaraz się dowiemy. Po kilku minutach zawołano ludzi z krematorium, którzy z wózkiem pojechali po nieboszczyka, a po następnych kilku minutach posłyszeliśmy pijany głos komendanta, który zza drutów i muru wrzeszczał bez przerwy jedno słowo, śliczne słowo: „Odmaszerować!". Po chwili to samo słowo wrzasnął Rorbacher i w plac apelowy jakby strzelił piorun. Pierwszy raz nie odmaszerowano z placu w szeregach, blokami, lecz bezładną, pomieszaną kupą. Ja – zamiast do siebie na blok piąty – pognałem do Heńka po zupę. Zupę podałem przez okno M., on podał mi czystą miskę, którą oddałem Heńkowi przez okno, i na zakończenie dostałem od jakiegoś kapa kopniaka, bo już tylko ja jeden biegłem przez plac apelowy od Heńka do swojego bloku. Kolacja już w łóżkach, po ciemku – i spać. **W dalszym ciągu nie**

zostawiałem chleba do rana. M. miał zawsze na rano porcję pokrojonego chleba, do którego nalewał ranną wodę zwaną kuorem, którą dostawaliśmy na śniadanie.

Pisząc o manipulacjach Rorbachera w czasie bicia na placu, muszę opisać, jak zachował się on w innym przypadku. Komendant kazał von Loosenowi utopić pięćdziesięciu Rosjan. Kazali im rozebrać się, ustawić w kolejce – po śmierć – i wpuszczali pojedynczo do pomieszczenia w niedokończonym murowanym bloku. Jak wpuścili nowego, to go łapali wpół, wrzucali głową na dół do kadzi z wodą, a Loosen wskakiwał za nim i przyciskał go nogami do dna. Loosen i pomocnicy byli tylko w majteczkach kąpielowych. Utopili już kilkunastu, gdy przybiegł Rorbacher, który dowiedział się o tym, że Loosen topi ludzi. Wpadł, zaczął mu wymyślać i kazał przestać topić. Loosen nie chciał zakończyć mordowni, mówiąc, że komendant mu kazał. Wtedy Rorbacher porwał w rękę kołek, wyskoczył i zaczął bić bez litości tych, którzy czekali nago na utopienie. Z początku kulili się pod ścianą, ale gdy zaczął lać na całego, zaczęli uciekać. Karl za nimi z kijem i lał. I tak gonił i bił, że rozpędził ich po całym obozie, a Loosen został bezrobotny – nie miał już kogo topić.

Trzynastego maja 1942 roku zgrupowano nas na placu apelowym. Wszyscy więźniowie i kolumna SS. Założono nam mowę, że nie warto uciekać, bo jeszcze nikomu to się nie udało, a kto zostanie złapany przy próbie ucieczki, będzie powieszony. Dla przykładu za chwilę będzie powieszony więzień, który próbował ucieczki z Mauthausen. Mówiono, że uciekało czterech Niemców. Dwóch zastrzelono, jednego jakoby powieszono publicznie w Mauthausen, a drugiego mieli powiesić u nas. Szubienicę zrobiono przy wysokiej betonowej latarni. Był to rodzaj metalowego trójkąta, który przyczepiono do słupa. pod szubienicą ustawiono stół, mniejszy stolik i stołek. Wysoko – żeby każdy dobrze zobaczył. Brak było tylko delikwenta. Wreszcie otworzyła się brama i wprowadzono kandydata na wisielca. Był to jeszcze młody mężczyzna, wysoki, dobrze zbudowany i dobrze wyglądający – w pełni zdrowia. Szedł w towarzystwie esesmanów, z rękami związanymi z tyłu. Odniosłem wrażenie, że wcale nie martwił się tym, że za chwilę będzie powieszony. Szedł szybkim, sprężystym krokiem. Spojrzał przed

siebie – i stanął. Zobaczył szubienicę. To było dla niego coś nowego. Ale esesmani z krzykiem i poszturchiwaniem kazali mu wejść na rusztowanie. Zobaczyliśmy go w całej okazałości. Imponował swoim wyglądem.

Wieszał Loosen. Poznaliśmy go mimo maski na twarzy. Delikwent stanął na stołku i – sensacja. Nikt się widocznie nie spodziewał, że on przemówi. Bo nagle „Niemiec" przemówił czystym rosyjskim językiem:

– *Proszczajtie, riebiata – ja nie winowat*.

Konsternacja wśród esesmanów, wrzask; Loosen szybko zarzucił pętlę i wyrwał stołek. Odsunięto stoły i wszystkie bloki miały przejść obok wiszącego, a komendant stał i wydawał komendę: „W lewo patrz!" – i patrzyliśmy z bliska na powieszonego, a komendant na nas, czy wszyscy patrzą. Po przemaszerowaniu obok wisielca kazano nam iść na bloki, z których nie pozwolono nam wychodzić. Po kilku minutach posłyszeliśmy turkot wózka z krematorium, który jechał po nieboszczyka. Po półgodzinie doszła nas wiadomość, że wisielec żył – ale ktoś doniósł do esesmanów, przyszli do krematorium i zastrzelili go.

Później dopiero dowiedziałem się, że on faktycznie żył. Loosen w pośpiechu założył mu pętlę tak, że była ona pod brodą, a zacisnęła się za uszami i na tyle głowy, nie na karku. Ludzie, którzy mogli wiele zrobić w obozie, chcieli go ratować, a spalić świeżo zmarłego więźnia, który jeszcze nie był wymeldowany. A ten – mógłby żyć wtedy na nazwisko tamtego na rewirze, później na innym bloku. I udałoby się, gdyby ktoś nie wydał.

Egzekucje odbywały się często. Przy krematorium była ściana, pod którą rozstrzeliwano. Chodziliśmy tam wydłubywać kulki. Obok stała szubienica – „trzepak" – do wieszania jednocześnie dwunastu ludzi. Postawiono go wtedy właśnie, gdy jednocześnie powieszono obok siebie dwunastu ludzi. W niedzielę zawołano ich na trzydziesty drugi blok, nas wpędzono na bloki. Ja zamiast na swój poszedłem na blok siedemnasty, na sztubę B, z której przez zamknięte okno widziałem, jak wieszano kilku pierwszych. Następni byli już za blisko baraku. Wieszał esesman, bez marynarki, z gołą głową, z zawiniętymi

rękawami koszuli. Po powieszeniu ich i wrzuceniu do krematorium pozwolono nam wyjść z bloków.

Wieszano też na ścianie bloku siódmego. Wiele razy, gdy wracaliśmy z pracy, a pod blokiem lub pod drutami stali ludzie boso, bez koszul, tylko w samych spodniach lub w kalesonach – wiedzieliśmy, że to ludzie skazani na śmierć. Zawsze wtedy po apelu nie wolno było nam pół godziny lub godzinę wychodzić z bloku. W tym czasie odbywała się egzekucja. Rozstrzelanie lub wieszanie. W końcowych latach wojny przywożono też nocami – samochodami – ludność cywilną. W nocy uśmiercano ich i albo wywożono z powrotem, albo palono w naszym krematorium.

Trzynastego maja powieszono Rosjanina, a szesnastego maja 1942 roku przed południem przyszedł do naszej budy pisarz blokowy naszego bloku i zabrał mnie do komendantury na przesłuchanie. Właściwie to nie była komendantura, lecz budynek zwany szuhaus – w którym była brama, przez którą przechodziło się do pracy.

Gdy pisarz mnie wywołał, jeden z kolegów – Janek Michalak – zawołał za mną, żebym wziął w portki krawężnikowy kamień; to były najmniejsze kamienie, które obrabialiśmy.

– Po co? – odkrzyknąłem. Przecież nie miałem żadnego karnego raportu.

Zaprowadzono mnie do tego szuhausu. Było nas pięciu do przesłuchania. Ja wszedłem trzeci. Przy biurku siedział komendant Chmielewski. To był jego ostatni czy też przedostatni dzień urzędowania w Gusen. Wyjechał gdzieś i w następnych latach krążyły przyjemne pogłoski, że siedzi jako więzień w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. Zameldowałem mu się przepisowo po niemiecku i czekam. Nawet nie spojrzał na mnie. Widzę przed nim moje akta, fotografię robioną w Dachau, zdania podkreślone czerwonym ołówkiem.

– Dziesięć w dupę – powiedział i czyta dalej. No, to dziesięć już mam – pomyślałem.

– Piętnaście – dorzucił komendant.

Klawo, myślę.

– Dwadzieścia pięć – dokłada Chmielewski.

Nie szkodzi, myślę sobie. Zobaczymy, do ilu dojdzie, zanim skończy czytać. Ale już mi więcej nie dołożył. Spojrzał tylko na mnie i zapytał, czy wiem, za co siedzę.

– Tak jest, panie komendancie! – wrzasnąłem.

Tym razem nie udawałem, że nie znam języka, bo rozmowa była lakoniczna i jednostronna. Powiedziałem „tak jest", bo jeden, który powiedział, że nie wie – został posłany do karnej kompanii, żeby sobie przypomniał.

Kazał mi wyjść i zaczekać za drzwiami. Weszło jeszcze dwóch. Wyszli – i wszyscy czterej poszli do roboty. Zostałem tylko ja, z myślą o dwudziestu pięciu, które mam otrzymać. Po chwili wyszło kilku esesmanów i wśród nich Kluge z bykowcem w ręku. Ten bił tak, że patrzącym cierpła skóra na plecach. Po pięciu przeważnie mieli pełno zmartwienia w spodniach, a mało kto po piętnastu nie zemdlał. Stuknął mnie kilka razy po głowie i kazał nachylić się. Bił on w ten sposób, że stawał tyłem do delikwenta, robił jeszcze dalszy obrót i uderzał – siłą ręki i obrotu całego ciała. Stanąłem przy poręczy.

Była to poręcz z trzech rur metalowych. Nachyliłem się, trzymając ręce oparte na środkowej rurze. Kluge zawinął się i trzasnął. No, dużo już dostałem, ale takie uderzenie dostałem po raz pierwszy. Rzuciło mną do przodu, z czerwonych jugosłowiańskich portek poszedł kurz – to pył kamienny, którym były przesycone. Łbem walnąłem w górną rurę i już czuję, jak mi rośnie guz. Zatkało mnie w gardle, lecz po chwili złapałem oddech i powiedziałem:

– Jeden.

Musiałem sam liczyć otrzymane uderzenia. Bywało, że ktoś nie liczył. Gdy po kilkunastu uderzeniach zapytano go, ile dostał, a nie wiedział albo się pomylił – mówiono, że nie umie liczyć, i zaczynano od początku. Wiedziałem o tym, dlatego liczyłem.

Po pierwszym uderzeniu włożyłem głowę pod pierwszą rurę poręczy i myślę sobie: Bij, teraz już łbem nie będę walił, bo oparłem się o rurę barkami. Po trzech uderzeniach czułem, jak mi puchnie tyłek, i mimo że byłem chudy, tyłek nie mógł pomieścić się w spodniach. Uderzenie – brak oddechu i… trzy, cztery… dwanaście, trzynaście. Słyszę, jak esesmani, których kilku stało i przyglądało się

egzekucji, coś szwargoczą. Zrozumiałem. Dziwili się, że nie krzyczę. Piętnaście. Nie bije więcej. Podniosłem się.

– Nachyl się, nachyl! – krzyknął Kluge, zachęcając mnie znów uderzeniami bykowca po głowie.

Nachyliłem się. Patrzę bokiem i widzę, że bykowiec bierze Brus – esesman, bokser o potężnej budowie. Wziął za cienki koniec. Kluge po piętnastu uderzeniach zmęczył się. Nastawiłem się znów na uderzenie w tyłek – a ten drań walnął mnie grubym końcem bykowca w krzyż. Straciłem władzę w rękach i nogach. Upadłem na twarz i nie mogłem się ruszyć. Nie wiem nawet, czy mnie kopał – ale chyba tak, żebym się podniósł. Pomaleńku podciągnąłem się i powiedziałem:

– Szesnaście.

Bił dalej po krzyżu, ale następne uderzenia – nie wiem dlaczego – nie miały już tego piorunującego efektu co pierwsze. Liczyłem do końca. Gdy powiedziałem: „Dwadzieścia pięć" – stanąłem na baczność.

Na pożegnanie dostałem w pysk, że się zawinąłem, wtedy kopniaka i pożegnanie – precz! na pół zleciałem ze schodów, bo nogi mnie nie chciały nieść, lecz trzymałem się poręczy. do swojej budy kamieniarskiej wszedłem z uśmiechem na twarzy.

– Co chcieli od ciebie? – pytają chłopaki.

– Nic, Kluge wtłoczył mi piętnaście, Brus poprawił dziesięć i jestem.

– E – ty! Jakby ci Kluge dał tylko pięć, tobyś przyszedł nie z taką miną.

– Nie wierzycie – to patrzcie! – Mówiąc to, odpiąłem i opuściłem spodnie, żeby mogli zobaczyć, co tam teraz jest. Ja sam też byłem ciekawy. Zamiast tyłka była jedna poharatana, czerwona masa. Zlecieli się wszyscy oglądać moją dupę. Przyszedł i majster „Mruczek". Popatrzył i powiedział, żebym nie pracował dzisiaj. Już któryś z kolegów przyniósł wiaderko z zimną wodą. Zdjąłem spodnie i cały dzień, do fajrantu, stałem przy oknie i na zmianę: to robiłem przysiady, to znów siedziałem w wiadrze. Żeby nie było zakażenia, bo mogliby mi wtedy wyciąć tyłek, tak jak wielu innym po takim biciu. Udało się – ciało nie gniło i nawet dość łatwo zagoiło się, ale

jeszcze po dwóch miesiącach tyłek był jakiś obcy, żółty, jakby z innego ciała – czułem go tak, jakby był przyczepiony na zawiasach.

Nie muszę opisywać wszystkich przyjemności związanych ze stanem mojego tyłka – jak spanie, siedzenie, chodzenie, a nawet praca. Praca w obozie nigdy nie była dla mnie przyjemnością – a tym bardziej w takim stanie.

Jesienią 1942 roku zarysował się początek mojej kariery muzycznej. Jeden Niemiec na naszej sztubie zorganizował jakimś sposobem starą mandolinę. Brzęczał na niej, lecz nic mu nie wychodziło. Powiedziałem chłopakom, że ja potrafię grać na tym „drewnie". Dali mi ją, żebym grał. od razu poszło mi nieźle. Tak powiedzieli inni. Ja czułem, że mam palce drętwe. Długo nie miałem w ręku mandoliny, a ręce też miałem spracowane. Odciski na dużych palcach, na dłoniach i na każdym zgięciu każdego palca. Po trzech graniach już szło mi tak, jakbym nie miał żadnej przerwy w graniu. Głos miałem dobry i dobrze wykonywałem typowe warszawskie szlagiery. Specjalność moja to tak zwane piosenki „trzymane" albo inaczej „spod dużego palca" – andrusowskie i humorystyczne. Pornograficzne też były dobre i bardzo lubiane. Ale to było tylko granie na swoim bloku, które jednało mi sympatię kolegów i względy „władz" blokowych. Przestawałem być nikomu nieznanym numerem.

Jednego dnia wieczorem kolega zaprowadził mnie do blokowego dwudziestego pierwszego bloku, który też miał mandolinę. Byłem ja i był skrzypek – Cygan niemiecki. Grał sam i swoje melodie, a ja też sam i melodie polskie, które w dodatku śpiewałem też po polsku. Po godzinie grania powstał jakiś tajemniczy szum, szepcą coś blokowemu. Blokowy dał znak, żeby nie grać. Wyszedł – wrócił. Dał nam bochenek chleba i szybko wygnał przez drugą kapówkę na inną sztubę. Tam rozdzieliliśmy chleb i dowiedziałem się, że esesmani robili rewizję w kapówkach w dwudziestym bloku i szli na blok dwudziesty pierwszy. Tak w Gusen zarobiłem graniem pierwsze pół bochenka chleba.

Teraz już często pożyczałem mandolinę i chodziłem w niedzielę – gdy był spokój – do znajomych na inne bloki i zabawiałem ich swoją grą, śpiewem i humorem. za każdym razem przynosiłem chleb i papierosy.

Taka gra w pojedynkę trwała do wiosny 1943 – wtedy zacząłem montować zespół, który w roku 1944 był już zespołem jazzowym wysokiej klasy, złożonym z sześciu osób i siedmiu instrumentów: perkusja, harmonia, saksofon i klarnet (grał jeden muzyk), skrzypce, gitara i bandżola – to ja. Ja jestem amator, inni to zawodowcy.

Zespół zaczął formować się wiosną 1943 roku. Grałem wtedy na stropie niewykończonego jeszcze bloku szóstego dla kilku prominentów, wśród których był i Heniek B. Stanął przy nas mój kolega z Warszawy, Czesiek Palacz, z jakimś drugim młodym chłopakiem. W przerwie poznał mnie z nim, mówiąc, że jest to dobry gitarzysta, jego kolega z wolności. Poprosiłem Stasia Tasarka, żeby przyniósł swoją gitarę, na której nie umiał grać. On pracował na rewirze i kupił ją dla zbytków, bo miał za co. Mówił, że będzie uczył się grać. Czesiek Palacz grał też na mandolinie, lecz słabo. Staś Tasarek przyniósł gitarę. Zagraliśmy – pierwszorzędnie. Gitarzysta – to Adam Kwiatkowski z Warszawy; za granie narodowych piosenek w zespole ulicznym dostał się do obozu. Był on chyba najlepszym gitarzystą w obozie. Grając, śpiewaliśmy – a Adam śpiewał drugim głosem. Granie nasze posłyszał jakiś Niemiec, który zabrał nas na blok dziewiąty. Blokowy tego bloku miał mandolinę – tę samą, na której grałem pierwszy raz w kapówce dwudziestego pierwszego bloku, pewnie odkupił. Graliśmy tam dłużej jak godzinę. Dostaliśmy po bochenku chleba, kostce margaryny i po dwadzieścia papierosów. Tak powstał zalążek zespołu. Nie mieliśmy własnych instrumentów. Gdy właściciel mandoliny spostrzegł, że ja zarabiam – nie pożyczył mi mandoliny, aż dałem mu porcję chleba. Wysłałem list do księdza Szuberta, list, który kupiłem od innego więźnia i wysłałem na jego nazwisko, że to niby on jest nadawcą. Ale treść podpisałem swoim imieniem. Pisałem mu: „Przyślij mi moją mandolinę – wiesz dobrze, czym dla mnie jest i co daje granie”. Zrozumiał – i po kilku tygodniach przysłał mi mandolinę. Teraz już było nam łatwiej, ale Tasarek nie każdej niedzieli chciał nam pożyczać gitarę. Pożyczaliśmy

też od Tadzia Kiełbasy, który znów pożyczał od jakiegoś Niemca, do którego my nie mieliśmy dostępu. Postanowiliśmy kupić gitarę. Odkładaliśmy papierosy, za które kupiliśmy gitarę zrobioną w obozie. Jak na warunki obozowe była zupełnie dobra. Struny do instrumentów kupowali nam znajomi prominenci, którzy mieli kontakt z majstrami cywilnymi, a nawet esesmani. **Płaciliśmy za struny papierosami, a taki, który nam struny dostarczał z wolności, nie robił przestępstwa, bo instrumenty wolno było mieć oficjalnie. Mało tego. Nigdy nie wolno było pisać o przysłanie paczek czy innych rzeczy, ale o przysłanie instrumentów wolno było pisać oficjalnie bez obawy, że dostanie się za to w tyłek, tak jak dostawało się za inne prośby.**

Grać z nami chodził Czesiek Palacz, który grał słabo, ale ładnie śpiewał. Więc śpiewał i wystukiwał takt na patykach specjalnie do tego zrobionych. Sprzedałem mandolinę za sto pięćdziesiąt papierosów, a kupiłem dużą bandżolę, tak zwaną piętrówkę, za czterysta papierosów – w okresie głodu papierosowego, w czasie gdy bochenek chleba kosztował cztery papierosy. Wkrótce Czesiek Palacz kupił małą bandżolę, tak zwane pikolo, która jednak popsuła się, a poza tym powiedzieliśmy mu, że niech lepiej nie gra z nami, bo psuje granie. Będzie chodził z nami, ale tylko jako śpiewak – i dostanie swoją część zarobku.

W tym czasie grał już z nami na skrzypcach Zygmunt Piwowarczyk, któremu wuj z Warszawy postarał się o skrzypce. Następny „instrument", który oderwaliśmy od „artystycznej" orkiestry obozowej, to Zygmunt Łabuś z Łodzi. Następnie perkusista – też urwany „artystom". na perkusji siedział Maciek Dobrzyński z Warszawy. Perkusja była tylko jedna w obozie i tamci niechętnie nam ją pożyczali. Wobec tego przy pomocy naszego „Dziadka", opiekuna orkiestry, Kazia Bodycha, który był portierem w kuchni, cały komplet wykonano w obozie. Duży bęben i werbel miały tylko po jednej skórze – droga była i trzeba ją było kupić z wolności przez majstrów cywili; wszystko inne wykonane było w warsztatach obozowych Messerschmitt i Steyr, a więc czynele, pedał, klocek, trójkąt, kastaniety, tamburyno, szczotki i pałki. W werblu spód był z płótna, a w dużym bębnie sztuczna skóra, na której namalowano Syrenę warszawską. na tarczy napisane miała „Gusen", u góry „Jazz",

a u dołu półkolem: „Cała Warszawa” – po polsku. Obręcze w dużym bębnie pomalowane były w biało-czerwone trójkąty. Wszystko to razem było trochę ryzykowne, ale miało swój posmak patriotyczny – i propagandowy. Z bębnem tym raz jeden tylko mieliśmy kłopot – w marcu 1945 roku. Gdy graliśmy na jednym bloku, weszło tam dwóch esesmanów. Postali, posłuchali, a jeden z nich podszedł do bębna i stukał nogą w skórę. Rozwali czy nie rozwali, pomyślałem sobie, ale graliśmy dalej, jakby nic się nie działo. Wyszli. W kilkanaście minut przyleciał starszy obozu Hail i powiedział, że esesmani przyczepili się do polskiego napisu „Cała Warszawa”. Kazał nam namalować inną nazwę po niemiecku.

– Nie – odpowiedziałem – niemieckiego napisu nie będzie.

– Ale to jest niemiecki obóz.

– Ale orkiestra polska.

– Nie będzie polskiego napisu! – wrzeszczał Hail.

– Niemieckiego też nie będzie! – I zamalowałem napis lakierem acetonowym, a w obozie i tak wiedzieli, co jest napisane pod pasem acetonowego lakieru. Gdy wkrótce potem wyzwolono nas – zmyłem acetonem lakier i „Cała Warszawa” znów grała.

Kierownikiem orkiestry byłem ja. Jako ten, który organizował zespół i żywił go, i ubierał z tytułu osobistych znajomości. Wszyscy byliśmy dobrze odżywieni i ubrani. Zarabialiśmy dobrze, byliśmy wszyscy w obozie bardzo popularni i cieszyliśmy się dużym powodzeniem. Z całej grupy ja miałem najwięcej znajomości, sprytu, tupetu i odwagi. Ja odpowiadałem za całość, ja starałem się o zwalnianie chłopaków z pracy – nieraz na kilka tygodni. Ja omawiałem warunki grania i ja rozdzielałem zarobek w postaci papierosów, chleba i margaryny. Orkiestra dobrowolnie uznała mnie za kierownika, wierząc, że wszystko poprowadzę dobrze.

Gdy mieliśmy kilka zamówień, ja decydowałem, gdzie iść grać – po uzgodnieniu z chłopakami. Nieraz trzeba było grać za mniejszy zarobek, a mimo to lepiej się opłacało. Ostatni doszedł do nas saksofonista i jednocześnie klarnecista. Przyszedł zimą 1944 roku transportem ze Steyra w stanie całkowitego wyczerpania. Wyszukał go Maciek Dobrzyński. Poszedł na blok więźniów, którzy poprzedniego dnia przyszli do Gusen, i zapytał, kto jest muzykiem.

Zgłosił się Mikołaj Kokin z Warszawy. Wywieziony do obozu po Powstaniu Warszawskim. Muzułman. Mieliśmy u siebie na bloku saksofon, bo przez kilka tygodni grał jeden na saksofonie, ale tak partaczył, że tego dnia rano powiedzieliśmy mu, że nie będzie grał z nami. Zmartwił się z powodu straty żarcia, ale obiecaliśmy mu codziennie miskę zupy – i dostawał. Kola Kokin okazał się kolegą z wolności Adama Kwiatkowskiego. Tego jeszcze dnia grał z nami na bloku pierwszym. Po graniu dałem mu kompletne nowe ubranie i bieliznę, a po kilku dniach spowodowałem przeniesienie na mój blok – bo tam u nowych było gorzej.

Jak się obżarł pierwszego dnia, to dostał biegunki – a znów nie mógł powstrzymać się od jedzenia. Wystarałem się o lekarstwa i przeszło mu to. Postarałem się jeszcze o klarnet. Właścicielem harmonii, saksofonu i klarnetu był blokowy Cysler, który także prowadził tak zwaną kantynę więźniów, czyli rozdział papierosów. Urzędował on na bloku szesnastym, który był blokiem młodocianych, przywiezionych po Powstaniu Warszawskim.

Chodziliśmy często do niego grać i on nam najlepiej płacił. W ostatnich tygodniach niewoli kazał nam zabrać te instrumenty na własność, ale żeby mu czasem pograć za darmo, bo nie ma czym płacić. Zdegradowano go w lutym 1945 roku za upicie się razem ze starszym obozu Rorbacherem i posłano do budowy tuneli w karnej kompanii. Dużo od niego zarobiliśmy, dał nam instrumenty, toteż przez ostatni okres graliśmy mu zawsze, gdy nas o to poprosił. Gdy Kola zagrał z nami kilka razy, orkiestra tak zwana obozowa – „artysty", jak ich nazywałem – postanowiła go za wszelką cenę przeciągnąć do siebie. Kola zawahał się, ale zdecydował się zostać z nami, wychodząc z założenia, że my właśnie pomogliśmy mu pierwsi. Poza tym my byliśmy nastawieni na zarobek – tamci mieli niezłe prace, a grali „z miłości" do muzyki. Sprawę tę rozwiązałem ja.

Poszedłem do Cyslera i powiedziałem mu o całej sprawie.

– A wy chcecie go mieć u siebie? – zapytał. – To wszystko w porządku. Nie dam im saksofonu i klarnetu – a on, jak chce, to niech do nich idzie.

Tak zakończyła się sprawa saksofonisty.

Jesienią 1944 roku graliśmy Cyslerowi na dziesięciolecie pobytu w obozie. W instrumentach lokował on kradzione w kantynie papierosy – asekuracja na przyszłość w razie wysiadki z kantyny. pod koniec wojny już mógł zdobyć się na taki gest, żeby nam je podarować.

Harmonista Guziński z orkiestry obozowej ułożył *Marsza gusenowskiego* – graliśmy go, dokładając na końcu motyw „Hej, kto Polak, na bagnety". Kilka tygodni przed końcem wojny ostrzeżono nas, by tego nie grać, bo Niemcy chcą nas na tym złapać, a wiedzą już, co to jest za wstawka. Bo my, grając tę część, równocześnie ją i śpiewaliśmy.

Przez krótki czas był też kilkuosobowy zespół Cyganów niemieckich. Ci grali tylko melodie niemieckie, a że w obozie było Niemców mało – a i wykonanie ich było gorsze – nie mieli tego powodzenia co my. Kierownikiem cygańskiego zespołu był ten sam Cygan, z którym pierwszy raz grałem u blokowego dwudziestego pierwszego bloku.

My cieszyliśmy się dużym powodzeniem i sympatią ogółu. Graliśmy w zasadzie tylko melodie polskie – często melodie patriotyczne i narodowe – melodie, za które można było drogo zapłacić.

Do normalnego repertuaru należały: *Marsylianka*, *Warszawianka*, *Szyldwach* i *Gdy naród do boju*. Tę ostatnią osobiście najbardziej sobie upodobałem i śpiewałem ją wszędzie, gdzie tylko miałem okazję. Pamiętam, że jak zaśpiewałem ją rano w umywalni w dniu ataku Niemców na Rosję, to przyłączyli się także inni i śpiewało ją nas kilkunastu.

Jesienią 1944 roku na strychu murowanego bloku urządzono wieczorek artystyczny tylko dla zaproszonych gości. Fakt, że organizował go Janusz Tarasiewicz i Heniek B., nasunął mi przypuszczenie, jaki będzie charakter imprezy. Występowałem wówczas wraz ze swoim zespołem muzycznym. Dawaliśmy tło do recytacji oraz graliśmy i śpiewaliśmy narodowe i ludowe melodie. na tym wieczorku Czesław Łaski z Warszawy zagaił słowem: „Towarzysze", a zakończył: „Niedługo wszystkim nam jednakowo słońce zaświeci". Ile to było komentarzy i gadania, co on chciał przez

to powiedzieć. – Komunista, cholera! – I to samo pod adresem wszystkich wykonawców.

Janusza Tarasiewicza za recytację patriotycznych wierszy o zabarwieniu lewicowym mało nie wykończyli. Był on magazynierem u Steyra. Oskarżyli go o sabotaż. Esesmani zbili go i kazali nosić nieczystości z ustępu. Tego dnia było zimno i padał deszcz, a on był tylko w marynarce i z gołą głową. Oddałem Januszowi swoją kurtkę i czapkę. Gdy przemokły całkowicie, wsadziliśmy na niego kurtkę i czapkę Adama, a gdy i te przemokły, rozebrałem Mundka Tomaszewskiego i znowu dałem ubranie Januszowi. Wyglądaliśmy z hali, a gdy przechodził obok nas, mówiliśmy: „Trzymaj się, Janusz, jeszcze trochę, zaraz fajrant". Wytrzymał. Następnego dnia dali mu już spokój, a po kilku dniach wrócił znów do swojej pracy.

Dwa tygodnie przed końcem wojny pozwoliliśmy sobie na zagranie w bloku siódmym *Międzynarodówki* – prosił nas o to sztubowy, który, jak się okazało, był pod gazem. Wysłaliśmy kolegów, żeby pilnowali, czy nie idzie esesman, a sami graliśmy na cały regulator. Sztubowy w tym czasie stał przed nami, uniósł do góry pięść i śpiewał *Międzynarodówkę* po niemiecku. Dużo później dopiero doszedłem do wniosku, że to była niepotrzebna brawura w zestawieniu z niesamowitym terrorem, jaki w tym samym czasie wprowadzono w obozie, gdy wykańczano ludzi za byle drobiazg.

W niedzielę już od rana zaczepiano nas, gdzie dzisiaj będziemy grali. Blok, w którym graliśmy wieczorem, był szczelnie nabity ludźmi z całego obozu. Mieli tu trochę rozrywki – muzykę, śpiew i humor. Przy graniu śpiewaliśmy zespołowo, był też śpiew solowy. od 1944 roku śpiewał przy nas Rysiek Rerich z Sochaczewa – należał on na stałe do naszego zespołu. Wiele razy śpiewał z nami Tadeusz Faliszewski, piosenkarz z Warszawy. Nieraz przyłączał się do nas młody Włoch, śpiewał ładnie, ale my nie znaliśmy jego repertuaru, a on naszego. Gdy zaśpiewał przy nas kilka piosenek, zawsze był przez nas wynagradzany. Śpiewał też drugi młodziutki Włoch – „synek" oberkapa zakładów Messerschmitta. „Synek" – to w gwarze obozowej panienka pederasty. Przez pewien czas występował z nami Janek Kolmasiak z Warszawy, zwany przez wszystkich „Piekutoszczakiem". Ten znów dawał humor. Był to samorodny

humorysta i komik. Występował z nami od lata 1943 do wiosny 1944 roku. Później zachorował na gruźlicę. Nie pozostawiliśmy go bez opieki – płaciliśmy za niego w rewirze i tam leczono go odmą i ukrywano jego chorobę. Gdy było wykańczanie w rewirze, wysyłano go na te dni do baraku. Po wykończeniu innych znów wracał na rewir. Wyciągnęliśmy go na stałe z rewiru trzy tygodnie przed końcem wojny, z obawy, że esesmani zechcą wykończyć cały rewir. O Janku Kolmasiaku napiszę osobno. Zmarł on w sanatorium w Otwocku jesienią 1948 roku, a jeszcze latem powiedział mi z humorem: „Święty Piotr przedłużył mi urlop do jesieni".

Występował też przy nas Bohdan Zalewski, po wojnie spiker radiowy. Ten również dawał humor, śpiewając humorystyczne piosenki, i recytacjami, wśród których było dużo jego własnych utworów obozowych, między innymi *Trup w trepach*, o którym już pisałem. Wkrótce jednak przeniesiono go do Gusen II. Tam jeszcze kilka razy nosiłem mu pod druty jedzenie i dalszy kontakt nawiązaliśmy dopiero w Warszawie.

Gdy wracaliśmy z grania – często już po zgaszeniu świateł – zawsze, idąc, śpiewaliśmy w kółko jedną i tę samą melodię. Śpiewaliśmy półgłosem, na głosy, wszyscy – a grał tylko Adam na gitarze i ja na bandżoli. Piosenka ta była jakby hejnałem naszej orkiestry, czy może symbolem.

Słowa jej brzmiały:

Nie warto smucić się – smucić się,
Gdy wolność ku nam mknie – ku nam mknie,
Lecz śmiać się w cały głos
I nie narzekać na swój los.

I znów, i znów od nowa to samo – aż do wejścia na blok. W tym czasie ludzie wyglądali przez okna i machali nam rękami – z uśmiechem. na bloku znów witał nas blokowy – Sztyglic, z Wiednia – mówił nieźle po czesku, więc bez trudu rozmawialiśmy z sobą.

Kazał on zamykać okiennice, zapalał światło i jeszcze chociaż pół godziny musieliśmy pograć. Wyciągaliśmy wtedy z łóżek dwóch Greków i kazaliśmy im śpiewać.

Tak jak stała była piosenka śpiewana w czasie powrotu z grania, tak i tu były piosenki należące do żelaznego repertuaru. Piosenki te – to greckie tango *Melancholia* i walc z filmu *Złotowłosa*. Grecy dostawali za to zawsze trochę chleba, kilka papierosów i byli bardzo zadowoleni. To była już nasza rozrywka. Śpiew ich polegał na tym, że jeden śpiewał basem, a drugi prawie że sopranem.

Bywało też, że tam, gdzie graliśmy, napakowała się kupa pederastów ze swoimi „synkami" i wtedy bal na budach – taniec. Tańczyli czule przyciśnięci do siebie, zapatrzeni w swoje oczy. Gdy nie mieliśmy zgodzonego grania płatnego, szliśmy grać bezpłatnie na bloki muzułmańskie – tam gdzie nikt niczym nie mógł płacić. Grania płatne – to grania umawiane na czyjeś imieniny, urodziny czy inne jakieś święto. Albo blokowy chciał mieć przyjemność, że „Warszawa" będzie grała na jego bloku. Uzgadnialiśmy cenę – tyle papierosów, tyle chleba, margaryny – i szliśmy grać. do tego dochodziły dochody od gości – za granie zamówionych kawałków. Gdy jaki prominent prosił o zagranie jakiejś melodii, zapytywałem: za ile? Jak nic nie dał, nie grałem; chyba że to był ktoś z kolegów – a to już co innego – takiemu się grało, choćby był muzułmanem. W innym wypadku, gdy dał dziesięć czy dwadzieścia papierosów – proszę, już się gra. Mieliśmy też stałych sympatyków i stałe melodie. Józkowi Kowalczykowi z kuchni – *I znów zostałem sam*. Gdy przyszedł posłuchać nas kapo rewiru, przerywaliśmy w połowie każdą melodię i graliśmy dla niego *Paradę karzełków*. Wiedzieliśmy, że zanim wyjdzie, powie, żeby jeden z nas przyszedł jutro do niego na rewir, a tam dostawał kilka bochenków esesmańskiego białego chleba i kilka kostek margaryny. Gdy przyszedł kapo nocnej zmiany zakładów Steyra – „Generałem" go nazywali – graliśmy *Rosę Marie*. Nieraz cztery razy prosił o tę samą melodię i za każde zagranie dawał pięćdziesiąt papierosów.

Często też, gdy nie było innego płatnego grania, szliśmy grać „bezinteresownie" do osób wpływowych, które mogły wiele w obozie zrobić i w wielu okolicznościach nam pomóc. Cała ta organizacja oraz

system, co grać, gdzie grać i komu grać, to już była moja głowa i dlatego chłopaki wierzyli we mnie, bo widzieli dobre wyniki. Ja nigdy nie zapomniałem, komu graliśmy „bezinteresownie", a nawet odmawialiśmy przyjęcia jakiejkolwiek zapłaty – i w odpowiednim momencie brałem inną zapłatę, według możliwości danego faceta. To zorganizowanie czegoś, to uratowanie człowieka, przeniesienie z bloku na inny blok, wsadzenie kogoś do dobrej pracy czy uzyskanie zwolnienia od pracy dla siebie lub moich chłopaków na niedzielę – bo od 1944 roku niedziele były dniem pracy – a nawet zwolnienia na całe tygodnie.

„Bezinteresowne" grania opłacały się niejeden raz lepiej jak te płatne. Jednym z takich, do których chodziliśmy grać, był Marian Bochat – kierownik biura w zakładach Steyra. Ten dużo zrobił dla nas. Zwalniał z pracy niejeden raz na kilka tygodni każdego, o kogo prosiłem, i przyjmował do pracy każdego, o kogo prosiłem, dając im dobre prace: na przykład kontrolera w hali albo – jak Stacha Kornackiego – do końcowej kontroli, gdzie siedział i kontrolował detale części karabinowych. Ja pracowałem tylko wtedy, gdy już naprawdę dobry popęd dawali w obozie. W zakładach Steyra pracowałem od sierpnia 1944 roku do końca wojny, to jest do piątego maja 1945 roku. W tym czasie więcej siedziałem w obozie jak w pracy, a jak byłem w pracy, to znów nic nie robiłem; ale te sprawy opiszę osobno.

Jednej niedzieli z braku dobrego, płatnego grania poszliśmy grać do Bochata. Był on tego dnia tak biedny, że nie miał nawet papierosów, żeby nas poczęstować; a że my mieliśmy ich dosyć, to częstowaliśmy jeszcze jego i jego kolegów. na sztubie, tak jak zawsze, było dużo ludzi, którzy słuchali nas. Po godzinie grania stojący wśród widzów kapo – stary bandyta – zwrócił się do nas, żebyśmy poszli grać do blokowego trzynastego bloku, który dzisiaj obchodzi urodziny. Gdy mu nikt nie odpowiedział, zwrócił się drugi raz już tylko do Adama Kwiatkowskiego, a ten, żeby nie narazić się odmową kapowi, a zgodą Bochatowi, skierował go do mnie. Mnie już zgniewała jego nachalność, bo powiedział Adamowi, że blokowy ma papierosy i ciasto, to nas poczęstuje, więc wrzasnąłem po polsku:

– Nigdzie nie idziemy, nie jestem kurwą, żeby chodzić do każdego, który mi płaci. Dzisiaj przyszliśmy tu i tu skończymy!

– *Was ist kurwa? Was ist kurwa?* – pyta kapo.

A ja wtedy ze złością odpowiedziałem:

– Ty kurwa i klawo!

– No, czekaj, ja ci jeszcze pokażę! – odgrażał się kapo po niemiecku, wychodząc ze sztuby.

– Na kant dupy możesz mi wskoczyć! – odpowiedziałem za nim po polsku.

Wszyscy głośno roześmiali się – i graliśmy dalej. Bochat zwrócił się do nas, że nie ma nam czym zapłacić.

– Zagrajcie, chłopaki, marsza – i idźcie, zarobicie sobie.

– Nigdzie nie idziemy grać. Tu zaczęliśmy i tu skończymy. Nie ma co więcej o tym gadać.

Bochat robił dla nas dużo – ale i ja poznawałem się na tym. Często dostarczałem mu lepsze artykuły żywnościowe z kuchni – cukier, cebulę, makaron albo kawę, z których w pracy gotował sobie lepsze obiady. za każdą przeprowadzoną ciężką sprawę dawałem mu coś z cywilnych ubrań, które mógł sprzedać majstrom na wolności za wódkę albo inne potrzebne mu rzeczy. Był to albo płaszcz gabardynowy, garnitur, palto albo jedwabna bielizna. My mieliśmy z nim dobrze, ale on z nami też. Wszystkie te kombinacje przeprowadzałem ja. Zawsze najpóźniej do czwartku musiałem podawać mu listę chłopaków, których chciałem zwolnić z niedzielnej pracy. Zawsze były to chłopaki z orkiestry i na dodatek jeszcze kilku kolegów – starych więźniów. Graliśmy w rewirze – mieliśmy później opiekę i mogliśmy interweniować o innych. Graniem w rewirze stwarzaliśmy też lepsze warunki dla Janka Kolmasiaka. Graliśmy w magazynach i w kuchni – miałem tam zawsze wstęp i otrzymywałem dla siebie i chłopaków wszystko, co można było tam dostać.

Byliśmy popularni. Byliśmy znani i lubiani. Muzyka, śpiew i humor otwierały przed nami wszystkie drzwi – mogliśmy załatwić każdą sprawę. Kiedyś – w roku 1944 – prosił nas Nogaj, że chcą nas posłuchać SS-Ukraińcy. Żeby w niedzielę grać na dworze – w pobliżu drutów i baraków SS. Poszliśmy i graliśmy piosenki polskie

i rosyjskie, których już dużo znaliśmy. Zabraliśmy z sobą Ośkę K., który znał niezliczoną moc piosenek. SS-Ukraińcy formalnie oblepili mur za drutami. Z rozmachem rzucali nam papierosy tak, by nie upadły za blisko przy drutach. Muszę zaznaczyć, że SS-Ukraińcy – w naszym obozie mieli funkcję posterunków – zachowywali się w stosunku do więźniów jak najlepiej. Strzelali tylko do Niemców – ale to już jest osobna sprawa.

Jeszcze w 1942 roku – gdy grałem sam – ktoś pracujący w magazynie z naszymi cywilnymi ubraniami napisał mi podanie z prośbą o wydanie na zimę swetra i ciepłej bielizny z moich cywilnych rzeczy. Zabrał podanie – a za kilka dni wezwano mnie do magazynu. Zastałem tam tego samego człowieka. Poradził mi, żeby brać, co się tylko da, on wszystko zapisze. Zabrałem dwa swetry, wszystką bieliznę, struny do mandoliny, które tam się znajdowały, skarpety, aparat do golenia w metalowym pudełku i rękawice skórzane. Jedną jedwabną koszulę dałem temu z magazynu, drugą M., Heńkowi B. dałem biały kamizelkowy sweter, aparat do golenia i rękawice. Sobie zostawiłem wełniane skarpety, czarny wełniany sweter golf, kalesony i struny. **Aparat do golenia oddałem, bo nie miałbym nożyków do golenia, a rękawice i tak zabrałby jakiś kapo, a gdyby nawet nie zabrali, to szybko zniszczyłbym je przy pracy kamieniarskiej, gdzie zimą pracowało się w płaszczach, rękawicach i nausznikach, bo kociołek z ogniem nie ogrzał budy z jej szparami i wywietrznikami.** Wszystko to udało mi się otrzymać dlatego, że komuś podobała się moja gra i repertuar.

Pisałem o tym, że opiekunem orkiestry był Kazio Bodych – nazywany przez nas „Dziadkiem", a przez cały obóz „Siwym Łbem". Gdy tylko zacząłem grać z Adamem, porozmawiałem z Bodychem, a znałem go już dawno, stary warszawiak. Sugerowałem mu, żeby nami się zaopiekował i dał wszelką pomoc w miarę swoich możliwości, wtedy zespół powiększy się, a my za to będziemy uważali się za jego zespół. Będzie znany w obozie jako „ojciec" zespołu. Kazio zgodził się. Był dla nas wszystkich naprawdę jak ojciec. Dbał o nas. Żywił nas wszystkich. Wszystko to, co otrzymywałem z kuchni, było od niego; jeśli dawał kto inny, to też za jego zgodą. Kazio Bodych był „przysięgłym" portierem w kuchni. do

jego obowiązków należało pilnowanie, by kucharze nie kradli jedzenia. Pilnował tak, że wszyscy byli zadowoleni. do niego należał też rozdział kotłów na bloki i do grup roboczych – i tu kryły się jego nieograniczone możliwości. Mógł dawać całe kotły jedzenia.

Gdy w niedzielę szedłem do kuchni po kocioł słodkiej kawy, Kazio już go naprzód przygotowywał. Kochał nas. Kochaliśmy my jego. Graliśmy często w kuchni, znał nas esesman szef kuchni i wszyscy kucharze. Gdy kiedyś Kazio podarł się z kapem w kuchni, który miał do niego pretensje, że za dużo wynosi, Kazio powiedział:

– Jak zechcę, to tak przypilnuję, że żaden nic nie wyniesie – a moje chłopaki i tak będą mieli. Ja dam sobie radę.

Pod tym względem ważniejszy był niż kapo. Odkąd go pamiętam, zawsze był portierem w dużej kuchni, do samego końca pobytu. Dobrym trzeba było być cwaniakiem, by na tej pozycji utrzymać się tyle lat.

Przyszły święta Bożego Narodzenia 1942 roku. Pierwsze przyjemne święta. Przyjemne – bo już wiedzieliśmy o niepowodzeniach Niemców pod Stalingradem i już przychodziły pierwsze paczki w odpowiedzi na kartki włożone do naszych listów. Przychodziły duże paki i małe paczki. Niektórzy dostali już kilka paczek. Dostał M. paczkę z tłuszczem i lepszymi wędlinami. Dostałem ja paczkę z domu i od Szuberta z Katowic. Dostałem chleb od B. – i to były pierwsze święta w obozie po przeszło dwóipółrocznym pobycie, w czasie których nie byłem głodny.

W wigilię świąt Bożego Narodzenia ustawiono choinkę – o ironio! – pod szubienicą. Choinka – symbol miłości bliźniego – pod szubienicą, symbolem ucisku i męki. Po apelu chór obozowy śpiewał pod choinką kolędy. Chór obozowy to też grupa ludzi, którzy w ten sposób dążyli do uzyskania lepszych warunków życia, chociażby przez otrzymanie lepszej roboty albo michy zupy. Gdy chór skończył – zabrał głos esesman Kluge, który w tym czasie wszedł z psem i z cygarem w zębach na plac apelowy.

– Blode Hunde! – zawołał. – Jesteście w obozie, a tu od was wymaga się pracy. Kto będzie pracował dobrze, temu będzie dobrze, a kto nie zechce pracować, ten wie, co go czeka. O tam – krematorium!

Mówiąc to, pokazał palcem w kierunku komina krematoryjnego, z którego wylatywał metrowy ognisty ogon. Symbol naszego obozu – komin. Krematorium pracowało na pełnych obrotach – towaru do palenia jeszcze nie brakowało.

Jednak od tych świąt zaczął się w obozie okres raju w porównaniu z poprzednim okresem; raju dla zwykłego, szarego więźnia, mimo że ci, którzy dostali się do obozu w latach 1943–1945, nazywali to piekłem. Cóż – nie widzieli oni okresu pierwszego, od początku do Nowego Roku 1943. Tego okresu, gdy trudniej było przeżyć tydzień niż później trzy miesiące. Dlatego spośród więźniów, którzy byli od początku w obozie, niewielu przeżyło, a wśród tych, którzy przeżyli, nie ma prawie nikogo z tych, którzy do 1943 roku żyli tak jak ja.

Spotykamy się po wojnie, więc widzę, że starzy więźniowie, którzy przeżyli w obozie od 1940 roku, to przeważnie prominenci z lat 1940–1943. od roku 1943 paczki żywnościowe utrzymały wielu przy życiu. Paczki żywnościowe zdecydowały o zmianie warunków w obozie – a mam nadzieję, że lanie otrzymywane na froncie wschodnim też.

Dlaczego paczki spowodowały taki zwrot w warunkach obozowych? Po prostu zwiększały ilość jedzenia w obozie o setki kilogramów dziennie, i to jedzenia pełnowartościowego, jak cukier, ciasto, wędliny, tłuszcz i chleb. Codziennie przychodziło kilkaset paczek, a żadna nie ważyła mniej jak dwa kilogramy, przeciętne paczki miały cztery–pięć kilogramów. Byli ludzie mądrzy, którzy przysyłali paczki małe, ale często. Rodzina Genka Kuczyńskiego z Piastowa pod Warszawą wysyłała codziennie jedną paczkę jednokilogramową. Było tam pół kilograma chleba, a może nawet więcej – do tego dziesięć dekagramów tłuszczu, ze dwadzieścia dekagramów wędliny, kilkanaście papierosów i inne drobiazgi. Paczki były numerowane i on zawsze wiedział, czy dostaje wszystkie. Dobra strona takiego systemu polegała na tym, że z takiej małej paczki nic nie kradli i więzień otrzymywał ją w całości. Duże paczki były okradane przez

więźniów, którzy pracowali w paczkarni – ale to była niewielka kradzież, bo co mogło zabrać nieoficjalnie kilku ludzi pracujących w paczkarni? Niewiele. Właściwa kradzież odbywała się oficjalnie, przy wydawaniu, w obecności właściciela. Esesman wysypywał zawartość paczki na stół i jeśli była to paczka mała – kazał zabierać; lecz gdy była to duża, kilkukilogramowa paka – kroił. ze dwa kilogramy boczku – chlast na pół i jedną połowę rzucał za siebie pod ścianę. Trzy pęta suchej kiełbasy – łup na kupę jedno albo dwa pęta. Ciasto – rżnął, kura pieczona – cała na kupę. I tak z każdym lepszym produktem. W rezultacie więzień otrzymywał więcej jak pół, a nieraz, przy wielkiej pace, mniej jak pół zawartości paczki, co jednak i tak dawało kilka kilogramów jedzenia. To, co kradziono, oficjalnie miało być dla blokowych i kapów Niemców, którzy paczek nie otrzymywali. Ale oni dostawali trochę tylko, a gdzie reszta? Tego mogliśmy się tylko domyślić. Esesmani też chyba lubili jeść dobre rzeczy.

Ja otrzymywałem dużo paczek. Mądre paczki otrzymywałem od księdza Szuberta. Z jego paczek nigdy mi nic nie zabrano. Przysyłał mi dwie dwukilogramowe paczki w tygodniu. Paczki od niego otrzymywałem od początku aż do zajęcia Śląska przez armię radziecką. Gdy Śląsk był już wyzwolony, jeszcze otrzymałem trzy paczki, które były w drodze. W każdej paczce od Szuberta były dwa małe chleby razowe – razowego chleba nie zabierali – po kawałku kiełbasy, tak zwane metki, dwa małe topione serki, mała torebeczka cukru, kawałeczek masła. Nie było co brać i z czego brać, dlatego paczki te oddawano mi zawsze w całości. od mamuśki i siostry z domu otrzymywałem paczki raz w miesiącu. Biedne paczki, które mówiły o biedzie panującej w domu. Suchary z chleba białego i razowego, pudełeczko marmolady i – co sprawiało mi największą radość – spora ilość cebuli i czosnku, których to rzeczy prawie nikomu w paczkach nie przysyłano. Mój czosnek pomógł kilku chłopakom, między innymi Ośce, w zlikwidowaniu szkorbutu. Później B. dał mi jakieś lekarstwo z rewiru SS, którym wystarczyło posmarować kilka razy dziąsła i objawy szkorbutu znikały. Tłuszczu i wędlin z domu nie otrzymywałem. Raz jeden otrzymałem kawałek słoniny – nie większy jak dziesięć dekagramów. Rozczulił mnie on. Nieraz była torebka z cukrem, a raz jeden matka zrobiła mi taki

rejwach, że pewnie sama się tego nie spodziewała. Pomyślała sobie: A może oni tam nie mają soli? I włożyła w paczkę więcej jak pół kilograma soli. Co to była dla mnie za radość! Przez kilka tygodni nie było w obozie źdźbła soli. Wszystko było bez soli – bo nie było jej wcale w kuchni. Sól była – jak to mówią – na wagę złota. Kochana mamuśka, jakby wyczuła, co mi potrzeba.

Już w 1944 roku pisałem w listach do domu, żeby mi nie przysyłali paczek, bo ja jedzenia mam dosyć. Ale matka myślała, że my musimy tak pisać, tak jak musieliśmy pisać: „Jestem zdrów i jest mi dobrze". Więc mimo moich listów przysyłała paczki aż do Powstania Warszawskiego.

Dostawałem też paczki od brata, który mieszkał w powiecie płońskim. Nie jadłem wszystkiego sam. Obliczyłem, że w roku 1944–1945 żywiłem przeszło dwadzieścia osób. Żywiłem, ubierałem i dbałem, by mieli dobrą pracę i by nie byli bici w robocie i w bloku – a to kosztowało. Żywiłem czterech Rosjan, jednego Jugosłowianina, jednego Francuza, dwóch Hiszpanów – reszta to Polacy, w tym kilku z Warszawy.

Kilka paczek dostałem od ciotecznych sióstr, córek brata matki, Józefa Antoszkiewicza z Nowego Miasta, powiat Płońsk. Paczek tych było tylko kilka, ale takich, że esesmani mieli z czego brać. Miały chyba po dziesięć kilogramów. Dostawałem też kilka paczek miesięcznie ze Śląska, od zupełnie nieznanych mi ludzi: z Rybnika, z Wodzisławia, z Piekar i innych miejscowości, których nazw nie pamiętam. Najwięcej paczek było z Wodzisławia.

Po wojnie dowiedziałem się, że była to robota księdza Szuberta, który w ramach pomocy organizowanej dla księży przebywających w obozach koncentracyjnych podawał też moje nazwisko z zaznaczeniem, że nie jestem księdzem, ale że siedzę od 1940 roku i że bardzo dużo pomogłem mu w obozie. Mandolina też została mi przysłana z Wodzisławia. Przysłała ją, jak i wiele paczek, Gertruda Glormes zamieszkała w Wodzisławiu, ul. Wałowa 23 i Tatuś Emilia z Wodzisławia, ul. Wałowa 26. Po wojnie odwiedziłem je, by im osobiście podziękować. Byłem tam jesienią 1945 roku. Okazało się, że więcej było takich przebywających w obozach, którym one pomagały, lecz ja byłem pierwszy, który osobiście stawił się, by im za

to podziękować. Drugi raz byłem tam w roku 1949. Mówiły mi, że musiały się dobrze gimnastykować z wysyłaniem, bo wolno było wysyłać tylko ograniczoną ilość paczek. Więc woziły paczki do innych miejscowości i wysyłały z fikcyjnym adresem nadawców. To od nich więc były te paczki z Rybnika, Piekar i innych miejscowości.

Nie potrafię słowami określić uczucia wdzięczności, które dla nich mam i będę miał przez całe życie. Takie postępowanie pozwala jeszcze wierzyć w ludzi.

Jedzenie, które otrzymywałem w paczkach lub za granie czy z różnych innych źródeł, służyło w pierwszej kolejności zaspokojeniu moich potrzeb. Kupowałem kamienie, żeby samemu nie robić. Pracując w zakładach Steyra, starałem się nie chodzić do pracy, a gdy nawet chodziłem, to nie robiłem. Musiałem za to opłacać się kilku osobom, a więc: kierownik biura, oberkapo, hallajter, blokowy i pisarz blokowy. Figurowałem zawsze w dzień jako zmiana nocna, a w nocy nikt w obozie nie kontrolował. Będąc w obozie, kursowałem między blokiem i kuchnią oraz magazynem odzieżowym i blokiem. Jednym nosiłem jedzenie na bloki sam. na przykład do Kornackiego na blok czwarty – żył on wspólnie z Frankiem Ludwińskim, profesorem z Suwałk, i Adolfem Szafrańskim z Łodzi. Chciałem pomóc jemu, ale on uczciwie powiedział, że będzie dzielił się z nimi; to nosiłem mu całe wiadro jedzenia, a często jeszcze chleb. Nosiłem też na blok siódmy dla Edka Łysakowskiego i Henia Krajewskiego z Warszawy, Adamowi Kostrzyńskiemu i Cześkowi Nowickiemu z Warszawy na blok C i Bronkowi Jurkiewiczowi z Warszawy też na blok C. Inni, jak Wacek Rulski i Zygmunt Skoczek z Warszawy, chodzili sami po pracy do kuchni i tam dostawali dla siebie pół wiadra jedzenia. Inni przychodzili na blok – jedni drzwiami, inni przez okno – żeby nie było tłoku, żeby się ludziom nie rzucało w oczy, że tyle żarcia wychodzi ze sztuby. Miałem o to scysje z blokowym, bo ci, którzy przychodzili przez okno, wydeptali ścieżkę w wąskim trawniczku. Było nieraz tak, że po rozdaniu wszystkiego trafił się ktoś głodny – to oddawałem mu jeszcze swoją kolację. Ja wiedziałem, co to głód. Sam, gdy nie zjadłem kolacji, to tylko głodny poszedłem spać, a rano, gdy wszyscy poszli do pracy, przysyłano mi z kuchni śniadanie – kawał gorącej kiełbasy, biały esesmański chleb

i puszkę słodkiej kawy. W południe brałem z kuchni dużą michę jedzenia gotowanego specjalnie dla prostytutek – lepsze od jedzenia dla SS. A po południu – kilka wiader zupy dla podopiecznych i wiaderko od marmolady specjalnej zupy, którą po cichu kucharze gotowali dla siebie (był to przeważnie makaron lub kasza, gotowane pół na pół z mięsem), dla mnie i kolegów z orkiestry. Porcję prostytutek zjadałem razem z Januszem Zakulskim z Bydgoszczy (obecnie w Łodzi), zupę ogólną rozdawałem ludziom, zupę specjalną rozdzielałem wieczorem między chłopaków z orkiestry. Zupę tę dawałem też Edmundowi Tomaszewskiemu z Warszawy, którego nazywaliśmy „Wujo Patyk" z powodu wysokiego wzrostu. „Wujo Patyk" pilnował nam instrumentów i łóżek oraz rozdzielał jedzenie.

Pamiętam raz, jak mi muzułman zjadł całe wiaderko zupy. Chłopaki jeszcze nie przyszli z pracy. Wiaderko stało pod łóżkiem. Słyszę mlaskanie charakterystyczne przy jedzeniu. Patrzę – nie ma nikogo. Zaglądam pod łóżko – a tam muzułman leży i żre zupę z mojego wiaderka. Wyciągnąłem go za nogi. Wyjechał razem z wiaderkiem i dalej żre. Poderwałem go do góry, grzmotnąłem raz i drugi w pysk, patrzę w wiaderko, a tam jest jeszcze może półtora litra.

– Masz, żryj i to! – powiedziałem, wtykając mu w rękę wiaderko. – Tylko wiadro umyj!

Umył. od tego dnia zawsze wartował wieczorem przy wydawaniu jedzenia, bo dostawał wiadra do mycia. Jak dostał dziennie trzy wiadra do mycia, to miał z nich dwa litry zupy – bo nie dawało się pustego wiadra. Żył z mycia wiader i przeżył. Tak to nieraz przypadek decydował o możliwości przeżycia.

Każdej niedzieli braliśmy z kuchni kocioł słodkiej kawy z cukrem na dnie. Zwoływałem sztubę i rozdzielałem kawę – po troszeczku dla wszystkich. Słodkiej kawy nigdy nam nie dawali. Polacy mieli cukier z paczek – inne narodowości nie. Toteż oni byli z tej kawy najbardziej zadowoleni. Ostatnie piętnaście litrów w kotle było dla nas. Sam cukier. Mieszaliśmy – i to było dla orkiestry, władz blokowych i najbliższych kolegów.

Z kuchni wynosiłem obrane kartofle, które wieczorem smażyliśmy na piecu w sztubie – z kiełbasami, tłuszczem i cebulką. Przynosiłem niejeden raz całe wiadro kości z mięsem końskim. Oskrobywaliśmy

z grubsza kości z mięsa, kości oddawaliśmy komuś znajomemu do dalszego skrobania. Ten już oskrobał solidniej i oddał dalej. Następny już oskrobał do czysta – i znów oddał dalej. A ci ostatni zjadali całe kości, tak jak ja robiłem do 1943 roku. Nigdy nie odepchnąłem muzułmana. Jadłem nieraz kanapkę z wędliną. Oglądam się i widzę muzułmana, któremu oczy wyłażą z głowy, tak wpatrzone są w jedzenie, które trzymałem w ręku. Nie mogłem jeść dalej.

– Chcesz? – pytałem, podając chleb.

Zanim taki chwycił chleb, już miał go w ustach. Ciężko było patrzeć. Wychodziłem z bloku. Nigdy nie podałem nikomu kawałka jedzenia w złości. Zbyt dobrze pamiętałem okres własnego muzułmaństwa, głodu i moment przykrości, gdy mi w wigilię świąt 1941 roku B. podawał chleb przez okno ze złością, że go wywołałem.

Kazałem zrobić sobie trzylitrową puszkę z drugim dnem nakładanym z wierzchu, a na to dopiero szła pokrywka. Pierwsze dno było osiem centymetrów od wierzchu puszki. W puszkę wkładano mi produkty, za które można było wisieć: tłuszcz, mięso, kiełbasę, cukier, kaszę, makaron. Przykrywałem to dokładnie dopasowaną drugą częścią z wywiniętymi brzegami i w tę na osiem centymetrów głęboką część nalewano mi kawy. Kilka razy kontrolowano moją puszkę. Otwierałem pokrywkę i esesman widział kawę. Palca nie wtykał, żeby sprawdzić, gdzie jest dno, ani nie kazał wylewać kawy. Głupcy, myślałem sobie, trzeba zamknąć was na kilka lat do obozu jako więźniów, wtedy może potraficie łapać nas, starych więźniów, starych organizatorów.

Od B. już zupy nie brałem – ale do samego końca brałem chleb. Jak widziałem przez okno, że na jego łóżku leży chleb, wchodziłem na sztubę i zabierałem – czy to był chleb obozowy, czy chleb paczkowy. Taka była umowa. Chleb ten od razu niosłem do moich podopiecznych. Teraz już tylko do mnie należała jego codzienna porcja chleba i wszystek chleb, który otrzymywał w paczkach. Tak było po czerwcu 1944 roku, kiedy już nie miałem spółki z M. On mnie wiązał, a że byłem mu wdzięczny za pomoc otrzymaną w 1942 roku, nic nie mówiłem, aż on sam tę spółkę rozwalił. Później tego żałował, ale ja już wpadłem w inny nurt – nurt organizowania na dużą skalę i pomagania innym.

Wracam znów do paczek. Mówiłem już, że paczki zwiększyły ilość jedzenia w obozie. Z tego powodu łatwiej było otrzymać od innych miskę zupy. Kto otrzymał paczkę, nie jadł już tego dnia wstrętnej obozowej zupy. Wytworzył się rodzaj arystokratów paczkowych. Taki żył z paczek, a za swoją zupę miał kogoś, kto przy nim robił – to znaczy słał łóżko, czyścił, prał i cerował. Jeśli ktoś nie mógł otrzymać miski zupy, to przynajmniej mógł ją tanio kupić. Arystokraci blokowi też już mniej kradli zupy i dodatków do chleba, to znaczy margaryny, marmolady i twarogu. Oni też chcieli jeść dobre rzeczy z paczek. Że mniej kradli, więcej dostawało się więźniom. Ci, co mieli paczki, nie byli zainteresowani tym, żeby dostać dolewkę – więc tę zupę dostawali ci, którzy nic więcej nie mieli. Nie znaczy to, że już nie było głodu. Głód był i ludzie dalej umierali, ale – mówię jeszcze raz – życie szarego więźnia stało się lżejsze i zdobycie jedzenia nie było połączone już z takim niebezpieczeństwem jak w latach przedpaczkowych i nie wymagało takiego sprytu i odwagi jak poprzednio. Starzy więźniowie, którzy przeżyli pierwszy okres, wszyscy nieźle sobie radzili – a Polacy prawie wszyscy otrzymywali paczki. do tego dochodziło jeszcze wielkie, niemożliwe do porównania złagodzenie dyscypliny w obozie. W latach tych nie zabijano już za kradzież jedzenia – złapany na kradzieży dostawał dobre bicie i wcale nie musiał od niego umrzeć. Nie było też bezmyślnej mordowni. Ludzie ginęli, w robocie bili, ale raczej gdy ktoś na to bicie zasłużył – w rozumieniu esesmanów i kapów. Bili wciąż za miganie się od roboty, za organizowanie żarcia i za nieprzestrzeganie zarządzeń i poleceń, ale bili tylko tych, których na tych przekroczeniach złapano. Zakończono „kąpiele". Były prawdziwe kąpiele. Wykończono już łaźnię i każdego tygodnia była kąpiel. Kąpano blokami – wieczorem, po kolacji, i w niedzielę. Bez względu na pogodę do łaźni szliśmy w butach i w koszuli, a zimą bez koszuli, lecz w płaszczu. Kąpiel była pod gorącą wodą. Nieraz ten, co puszczał wodę, dla kawału zamykał gorącą wodę, a puszczał zimną – ale to były tylko jego wybryki, żeby prędzej wygnać ludzi spod prysznicu. Przestano wybierać muzułmanów do „leczenia". Samochód już nie kursował i nie „kąpano" ich. W dalszym ciągu jeszcze szprycowano i w rewirze czynny był „banhof", lecz wykańczano tam

tylko ludzi nieuleczalnie chorych. Uleczalnie chorych też nie leczono. Wyzdrowiał taki albo umarł, ale nieuleczalnie chorych wykańczali. Wykańczano z zasady chorych na gruźlicę. „Profilaktyka" – dbałość o zdrowie innych, żeby nie zarazili innych gruźlicą.

W 1944 roku oficjalnie zabroniono bić, co nic jednak nie zmieniło, bo bili wszyscy dalej, ale jak powiedziałem – ostrożniej i za „przewinienia".

Praca była w tym okresie tak zorganizowana, że całe grupy robocze mieściły się na swoich blokach. Nie można było zmieniać sobie roboty codziennie, tak jak to kiedyś ja robiłem. Zmiana pracy połączona była ze zmianą bloku, w którym mieszkała dana grupa robocza. Wciśnięte było to wszystko w ewidencję.

Większa dbałość o więźniów wynikała z tego, że ruszyły w obozie całą parą fabryki zbrojeniowe Steyr i Messerschmitt. W zakładach Steyra było osiemnaście hal i później jeszcze warsztaty pod ziemią – w tunelach. Warsztaty te pracowały na dwie zmiany po dwanaście godzin. Zakłady Messerschmitt też miały kilka hal, w których robiono skrzydła i kadłuby samolotów myśliwskich. Były też zakłady reperacyjne sprzętu wojskowego oraz magazyny, do których zwożono różne towary z podbitych przez Niemców krajów. Przyszedł czas – w roku 1943 i 1944 – to dawano nam raz w tygodniu, w niedzielę, mleko na śniadanie, a w roku 1944–1945 dawano ludziom pracującym w przemyśle zbrojeniowym na obiad po kawałku mięsa. Były to kawałki o wadze może dwóch dekagramów, suche i byle co – ale były, a to, że były, wskazywało na zmianę sytuacji w obozie. Zorganizowanie pracy w ten sposób dało nam nową ulgę – zniesiono apele dla pracujących. Był tylko raz w tygodniu jeden generalny apel – w niedzielę. Codzienny apel – tylko dla tych, którzy byli w obozie. Rano grupy robocze ustawiały się od razu na placu apelowym w kolumny robocze, a wieczorem wchodziły od razu do bloków. Apel był dla tych, którzy szli pracować na nocną zmianę, i tych, którzy przebywali w blokach mieszkalnych. **Po apelu dopiero otwierano bramę i wpuszczali grupy robocze. Po wejściu grup roboczych wywoływano na plac nocną zmianę. Po ustawieniu się i obliczeniu ludzie wychodzili do pracy. To była wielka ulga. Przecież do roku 1942**

mieliśmy trzy apele dziennie trwające po godzinie i dłużej. W południe wszyscy schodzili do obozu.

Bieliznę zmieniano nam każdego miesiąca – przedtem i po trzy–cztery miesiące nie była zmieniana. Łazienki i ubikacje dostępne były dla wszystkich w dzień i w nocy. Ludzie w niedzielę brali z kąpieliska ciepłą wodę i w łazience prali swoją bieliznę. Nie było zbiorowych karnych ćwiczeń – i nie było już bicia w mordę za źle posłane łóżko. do łóżka nikt się nie wtrącał. Jak kto posłał, tak miał i tak spał. Zarzuciło się koce na siennik i to w zupełności wystarczało. Nigdy już nie było na blokach karnej nauki słania łóżek, a kto nie pracował z jakiegokolwiek powodu, mógł cały dzień leżeć w łóżku. Chciał w butach – właził w butach. W ubraniu – to w ubraniu. Nikt nigdy nie kontrolował czystości nóg i czy kto przypadkiem nie śpi w kalesonach. Nikt też nie wyjmował w zimę okien w baraku. Wolno było wchodzić na inne bloki bez obawy, że zabiją albo zbiją. Sztuby czyściło się i myło dopiero po wyjściu ludzi do pracy i nie było już tak, że gdy był deszcz lub mróz, ludzi wpuszczało się do baraku tylko spać – a nie wypuszczało się nikogo z bloku, gdy była piękna, słoneczna pogoda. To było normalnie praktykowane do 1943 roku.

Jednak mimo takiego złagodzenia warunków ci, którzy przychodzili transportem z Oświęcimia, mówili, że gotowi są iść z powrotem w nocy i na kolanach, bo – tam było życie. Można było tam tanio kupić buty, ubranie czy lepsze żarcie, które to rzeczy przychodziły do obozu z transportami Żydów, których masowo gazowano. To było zdanie nie tylko tych, którym w Gusen było źle, ale i tych, którym było dobrze. Twierdzili w 1944 roku, że my jesteśmy w warunkach Oświęcimia z 1942 roku – a przecież w obozach z każdym rokiem następowała poprawa warunków. Oświęcim był dużym obozem – i fabryką śmierci – dlatego jest taki osławiony, lecz życie więźnia było bez porównania lepsze w Oświęcimiu niż w Gusen. Jest to zdanie starych obozowców, którzy siedzieli po dwa–trzy lata w Oświęcimiu, a później byli w Gusen. Dużo było takich, którzy żyli dwa–trzy lata w Oświęcimiu, a w Gusen wykańczali się po trzech–czterech miesiącach. Ci, których gazowano – umierali kilka minut. My w obozie umieraliśmy bez przerwy przez kilka lat i tylko jednostki przeżyły – plus minus pół procent więźniów przywiezionych do

Gusen w 1940 roku przeżyło; a z tego wielu zmarło już po wojnie, a wielu – tak jak i ja – od lat choruje na gruźlicę płuc i czas ich życia też już jest policzony. Żyliśmy, ale do ostatniej godziny pobytu w obozie – do momentu otworzenia bramy – żaden z nas nie był pewien, czy żyć będzie.

Wielkim dopingiem do przetrwania i czynnikiem, który podnosił samopoczucie ludzi, były wiadomości z frontu. Lanie w Afryce – Stalingrad. Lądowanie we Włoszech – Pantelleria – Lampedusa – Włochy wypowiadają wojnę Niemcom. Nowa ofensywa radziecka – jedna – druga – trzecia – i jeszcze – i jeszcze. Utworzenie drugiego frontu. Rosjanie w Polsce – wyzwalanie Polski. Powstanie Warszawskie. Francja wyzwolona – Polska wyzwolona – wojna na terenach niemieckich – i wyzwolenie – wolność.

Wiadomości te pomagały w przetrwaniu. To nie te wiadomości co poprzednio. Francja – leży. Jugosławia – leży. Grecja – leży. Afryka – gotowa. Węgry – Rumunia – Włochy – cała Europa, cholera, zajęta przez Niemców. Niemcy pod Moskwą – pod Leningradem – na Kaukazie – na Krymie – a tu w obozie mordownia i głód. Czy w tych warunkach wiadomości takie nie mogły łamać ludzi? Mogły – i łamały. Mnie nie łamały. Ja po prostu myślałem o życiu, lecz nigdy nie myślałem o przeżyciu. Nie chciałem iść na druty sam, ale wiedziałem, że któregoś dnia zabiją mnie i skończy się zabawa w ciuciubabkę.

O zmianie warunków na lepsze świadczyć może stosunek władz obozowych – tak SS, jak i „władz" naszych, to jest blokowych i kapów – do ucieczek więźniów.

Trzynastego lipca 1943 roku uciekł Polak. Ucieczkę zauważono w południe. To była ostatnia represja zastosowana wobec wszystkich Polaków; represja była zbiorowa, ale wyłączono z niej inne narodowości. Po zauważeniu ucieczki zarządzono alarm, zbiórkę, odmarsz do obozu i apel. Brak jednego. Rozkaz: Polacy zostają na placu apelowym, inne narodowości do bloków. Gdy na placu pozostali tylko Polacy, nowy rozkaz: biegiem marsz wokół placu apelowego. Biegiem – to biegiem. Ale tylko przy jednym esesmanie na placu, który stał przy pufie i poganiał kijem, gdy przebiegali obok niego – a dziesięć kroków dalej znów normalny chód. Nie mógł

przecież jeden esesman pognać kilku tysięcy ludzi. Nowy rozkaz: ustawić się w kolumny, odpowiednie odstępy i gimnastyka.

Wszyscy esesmani wyszli szukać w terenie i na placu już nie było żadnego. do prowadzenia gimnastyki wyznaczony został kapo Kołeczko. On z kolei wyznaczył ludzi, którzy mieli pilnować po bokach całej kolumny. Z początku były to wyrzuty rąk, ale przyszedł esesman i kazał wykonywać przysiady na tempo siedem. na tempo siedem dopiero pełny przysiad i na tempo siedem pozycja całkowicie stojąca. Już po kilku minutach zauważyliśmy, że nikt nie krzyczy i nikt nie bije. Krzyk robił tylko Kołeczko, ale to z tytułu swej funkcji, żeby go słyszeli ci esesmani, którzy patrzyli przez okno szuhausu.

Głupi zbieg okoliczności, że musiał w tym czasie rozpadać się deszcz. Że będzie deszcz, to już wiedzieliśmy dużo wcześniej, bo widać było Alpy. Piękny widok, który zawsze wróżył deszcz. Alpy było widać tak, jakby dzieliło nas od gór zaledwie kilka kilometrów. Zmokliśmy wtedy całkowicie – do ciała, ale nikt nie bił. Były momenty, że na rozkaz „wstać" – siedziały całe grupy ludzi. Paliliśmy papierosy. Komiczna sytuacja: papierosy z obawy przed zamoknięciem i wykruszeniem nosiło się w blaszanych pudełkach – więc były suche. Szukało się kawałka suchego miejsca w ubraniu, żeby wytrzeć mokre od deszczu palce, papierosa do fifki i gdzie ogień? Jest. Pali kapo, który chodzi brzegiem i pilnuje gimnastyki.

– Daj ognia! – woła jeden.

– Jazda! Ja ci dam ognia! – odpowiada kapo.

Przeszedł kilka kroków, wrócił, wlazł w szereg i podał do ręki niedopałek swego papierosa. Gdy już jeden miał ogień, po chwili mieli go i inni. Podnosili się tylko ci, co nie palili. Nad nami chmura dymu, trochę z boku druga chmura, tam dalej też palą zbiorowo – a Kołeczko wrzeszczy, żeby nie palić, bo podpadniemy i mogą nam urządzić coś gorszego. Ale nikt go nie słuchał.

Staliśmy tak do apelu. Godzinę przed apelem deszcz przestał padać, a że to lipiec, gorąco, to ubranie szybko wyschło. Gdy otrzymałem kolację, założyłem szybko na siebie dwie swoje koszule, zjadłem swój chleb, ale drugą porcję wsadziłem w kieszeń, papierosy do innej kieszeni i jestem gotów. Czułem, że to nie może się tak lekko zakończyć, że będzie jakiś ciąg dalszy. I faktycznie – dzwon na

placu i rozkaz: wszyscy Polacy zbiórka! Odliczono nas przed blokiem, czy są wszyscy, wyprowadzono na plac apelowy blokami, a przejścia między blokami obstawili blokowi i kapowie. Ustawili nas – ale nie bili. Nikt nie bił. Staliśmy tak w szeregach przez całą noc. Dobrze, że już nie padał deszcz. Rano wcale nas nie wpuszczono do bloków na śniadanie, tylko od razu do pracy. Przed apelem rozeszliśmy się po placu. Chłopaki prosili Niemców i kolegów innych narodowości, żeby im przynieśli chleb, papierosy czy inne przedmioty z bloku. Mówili, gdzie leżą, a oni przynosili. Byli tacy – i to Niemcy na funkcjach – że przynosili dla swoich znajomych na plac bańki z gorącą kawą. Esesmani nie pokazali się. Cały dzień praca. Po pracy do bloków, rozdanie kolacji. I znów: Polacy zbiórka! – na plac apelowy i znów stanie do rana. na trzeci dzień wszystko tak samo; tylko że o godzinie pierwszej w nocy kazano iść spać. Koniec stania.

Druga i trzecia noc tym się różniły od pierwszej, że nie kazano nam stać w szeregach, lecz każdy robił, co chciał. Jedni spacerowali, inni spali na kamieniach placu apelowego. Zniknęli też blokowi i kapowie. Pilnowali tylko w przejściach – ale i ci dużo osób wpuścili do bloków. Ja mogłem iść, ale nie chciałem. na placu spali ci, którzy mieli taką pracę, że w dzień nie mogli spać. Kamieniarze spali w dzień. W niektórych grupach nie tylko kapowie, ale i esesmani kazali w dzień ludziom spać.

Ja pracowałem wtedy w dziewiętnastej hali. pod ścianami był niski, lecz szeroki murek, na którym trzymaliśmy swoje narzędzia. na tym murku spaliśmy. Pracowali Hiszpanie i Niemcy – żeby było słychać szczęk młotków. Hiszpanie byli takie cwaniaki, że też nie chcieli pracować, a gdy kapo krzyczał, mówili: „Ci-i-i-cho – Polacy śpią". Kapo wystawił w hali posterunki przy wszystkich drzwiach – i w ciągu dnia było zaledwie kilka, dwa czy też trzy alarmy. **Esesmani też prawie nie łazili po terenie pracy.** Gdy był alarm, podrywaliśmy się, każdy z młotkiem i szpicem stawał przy swoim kamieniu. Niektórzy tylko uderzyli kilka razy leniwie młotkiem. Gdy oficer SS mijał nas i był zaledwie kilka metrów dalej, rzucaliśmy na ziemię narzędzia i kładliśmy się z powrotem. Coś podobnego do 1943 roku nie powstało nawet w naszych marzeniach – że tak może być po ucieczce.

W czasie następnej ucieczki, w 1944 roku, trzymano nas na placu dwie godziny, żeby sprawdzić, czy brakującego nie ma gdzie w baraku, bo i tak się zdarzało. To zaspał ktoś w łóżku, pracujący na nocną zmianę – jak to się przydarzyło Maćkowi Dobrzyńskiemu, naszemu jazzbandziście – albo znów znaleziono muzułmana, który chował się, a gdy wszyscy wyszli już na plac apelowy, on wchodził na inny blok i kradł jedzenie przygotowane na kolację. Raz wyprowadzono muzułmana, który miał przy sobie sześć porcji chleba i trzydzieści kilka porcji kiełbasy. Gdy na apelu kogo brakowało – blokowi i kapowie biegli szukać, każdy na swoim bloku, następnie wszyscy szukali w różnych zakamarkach obozu: w łazienkach, ustępach, śmietnikach – i zawsze pasażer się znalazł. Gdy prowadzili tego z chlebem i kiełbasami, ruszał jeszcze ustami i trzymał kiełbasy w ręku. Bili go blokowi, którzy go prowadzili. Esesmani śmiali się tylko z tego.

Tego dnia, gdy jednego zabrakło, sprawdzili na bloku, z którego on był, kogo brak, i apel skończony – wszyscy do bloków. Było to w sobotę. W niedzielę padał drobny deszcz, a nas, kamieniarzy, wysłali szukać uciekiniera. Poszliśmy. Kapom naszym nie chciało się łazić po deszczu. Schowali się do jakiejś budy, a my łaziliśmy sami, całą masą – bez esesmanów, bez kapów, gdzie chcieliśmy i jak chcieliśmy. W końcu wszyscy wleźliśmy do dziewiętnastej hali, schowaliśmy się przed deszczem. Gdy już siedzieliśmy godzinę lub dłużej, wpadło do hali trzech kapów z kijami. Dwóch wyganiało, a trzeci bił przy drzwiach. Otwarta była tylko jedna furtka w bramie wylotowej. Zakręciłem się, żeby nie dostać od tych, którzy wypędzali. Ten, co bił przy drzwiach, bił co drugiego. Zamach – jeden przeskoczył, drugiego uderzył. Zamach – znów jeden przeskoczył, a drugi dostał. Skoczyłem i ja do drzwi. Udało mi się. Byłem tym, który nie dostał. Rozleźliśmy się po terenie i pochowaliśmy się po różnych dziurach. Szukali uciekiniera tylko najgłupsi – a takich było bardzo mało, bo kamieniarze to wszystko starzy więźniowie, cwaniaki, nygusy i organizatorzy. To nie byli więźniowie początkujący. Apel wieczorny – i z ucieczką dla nas sprawa zakończona.

Kilka tygodni przed końcem wojny uciekł Polak; znałem go osobiście – młody chłopak z Warszawy, elektryk, nazwiska jego nie pamiętam. O jego ucieczce dowiedzieliśmy się rano, gdy zobaczyliśmy go, jak stał na wysokim stołku przy bramie wyjściowej, na zimnym deszczu (pierwsza połowa kwietnia), tylko w spodniach, boso, bez koszuli i czapki. Wieczorem już go przy bramie nie było. Wykończyli go w krematorium.

Tak wyglądały represje za ucieczki od 1943 roku, a jakże inaczej wyglądało to w poprzednich latach!

Z ubraniami ciągle nie było dobrze; brak było pasiaków, więc dawali nam ubrania cywilne, które przywożono z Oświęcimia. Długi czas ubrania te różniły się tym od normalnych ubrań cywilnych, że na plecach malowano nam szeroki pas białą olejną farbą, później kazano wycinać na plecach okno dwadzieścia na trzydzieści centymetrów i w to miejsce wszywać materiał z pasiaków. Takie samo okno wycinano na lewej nogawce spodni, powyżej kolana. Ubrania – to stare, niesamowicie zniszczone łachy. Ja dzięki swoim znajomościom – głównie dzięki znajomości z Januszem Zakulskim z Bydgoszczy, kierownikiem magazynu odzieżowego dla więźniów – miałem wszystko, co mi było potrzebne. Prócz tego wynosiłem codziennie dwie–trzy sztuki odzieży lub bielizny dla chłopaków z orkiestry i wszystkich tych, którym pomagałem; do tego jeszcze organizowałem, co mi się dało.

Gdy raz przy niedzieli Janusz poszedł do ustępu, złapałem kilka ciepłych koszul, swetrów, szali, uciekłem do siebie na blok, schowałem pod łóżko i znów biegiem do magazynu. Myślałem, że jeszcze zdążę, ale Janusz już był, zapytał, gdzie byłem. Powiedziałem mu, że poczułem natychmiastową potrzebę pójścia do ustępu. Zawsze gdy byłem w magazynie, musiałem coś gwizdnąć, jako dodatek do tego, co mi sam dawał. Dawał mi też buty dla mnie, dobre i eleganckie, dla podopiecznych przeważnie skórzane na drewnianej podeszwie. To były bardzo dobre buty. Normalną rzeczą był widok ludzi – nawet zimą – w czółnach albo ze zwykłymi kawałkami deski przywiązanymi drutami lub sznurkami do nogi. Były to jakby sandały własnej roboty. Niektórzy robili spód z dwóch części – takie drewna zginały się przy chodzeniu. Inni – z kawału zwykłej

grubej, nieobrobionej deski z drutami lub sznurkami przybitymi do boków deski, a nogi mieli owinięte szmatami. To było dobre na mróz, ale już do niczego, gdy była plucha, błoto i deszcz.

Ostatniej obozowej zimy 1944/1945 nikomu z pracujących pod dachem nie wydano płaszczy i swetrów. Kto miał swój sweter, to mógł go nosić, ale płaszczy nosić nie było wolno – i tu miałem dopiero pole do popisu. W paczkach swetry mogli otrzymywać tylko Polacy i Francuzi. Inne narodowości paczek nie otrzymywały, więc i swetrów nie mieli. Nie mieli też swetrów Polacy, którzy przyszli z Powstania Warszawskiego. Organizowałem, ile się dało, żeby zaopatrzyć w swetry jak największą liczbę swoich znajomych, a dla najbliższych mi osób – orkiestry i kolegów, starych więźniów – jeszcze kurtki. Kurtek nikt się nie czepiał. Dla kogo nie mogłem zorganizować kurtki, to brałem palta cywilne, a krawcy już je odpowiednio skrócili.

Nieraz za takie palta, płaszcze czy też garnitury bez wszytych okien kupowaliśmy różne rzeczy z wolności. Sprzedawało się cywilnym majstrom za wódkę albo inne rzeczy. Były wypadki, że oddawałem swetry zupełnie obcym ludziom. W lutym 1945 roku oddałem palto obcemu muzułmanowi z powstania, który i tak po dwóch dniach umarł, i palto diabli wzięli. Mógłbym dać komu innemu, ale chociaż widziałem, że on za kilka dni umrze – żal mi go było. Niech wie, pomyślałem, że i w obozie można coś dostać bezinteresownie.

Przyszedł raz do mnie do hali Adam Kwiatkowski i mówi, że jest jeden warszawiak, który dopiero wyszedł z rewiru i pracuje przy transporcie na powietrzu, a jest kilkanaście stopni mrozu; ma na sobie tylko bieliznę i stare pasiaste spodnie. Wiedziałem, co to zimno. Teraz byłem ubrany dobrze. Koszula, kurteczka z rękawami, pikowana watą, sweter, marynarka i kurtka. Wyszedłem z Adamem z hali Steyra. Adam po chwili przyprowadził zmarzniętego młodego chłopaka. Weszliśmy do innej hali, wsadziłem mu rękę pod koszulę – czy przypadkiem nie ma swetra. Nie miał. Wtedy zdjąłem z siebie sweter i oddałem mu. Innym razem – gdy wygnali mnie do pracy – **hallajter postawił mnie przy maszynie, którą w zasadzie powinien obsługiwać ten, który robił obok mnie. Obsługiwał dwie maszyny, a ja mogłem robić wtedy, gdy chciałem robić, bo mi się nudziło, albo gdy**

musiałem robić, bo łaził esesman. Widzę, że ten, co robi na maszynie obok, stoi i trzęsie się.

– Czego się trzęsiesz? – pytam po polsku.

– No, bo mi zimno – odpowiedział też po polsku. na winklu widzę litery „It" – Italiano, Włoch.

– Co? Ty Italiano, a mówisz po polsku?

– Nie – ja Jugosławia, z Triestu. Mnie zamknęli Italiany i oddali Niemcom, dlatego mam znak „It".

Zdjąłem z siebie kurtkę i dałem mu, mówiąc, żeby w niej robił, a na fajrant mi odda. Pracowałem wtedy cztery dni – potem przerwa – i przez te cztery dni codziennie oddawałem mu swoją kurtkę. Gdy piątego dnia nie poszedłem do roboty, żal mi się go zrobiło, że będzie teraz marzł, jak mnie nie ma. Poprosiłem Janusza, by mi dał sweter. Powiedziałem mu uczciwie, dla kogo. Kradłem mu ciuchy, ale gdy prosiłem, to zawsze mówiłem uczciwie, komu chcę dać. Wybrałem dobry sweter i następnego dnia rano zaniosłem mu. Gdy wszedłem na blok – ten Jugosłowianin mieszkał na innym bloku – blokowy zapytał, kogo szukam. Blokowy zawołał i po chwili wylazł spomiędzy łóżek mój Jugosłowianin. Podałem mu sweter bez słowa gadania. Blokowy złapał sweter i mówi do mnie, że wiem chyba, że Steyr nie ma swetrów.

– Tak, nie fasuje swetrów, ale jak kto ma swój, to mu wolno nosić – a ja mu oddaję swój przysłany w paczce sweter. – Wyrwałem blokowemu sweter z ręki i oddałem Jugosłowianinowi.

Wieczorem przyszedł do mnie na sztubę i pyta, co ja chcę za ten sweter. Spojrzałem – muzułman. Biedny i głodny.

– A co możesz mi dać za niego? – pytam. – Papierosy masz?

– Nie, nie mam – odpowiada.

– A margarynę masz?

– Nie mam.

– A chleb masz?

– Też nie mam.

– No, to szoruj stąd! – wrzasnąłem. – Po jaką cholerę przychodzisz się pytać?!

On chodu. Złapałem swoją kolacyjną porcję chleba – i za nim. Dogoniłem go w połowie sztuby i wsadziłem do ręki chleb.

– Masz, zjedz to sobie na kolację – powiedziałem.

Kiedyś znów, gdy nie pracowałem, zawołano wieczorem na sztubie, by nocna zmiana wychodziła na zbiórkę do pracy. Wyszli wszyscy, na łóżku został tylko jeden młody chłopak, Rosjanin Waśka, którego znałem dobrze, bo łóżko jego było w pobliżu mojego.

– Co, Waśka, nie idziesz do roboty? – zapytałem.

– Idę – odpowiedział.

– A co, nie wstajesz – chory jesteś?

– Tak – mam temperaturę.

Wziąłem go za czoło – gorące. Spojrzałem – koszula, kamizelka i marynarka i tak ubrany musi całą noc stać z temperaturą przy maszynie w zimnej hali. Pomyślałem sobie o swetrze, który tego dnia przyniosłem, a który przeznaczony był dla kogo innego. Piękny, gruby sweter z szalowym kołnierzem, chabrowego koloru – narciarski. Pożyczyć mu czy nie? Nie pożyczę, bo mi może napuścić wszy.

– Ile masz lat? – pytam go.

– Dwadzieścia dwa.

– Ile czasu już w obozie?

– Dwa lata.

A był to luty 1945 roku. Pożyczyć, myślę. Nie, nie pożyczę. Waśka podniósł się i wolno poszedł do drzwi. Gdy już miał wychodzić, krzyknąłem na niego, żeby zaczekał. Złapałem z łóżka sweter.

– Masz, załóż, tylko szybko, żebyś się nie spóźnił na zbiórkę.

Dałem mu ten sweter. Pomyślałem sobie – dwadzieścia dwa lata, dwa lata w obozie, luty, niedługo koniec wojny. Kto wie, czy ten sweter nie uratuje mu życia, bo jedna taka noc może spowodować zapalenie płuc i koniec. Swetra tego już nie odbierałem. Nosił go do końca pobytu. Przeżył.

Podałem tylko kilka przykładów. Kiedyś Adam Kwiatkowski oddał jakiemuś obcemu muzułmanowi, który szedł boso po roztopionym śniegu, moje buty. Szedł boso, bo mu pękł sznurek przy deskach, które miał zamiast butów. Adam też rozdawał ludziom nadwyżki jedzenia i ubrania, a że ja miałem kilka par różnych butów, to oddał moje buty na drewnianej podeszwie. Gdy powiedzieli mi, że to Adam

wziął moje buty, ten, gdy go zapytałem, jeszcze na mnie z mordą skoczył.

– A co – mówi – trzydzieści par butów pod łóżkiem stoi, a ludzie boso chodzą!

– Wiesz chyba, byku – odpowiedziałem mu – ile ja rozdaję. Wziąłeś, nie mam pretensji, powiedz tylko, że komuś dałeś, żebym wiedział, gdzie się podziały.

– Bałem się powiedzieć – odpowiedział mi.

Miał trochę racji, że butów miałem dosyć: buty z cholewami, pantofle wiatrówki, kamasze skórzane, czółna podbite skórą i ze skórzanym wierzchem, drewniane trepki na lato i ciepłe miękkie kapcie z gumowymi spodami. Te, które on oddał, przyniosłem po to, by oddać komuś ze znajomych. Adam oddał obcemu. Nie miałem do niego pretensji, bo nie sprzedał, a dał darmo.

Na zmianę na lepsze warunków w życiu obozowym wpływało także i inne zachowanie się blokowych i kapów. A to znów łączyło się z paczkami żywnościowymi. Byli tacy, którzy chcieli mieć fory u blokowego czy u kapa, to dawali im prezenty w postaci tłuszczu, wędlin i ciasta. Politykę tę ze szkodą dla mnie stosował Stasiek M. Okupywał się blokowemu, który terroryzował tych, którzy otrzymywali dużo paczek. Po otrzymaniu paczki z tłuszczem niósł część paczki do kapówki, a dopiero reszta była do spółki. Ja nie dałem się blokowemu złamać. Pewien wypadek, który za chwilę opiszę, zdecydował, że stałem się znany blokowemu od pierwszego dnia jego przyjścia na blok w charakterze blokowego.

Było to latem 1943 roku. Wiosną tego roku przeniesiono mnie z bloku piątego na blok trzeci. Dotychczasowy blokowy – Amelung – został tego dnia mianowany starszym obozu numer dwa. Został zastępcą Rorbachera.

Mimo że miałem z M. wszystko do spółki, w dalszym ciągu słałem jego łóżko; później robił to nam Rosjanin Jakub. Słał łóżka i wykonywał inne usługi – w zasadzie tylko M. Ja nie mogłem się przekonać do usług, za które dawało się miskę obozowej zupy dziennie i kawałek chleba. Robiłem dla siebie sam. Jakuba prosiłem tylko nieraz o jakąś przysługę, ale tylko wtedy, gdy sam nie mogłem albo nie miałem czasu. Nie byłem przyzwyczajony, by mi usługiwano,

i wszelkie późniejsze usługi traktowałem jako pomoc koleżeńską, a ci, którzy robili to, byli moimi kolegami. Był więc Ośka K., serdeczny kolega i przyjaciel, był Edmund Tomaszewski z Warszawy, chłop dużo starszy ode mnie, i był Henio Sadłowski z Wołomina koło Warszawy. W tym czasie dawali nam każdej niedzieli pół litra mleka na śniadanie. Głównemu nosicielowi jedzenia – Niemcowi – nie podobały się widocznie moje oczy, bo zaczął wyciągać mnie do noszenia kotłów, nie dając w zamian żadnej dolewki. Tej niedzieli też: tylko zapalili światło, gdy już złapał mnie, żebym szedł po mleko.

Wstawałem zawsze krótko przed dzwonem na wstawanie, ubierałem się i w ubraniu – bez butów tylko – kładłem się do łóżka. Gdy dzwonili, brałem się do słania łóżek – a miałem do słania dwa łóżka. Potem trzeba było zafasować jedzenie, zjeść, przynieść ranną zupę od R., umyć naczynia, a przedtem jeszcze samemu się umyć.

Może on brał mnie do noszenia dlatego właśnie, że już byłem ubrany. ze złością, ale poszedłem. Czekamy pod kuchnią, a tu mleka nie wydają. Denerwuję się, bo tam dwa łóżka rozwalone, które jeszcze trzeba posłać. Chciałem urwać się klasycznym sposobem, ale mój „opiekun" zauważył. Uderzył mnie w twarz, ja jego i stoimy dalej. On tylko pyskuje, że mi „pokaże" na bloku. Znów urwałem się. Tym razem nie zobaczył. Wpadłem na sztubę. Wszystkie łóżka posłane, tylko moje i M. rozwalone. Ledwo zacząłem słać, gdy otrzymałem od tyłu uderzenie w pysk, „opiekun" mój szarpnął mnie, by biciem zapędzić mnie pod kuchnię. Ale był to już inny czas. Wtedy już tak łatwo nie dałem się bić. Gdy mnie szarpnął – strzeliłem łbem. Dopadło jeszcze dwóch Niemców… i rozpoczął się taniec. Tu przydała mi się wprawa z młodych lat na Czerniakowie. Poprzewracaliśmy stoły, stołki, łomot – i kocioł. Wypadł z kapówki Amelung i nowy blokowy.

– Co jest? – pytają.

Stoimy przed nimi w czterech, trzech pobitych, a ja zmęczony.

– Nie chciał iść do kuchni po jedzenie – mówi mój „opiekun".

– Tak? – pyta mnie Amelung,

– Tak – odpowiedziałem.

Nowy blokowy nic się nie odzywał. Amelung zawołał mnie do kapówki i wyjmując z szafki bykowiec, wymyślał mi od najgorszych. Amelung był jednym z trzech bijaków, którzy wykonywali oficjalne wyroki bicia na koźle, a więc w biciu miał dobrą wprawę.

– Nachyl się! – rozkazał.

Nachyliłem się. On lał. Ja liczyłem – i wszystko odbywało się zupełnie normalnie i prawidłowo. Gdy liczyłem, to jeszcze pomyślałem sobie, że Amelung to szczeniak przy Klugem. Tamten to bił!

Wlał mi dwadzieścia uderzeń. Nie przeciął mi tyłka, tylko długi czas był on fioletowy. Gdy mi już wbił całą porcję, wrzasnął, żebym wyszedł z kapówki. Gdy już wychodziłem, zatrzymałem się przy drzwiach z ręką na klamce, wolno obejrzałem się i zmierzyłem Amelunga wściekłym i nienawistnym wzrokiem. Nie zdążyłem zamknąć drzwi za sobą, gdy otrzymałem okropne uderzenie w głowę. Prysnąłem do przodu – bęc! – drugie uderzenie. Jak najszybciej wzdłuż sztuby. Były jeszcze dalsze uderzenia. Nie wiem, czy dostałem razem pięć czy sześć uderzeń, bo nie wiem, co się w ogóle ze mną działo. Byłem półprzytomny do następnego dnia. Siedziałem między łóżkami i cały dzień jęczałem. Widziałem, że coś mi miga przed oczami, lecz wszystko było zamazane i niczego nie rozróżniałem. Słyszałem, że ktoś do mnie mówi, ale nie wiedziałem, kto i co. Wszystko tak jak przez sen, jakbym to nie ja był. Karmili mnie, a wieczorem rozebrali i położyli do łóżka. Rano wstałem już zupełnie przytomny, tylko głowa i dupa były jakby obce. Obie zbite. Tyłek fioletowy, a na głowie miałem pręgi grubości palca. Głowa była zbolała i… pusta. Dobrze, że dostałem to bicie w niedzielę, bo gdyby trafiło na dzień roboczy, to mogliby mi dołożyć w pracy za to, że nie pracuję. A że byłem prawie nieprzytomny, to kto wie, czy Amelung nie utopiłby mnie w beczce, gdybym został na bloku. Po wyzwoleniu więźniowie utopili Amelunga w korycie w umywalni. On topił – i jego utopili.

W ten sposób wpadłem w oko blokowemu od pierwszego dnia jego urzędowania na bloku trzecim. Był to Willi Regnart, wybitnie bandycki typ. Wielkie, wypukłe czoło, kwadratowa szczęka, a uszy odstające i prawie takie wielkie jak dłonie. Prześladował tych

więźniów, którzy dostawali dużo paczek i którym dobrze się powodziło.

Żeby mieć spokój na blokach, ci, co otrzymywali paczki, dawali po kawałku różnych dobrych produktów, które wkładano do miski i później jeden odnosił do kapówki. Inni opłacali się na własną rękę, żeby mieć specjalne u niego ulgi. do szczególnie prześladowanych na sztubie należał Stasiek M., Mietek Senda z Suwałk i ja. Różnica polegała na tym, że tamtych złamał, a ja złamać się nie dałem i nie nosiłem mu nic osobiście i nie dawałem nic do miski. do miski bym dawał, gdyby mnie blokowy nie prześladował, a że prześladował, to było mi już wszystko jedno. Dam do miski czy nie dam – i tak będzie mnie prześladował.

Blokowy wiedział, kto ma paczki, bo pisarz miał codziennie wykaz i wieczorem zawiadamiał, kto ma iść po paczkę. Doszło do tego, że ile razy spotkałem się z blokowym, tyle razy dostałem po pysku. A bił on w skronie w ten sposób, że uderzał i uderzając, ocierał pięścią. Po takim uderzeniu robiło się ciemno w oczach. Wchodziłem i wychodziłem oknem. Noga w oknie – to wiedzieli, że Grzesiuk wraca na sztubę. Wszyscy patrzyli, co z tego wyniknie.

Wchodzę raz z paczką drzwiami – później podawałem przez okno – blokowy złapał mnie przy drzwiach i pyta, co dostałem w paczce.

– Chleb – odpowiadam.

– Chodź, pokaż – i ciągnie mnie do kapówki.

Szarpnąłem się i poszedłem do swego łóżka. Następnego dnia natłukł mnie za tę paczkę.

Blok trzeci był blokiem półprominenckim. Było w nim mniej łóżek jak w innych blokach, stały stoły, stołki i szafki, po jednej na trzech–czterech więźniów. W niedzielę było obowiązkowe mycie i czyszczenie szafek. Każdej niedzieli czyścił inny lokator. Tej niedzieli ja miałem oczyścić, a że mi się nie chciało, dałem jednemu porcję chleba, żeby za mnie wyczyścił, a sam wyszedłem z bloku – przez okno – i wróciłem przez okno. Ale zachciało mi się znów wyjść, drzwiami, tak jak normalnie chodzą ludzie. Gdy byłem już przy drzwiach, z kapówki wyszedł blokowy. Zobaczył mnie i od razu zapytał, czy szafka już oczyszczona.

– Tak – mówię – chodź, zobaczysz. – I wracam do szafki, ale nie miałem pojęcia, czy już jest wyczyszczona. Nie sprawdzałem. Teraz dostanę, jak szafka będzie brudna.

Otwieram – czysta. Jeszcze mokra po szorowaniu.

– No, dobrze – mówi blokowy i uderzył mnie dwa razy w twarz. Pewnie tak na wszelki wypadek, żebym wiedział, że się spotkaliśmy.

Zabrakło w obozie tytoniu i papierosów. Mieli przeważnie ci, którym tytoń i papierosy przysyłali w paczkach. Blokowy nasz wołał do kapówki codziennie innego dobrze sytuowanego więźnia, wręczał blaszane pudełko i prosił o tytoń. Taki więzień stawał na głowie, żeby postarać się o tytoń, żeby nie narazić się blokowemu. Kupował, pożyczał i dawał blokowemu, uśmiechając się „serdecznie", że wolno mu było zrobić blokowemu taką przyjemność. Dostał pudełko Mietek Senda – przyniósł. Dostał Stasiek M. – dał tytoń. Mówiłem mu, żeby nie dawał. Bał się. Powiedział, że woli dać i mieć spokój.

Po kilku dniach, gdy widocznie już go dobrze przyparło, kazał zawołać mnie.

– Grzesiuk, blokowy cię woła! – zawołał jeden z jego pomagierów.

Wszedłem do kapówki. Blokowy z uśmiechem podał mi pudełko od tytoniu ze słowami:

– Twój blokowy nie ma co palić.

– Ja też – odpowiedziałem, biorąc w rękę pudełko.

Cały wieczór kręciłem się po obozie, załatwiając różne sprawy, i do bloku wróciłem już po pierwszym dzwonku.

– Blokowy już się kilka razy o ciebie pytał – mówią mi koledzy.

Prawda, przypomniałem sobie, mam jego puste pudełko od tytoniu. Wszedłem do kapówki i teraz ja z uśmiechem podałem mu pudełko. On z takim samym uśmiechem przyjął, potrząsnął, a gdy już spostrzegł, że pudełko jest puste, widziałem, jak się mu zmieniał wyraz twarzy – z uprzejmego na wściekły. Posłał mi kilka dosadnych słów ostrzeżenia i pogróżek, a za dwa dni już mi koncertowo obił mordę. I znów naruszył mi nos, który złamali mi w 1941 roku. Już mu nie dali się zrosnąć – i trzeszczy jeszcze teraz, jeśli nim poruszę.

Z tego powodu, że grałem i śpiewałem, blokowy nazywał mnie tak jakoś „betel zingen" czy „bettle zingen" – co znaczyło dosłownie: „żebraczy śpiewak". Zawsze gdy zwracał się do mnie, nazywał mnie

pogardliwie tym mianem, a jak się spotkaliśmy, to musiałem koniecznie dostać od niego kilka razy w mordę.

Pewnego razu wydawano w bloku papierosy na kantynę. Wydawano w kapówce – po sto sześćdziesiąt papierosów ustnikowych „Biala". Przy stole siedział pisarz blokowy, który wydawał papierosy, a po jego bokach z jednej strony blokowy, z drugiej sztubowy sztuby B (ja byłem na sztubie A) i równocześnie oberkapo kamieniarzy z Kastenhoffen – Szymel go nazywali – jąkaty. Każdy, kto otrzymał papierosy – a były one w paczkach po dwadzieścia sztuk – oddawał jedną paczkę blokowemu, drugą pisarzowi, trzecią oberkapowi. Przecież oni chcieli też palić i za papierosy kupować inne rzeczy, a kantyny nie mieli, bo im nikt pieniędzy nie przysyłał. na każdego, kto brał papierosy, patrzyli tak, że odchodziła go chęć zabrania wszystkich papierosów. Wzrok ich mówił: jak nie dasz, to żegnaj się z życiem.

Wszedłem i ja, zabrałem swoje sto sześćdziesiąt papierosów, w tył zwrot i wychodzę.

– Ty gówno polskie! – wysyczał za mną blokowy, a Szymel, jąkając się, dorzucił:

– Uważaj, ty Sztrasburger!

Wykręciłem się i sprostowałem:

– Ja jestem Grzesiuk, a nie Sztrasburger.

Sztrasburger Józio to kamieniarz z naszej sztuby, którego Szymel stale mylił ze mną, mimo że nie był on wcale do mnie podobny. Sprostowałem, żeby przypadkiem Józio nie dostał bicia, które w tym momencie zostało dla mnie przeznaczone.

Myślę, że do gorszej jeszcze wściekłości doprowadziło ich moje dalsze zachowanie. Drzwi od kapówki były otwarte, a za drzwiami stała kupa muzułmanów czekających, aż ktoś znajomy albo litościwy poczęstuje ich papierosem. Stanąłem w drzwiach tak, że ci z kapówki widzieli wszystko, i rozdałem wszystkie papierosy. Paczka na czterech. Gdy dałem drugą paczkę – zakotłowało się. Wszyscy naparli na mnie, żeby być wśród tych, którzy dostaną papierosy. Zarabiałem graniem, to na tych papierosach mi nie zależało. Mogłem je dać swoim kolegom, ale zrobiłem to manifestacyjnie, żeby widzieli, że nie zależało mi na papierosach. A im nie dałem, bo nie

lubię niczego robić pod przymusem. Blokowy bił mnie i bić będzie dalej.

Na bicie nie czekałem długo. Następnego dnia wieczorem, zaraz po pierwszym dzwonku, wyskoczyłem z ustępu i miałem zamiar jak zwykle wejść do bloku oknem – ale nie wyszło. Przed wejściem czekali na mnie blokowy i oberkapo. Bez słowa rozpoczęli taniec. Zbili mnie wtedy solidnie. Rozbili nos, usta, posiniaczyli, pokrwawili – i na sztubę wszedłem… zadowolony, że jednak cholera ich bierze, że nie mogą mnie złamać. Nie mieli ważnego powodu do takiego bicia, żeby mnie utłuc i odebrać zdrowie. Ale wreszcie taki powód znalazł się i tylko interwencji starszego obozu, Rorbachera, zawdzięczam, że wylazłem cało z tej opresji.

Każdej niedzieli brano kamieniarzy – jak zwykle – do pracy. Urywałem się od razu po apelu. Tej niedzieli takich mądrych jak ja było dużo więcej. Gdy z szuhausu zawołali o pewną ilość ludzi do pracy, okazało się, że znalazło się zaledwie kilkunastu, i to takich, którzy nigdy nie chodzili do roboty – tych lepszych. Zwołano zbiórkę bloku trzeciego. Znów zebrało się trochę, ale wciąż jeszcze było za mało. Wtedy esesman – ze złości – zwołał zbiórkę całego bloku trzeciego i mieli wszyscy wyjść do pracy. Wtedy w sprawę wkroczył Rorbacher. Wyszedł na plac apelowy i zawołał do esesmana, że blok trzeci ma kąpiel i dopiero powoli wraca i ubiera się; sam zwołał zbiórkę wszystkich blokowych i kapów i kazał po całym obozie szukać ludzi z bloku trzeciego. Ja schowałem się u Adama Kwiatkowskiego na bloku dwunastym. Kapowie szukali wszędzie. Sprawdzali numerki bloków i chłopaki wyłazili już wtedy sami, bo widzieli, że coś jest nie bardzo dobrze.

Położyłem się na łóżko Adama, które było w końcu sztuby, wcisnąłem się pod samą ścianę, przykryłem kocem, a chłopaki zasłonili mnie, siadając na krawędzi łóżka. Wpadł tam jakiś kapo, zapytał, czy nie ma tu kogo z trzeciego bloku, i poszedł. Wylazłem i ja z łóżka. Tyłek będzie pełny, pomyślałem sobie, jak mnie złapią. Zdjąłem z siebie gruby sweter, kamizelkę i wsadziłem na tyłek jak majtki, żeby było grubiej. Gdy przyszła pora apelu, zakręciłem się na placu apelowym, żeby po cichu dołączyć do bloku. Jak na złość wszyscy już stali, a nasi kamieniarze jeszcze nie przyszli z pracy.

W miejscu naszego bloku stało tylko kilkanaście osób: blokowy, sztubowi, kapowie i kilku arystokratów. Gdy weszli ludzie z naszego bloku, blokowi i kapowie otoczyli ich, żeby nikt do nich nie podszedł. W ten sposób złapali mnie i pięciu innych. Sześciu z nas nie znaleźli, a Rorbacher dołączył sześciu innych, przypadkowo złapanych, żeby tylko ilość się zgadzała. Blokowy, gdy mnie zobaczył, powiedział tylko: – A ty jak zwykle! – i nawet mnie nie uderzył.

Po skończonym apelu zaprowadzono nas przed blok, odłączono od reszty; wynieśli z sieni „urzędowy" kozioł do bicia, a blokowy i Szymel już kręcili się zadowoleni, z bykowcami w rękach. No, ci mi teraz dadzą, pomyślałem i ciarki mi przeszły po plecach. W tym momencie przyszedł Rorbacher. Sapnął kilka razy – a był on solidnej tuszy.

– Co to jest? – pyta blokowego, pokazuje kozioł i bykowce.

Blokowy z zacietrzewieniem mówi mu, pokazując na nas, że musi nam wlać za to, że urwaliśmy się od roboty.

– Ty ich bił nie będziesz – mówi Rorbacher. – Oni należą do mnie i ja ich będę karał.

Kochany „Wujo" wyznaczył nam za karę tydzień blokszpery – to znaczy, że przez tydzień nie wolno nam po pracy wychodzić z bloku, tylko do ustępu wolno było wyjść po zameldowaniu kapowi sprzątaczy.

Tego dnia mieliśmy grać w bloku dwunastym. Chłopaki kręcili się, jak wyzwolić mnie z aresztu blokowego. Namówili swojego sztubowego, który był szwagrem Rorbachera, żeby się za mną ujął. Tamten znów prosił, molestował, ale Rorbacher był tego dnia nieustępliwy. Następnego dnia po pracy przyszedł Karl na nasz blok. Opadliśmy go wszyscy i prosiliśmy, żeby nam darował karę, że to się więcej nie powtórzy itd., itd. Karl fuknął kilka razy – i karę darował. Kochany, kochany chłop był nasz „Wujo". Gdzie on się zjawił, tam nie mogło być żadnej krzywdy.

Na sztubie naszej był niejaki Janczak, który zawsze kręcił się za miską zupy, ale nic za to nie chciał robić. Gdyby chciał chociaż przypilnować komuś gratów i posłać łóżko, to byli tacy, którzy by żywili go za te niewielkie usługi. Ale on nic nie chciał robić. Był to starszy już facet, który przemierzył całą Amerykę Południową

i często opowiadał nam różne historie ze swych wędrówek. Jednym słowem: tramp. Stanąłem w szeregu po kolacyjną kawę. Nagle z impetem otwierają się drzwi, wypada z nich Janczak i pędzi tyłem w moim kierunku, wprawiony w ten ruch uderzeniem pięści blokowego. Zły był, bo poprzedniego dnia dostał za mało z paczek. Bił każdego, kto chciał wyjść z bloku, i każdego, kto wracał, **nawet tych z paczkami, chociaż oni nie wiedzieli, że blokowy bije, i wchodzili normalnie drzwiami...** Janczak potoczył się, zatrzymał się przy mnie i stanął spokojnie przede mną. za Janczakiem wsunął się blokowy ze swoim wielkim łbem i uszami. Stanął przed Janczakiem i wolno bił go tym swoim uderzeniem w skroń, mówiąc jednocześnie:

– Ty amerykański trampie, co ci się zdaje, że jesteś w Ameryce na stepach? Tu są Niemcy. Tu jest kultura.

Stałem w miejscu, czując, że i mnie za chwilę zacznie tą samą metodą zaszczepiać kulturę niemiecką, ale chyba mnie nie zauważył, bo nie do pomyślenia byłoby, żeby mnie też przy okazji nie pomacał pięścią.

Po biciu, jakie otrzymałem za to, że nie dałem mu papierosów, przeniosłem się z łóżkiem na drugą stronę sztuby – pod okno. od tej strony mogłem spokojnie wchodzić i wychodzić oknem, a w razie potrzeby nawet uciekać, bo okno wychodziło na blok drugi, a wejście do naszego bloku było od strony bloku czwartego. M. też po kilku dniach przeniósł się do tego samego ganku. Namawiał mnie, żebym „poczęstował" blokowego pół kilogramem tłuszczu, setką dobrych papierosów, a przestanie mnie prześladować. Nie zgodziłem się. Gdybym mu dał, to miałbym spokój tak długo, jak długo jadłby mój tłuszcz i palił moje papierosy. Później znów zbiłby mnie bez powodu, żeby dać do zrozumienia, że znów potrzebuje. Wolałem nie dawać. Żeby nawet się wściekł, żeby miał bić mnie każdego dnia, uparłem się, że nic ode mnie nie dostanie. Cholerę w bok – a nie tłuszcz i papierosy.

Pewnego dnia zachciało mi się wyjść z bloku jak człowiek – drzwiami. Gdy już byłem blisko drzwi, z kapówki wyszedł blokowy. Stanąłem w miejscu, przy ostatnim łóżku, i już nie idę dalej, bo dostanę w mordę. Blokowy zwrócił się do wszystkich z pytaniem, czy jest wśród nas murarz. Chodziło o obmurowanie w sieni

pomieszczenia na piasek, który tam był na wypadek pożaru. Nikt się nie zgłosił. Blokowy zapytał jednego, jaki jest jego zawód.

– Profesor – odpowiedział.

– A twój zawód? – pyta drugiego.

– Urzędnik.

Zobaczył mnie i ruszył do mnie nachylony, z wyciągniętym w moim kierunku palcem.

– O, żebraczy śpiewak! A jaki jest twój zawód?

– Ja nie mam wcale zawodu – odpowiedziałem mu spokojnie po niemiecku, mimo że już czuję prawie, jak bije mnie w skroń.

– To jak ty żyłeś? – pyta znów.

– Raz tak, raz tak – powiedziałem, wykonując jedną i drugą ręką ruch do tyłu, co zawsze oznacza kradzież – i jakoś szło. Złodziejem byłem – dodałem.

– To daj łapę! – zawołał uradowany. – Ja tak samo żyłem!

I co ciekawe – od tej chwili całkowicie przestał mnie prześladować. Raz tylko jeszcze zerwał mnie i Mietka Sendę w nocy do roboty. Chodziło o wyładowanie z wagonów kolejowych maszyn fabrycznych, które przywiezione zostały ze zbombardowanych zakładów Steyra – w mieście o tej samej nazwie, które było oddalone od Gusen podobno o czterdzieści kilometrów. do roboty wyszli wtedy wszyscy blokowi i po dwóch ludzi z bloku. Tych dwóch ludzi z naszego bloku to właśnie Senda i ja. Blokowy był dla nas jak kolega. Sam robił więcej jak my. Padał wtedy deszcz ze śniegiem. Ludzie podzieleni zostali na dwie grupy. Jedni wypychali maszyny z wagonów za drzwi, inni przywiązywali liny i odciągali je dalej po długich płaskich blachach. Jedne wagony były kryte, inne znów odkryte platformy. A deszcz ze śniegiem padał całą noc. Blokowy nasz wygnał kilku więźniów z jednego krytego wagonu i zajął go dla siebie i dla nas. Gdy tylko wyszliśmy z bloku, kazał nam pilnować się jego. W wagonie kazał nam czekać, a sam wyszedł i po kilku minutach wrócił, niosąc lewar samochodowy. Tym lewarem wypychaliśmy maszyny z wagonu. Blokowy kazał nam oszczędzać robotę, bo w wagonie było tylko pięć maszyn, oszczędzać po to, żebyśmy nie musieli do rana wychodzić z krytego wagonu. W nocy zrobił przerwę na posiłek. Wyjęliśmy jedzenie. Blokowy częstował nas – my jego.

Częstował papierosami – my też. Po wypchnięciu na zewnątrz wszystkich maszyn zamknęliśmy się w wagonie i rozmawiając, doczekaliśmy do zbiórki. Gdzie mogłem wykręcić jaką część maszyny, to wykręcałem i wyrzucałem na drugą stronę rampy. Gdy pracowałem w warsztatach Steyra, to z maszyn stojących na dworze wykręcaliśmy różne części, które wyrzucaliśmy albo niszczyliśmy. Wielu wybijało brązowe panewki, z których robiono pierścionki i inną sztuczną „biżuterię".

Przed odejściem blokowy zabrał nas do hali produkcyjnej i postarał się o duże blaszane pudło z gorącą wodą, polewał nam ręce, my jemu polewaliśmy. Hallajter przyniósł nam ręcznik, którym wszyscy trzej wytarliśmy ręce, i przyszliśmy do obozu.

Blokowy kazał nam iść spać, mówiąc, że sam już powie pisarzowi, że my dzisiaj do roboty nie pójdziemy. Jak robiliśmy w nocy, to nie będziemy robili w dzień.

Od tego dnia blokowy więcej nigdy nie czepiał się mnie, nie uderzył, a nawet poprosił, aby pograć kiedy na naszym bloku, twierdząc, że on należy do tych biednych blokowych, którzy nie mają czym płacić, więc nie możemy spodziewać się dużego zarobku. Chłopaki przyszli grać darmo, tak jak darmo graliśmy na tych blokach, gdzie mieszkaliśmy.

Długi czas mieszkałem razem z Adamem Kwiatkowskim, Cześkiem Palaczem i Zygmuntem Piwowarczykiem, a przy nas do pilnowania gratów był Mundzio Tomaszewski – „Wujo Patyk". Łabuś i Maciek Dobrzyński mieszkali na innym bloku. Na ostatnie kilka miesięcy na skutek tarć z blokowym przeniosłem się na blok A i tam też sprowadziłem Kolę Kokina. W ten sposób członkowie zespołu mieszkali na trzech blokach, na których graliśmy bezinteresownie, żeby chłopaki byli znani na swych blokach, a takie bezinteresowne granie zobowiązywało władze blokowe do innego, lepszego traktowania nas. To, że lepiej byliśmy traktowani, widać było wszędzie. U siebie w bloku robiliśmy, co chcieliśmy, i nikt nas się nie czepiał. Mogliśmy w zimie na piecu w sztubie gotować i smażyć sobie specjalne jedzenie (blokowy też był częstowany). Przy zmianie bielizny dostawaliśmy lepszą bieliznę dla siebie i moich podopiecznych, nawet z innych bloków. W bloku nikt do niczego nam

się nie wtrącał. Wynikało to również z korzyści, które z nas miał blokowy – miał często lepsze żarcie, ubranie, a nieraz przyniosłem wódkę albo podarowałem coś z cywilnej bielizny lub ubrania, które mógł przez swoich zaufanych ludzi wymienić na wolności na wódkę albo na coś innego, czego nie było w obozie.

Pisałem już kilka razy o cywilnych ubraniach, więc muszę powiedzieć, jak my do nich dochodziliśmy. Janusz Zakulski był kierownikiem magazynu odzieżowego i bieliźnianego dla więźniów, który mieścił się w obozie mieszkalnym w blokach dwudziestym piątym i dwudziestym szóstym. W bloku dwudziestym szóstym pracowali też szewcy i krawcy. Magazyn miał dwa pokoje ustawione w amfiladzie. W pierwszym urzędował esesman, szef magazynu, w drugim były cywilne ubrania. Żeby dostać się do ubrań cywilnych, trzeba było przejść przez pokój szefa. Gdy esesman dawał partię ubrań do krawców – żeby wszyć pasiaste okna na plecach i nogawkach – podmieniało się je, kładąc ubrania z oknami, a cywilne chowało się między stare łachy. Później ubrania te wyprowadzano i szły do swego przeznaczenia.

Janusz miał lepszy, choć bardziej ryzykowny sposób. Dorobiliśmy według wszelkich złodziejskich metod klucze od pokoju SS i magazynu cywilnych ubrań. od magazynu Janusza klucz posiadał tylko on i szef.

Gdy szykowaliśmy się coś „zorganizować", to gdy był alarm lotniczy, nie uciekałem do tunelu, lecz do Janusza. Esesman musiał uciekać do swoich schronów SS. Nie wolno mu było pozostawać w obozie w czasie alarmu i nie mógł w żadnym przypadku wejść do obozu w czasie alarmu. Alarmy trwały po dwie–trzy godziny, więc mieliśmy dosyć czasu, by otworzyć sobie magazyn i wyszukać to, co nam było potrzebne do handlu: jakieś futerko, kurtkę, kompletny garnitur, jedwabne piżamy i bieliznę. Braliśmy ze środka ze względu na to, że esesman mógł zwracać specjalną uwagę na to, co ma na wierzchu. Zdejmowaliśmy warstwę ubrań i dopiero dalsze przerzucaliśmy. Wybrane rzeczy chowaliśmy w środek, między stare ubrania i bieliznę, całą uwagę zwracając na zapamiętanie, gdzie i co mamy schowane. Tu już ja tylko odgrywałem rolę, bo Janusz nie miał do

tego pamięci i gdy sam coś schował, to pamiętał – co, tylko nie pamiętał gdzie, aż dopiero po jakimś czasie znalazł przypadkowo.

Blokowego naszego przenieśli w 1944 roku do Gusen II, ale było to już po moim przejściu na blok trzynasty, w którym mieszkali ludzie pracujący w tunelach. Zabili go więźniowie w dniu wyzwolenia. Krótko przed moim odejściem z bloku trzeciego miały miejsce dwa wypadki z naszym blokowym.

Po pierwszym dzwonku słyszeliśmy, jak on gonił kogoś. Krzyczał: Stój! – uderzenie i tupot. Po kilku minutach wpadł na blok blokowy bloku dwudziestego czwartego – Ernst, w koszuli i w kalesonach. Złapał za ubranie naszego blokowego, który jeszcze był na sztubie, trząchnął nim i niewiele brakowało, żeby go pobił. Przeszkodzili kapowie, którzy wypadli z kapówki i rozdzielili ich. Ernst wymyślał o to, że blokowy uderzył chłopaka z jego bloku. Ernst był sympatykiem Polaków. na jego bloku mieszkali młodociani, którymi on się opiekował. Był to przyjaciel Janusza Zakulskiego. Stanął on w obronie Janusza w 1941 roku i zadarł ze starszym obozu, Bekerem. Beker zemścił się na nim w ten sposób, że wydał go, gdy ten był trochę po wódce. Ernst był wtedy pisarzem obozowym. za picie wódki wisiał trzy godziny za ręce i został przydzielony do karnej kompanii. W tym czasie, gdy wykańczali karną kompanię, Ernst zachorował na tyfus. Leczyli go w rewirze, a Janusz, który w tym czasie pracował w kancelarii obozowej, starał się o cytryny, pomarańcze, żywność i nosił mu to na rewir. Po wyjściu z rewiru Ernst powiedział, że nie ma już dla niego kolegów Niemców. Jego koledzy i przyjaciele to Polacy. Zabił on kilku ludzi – ale tylko Niemców. Był on bardzo silny. Podobno był bokserem i zapaśnikiem.

Gdy w 1945 roku brali Niemców do wojska, Ernst pokroił sobie lewą rękę brzytwą, czymś posypał i ręka mu się paskudziła. Nie chciał iść do wojska. Ernst był więźniem politycznym – z czerwonym winklem. Gdy potrzebowałem chleba lub margaryny, a Janusz nie miał, posyłał mnie do Ernsta i ten dawał, ile mógł. Pozostał on do końca przyjacielem Janusza, a po wyzwoleniu był jednym z nielicznych blokowych, którzy pozostali przy życiu. Innych – bandytów – więźniowie wytłukli.

W awanturze z naszym blokowym, o której wspomniałem, gdy Ernst już wychodził, blokowy krzyknął za nim:

– Zobaczymy, jak ty wyjdziesz ze swoimi Polakami!

– Na pewno lepiej niż ty! – odpowiedział Ernst. I faktycznie: Ernst przeżył, naszego blokowego zabili.

Chyba w dwa dni później, w nocy, posłyszeliśmy, że kogoś biją i kopią pod naszymi oknami, i głos naszego blokowego:

– Darujcie życie, nie zabijajcie!

Kto go chciał zabić i za co – nie dowiedzieliśmy się nigdy. Wiemy tylko, że był to samosąd, bo bijącymi byli blokowi innych bloków. Następne dwa dni blokowy nie pokazywał się wcale. Wychodził tylko na apele, pobity i posiniaczony, ledwie trzymał się na nogach.

Przed odesłaniem mnie do pracy w tunelach widziałem jeszcze, jak blokowy bił jednego z moich znajomych, który też mieszkał na naszej sztubie, Mietka Kowalewskiego – handlarza i kanciarza obozowego. Nigdy nic nikomu darmo nie dał. Twierdził, że nie warto ludziom nic dawać i nie warto dla ludzi być życzliwym, bo wszyscy ludzie to dranie. Jak będzie miał w kieszeni, to mu przyjaciele niepotrzebni. Jeśli mi w pracy zabrakło papierosów i przed końcem pracy pożyczyłem od niego papierosa, to w obozie musiałem mu oddać dwa – sto procent zysku – inaczej nie pożyczył. Kiedyś zapytałem go, czy nigdy nie zastanawiał się, dlaczego wszyscy ludzie to dranie.

– A może to ty jesteś tylko draniem i dlatego ludzie unikają ciebie, co? Popatrz na nas – mówiąc to, pokazałem na kolegów, przy których toczyła się rozmowa. – Każdy z nas ma wielu przyjaciół. Żyjemy, ludzie pomogą załatwić nam wiele spraw, które potrzebujemy załatwić – ale i my też w stosunku do innych jesteśmy życzliwi. A tobie ludzie odpłacają tylko tym, czego mogą spodziewać się od ciebie.

Blokowy chciał od niego coś do palenia i zrobił swoją zwykłą sztuczkę z pudełkiem do tytoniu. Ale nie dał mu pudełka sam, tylko podał przez jednego ze swoich ludzi. Kowalewski nie chciał pudełka, a gdy powiedziano mu, że to dla blokowego, powiedział ze złością, żeby go blokowy w dupę pocałował. Nie wiem, jaki blokowy znalazł powód, żeby go bić, bo jak wszedłem do sztuby, to odbywała się już

egzekucja – ku ogólnej radości chyba całej sztuby. Blokowy z bykowcem w ręku, Kowalewski nachylony, a blokowy bił i cieszył się, że takiej dupy jeszcze nigdy nie bił. Radość wszystkim sprawiało to, że Kowalewski po każdym uderzeniu prostował się, łapał się rękami za tyłek, podskakiwał jak małpa na drucie, wydając przy tym jakieś śmieszne piski. Blokowy wołał go znów bliżej, stukaniem bykowcem po plecach i głowie zapraszał do nachylenia się, bez przerwy zachwycając się jego tyłkiem. A był to faktycznie potężny tyłek, bo Kowalewski był niedużego wzrostu, krępy, z wielkim tyłkiem. Gdyby wytrzymał kilkanaście uderzeń bez krzyku, toby go blokowy tak długo nie bił, ale on wytrzymywał trzy–cztery uderzenia i znów uciekał z piskiem i w podrygach. Zauważyłem, że nikt mu nie współczuł, a wszyscy z blokowym na czele bawili się tą sceną.

W 1945 roku wysłano kamieniarzy do Linzu, żeby reperowali zbombardowane tory kolejowe. Byli tam dwa tygodnie i wrócili brudni, głodni i zawszeni. Zaproponowałem Stachowi Kornackiemu, że postaram się o przeniesienie go do warsztatów Steyra. Odmówił, motywując, że przyzwyczaił się do pracy kamieniarskiej, bo pracuje przy niej od 1940 roku, i już chce przy niej wytrwać do końca.

Po dwóch tygodniach, gdy znów mieli ich wysłać, przyszedł on do mnie dzień przed wyjazdem i prosił, żeby spowodować przeniesienie, bo coś tym razem boi się jechać. Ruszyłem w kurs – i chociaż było to na dzień przed wyjazdem, od dnia następnego Kornacki poszedł pracować do Steyra, w końcowej kontroli. Praca lekka, siedząca. Był ze zmiany bardzo zadowolony. za przeniesienie go dałem płaszcz cywilny, gabardynowy.

Tego samego dnia przyszedł do mnie jeden kolega i w imieniu Mietka Kowalewskiego prosił, żeby go przenieść do Steyra – on sam boi się rozmawiać ze mną, ale za przeniesienie daje mi pięćset papierosów.

– Powiedz mu, że gdyby dawał nawet pięć tysięcy papierosów, to też nie załatwię. Ja robię tylko dla kolegów i dobrych ludzi – wtedy sam jeszcze płacę, a on niech szuka takiego, który mu załatwi za papierosy.

Gdy w roku 1944 zamknięto całkowicie Górny Kamieniołom, zaczepił mnie Franek Zawadzki z Warszawy, który pracował u góry

jako minier przy rozsadzaniu kamieni. Znaliśmy się tylko z widzenia, bo on był też więźniem od 1940 roku – a w 1944 roku niewielu już takich żyło i znaliśmy się przynajmniej z widzenia. Zwrócił się do mnie jako do starego więźnia z prośbą o pomoc, bo po tylu latach pobytu w obozie trafił do najgorszej roboty, pod tak zwaną ścianę, gdzie ładowało się kamienie do młyna.

W obozie obowiązywała zasada: „Szanuj starego więźnia". Wystarczyło mi, że zwraca się do mnie o pomoc stary więzień, żeby mu pomóc w miarę swoich możliwości. Załatwiłem tak, że przeniesiono go do Steyra i zrobiono kontrolerem w hali trzynastej. Chodził od maszyny do maszyny i sprawdzianami kontrolował robione części. Zapłaciłem za to przeniesienie, ale załatwiłem.

Zasady „Szanuj starego więźnia" przestrzegali wszyscy starzy więźniowie wszystkich narodowości, kapowie, blokowi i funkcyjni i niejeden raz dostał bicie taki, który silny, świeży i wyżarty – bo dopiero od kilku dni w obozie – bez powodu uderzył albo w inny sposób skrzywdził starego więźnia. Przeważnie dostawał tak, że już na zawsze odechciało się mu krzywdzić starego więźnia. Niewielu już było nas i tyle przeżyliśmy, że była to wprost profanacja, gdy taki, który dopiero przyszedł do obozu, w rajskie warunki w porównaniu z okresem do 1943 roku, brał się do bicia.

W 1943 roku przypadkowo wpadłem do niedzielnej roboty, złapany między barakami przez esesmana. Stanąłem przy łopacie.

Przechodzący nieznany mi kapo spojrzał na mój numer i zapytał, co ja tu robię.

– Złapali mnie – odpowiedziałem.

Zabrał mnie ze sobą i kazał siedzieć przy skrzyniach z łopatami. Niby miałem ich pilnować.

– Ty już dosyć się napracowałeś – powiedział. – Teraz niech inni popracują trochę, ci nowi.

W październiku 1944 roku w niedzielę wpadł do bloku Adam Kwiatkowski i pyta, czy nie mam trochę chleba, bo spotkał na placu apelowym kolegę z wolności. Przyjechał wozem z Gusen II do naszej kuchni po jedzenie – w Gusen II jeszcze nie mieli swojej kuchni. Prosił też o jakieś buty, bo – mówi Adam – jest boso, a tu błoto i cholernie zimno. Dałem Adamowi chleb, margarynę, cebulę i buty.

Gdy już wychodził, zdecydowałem się iść z nim. I dobrze się stało – bo chłopakowi uratowaliśmy życie.

Był to Wacek Jagodziński – obecnie mieszka w Legionowie koło Warszawy. Jagodziński dostał się do obozu po Powstaniu Warszawskim, a wyglądał już jak muzułman. Pobity i boso. Po obiad przyjechali już drugi raz. Okazało się, że przy pierwszym kursie ktoś dał pantofle, które mieli oddać Gruszce, to był starszy obozu w Gusen II. Gdy przyjechali na miejsce, okazało się, że buty zginęły. Posądzono Jagodzińskiego. Gruszka go zbił, zabrał mu buty i powiedział, że jeżeli nie znajdą się jego pantofle, to go, jak tylko wrócą, zaraz zabije. Szkoda chłopaka, pomyślałem, i to kolega Adama. Popędziłem do Janusza, Janusz dał mi kartkę do Gruszki po niemiecku, w której napisał, że Jagodziński to kolega, żeby zostawił go w spokoju, a on mu po niedzieli wyśle ładne pantofle. Dałem tę kartkę kapowi przy tym wozie, żeby oddał Gruszce, a sam zapisałem sobie numer bloku, w którym mieszkał Jagodziński.

Teraz trzeba było ratować go dalej. Załatwiłem w rewirze, żeby go przyjęli niby na biegunkę, bo inaczej nie można było przenieść z Gusen II do Gusen I. Kto przychodził do rewiru, to był na ten okres przeniesiony do Gusen I, a po wyleczeniu odsyłano go z powrotem do Gusen II. Ale wtedy przy odpowiednich znajomościach łatwiej było zostawić go w Gusen I. Gdy rewir był już umówiony, przesłałem mu przez więźniów, którzy chodzili do Gusen II, kartkę, w której powiadomiłem go, co ma robić. Gdy został już przyjęty do rewiru, załatwiałem dalej, żeby go jak najdłużej trzymali i lepiej żywili, żeby wypoczął i odżywił się trochę – a w tym czasie znów załatwiałem dla niego dobrą robotę. Ulokowałem go w kuchni – przy pomocy Kazia Bodycha. Wtedy dopiero, gdy już był w kuchni, powiedziałem mu, że musi mi przynosić z kuchni żarcie – za zgodą i zezwoleniem Kazia.

– Ty już masz dobrze – powiedziałem mu – to teraz dawaj, bo innym też trzeba pomóc. A jak wyniesiesz więcej, to możesz sam żywić, kogo tylko chcesz.

I przynosił – kartofle, cebulę suszoną i koński tłuszcz, który wygotowywano z kości. Lepsze produkty przynosił nam w mojej kombinacyjnej podwójnej puszce. Mimo zgody kapa kuchni i poparcia Bodycha wolałem, żeby wszelkie przewalanki robić przy

zachowaniu środków ostrożności. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże” – mówi boskie przysłowie. Jagodziński chodził później silny i wyżarty, nawet grał trochę w piłkę nożną w jednej z drużyn obozowych. Zawsze pamiętał, co dla niego zrobiłem.

Lepsze warunki i lepsze jedzenie wpłynęły na to, że doszedłem do formy, a to znów wpłynęło na to, że stałem się nieustępliwy. Przebojem przez życie w obozie – oto była moja zasada. Gdy byłem muzułmanem – a mimo to nie ustępowałem silniejszemu od siebie – to byłem bity, ale ci, którym nie ustępowałem, starali się raczej unikać starć ze mną, bo wiedzieli, że nie ustąpię. Teraz – gdy byłem w pełni sił – ciężej było takim, którzy się na mnie nadziali. Miałem w tym dobrą rutynę, technikę i zaprawę otrzymaną na Czerniakowie w Warszawie, toteż dawałem sobie radę z dużo silniejszymi fizycznie. Awantur w obozie nie zliczyłbym. Pamiętam tylko te ciekawsze.

W roku 1944 wyskoczyłem z ubikacji i wpadłem na jakiegoś wyżartego przechodzącego Niemca – a ten mnie od razu w pysk. Zanim się spostrzegł, już dostał łbem, że usiadł – i zaczęła się walka, która trwała chyba z pięć minut. Silny był. Dostało się i mnie, ale on dostał więcej i w rezultacie wziął nogi za pas i uciekł. Wokół utworzyło się zbiegowisko – ludzie dopingowali mnie i mówili, co mam robić. na walkę patrzyli już z punktu narodowego – Polak przeciw Niemcowi: który wygra? Po ucieczce Niemca widownia nagrodziła mnie brawami.

Kaziek Szymański z Pomorza – pracował w kuchni, a w bloku dwudziestym trzecim był kapem sprzątaczy sztuby – powiedział mi raz w sprzeczce, że jak mu wejdę na blok, to mnie uśmierci. Był silny i wysportowany. Strachów nie bałem się, więc w niedzielę przed południem poszedłem specjalnie na dwudziesty trzeci blok. Szymańskiego nie było. Przy stoliku chłopaki grali w szachy. Siedziałem pod oknem, gdy wszedł Szymański. Spojrzał, uśmiechnął się tym miłym uśmiechem, podszedł do stołu i… tak mnie gruchnął w mordę, że wpadłem na ścianę, a on błyskawicznie złapał mnie lewą ręką za gardło. Byłem na tyle szybki, że lewą ręką chwyciłem jego prawą rękę, a prawą chwyciłem go za gardło. Miał tę przewagę, że stał, a ja siedziałem na stołku, przyparty plecami do ściany, z ręką jego na gardle. Nasiliłem się i… udało mi się wstać. Wtedy

równocześnie puściłem jego rękę i gardło – lewą ręką chwyciłem za klapę marynarki i przyciągnąłem krótko do siebie, a prawą biłem bez przerwy po twarzy, aż go ogłupiłem. Gdy go puściłem, nie skoczył do mnie, a ja spokojnie wyszedłem z bloku; po wyjściu wyjąłem z górnej wargi złamany ząb, który wylazł mi na zewnątrz na wylot przez przebitą wargę – wynik pierwszego uderzenia, którym poczęstował mnie Szymański.

Wracając do siebie, spotkałem Adama, któremu opowiadam o przygodzie na dwudziestym trzecim bloku. A tu zza bloków wychodzą: Szymański pierwszy – widocznie już ochłonął po biciu – za nim kilku kapów, wśród których był Szmidt Karol, zwany w obozie Cyganem – kawał świni – oraz kilku „przyjaciół" Szymańskiego.

– Ja ci pokażę, jak się bije po warszawsku! – krzyknął Szymański i walka zaczęła się od nowa.

Tym razem nie zaskoczył mnie. On atakował, a ja broniłem się tylko. Bałem się bić, żeby ta cała sfora nie rzuciła się na mnie, ale słyszę, jak ktoś woła:

– Kaziek, łbem go! Kaziek, pokaż mu, jak się łbem bije!

Za małe jesteście na łeb, pomyślałem. Łeb to moja specjalność. Zrobiłem fałszywy ruch ręką i trafiłem łbem. Uderzenie wytrąciło go z równowagi, więc skupił całą uwagę na utrzymaniu się na nogach, a ja, uderzając dalej głową, wsadziłem go na ścianę baraku i tu dopiero upadł. Chciałem wejść na niego nogami, ale byłem w miękkich kapciach – no i w tym momencie dostałem od razu z dwóch stron od tych, którzy przyszli Szymańskiemu na pomoc. Wtedy wycofałem się i już mnie nikt nie zaczepiał.

Gdy pracowałem w tunelach, to trafiłem raz łbem faceta, który mi wlazł w drogę. Pamiętam to dlatego, że gdy po uderzeniu usiadł, to zapytał ze zdziwioną miną:

– Co, bodzies, cholero, bodzies?

Ostrzeżono mnie, żeby się schować, bo ten chłopak to „panienka" jednego kapa – dlatego był taki mocny do mnie. Wlazłem w tunelu na rusztowanie. Po kilku minutach chodził razem ze swoim „panem" kapem i szukali mnie, ale nie znaleźli.

Gdy raz jeden Ruski dostał też łbem i odgrażał mi się, że on dopiero pokaże mi, jak się bije głową – drugi, który stał przy mnie,

zapytał zdziwiony:

– Czy w Polsce też głową biją?

Gdy już się zaczęły codzienne alarmy i wpędzano nas do tunelu – często wyłączano światło. To dało mi okazję do pewnego „wyczynu". Gdy wchodziliśmy do tunelu, bili nas ze wszystkich stron, bo wejście było wąskie, a ludzi dużo. Zawsze kilku zabitych „dla przykładu" leżało przed wejściem.

Gdy raz ktoś przewrócił się w korytarzu wejściowym, to zrobiła się wielka kupa ludzi depczących po sobie. Byłem wtedy silny, to poderwałem nogi i po kupie, po ludziach przebiegłem na drugą stronę i dalej do tunelu. na wózkach stojących w tunelu stał jeden blokowy i popędzał kijem ludzi do środka, bijąc raz z jednej strony wózków, to znów z drugiej. Wtedy zgasło światło. Słychać jednak wrzask blokowego i bicie kijem po ciemku. Byłem tuż przy wózkach. Nie wytrzymałem. Przecisnąłem się schylony do wózka. Schylony, żeby nie dostać kijem w głowę. Gdy namacałem but na krawędzi wózka-wywrotki, z całych sił szarpnąłem za nogę. Wpadł między wózki, a ja w tłoku popłynąłem dalej. Okazało się, że blokowy „spadł" z wózków i złamał rękę.

Innym razem, gdy posuwaliśmy się po ciemku do przodu tunelu, gdzie nie było tak ciasno – zgasło światło. Wtedy razem z kilkoma kolegami skręciliśmy pod ścianę, żeby usiąść. Macam ręką, jest ściana, ale dołem ktoś kopnął mnie mocno i klnąc, kazał mi iść dalej. Wymyślał po niemiecku.

– Chłopaki! – krzyknąłem. – Zapalcie światło, będę bił „kasztana".

Tak niektórzy nazywali Niemców.

Zapaliły się dwie zapalniczki, przy których świetle zobaczyłem tego, który tak „grzecznie" wypraszał mnie od ściany. Złapałem za kołnierz… i dalej już wiadomo. Przy świetle dwóch zapalniczek. Gdy zgasili zapalniczki, przesunęliśmy się dalej i mieliśmy z tej przygody kupę radości, że się tak Niemiec oszukał. Żeby wiedział, że oberwie, toby na pewno nie zaczynał. „Panowie świata" – cholera. Nawet w obozie – ci, co siedzieli, też za takich się uważali. Ciekawe, że ludzi silnych, zdrowych i dobrze ubranych nie bili tak jak głodnych, słabych łachmaniarzy. Muzułmani – to dla nich już nie byli ludzie, a coś, co trzeba niszczyć jak robactwo. Gdy wpędzono nas do tunelu,

bili kijami, stojąc szpalerem po jednej i drugiej stronie wejścia. Ludzie biegli, a oni bili. Gdy ja nadchodziłem, to nie biegłem, lecz szedłem szybkim krokiem, i to nie środkiem, lecz brzegiem, przy samych bijących. Nie uderzyli mnie nigdy. Kapowie i blokowi znali mnie z orkiestry, ale esesmani nie znali. Mimo to z uniesionym kijem zaczekał, aż go minę, a uderzył dopiero następnego. Ja dla niego wtedy byłem już człowiekiem, bo byłem wyżarty i ładnie ubrany. Ci, co mieli dobrze, byli traktowani lepiej. A ci, co mieli bardzo źle, byli też źle wszędzie traktowani – byli materiałem kontyngentowym do krematorium.

W hali kamieniarskiej też od czasu do czasu oberwał ktoś. Raz jeden kamieniarz Niemiec nie chciał mi dać belki do podłożenia pod kamień, mimo że miał ich kilka opartych o ścianę i były mu w tym czasie niepotrzebne. Nikt nie śmiał zabrać Niemcowi – ja zabrałem. Gdy obydwaj trzymaliśmy belkę, on sam przypomniał mi, mówiąc z charakterystycznym, choć nieumiejętnym w jego wykonaniu ruchem głowy:

– A może mnie uderzysz głową?

Ledwie dokończył – już dostał, i właśnie głową. Zabrałem belkę, a po kilku minutach kapo zbił mi mordę za to, że uderzyłem Niemca.

Do 1943 roku za taką „zbrodnię" zabijano, w 1943 mogłem sobie na to pozwolić kosztem obicia po twarzy, a w 1944–1945 już mogłem używać na Niemcach bezkarnie.

Koledzy tak mnie z tego bicia głową znali, że gdy przyszedł pod okno Niemiec, z którym miałem ubić pewien interes, a nie wiedział, jak się nazywam, to powiedział, że chce mówić z tym, co bije głową.

– Stasiek! – wrzasnął jeden kolega. – Chodź tu, jakiś Niemiec cię woła!

Ostatniego Niemca natłukłem trzeciego maja 1945 roku – dwa dni przed wyzwoleniem, gdy esesmani szykowali się już do opuszczenia obozu. Stałem przy maszynie, a przy mnie stał Mundek Tomaszewski, który przyszedł do mojej hali o coś zapytać. Gdy rozmawialiśmy, ktoś uderzył mnie mocno pięścią w bok. Obejrzałem się. Przy nas stał Niemiec, który zamiatał halę, i ruchem ręki pokazuje, że mamy się odsunąć od maszyny.

– Co jest? – zapytałem ze złością.

– A bo co? – odpowiedział i przysunął twarz do mojej twarzy.

Odepchnąłem mu gębę otwartą dłonią. Wtedy on złapał kawał żelaza. Skoczyłem, wyrwałem mu żelazo, złapałem go za ubranie i waliłem nim raz o maszynę, raz o ścianę, raz o maszynę, raz o ścianę. Wymiotłem nim całą kałużę oliwy, którą chciał wymieść. Gdy wreszcie puściłem go, uciekł z hali, odgrażając się. Tomaszewski wpadł w rozpacz.

– Stachu, co ty robisz? Przecież zabiją cię na sam koniec.

– A co – mówię – mam pozwolić, żeby mnie taka kreatura waliła w bok? Chce, żebym odszedł od maszyny? Może powiedzieć. Że powiedział inaczej, to ja mu pokazałem, że potrafię wymieść sam. Patrz – już kałuży nie ma.

– Pójdę zobaczyć, gdzie on poszedł – rzekł Mundek.

Wrócił po kilku minutach i powiedział, że kręcił się przy szopie, w której urzędowali esesmani, ale oni są czymś bardzo zajęci, więc postał, postał i w końcu poszedł sobie.

Było to o godzinie dziewiątej, a o dziesiątej esesmani opuścili obóz, zostawiając nas pod „opieką” policjantów z Wiednia, z których najmłodszy mógł mieć sześćdziesiąt lat.

Przez cały rok 1943 i do maja 1944, to jest do czasu przesłania mnie do pracy w tunelach, robiłem zakupy dla Heńka B. Sprzedawałem mu tłuszcze z paczek za chleb – w odpowiednim przeliczeniu. Heniek miał dużo chleba, a mało tłuszczów. Dostarczałem mu masło, smalec, boczek, słoninę – a nieraz to i coś z mięsa w zamian za chleb. Sprzedawałem mu to, co dostaliśmy z M. w paczkach, a jak było mało, to kupowałem od innych. Wychodziliśmy z założenia, że podstawą jest chleb i dopiero do chleba potrzebny jest tłuszcz. Kłopot był z tym, że ja sam musiałem odbierać i przynosić te rzeczy do obozu, a w bramie były częste rewizje – na wyrywki. Z hali kamieniarskiej po wąskich schodkach schodziłem w miejsce zakazane. Był tam magazyn chleba, fryzjernia SS, magazyn bieliźniany SS, w którym urzędował Heniek, i komendantura. Kręciło się tu zawsze dużo esesmanów. Szedłem

zawsze na pewniaka, żeby nikt nie pytał, gdzie i po co idę. Heniek dawał mi dwa bochenki chleba, które kroiłem na pół wzdłuż bochenka, tak że były cztery cienkie połówki, dwie z górną skórą i dwie z dolną. Dwie takie połówki umieszczałem pod swetrem, a dół swetra wpuszczałem w spodnie, żeby mi nie wyleciał chleb. Drugie dwie połówki układałem pod pasek i pasek mocno zaciskałem – a na to wszystko płaszcz. Nic nie było znać, że mam przy sobie dwa bochenki chleba.

Jednego dnia, gdy miałem już chleb schowany, wpadł esesman, szef magazynu.

– Co on tu robi? – pyta, wskazując mnie B.

– To jest ten, co mi dostarcza różne potrzebne nam rzeczy i muszę mu dać za to chleb – odpowiedział Heniek.

– No, to mu daj – mówi esesman.

– Już mu dałem – znów mówi Heniek – dwa bochenki.

Esesman obejrzał mnie z bliska i ze wszystkich stron.

– Wy jesteście organizatorzy… – powiedział z pochwałą. – Gdzie on ma ten chleb?

– O tym lepiej nie mówmy, po co panu to wiedzieć – zakończył rozmowę Heniek. – Uciekaj, tylko uważaj, żeby cię Zajdler nie złapał.

A Zajdler to był komendant obozu – wielka świnia, bydlę i bandyta. Z nim spotkać się to prawie tak, jakby spotkać śmierć na swej drodze. Niejeden raz widziałem, jak oprawiał ludzi, których złapał na jakimś wykroczeniu.

Kiedyś znów, gdy już miałem chleb załadowany, jeden z ludzi pracujących w magazynie zwrócił uwagę, że widział Zajdlera, jak ten szedł do baraku komendantury. Komendantura stała w jednej linii z magazynem bieliźnianym. Gdy wychodziłem z magazynu, to szedłem w prawo, wzdłuż baraku, dochodziłem do baraku komendantury, tu skręcałem na lewo między dwa baraki i po schodkach wychodziłem do góry, dokładnie na boczne drzwi budy, w której pracowałem u Chałupki.

Żebym nie nadział się na komendanta, Heniek wysłał na zwiady jednego chłopaka, Wiktora Wojtkowiaka z Poznańskiego, żeby zobaczył, czy „czyste powietrze”. Gdy minęło kilka minut, a Wiktor nie wracał, Heniek wyjrzał przed barak i kazał mi wychodzić. Gdy

dochodziłem do komendantury, w drzwiach szczytowych stanął Wiktor. Jak mnie zobaczył, oczy zrobiły mu się nienaturalnie duże i powiedział tylko półgłosem: – O rany boskie! – a tuż za nim ukazał się Zajdler, od którego byłem oddalony dziesięć metrów.

Gdy zobaczyłem go w drzwiach, udałem, że go nie widzę, i normalnym, szybkim krokiem, jakby mi się spieszyło, skręciłem w stronę schodków. Musiałem udać, że go nie widzę, bo inaczej musiałbym zdjąć przed nim czapkę i w ten sposób sam zwróciłbym na siebie uwagę. Idę – i słyszę, że Zajdler idzie za mną. Ja po schodach i on po schodach. Ja po dwa schodki i słyszę, że on też. Ja się nie oglądam, a on mnie nie woła. Może mnie nie goni, pomyślałem, a tylko idzie w tę stronę. Gdy wyszedłem na górę, od razu wszedłem w drzwi szopy, które zatrzasnąłem za sobą, i biegiem jak najszybciej przebiegłem szopę wszerz – w drugie drzwi i wlazłem między olbrzymie, wykończone już kamienie, które jedne na drugich układała specjalna winda ruchoma, a my ustawialiśmy je tak, że od zewnątrz była szczelina, przez którą człowiek ledwie się przecisnął, a w środku były pomieszczenia, w których spokojnie mieściło się kilka osób. To były nasze meliny – i do takiej wtedy wpadłem. Posiedziałem tam więcej jak pół godziny. Wreszcie wyszedłem i w szopie zapytałem się, czy był Zajdler. Wtedy okazało się, że jednak mnie gonił, bo wpadł do szopy i zaczął się za mną oglądać, a gdy mnie nie zobaczył, zapytał, gdzie jest ten, który tu wpadł przed chwilą. Powiedzieli mu, że wpadł tu, ale wyskoczył drugimi drzwiami. Wyjrzał, popatrzył i nikogo już nie zobaczył. Godzinę później przyszedł do mnie Czesiek Turowski od Heńka zobaczyć, czy mnie nie złapał Zajdler.

– Widzieliśmy przez okno, jak ciebie gonił – powiedział. – Już widziałem i ciebie, i siebie, i Heńka pod bramą. Już widziałem, jak nas biją na kozłach, jak wieszają za ręce.

– Ale, widzisz, udało się – powiedziałem. I dalej chodziłem po chleb. **B. dał mi piękny kąpielowy ręcznik i prześcieradło, z którym później miałem kłopot, bo zabrano wszystkie prześcieradła, nawet kapom i blokowym. Zapowiedziano, że u kogo znajdą prześcieradło, ten dostanie pięćdziesiąt razy w tyłek. Kilka razy esesmani robili lotne kontrole, ale tylko w kapówkach i z przodu sztuby, tam gdzie zwykle**

mieszkali prominenci. Ja wtedy już pchałem się w koniec sztuby. Tam było łatwiej się ukryć i mogłem spokojnie wydawać ludziom jedzenie przez okno.

W listopadzie 1943 roku przyszedł transport z Mauthausen. Ludzie ci przyszli z Oświęcimia i w Mauthausen byli tylko kilka godzin. Transport ten tym różnił się od innych, że więźniów przyprowadzono tylko w trepach, koszulach i kalesonach, a pogoda była taka przejmująca jak trzynastego listopada 1941 roku, wtedy, gdy staliśmy po ucieczce jednego więźnia na placu apelowym. Ja miałem już sweter i płaszcz i było mi chłodno, a ludzie ci stali kilka godzin na placu – spisywali ich i grupami prowadzili do kąpieli. Po kąpieli dopiero, późnym wieczorem, wydano im ubrania i wpuszczono na blok szesnasty, na kwarantannę.

Wśród tych ludzi znalazłem znajomego, z którym przed wojną pracowałem w fabryce, Józefa Bielaka z Warszawy. Mimo że nie było do nich dostępu, podawałem mu codziennie przez okno kapówki piętnastego bloku porcję chleba i kilka papierosów. ze sztuby nie można było podać, bo na oknach była gruba siatka, żeby nie kontaktować się z ludźmi z kwarantanny. Po zakończeniu kwarantanny jeszcze długi czas mu pomagałem. Kiedyś zobaczyłem, jak na rynku sprzedawał chleb za papierosy. Gdy zapytałem, dlaczego to robi, powiedział, że jak ode mnie dostanie miskę zupy, to może spokojnie sprzedać kawałek chleba.

– To wszystko, co masz, to jeszcze za mało, żeby przeżyć. Nic ci nie wolno sprzedawać. Dostajesz ode mnie cztery papierosy dziennie i to powinno ci wystarczyć. Jeśli zobaczę jeszcze kiedy, że sprzedajesz chleb, więcej nie dam ci nic.

Zobaczyłem go jeszcze raz i znów mu nagadałem, a gdy złapałem go trzeci raz – więcej nic ode mnie nie dostał. Powiedziałem mu, że ja lubię pomagać ludziom mądrym, którzy mądrze walczą o życie, a tylko nie mogą dać sobie rady.

– A ty, jak jesteś głupi, to i tak zdechniesz, więc szkoda tylko tego jedzenia, które ci daję. Będę dawał takiemu, któremu pomoże ono

przeżyć niewolę.

Prosił mnie, mówił, że już sprzedawać nie będzie, nic nie pomogło, więcej mu nie dałem. Widziałem go później. Zmuzułmaniał, lecz przeżył i niejeden raz spotkaliśmy się w Warszawie.

Tym samym transportem przyszedł Janusz Szałapski z Klarysewa koło Warszawy – młody chłopak, był razem z ojcem. Poznałem go przypadkowo. Opowiadał mi o życiu okupacyjnym w Warszawie – i pomagałem im do czasu, zanim jego ojciec nie zaczął pracować we fryzjerni SS jako fryzjer. Wtedy już im było dobrze. Pomogłem im jeszcze raz w biedzie, gdy Janusza chcieli wysłać transportem do innego obozu. Załatwiłem, że go zostawili razem z ojcem. Przeżyli, są i żyją w Klarysewie.

Transportem tym przyszedł też Heniek Gajger z Otwocka. Tego poznałem dopiero w lutym 1944 roku, gdy przywieziono do hali dziewiętnastej wózkiem kamienie, a on stał skulony przy wózku. Zmarzł, bo ukradli mu buty i miał na nogach tylko deski przywiązane sznurkiem, a na dworze była plucha – rozpuszczający się raptownie śnieg. Poszedłem do jego kapa, do tego samego Karola Schmidta, który był przy mojej bijatyce z Kazkiem Szymańskim, i prosiłem go, żeby Gajgera zostawił w naszej hali na ten dzień, bo on nie ma butów, a wieczorem dam mu buty. Dałem mu buty na drewnianej podeszwie i postarałem się o to, żeby go przydzielili na stałe do wózka, którym przywożono dla nas kamienie do obróbki. Wkrótce zaczął otrzymywać paczki żywnościowe i dostał też jedną paczkę odzieżową. Wiele swoich gratów trzymał u mnie z obawy, że mogą mu na jego bloku ukraść. Chyba w maju rozchorował się mocno i poszedł na rewir. Choroba jego okazała się gruźlicą. Chodziliśmy grać na rewir do Janka Kolmasiaka, to i jego zawsze prosiłem, żeby przyszedł do nas. Janek mówił, że Gajger dostawał duże paczki i chociaż sam nie mógł zjeść, to nikomu nie dał, tylko chował produkty w sienniku. Gdy go widziałem ostatni raz, to były to już same kości w skórzanym worku. Wkrótce potem wysłano go na „banhof" i tam umarł z głodu, a jego siennik był do połowy nafaszerowany chlebem, tłuszczem i wędlinami z paczek, z czego większość nie nadawała się już do jedzenia. Ja myślę, że on nie zdawał sobie sprawy ze swego stanu zdrowia, a jedzenie odkładał

w sienniku, żeby, gdy poczuje się lepiej, miał dosyć, by móc się odżywiać i dojść do normalnego stanu i tężyzny.

W zimę roku 1943/1944 Staśka M. przeniesiono do pracy w rewirze SS, na masażystę. Przez jakiś czas mieszkał jeszcze na bloku trzecim, a później przeniesiono go na blok drugi – prominencki. na bloku drugim mieszkał jednak tylko kilka tygodni i znów przyszedł na blok trzeci i do pracy kamieniarskiej. Wygnali go z rewiru SS. M. mówił, że wygnano go po sprawdzeniu jego papierów. Przedtem był jeszcze na przesłuchaniu politycznym. Podobno uznali go za niebezpiecznego i z tego powodu nie miał prawa pracować wśród SS. Bał się, że może będą chcieli go wykończyć, ale do tego nie doszło. Nie bardzo wierzyłem w to, co on mówił. Gdyby M. przyszedł do obozu po 1940 roku, to mógłbym mu wierzyć, ale on siedział od 1940 roku. Wszystkich takich „niebezpiecznych" rozstrzelano w Mauthausen w 1940 roku. Przywożono też w tym celu więźniów z Gusen. W Gusen przez długi czas myślano, że ci, których wywołują i odprowadzają do Mauthausen, idą na wolność, i zazdroszczono im. Dopiero jak my przyszliśmy do Gusen, w styczniu 1941 roku, dowiedzieli się, jak to „zwolnienie" wyglądało.

W tym czasie, gdy Stasiek M. był na bloku drugim, dalej żyliśmy na wspólną dolę. Po powrocie na trzeci blok M. zwąchał się z Gienkiem Kuczyńskim z Piastowa, z tym, który codziennie otrzymywał jedną kilogramową paczkę. Jedzenie i cały nasz dochód rozdzielaliśmy w dalszym ciągu po połowie, ale Stacho chodził do Kuczyńskiego i tam osobno przyrządzali sobie kartofle, sosy i inne smaczne żarcie. Stacho dysponował swoją częścią, ja swoją, z tym że mój wkład był dużo większy – ale nic nie mówiłem i nie miałem żalu, pamiętając zawsze o tym, że pomógł mi w tym czasie, gdy mi już naprawdę ciężko było. Nie myślę o tym, że pewnie dawałbym sobie radę inaczej. Fakt jest faktem, że mi pomógł bez względu na motywy – i zawsze mu to pamiętałem.

Gdy w maju 1944 roku karnie przesłano nas do tuneli, M. pracował tam tylko dwa tygodnie i w tym czasie mieszkaliśmy na bloku trzynastym, gdzie byli zgrupowani ci, co pracowali w tunelach. Po dwóch tygodniach M. postarał się dla siebie o dobrą pracę – magazyniera karbidu, butli z tlenem i innymi czortami. Urzędował

w szopie, **przy rampie kolejowej. Dobra robota na lato. Zimą po szopie hulał wiatr, bo była to szopa w całym tego słowa znaczeniu, z wielkimi szparami między deskami.** Nie nie pomyślał, żeby i mnie z tej cholernej roboty wyciągnąć, ale ja znów sam sobie dałem radę.

Po przejściu do magazynu M. znów zmienił blok, ale zarobek i paczki dalej dzieliliśmy po połowie. Jemu taki podział odpowiadał, bo ja mimo wszystko miałem dosyć dla siebie i innym jeszcze pomagałem. Szybko zauważyłem sam, i koledzy też zaczęli mi mówić, że M. bierze przypadającą mu część z moich paczek i zarobków, ale ze swoich część ukrywa, a dla formy dzieli się ze mną tylko zawartością niektórych, gorszych paczek, i to też nie wszystkim. M. nie był lubiany przez kolegów – i teraz jeszcze niektórzy bardzo źle wyrażają się o nim. Sam zaobserwowałem też i stwierdziłem, że jestem przez niego ordynarnie oszukiwany.

W połowie czerwca – kilka dni po utworzeniu drugiego frontu – wygarnąłem mu, co o nim wiem i myślę. Powiedziałem mu, że Kuczyński kupił go za miskę kartofli z sosem.

– Jeśli ty teraz już mnie oszukujesz, kiedy jeszcze wszystkiego mamy dosyć, to czy ja mogę liczyć na ciebie, gdy warunki w obozie pogorszą się? – zapytałem.

I tu powiedział mi on coś tak mądrego, co stało się dla mnie nauką i dewizą mojego postępowania do końca życia. Powiedział zdziwionym tonem:

– To ty na mnie liczysz? Och, jaki ty jesteś głupi. Naucz się w życiu liczyć tylko sam na siebie.

Tu miał rację. Przestałem liczyć na ludzi, więc tym większą radość sprawia mi każdy przypadek ludzkiej życzliwości i bezinteresownej pomocy. W ten sposób rozstałem się z M., a zawarłem sztamę z Januszem Zakulskim, który już w tym czasie był kierownikiem magazynu bieliźnianego więźniów, a wkrótce został kierownikiem całego magazynu odzieżowego.

Gdy zimą ci, co pracowali pod dachem, nie otrzymali swetrów i płaszczy, przyszedł do mnie M. z prośbą, żebym postarał się dla niego o ciepłą zimową kurtkę. Miał on swój długi czarny sweter z rękawami, dobry, ciepły sweter, który mu matka przysłała w paczce.

– Muszę często wychodzić na rampę i bez kurtki marznę. W szopie też zimno, bo są duże szpary, a ognia nie mogę palić, bo to karbid i butle z tlenem, to byłby wybuch. Ja tylko na ciebie liczę, bo ty masz przecież znajomości i nie sprawi ci to może wielkiej trudności?

Z taką gadką wyszedł do mnie. Przez cały czas jego mowy patrzyłem na niego z ironicznym uśmiechem, a gdy mówił: „tylko na ciebie liczę" – miałem wielką chęć odpowiedzieć mu jego słowami: „Jesteś głupi. Naucz się w życiu liczyć tylko sam na siebie". Powstrzymałem się. W całej tej rozmowie powiedziałem tylko jedno słowo: „Dobrze". Wieczorem powiedziałem Januszowi, że potrzebuję dobrą kurtkę.

– Dla kogo? – zapytał.

– Dla M.

– Temu kurwie nie dam – powiedział Janusz ze złością. – za jego postępowanie z tobą? Nie, nie dam.

– Daj, Janusz, daj. Widzisz, to jest wielki inteligent, który mnie uważa za łobuza z Czerniakowa. Dlatego pokażę mu, że łobuz potrafi być bardziej charakterny jak tacy jak on inteligenci. Kto wie, może on teraz pomyśleć jeszcze, że w dodatku jestem głupi, że darmo daję mu wartościową kurtkę, ale niech już tak będzie. Widzisz, Januszek, on mi kiedyś pomógł – a ja takich rzeczy nie zapominam.

Dał mi Janusz piękną kurtkę, kurtkę podbitą kożuchem z barana. Następnego dnia zaniosłem mu ją i dałem bez słowa. Nie chciałem patrzeć na jego fałszywy, znany mi uśmiech i słuchać podziękowania.

Wkrótce przyszedł do mnie znów z drugą prośbą. Oni z Kuczyńskim codziennie pitraszą sobie jedzenie na kolację i chcieliby trochę słodkiej kawy wieczorem.

– Przecież ty z kuchni możesz brać, to mógłbyś wziąć jeszcze miskę kawy dla nas.

Odpowiedziałem mu wtedy:

– Tak, mógłbym, ale widzisz, ja biorę pewną ilość litrów jedzenia z kuchni. Jak będę brał litr kawy dziennie dla was, to będę miał litr zupy mniej. Wy nażrecie się dobrych rzeczy i chcecie się napić słodkiej kawy, a zupę dostanie człowiek głodny, któremu ta miska zupy może życie uratuje. Mógłbym prosić w kuchni jeszcze o wiadro

zupy dziennie, ale nie mógłbym prosić o miskę słodkiej kawy. Ja sam nie piję codziennie słodkiej kawy – tylko w niedzielę.

– A w niedzielę mógłbym przychodzić do ciebie po kawę? – pyta M.

– Dobrze, przychodź.

I mimo wszystko dawałem mu każdej niedzieli miskę słodkiej, bardzo słodkiej kawy. Co ja na to poradzę, jak już taki mam charakter. Gienek Kuczyński to bardzo dobry chłop, którego bardzo lubiłem. Ostrzegałem go, że M. wykiwa i jego. Nie wierzył. Powiedział, że jego nie jest łatwo wykiwać. Widziałem się z nim po wyzwoleniu w Linzu, klął M. wszelkimi możliwymi słowami. Już na wolności coś razem zorganizowali – a M. zabrał wszystko i uciekł. W ten sposób zapłacił mu za kartofle z sosem i przyjaźń.

Ciekawie obchodziłem z Adamem Kwiatkowskim Nowy Rok 1944 roku. Przyszło do nas kilku Niemców – kapowie i blokowi – i prosili, żeby iść z nimi pograć na przywitanie Nowego Roku. Poszedłem z Adamem, zagraliśmy marsza, a nasi protektorzy składali życzenia wszystkim, którzy mieszkali w kapówkach. Kazali też, żeby i nam za granie dali trochę papierosów. Sami weszli do szafek, wybrali kilka paczek papierosów i dali nam. Jeden z nich zaprosił leżących, by szli razem z nimi. Gdy ci się ociągali, powywracali łóżka do góry nogami i w ten sposób wysypali tych, którzy w nich spali. Kilku ubrało się i przyłączyło się do nas. To samo dokładnie powtórzyło się na następnym bloku. Grupa nasza powiększyła się. Teraz już nie wchodzili do bloku, żeby złożyć życzenia, życzenia składali dopiero po zdemolowaniu kapówki. Po cichu wchodzili do bloku, ustawiali się przed drzwiami kapówki i na sygnał zaczynaliśmy grać marsza, a wszyscy z niesamowitym gwizdem i krzykiem wpadali do kapówek i błyskawicznie wywracali wszystkie łóżka razem z zawartością. Jedni śmiali się, ubierali i przyłączali do zabawy, inni dla odmiany wymyślali, ale takim jeszcze więcej dokuczali. Kapo Loosen jak wymyślał, to któryś znienacka wsadził mu głowę w wiadro z wodą ku ogólnej radości wszystkich. W każdym bloku kazali nam płacić. Gdy w bloku siedemnastym blokowy powiedział, gdzie są papierosy i żeby nam podali, to inny blokowy wybrał więcej jak trzeba i chociaż właściciel wrzeszczał, nic nie pomogło, dał nam i nie kazał nic zwracać. Tak obeszliśmy wszystkie bloki. Pozostał jeszcze blok dwudziesty czwarty, gdzie blokowym był

Ernst. Wszyscy podchodzą cichutko. Blok śpi. Wszędzie cisza. Gdy pierwsi podeszli już prawie pod drzwi, polała się na nich woda z wiader. Ernst nie dał im podejść do drzwi. Miał przygotowane wiadra z wodą i lał, gdy tylko ktoś podchodził bliżej. Zlani wodą zaczęli wymyślać. Poczułem awanturę i uważałem, że lepiej się ulotnić. Dałem znak Adamowi i urwaliśmy się od tej całej grandy kapów i blokowych. Poszliśmy do mnie na blok i tam po ciemku rozdzieliliśmy paczki z papierosami. Nie pamiętam, ile dokładnie tego było, ale było dużo. Rozdarłem kieszeń i papierosy, które dostawaliśmy, pchałem za poszewkę marynarki. Miałem ich pełno we wszystkich kieszeniach i pełno za poszewką. Przywitanie Nowego Roku udało się.

W kamieniołomach starałem się wyszukać zawsze jakieś zajęcie ciekawsze od pracy. Po cichu, między kamieniami gotowaliśmy sobie lepsze obiady, a swój obiad otrzymywany w pracy niosłem pod druty Steyra i oddawałem Mundkowi Tomaszewskiemu.

Nauczyłem się robić szybko i dobrze. Robiłem z Tadkiem Starczewskim na wspólne konto, raz na moje, drugi miesiąc na jego konto. Kupowałem też gotowe kamienie od innych i wpisywałem na swoje konto. Cóż – nauczyłem się unikać roboty i to też robiłem dobrze. Byli tacy koledzy, którzy nazywali mnie „królem obijaczy", to znaczy takich, którzy unikają roboty z pozytywnym skutkiem.

Zawieziono nas grupą około dwudziestu osób do Lungitz, gdzie w dawnym piecu cegielni zrobiono magazyny. Mieliśmy załadować trzy wagony kolejowe łóżkami żelaznymi. Nosili wszyscy – nosiłem i ja. Gdy mijałem się z Mietkiem Sendą, który był chłopem o potężnej budowie, krzyknąłem:

– Mieciu! Ja z twoją siłą i wykształceniem nosiłbym po trzy łóżka, a nie po jednym.

– A ja przy twojej rutynie nie nosiłbym wcale – odpowiedział Senda.

Chyba ma rację, pomyślałem sobie i zaraz przy następnym kursie wlazłem daleko do tyłu, za stosy łóżek, i siedziałem tam do chwili, gdy posłyszałem, że zwołują się do wychodzenia, bo już wagony

załadowane. Siedzieliśmy później spokojnie na trawie, czekając na samochód, który zawiózł nas z powrotem do obozu. **Wtedy to złamałem kotwicę wykonaną z kości ludzkiej.**

Często gdy mi upadł młotek na ziemię – popatrzyłem – i postanowiłem do wieczora nie podnieść go z ziemi. Praca moja polegała wtedy na takim manipulowaniu, żeby nie dać się złapać oberkapowi i esesmanowi. Oberkapem był wtedy Paul – niezły chłop.

W hali dziewiętnastej kapem moim był Prusinowski, Polak. Ten lubił uderzyć, ale mnie się bał. Powiedziałem mu, że nie dam się uderzyć żadnemu Polakowi, a ten, który mnie uderzy – to na jednakowych zasadach – ja też będę bił. Niejeden raz przez cały dzień nie wziąłem młotka i szpica do ręki. Lubiłem za to bić dużym młotem. Biłem z każdej pozycji i każdym miotem. Gdy widziałem, że odbijają kawał kamienia, zaraz szedłem tam walić młotem. Był jeden młot o wadze dwunastu kilogramów. Tym młotem biłem tylko ja i Stasiek M. Mimo że M. ważył dwadzieścia kilogramów więcej niż ja, ja miałem lepsze uderzenie. On uderzał młotem z góry – ja biłem na okrągło.

Czasem nachodziła mnie jakaś głupia słabość. Zacząłem dostawać dziwnych ataków nerwowych. Wszystko we mnie się trzęsło i nie wiedziałem, co się wokoło mnie dzieje. Gdy taki stan chwytał mnie na bloku, to kładłem się, tylko sapałem i łzy ciekły mi z oczu. Któryś z kolegów siadał przy mnie i mówił do mnie. Nic z tego nie rozumiałem, ale słuchając głosu, uspokajałem się. Gdy taki nerwowy stan chwytał mnie w pracy, brałem ze dwadzieścia szpiców, młotek dwa i trzy czwarte kilograma i stawałem do grubego szpicowania, nawet do czyjegoś kamienia, jeśli przy moim nie było szpicowania. Biłem młotem bez chwili odpoczynku. Jak szpic stępił się lub złamał, odrzucałem i chwytałem szybko drugi, żeby nie stracić jednego uderzenia.

Wszyscy, którzy mieli swoje stanowiska w pobliżu tego kamienia, przestawali pracować, bo bali się, że któremu odprysk może zrobić krzywdę; bo jeśli normalnie odpryski były wielkości pół palca, to moje wtedy były wielkości dłoni i z siłą uderzały po ścianach. Taki odprysk, gdyby trafił w głowę albo w twarz, mógłby dobrze skaleczyć. Gdy stawałem do takiej zwariowanej roboty zimą, to stopniowo rozbierałem się. Kończyłem robotę w rozpiętej koszuli

tylko, z gołą głową i zawiniętymi rękawami. Tylko para szła ze mnie. Gdy poczułem, że już mi się trzęsą ręce i nogi, kończyłem robotę, zakładałem sweter, marynarkę, szal, czapkę, nauszniki, rękawice, płaszcz, siadałem w kącie i spałem piętnaście–dwadzieścia minut, a koledzy w tym czasie uważali, czy nie idzie Paul albo esesman.

Raz latem, gdy po takiej robocie spałem za wieszakiem z marynarkami, kapo Chałupka nalał mi za koszulę wody. Poderwałem się, ale gdy zobaczyłem, że to Chałupka, złapałem deskę od wymierzania kamieni i byłbym przylał, gdyby nie uciekł. Posłałem tylko za nim kilka wiązanek.

Moje stanowisko było w połowie hali. W odróżnieniu od wszystkich poprzednich hal, w których pracowałem, dochodziło tu sprężone powietrze i były młotki pneumatyczne do wybijania dziur w kamieniu. Robiły one cholerny hałas i kurz, tak że ze środka hali nie można było już poznać ludzi stojących w końcach hali – widać było tylko sylwetki. Gdy z końca padło hasło „woda" albo *aqua*, znaczyło to, że zbliża się niebezpieczeństwo i trzeba brać się do roboty. **Ja pracowałem w pobliżu drzwi bocznych. Paliłem kiedyś papierosa i mimo że chyba nic nie zobaczyłem, zgniotłem papierosa w ręku i łatą zacząłem poziomować cudzy kamień. W tej chwili dopiero w drzwiach stanął esesman. Rozejrzał się i zobaczył trzech stojących razem i rozmawiających. Złapał za łopatę i odpowiednio dał im do zrozumienia, że to nie czas na rozmowy.**

Oczy, oczy i jeszcze raz oczy. Musiały chodzić bez przerwy i widzieć wszystko z bliska i z daleka. Oszklona buda oberkapa Paula stała w jednym końcu hali. Nigdy go nie obserwowałem, ale i nigdy nie wyszedł on z budy, żebym go nie zobaczył. Czy robiłem, czy jadłem, czy paliłem, czy też rozmawiałem, gdy Paul podnosił się od stolika i szedł do drzwi budy, ostrzegałem, że Paul idzie.

– Gdzie? – pytali.

– W tej chwili otwiera drzwi – odpowiadam.

Popatrzyli. Faktycznie, Paul schodzi z budy po schodkach i idzie w naszym kierunku. Nigdy nie dałem zaskoczyć się znienacka.

Byłem już wyżarty, to zachciało mi się brawurowania. Gdy raz esesman szedł przez halę, to raptem zacząłem miotełką czyścić kamień i narobiłem takiego kurzu, że sam nie miałem czym

oddychać, ale esesman też uciekał z tego miejsca. To znów rzucałem za przechodzącym esesmanem kamieniami – że to niby odprysk od kamienia przy szpicowaniu. do tego doszło jeszcze jedno brawurowanie, które nic mi nie dawało prócz zadowolenia, a narażało na bicie, i to chyba takie lepsze bicie. Codziennie, idąc do pracy, przechodziłem przez bramę z palącym się papierosem w ręku. Zapalałem papierosa, gdy już staliśmy ustawieni do wyjścia. Przeważnie gdy wypaliłem połowę, następował wymarsz. Z papierosem w rękawie przechodziłem przez bramę i zaraz za bramą znów musiałem pociągnąć, żeby mi nie zgasł. Robiłem to prawie codziennie. Koledzy prosili mnie, żebym się nie wygłupiał, a ja przecież musiałem mieć jakąś emocję, bo życie w obozie zaczęło robić się zbyt monotonne. Gdy tylko następował jakiś okres nerwowości i napięcia, czułem się w swoim żywiole i wtedy nie łapały mnie te moje głupie ataki nerwowe.

W tym czasie zawarłem bliższą przyjaźń z Frankiem Belingiem z Gdańska, któremu Niemcy całą rodzinę **złożoną z jedenastu osób** wsadzili do obozów. W Gusen został przy życiu tylko on i jego szwagier Smeja, który pracował we fryzjerni SS. W wolnych chwilach prowadziliśmy długie rozmowy. Opowiadał mi, co Polacy przeżywali w Gdańsku od Niemców, jeszcze przed wybuchem wojny. Był słaby ciałem, lecz silny duchem. Człowiek, który się nie łamał. Aresztowany w dniu wybuchu wojny, przeżył całą wojnę w obozie i obecnie mieszka w Szczecinie. Pisał on dla mnie wszystkie listy do domu. Pomagał mu materialnie szwagier Smeja, a później pomogły jeszcze paczki.

Całkowitą jednak sztamę w hali dziewiętnastej zawarłem z Tadkiem Starczewskim. Był z niego koncertowy kumpel do markieracji. Często, gdy nam nie chciało się robić – bo mnie nigdy nie ciągnęła robota, robiłem tylko to, co już musiałem – wybierałem się z Tadkiem na spacer. Braliśmy w ręce młotek, dwa–trzy szpice, winkiel i na dodatek jakiś szablon i rozpoczynaliśmy wędrówkę. Były małe hale w Gusen, były duże hale w Kastenhoffen, były hale w Oberbruchu – Górnym Kamieniołomie – i była rampa kolejowa, gdzie zwożono gotowe kamienie. Każde z tych miejsc w innym kierunku od naszej hali. Narzędzia w ręku były dla bezpieczeństwa,

żeby w każdym przypadku można było powiedzieć, że na przykład idę na rampę zreperować swój kamień, w którym w czasie transportu utrącono róg, albo że już wracam z rampy, albo że idę do tej czy innej hali, w zależności od kierunku, w którym szliśmy, odnieść szablon itp. W ten sposób potrafiliśmy łazić od rana do południa, zjadaliśmy obiad i znów na wędrówkę, do fajrantu. Jeżeli robiłem, to nigdy dłużej jak cztery godziny w ciągu dnia. Umiałem dobrze i szybko robić. Raz, gdy tylko tygodnia brakowało do końca miesiąca, a ja na koncie nie miałem nawet jednej marki, zwalili mi duży kamień, który miał mieć różne szerokości i dwie ściany wklęsłe, robione do szablonu. Ciężki kamień do wykonania. Cena pięćdziesiąt sześć marek. Prawie na dwa miesiące roboty, bo miesięczna norma była trzydzieści marek. Założyłem się z M. o sto papierosów, że zrobię go do końca miesiąca, **do którego zostały cztery dni robocze**. Tak uczciwie jak wtedy nie pracowałem nigdy, przez całe pięć lat mego pobytu w obozie. Nie chodziło mi o sto papierosów, lecz o sam fakt, że jednak zrobię. Szpicowałem młotkiem dwa i trzy czwarte kilograma, a paski ciągnąłem młotkiem dwukilogramowym. Normalnie szpicowali młotkiem półtorakilogramowym, a paski ciągnęli kilogramowym. na gwizdek do pracy stawałem do kamienia, a odchodziłem na sygnał ogłaszający przerwę obiadową. To samo po południu. Robiłem do samego fajrantu, ale kamień zrobiłem w cztery i pół dnia i przyjęli go bez żadnej poprawki. Fakt też, że przebrałem prawą rękę, która później bolała mnie przez kilka dni u nasady dłoni. Gdybym założył na rękę skórzany ochraniacz, to ręki bym nie przebrał. Ale kamień zrobiłem? Zrobiłem.

Innym razem wysłano nas czterech, w tym Tadka i mnie, do reperacji kamieni leżących przy rampie kolejowej. Były to kamienie do budowy filarów mostowych. Kamienie te robiono na metry bieżące. Obowiązywała szerokość, a długość w zależności od wielkości kamienia. Wiele z tych kamieni miało utrącone rogi i trzeba było skrócić je tak, żeby były dobre. Było to jesienią 1943 roku, ale jeszcze było ciepło. Zabraliśmy z sobą narzędzia i stołeczki na jednej nodze, bo nie było kozłów i kamienie stały na ziemi, i siedzieliśmy dwa tygodnie. Dosłownie siedzieliśmy. Roboty było dla nas na jeden dzień. Przy największej oszczędności pracy przychodzili jednak różni kapowie i esesmani,

a wtedy trzeba było robić, więc po tygodniu już wszystko było zrobione. Wtedy stuknąłem młotkiem w róg i już miałem nowy kamień do roboty. Taka zabawa trwała przez drugi tydzień, a gdy przyszedł Paul, zobaczył, że przy każdym stoi jeden kamień, przy którym jest godzina roboty. Kazał nam kończyć i wracać do hali. Skończyły się wczasy, trzeba było wracać do pełnej pyłu kamiennego hali.

W hali znów zaczęła się codzienna praca. Prusinowski uspokoił się i nie czepiał się mnie nawet wtedy, gdy siedziałem i paliłem papierosa. Raz Tadek pobił się z pupilkiem Prusinowskiego. Prusinowski, nie pytając się, o co chodzi, uderzył Tadka kilka razy w twarz. Skoczyłem do Prusinowskiego z młotkiem w ręku.

– Za co go uderzyłeś? – pytam.

– Bo się biją – odpowiedział.

– To dlaczego drugiego też nie uderzyłeś? Czy dlatego, że też z Poznania i że w nocy do ciebie do łóżka przychodzi? Gdybyś mnie tak uderzył, to patrz, młotkiem bym ci łeb roztrzaskał – mówiąc to, pomachałem mu młotkiem przed nosem.

– Co go tak bronisz?! – krzyczał Prusinowski. – A ty to nie bijesz ludzi? – wołał. – Sam widziałem, jak pobiłeś Sztrasburgera.

– Sztrasburger jest dużo silniejszy niż ja i miał prawo mnie też bić, a że ja potrafię bić lepiej od niego, to przegrał. A Tadkowi ciebie nie wolno uderzyć, bo jesteś kapem. Zobaczyłbyś, czyby tak stał po uderzeniu, jak nie byłbyś kapem. Pokazałby ci on wtedy, jak trzeba bić.

Z tym Sztrasburgerem Józiem też była ciekawa historia. Trzy razy nadział się na mnie i trzy razy przegrał. Raz dostał łbem w sztubie, gdy nie chciał mnie przepuścić do łóżka. Drugi raz w hali. Przed końcem pracy odkręcił gumowy wąż od pneumatycznego młota i sprężonym powietrzem odmuchiwał sobie z pyłu buty, a przecież pod nogami to była jedna gruba warstwa pyłu. Zgiąłem wąż, żeby wstrzymać dopływ powietrza, i mówię mu, żeby wyszedł z tym za drzwi, przecież wąż jest długi, a do drzwi trzy metry.

– A ja nie chcę – mówi zaczepnie Józio i wyrywa mi wąż, on ciągnie w jedną stronę, a ja nie daję i trzymam go w miejscu załamania i dalej mu tłumaczę jak pastuch krowie na granicy, żeby zobaczył, ile robi tym kurzu, że wywierca dół w ziemi tym dmuchaniem. A on mi wciąż swoje, że on nie chce i już. Był wyższy i silniejszy ode mnie, ale gdy już

wyraźnie widzę, że szuka awantury, to ostrzegam go, że jak nie puści, to go uderzę. Tylko że powiedziałem to nie w takich słowach, jak napisałem.

– A spróbuj – mówi Józio. Strzeliłem łbem, poprawiłem pięścią, jeszcze raz łbem, jeszcze raz pięścią. A Józio zgłupiał, stał i nawet się nie ruszył, gdy ja znów wąż wkręciłem do młota.

Sztrasburger Józio był wysokiego wzrostu, silny jak niedźwiedź, dobrze zbudowany. Gdyby złapał mnie dobrze, to nie wiem, czyby mnie nie udusił. Ale był mało ruchomy, dlatego dałem mu radę.

Był u nas jeden kamieniarz – stary łobuz z Lublina. Wszedł w drogę Józiowi i pobili się. Józio bił pięściami jak cepami, po kowalsku, jak młotami, z wierzchu. A że to taki niedźwiedź, to tamtego potłukł i posiniaczył. No i Józio poczuł, że i on potrafi bić. Tego samego dnia wieczorem pobił drugiego, znajomego ze swojej parafii – Nawrockiego, za coś, co mu Nawrocki podobno dawno przed tym zrobił. Tego dnia wieczorem powiedziałem do kolegów:

– Jutro będę bił się z Józiem.

– Za co? Po co?

– Nie wiem. Wiem tylko, że jak pobił on Lubliniaka i Nawrockiego, to jutro skoczy do mnie, żeby odegrać się za to, co dostał ode mnie.

Rozparła go pewność siebie, że waląc na ślepo łapami, udało mu się pobić dwóch ludzi. Rogów dostał kopaniec, ale czuję, że na mnie się nadzieję i znów będzie mały. Przewidziałem dobrze. na następny dzień już przed południem nastąpiła ścinka. Jeden z kolegów coś mi powiedział, a ja mu ostro odpowiedziałem. No to od razu nastąpiła interwencja Józia, którego stanowisko było w pobliżu mojego. ze słowami „No ty nie będziesz taki mocny" ruszył na mnie. Czułem, że przeprawa tym razem będzie ciężka, i nie miałem chęci bić się bez żadnego powodu, więc cofałem się do tyłu i tylko powiedziałem:

– Józek, daj spokój. Przestań, bo ci krzywdę zrobię.

Nie usłuchał ostrzeżenia. Skoczył. W tym momencie naddałem się do tyłu, żeby nie złapał mnie za ręce, i z całych sił kopnąłem go w kolano. Usiadł. Gdy dostał jeszcze dwa–trzy razy pięścią między uszy, to się położył. Okazało się, że coś mu nawaliło w kolanie. Leżał na to przez pewien czas w rewirze, a do mnie nie tylko że więcej nie skoczył, ale stał się moim sympatykiem. Ciągnął do mnie, częstował mnie psim smalcem,

który mu jego ojciec (rakarz) przysyłał w paczkach, i chętnie przebywał w moim towarzystwie. Żalu do mnie nie miał. Jeszcze raz starliśmy się ze sobą, ale już w innej formie – w walce zapaśniczej. W południe zmagał on się z drugim takim samym jak on niedźwiedziem. Józio tamtego przewrócił, ale już na ziemi tamten drugi wyszedł na wierzch. Zapytali mnie, kto wygrał. Odpowiedziałem, że ten, który już na ziemi wyszedł na wierzch. Obok jeden z kolegów golił za niewielką opłatą dwóch–trzech papierosów. Usiadłem do golenia, a Józio pyta mnie, czy nie chciałbym się z nim pozmagać.

– Mogę – odpowiedziałem.

– No to zebłucz się – zawołał zadowolony.

– Zaczekaj, niech mnie ogoli.

Przez cały czas golenia stał obok i czekał. Czekali też inni. Już żałowałem, że się zgodziłem, ale postanowiłem zastosować chwyty zapaśnicze. Znałem chwyty, bo przed wojną przez pewien czas trenowałem zapaśnictwo. Żeby tylko nie dać się złapać, bo udusi mnie swoją siłą.

– Zebłucz się, zebłucz się – atakuje Józio, gdy już byłem ogolony. Zdjąłem szalik, czapkę i marynarkę i stanąłem w pozycji zapaśniczej. Józio nie wiedział, jak mnie brać. Gdy wyciągnął przed siebie ręce, chwyciłem jego prawą rękę pod swoją lewą pachę i klasycznym przerzutem przez biodro grzmotnąłem nim o ziemię.

– Chodź jeszcze raz, chodź jeszcze raz – kręci się Józio.

Walnąłem nim drugi raz tym samym przerzutem.

– Widzisz, Józiu, mnie nie możesz w żaden sposób dać rady. Ja stanę ci na czworakach i też nie położysz mnie na plecach – mówiąc to, uklęknąłem na ziemi i oparłem się na rękach. „Stanąłem w parterze", jak to mówią zapaśnicy. Ledwie mnie Józio dotknął, skontrowałem i leży.

– Stań ty teraz, tak jak ja stałem.

Stanął. Jedno szarpnięcie za rękę do środka i leży.

– Tak, ale ty to robisz sposobem – powiedział zdziwiony.

– Widzisz, Józiu – odpowiedziałem mu – siła potrzebna jest dla tragarza, a człowiek musi też i głową pracować.

Upomnienie o głowie nie było aluzją do bicia głową, chociaż to też jest ruszanie i praca głową.

Zimą 1943/1944 roku znów wszystko zawalił śnieg, ale kamieniarzy jak zwykle wysyłali do pracy, i to nie do pracy kamieniarskiej, bo kamieniołomy były nieczynne. Robiliśmy wszystko, co było potrzeba i co nie było potrzeba – aby tylko wychodzić i robić. Ktoś tu się widocznie na nas uparł. Każdej niedzieli do roboty – kamieniarze, śnieg wywozić w niedzielę – kamieniarze. Nikt nie pracuje w kamieniołomach – tylko kamieniarze. Chodziły słuchy, że winien temu był Pramer – nasz obermajster. Podobno kłócił się on o nas w komendanturze, interweniował w dyrekcji firmy, która eksploatowała kamieniołomy. Walczył o polepszenie naszych warunków, o ubrania, o buty, by nas nie bito, bo, mówił on, człowieka łatwo wykończyć, ale ciężko wyuczyć na kamieniarza, a jeśli wykończą kamieniarzy, to firma będzie miała straty (kamieniołomy produkowały kamienie dla młyna i dla nas do obróbki). Komendant podobno miał stale przez nas kłopoty i dlatego w ten sposób odgrywał się.

Tej zimy przerwa w pracy trwała więcej jak dwa tygodnie i przez cały ten czas do pracy wychodzili tylko kamieniarze. Ciekawa to była praca. Kamieniarze to prawie wszyscy starzy więźniowie. Nie było tam takich, którzy siedzieli dopiero kilka miesięcy. Każdy miał najmniej dwa lata obozu. A jeszcze rok 1942 – to była dobra szkoła. Mam wrażenie, że ta sama liczba początkujących więźniów zrobiłaby więcej w trzy dni niż my przez trzy tygodnie. Pierwszego dnia kazano nam nosić kamienie z jednego miejsca na drugie, odległe o pół kilometra. Po kamienie szliśmy krokiem spacerowym, ale im bliżej byliśmy kupy kamieni, tym tempo marszu było szybsze, a ostatnie trzydzieści metrów wszyscy pędzili biegiem. Kto by widział ten finisz, dziwiłby się, że jesteśmy tacy pracowici. A to była tylko rutyna starych więźniów, dobra w kupie głupców, a nie w kupie takich samych rutyniarzy. Tajemnica biegu polegała na tym, że kto dopadł pierwszy do kupy kamieni, ten miał szansę złapać mały kamień. Lepiej opłaciło się przebiec trzydzieści metrów, jak później nieść pół kilometra duży kamień. Po jednym kursie zostało tylko kilkunastu ludzi – reszta znikła jak kamfora. Ponieważ zostali tylko kapowie

i kilkunastu ludzi, zaniechano noszenia kamieni. Obiad przywożono nam do pracy. Gdy zbliżała się pora obiadu i końca pracy, dobry obserwator mógłby zauważyć nieznaczny ruch na torach, poniżej rampy, między wagonami, wśród różnego sprzętu i materiału. Gdy kapo zagwizdał na zbiórkę, po chwili wszyscy już stali na rampie, która przez ten cały okres była miejscem naszych zbiórek. Gdy pracowaliśmy przy wyładowywaniu wagonów, liczba ludzi pracujących malała w oczach. **Nie chcieliśmy z M. czekać za długo, bo im mniej ludzi przy pracy, tym trudniej było się urwać. Gdy urywaliśmy się, zobaczył nas kapo. Krzyknął, żebyśmy stanęli. Wtedy my zaczęliśmy uciekać jeszcze szybciej i już zupełnie jawnie. Kapo za nami, a my po wagonach i buforach. Wskoczyłem pod wagon i dałem znak M., by właził za mną. pod wagonami wróciliśmy się z powrotem, bo kapo popędził do przodu, schowaliśmy się za jakieś graty, a po zorientowaniu się, że kapo nas nie widzi, spokojnie poszliśmy na dalszą wędrówkę.**

Grupa około osiemdziesięciu osób robiła przy niwelacji terenu. Obstawiono ich posterunkami, żeby nikt nie uciekł. Po dwóch godzinach było tam nie więcej jak dwadzieścia osób. Starzy więźniowie – zaprawieni w takich sytuacjach. Ci, co się urwali od pracy, rozłazili się po całym terenie w obrębie linii posterunków. Gdy urwałem się, to chodziłem „w gości". Nie dekowałem się w jednym miejscu, tylko składałem wizyty. Miało się ten orient. Wiedziałem, gdzie szukać, mimo że nikogo nie było widać. W małej szopie kamieniarskiej znalazłem kilku, którzy w żelaznym kociołku rozpalili ogień i gotowali sobie obiad. Produkty wynosili z obozu w kieszeniach. Taką samą grupę znalazłem w schowanku między gotowymi kamieniami (tam, gdzie schowałem się przed komendantem, gdy gonił mnie, jak niosłem chleb od B.). Takich melin zwiedziłem kilka. Gdy zbliżała się pora obiadu albo czas odejścia do obozu – wszyscy ci, którzy rozleźli się po terenie, ściągali w pobliże miejsca zbiórki. Siedzieli w wagonach, pod wagonami, za kupami kamieni, za szopami i wszędzie, gdzie można było za coś się schować. Gdy kapo odgwizdał zbiórkę, tylko zakotłowało się wokół i po chwili wszyscy już stali w szeregach.

Po kilku dniach znalazłem sobie dobre miejsce do pracy w miejscu oddalonym od głównych terenów pracy o dwieście metrów,

w pobliżu linii posterunków. Niwelowano tam teren, a ziemię odwożono wózkami daleko od tego miejsca. Odwożono wtedy, gdy nas tam nie było – bo przy nas nawet jeden wózek z ziemią nie odjechał. Z trzech stron otaczała nas skarpa powstała wskutek niwelacji, a z czwartej strony mieliśmy daleki widok. Jeśli zbliżał się do nas esesman lub kapo, to widzieliśmy go już z daleka i żaden nie złapał nas na lenistwie ani też na gotowaniu i pieczeniu kartofli. Ogień paliliśmy w wielkiej beczce blaszanej. W środku, w wiaderkach od marmolady, gotowały się kartofle, a całe różańce nawleczonych na druty kartofli powkładane były do środka, po bokach. Rzadko ktoś tam do nas przyszedł. Zawsze jeden z nas stał na wierzchu tej trzymetrowej ściany i obserwował teren. Ten z góry miał jeszcze jedną czynność do spełnienia. Gdy nadchodził esesman, zarywał on ziemię z góry, która zasypywała wszystkie kartofle. Bo ci na dole z nudów i dla rozgrzewki podkopywali oskardami ścianę. W ten sposób u góry tworzył się ziemny daszek. pod nim kopało się jeszcze dół. Gdy szedł do nas esesman, wtedy spokojnie, bez pośpiechu, bo czasu było dosyć, a duży ruch mógłby zwrócić jego uwagę, przenoszono do dołu wszystkie kartofle, dół zakrywano grubą żelazną blachą i wtedy ten z góry naciskał kilka razy dobrze łopatą i cały daszek urywał się, zasypując grubą warstwą ziemi blaszaną płytę i ukryte pod płytą kartofle. Więc – jak już zaznaczyłem – robił, kto chciał i jak chciał, z nudów i dla rozgrzewki.

Żeby nam się nie nudziło, Antoś Szulc opowiadał nam różne historie ze swego życia. Same wesołe historie – a miał on niezwykły dar opowiadania. Opowiadał całym sobą – słowami, mimiką, gestykulacją i wszelkimi ruchami. Dużą przyjemnością było słuchanie jego opowiadań. Tu już nam nowych plotek nie wymyślał, bo i tak nikt mu nie wierzył – więc tylko zabawiał nas opowiadaniami.

Muszę wspomnieć tu o Sewerynie Glinickim z Nowego Dworu, który znów w czasie długich apeli zabawiał nas zawsze opowiadaniem życiowych, mądrych i pouczających historii. Były też opowiadania wesołe. na apelu starałem się stać zawsze w pobliżu Glinickiego. On też umiał opowiadać i z całą przyjemnością zawsze go słuchałem.

Raz tylko zdarzył się nam głupi wypadek. Daszek nam się zarwał i przywalił dwóch ludzi. Błyskawicznie odkopaliśmy ich. Byli

nieprzytomni, ale już po kilku minutach odzyskali przytomność i o własnych siłach wrócili do obozu. Mówili, że nie wiedzieli nawet, co się stało. Nie czuli uderzenia i zdziwieni byli, gdy powiedziano im, że to był wypadek, który mógłby ich uśmiercić.

Po przeszło dwóch tygodniach takiej „pracy" znów robota ruszyła na cały regulator, a my wróciliśmy do swoich hal kamieniarskich.

Opisywałem, że jak mnie brały nerwy, to stawałem do grubego szpicowania nawet do nie swojego kamienia. Najczęściej stawałem do kamienia Adama Sztuki ze Śląska. Wiele razy stawałem do jego kamienia, by pomóc mu w pracy. Poza tym wiele razy wspomagałem go miską zupy lub kawałkiem chleba. Robiłem to dlatego, że kiedyś uderzyłem go głową w twarz, w wyniku czego chłopak był przez kilkanaście dni w rewirze, bo mu coś trzasnęło w nosie. A było to tak. do hali naszej przywiózł kamienie Józef Gruszczyński – czy coś podobnie się nazywał – śpiewak z Bydgoszczy. Ponieważ w obozie nie dawali na bloki żadnego opału, tym, co przynosili węgiel lub drzewo, blokowy dawał miskę zupy. Ja codziennie starałem się dla niego o drzewo. Jednego dnia dałem mu grubą nogę od kozła, na którym kładliśmy mniejsze kamienie przy obrabianiu. Przed końcem pracy przyszedł on do mnie ze skargą, że schował tę nogę i ktoś mu ukradł. Noga ta była znaczona, bo była pochlapana białą farbą. Poszedłem w koło po hali w poszukiwaniu tej nogi. Znalazłem ją u Adama Sztuki, który szpicami chciał ją rozbić na mniejsze części.

– Skąd masz tę nogę? – pytam. – To jest noga, którą dałem Gruszczyńskiemu. Zginęła mu i ja jej właśnie szukam.

– A co mnie to obchodzi – odpowiedział mi Sztuka ze złością.

Jak ty złością – myślę sobie – to ty już ze mną nie wygrasz.

– Dawaj tę nogę – mówię i biorę ją. Ja trzymam i on trzyma. Ja szarpnąłem, on zrobił taki ruch, jakby chciał mnie uderzyć. I stało się. Nie czekając, automatycznie zupełnie uderzyłem głową. Puścił on to drewno i wpadł na ścianę. Nie skoczył do mnie, tylko popatrzył i przedrzeźniając ruch uderzenia głową, mówił:

– O, jak to bije, jak ten baran.

Na drugi dzień nie przyszedł do roboty i dowiedziałem się, że mu klipa spuchła i został w rewirze. Żal mi go było, bo był słabszy niż ja. Ale po co zrobił do mnie taki głupi ruch. To z mojej strony był podświadomy ruch

samoobrony, bo inaczej sobie tego nie potrafię wytłumaczyć. Gdy wrócił z rewiru, przeprosiłem go szczerze i powiedziałem, skąd i dlaczego wziął się u mnie ten nieszczęśliwy ruch głową, i nastąpiła między nami zgoda. od tamtego czasu żyliśmy w przyjaźni, a ja starałem mu się wynagrodzić uderzenie jedzeniem albo pomocą w robocie. A to tylko dlatego, że był słabszy, bo gdyby był tak silny jak ja, albo też silniejszy, nie odczuwałbym żadnego żalu, tak jak nie czułem go, gdy ktoś taki oberwał po ryju.

Przyszedł wreszcie dzień pierwszego maja 1944 roku. Wywołano nas pięćdziesiąt osób. Część z tych ludzi zaprowadzono do pracy do młyna mielącego kamienie, a część do budowy tuneli. W grupie wysłanych do tuneli był Stasiek M. i ja. Wyrzucono nas od kamieniarzy, bo za mało robiliśmy. W 1941 roku wyrabiałem trzydzieści–trzydzieści pięć marek miesięcznie i w roku 1944 wyrabiałem tyle samo. Uważali, że po tylu latach pracy powinniśmy wyrabiać więcej. Mówiono w obozie, że praca w tunelu jest bardzo ciężka i niebezpieczna, bo często urywające się stropy zabijają ludzi – no i praca głęboko pod ziemią.

Tunele dłubano w wysokiej na kilkadziesiąt metrów górze. Ludzie z Gusen II, którzy robili tunele w St. Georgen, mówili, że praca w tunelach – to praca w piekle, ale to może tylko dla nich, to znaczy dla tych, których zamknięto w obozie w 1944 roku. Praca w tunelu była rajem w stosunku do pracy w kamieniołomach w pierwszych latach obozu, rajem nawet dla muzułmanów. Nie było mordowni i bezustannego bicia. Można było odpocząć bez obawy, że za odpoczynek będzie człowiek zabity. Praca była ciężka, ale nie nerwowa, a ciężka była tak, jak ciężka jest każda praca dla człowieka słabego i wiecznie głodnego. Dla silnych i wyżartych nie była ciężka. Natomiast była to praca niebezpieczna. Często obrywały się olbrzymie kawały materiału ze ścian i stropów, miażdżąc ludzi. Praca przez cały dzień w dużej wilgoci i przy świetle elektrycznym.

W tej samej górze były dwa miejsca drążenia tuneli. W jednym miejscu były trzy wejścia – korytarze o długości około pięćdziesięciu

metrów, szerokości około czterech metrów i wysokości trzy metry. za korytarzami zaczynała się dopiero cała sieć tuneli – olbrzymich hal fabrycznych, o wysokości około ośmiu metrów, szerokości około trzydziestu metrów.

Okrążało się górę i z drugiego boku był drugi tunel; była tam tylko jedna długa hala na wyższym poziomie. od tej długiej hali zaczęła się robota. W trakcie drążenia tego tunelu rozpoczęto drążenie głównych tuneli, a później dopiero rozpoczęto rycie w ziemi na dużą skalę w St. Georgen.

Materiał, w którym żeśmy ryli, to twardy, zlepiony piasek. Odrywało się duże, twarde kawały, których się w ręku nie zgniotło, ale gdy uderzyłem taką bryłę mocno o ścianę, to rozbijała się całkowicie na miałki piasek. Materiał ten był koloru szarego, ale były różne odcienie do aż prawie rudego. Co jakiś czas słychać było huk, to dalej, to znów bliżej. To obrywały się olbrzymie kawały zlepionego piasku.

Praca wyglądała w ten sposób, że w przodzie tunelu stała olbrzymia maszyna, która cięła ścianę okrągłymi piłami umieszczonymi obok siebie w odstępach po dwadzieścia centymetrów. Po werżnięciu się w ścianę wyłamywano kawałki żelaznymi drągami, ładowano na wózki i wywożono materiał na usypisko. Maszyna brała prawie całą szerokość tunelu. Wygładzanie ścian odbywało się za pomocą młotów pneumatycznych, do których zakładano długie stalowe noże w kształcie klinów. Takimi samymi nożami równano strop. Czyli że wyglądało to tak: z przodu maszyna i ludzie obsługujący ją, za nimi rusztowania pod ścianami i jedno w poprzek hali, na którym pracowano młotami pneumatycznymi. W bocznych korytarzach stały puste wózki-wywrotki, które podprowadzano do czoła tunelu, ładowano i wypychano do korytarza wejściowego. Tu znów grupa ludzi wypychała wózki aż za zwrotnice toru prostego, od którego odchodziły tory do każdego wejścia. Wagony łączono i mała lokomotywa wywoziła ziemię na odległe o dwieście metrów usypisko. Usypisko zaczynało się zaraz za tunelami i miało dwieście metrów długości, a im dalej, tym nasyp był wyższy. Tam pracowała grupa ludzi, którzy wysypaną z wózków ziemię zsypywali w dół, żeby zrobić miejsce dla następnych wózków.

Tak było przy dużym tunelu. W tym wyżej, gdzie była jedna hala, usypisko było na krawędzi góry, pięćdziesiąt metrów w linii prostej od wejścia, i sami ładowaliśmy wózki, wywoziliśmy, zwalaliśmy i równaliśmy teren.

Kapem naszym był Ludwik Chasiński z Pomorza. Nie zabił on nikogo, ale niejeden wykończył się, gdy pracował tak, jak tego żądał Chasiński. I znów były wojskowy, sierżant. Widocznie oni najlepiej nadawali się na kapów. Nie rozstawał się on prawie nigdy z kijem, którym nawet nieczęsto bił, biegał tylko jak kot z pęcherzem i bez przerwy darł mordę. Mnie i Staśka M. postawił do jednego wózka-wywrotki. Cholera, dwóch tylko ludzi do jednego wózka – a wózki te były dużo większe od używanych w kamieniołomach. Oczy nam wyłaziły na wierzch przy pchaniu, ale pchaliśmy. Robiłem uczciwie, bo nie znałem jeszcze panujących tu stosunków. Po zakończeniu tego tunelu cała nasza grupa zeszła do tuneli głównych, gdzie Chasiński z całą grupą dostali do roboty jedną halę – środkową. Daleko z tyłu za nami robili ci, którzy układali kamienny strop. Wszyscy kamieniarze wtedy robili tylko kamienie na stropy w tunelach. Poprzednio, gdy jeszcze byłem kamieniarzem, robiliśmy różne, często piękne kamienie, które wysyłano do budowy stadionu olimpijskiego w Norymberdze, który miał być cały z kamienia. Tak przynajmniej mówiono w obozie.

W górnym tunelu pracowałem krótko, bo gdy poszedłem tam pracować, to był on już prawie wykopany. Po kilku dniach M. urwał się. Został magazynierem karbidu i butli z gazami przemysłowymi w szopie przy rampie kolejowej – o czym już wspominałem. Jak długo on był, nie mogłem migać się od roboty, on bał się podpaść. Przy nim i ja musiałem robić. Po odejściu M. stanąłem sztorcem. Byłem przecież starym więźniem. Zauważyłem, że są tacy, którzy nic albo prawie nic nie robią. Pupilki Chasińskiego – znajomi czy też koledzy z jednej miejscowości. Jak mogą inni nie pracować ciężko, to czy ja muszę? Zauważyłem, że Chasiński to człowiek bojący. Nie na próżno rozglądałem się i obserwowałem wszystko przez te kilkanaście dni. Gdy odszedł hamulec w osobie M., zacząłem wygrywać dla siebie to, że Chasiński był bojący, ulegał przed siłą. Bez żadnych prawie wstępów i przejść przestałem uczciwie

pracować, a jeszcze po kilkunastu dniach nie robiłem już nic. Właściwie to robiłem trochę – z nudów, i to tylko, co ja chciałem. Jeszcze w górnym tunelu całkowicie osłabiłem tempo ładowania wózków i częstotliwość ich wywożenia. Powiedziałem Chasińskiemu, że takie tempo dobre jest przy jakimś zrywie – przez pół dnia, ale nie na stałe. Gdy powiedział, że brak mu ludzi, wskazałem na jego pupilków, że nic nie robią, to może ich dać. Były trzy wózki, więc dołożył do każdego wózka jednego człowieka. Musiał, bo my robiliśmy, a w tunelu narastała kupa niewywiezionej ziemi. Wynik zwolnienia tempa pracy. Przez to tempo pracy pobiłem jednego Ruskiego. Prosiłem go kilka razy, żeby robił wolniej. My nie mamy jeszcze pół wózka ziemi, gdy u niego już jest z czubem. Stoi i czeka, aż my załadujemy. Teraz tylko potrzeba esesmana albo chociaż Chasińskiego i będziemy się mieli z pyszna. Pytam głupca, czego tak się spieszy.

– Ja tak nauczony robić i inaczej nie potrafię.

Znów tłumaczę mu jak baranowi na miedzy, że nie pracuje dla siebie, tylko dla wroga, że nic więcej nie zarobi prócz trochę wstrętnego żarcia, którego i tak jest mało, żeby żyć, nawet nie pracując. Nic nie pomagało. On nie umiał wolno robić. Gdy znów szybko załadował wózek, wlałem mu – i to dobrze wlałem. Z rozklepanego nosa lała się krew. Jeszcze mu nawymyślałem od obozowych stachanowców i innych, których na pisane słowo nie warto przekładać. Wypędziłem go, żeby poszedł się umyć. Przyznam się, że nie zdawałem sobie sprawy, co robię, gdy go biłem, ale później miałem dobrego stracha. Gdyby on poskarżył się esesmanowi, że ja go zbiłem za to, że on dobrze pracował – to żegnaj się, Stasiu, z życiem. Zabiliby mnie dla przykładu. Sam widziałem, jak za to samo esesman zabił człowieka w Górnym Kamieniołomie – ale to był też dopiero rok 1941. Zabił kostkarza. Bił go kamienną kostką w głowę tak długo, aż któreś z kolei uderzenie ogłuszyło go. Wtedy podniósł z ziemi duży, ciężki kamień i puścił go z góry na głowę leżącego więźnia. Zrobił to spokojnie, w obecności wszystkich kostkarzy. Wina więźnia polegała na tym, że uderzył on innego więźnia za to, że mimo próśb innych robił o pięćdziesiąt procent kostek więcej, niż przewidywała norma.

Praca nasza urozmaicona była tym, że w pobliżu były prywatne chałupy i widzieliśmy cywilnych ludzi i młode kobiety chodzące przy domu w krótkich szortach. Dla mnie już to było ponętnym i ciekawym widokiem. Raz z góry spadła z przestrzeloną nogą młoda sarenka, którą przy nas dorżnięto. Innym razem znów, gdy rano otworzyliśmy furtkę, zobaczyłem, że pierwszy, który wszedł do środka – Włoch – odstawia jakiś dziki, murzyński taniec. Coś trzasnęło też kilka razy. Gdy weszliśmy do środka, okazało się, że przy drzwiach wylegiwało się sześć żmij, każda chyba więcej jak metr długa. Włoch ten tak tańczył po tych żmijach. Później mówił nam, że tam, gdzie on mieszkał, jest dużo jadowitych żmij, ale on się ich nie boi i wie, jak należy się zachować. Muszę przyznać, że ja to bym chyba z taką ferajną żmij draki nie zaczął.

Po zakończeniu rycia w górnym tunelu przeszliśmy bliżej obozu, do głównych tuneli. Tu dopiero pokazałem Chasińskiemu, co ja potrafię. Zgłupiał zupełnie i nie wiedział, co ma ze mną zrobić i jak postępować. Przestałem w ogóle robić. Jeśli nawet z nudów robiłem, to gdy zobaczyłem, że idzie Chasiński, przestawałem robić i zapalałem papierosa. Chasiński się wściekał. Często chodziłem na wędrówkę po obozie. Gdy po dwóch–trzech godzinach wracałem, koledzy mówili, że Chasiński się wściekał, że mnie nie ma.

– Niech się wścieka, jak ja jestem, a nie wtedy, gdy mnie nie ma – odpowiadałem.

Gdy po chwili przebiegał on ze swym kijem w ręku, udawał, że mnie nie widzi. Raz, gdy wpadł Chasiński, przestałem robić, odszedłem na bok i kamieniem prostowałem koniec łopaty. Gdy już ją wyprostowałem, a on jeszcze nie odszedł, wykręciłem się do niego tyłem – że niby go nie widzę – i spokojnie zapaliłem papierosa. Słyszałem, jak krzyczał za moimi plecami, że mam brać się do roboty. Udawałem, że nie słyszę. Nie wytrzymał, skoczył do mnie, wykręcił mnie i mocno popchnął. Równocześnie ja uderzyłem go trzonkiem od łopaty. Uderzyłem na ślepo, więc trafiłem go tylko w ramię. Nastawiłem się do drugiego uderzenia, gdyby znów skoczył do mnie, i powiedziałem:

– Ty – nie wolno ci bić. Jak mnie uderzysz, to ci oddam i będziemy się bili, a wtedy przegrasz.

Nie skoczył. Wykręcił się i odszedł.

Na rusztowaniu przy równaniu sufitu pracował mój przyjaciel Ośka K. z Pskowa. Gdy schodził na dół na papierosa, to ja niejeden raz właziłem na jego miejsce, żeby trochę popracować młotem pneumatycznym. Jednego dnia, pracując młotem, zauważyłem Chasińskiego, jak pędził od strony wejścia w naszym kierunku. Żeby nic złego o mnie nie pomyślał, usiadłem na deskach, a młot położyłem obok. Chasiński stanął dokładnie pod deską, na której siedziałem. Wtedy bez namysłu pchnąłem młot nogą. Spadł tak, że otarł się o jego ubranie. Chasiński odskoczył, spojrzał do góry i chociaż zbladł, ale się uśmiechnął.

– Ja wiem, co ty chciałeś zrobić – powiedział do mnie w południe.

– O co ci chodzi? – zapytałem zdziwiony. – Może o ten młot? Niechcący zawadziłem o szlauch – ot, i wszystko!

Ale wtedy naszła mnie myśl, żeby go uśmiercić. Zrobić coś takiego, żeby wyglądało na zwykły wypadek. Okazja zdarzyła się szybko. Znów wlazłem na rusztowanie i zabawiałem się wbijaniem noży w strop. Chciałem zerwać od razu dużą masę materiału. Wbiłem ze czterdzieści noży. Strop już trzeszczy. Krzyknąłem na chłopaków, żeby odeszli na boki. Podobijałem jeszcze noże… i za chwilę urwie się wszystko. Usiadłem wtedy na deskach w oczekiwaniu na Chasińskiego. Przyleciał. Stanął pod naderwanym stropem i wrzaskiem oraz różnymi wymysłami, grożąc kijem, zachęcał stojących pod ścianą chłopaków do pracy. Wtedy nacisnąłem młot. Trajkotał dziesięć sekund… i strop poleciał na dół. Spojrzałem w dół – Chasiński leży pod ścianą, cały. Uskoczył drań. Jedną sekundę za późno spadł strop. Zawadził go tylko samiutką krawędzią i rzuciło go na ziemię. Ciężar zgniótł wózek, który stał w tym miejscu.

– Dlaczego nie wołasz, że zrywasz? – krzyknął na mnie Chasiński.

– A co? Miałem, bydlaku, na ciebie czekać? – odkrzyknąłem z wściekłością, bo mi się sztuka nie udała. – Ludzie już dziesięć minut stali z boku, to chciałeś ich, baranie, wpędzić pod strop!

Blady był jak ściana. Po tym wypadku zapowiedział wszystkim swoim zastępcom i pomagierom, żeby mnie nie wpuszczali na rusztowanie – i nie wpuszczali. Ale znów trafiła się okazja. Tym razem przyszli specjaliści od wymierzania, poziomowania i innych

choler – z różnymi aparatami mierniczymi, tyczkami i deskami. Kazali mi wiercić dziury w stropie. W dziury te wbijałem kołki. Tym razem mieliśmy młot inny. Taki, który uderzał i kręcił dziurę. Ważył on ze trzydzieści kilogramów. Gdy młot pracował, mieliśmy głowy spuszczone w dół, żeby nam piach nie zasypał oczu. Patrząc w dół, zobaczyłem Chasińskiego. Młot trzymałem razem z Ośką. Gdy go zobaczyłem, powiedziałem szybko: – Puszczaj, Ośka! – i puściłem. Ośka przytrzymał młot już poniżej deski, na której staliśmy, i z wysiłkiem wciągnął go na nią.

Wiercimy dziury dalej, ale Chasiński zauważył, że młot już leciał w dół. od tego czasu więcej do mnie się nie wtrącał. Powiedział mi:

– Rób, co chcesz i jak chcesz, ja się do ciebie więcej nie wtrącam.

Przedtem już prosił moich wpływowych kolegów, żeby mi się postarali o jaką lepszą pracę, tylko żebym poszedł sobie od niego. Kiedyś zwrócił mi uwagę, że niby z jakiego tytułu ja mówię do niego na „ty".

– A jak mam mówić? – zapytałem. – „Panie kapo" czy „panie szefie", tak jak ci inni mówią? Jak nie siedzę dłużej od ciebie, to i nie krócej, a to, że ty masz winkiel – to chyba dowód, żeś głupszy ode mnie, bo ja tego gówna na rękaw bym nie założył.

Winkiel na rękawie to była odznaka „dyplomowanych" kapów.

– A co ty chciałbyś robić? – zapytał znów.

– Nic – odpowiedziałem. – Ja do obozu nie prosiłem się i robić nie będę. Żebyś mi dał taką robotę, na którą musiałbym patrzeć tylko, a że to już nazywałaby się robota, to też robić nie będę.

– Widocznie jeszcze nigdy nie dostałeś dobrego bicia – powiedział.

– No, Ludwik, nie chciałbyś dostać dziesiątej części tego, co ja dostałem. Ale jak mnie w 1941 roku Ott i Kołeczko nie potrafili zmusić do roboty, to ty wybij sobie z głowy, że potrafisz mnie zmusić w 1944 roku. Patrz, Ludwik – tłumaczyłem mu – to każdy Niemiec, każdy bandyta, każde bydlę uszanuje starego więźnia, a tylko ty tego nie uznajesz. Masz nas tylko dwóch – Antka i mnie – i chcesz, żebyśmy robili więcej jak inni. Antek silny i głupi – to też robi jak głupi (był on maszynistą przy maszynie tnącej ścianę). A ja robił nie będę.

– Ja was gonię, bo jesteście silni, dostajecie paczki i możecie pracować.

– To ty myślisz, że mnie matka po to paczki przysyła, żebym ja tu więcej pracował, czy po to, żebym utrzymał się przy życiu, co?

– Widzisz, zamknęli nas do obozu i tu musimy pracować. Ja byłem muzułmanem, a że pracowałem dobrze, to poznali się na tym i zrobili mnie kapem. To teraz muszę dać jeszcze większą wydajność pracy.

– To rób sam – powiedziałem mu – ale nie pędź kołkiem ludzi do roboty, bo ich do grobu wpędzasz.

Jak już mnie dobrze zgniewał, to zacząłem mu „szyć buty" w obozie. Rozpowiedziałem o nim wszystkim tym kolegom, od których mógł coś potrzebować. do kogo się po coś zgłosił, od każdego otrzymywał kazanie i wskazanie, że ma mnie zostawić w spokoju. Gdy w południe, po zjedzeniu obiadu, siedzieliśmy w kupie, Chasiński zaczął przemowę do ludu w takim stylu:

– Tak. Drugim Loosenem mnie robią. To ja dla ludzi jak ojciec. U mnie ludzie wychowanie mają.

– Sam siebie wychowaj na początek – wtrąciłem się.

Ale on mówił dalej:

– A taką opinię robią mi w obozie. Bandyta, drugi Loosen. Ale ja wiem, kto mi to robi. Teraz nic nie będę mówił – ciągnął dalej – ale jak się wojna skończy, to mu się odegram.

– A jak ten, który ci to robi, okaże się lepszym cwaniakiem od ciebie i zanim go ruszysz, to już cię kosą naszpikuje? – zapytałem.

– No, zobaczymy! – rzekł Chasiński.

– Ano, zobaczymy! – odpowiedziałem i tak wyglądało zakończenie kazania.

Jak odczepił się ode mnie, to i ja odczepiłem się od niego. Już mu nie szkodziłem, dopiąłem swego, odczepił się i to mi wystarczyło.

Robiłem później przy wypychaniu wózków z tunelu. Zamiast wypychać po jednym wózku, zbieraliśmy ich pięć w korytarzu i wypychaliśmy jednocześnie. Wkładaliśmy w to pchnięcie maksimum wysiłku, ale potem mieliśmy godzinę odpoczynku.

Jak dobrze poszło, to wózki siłą rozpędu wpadały aż do korytarza, a my tylko trochę z tyłu popchaliśmy i już wózki były w hali. Reszta już nie do nas należała. Piszę – jak dobrze poszło. Bo jak poszło źle,

to gdy wózki wpadły na zakręt, a któryś z nich wyskoczył z szyn, to robiła się z wózków jedna wielka kupa, którą musieliśmy rozplatać i wtedy już pojedynczo wepchnąć do tunelu. **Przy wypychaniu wózków pracowało czterech, a ja piąty przyłączyłem się do nich. Przecież mogłem robić, co mi się podoba. Z innych korytarzy wypychali wózki pojedynczo. To była już lepsza robota, bo nie musieliśmy siedzieć pod ziemią, tylko siedzieliśmy przed wejściem do tunelu na ławeczce, którą sami sobie zrobiliśmy. Pracowaliśmy bez koszul. Gdy wchodziłem do tunelu, to czułem od razu zimno i wilgoć panujące w środku. Przy pierwszym wejściu robił inny kamieniarz, bokser z Poznania, który przy każdej okazji szukał zaczepki. Może dlatego, że byłem warszawiakiem, a oni w większości swej nienawidzili warszawiaków i to bez żadnej umotywowanej przyczyny. Wreszcie wpadliśmy na siebie. Złośliwie wypchnął wózek na pół drogi i my nie mogliśmy wypchnąć swoich.**

– Zaczekaj – mówię mu – wypchniemy nasze i wy możecie się grzebać ze swoimi.

Wypychamy z korytarza nasze wózki i stop. Stoi znów jeden na drodze. Musieliśmy wtedy przepchnąć jego wózek i kolejno przepychać nasze, bo już nie było rozpędu, żeby je przepchnąć przez zwrotnice. Gdy zrobił nam to któryś raz z rzędu, ostrzegłem go, że oberwie po mordzie, jeśli zrobi to jeszcze raz. Odszczeknął się, że takim jak ja to on czterem daje radę, i znów zastawił nam drogę. I co się okazało – mało, że nie dał mi rady, ale zbiłem go jak kota w worku. Już mi samemu było go żal, ale musiałem bić, bo wciąż do mnie skakał i starał się bić po boksersku prostymi. Szedłem na siłę do zwarcia i waliłem po swojemu – ręką, głową i nogą. Po godzinie, gdy wszedłem do trzeciego tunelu, siedział na ziemi i przykładał do guza zimne żelazo. Prawie że płakał, gdy zawołał do mnie:

– Patrz, coś ty ze mnie zrobił, jak ja teraz pójdę do obozu.

– Dostałeś to, co sam chciałeś. Prosiłem ciebie, to robiłeś specjalnie na złość, bo miałeś chęć pobić mnie, a nie wiedziałeś, jak zacząć. Jak widzisz, boks to jeszcze nie wszystko.

Już po bijatyce dowiedziałem się, że szykował się na mnie. Chwalił się, że mnie pobije, i szukał tylko okazji. Później mnie więcej nie zaczepiał. Był i w naszej grupie jeden były kamieniarz, który znów gdy trzeba było wypychać wózki, szedł do ustępu. Zwróciłem mu uwagę, żeby do ustępu

chodził po wypchnięciu wózków, bo ma na to godzinę czasu, a wypchnięcie wymaga maksymalnego wysiłku i wtedy muszą być wszyscy.

– Przecież ja tu nie muszę robić, a jednak robię, nie po to jednak, żebym miał robić za ciebie.

Gdy znów się urwał, kiedy w korytarzu już dołączyli piąty wózek, zawróciłem go. Wypchnęliśmy wózki i już nie potrzebował iść do ustępu. Ostrzegłem go, że dostanie po ryju, jak jeszcze raz tak zrobi.

– Uważaj, żebyś ty ode mnie nie dostał – odpowiedział mi. – Tylko że ja słabszych nie biję.

– A ja biję! – wrzasnąłem wściekły i grzmotnąłem tego silnego łbem. Nawet nie ruszył się do mnie. Widocznie naprawdę wolał słabszego nie bić.

Kamieniarze – starzy więźniowie – urywali się do innych, lepszych grup roboczych, a że mnie już tu było dobrze, to wcale nie miałem zamiaru do zimy zmieniać miejsca pracy.

W tunelach pracowaliśmy na trzy zmiany. Gdy kamieniarze poprzechodzili do innych prac, do naszego tunelu przyszli prawie sami Rosjanie. Wśród nich był jeden Polak z Łotwy – czy coś takiego. Nie pamiętam dobrze, ale chyba był z Dyneburga. Umiał dobrze mówić po rosyjsku i tłumaczył mi słowa rosyjskie, których nie rozumiałem. Ośka dyktował mi słowa piosenek rosyjskich. Józiek tłumaczył niezrozumiałe słowa, a w południe i na bloku śpiewałem razem z Ośką, żeby uchwycić akcent. W ten sposób, pracując razem z Rosjanami, bardzo szybko nauczyłem się mówić po rosyjsku i mówiłem tak, że nawet Rosjanie pytali mnie niejeden raz, czy ja nie Ruski, i nie wierzyli, że w obozie tak mogłem opanować język. Musiałem, bo byłem jeden Polak w dużej grupie Rosjan.

Siedzieliśmy sobie raz przed wejściem, czekając, aż naładują nam wózki, gdy z tunelu wyskoczył Chasiński i z krzykiem kazał nam brać łopaty i oskardy, bo w tunelu wybiło źródło i wszystko zalewa woda. Chłopaki już się ruszyli, gdy zatrzymałem ich i mówię do Chasińskiego:

– Dlaczego my mamy to robić? Weź tych, co w środku robią łopatami. Jak oni będą kopali rowek, to nie będą robili innej roboty, a my swoje wózki wypchnąć i wepchnąć musimy.

– Ale wy siedzicie i nic nie robicie! – wrzasnął ze złością.

– A – o to ci chodzi? No to będziemy ci robili bez przerwy, bez odpoczynku, ale zawsze będziesz miał w tunelu zator i brak wózków – i nic nam nie zrobisz, bo nawet na minutę nie usiądziemy. Wtedy chyba będziesz zadowolony, że dobrze pracujemy.

Nic nie powiedział, tylko wściekły popędził do tunelu i przy końcu korytarza wejściowego sam, manifestacyjnie, oskardem zaczął kopać rowek. A my staliśmy przy wejściu i patrzyliśmy się. Józiek nie wytrzymał. Podszedł do niego i mówi:

– Panie kapo, pan da oskard, teraz ja pokopię trochę.

– Od… się, bo cię zabiję! – wrzasnął Chasiński i zamierzył się na niego oskardem.

Józio uciekł, a ja tylko powiedziałem mu, żeby zostawił bydlaka w spokoju. Niech robi sam, przypomni sobie, jak wygląda robota, bo już pewnie zapomniał.

Innym razem chęć zabrania nas do innej roboty mogła się dla mnie skończyć tragicznie. Kapo pierwszego tunelu – Sęp go nazywali – bandyta, który w pierwszych latach wymordował dużo osób, chciał zabrać nas do przetoczenia wózków z jego tunelu. Kazał nam iść za sobą – to poszliśmy. Przy wejściu do jego tunelu zaczął nam rozkazywać, co mamy robić. Te wózki z ziemią przesunąć na ten tor, te puste tu, te tu, a te znów tu. Wysłuchałem i mówię mu, że my robimy u Ludwika i tylko on może nam kazać coś robić, a ty masz swoich ludzi, to niech oni to zrobią. Zawróciłem naszą grupę z powrotem i ja popycham ich w stronę naszego korytarza, a Sęp w stronę swoich wózków. Wreszcie, wściekły, uderzył mnie pięścią w twarz – i w tym momencie dostał tak łbem, że się nogami nakrył. Wtedy zacząłem kopać, gdzie popadło, żeby nie dać mu się podnieść; kopałem po brzuchu i po bokach. Kilka razy zawadziłem o twarz. Bałem się, że gdy się podniesie, to wtedy będzie gorzej ze mną – więc bić tak, żeby go ogłupić całkowicie. Chyba dawno nie dostał tak jak wtedy. On wiedział tylko, jak mordować muzułmanów. Jego metodą było po zwaleniu z nóg położyć na gardle trzonek łopaty – sam stawał na trzonku i bujał się na nim z boku na bok, patrząc, czy jego ofiara żyje jeszcze. Pamięć o tym była też przyczyną, że biłem go bez litości. Gdy już go zostawiłem w spokoju,

miał całą twarz umazaną we krwi. To bydlę, zamiast się umyć, łaził taki uczerwieniony i czekał na esesmana, żeby mu się poskarżyć. Wtedy dopiero połapałem się, że ze mną może być nieklawo. Przecież w poprzednich latach wystarczyło zasłonić się rękami, a już powiedzieli, że chciało się kapa uderzyć, i zabijali takiego dla przykładu.

To był czerwiec 1944 roku, ale to było coś więcej jak zasłonięcie się przy biciu. Teraz, pomyślałem, jak przyjdzie jaki esesman, to mnie zastrzeli albo każe wykończyć. Chyba po półgodzinie przyszedł esesman. I znów troszeczkę szczęścia. Przyszedł esesman, którego przezywaliśmy „Tukan" z powodu jego długiego nosa. Jeden z najlepszych esesmanów – ten sam, który miał dyżur w pufie wtedy, gdy na moje nazwisko poszedł tam Ośka. Sęp z mordą czerwoną od zaschniętej krwi melduje esesmanowi, że go pobiłem. Pokazał mnie palcem. Stałem przed wejściem do tunelu w spodniach tylko, bez koszuli. Tukan włożył ręce w kieszenie, a ja patrzę tylko, co on teraz z kieszeni wyciągnie. Wyjął skórkowe rękawice, założył na ręce – żeby nie poodbijać sobie knykci i nie pokrwawić rąk. Nie wołał mnie, lecz sam do mnie podszedł i pyta, czy rozumiem po niemiecku.

– Nie – odpowiedziałem.

On mimo to mówił dalej:

– To ty nie wiesz, że kapa trzeba słuchać? To ty nie wiesz, że kapa nie wolno uderzyć? – I łup mnie w pysk, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Tylko za każdym uderzeniem waliłem łbem w ścianę. Rozkraczyłem się i bij, myślę sobie, taka kreatura nie zwali mnie z nóg.

Walił mnie tak kilka minut. Pobił mnie, pokrwawił, ale z nóg nie zwalił. Nie dostałbym może tyle, gdybym swoim dawnym, muzułmańskim systemem po każdym uderzeniu przewracał się. Ale w tym czasie nie honor byłoby dla mnie, gdyby mnie taki byle jaki facet zwalił uderzeniem pięści.

Następnego dnia przyszedł do mnie Sęp i dał mi do ręki oskard. Wziąłem oskard i patrzę, co on będzie jeszcze chciał.

– Chodź ze mną – mówi Sęp.

Odrzuciłem oskard, pokazałem palcem na czoło i roześmiałem się, mówiąc:

– Głupi jesteś, no nie?

Sęp złapał za kołek. Odskoczyłem, złapałem żelazną sztangę do podważania kamieni i trzymając ją odpowiednio, stanąłem przed nim w oczekiwaniu, że może jednak skoczy. Przygotowany byłem na to, że go zabiję. Patrzyłem na niego uważnie i spokojnie mówiłem po polsku:

– No skocz, skocz – a zabiję na pewno.

Odszedł, odgrażając się, że jeszcze go popamiętam. Dobrze, dobrze. od tego dnia byłem dla niego powietrzem, nie widział mnie. Nie przeszkadzało mi to być zawsze w czujnym napięciu, gdy znajdował się w pobliżu mnie. Przestawałem pracować – jeśli przypadkiem wtedy robiłem – i nie spuszczałem z niego oka. Chciał mnie wtedy wykończyć. Postawiłby mnie z oskardem do kucia ściany, a sam waliłby bez przerwy kijem, aż do zabicia.

Papierosy w pracy paliliśmy zupełnie oficjalnie. Problemem było tylko przypalenie papierosa. Trzeba było wychodzić z tunelu i jak była lokomotywa, to prosiłem, żeby ruszyli szybrem. Wylatywały wtedy na ziemię małe węgielki i od nich przypalałem papierosa, a jak był ogień, to zapalali wtedy wszyscy, którzy mieli co zapalić. Lokomotywą jeździł Genek Szymaszczyk z Warszawy i Hubert Niewidok. Dawałem im też kartofle do pieczenia. Robiłem to dla moich Ruskich, którzy organizowali kartofle, a nie mieli możności upiec ich albo ugotować. Moje chłopaki w lokomotywie robili wszystko. Gotowali w palenisku, a piekli w kominie. Kartofle nawlekało się na gruby drut, który wpuszczało się do komina i zaczepiało u góry o brzeg komina. Kartofle piekły się dobrze, tylko miały na sobie warstwę sadzy i chociaż się ją zeskrobywało, to jednak przy jedzeniu ręce i usta były czarne. Ale Rosjanie i tak byli mi wdzięczni za to. Gotowane były lepsze, ale za dużo było tego, żeby wszystkie można było ugotować, a ja też nie mogłem mieć całej lokomotywy do swojej dyspozycji.

Innym sposobem zdobywania ognia było przypalanie od żarówki. W tunelu świeciły się żarówki o mocy dwustu watów. Były one w oprawkach przykręconych do ścian. Wyrywało się z podszewki marynarki kawałek materiału, który kładliśmy na żarówce. Po kilku minutach szmata tliła się i powstawał żar, który się rozdmuchiwało i przypalało papierosa. Przy tej metodzie często trzaskały żarówki –

ale nas mało to obchodziło. Zakładano nowe. Że tak trudno było o ogień, kupiłem sobie za dwa bochenki chleba zapalniczkę obozowej produkcji, którą po trzech dniach najformalniej wyrzuciłem, i to tak, że już jej nikt nie odnalazł, bo rzuciłem w kupy kamieni. Wystarczyło, że chłopaki raz tylko zobaczyli u mnie zapalniczkę. Przez te trzy dni nic innego nie robiłem, tylko dawałem ognia wszystkim, którzy do mnie po ogień przychodzili. Zapalniczki mieli kapowie i blokowi, ale do nich żaden muzułman nie poszedł po ogień, a do mnie leźli wszyscy. Jakby się umówili. Widzi taki baran, że inny pali, to nie podejdzie do niego, tylko do mnie i… daj ognia! Trzeciego dnia, gdy byłem trochę w złym humorze, a nie wiem który już z rzędu przyszedł po ogień, dałem mu ognia i zapalniczkę wyrzuciłem. Szukało jej kilku chłopaków, ale nie znaleźli – a ja znów miałem spokój.

Zaglądał do nas czasem jeden esesman z poczwórnym zezem. Nikt go się nie bał, chociaż często bił. Sam jego wygląd już rozśmieszał. Widziałem kiedyś, jak uderzył jednego młodego chłopaka, ale tamten uciekł i nie czekał na dalsze bicie. Stał on oparty na łopacie. Esesman stanął przed nim i patrzy w bok, ale jego widzi. Spojrzałem i widzę, że chłopak nawet nie drgnie, stoi dalej, tak jak stał, tylko też zrobił zeza, ściągnął oboje oczu do nosa tak, że tylko mu było widać białka. Wtedy esesman go uderzył. Innego znów dnia Ośka dostał od niego w pysk ku ogólnej radości esesmana, Ośki i tych, co to widzieli. Gdy esesman wszedł do tunelu, Ośka stał w kłębach dymu z papierosa. Gdy spostrzegł on esesmana, papieros znikł. Przylepiony był on do języka czy też do wargi tak, że ten kawałek papierosa schował do ust. Esesman podszedł i pyta Ośki, dlaczego pali, a ten nic nie odpowiada, tylko odważnie patrzy na niego i kręci głową, że nie palił. Powiedzieć nie mógł, bo miał papierosa w ustach. Esesman spojrzał mu w dłonie, rozejrzał się dokoła, czy nie zobaczy gdzieś niedopałka, ale że nie zobaczył, to poszedł dalej. Wtedy Ośka znów wystawił z ust papierosa i ciągnął z całej mocy, żeby go rozpalić, bo już zgasł. W tym momencie esesman obejrzał się za siebie i znów zobaczył Ośkę w obłokach dymu. Wrócił, zajrzał mu w ręce i walnął w twarz. Wtedy Ośce wypadł niedopałek, którego on znów zdążył schować w usta. Ośka zatoczył się i uciekł zadowolony z kawału. Esesman spojrzał na niedopałek, pokazał palcem z zadowoleniem, że

jednak go znalazł, a my, którzy tę scenę widzieliśmy, też śmialiśmy się z jednego i z drugiego. Staraliśmy się umilać sobie to ciężkie życie.

Gdy pracowaliśmy na nocną zmianę, a ogłaszano alarm lotniczy, wpędzano nas do tuneli, a esesmani stali wtedy w wyjściach. Robiono tak dlatego, żeby nikt nie uciekł, bo wygaszano światła. Siedzieliśmy wtedy w tunelach w całkowitych ciemnościach. Czas urozmaicaliśmy sobie śpiewaniem piosenek. Rosjanie śpiewali chórem. Proszono też Ośkę, żeby sam coś zaśpiewał. Śpiewał dobrze, miał ładny głos i duży repertuar. Gdy śpiewali wszyscy, Ośka był zapiewajłą, **tym, który śpiewał solo pierwszą część piosenki**. Śpiew zbliżył nas do siebie i stał się początkiem naszej naprawdę wielkiej i szczerej przyjaźni, która trwała do końca wojny.

Gdy pierwszy raz wygaszono w nocy światła i chłopcy śpiewali, po zaśpiewaniu kilku piosenek prosili jakiegoś Iwana, żeby zaświstał. Iwan nieśmiało wymawiał się, w końcu zaświstał. Pięknie, naprawdę pięknie gwizdał. Gwizdał dwie czy trzy piosenki. Gdy skończył, dałem mu kilka papierosów, a tych, co śpiewali, też poczęstowałem. Po odwołaniu alarmu wszyscy sobie uczciwie popalili.

W naszej grupie ja byłem najlepiej sytuowany. Po pierwsze – że jako Polak otrzymywałem paczki, po drugie – że byłem starym więźniem, dobrze w obozie zorganizowanym, no i po trzecie – że zarabiałem graniem i innymi kombinacjami. Nigdy nie wypaliłem całego papierosa. Gdy zapalałem papierosa, to nikt się tym nie interesował, ale gdy już pół wypaliłem, to krok w krok za mną szło już dwóch–trzech chłopaków. Wiedzieli, że im resztę oddam. Jeżeli widziałem, że ktoś poluje na niedopałek, nigdy nie rzuciłem go na ziemię. Gdybym rzucił, to wtedy uda się złapać jednemu tylko, a tak to dawałem resztę jednemu do ręki, mówiąc, że mają wypalić razem. Wychodziło mi codziennie czterdzieści–pięćdziesiąt papierosów – a sam nie wypaliłem więcej jak dwadzieścia sztuk. Nie wliczam w to papierosów, którymi płaciłem za różne usługi, i tych, które dawałem swoim podopiecznym. Niejeden raz dawałem też kapom, żeby moi podopieczni mieli spokój w pracy.

W nocy pracowało się spokojniej niż w dzień, bo nie było tylu kapów. Nie było też Chasińskiego i esesmanów. Były tylko posterunki i komendant posterunków. W nocy robiono nam półgodzinną

przerwę na odpoczynek. Po przerwie znów nas liczono i praca do rana. Jednego dnia, a właściwie jednej nocy, okazało się po przerwie, że jednego brak. Przeliczono nas trzy razy – brak. Wpędzili nas wszystkich do tunelu, żeby szukać brakującego. Przeszukaliśmy – nie ma go. Gdy znów wywołano nas na zbiórkę i każdy martwił się, co będzie, jeśli naprawdę jeden uciekł – zobaczyłem brakującego. Spał sobie spokojnie pod ławeczką, przy samym wejściu do tunelu. Przechodząc, kopnąłem mocno leżącego pod ławką. Obudził się i ustawił się w szeregu. Nawet sam nie wiedziałem, kto to był. Obudziłem go dyskretnie – kopnięciem, żeby nikt nie zobaczył, kogo było brak, bo dostałby on solidne bicie. A tak to nikt nie wiedział i w końcu nie byli pewni, czy poprzednio źle nie obliczyli.

Innym razem powiedział mi Ośka, że w bocznym tunelu ktoś śpi w wózku. Sprawdziłem – jest. Wypchnęliśmy wózek z tunelu – dołączyliśmy do wózków z piaskiem i lokomotywa zawiozła go na usypisko. Pojechaliśmy wszyscy, żeby zobaczyć, jak on się obudzi. W tym miejscu usypisko miało chyba z osiem metrów wysokości. Gdy wywróciliśmy kapelusz wózka, rozległ się niesamowity wrzask. Facet nie wiedział, gdzie leci i co się z nim dzieje. Dopiero gdy wylądował na dole i posłyszał nasz śmiech u góry, oprzytomniał i połapał się, co się z nim stało.

Taką zabawę urządziliśmy po to, żeby inni nie spali w czasie nocnej zmiany, bo narażają tym innych, a i sami narażają się na bicie, przy którym nietrudno postradać życie. Przecież ten bałwan tak mocno spał, że nie słyszał, jak wózek przetoczyliśmy przez zwrotnicę. Nie obudził go ruch i szczęk wózków przy wyładunku, to nie obudziłby się taki bałwan i na zbiórkę, na której brakowałoby jednego, a inny, który by go znalazł, nie postąpiłby tak jak ja z tym śpiącym pod ławką, tylko narobiłby krzyku, że zguba się znalazła, a wtedy bicie pewne za spanie i za nerwy komendanta posterunków.

W czasie dziennych zmian mieliśmy inne rozrywki. Stałą rozrywką było wciąganie się pod pompę, stojącą na trasie, którą szliśmy do pracy. Każdego dnia kogoś wykąpano. Robiono to z całym humorem i zadowoleniem.

Tuż przed tunelem były parterowe domki, w których mieszkała ludność cywilna. Trzy metry przed domkami były druty, za którymi

stały posterunki. Utkwiła mi w pamięci starsza, siwa kobieta, która mieszkała w jednym z tych domków. Stała ona często w oknie i przyglądała się, jak pracujemy. Była zawsze smutna. Uśmiechała się tylko wtedy, gdy ktoś z nas spojrzał jej prosto w oczy. Zapoznaliśmy się z sobą i rozumieliśmy się, mimo że nie zamieniliśmy z sobą ani jednego słowa. Gdy przechodziłem wzdłuż drutów, patrzyłem w jej okno lub drzwi. Gdy mnie zobaczyła, uśmiechała się i oboje robiliśmy nieznaczny ruch głową oznaczający powitanie. Robiłem to dyskretnie, żeby nie zauważył esesman stojący na posterunku i żeby nie widzieli inni więźniowie. Lubili ją wszyscy za jej mądre oczy, patrzące na nas z litością i współczuciem.

Opowiadał mi jeden więzień, że widział ją raz w naszym obozowym szuhausie, do którego wezwano go na przesłuchanie. Widział, jak prowadzili ją esesmani na przesłuchanie, że jakoby miała ona w jakiś sposób pomagać więźniom. On też miał z nią porozumienie wzrokowe i mówił, że przed tym przesłuchaniem rozmawiała ona z więźniami. Po przesłuchaniu dopiero nabrała wody w usta i rozmawiała tylko oczami. Mnie i to dawało pewne zadowolenie.

Wielkim dla mnie przeżyciem było spotkanie ze Stefkiem Krukowskim. Przyszedł do mnie jakiś więzień i powiedział, żebym szybko pędził na rampę, bo tam jest mój przyjaciel z Mauthausen. Przyjechał samochodem w asyście esesmanów i rozdaje chłopakom tytoń, żeby mnie szukali. Popędziłem na rampę kolejową – a nie było to od tunelu daleko. Gdy dobiegałem, samochód ciężarowy już ruszał. Krzyknąłem na Stefana, którego zobaczyłem na tyle platformy. Samochód zatrzymał się i Stefek wysiadł. Wyżarty i elegancko ubrany. Samochód z esesmanami czekał, a my rozmawialiśmy. Stefek był kapem w magazynie bieliźnianym i mundurowym dla SS – tak jak Heniek B. w Gusen. Tylko że Stefan – jak dowiedziałem się od niego po wojnie – doszedł do tego własnym sprytem i przemysłem, a nie dzięki poparciu i splotowi pewnych okoliczności, jak Heniek B.

Rozmowa była krótka. Stefek mówił:

– Powiedziałem szoferowi, że mam tu brata, i kazałem szukać ciebie, a nie wiedziałem, gdzie pracujesz. Pytałem się o ciebie w Mauthausen tych, co przybyli z Gusen. Powiedzieli mi, że nie

żyjesz, ale ja im nie wierzyłem i tu kazałem ciebie szukać. Przyjechaliśmy po mundury na rampę.

Odpowiedziałem mu, że był czas, gdy było mi ciężko, ale teraz po wyglądzie może ocenić, jak mi się żyje. No i najważniejsze, że żyjemy; teraz chyba dociągniemy do końca.

Stefka w Mauthausen nazywali królem prominentów. Zorganizował się bardzo dobrze i dużo ludziom pomagał – ma też obecnie wielu obozowych przyjaciół – ale najlepszym przyjacielem nazywa on mnie, i dla mnie Stefek jest najlepszym przyjacielem, jakiego w życiu swym do chwili obecnej miałem.

Żywił on, jak sam mówi, obecnego premiera Józefa Cyrankiewicza. Żywił go w dwudziestu pięciu procentach, w siedemdziesięciu pięciu pomagał mu kto inny. Po wojnie, gdy Stefek był u premiera z delegacją Stronnictwa Demokratycznego, w którym Stefek po wojnie pracował, Cyrankiewicz powiedział:

– My chyba się znamy.

– Możliwe – odpowiedział Stefan i przesunął się w inne miejsce. „Jak on mnie nie poznał – mówił mi Stefek – to i ja jego też nie musiałem poznać”.

Stefan to charakter – boso, ale w ostrogach – miał rację.

Nie rozmawiałem z nim wtedy dłużej jak pięć minut, bo szef jego machał ręką, wołając:

– Sztefek, komm!

Ucałowaliśmy się. Stefan dał mi wyciągnięte z kieszeni kilka paczek tytoniu i papierosów. Nie chciałem brać, ale wcisnął mi w ręce, mówiąc, że mu to zostało z tego, co miał rozdać, żeby mnie szukali. Gdy samochód już ruszył, krzyknął jeszcze:

– Trzymaj się! do zobaczenia na wolności!

– Do zobaczenia na wolności! – odkrzyknąłem mu.

– Już niedługo! – krzyknął jeszcze, i drugi raz zobaczyliśmy się dopiero na wolności, w Warszawie. Był wtedy lipiec 1944 roku.

Dużym urozmaiceniem były dla nas codzienne alarmy lotnicze w dzień. Trwał taki alarm od jednej do trzech godzin. W czasie

alarmu wszystkich pędzono do tuneli. Gdy ogłaszali alarm, właziłem na rusztowanie i kładłem się na desce z marynarką pod głową. Wykorzystywałem alarmy na wypoczynek. Mimo poprawy warunków nie zaniedbałem wykorzystywania każdej dogodnej chwili do odpoczynku. Mimo gwaru na dole spałem sobie spokojnie na swojej desce, a ci z dołu patrzyli się i kombinowali, czy spadnę na dół, czy nie. Szczególnie wtedy, gdy przewracałem się z jednego boku na drugi. Deska była twarda i było zimno w tunelu, ale co spałem, to spałem. Nalotów nie było, były to tylko przeloty samolotów. W tunelach światło paliło się. Ale doszło do tego, że słyszeliśmy huk bomb bombardowanego Linzu, odległego o dwadzieścia cztery kilometry. Wtedy gasły w tunelach światła. Stasiu, urywaj się z tunelu w czasie alarmu! Tu bez alarmu zawalają się stropy i zabijają ludzi. Jak padnie chociaż jedna bomba, to będzie „familijny klops". Niech tu uciekają ci, którzy nie znają tuneli. Może bezpiecznie było w tym miejscu, gdzie już ściany i strop obłożone były kamieniami – ale tam dalej to na pewno nie. Gdy wszyscy uciekli do tuneli, ja – gdy tylko zawyła syrena – gnałem na nasyp wysypiska i siadałem między wózki albo pod kapeluszem wózka. Gdy ogłaszano alarm, lokomotywa zabierała wszystkie stojące na zewnątrz wagoniki i wywoziła je jak najdalej od wejścia do tuneli. Przyjemnie tu było. Słońce, powietrze, i – samoloty aliantów, które leciały fala za falą i waliły bomby na Linz. Słychać było wybuchy, a nawet widać było maleńkie dymy wybuchów. To była radość – widzieć to własnymi oczami. Raz tylko miałem stracha. W pobliżu, nad Dunajem, była zapora artyleryjska i przez tę zaporę musiały samoloty przelecieć. Niebo było usiane dymkami wybuchów, białymi i czarnymi. Wokół padały odłamki pocisków artylerii przeciwlotniczej. Naliczyłem wtedy ponad tysiąc dwieście samolotów – i więcej już nie liczyłem, chociaż szły one dalej. Szły grupami – nie pamiętam już – ale chyba po szesnaście samolotów w grupie. Wszystkie białe i w każdej grupie jeden ciemny samolot. do dzisiaj nie wiem, po co był ten czarny. Widziałem wtedy pięć strąconych samolotów. Jeden rozleciał się w powietrzu, a całe skrzydło upadło nie dalej jak o sto metrów od miejsca, w którym siedziałem. Z jednego wyskoczyła obsługa na spadochronach. Ten został trafiony za obozem, a w okolicy

spadochronów rozerwało się kilka pocisków artylerii przeciwlotniczej. do jednego strzelał nawet z karabinu posterunek za moimi plecami. Jeden lotnik wylądował wśród baraków SS. Gdy już był kilkadziesiąt metrów nad ziemią, podniósł ręce do góry – ale esesmani i tak strzelali do niego. Gdy już prawie dotykał nogami ziemi, przejechał się po nim serią z automatu esesman Kilerman. Lotnik żył jeszcze. Wpakowano go do naszego rewiru. Nad ranem odzyskał przytomność i nawet rozmawiał trochę z lekarzem więźniem, który znał język angielski, ale po godzinie zmarł.

Jeden samolot rozleciał się w kawałki w odległości kilometra od obozu i spadł na teren całkowicie widoczny z mojego miejsca. na ziemię leciały różne części, papiery… i ludzie bez otwartych spadochronów. Widziałem ich ostatnią drogę do ziemi. Później widziałem tylko ich nogi w skórzanych butach, wystające spod przykrycia, gdy ich wieziono wózkiem drogą obok tuneli. Mówił mi Stefek Krukowski, już w Warszawie, że wszystkich lotników, których wtedy złapano – to znaczy tych, którzy wyskoczyli ze spadochronami, w liczbie kilkunastu – wykończono w ciągu kilku dni w Mauthausen, każąc im bez przerwy nosić kamienie z kamieniołomu po tych diabelskich schodach do góry.

U nas opowiadano zawsze, że Amerykanie bardzo dokładnie trafiają bombami w cel. I oto słyszę gwizd, huk i bomby walą się jedna za drugą na łąkę już w obrębie obozu, zbliżając się w moim kierunku. Wtedy dostałem stracha. Dobrze celują, pomyślałem, jak zaczynają walić bombami już kilometr przed obozem. Byłem pewien, że jedna grupa bombarduje przemysł zbrojeniowy w obozie, a tych baraków było do cholery. Nie wiedziałem, gdzie uciekać. Zsunąłem się z nasypu na drogę i położyłem się w małym rowku przy jezdni. Żeby mi coś zrobić, musiałby trafić dokładnie w jezdnię, bo z jednej strony było usypisko, z drugiej góra. Gdy zbiegłem z nasypu, pomyślałem, że teraz może strzelić do mnie posterunek, że w czasie alarmu znajduję się tuż przy linii posterunków. Spojrzałem, czy posterunek nie ma zamiaru strzelać, i zobaczyłem, jak ucieka on pod górę. Upadł mu karabin, wrócił się kilka kroków, spojrzał w górę, machnął ręką i uciekał dalej, a karabin zostawił. Gdy po minucie czy po dwóch wlazłem znów na nasyp – bo tu było niebezpiecznie ze

względu na bliskość posterunków – zobaczyłem lotników bujających się na spadochronach, a posterunek, ten sam, który przed chwilą uciekał tak, że zgubił karabin, teraz strzelał do lotników. Strzelał widocznie tylko dla dodania sobie animuszu po poprzednim strachu, bo ci na spadochronach byli zbyt daleko, żeby można było trafić którego z karabinu. To już większą szansę mieli ci, co strzelali do nich z dział przeciwlotniczych.

Bomby, które widziałem i które tak mnie przestraszyły, zostały prawdopodobnie wyrzucone przez ranny samolot. To był nalot, który dostarczył nam najwięcej emocji. Ci, co siedzieli w tym czasie w tunelach, nic nie widzieli – słyszeli tylko wybuchy. Szczęśliwie żaden strop nie zarwał się. Chłopaki zbierali później różne papierki, naboje lotniczych karabinów maszynowych, z których robili zapalniczki, i szkło plastyczne z szyb samolotów, z którego robili fifki do papierosów.

Jak wspomniałem, w obozie byli Ukraińcy-SS, którzy pełnili służbę posterunków. Linię posterunków ustawiono w przeplatankę – jeden Niemiec, jeden Ukrainiec, znów Niemiec i znów Ukrainiec. Niemcy nie dowierzali Ukraińcom i chyba mieli rację. W obozie naszym i nam znana była nienawiść Ukraińców do Niemców. Znane były nam wypadki zbiorowych bijatyk wśród SS. Stworzyły się dwa obozy: Ukraińcy i Austriacy przeciw Niemcom i Rumunom. W kraju dowiedziałem się, jak niesławnie zapisały się tu formacje Ukraińców-SS. W obozie nie mogliśmy nic złego o nich powiedzieć. Jeśli ktoś mógł mówić o nich źle, to tylko Niemcy. Ostrzegali się oni przed Ukraińcami, że strzelają do Niemców, jeśli który zbliży się do linii posterunków.

Kiedyś w czasie nocnej zmiany, gdy słońce już zaczynało wschodzić, posterunek, który siedział za drutami nad naszym wejściem, krzyknął głośno do następnego:

– Iwan! W tej chwili nasze „katiusze” już grać zaczynają!

Zawołał to po rosyjsku, bo oni prawie wcale po niemiecku nie umieli mówić.

Innym razem kapo Sęp, ten, którego natłukłem, po wydaniu obiadu rozdawał dolewki – i dawał tylko samym Niemcom. Wtedy jeden Ruski zaczął wymyślać, że robią wszyscy, to wszystkim należy się dolewka. Sęp położył chochlę i walnął krzyczącego kilka razy w twarz. Ten odszedł dalej i wymyślał, już po rosyjsku. Taka rzecz niemożliwa była do 1943 roku – zabiliby go na pewno. Posterunek siedzący przed wejściem zapytał łamanym językiem niemieckim Sępa, za co uderzył więźnia.

– To jest moja rzecz, nie twoja! – odpowiedział Sęp.

– *O, job twoju mat!* – krzyknął posterunek i poderwał karabin do ramienia, a Sęp błyskawicznie zniknął w tunelu.

Jednego dnia sam pchałem wózek – obcy wózek, w którym były worki z cementem. Odepchnąłem go za zakręt i wózek spadł mi z toru. Postanowiłem sam ustawić go na torze. Przyniosłem gruby drewniany kloc i długi drąg. Kloc położyłem w poprzek na torze przy samym wózku; jeden koniec drąga wsadziłem pod wózek, a drugi przyciągnąłem do ziemi; docisnąłem go prawie do ziemi ciężarem całego ciała i przesunąłem w bok. Już wózek jedną stroną stał na torze. Odbywało się to tuż przy drutach, za którymi stał na posterunku Ukrainiec-SS. Przyglądał się z ciekawością, jak ja sam dam sobie radę z postawieniem wózka na torze, a w końcu nie wytrzymał i zaczął mi doradzać, co mam robić – po polsku. Gdy już wstawiłem wagon na tor, esesman pochwalił mnie, że jestem cwaniak i mołodiec chłopak. Odpowiedziałem mu coś i zaczęliśmy rozmowę. Rozmawialiśmy dłużej jak godzinę. Pytał mnie o warunki i życie w obozie, a sam opowiadał o swoim życiu. Pytał mnie, kto są ci ludzie, którzy przebywają w obozie, i za co siedzą. Bałem się z początku mówić mu wszystko, co myślałem, i powiedziałem, że ja coś powiem, a on później pokaże na mnie i mnie wykończą.

– Jak się boisz, to nie gadaj – powiedział mi. I tu mnie wziął pod włos, jak to mówią po warszawsku. Gadałem mu wszystko, co chciał.

Ja o nim dowiedziałem się, że jest Polakiem spod Lwowa, że był w wojsku rosyjskim, dostał się do niewoli, a z niewoli do Gusen na posterunek.

– A jak się tu dostałeś? – pytam.

– A ty jak się dostałeś? – odpowiedział.

– Mnie złapali i wsadzili siłą.

– To mnie tak samo – tylko że z tej strony drutów i z karabinem. Ja sam dobrze nie wiem, jak to się stało – mówił dalej. – W obozie jenieckim wybrano nas kilkudziesięciu i zawieziono do innego obozu, gdzie ćwiczyliśmy z kijami zamiast karabinów. A później nikt nas o nic nie pytał, ubrali w mundury i powysyłali w różne strony. Ja trafiłem tutaj.

– A uciekać nie możesz? – zadałem odważne pytanie.

– Ciężko uciec – odpowiedział. – Jak złapią, to rozwalą.

Byłem bystrzejszy od niego. Zobaczyłem, że zbliża się esesman – komendant wartowników. Był jeszcze daleko, ale nie chciałem narazić tego, z którym rozmawiałem; powiedzieliśmy sobie wzajemnie: „Cześć, trzymaj się!" – i popchnąłem dalej wózek. Gdy wracałem, kontrolujący esesman był już blisko, ale przeszedłem tak, jakby stojący posterunek był powietrzem, nawet w tym kierunku nie spojrzałem. Więcej go nigdy nie widziałem.

Innym razem w obozie jeden blokowy chciał wpędzić na druty Kowalewskiego – tego handlarza. Kowalewski nie dawał się. Blokowy go bił, ale nie mógł podejść za nim na pas zakazany, tuż przy drutach. Kto wszedł na ten pas, posterunek powinien strzelać. Blokowy chciał go wpędzić za to, że Kowalewski handlował przed jego blokiem, a złapany nie dał sobie zabrać papierosów. Posterunek stojący za drutami odezwał się po rosyjsku:

– Nic się nie bój, podejdź bliżej i stań, a jak będzie chciał wpędzić ciebie dalej, to strzelę do niego.

Działo się to przy szczytowej umywalni. Blokowy stał przy samym rogu umywalni i bał się dalej wyjść. Gdy wychylił się trochę, posterunek strzelił – ale nie trafił – a do Kowalewskiego krzyknął, żeby uciekał, i wskazał mu na drugą stronę umywalni. Uciekł – a blokowemu odeszła chęć dalszego gonienia.

Pewnego dnia znów Ukrainiec-SS zastrzelił Niemca, który poszedł rwać polne kwiaty w pobliżu linii posterunków.

– Czego chcesz? – zapytał po rosyjsku.

– Kwiatów szukam – odpowiedział mu po niemiecku.

Wtedy posterunek pokazał mu ręką, że bliżej niego rosną ładne kwiatki, i pokazując, mówił spokojnie po rosyjsku:

– Chodź tutaj, pójdziesz na swobodę.

Gdy Niemiec podszedł bliżej, posterunek strzelił. Zranił go tylko, bo Niemiec upadł i głośno darł mordę.

– Co? Krzyczysz? – zapytał posterunek. – No, to więcej po niemiecku krzyczał nie będziesz! – Strzelił drugi raz… i trup.

Innym razem, gdy wychodziliśmy na apel i czekaliśmy już przy placu na sygnał wymarszu, na plac wystawiono z bloku trzeciego kozioł, do którego przywiązano młodego Rosjanina. Mógł mieć siedemnaście lat. Widocznie uciekał z obozu i został złapany – a my nic nawet nie wiedzieliśmy. Bili go, a jeden esesman pytał go po rosyjsku, którędy przeszedł. Jak powie, to nie będą bili i nic mu nie zrobią.

– Zabijcie, a nie powiem! – odpowiedział chłopak.

Odbywało się to kilka metrów przede mną, więc wszystko dokładnie widziałem i słyszałem. Ten, który pytał, to nie Rosjanin, tylko Niemiec, który znał język rosyjski. Gdy chłopaka bili bykowcem, to wrzeszczał z bólu; wtedy inny esesman uderzał go równocześnie dwiema pięściami w skronie. Uderzenia zamraczały go. Przestawał krzyczeć. Wtedy przestawali bić i znów pytał esesman:

– Powiedz tylko, którędy przeszedłeś, a nie uderzymy więcej i nic ci nie będzie. Pokaż nam tylko, którędy przeszedłeś.

– Zabijcie, nie powiem! – jednakowo odpowiadał chłopak i znów zaczynał się nowy cykl: bicie, krzyk, bicie w skroń i znów pytania i jednakowa odpowiedź: zabijcie – nie powiem.

Wreszcie przestali bić i jeden esesman zaprowadził go do krematorium, z którego już nigdy nie wyszedł. Przypuszczaliśmy, że musiał on wyjść z obozu przy pomocy i za wiedzą któregoś z ruskich posterunków, bo cóż innego mogło wstrzymywać go od powiedzenia, którędy przeszedł.

Kilka tygodni przed końcem wojny aresztowano wszystkich Ukraińców-SS. Zamknięto ich w jednym obozowym bloku, przy którym stali esesmani – a następnie przeniesiono ich do pufu, z którego przedtem wywieziono prostytutki. Chcieli oni jednej nocy zlikwidować niemiecką załogę SS i otworzyć obóz. Wydało ich dwóch kolegów w ostatniej prawie chwili przed akcją. Tego dnia, gdy wstawaliśmy rano, nie pozwolono nam wyjść z bloków,

a we wszystkich przejściach między blokami stały karabiny maszynowe. Chyba dopiero w godzinę później pozwolono nam wyjść. Dwa czy trzy dni przed wyzwoleniem widziałem sam, jak wyprowadzano ich z pufu. Wyszli z obozu otoczeni dużą grupą esesmanów z automatami i ręcznymi karabinami maszynowymi. Dla nikogo z nas nie było tajemnicą, że wszyscy zostali rozstrzelani.

Zaprzyjaźniłem się w tym czasie z kolegą Ośki – Loszka miał na imię – ze Stalingradu. Cyrkowiec z zawodu, złodziej kieszonkowy z amatorstwa i w razie potrzeby oraz szuler karciany. W całości – dobry, poczciwy i z charakterem chłopak. Golił mnie bezpłatnie. Wykonywał on także naprawdę artystyczne sztuki cyrkowe i nikt z patrzących nie połapał się, na czym one polegały. Występował przed wojną w cyrkach. Co do złodziejstwa kieszonkowego, to wiedziałem o tym tylko z jego opowiadań, a widziałem go tylko jeden raz „przy pracy", na rynku handlowym. Gdzie tylko spotkaliśmy się, pytaliśmy się jeden drugiego, czy ma papierosy, i zawsze ten z nas, który miał, dawał temu, który nie miał.

Gdy raz spotkaliśmy się na rynku, Loszka zapytał mnie, czy mam papierosy. Myślałem, że on potrzebuje, więc mówię mu, że mam na bloku – niech idzie ze mną, to mu dam. Wtedy on daje mi cztery paczki po dziesięć sztuk.

– Starczy mi dziesięć papierosów. Ja w bloku mam, a ty może nie będziesz miał co palić.

Wtedy pokazał mi, że ma w kieszeni jeszcze dużo paczek. Pokazał na tłum handlujących, mówiąc:

– Patrz, ilu tu jest głupców.

Najbardziej jednak koncertowy był w kartach. Pokazywał cyrkowe, artystyczne i karciane sztuczki. Ograł w obozie wszystkich graczy i w końcu nikt z nim nie chciał grać. To, co wygrywał w karty, przynosił do sztuby. Papierosy chował dla siebie, a resztę dzielił i rozdawał między Ruskich – znajomych i nieznajomych. Gdy już nikt z nim nie chciał grać w karty, „przytulił" go jeden blokowy. Żywił go, ubierał, nie wypuszczał do roboty, a w zamian za to Loszka w wolnych chwilach uczył go grać w karty. Pokazał kiedyś Adamowi i mnie, jak on gra. Pokazał to już w formie jaskrawej. Dawał nam karty i mówił, co daje, a dawał tak, że musieliśmy przegrywać. Nie

pomogło i to, że sami tasowaliśmy karty i sami braliśmy spod spodu. Loszka mówił do mnie tak:

– Stasiek, ja nie lubię ludzi, którzy w karty grają. On siada grać i nie wie, czy wygra, czy przegra. Ja jak siadam grać, to wiem, że na pewno wygram.

– A jak trafisz na lepszego szulera jak ty? – zapytałem.

– Tak, są lepsi szulerzy jak ja, tylko że z takim nie będę grał. Zanim siądę grać, długo stoję i patrzę, jak grają. I wystarczy, że widzę, jak który karty w ręku trzyma, to już wiem, czy z nim wygram.

Gdy w obozie robiło się gorąco, Loszka zaraz uciekał na rewir. Wywoływał on u siebie miejscowe zakażenie, na które przyjmowano go do rewiru. Metodę tę znał tylko on i Ośka. Loszka i mnie nauczył tego sposobu – w imię przyjaźni – prosił tylko, żeby nikomu tego nie mówić, bo jak więcej ludzi zacznie to robić, to połapią się w rewirze, że to jest robione specjalnie. Poradziłem zrobić tak tylko jednemu młodziutkiemu Rosjaninowi, którego kapo chciał wykończyć za to, że chłopak nie dał się złamać i nie chciał zostać jego „panienką". Był on dwa tygodnie w rewirze, a po wyjściu dostał się do innego bloku. Kapo ten nie był jego kapem w pracy, lecz sztubowym.

Pewnego rana, gdy wróciłem z nocnej zmiany, stwierdziłem, że okradziono moją skrzynkę, którą miałem w głowach łóżka. na blokach nie było szafek, to kto mógł sobie kupić i miał co trzymać, kupował sobie skrzynkę dopasowaną do łóżka. Byli tacy, co słyszeli, jak w nocy ktoś chrobotał przy mojej skrzynce. Jeden wspiął się po cichu na górne łóżko i widział, jak sąsiad mój – Rosjanin – odskoczył od skrzynki. Ukradł mi chleb i margarynę, a Ośce garnczek z twarogiem, który ten trzymał w mojej skrzynce. Ruski ten poszedł do pracy w tunelach na ranną zmianę. Klątem, ile wlazło, i obiecałem, że zabiję go, jak wróci z pracy. Ośka i Loszka prosili mnie, żebym go nie bił.

– Widzisz – ty z powodu tej straty nie zdechniesz z głodu, a jemu też to życia nie uratuje. A jak go będziesz bił, to wszyscy powiedzą: Polak Ruskiego bije.

Zgodziłem się z nim, bo i złość już mi przeszła. Postanowiłem tylko kupić kłódkę obozowej produkcji.

Gdy wieczorem wszedłem na blok, zobaczyłem, że Ośka i Loszka wzięli między siebie tego, który okradł moją skrzynkę, i pytają go, czy to on wziął.

– Nie, nie wziąłem – odpowiada.

– Przyznaj się, że wziąłeś, i oddaj mój garnczek – mówi Ośka – a nie uderzymy ciebie.

– Nie, nie wziąłem – mówi uparcie.

Bach-bach! Bach-bach! – już oberwał po dwa razy od każdego.

– Wziąłeś?

– Nie wziąłem.

Bach-bach!

– Wziąłeś?

– Nie wziąłem.

Bach-bach! Loszka łapie za stołek. Wtedy wyszedłem z bloku. Nie wtrącałem się do ich rozmowy. To nie bił Polak Rosjanina – to Rosjanie sami załatwiali sprawę pomiędzy sobą. Zrozumiałem wtedy ich intencję, dlaczego prosili mnie, żebym nie bił jego. Nie chcieli, żebym miał wrogów wśród Rosjan.

Przez pewien czas pomagałem Ośce. Raz przyszedł do mnie i powiedział, że już ode mnie nic brać nie będzie, bo ma na rewirze kolegę lekarza, który mu będzie pomagał, a ja żebym to jedzenie, co dawałem jemu, oddał komu innemu. Później przynosił mi w butelce mleko i gniewał się, gdy nie chciałem brać, a później ja mu już nic nie dawałem i on mi też mleka nie przynosił. Mieszkałem już wtedy na bloku dwunastym, w którym mieszkali pracownicy Steyra. do Steyra poszedłem w sierpniu 1944 roku.

Z Ośką i Loszką spotykaliśmy się jeszcze później często. W sylwestra 1944 roku, gdy rozmawiałem z Ośką, ten nieśmiało powiedział mi, że jest głodny, a w Nowy Rok nie chciałby być głodny.

– Ośka, ty głodny? Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś? A gdzie ten twój lekarz? – zasypałem go pytaniami.

Okazało się, że już prawie trzy miesiące temu lekarza tego przenieśli do Gusen II i Ośka był bez żadnej pomocy, a nigdy mi o tym nie powiedział. Ośka zaczekał przed blokiem, a ja wszedłem do środka, wziąłem w rękę bochenek chleba i rozglądałem się, skąd zdobyć nóż, żeby bochenek przekroić na pół. Obok stało czterech

Francuzów, którzy już jedli swoje porcje chleba, a na łóżku obok leżał wolny nóż.

– Poproszę na chwilę nóż, chcę chleb przekroić – zwróciłem się do nich i sięgnąłem ręką po nóż.

Na to najbliżej stojący beknął, zrobił głupi grymas i odepchnął mnie silnym uderzeniem łokcia w bok. Źle trafiłeś, pomyślałem sobie i trzepnąłem go otwartą dłonią w tył głowy, tak że walnął łbem w górne łóżko. I wtedy rozpoczął się raban. Jeden z nich rzucił we mnie ciężkim drewniakiem. Chwyciłem but jak piłkę w bramce i odesłałem z powrotem tak, że tylko jęknął. Dostali wszyscy czterej – a ja złapałem ich nóż, przekroiłem chleb i pół bochenka oraz kawał margaryny wyniosłem Ośce. Francuzi narobili takiego wrzasku, że z kapówki wyszedł blokowy i zapytał mnie, co to za krzyki tam w końcu sztuby.

– Nie wiem. Francuzi coś wrzeszczą – i wybiegłem z bloku.

Od tego dnia znów pomagałem Ośce – aż do dnia wyzwolenia. Dałem mu jeszcze na ostatek płaszcz i papierosy, żeby długo pamiętał towarzysza Polaka. Ja o nim też nigdy nie zapomnę, bo był dla mnie naprawdę przyjacielem, który był gotów wszystko dla mnie zrobić.

W pierwszych dniach sierpnia 1944 roku postanowiłem wyjść z tunelu i iść pracować do Steyra. Odradzali mi inni, że tam trzeba pracować dwanaście godzin dziennie, na dwie zmiany oraz w niedziele i święta. Odpowiedziałem im na to, że tam pracując, łatwiej jest nie pracować, bo tam robi kilka tysięcy ludzi i mam tam odpowiednie znajomości. Ponieważ budowa tuneli i Steyr to przemysł zbrojeniowy, nie można było urwać się normalnie z żadnej z tych prac. Trzeba było załatwiać to przez pobyt w rewirze, ponieważ po przyjęciu na rewir skreślano automatycznie z ewidencji dotychczasowego miejsca pracy. Załatwiłem sobie, że idę do rewiru na obserwację ślepej kiszki. Doktor Gościński miał mnie badać. Powiedział mi, jak mam się zachowywać w czasie badania – że jak mnie przyciśnie ręką powyżej pachwiny, to mam udawać, że mnie boli. Następnego dnia poszedłem. Po raz pierwszy od 1941 roku – trzy i pół roku tam nie chodziłem. Miałem jeszcze dobrze w pamięci poprzednie badania pięścią.

Jakże inaczej przedstawiało się to teraz! Lekarz przyjmował w łaźni. Wszyscy chorzy i ja z nimi, rozebrani do naga, czekaliśmy w ciepłej, dużej łaźni. Czekaliśmy długo na rozpoczęcie badań. W tym czasie trzech cięższej chorych umarło w poczekalni, zanim dostali się przed oblicze lekarza. Lekarz przyjmował w innym, małym pomieszczeniu. Badał doktor Gościński w asyście sanitariuszy, a lekarz SS stał za jego plecami i tylko przyglądał się. Kiedy przebadano kilku, dano mi znak, że ja mam podejść. Pewne formalności i badanie. Zanim mnie dotknął, ja już syknąłem z bólu i zgiąłem się.

– Nie wygłupiaj się! – powiedział doktor Gościński. – Jeszcze nie dotknąłem, a ciebie już boli.

Esesman nie rozumiał po polsku, to on cały czas mówił mi, jak mam się zachowywać. Wreszcie zapisał: „obserwacja", i kazał mi iść do bloku dwudziestego siódmego – chirurgicznego.

– Tylko kulej trochę – powiedział na zakończenie.

Na bloku dwudziestym siódmym było mi dobrze. Dbał tam o mnie młody lekarz Genek Pięta, który był duchem opiekuńczym tego oddziału. Łóżka miały białą pościel i chorzy dostawali lepsze wyżywienie od tego, które dostawaliśmy w obozie. Mieli tylko ze mną kłopot, bo łaziłem im bez przerwy. Przecież byłem zdrowy, przyzwyczajony do ciągłego ruchu i emocji – a tu idealny spokój. Nie mogłem uleżeć długo.

– Albo jesteś chory i leżysz – krzyczał Pięta – albo jesteś zdrów i wracasz do roboty!

– Jestem bardzo chory – odpowiedziałem – ale co ja poradzę na to, że nie mogę uleżeć. Nie złość się, kochany, długo u was nie będę, a przynajmniej będziesz pamiętać, że Grzesiuk był u was. Takiego pasażera jak ja to tu nie było, nie ma i… nie trzeba.

Obecnie jestem już siódmy raz w sanatorium i lekarze wciąż jeszcze mają ze mną kłopot. Łażę – nawet ciężko chory – po odmie chirurgicznej. Łaziłem już czwartego dnia po operacji, mimo że każą leżeć ściśle w łóżku przez sześć tygodni.

Po tygodniu przeniesiono mnie na blok trzydziesty drugi. Blok, na którym Karl wykończył masę muzułmanów. Ten czas już się skończył. W tym czasie był to blok dla rekonwalescentów. Brudno było tu, jak

na wszystkich innych blokach, żarcie to samo co w obozie, ale nie pracowaliśmy.

Na drugi dzień wieczorem przyszedł pod ogrodzenie jakiś Rosjanin. Nie widziałem go, bo bloki rewirowe ogrodzone były płotem, ale słyszałem, jak wołał:

– Grzesiuk, który to Grzesiuk?

Podszedłem i odpowiedziałem mu, że ja jestem Grzesiuk.

– A jaki twój numer? – zapytał.

Gdy podałem mu swój numer, krzyknął: – Trzymaj, to Ośka ci przysyła! – I przerzucił przez parkan małą paczkę. Były w niej dwie paczki tytoniu i bibułki.

Kochany Ośka, chyba ze dwa dni nie jadł chleba, żeby postarać się o ten tytoń; albo może zorganizował w inny sposób. Nie wiem, bo nigdy o to nie pytałem. Nie wypadało. Podziękowałem mu tylko i powiedziałem, że bardzo mi się przydał, bo już nie miałem co palić. Powiedziałem mu tak, żeby był zadowolony i żeby widział, że ja również jestem zadowolony.

Po wyjściu z rewiru poszedłem pracować do Steyra.

W tym czasie proponowano nam przejście z całym zespołem muzycznym do Gusen II. Obiecywano nam, że będziemy mieli bardzo dobrze. Odmówiłem kategorycznie. Każdy stary więzień woli gorsze warunki, a stałe i wiadome mu, jak dobre, ale niepewne. Starzy więźniowie bronili się zawsze przed zmianą obozu, bo po przyjeździe do innego obozu byli oni „nowymi", których posyłano do najgorszych robót, i musieli się na nowo organizować i często umierali szybko, gdy w swoich poprzednich warunkach mogli doczekać końca wojny. na to, żeby umrzeć w obozie, nie trzeba było dużo czasu. Poza tym nigdy i nigdzie nie lazłem z własnej woli. Gdy miałem źle, nigdy nie miałem do siebie żalu, że sam tam wlazłem. Mimo obietnic dobrych warunków – nie narzekałem na te warunki, które miałem, i nie chciałem zmieniać ich na lepsze niepewne. do Gusen II poszedł zespół Cyganów, którzy nie wytrzymali z nami współzawodnictwa.

Dostałem w paczce fotografię mojej siostry Krysi. Włożyła ją w torebkę z cukrem. Wkrótce potem otrzymałem od niej uliczną filmówkę, na której była z kolegą moim, Figiewiczem Bronkiem.

Otrzymałem też fotografię od sióstr ciotecznych. Zanim otrzymałem te fotografie – w listach dziękowałem im za fotografie. Zrozumiały dobrze i przysłały. Wskazywało to na zmniejszoną kontrolę listów, jeśli takie listy wysyłali bez wycinanki. I do nas też przychodziły listy bez wycinanek. Poprzednio często można było otrzymać tylko ramki listu. Początek i podpis – resztę wycinała kontrola.

Fotografie zbliżały trochę do wolności. Fotografii przysłanych w listach dotąd nigdy nie oddawali. Były wypadki, że gdy przysłano komu dużą, o formacie pocztówkowym rodzinną fotografię, to wzywano go i dawano fotografię do obejrzenia. Mógł patrzeć na nią pięć minut. Później zabierano mu ją, a jego wyganiano. Fotografii na stałe nie oddawano.

Na wiosnę 1944 roku Heniek B. wciągnął mnie do lewicowej organizacji obozowej, **którą obecnie nazywają „ruchem oporu" w obozie. Praca w organizacji polegać miała na pomocy ludziom wartościowym, na likwidowaniu antagonizmów narodowościowych celowo rozpętywanych przez władze obozowe i rozpowszechnianiu wiadomości o sytuacji na frontach. Tak to wyglądało w teorii. A w praktyce? W praktyce to nie było w obozach w ogóle żadnego ruchu oporu. Wszelkie gadanie o ruchu oporu to pic i fotomontaż, to marzenia i urojenia głupich pustych łbów, którzy zabawiali się w organizację. Niech mi powie ktoś, na czym ten opór polegał. Ci z obozu mówią na ten temat, piszą na ten temat w gazetach i książkach, ale jeszcze nigdzie nie czytałem, na czym polegała walka i jaki to był opór. Pomoc innym więźniom? Umierali z głodu i bicia najbardziej wartościowi ludzie, bo byli niezaradni życiowo i nieprzygotowani do ciężkich warunków. Jeśli im ktoś pomógł, to decydowała o tym osobista znajomość z kimś, z kim przechodziło się ciężkie warunki, a ten kolega później dostał się do lepszej pracy i miał możność pomagać drugiemu koledze, który tej pomocy potrzebował. Decydował o pomocy przypadek, że ktoś komuś podoba się i pomaga mu, ale były to kontakty osobiste. Pomagano innym za oddawanie w obozie usług. Pomagano, bo spisywano formalne umowy handlowe, że po wyjściu ktoś da temu, który go żywił, dom, młyn czy też fabrykę. Ale nigdy nie słyszałem, żeby ruch oporu zaopiekował się kimś, kto tej pomocy potrzebował. W obozie ludzie musieli umierać i umierali słabi i niezaradni. I nikt się tym nie**

przejmował, czy umierali naukowcy czy bandyci. Nigdy nie było tak zwanej zorganizowanej pomocy. Była tylko pomoc indywidualna. Ktoś komuś za coś, lub bezinteresownie, stale albo czasowo, w zależności od kaprysu ofiarodawcy.

Likwidowanie antagonizmów. Ciekawi mnie, kto likwidował w sposób zorganizowany prześladowanie Rosjan przez Polaków. A duża część inteligencji polskiej nie zachowywała się w stosunku do Rosjan tak, jak powinni zachowywać się do takich samych jak oni więźniów. „Ty bolszewiku" wypowiadane w sensie obraźliwym i obraźliwej formie słyszało się wszędzie. Dlatego Rosjanie – nie mądrzy i logicznie myślący, a chuligani – szykowali się do rozprawy z Polakami, która miała nastąpić w dniu wyzwolenia. Likwidowanie tego stanu było tylko reagowaniem w takich przypadkach według własnego uznania i zapatrywania, ale nie było w tym kierunku żadnej zorganizowanej akcji. Każdy był tym, kim był – człowiekiem indywidualnym. Byli ludzie, którzy często narażali własne życie, żeby ratować innych, ale robili to na konto własnego sumienia, bo taki już mieli charakter, a nie dlatego, że organizacja, że ruch oporu czy inne temu podobne głupoty, w które ludzie wierzą. Gdybym miał możność, zapytałbym towarzysza Cyrankiewicza, premiera PRL, na czym polegała jego rola i co on robił jako kierownik ruchu oporu w Oświęcimiu czy Mauthausen. na czym ten opór polegał i jak się opierano. Jakie były osiągnięcia i jakie w wyniku akcji ruchu oporu ponosiły Niemcy straty w materiale, sprzęcie czy ludziach. Zabawa w ruch oporu narażała tylko ludzi na dodatkowe możliwości uśmiercania. Dwa tygodnie przed końcem wojny, po kilku dniach mordowania, uśmiercono dwóch starych więźniów za to, że przyłapał ich esesman, gdy jeden drugiemu przez okno baraku SS, w którym jeden z nich pracował, podawał kartkę z nakreślonym planem frontu na małej mapce. Przecież wielu więźniów pracowało wśród SS i mieli wszystkie najnowsze wiadomości. Przynosili oni też do obozu gazety, które czytano w całym obozie, a wiadomości przekazywane z ust do ust rozchodziły się piorunem. Urządzono raz na poddaszu murowanego bloku występy tylko dla zaproszonych gości. Ile to było komentarzy, ile gadania, co chciał powiedzieć Czesław Łęcki z Warszawy, gdy w zagajeniu powiedział między innymi, że: „Przyjdzie czas, że wszystkim nam jednakowo słońce zaświeci". Jak to może słońce jednakowo

wszystkim świecić? Komunista, cholera. I to samo pod adresem wszystkich wykonawców. Ja ze swoim zespołem dawaliśmy tło do recytacji i graliśmy piosenki polskie, wojskowe, ludowe. Janusza Tarasiewicza z Warszawy, który mówił recytację, mało nie wykończyli. Był on magazynierem w hali ósmej Steyra. Oskarżyli go Polacy o sabotaż. Esesmani zbili go i kazali mu nosić nieczystości z ustępu. Padał tego dnia deszcz, a on nosił w marynarce tylko i z gołą głową. Gdzie była wtedy organizacja? Co robił ruch oporu? Ruchem oporu byłem wtedy ja i Adam Kwiatkowski. Oddałem Tarasiewiczowi swoją kurtkę i czapkę. Gdy przemokły całkowicie, zabrałem swoje, a wsadziłem na niego kurtkę i czapkę Adama. Gdy i te przemokły, zdjąłem jeszcze z Mundka Tomaszewskiego i znów dałem Januszowi. Wyglądaliśmy z hali, a gdy przechodził, mówiliśmy:

– Trzymaj się, Janusz, jeszcze trochę. Zaraz fajrant.

Wytrzymał. na następny dzień dali mu już spokój, a po kilku dniach wrócił znów na swoje miejsce. Tak to w zasadzie wyglądał każdy ruch oporu w obozach koncentracyjnych. Obywatele każdej narodowości mieli niby swój ruch oporu czy walki. Kto był cwaniak, ten przeżył bez „oporu". Baran umierał nawet z największym „oporem".

Ideowym przywódcą organizacji był Jerzy Piwiński, znany działacz lewicy, zamordowany latem 1944 roku przy udziale obozowych faszystów, a człowiekiem, z którym miałem stały kontakt, był Janusz Tarasiewicz z Warszawy. Często spacerowaliśmy po placu apelowym, dyskutując o polityce, i Janusz przeprowadzał ze mną długie rozmowy, w których wykładał mi podstawy marksizmu. Kiedyś po takiej lekcji powiedział mi, że grupa rosyjskich chuliganów w obozie szykuje się rżnąć Polaków, jak się wojna skończy.

– Ty – mówił Janusz – znasz dużo Rosjan i żyjesz z nimi dobrze, więc wytypowaliśmy ciebie, żebyś odszukał organizację rosyjskich komunistów. Musimy się z nimi porozumieć, żeby do tego nie dopuścić.

W tym czasie zaprzyjaźniłem się z Rosjaninem, którego nazywali „Diadia Wania". Siedział on w obozach i więzieniach niemieckich dwadzieścia pięć lat. Piszę słownie, bo cyfrze mógłby ktoś nie uwierzyć. Dwadzieścia pięć lat – od roku 1920 czy 1919 do 1945. Był w niewoli niemieckiej. Uciekł z obozu po zabiciu wartownika. Uciekł

z kolegą, który razem z nim był w Gusen. Kogoś tam jeszcze zabili, żeby zdobyć ubranie i gotówkę, a następnego dnia złapali ich w hotelu w Linzu. Karę śmierci zamieniono im na dożywotnie więzienie. Wania był pogodny, zachował pełnię władz umysłowych i cieszył się autorytetem wśród współwięźniów, jak i wśród bandytów-blokowych i kapów z tytułu długiego pobytu w więzieniach. Poza tym z niejednym przebywał razem w różnych więzieniach niemieckich. Pomagał on dużo Rosjanom. Był dobrym organizatorem. Kolega jego miał już trochę pokotłowane w głowie. Siedział całymi godzinami wpatrzony w jeden punkt, nic nie mówił do nikogo i tylko palił papierosy.

W pierwszych dniach wolności spotkaliśmy się w Linzu. Ucieszyliśmy się ze spotkania, a Wania zaprowadził mnie na róg ulicy, pokazał częściowo zrujnowany bombardowaniem dom i powiedział:

– Patrz, Stasiek, w tym hotelu zamknęli mnie dwadzieścia pięć lat temu.

Po kilku rozmowach z Wanią wyczułem, że on będzie tą osobą, którą kazano mi wyszukać. Okazało się, że trafiłem dobrze. Pewnego wieczora spacerowaliśmy po placu apelowym i w rozmowie powiedziałem mu, że Rosjanie chuligani szykują się bić Polaków, jak się wojna skończy.

– Niedobrze, Wania, ludzie przeżyli kupę lat w obozie nie po to, żeby zginąć po odzyskaniu wolności. Bo jeśli my wiemy, to nie damy się tak spokojnie mordować. Odpowiednio się do tego przygotujemy. A Polaków w obozie jest więcej i też bić potrafią.

– Wiem o tym – powiedział Wania. – To organizują… – i tu wymienił dwóch znanych mi oprychów rosyjskich. – Ale nie myśl o tym. Tego nie będzie. Jak długo Wania żyć będzie, żadnej takiej historii w obozie nie będzie. A wiesz, dlaczego tak się dzieje? – zapytał.

– Wiem, wiem – odpowiedziałem. – Polacy, szczególnie ci na funkcjach i na stanowiskach różnych kapów i ich pomagierów, prześladują Rosjan, tak jak nas prześladują Niemcy. Tylko że Ruskich prześladują i Niemcy, i Polacy. Ale tych Polaków na stanowiskach nie można uogólnić z całym narodem polskim. W moim pojęciu to

w ogóle nie ludzie, lecz krwiożercze zwierzęta, które mordują bez potrzeby, dla samej przyjemności mordowania, i tych należy po wyzwoleniu wykończyć. Wykończyć każdego, bez względu na narodowość, kto ma chociaż jednego człowieka zamordowanego na swym sumieniu.

Zadał mi wtedy Wania ciekawe pytanie:

– Czy ty wiesz, co to jest organizacja bez organizacji?

Nie wiedziałem.

– Organizacja bez organizacji to coś takiego jak na przykład trochę życzliwości Polaków dla Rosjan. Jeśli kilku ruskich muzułmanów śpiewa piosenki, nie rozpędzać ich biciem. Stanąć, posłuchać, dać jednego czy dwa papierosy. Inni Rosjanie będą to widzieli – i będą na Polaków już inaczej patrzyli. Nasz naród potrafi być wdzięczny za każdy drobiazg, za każdą odrobinę życzliwości.

Miał Wania rację. Sam, w praktyce, w moim współżyciu z nimi przekonałem się o prawdzie tego, co mi Wania powiedział. Po tej rozmowie poznałem Janusza z Wanią i już kontakt został nawiązany.

Jak wyglądał na co dzień stosunek do Rosjan niektórych ludzi, których rozpierała mądrość „paczkowa", niech posłuży przytoczony następujący przypadek:

Na bloku B, do którego przenieśliśmy się z bloku dwunastego, w pobliżu mojego łóżka spał major Armii Czerwonej. Jeden z tych nielicznych, którzy przeżyli z pierwszego transportu rosyjskich jeńców wojennych. Człowiek inteligentny, o dużej kulturze. Obok niego miał łóżko polski urzędniczyna – bo oceniając jego chamstwo, inaczej nie mogę go nazwać – którego rozpierały paczki otrzymywane z domu i któremu zdawało się, że z każdym kilogramem wagi przybywa mu rozumu. Nie pomijał on żadnej sposobności, żeby dokuczyć swemu sąsiadowi. Słuchałem jego docinków i kpin, lecz nic się nie odzywałem. Wreszcie jednego dnia nie wytrzymałem. Gdy rano ubieraliśmy się, on bez przerwy dziamgotał:

– Albo u was w Rosji – towariszcz, towariszcz. To tak samo jakby u nas mówiono: kolego. I co? Będę szedł z żoną czy narzeczoną, a byle jaki łachudra, pijany, usmarkany, powie mi: jak się masz, kolego!

Wtedy wtrąciłem się:

– Słuchaj – mówię – jak nie będziesz sam łachudrą, to ci żaden łachudra nie powie: jak się masz, kolego. A jak będziesz łachudrą, to ci będzie wszystko jedno, bo będziesz taki sam jak on.

On na to roześmiał się sztucznie i mówi:

– Oni wszyscy tacy sami, kurwa ich w mordę mać!

Wzięło mnie. Podszedłem blisko do niego i pytam jeszcze spokojnie:

– Właściwie kto ty jesteś? Inteligent czy łobuz? Jeśli inteligent, to możemy z sobą podyskutować, a jeżeli jesteś łobuzem… no to ja jestem lepszy i patrz, kurwa twoja mać, bo cię zgaszę! – Kończąc te słowa, trzepnąłem łbem.

Wpadł między łóżka i grzmotnął o ścianę, aż huknęło. Złapałem rękami za górne łóżka, uniosłem się na rękach i gdy on się podnosił, uderzyłem nogami. Znów wpadł na ścianę i wtedy już szybko wskoczył na górne łóżko i z góry dopiero był mądry. Zdjąłem marynarkę i stanąłem przy drzwiach, żeby mu dolać, jak będzie wychodził na zbiórkę do pracy. Gdy czekałem kilka minut, a on nie schodził, poszedłem w koniec sztuby zobaczyć, co jest. Tam mi powiedzieli, że uciekł przez okno. Jak tak, to znaczy, że boi się. Wystarczyło mi to i już wieczorem nie czepiałem się go.

Nie wszyscy Polacy mieli taki niewłaściwy stosunek do Rosjan. Było wielu, którzy pomagali im. Szczególnie źle zachowywali się głupcy na funkcjach, a złośliwie pewna część inteligencji.

Innym, nigdzie przez nikogo nigdy niepodejmowanym problemem obozowym jest współżycie seksualne mężczyzn. Zagadnienie to istniało we wszystkich obozach koncentracyjnych i obozach jeńców wojennych. Pederastia w obozach męskich istniała wszędzie, tak jak wszędzie w obozach kobiecych istniało współżycie seksualne wśród kobiet. Temat ten jest dyskretnie przemilczany w książkach i artykułach w prasie, a jeśli ktoś coś szepnie, to tylko w związku z jakimś człowiekiem, że podobno on… albo że ten to… z tym. A przecież te rzeczy istniały od początku. Już w Mauthausen otworzyły mi się oczy na te sprawy. Zaobserwowałem, że Niemcy na

funkcjach, ci zdrowi, wyżarci, otaczali się i opiekowali młodymi chłopcami. Chłopcy ci nigdy nie spali wśród innych więźniów.

W Mauthausen nie było kapówek, więc arystokracja miała swoje osłonięte szafkami sypialnie w jadalni i tam mieszkali też wybrańcy losu, którzy cieszyli się względami „panów". Tu nazwisk żadnych wymieniać nie będę. Ani nazwisk „panów", ani nazwisk „pań". Niewątpliwym faktem jest, że wielu młodych, ładnych chłopców w ten sposób robiło „karierę" obozową i dostawało pracę w dobrych grupach roboczych; nikt ich nie bił, częściej oni bili, byli zawsze ładnie ubrani i mieli pod dostatkiem jedzenia. „Panami" w pierwszym okresie byli Niemcy na funkcjach – to znaczy ci, którzy byli silni i zdrowi i przebywali już po kilka lat w obozie. Później „panami" byli także ci Polacy i Hiszpanie, którzy od samego początku pobytu w obozie dostali dobrą robotę, w której mieli dosyć jedzenia. Ci byli zdrowi i wyżarci i pierwsi poczuli pociąg do chłopców.

Jak długo komendantem obozu był Chmielewski, to jest do maja 1942 roku, sprawy te były mocno zakonspirowane, bo tropił on tego rodzaju przestępstwa i strasznie karał. Niejeden raz stali pod bramą „panowie" i „panie". W roku 1941 dwie doby stały pod drutami dwie grupy, w pewnych od siebie odstępach. W jednej grupie panowie kapowie i blokowi, w drugiej grupie młodzi chłopcy, dobrze odżywieni, ładnie ubrani, przystojni.

Chmielewski szczególnie mocno karał „panów". Wieszano ich na dwie–trzy godziny za ręce, bito i posyłano do karnej kompanii. Gdy w 1942 roku wybudowano puf i sprowadzono prostytutki, „panowie" chodzili do pufu, ale to wcale nie przeszkadzało im mieć swojego „chłopczyka" na bloku, bo do pufu mógł iść raz na jakiś czas, a chłopaka miał zawsze. Kto był lepiej sytuowany, to miał dwóch albo i trzech. Zagadnienie pederastii przybrało na sile w okresie paczkowym. Przybyło wielu prominentów paczkowych, więc ci również zaczęli szukać dla siebie rozrywki.

Wielu było takich, którym „wstydliwość i poczucie godności" nie pozwalały chodzić do pufu, ale to nie przeszkadzało im mieć „swojego chłopca", którego „bezinteresownie" żywili. Ponieważ w obozie było ciemno i ludzie spali po dwóch w jednym łóżku,

dawało to dodatkowe możliwości odpowiedniego dobierania się mężczyzn.

Znane mi były wypadki, że dobierało się dwóch młodych chłopców, którzy razem spali i razem żyli. Tu już nie było kawalera i panny. Każdy z nich raz był kawalerem, drugi raz panną. Zdarzały się wielkie tragedie miłosne, że „panowie" rżnęli się nożami za odbicie „panny". W 1944 roku kapo Robert, Niemiec, uderzył nożem rywala – innego kapa – a sam poszedł na druty.

Poważniejsze konflikty miłosne znane nam były dobrze, a przynajmniej znane były starym więźniom. od roku 1944 zjawisko to przybrało formy masowości i bez mała jawności. Wieczorami, po pracy i w niedzielę po uliczkach obozowych i placu apelowym spacerowało wiele par zakochanych. On – przeważnie w poważniejszym wieku pan, wyżarty, którego rozpiera niewyładowana energia; „ona" – to młody, ładny chłopaczek, pulchny, rumiany i ładnie ubrany. Jedni i drudzy to ludzie różnych narodowości. Tu nie decydowała przynależność narodowa, tylko odpowiednia ilość żarcia, jak długo w obozie i – ważne – jak długo już powodzi mu się dobrze. Przeważnie byli to tacy, którzy siedzieli długo i już od dłuższego czasu mieli dobre warunki. Nie znaczy to, że robili to wszyscy – ale faktem jest, że dużo takich było, którzy robili to jawnie, inni mniej jawnie, a inni mimo dogodnych warunków nie robili wcale.

Gdy w niedzielę graliśmy na którymś bloku, bywało tak, że granie do słuchu zamieniało się w zabawę taneczną. Możliwe to było na blokach mniej zaludnionych, bo w nich na środku sztuby było trochę miejsca. W jakiś sposób błyskawicznie rozchodziła się wiadomość, że tańczą, i schodzili się „goście". Parami – on i ona – i rozpoczynał się upojny taniec. Nazywaliśmy te zabawy „zabawą szwuli".

Nigdy nie angażowałem zespołu na taką zabawę, ale to byli też cwaniaki. Blokowy zaangażował granie, zapłacił, a gdy zaczęliśmy grać, schodzili się „szwule". Pewnego razu przyszła para – dwóch Niemców, z których jeden był umalowany i przebrany za kobietę. To nie było poważne – dla humoru tylko – „zabawa szwuli". Przebrany za kobietę wdzięczył się do mężczyzn, wabiąc kształtami sztucznie powiększonymi. Rozmawiał cienkim, piskliwym głosem. Zapraszał do

tańca. To był typowy bandycki niemiecki humor. Mierziło mnie to. Koledzy z orkiestry odczuwali to samo. Patrzyliśmy zdziwieni, nie wiedząc, gdzie tu jest humor. Obserwowałem obleśne uśmiechy na twarzach Niemców patrzących i biorących udział w tej zabawie. Zakończono ją dopiero wtedy, gdy bardziej rozgorączkowany kawaler podciągnął do góry spódnicę, a inni zaczęli klepać – i to mocno klepać – po gołym tyłku. Ryk, śmiech, radość… i „panna" uciekła do kapówki przebrać się w męskie ubranie i umyć się.

W związku z tym były różne komiczne historie. W prominenckim bloku pierwszym brzęknęła pułapka nastawiona na ewentualnego złodzieja. Zapalono światło, a pod stołem siedzi ładny, młody chłopaczek. Wiadomo, że nie złodziej o szafkę oparł się, macając po omacku, a dzwonek był słabo założony i zaalarmował. W majteczkach tylko i w jedwabnej koszuli. Obudzili się wszyscy i patrzą zaciekawieni. Blokowy zapytał go, po co tu przyszedł.

– Zabawić się – odpowiedział bez żadnej tremy.

– Do którego? – zapytał blokowy.

– O, do tego – pokazał na pierwszego z brzegu.

– A ty szczeniaku, taka twoja mać! – poderwał się ten na łóżku.

Wszystkich porwał wielki śmiech. Śmiał się i blokowy, i chłopczyk, bo ten, na którego on pokazał, to stary, kulawy, zasuszony człowiek. Chłopak nie chciał pokazać tego, do kogo przyszedł. Byli tacy, co go zapraszali do swoich łóżek – dla hecy – a może by wielu z nich naprawdę go przyjęło. Gdy blokowy pozwolił mu odejść, odszedł z uśmiechem i godnością. Chłopak wcale się tym nie peszył.

W bloku trzecim pewnego wieczora blokowy porobił zmiany w łóżkach. Zmiany te zrobił już po pierwszym dzwonku i ktoś nie miał czasu zawiadomić o zmianie. Kto – to my wiedzieliśmy. W nocy słyszę głos Henia Urbaniaka, łódzkiego cwaniaka.

– Kto tu jest?

Tup-tup-tup – posłyszałem, jak ktoś po cichu ucieka po sztubie w stronę drzwi. A Henio gada głośno:

– Buzerant jakiś, taka jego… – i tak dalej. – Szkoda, że biglem nie przyłożyłem. Całować mu się zachciało.

Wiedzieliśmy, że to była pomyłka spowodowana zmianą łóżek.

Z tym biglem to ja raz miałem robotę. W 1945 roku na bloku A, na którym wtedy byłem, na górnym łóżku obok mnie spał młody chłopiec, ja spałem w środkowym. Ktoś do niego w nocy często przychodził i mogłem wyczuć, co się tam robi. Zagniewało mnie to. Gdy znów do niego przyszedł, a był to sztubowy – Niemiec o kanciastej twarzy – wziąłem do ręki bigiel, to znaczy deskę do wygładzania łóżka, położyłem się na swoim łóżku w poprzek, na plecach, i z całej siły kopnąłem w zewnętrzną boczną deskę górnego łóżka, a nogi szybko cofnąłem. Boczna deska wyleciała, łóżko górne zarwało się i spadło na łóżko obok mnie, na którym nikt nie spał. Jak przeciągnę kantem bigla raz, jak przyprawię jeszcze raz, to tylko facet jęknął i uciekł. Chłopaczek zdziwiony, niby zaspany, pyta, co tu się stało.

– Co tu się stało? Idź to sztubowego i popatrz, czy ma pręgi na krzyżu. Jeśli ma, to będziesz wiedział, co się stało. To od mojego bigla.

Po drugiej stronie ganku między łóżkami, na dole spał młody chłopiec. Ja spałem w środku, Kwiatkowski na dole, u góry skrzypek. Tej nocy długo nie mogłem usnąć. Nie posłyszałem, ale wyczułem, że ktoś jest w ganku. Może złodziej kradnie buty spod łóżka. Zagarnąłem ręką i mam. Trzymam za koszulę… jedwabna, to nie złodziej.

– Kto tu jest? – pytam.

Nie odpowiada.

– Adam – wołam półgłosem.

– Po co Adam? – pyta po niemiecku głos z ganku.

– Chcesz zrobić krach czy co? – Roześmiałem się i puściłem go, mówiąc: – Rób dalej.

Odszedł. Po półgodzinie znów wyczułem, że jest w ganku, ale już im nie przeszkadzałem.

Na Kwiatkowskiego polował Sztyglic, nasz blokowy. Ale Adam to stary cwaniak. Powiedział mu wyraźnie, co o tym myśli. Że on się do tego nie nadaje, że to raczej on szuka sobie kogoś do tego celu, ale żeby jego – nie da rady.

– Stasiek – mówi raz do mnie Adam. – Dzisiaj Sztyglic na gazie, to pewnie będzie chciał przyjść w nocy „porozmawiać" ze mną. Będę się z nim bił i narobię rabanu na cały blok.

Doszliśmy do wniosku, że to nie będzie dobrze. Spaliśmy w końcu sztuby, na dole, głowami do siebie. Poradziłem mu, żeby na deski

między łóżka postawił swoją paczkę z jedzeniem i niech czuwa. Jak wyczuje, że Sztyglic idzie, to niech zwali głową czy ręką paczkę. Gdy ta spadnie mi na głowę, będę z nim rozmawiał. Leci paczka.

– Adam – mówię do niego – jutro pójdziemy grać do rewiru. Już dawno tam nie byliśmy.

Adam odpowiada i słyszę, jak ktoś po cichu odchodzi. Ten skuteczny sposób stosowaliśmy wiele razy, aż zrozumiał on wreszcie, że u nas nie ma warunków.

W opisywanych tu wypadkach celowo nie podaję nazwisk i narodowości – to nie ma specjalnego znaczenia dla problemu jako takiego. Nasz chłopiec do roboty i pilnowania to był Mundek, „Wujo Patyk", chłop w wieku lat trzydzieści kilka, chyba sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Nie chcieliśmy żadnego młodego, żeby nikt nas o te rzeczy nie posądzał. A mimo wszystko w okresie ostatnich kilku miesięcy pobytu w obozie zauważyłem, że i mnie zaczynają się młode chłopaki podobać. Nie okazywałem tego, ale jednak czułem. A przecież dopiero dwa lata minęły, jak mi się poprawiły warunki w obozie. Zaczynali się podobać i nic na to poradzić nie można było. Nie wiem, jak by to u mnie wyglądało, gdyby mi przyszło siedzieć jeszcze dwa lata w tych samych warunkach.

Kiedyś, pracując w tunelach, pokłóciłem się z jednym kolegą, który mi tłumaczył, że winni są ci, co dają, a nie ci, co biorą. Wściekłem się. Wymyślałem mu, że jeśli ktoś ma dużo jedzenia, to niech da drugiemu, ale niech mu nie każe przychodzić do łóżka. Bo jeśli taki przyjdzie, to nie dlatego, że mu to przyjemność sprawia, a tylko dlatego, że boi się głodu. A nadmiar własnej energii niech wyładowuje w ciężkiej pracy, której nigdzie nie brakuje. Tu opowiedziałem mu o mojej „wariackiej" pracy przy obróbce kamieni.

– Szarpnij się przy robocie, to i ty się wyładujesz i słabszym pomożesz.

I proszę! Kilka miesięcy po tej rozmowie chwytam sam siebie na tym, że mi się chłopaki zaczynają podobać.

To nie było – w moim pojęciu – zboczenie, lecz potrzeba naturalnego wyżycia seksualnego. Byli i zboczeńcy, lecz większość z tych „panów" po wyjściu na wolność nie spojrzała nawet na chłopaków. Całą energię skierowali w stronę kobiet. Nasunęła mi się w tej chwili śmieszna myśl,

że wielu wierzących ludzi wierzy w to, że księża żyją w „czystości", celibacie. Niemożliwe. Natura im na to nie pozwoli. W Gusen był ksiądz, który nie został wywieziony do Dachau. Obecnie jest też księdzem. A wiedzieliśmy o tym, że ma on swoje „panienki". Jeden opowiadał mi w obozie, jak ksiądz chciał go zdobyć. Inny opowiadał Kwiatkowskiemu, że pierwszy raz naruszył go ten ksiądz, a teraz to już mu wszystko jedno. Żyć trzeba, ale jak drapnie tego księdza na wolności, to go uśmierci, bo wykorzystywał on jego ciężkie warunki, głód i niedoświadczenie życiowe jego młodych lat.

A teraz trzeba powiedzieć też, kto to były „panienki" i skąd się ich tyle brało. W pierwszym okresie rekrutowali się oni z tych, którzy z głodu zgadzali się na takie życie. Z jednej strony widział taki ciężkie życie szarego więźnia, z drugiej strony pokazano mu, jak będzie żył, jak się zgodzi. Chodziło tu o młodych chłopców, którzy nie mieli za dużo rozumu jeszcze. Ot, tyle, ile może mieć chłopak siedemnasto–dziewiętnastoletni. U takich chłopców ciężko też było doszukać się twardego, zdecydowanego charakteru. Spotkałem jednego takiego już w 1944 roku, opowiem o nim później.

Gdy przyszedł nowy transport do obozu, starzy pederaści – ci na funkcjach – upatrywali „towar" dla siebie. Wzywał takiego do siebie, dał mu jeść i kazał mu być swoim posługaczem, inaczej „szwungiem", jak mówili w obozie. do obowiązków takiego szwunga należało słanie łóżka dla swego chlebodawcy, fasowanie dla niego jedzenia, czyszczenie butów i załatwianie innych usług. Chłopak taki był ładnie przez swego pana ubierany, dobrze karmiony i albo wcale nie pracował, albo szedł do lekkiej roboty, pod dachem, gdzie nikt go nie bił i nie maltretował. Gdy „arystokrata" wziął sobie takiego szwunga, po kilku dniach kazał mu przyjść w nocy do siebie do łóżka albo sam szedł do niego. Jeżeli to był chłopak niezorientowany, który z tym zetknął się pierwszy raz w życiu – nie zgadzał się i następnego dnia już nie szedł do niego robić. Wtedy taki blokowy czy kapo posyłał go do roboty. Tam już wiedzieli kapowie, że mają dać mu szkołę. No i dawali – i to dobrze dawali. Nie tak, żeby zabić, ale tak, że chłopak był ledwie żywy i miał wrażenie, że każdej chwili mogą go zabić. Po kilku dniach jego „pan" znów kazał mu usługiwać, dał mu jeść i nie posyłał do roboty, a jeszcze okazał dobroć i współczucie –

ale przecież nie może go trzymać na bloku, jeśli nie będzie jego szwungiem. Po trzech dniach znów kazał mu przyjść w nocy do łóżka – i chłopak szedł. Z jednej strony pokazano mu, jak wygląda życie szarego więźnia z jego głodem, chłodem, pracą, biciem i możliwością utraty życia w każdej chwili, z drugiej strony – lenistwo lub lekka praca, pełny brzuch, ciepło, ładne ubranie, nikt nie uderzy; a wszystko za taki drobiazg jak spanie od czasu do czasu ze swoim „panem", któremu wszystkie te wygody zawdzięcza. Gorzej, bo i chłopcy ci rozwydrzyli się w tych dobrych warunkach; byli oni nietykalni dla innych więźniów, bo za każdym stał jego protektor, który zabił każdego, kto śmiałby dotknąć czy w inny sposób skrzywdzić jego pupilka. Częste były wypadki, że taki wyżarty zasraniec bił po twarzy innych więźniów, często ludzi starych. Rozpierała go siła i męstwo wobec słabych kolegów, którzy nie mieli szczęścia mieć osiemnastu lat, gładkiej gęby i możnego „pana".

Mnie to nigdy nie groziło, byłem już za stary i – co najważniejsze – brzydki. Nigdy na mnie nikt nie leciał. Raz jeden w 1944 roku mój hallajter przycisnął mnie i pocałował w policzek, co mnie wprowadziło w niesamowity humor. Po czteroipółrocznym pobycie w obozie okazało się, że mogę się też jeszcze komuś podobać.

W dalszych latach, paczkowych, wtedy gdy prawie jawnie uprawiano ten proceder – to już różnie było. Byli tacy, co naprawdę szli na to z głodu. Byli tacy, którzy mogli żyć nieźle, ale oni chcieli żyć bardzo dobrze. I było wielu takich, którzy robili to z ciekawości. Jak małpy. Widzieli, że inni to robią, to i oni też. Był taki znajomy chłopak, który robił to, mimo że miał dobrą pracę i dużo paczek z domu. Gdy go pytałem, dlaczego to robi, odpowiedział, że dlatego, że mu to przyjemność sprawia.

Inny na nasze gadanie odpowiedział:

– Co mi szkodzi, przecież dziecka mi nie zrobi.

Powstał też typ obozowej prostytutki męskiej. Ci nie mieli swojego stałego „pana". Oddawali się jednorazowo, za pewną opłatą w postaci jedzenia lub papierosów.

A teraz opowiem o jednym takim, który był twardy. Rosjanin. Nie wiem nawet, jak się nazywał. Ja nazywałem go „Pacan". Pracował w warsztatach Steyra. Maleńkiego wzrostu, ładny chłopak, tylko

zaniedbany. Marynarka sięgała mu do kolan, rękawy zawinięte, spodnie u dołu zawinięte kilka razy i czapka spadająca na oczy. Cholerny szprync i cwaniak. na wszystko miał gotową odpowiedź. Pracowaliśmy na jednej hali, tylko że ja mało kiedy chodziłem do roboty. Gdy ustawialiśmy się w szeregi do powrotu z pracy i widziałem przebiegającego „Pacana", wołałem go i robiłem miejsce obok siebie. Wtedy było wesoło. Przygadywał on wesoło pod adresem każdego kapa i esesmana. Stał raz obok mnie, a za moimi plecami stał Maciek Sitek z Warszawy. „Pacan" sięgał mi głową do piersi, a Sitek był prawie o głowę wyższy niż ja.

– O, jaki mały! – zdziwił się Sitek, patrząc na „Pacana".

Ten spojrzał do góry, żeby zobaczyć jego twarz, i rzekł z wielkim zachwytem:

– Patrz, jaki wielki człowiek! Kobyłę na stojąco zjebać może. A jaka morda – można cały tydzień na nią srać i też całej się nie zasra.

Maćkowi zabrakło konceptu, żeby mu na to odpowiedzieć.

Gdy szliśmy raz w obozie razem, „Pacan" pociągnął mnie za rękaw w boczną uliczkę, mówiąc:

– Chodź tędy, gówno na horyzoncie.

– Gdzie? – pytam.

– O tam – odpowiedział, pokazując na dwóch esesmanów idących w naszym kierunku.

Żywiłem go do końca pobytu w obozie. A żywienie zaczęło się w ten sposób:

Stanowisko jego było naprzeciwko mnie, w drugiej linii maszyn. W pewnym momencie, gdy patrzyłem na niego, zauważyłem, jak patrzy on z napięciem w maszynę i po chwili wsadził palec w tryby. Krzyknął, podbiegł do mnie ze zmiażdżonym palcem i pyta:

– Gdzie z tym?

– Idź do Donekera, to ci zrobi opatrunek.

Pobiegł, a po pewnym czasie wrócił z grubo owiniętym palcem. Następnego dnia nie przyszedł do pracy. Później ja nie chodziłem, a gdy znów musiałem wyjść, „Pacan" już był. Podszedłem do niego i pytam, dlaczego on przedtem palec w walce wsadził.

– Ja nie wsadziłem, złapało mnie – odpowiedział.

– Nie gadaj, nie gadaj! Patrzyłem na ciebie i widziałem, jak wsadziłeś.

– To nie mów tylko nikomu – prosił tajemniczo.

– Ale powiedz, dlaczego to zrobiłeś?

– Widzisz – powiedział wtedy poważnie – ja jestem mały, mam piętnaście lat i już więcej jak dwa lata jestem w obozie. ze mną nikt nie będzie prowadził żadnego handlu czy innych kombinacji. Gdybym zgodził się na propozycje pederastów, to miałbym wszystkiego, ile zechcę, ale ja na to nie poszedłem i nie pójdę. Zdechnę, a nie pójdę! – powiedział twardo.

– A co dało ci wsadzenie palca w tryby? Połamało ci palec – mówię, wskazując na jego zdeformowany palec.

– O, widzisz, byłem kilka tygodni w rewirze. A że jestem taki mały, to tam dawali mi dużo jeść – i patrz, jaka teraz u mnie morda. Widzisz, jak dobrze wyglądam?

– A co będzie, jak znów schudniesz? – pytam.

– Zobacz, ile mi jeszcze palców zostało – odpowiedział, pokazując mi ręce z rozczapierzonymi palcami.

Żal mi się zrobiło nagniotka. Dobrze walczy o życie – trzeba mu pomóc.

– Zupy chciałbyś? – pytam go.

– Dawaj, chcę.

– To przychodź codziennie po pracy na blok B, sztuba B, po prawej stronie w sam koniec – o, do tego – pokazałem mu Tomaszewskiego, który na tej hali był ustawiaczem maszyn. – Ja już mu powiem, to on codziennie będzie ci dawał miskę zupy.

– Dobrze, przyjdę – odpowiedział „Pacan”. – A ty po trzech dniach powiesz, żebym do ciebie w nocy do łóżka przyszedł, co?

– Nie, „Pacan”, ja na to nie poszedłem i nigdy nie pójdę.

– Ano, zobaczymy – odpowiedział zaczepnie.

On już widocznie nie wyobrażał sobie, że można dostawać jedzenie – i to od człowieka innej narodowości – bezinteresownie.

Mówił mi później, że brał udział w partyzantce. Tłumaczył mi, jak można klinem drewnianym wykolejać pociągi. Jak rozrywano tory. Wykazywał dużą orientację i znajomość tych rzeczy. Był łącznikiem. Tak mi mówił. Mało kiedy widywałem go, bo ja więcej siedziałem

w obozie jak w pracy, a wieczorem jedzenie wydawał mu Tomaszewski. Zostawiałem czasem dla niego dodatkowo kawałek chleba albo jakiś lepszy drobiazg z paczki, jak kilka cukierków czy kawałek ciasta. Spotkałem go raz w obozie, wtedy gdy on dojrzał „gówno" na horyzoncie. Strzeliło mi coś do łba i zaprowadziłem go do Janusza Zakulskiego, do magazynu odzieżowego. Janusz znał go już z mojego opowiadania.

– Musimy go ładnie ubrać – powiedziałem.

Janusz wyszukał ładne ubranko, ale „Pacan" odmówił. Nie chciał go. na nasze zdziwione pytanie, dlaczego nie chce brać, roześmiał się i odpowiedział pytaniem:

– A co wy myślicie o takich, co tak ładnie chodzą ubrani? Jak młody, to myślicie, że jest na utrzymaniu pederasty. Ja nie chcę, żeby o mnie ktoś nawet pomyślał tak. Wiesz, co ja chcę? Ja tylko chcę, żeby nie być głodnym i żeby mi zimno nie było.

– No, to wybierz sobie sam.

Wybrał dobre, ale skromne ubranie, taki sam sweter i buty.

Miał nareszcie ubranie na swoją miarę.

Przychodził też kilka razy Iwan, Ukrainiec, który tak ładnie gwizdał w tunelach. Przynosił na sprzedaż drewno, za które blokowi płacili miską zupy. Gdy go sam spotkałem, to dawałem mu miskę zupy, a drewno kazałem sprzedać komu innemu, to zarobi jeszcze jedną miskę. Natomiast Adam Kwiatkowski wyszukał innego Iwana; był rudy, krępy i bardzo silny. Podobała mi się jego siła. Czterech nas nie mogło przenieść stołu z metalowym blatem, a on wlazł pod stół, uniósł i przeszedł z nim kilka metrów. Nie wiedział, jak odwdzięczyć się za te trochę jedzenia, które mu dawałem, to gdy byłem w pracy, zawsze przynosił mi przed południem i fajrantem pudełko z gorącą wodą, kawałek mydła i ręcznik. Nie wiem, gdzie on to organizował, i nie wiem, kto mu mówił, która godzina, ale jak Iwan przynosił wodę, to wiadomo było, że za piętnaście minut będzie przerwa obiadowa albo koniec pracy. On też nie mógł zrozumieć, za co ja daję mu jeść. Tylko jeśli „Pacan" był bystry, inteligentny i cwaniak z polotem – to Iwan był tylko silny, ale myślał mało. Ciemniak – ale szczery i oddany. **Gdybym mu kazał kogo zabić, zabiłby z wdzięczności za jedzenie.**

Kiedyś budzę się rano, a przy łóżku siedzi Iwan. Wrócił z nocnej zmiany i czeka, aż ja się sam obudzę.

– Co chcesz, Iwan? – pytam.

– Daj mi swoje buty z cholewami, to ci dopasuję wojłokowe wklejki. Zorganizowałem kawałek wojłoku dla ciebie.

Po zrobieniu wklejek zapytał, czy nie mam bielizny do prania.

– Nie mam. Bieliznę pierze mi kto inny, któremu za to płacę.

– Ale ja chciałem coś dla ciebie robić – upierał się Iwan. I odchodził zawiedziony, że nic od niego nie chciałem.

Organizowanie często nie wychodziło na zdrowie organizatorowi. W głupi sposób zginęło dwóch znajomych Niemców. Jeden z nich to bardzo dobry chłop, który był przez długi czas kamieniarzem. Nazywaliśmy go „Amerykana", bo na kilka tygodni przed wybuchem wojny w 1939 roku przyjechał z Ameryki do Niemiec w odwiedziny do rodziny. Gdy rozpoczęła się wojna, nie pozwolono mu wrócić z powrotem. On ze złości potłukł portret Hitlera i innych dostojników. Rodzinka doniosła o tym do władz i wylądował w obozie koncentracyjnym. Był przez wszystkich lubiany za życzliwość do ludzi. Kto tylko co potrzebował, a nie mógł nigdzie dostać, zwracał się do niego. „Amerykana" organizował. Pewnego dnia w Steyrze zauważono brak kawała pasa transmisyjnego. Ktoś z całego pasa oderżnął dwa metry. Po wejściu z pracy do obozu postawiono nas pod drutami i esesmani przeprowadzili osobistą rewizję więźniów. „Amerykana" był tym pasem owinięty i złapano go z nim. Zamknęli go do bunkra w szuhausie. Małe okienko z tego bunkra wychodziło na plac apelowy. Zamknięto go razem ze sznurem, na którym kazano mu się powiesić. Siedział tam dwa tygodnie bez jedzenia i wody. Klucz od jego bunkra miał przy sobie komendant obozu Zajdler. Przychodził on raz dziennie, pytał go, czy jeszcze żyje i kiedy się powiesi, częstował papierosem i wychodził, żeby na następny dzień powtórzyć wszystko od początku. A „Amerykana" żył. Żył dlatego, że mu esesmani w nocy wrzucali przez okienko jedzenie i śnieg. My też, gdy rano czekaliśmy na wyjście do pracy, rzucaliśmy pigułami w okienko. Esesmani widzieli to, ale nic nie mówili, a „Amerykana" machał nam ręką. Przez okienko widzieliśmy tylko jego dłoń. Pewnej nocy pijany komendant wpadł do celi „Amerykana" i powiesił go na krawędzi pryczy. Przywiązał sznur do

pryczy, założył mu na szyję, a sam trzymał go za nogi, tak że był on cały w powietrzu.

W drugim przypadku jeden więzień, Niemiec, sprzedał na wolność motor elektryczny. Podobno sprzedał cywilnemu szoferowi, który przywoził do nas materiały. Esesmani odkryli aferę. Niemca tego powieszono na placu apelowym w obecności wszystkich pracowników Steyra. Najgorsze było to, że długo musieliśmy czekać na placu, zanim raczyli go powiesić, a na dworze było zimno. Czekanie urozmaicałem sobie śpiewaniem piosenek w duecie z Tadkiem Izraelewskim z Warszawy. Pamiętam, że śpiewaliśmy wtedy sobie wesołe piosenki Madagaskar i Lambeth Walk. Wreszcie wprowadzono go. Szedł ciężko, podtrzymywany przez esesmanów. Powiesili go na niedużym trzepaku, bo tak wyglądała ta szubienica. Nie wiem, dlaczego nie zrobili tego na tej szubienicy, na której trzynastego maja 1942 roku powiesili Rosjanina. Pacjent wyszedł na nieduży stołek, sam założył sobie pętlę na szyję i gotów. Bujał się tylko troszeczkę, nogami prawie dotykając ziemi, a komendant patrzył mu bez przerwy w oczy. Stał tak blisko, że prawie swoją twarzą dotykał twarzy więźnia. Widocznie chciał widzieć z bliska, jak umiera wieszany człowiek. Widziałem wszystko dobrze, bo stałem nie dalej jak osiem–dziesięć metrów od szubienicy.

W hali trzynastej sympatię poczuł do mnie stary, trzęsący się cywilny majster. Sympatia ta popierana była z mojej strony papierosami. Gdy byłem w hali, a chciałem trochę popracować, zjawiał się majster, który odsuwał mnie od maszyny i robił sam. Ja wtedy szedłem na spacer. Po powrocie wkładałem mu do kieszeni kilka papierosów. Dziadek błyskawicznie odczuwał niechęć do pracy i szybko uciekał z hali – szedł zapalić papierosa. Nie miał stary co palić, a ja dawałem mu, ale musiał on na palenie zarobić pracą. Później dawałem mu nie papierosy, a rosyjski tytoń, tak zwaną krupczatkę. Gdy przychodził do mojej maszyny, to wiedziałem, że staremu chce się palić, ale nie ma tytoniu. Lewa kieszeń jego roboczego fartucha zawsze była pusta. Czekała na tytoń. Ja ten tytoń wynosiłem pełnymi czapkami od Cyslera – kantyniarza. Miałem go tylko do rozdawania, to i majstrowi też tego tytoniu nie żałowałem. Codziennie dostał on jedną albo dwie garście tytoniu, a ja robiłem, co chciałem.

Pracując w zakładach Steyra, dowiedziałem się, że kał ludzki jest jadalny. Jednej niedzieli z biura skradziono produkty należące do Mariana Bochata, a ten, co ukradł, żeby zostawić po sobie pamiątkę, narżnął w wiaderko do marmolady, w którym gotowano jedzenie. Ktoś coś widział czy coś takiego. Fakt, że w poniedziałek złodzieja złapali. Był to chłopak ze wsi, którego znałem, bo był przedtem zastępcą kapa w kamieniołomach i ludzie często czuli jego kij na swoich plecach. Gdy zapytali go, dlaczego narżnął w wiadro, powiedział, że gdy już miał wychodzić, wszedł ktoś do biura. On przestraszył się, że zostanie złapany, i od razu tak mu się zachciało, że nie miał innego wyjścia jak w wiadro, bo na podłogę też się bał. Pytali go kapowie i esesmani. Śmierć wisiała nad jego głową. Wtedy odezwał się Bochat.

– Ja bym mu to kazał zeżreć.

Podobało się to esesmanom i kazali mu zjeść. Chłopak nabierał ręką, jadł i nawet nie rzygał. Zjadł wszystko i puścili go. Nikt go nawet nie uderzył.

Za to oberkapo, którego nazywaliśmy „Żaba", zbił Mundka Tomaszewskiego. Zbił go okropnie dużym francuskim kluczem do śrub. Zbił go za to, że w hali skręcał sobie w bibułkę papierosa. Mieliśmy kupę śmiechu, bo Mundek miał tak śmiesznie zdeformowaną twarz. Czoło miał spuchnięte po prawej stronie, a szczękę po lewej. Gorzej, że Mundek nie mógł chodzić, wstawać i ruszać się. Z wielkim trudem zaprowadziłem go do rewiru, w którym już wcześniej załatwiłem u kolegów prześwietlenie rentgenowskie. Myślałem, że ma połamane żebra. Okazało się na szczęście, że jest to tylko bardzo silne zbicie. Załatwiłem mu jeszcze tydzień zwolnienia z pracy i wszystko skończyło się dobrze.

Dowiedziałem się, że po dłuższym okresie spokoju zimowego szykuje się w obozie nagonka na markierantów, którzy nigdzie nie pracują. Poszedłem do Janusza, ze schowka w magazynie wyciągnęliśmy pół litra bimbru kupionego od majstrów za papierosy i tak uzbrojeni udaliśmy się do oberkapa „Żaby", żeby załatwić dla mnie od jutra lepszą robotę.

– Chciałbym mieć taką robotę, żeby odczepić się od produkcji, od majstrów, od hal, od maszyn i od źle wykonanych części, za które mogą uśmiercić, posądzając o celowy sabotaż.

– A czy jest u nas taka robota? – zapytał „Żaba” zdziwiony.

– Jest – grupa transportowa.

– To ustaw się tam jutro, a już ja ciebie zobaczę.

Następnego dnia rano po rozkazie: „Ustawić się grupami roboczymi!”, ustawiłem się w grupie transportu. Tu znów komenda – „Ustawiać się w grupach roboczych” – i transport rozbił się na mniejsze grupki. Zanim jednak to nastąpiło, „Żaba” wywołał mnie z szeregu, zawołał kapa całej grupy transportowej (Cygana) i mówi mu, że ma zrobić mnie kapem jednej grupy roboczej.

– Ja nie chcę być kapem – powiedziałem szybko, zaskoczony tym „pięknym” awansem.

– To czym chcesz być? – zapytał „Żaba”.

W tym czasie transport stał już podzielony na małe grupy robocze, a wśród nich była jedna grupka, w której kapem był kolega z tej samej sztuby – młody chłopak z Poznania.

– O, do niego chcę iść – powiedziałem, pokazując palcem.

„Żaba” kazał mu zapisać mnie do stanu jego grupy, zaznaczając, że ja jestem nadprogramowy, ale nic niech go nie obchodzi, co ja będę robił, bo mnie robota nie obowiązuje. Chodzi tylko o to, że muszę mieć przydział pracy.

I zaczęło się swobodne życie. Łaziłem, gdzie chciałem, i robiłem, co chciałem. Gdy nie miałem nic ciekawszego do roboty, chodziłem razem z grupą. Grupa – to osiem osób pracujących, kapo i ja. Muzułmani przy wózku lubili, gdy chodziłem przy wózku, bo i popalić mogli – bo zawsze im coś dałem – i robiłem za nich. Wózka nie pchałem, bo nie było potrzeby. Ale nosiłem ciężkie skrzynie z detalami, które do dalszej obróbki woziliśmy naszą platformą do hali w wykończonym górnym tunelu. W hali tej już pracowali ludzie. Noszenie skrzyń dawało mi nowe pole do robienia chyba nie bardzo bezpiecznych kantów. Skrzynie braliśmy z hal, w których robione były dane detale. Były one w podręcznych magazynach na poszczególnych halach. Część tych detali nie szła na wózek, lecz do kolegów, którzy przy nich robili. Ci dobrze ukrywali taką skrzynię i codziennie dobierali z niej pewną ilość detali, potrzebną do wykonania normy. Normę musieli wykonać, a to wymagało całodziennej intensywnej pracy. Mając taki ukryty zapas, mogli

wolniej pracować, połazić, odpocząć, a przed fajrantem z ukrytej pod stołem skrzyni wyjąć potrzebną, brakującą do normy ilość. Przed południem chodziłem zawsze do pomieszczenia, w którym szwung „Żaby" gotował obiad. Codziennie dawałem pewną ilość produktów i należałem do tego obiadu. Żeby nie jeść zupy obozowej. I to była też zapłata za to, że mogłem chodzić luzem. Obiad zawsze szykowaliśmy tak, żeby był gotowy jeszcze przed obiadem obozowym, bo wiedzieliśmy, że jeśli spóźnimy się, to nieprędko będziemy go jedli. Przeszkadzały naloty. Alarmy zaczynały się codziennie z wielką dokładnością za kilka minut dwunasta. Uciekaliśmy wtedy do tuneli. Kilka razy zostawałem w tym pomieszczeniu, w którym gotowaliśmy sobie obiady. Była to mała buda postawiona pomiędzy halami. Nie opłaciło się to jednak, bo ryzykowało się, że może złapać esesman – i było nudno.

Gdy już zrobiło się dobrze ciepło, codziennie po alarmie chodziłem spać do wieży posterunków nocnych, które stały wokół warsztatów.

Gdy nie pracowałem, to w czasie alarmu starałem się nie wychodzić do tuneli, bo było to daleko od bramy obozowej i całą drogę trzeba było przebiec i biegiem później wracać znów do bloku. Duża fatyga. Gdy z mojej ferajny tylko ja nie pracowałem, uciekałem do Janusza Zakulskiego. On też zostawał bez zezwolenia, ale mógł to zrobić, bo on miał klucze od magazynu, więc powinien wychodzić ostatni, żeby zamknąć magazyn. W magazynie mieliśmy spokój i przez okna oglądaliśmy przelatujące samoloty, a linia ich lotu codziennie biegła dokładnie nad naszym obozem. Poważnym zajęciem w magazynie w czasie alarmu było organizowanie ubrań cywilnych z magazynu będącego pod kontrolą esesmana – szefa magazynu. Był czas, że Adam Kwiatkowski też nie pracował. Wtedy staraliśmy się pozostać na bloku. Zostawaliśmy jednak tylko wtedy, gdy zostawał też ktoś w kapówce. Chowaliśmy się pod łóżka, a gdy już obóz wyludnił się, wyłaziliśmy i przyglądaliśmy się przez okna przelatującym grupom samolotów, wierząc w to, że obozu bombardować nie będą. Raz zginęły Sztyglicowi z kapówki pieniądze obozowe, tak zwane premienszajny. Byłem pewien, że przegrał on je w karty, a stworzył pozory kradzieży, i to głupie pozory, bo odkręcił skobelek od szafki, na którym założona była kłódka, ale łatwo było zobaczyć kant, bo śrubki od skobelka przykręcone były od

środka szafki. Jak można było odkręcić skobel zamkniętej na kłódkę szafki, żeby nie urwać kłódki? A gdyby zerwana była kłódka, to nie potrzeba odkręcać skobla. Było nas wtedy na sztubie sześciu. Mnie i Adama Sztyglic nie ruszał, ale pozostałych czterech dobrze pobili bykowcami, że to niby ktoś z nich ukradł. Potrzebne to było dla zrobienia właściwej i pełnej atmosfery kradzieży, bo premienszajny zabrane były od ludzi z całego bloku, za które mieli otrzymać papierosy. Zginęły, zostały skradzione czy też było to okradzenie więźniów przez blokowego, dla ludzi miało jedno znaczenie – nikt nie dostał wtedy papierosów. od tamtego dnia, jak był alarm, uciekałem do tuneli. Raz gdy zaryczała syrena, Adam, zamiast uciekać, zerwał z gwoździa gitarę i zaczął szukać tonacji, w której ryczy syrena alarmowa. Znalazł wreszcie – F-dur. Położył gitarę na łóżko i wtedy dopiero pobiegliśmy do tuneli. Gdy wracaliśmy z tuneli, po drodze wlazłem pomiędzy stosy desek załatwić małą potrzebę. Gdy spokojnie „rozmawiałem" z deskami, ktoś uderzył mnie z tyłu w twarz. Zrobiłem ćwierć obrotu i całą siłą machnąłem głową do tyłu. Trafiłem dobrze. Uderzenie. Krzyknięcie uderzonego. Upadek. I tylko w chwili uderzenia głową zobaczyłem na rękawie winkiel kapowski. Nie oglądając się, ile sił w nogach uciekałem pomiędzy stosami desek, tak że ten, który mnie uderzył, nie wiedział, kogo uderzył, i ja też nie wiedziałem, kogo uderzyłem. Wiedziałem tylko, że to był kapo, który lubił bić w mordę, bo jeszcze czułem na twarzy jego uderzenie.

Przywieziono do obozu transport Żydów z Częstochowy. Przywitanie ich nie było przyjemne. Byli zastraszeni i nie znali obozu. Wykorzystywali to inni więźniowie i zabierali im buty, a wszyscy mieli ładne buty na nogach. Błyskawicznie rozeszło się to po obozie i znaleźli się tacy, co mieli drewniane deski własnej roboty na nogach i wymieniali je na buty.

Byli tacy, co na miejscu robili drewniane trepki, to znaczy deski z przyczepionymi sznurkami, i dawali je w zamian za zabrane. Wdali się w to esesmani – kilku zbili i odebrali te buty, a wszystkim zapowiedzieli, że wykańczać będą tych, którzy będą zabierali Żydom

buty. Poprzydzielano ich do różnych grup roboczych; różnili się od innych więźniów tylko tym, że mieli żółty kolor winkla. Traktowani byli tak jak wszyscy inni więźniowie. Jeden taki pracował w grupie razem z Adamem Kwiatkowskim. Nie pamiętam dobrze, co było, lecz Adam powiedział mi, że mają tego Żyda wykończyć. W tym celu przepisują go na nocną zmianę i w nocy wykończy go kapo nocnej zmiany, zwany „Generałem". Adam prosił mnie, żeby zrobić coś takiego, żeby nie dopuścić do wysłania go na nocną zmianę. Przy pomocy Janusza Zakulskiego i Mariana Bochata udało mi się to. Jak to zmieniły się czasy! Teraz, żeby zabić Żyda, trzeba było tyle zachodu jak szukanie specjalnego powodu, a do tego jeszcze specjalnie przenosić na nocną zmianę, a wystarczyło nie dopuścić do przeniesienia go, by uratować mu w ten sposób życie.

Po trzech dniach, gdy wszedłem do hali porozmawiać z Adamem, ten Żyd dłubał pilnikiem w ustach. Odwołał mnie i wtyka mi coś do ręki. Patrzę, co mi daje, a to złota korona z zęba.

– Weź to – mówi – ty mi życie uratowałeś.

Wsadziłem mu to z powrotem w łapę. Powiedziałem, że to nie jest mi potrzebne, niech lepiej sprzeda, to dostanie za to kilka bochenków chleba. Nie miał on do nas szczęścia. Wieczorem mówił mi Adam, jak to jemu też chciał dać tę złotą koronę, ale i Adam nie przyjął prezentu.

Krótko przed końcem wojny zmobilizowano niektórych więźniów do volksszturmu. Byli to Niemcy – przeważnie kapowie i blokowi oraz ci silni i wyżarci, którzy byli na różnych funkcjach. Ubrano ich w mundury piaskowego koloru i przeprowadzano z nimi ćwiczenia wojskowe na placu apelowym. Chyba w pierwszych dniach kwietnia 1945 roku wyszli oni z obozu. Wśród nich uciekło nam dużo bandytów – blokowych i kapów. W dniu wyzwolenia więźniowie zabili wszystkich bandytów, a z tych, którzy odeszli z volksszturmem, złapano na wolności kilku, a reszta uciekła nam.

Z volksszturmem uciekł też „Żaba", na którego więźniowie ostrzyli sobie zęby. na jego miejsce oberkapem został Doneker. To było dobre bydlę. Nie bałem się żadnych kapów i blokowych, a tego jednego bandyty bałem się. Jak widziałem go z daleka, to na wszelki wypadek wolałem iść inną drogą, żeby się z nim nie spotkać. Był to

człowiek oczytany, znał się na muzyce poważnej, podobno był lekarzem. Wielki, lekko zgarbiony, z rękami bez mała do kolan i dziwnym chodem. Nogi stawiał szpicami butów do środka i miał cholerne, świdrujące człowieka na wylot oczy. Poszedłem raz pogadać z Tomaszewskim. Rozmawiając z nim, wyczułem za sobą niebezpieczeństwo. Obejrzałem się – Doneker. Stał, patrząc na mnie. Podszedł do mnie i zapytał cichym, przejmującym głosem:

– Gdzie ty robisz?

– W transportkolonie – odpowiedziałem.

– A co tutaj robisz?

– Przyszedłem porozmawiać z kolegą.

– Uciekaj – powiedział po cichu, pokazując palcem drzwi.

Bez słowa wyszedłem z hali. Bałem się go… i już. Widziałem go, jak mordował z uśmiechem na ustach. Brał długi kawał metalu, z którego robiono lufy karabinowe, i bił powoli, spokojnie, metodycznie. W końcu albo zabijał odpowiednio celnym uderzeniem, albo pobity człowiek umierał jeszcze kilka godzin. Podobał mi się dopiero w ostatnich chwilach swego życia. Tak jak z uśmiechem mordował, z takim samym uśmiechem zginął. Inni prosili, błagali, bronili się. On nie. Przyglądał się ludziom, którzy go prowadzili – i uśmiechał się. Po drodze oddawał znajomym pióro wieczne, ołówek i zegarek i nawet ręką nie ruszył w swojej obronie, gdy go uśmiercano.

Przez pewien czas nie pracowałem, a na dwa tygodnie przed końcem wojny znów musiałem iść do pracy. na placu zbiórek zobaczył mnie Doneker. Podszedł i zapytał, gdzie byłem przez tyle dni.

– W obozie – odpowiedziałem.

– Co tam robiłeś?

– Zupełnie nic.

Walnął mnie dwa razy w twarz, mówiąc:

– To będziesz teraz robił.

Zawołał Bochata i kazał zapisać mnie do pracy w hali trzeciej. Bochat powiedział mi, że na razie nic nie może dla mnie zrobić, bo Doneker sam będzie sprawdzał, czy jestem w hali trzeciej. Pogadał tylko z hallajterem i pisarzem halowym. Przecież byłem osobą znaną

w obozie. Powiedziałem im, że ma być wszystko dobrze, to i ja się na tym poznam.

W hali trzeciej wiercono lufy karabinowe. Robota w oliwie. Ludzie pracujący w tej hali mieli całe ubranie przesycone oliwą. od oliwy robiły się na ciele pryszcze, krosty, wrzody i po miesiącu czy dwóch ludzie słabsi wykańczali się przy tej robocie. Jeden człowiek obsługiwał dwie–trzy maszyny. Mnie dano do maszyny, na której pracował Włoch. Moim obowiązkiem było obserwowanie wejścia do hali, czy nie wchodzi Doneker, a gdy wchodził, to wtedy stawałem przy maszynie. Gdy stanąłem pierwszy raz, z humorem zaśpiewałem głośno tango, a właściwie tylko dwa zdania tego tanga: „Przyjdzie czas, że znowu się spotkamy, wróci to, co było między nami!". I przyszedł czas. za dwa tygodnie spotkaliśmy się – i było to już nasze ostatnie spotkanie.

Gdy zaśpiewałem sobie, to chłopaki popatrzyli na mnie jak na wariata, że dostałem się do takiej paskudnej roboty i jeszcze chce mi się śpiewać. Z Włochem zawarłem od razu sztamę. Codziennie dawałem mu kawałek chleba, swoją obiadową zupę – bo ja dopiero jadłem wieczorem w obozie lepsze jedzenie organizowane z kuchni, od Kazia Bodycha.

Ten kawałek chleba i zupa trzymały go przy życiu, bo właśnie w tych ostatnich dwóch tygodniach chleba nie dawano nam prawie wcale, a na obiad dawali trzy czwarte litra zupy składającej się z wody i kilkunastu kawałeczków suszonej brukwi. Ludzie padali wtedy masowo. Krematorium nie nadążało palić trupów, to wywożono je dużymi ciężarowymi samochodami. Ładunek przykrywano plandeką i tylko widać było, że zawartość samochodu rusza się jak galareta.

Kilka dni przed wyzwoleniem obserwowałem, jak w hali umierał młody chłopak. Przed południem stał jeszcze przy maszynie. W pewnej chwili przestał pracować i usiadł pod ścianą. Po godzinie leżał już bez ruchu na ziemi. Co kilka minut podchodziłem popatrzeć na niego. Oddech jego był coraz bardziej ciężki i nieregularny. Po południu był już nieprzytomny, a wieczorem do obozu przyniesiono trupa.

Wieczorem znów chłopaki śmiali się z jednego muzułmana, że się upił. Czekał przy łóżku na swój kawałek chleba, który inni w tym czasie kroili do podziału. Trzymał się nogi łóżka i chwiał się jak człowiek pijany. Oczy też miał człowieka pijanego – martwe, bez wyrazu, patrzące bezmyślnie w jeden punkt. Był on powodem wesołości innych więźniów – że niby się upił, pytali go, gdzie dostał wódkę, i mówili, żeby uważał, bo jak go złapią, to go zbiją za to, że się upił. A ten człowiek przecież umierał na stojąco. Zanim poszliśmy spać, on już nie żył.

Przez pierwsze kilka dni Doneker kilka razy dziennie zaglądał do hali trzeciej, żeby sprawdzić, czy jestem i czy stoję przy maszynie. Raz nawet wszedł do hali i godzinę stał przy mojej maszynie. Wtedy musiałem robić. Wystarczyła godzina, żeby ubranie było całe mokre od oliwy. Ale co mi mógł zrobić Doneker? Wieczorem wziąłem od Janusza czyste, nowe ubranie i bieliznę. W łaźni dałem dwadzieścia papierosów, to mi puścili gorącą wodę. Wykąpałem się, włożyłem czystą bieliznę i ubranie i znów nic mi Doneker nie zrobił. W hali trzeciej przerobiłem – a właściwie nie robiłem – ostatnie dwa tygodnie pobytu w obozie. Już tak się przyzwyczaiłem, że jak mnie pytał kto, gdzie pracuję, to zwracałem uwagę, że mnie należy pytać, gdzie ja nie pracuję.

– W tunelach nie pracowałem, a obecnie w zakładach Steyra nie pracuję. Mnie się robota nie czepia, a sam do roboty nie będę się pchał – mówiłem. – Wystarczy, gdy patrzę, jak inni robią, to już mi w krzyżu trzeszczy. Po prostu nie wyobrażam sobie, co by było, gdybym sam musiał pracować. na samo słowo „robota” słabo mi się robi.

Gdy mówiłem o kąpieli, to muszę powiedzieć, że oprócz ogólnej kąpieli całego bloku chodziłem jeszcze dodatkowo, płacąc za puszczenie wody kilka papierosów. Stać mnie na to było. Poza tym każdego tygodnia całą naszą ferajną nosiliśmy koce i ubrania do odwszenia. Cała ferajna to ci wszyscy, którzy byli związani graniem i mieszkaniem razem w jednym kącie sztuby, a więc: Adam Kwiatkowski, Zygmunt Piwowarski, Czesiek Palacz, Mundek Tomaszewski i ja. Dawaliśmy po kilka papierosów i ubranie przepuszczali nam przez specjalną maszynę. Gdy wsadzili z jednej

strony, po kilku minutach wyszło z drugiej strony. Znów były w obozie wszy, ale już nie w takich ilościach jak w 1941 roku. Była w obozie na stałe maszyna do parowania ubrań i koców i bloki kolejno poddawały się odwszeniu. Istniały częste kontrole i gdy stwierdzono u kogoś wszy, ten posiedział dwie godziny w bloku pod pożyczonym kocem, a jego koce i ubrania szły do odwszenia. Maszyna ta pracowała w dzień i w nocy. W dzień parowała koce, w nocy ubrania, a ludzie nago spali pod kocami na blokach. To już nie było to, co gazowania w 1941 i 1942 roku. Teraz już nie zabijano za to tylko, że człowiek miał wszy.

Największymi brudasami i ludźmi zawszonymi byli Francuzi i Włosi. Było i tak, że blokowy kazał innym szorować Francuzów i Włochów w beczce ryżową szczotką. Mało było Francuzów, którzy by codziennie się myli. Włosi, mimo że brudasy, to jednak chłopaki równe, dobrzy koledzy, zawsze rozśpiewani, z piosenką na ustach. Francuzi? Bydło. Jeść po francusku znaczyło zjeść chleb w ustępie, siedząc na sedesie. Nikt inny na taki luksus sobie nie pozwalał, żeby jednocześnie jeść i… to drugie. Wytrzeć następnie dupę po francusku to po prostu wymyć ręką w sedesie. Obozowe sedesy nie miały zbiorników u góry, lecz przycisk za plecami. Gdy się przycisnęło, to woda leciała tak długo, jak długo trzymało się przycisk. Francuzi robili to w ten sposób, że jedną ręką naciskali przycisk, a drugą nabierali z sedesu wodę i myli się. Kultura – dupa musiała być czysta. Gdy jaki Polak pytał kolejno wchodzących, czy nie mogą dać mu kawałka papieru, to gdy nie mieli, radzili, żeby podtarł się po francusku.

W obozie najbardziej zgodnymi ludźmi do współżycia byli Jugosłowianie. Lubiani byli Grecy. Dobrymi kolegami byli Hiszpanie. Włosi – mimo brudu i wszy – byli chłopy fajne. Jedynie Francuzi – samolubni, nieżyczliwi, egoiści. **Nie tylko w stosunku do innych narodowości, ale nawet między sobą. Jak było błoto, a nie wolno było wejść do sztuby w zabłoconych butach, to gdy Francuz kawałkiem szmaty umył buty w kałuży, to już jej nikomu nie dał, nawet drugiemu Francuzowi. Wrzucał do ścieku, a nie dał. Naród, o którym mówiono, że**

jest narodem o wysokiej kulturze, o pięknych tradycjach historycznych. Naród, do którego można było czuć wielki sentyment, nie znając go. Z bliska to tylko kupa niezaradnych życiowo, zawszonych, samolubnych, egoistycznych brudasów. A może to wysoka stopa życiowa uczyniła z nich kompletnych niedorajdów, ludzi słabego charakteru, niezdolnych do życia w ciężkich warunkach. Przecież ja przed wojną nawet nie widziałem z bliska jednego Francuza i byli dla mnie tacy sami dobrzy jak każdy inny naród, więc nie można mnie posądzić o jakieś specjalne uprzedzenie. Laffitte w swej książce *Życie to walka* nienawiść do Francuzów motywuje przyczynami politycznymi: Czesi, że Monachium, Polacy, że Francuzi nie chcieli bić się za korytarz, Hiszpanie, że Francja była neutralna w okresie wojny domowej w Hiszpanii. Moim zdaniem przyczyną niepopularności Francuzów nie były sprawy polityczne, lecz ich stosunek do otoczenia, do kolegów współwięźniów, tak swych rodaków, jak i innych narodowości. **Głupstwa pisał Laffitte, opisując w tak piękny sposób solidarność francuską w obozie koncentracyjnym Mauthausen. Nie wierzę w to, że w Mauthausen Francuzi mogli być inni niż w Gusen.**

Za swoje samolubne postępowanie niejeden z nich oberwał ode mnie. Gdy pracowałem w grupie transportowej, przy wozie tym pracował ojciec i syn, Francuzi. Raz synowi udało się zdobyć gdzieś dużą ilość łupin od ogórków, które włożył sobie za koszulę. Jak ten ojciec prosił, jak skamlał! Chodził za nim z wyciągniętą ręką, prosząc o trochę tych łupin, a synek pyskował ze złością i uciekał przed nim na drugą stronę naszej platformy, ciągle jedząc te łupiny. Wreszcie wziął w palce kilka łupinek i dał ojcu. Ojciec zjadł i znów go prosi. Odepchnął on ojca tak, że ten się przewrócił, a synka nic to dalej nie obchodziło. Gdy na to patrzyłem, wzbierała we mnie złość, ale nic nie mówiłem. Dopiero jak ojciec upadł, nie wytrzymałem. Grzmotnąłem kilka razy w ryja, szarpnąłem za koszulę i siłą zabrałem mu dwie pełne ręce łupin, które oddałem jego ojcu. Ciekawe, że po tym patrzył on jak na bandytę nie na mnie, a na swego ojca.

Kiedyś czekając na paczkę, a wywoływali według alfabetu, chciałem sobie zapalić, a nie miałem papierosa. Więc naładowałem fajkę i rozglądam się za ogniem. Widzę, stoi z boku facet z papierosem. Gruby, z brzuszkiem, dobrze ubrany. Był to Francuz –

zegarmistrz, który w obozie reperował zegarki esesmanom i więźniom i tym sposobem dobrze zarabiał – a poza tym dostawał paczki. Podszedłem i poprosiłem grzecznie po niemiecku o ogień. Fuknął ze złością i coś zadziamgotał. Zrozumiałem słowo „pipa" i „bien cigaret" – fajka i dobry papieros. Nie chciał dać od dobrego papierosa ognia do zwyczajnej fajki. Wykręcił się do mnie bokiem.

– Pewnie Francuz – powiedziałem głośno.

Spojrzałem – tak, na winklu litera „F".

– Daj ognia – mówię mu, teraz już po polsku.

Fuknął znów – a ja go pięścią w brzuch. Tylko beknął. Odszedłem, ale nie mogę go sobie darować. Znów podszedłem i znów proszę o ogień. Odmówił – znów dostał bombę w brzuch. Zaczął wrzeszczeć na mnie, a jeszcze czterech zaczęło skakać do mnie, machając mi łapami przy twarzy. Stuknąłem jednego głową, drugiego pięścią, a reszta zrezygnowała z atakowania mnie. Chciałem jeszcze prosić go o ogień, ale jak narobili krzyku, to drugi krzyk podniósł się przy paczkarni. Żeby się uciszyć, bo nie słychać, kogo wysyłają po odbiór paczki. Wygrał bydlak – nie dał mi ognia.

Francuzi atakowali zawsze kupą. Skakali, machali łapami i krzyczeli jak gęsi. Ale jak tylko jeden dobrze dostał w ryja, to od razu uspokajali się. Miałem z nimi wiele podobnych wypadków. za ich niczym nieumotywowaną nieżyczliwość w stosunku do wszystkich płaciłem pięścią, jak mi który wszedł w drogę.

Zastanawiałem się niejeden raz, gdzie są francuscy apasze. Jeśli i oni byli w obozie i z nimi też miałem do czynienia – no, to sam jeden rozpędziłbym dziesięciu groźnych francuskich apaszów.

Gdy raz wracaliśmy z pracy do obozu, przede mną szedł jakiś człowiek stawiający długie, wolne kroki. Był to chłop wielki i dobrze zbudowany. Jego sposób maszerowania przeszkadzał mi iść. Zawadzałem o jego nogi, bo szliśmy blisko siebie. Lekko popchnąłem go ręką w plecy, a nawet nie popchnąłem, tylko dotknąłem, żeby wiedział, że do niego mówię, i powiedziałem, żeby szedł równiej. Nie zdążyłem powiedzieć, gdy ten coś miauknął i z rozmachem machnął ręką do tyłu, chcąc mnie uderzyć w twarz. Odbiłem mu ręką, drugą grzmotnąłem między oczy, poprawiłem nogą w tyłek i uspokoił się. za to zaczęli krzyczeć i pyskować ci, co szli obok mnie. Jeden dostał łokciem w bok, drugi nogą

w kostkę, ale zamieszanie gotowe. Słyszę, jak Mundek Tomaszewski, który szedł kilka szeregów dalej, mówi:

– No tak, gdzie Stasiek, tam i awantura.

Gdy weszliśmy do obozu i zaraz za bramą ludzie rozchodzili się na bloki, zaatakowali mnie. Ten, który mnie chciał uderzyć, napierał na mnie, a trzech innych podchodziło z drugiej strony. Widząc, że nie da się uniknąć awantury, tego najsilniejszego – bo on był najbardziej niebezpieczny – ściągnąłem za klapę marynarki na siebie, walnąłem łbem i równocześnie odepchnąłem go od siebie. Poleciał tyłem, machając rękami dla złapania równowagi. W pewnym momencie wpadł plecami na kapa następnej wchodzącej setki, ten, przeklinając, poprawił mu pięścią i facet przewrócił się. Inni, widząc to, odsunęli się na bezpieczną odległość, mrucząc: „Polaco specialist". A już myślałem, że mi wtedy wleją. Albo taki przypadek. Ustawiłem się w szeregu i czekam na wyjście do pracy. Kilka szeregów z przodu stoi mój kolega. Dotknąłem jednego przed sobą, mówiąc po polsku, bo nie wiem, kto i jakiej narodowości stoi przede mną:

– Zamieńmy się na miejsca.

Przesunął się. Przesunął się drugi, trzeci, czwarty. Piąty na moją prośbę o zamianę miejsc otrząsnął się ze złością i nie ruszył się z miejsca. Prośbę swą popierałem wymownym ruchem i sam przesuwałem się do przodu. Dla każdego było to zupełnie zrozumiałe i każdy przesuwał się, bo co to dla niego za różnica stać tu czy jedno miejsce w tyle. Ten tylko nie chciał się przesunąć.

– Pewnie Francuz – mówię do kolegi, od którego dzieli mnie tylko jeden szereg. Zajrzałem przez ramię. Zgadza się, Francuz. Proszę go jeszcze raz, teraz, żeby na pewno zrozumiał, proszę go po niemiecku i mówię, że tu stoi mój kolega.

– Kolega, kolega – odpowiedział ze złością. – Wszyscy koledzy – mówi i stoi dalej.

– Nie chcesz? – zapytałem słodko. To czekaj, ja zaraz ciebie przesunę. Stałem za nim, więc swoją prawą ręką sięgnąłem go od jego lewej strony, chwyciłem marynarkę na piersi i pociągnąłem na siebie, jednocześnie uderzając głową i odpychając go. Zrobiłem taką samą sztuczkę jak z tym, co mnie atakował przy bramie. Wyleciał z szeregu i usiadł kilka metrów dalej, a ja stanąłem na jego miejscu i gdy tamten

wrzeszczał i wymyślał mi po francusku, tłumaczyłem mu spokojnie po polsku:

– A prosiłem baranie grzecznie, żebyś się zamienił, to nie chciałeś, no to musiałem to zrobić w niegrzeczny troszkę sposób. Ale możesz mieć żal tylko do siebie, że jesteś taki nieżyczliwy.

A że on się uspokoił, to i ja zająłem się rozmową z kolegą.

Wychodzimy całym blokiem na apel. Obowiązuje równe maszerowanie. Przede mną idzie ktoś bokiem i woła coś do innego, który znów z innym blokiem wychodzi z następnej uliczki na plac. Pchnąłem go lekko ręką i mówię, żeby teraz na placu szedł jak potrzeba, bo mogą cały blok przez niego uczyć chodzić – a takie ćwiczenia trwały ze dwie godziny, po apelu. Gdy stanęliśmy na placu w szeregach, on stał po mojej prawej stronie. To, co było przed chwilą, to nie był nawet żaden incydent, tylko uwaga zwrócona w zupełnie grzecznej formie, bez złości, po polsku – bo nie wiedziałem, kto przede mną idzie. Gdy już stanęliśmy, dopiero wtedy zobaczyłem, że to Francuz, ale żadnej uwagi na niego nie zwracałem. Inni coś go pytali, a on, pokazując na mnie kciukiem lewej ręki, mówił pogardliwym tonem z odpowiednim grymasem twarzy: „Polone, Polone…". Ruszyło mnie, ale jeszcze nic nie mówię. Po chwili on znów coś mówił i znów pokazał na mnie, mówiąc w ten sam sposób: „Polone, Polone". Ruszyłem mu przed nosem palcem prawej ręki i zrobiłem znaczący ruch głową, mówiąc po polsku: „No, ty, bo jak ci dam Polone, to cię krew zaleje". Wtedy on tym samym pogardliwym tonem syknął: „Polone kultiur". Tu nie wytrzymałem, strzeliłem tylko raz łbem i poprawiłem raz lewą pięścią. Krew go zalała, i to nawet dość dobrze. Spostrzegłem, że już esesman liczy nasz blok – a ten maże sobie gębę krwią. Jak esesman go zobaczy, pomyślałem, to mi wtłoczy. Po prostu będzie miał okazję do bicia. Ale nic się nie stało. Po chwili blokowy z końca spojrzał po szeregu i pyta, co mu się stało.

– Uno Polako – mówi jakiś Hiszpan.

– To ja – mówię.

– Za co? – pyta Sztyglic.

– Powiem ci na bloku.

Ale na bloku wcale się o to nie pytał.

Ale byli też wśród nich i ludzie z charakterami. Był taki jeden. Józef miał na imię – albo go tak nazywali, bo ja nawet nie wiem, czy Francuzi mają takie imię. Umiał mówić po polsku. W odróżnieniu od innych był on bardzo koleżeński, nie był brudasem i był przez wszystkich bardzo lubiany. Jego pytałem, dlaczego Francuzi mają takie paskudne natury. Tłumaczył mi to na różne sposoby, ale nie trafiało do mojego przekonania. Uważam, że to jest ich cechą narodową. Dobre warunki życiowe przed wojną – tym nie można tłumaczyć. Polacy w obozie to też w większości inteligencja, która nie miała złych warunków życia, a jednak nie byli tacy. Więcej trafiało mi do przekonania, że egoizm u nich był wynikiem tego, że wiele rodzin chowało po jednym tylko dziecku. Takie dziecko było rozpieszczone, niczego mu w życiu nie brakowało i spełniano zawsze wszystkie jego zachcianki i grymasy. Nie umiał taki później dostosować się do życia w gromadzie, w kolektywie. Nastawiony był zawsze na maksymalne zaspokojenie własnych tylko potrzeb i pragnień. Kto wie, może Józef miał tu trochę racji. **Zapytał mnie raz, czy wierzę w piekło.**

– Józiu – mówię – gdzie ty znajdziesz większe piekło. A kto wie, może i byłoby wtedy, gdyby ci tu do obozu przywieźli jeszcze żonę i teściową. Tak, wtedy byłoby jeszcze większe piekło.

Drugim Francuzem, któremu pomagaliśmy ze Staśkiem M., był Robert. Był to znajomy M. Ale gdy rozwiedliśmy się z M., to przestał on mu pomagać. Ja pomoc utrzymałem dalej i żywiłem go do samego wyzwolenia. Niewiele z nim rozmawiałem. Tylko tyle, ile mogliśmy porozumieć się po niemiecku, a ja mocny w tym języku nigdy nie byłem. Miesiąc przed wyzwoleniem w dowód zaufania wyznał mi, że on jest francuskim Żydem, ale o tym nikt nie wie i w obozie siedzi jako Francuz. Kilka dni po tym wyznaniu wyjechał on z Gusen. Wyjechali wtedy wszyscy Francuzi. Mówiono, że podobno ma ich przejąć Międzynarodowy Czerwony Krzyż i odtransportować do Francji. Coś tam musiało z tym być, bo dostali oni jakieś paczki żywnościowe, w których było różne żarcie, a w tym czekolada i papierosy. Ale wtedy, gdy wydano im paczki, ustawiono ich na placu apelowym i nie pozwolono innym więźniom kontaktować się z nimi. Jak na złość zaczął padać duży deszcz i przez cały dzień

stali oni na tym deszczu. Wielu siedziało na ziemi w kałużach wody, a byli i tacy, co leżeli w wodzie i ostatni raz przed śmiercią objadali się czekoladą z paczek, które na deszczu i w błocie leżały przy nich. Po południu wielu z nich nie żyło już i przykro było mi patrzeć, że śmierć zabiera ich na chwilę przed odjazdem. Wieczorem dopiero wyprowadzono ich za bramę. Gdzie poszli i kto ich zabrał, nie wiem, bo też wcale się tym nie interesowałem. Po co? Nam to i tak nic nie dało, a nie warto myśleć o rzeczach przykrych. Nie należało do rzeczy przyjemnych patrzeć, jak inni wyjeżdżają, a my pozostajemy na niepewny los – przy wzrastającym w ostatnich tygodniach terrorze i zwiększającym się głodzie.

Ostatni okres w obozie mieszkałem na bloku A. Dostałem się tam dlatego, że zadarłem ze Sztyglicem. Sztyglic został przeniesiony z bloku B na blok D i postanowił całą naszą grupę przenieść na swój blok. Gdy już przenieśliśmy się na blok D, zaczął on stosować metody blokowego z bloku trzeciego. Chciał, żeby mu dawać. Przez pierwsze dni w jak najlepszej wierze dawałem mu wszystko, o co mnie prosił. Ale przeciągnął strunę i od tego dnia nic więcej nie dostał. Prosił mnie o palto, więc mu wieczorem przyniosłem cywilne palto, ale z pasiastym oknem na plecach. Sztyglic zobaczył – i z pretensją do mnie, co ja mu przyniosłem. Przecież on chciał palto całkowicie cywilne – bez okna.

– Sztyglic – powiedziałem mu spokojnie – jak chcesz cywilne palto, to musisz dać za nie litr wódki, i to z góry, bo inaczej nie dam. Nie wierzę ci. Dasz litr wódki tu, w obozie. Bo w pracy, od majstra, dostanę dwa i pół litra.

Od tego czasu zaczął mnie szykanować, a ja stawałem sztorcem. Czułem, że może dojść do większej awantury, bo się go nie bałem i czułem, że dam mu radę. On też nie zaczynał na całego. Powiedziałem o całej sprawie Januszowi Zakulskiemu i uzgodniliśmy, że trzeba przenieść się na inny blok. Zdecydowaliśmy się na blok A, bo tam blokowym był Cymerman, dobry Janusza znajomy. Przeniosłem się na blok A, ale do chłopaków chodziłem. Adam

powiedział mi pewnego dnia, żebym nie przychodził na blok D, bo Sztyglic zapowiedział, że jeśli wejdę mu na blok, to mnie zabije. Chciałem pójść specjalnie i zobaczyć, jak Sztyglic będzie mnie zabijał, ale Adam prosił, żeby jednak nie wchodzić, bo draka taka może się źle skończyć. Jak ja będę go tłukł, to może wtrącić się który kapo – tu znów mogą nie wytrzymać moje chłopaki i też się wtrącą. Mogłaby z tego wyniknąć poważna awantura, a do końca wojny już niedługo było. Czuć było bliską wolność. Fronty blisko. A już niedobrze musi być, jeśli naszych bandytów biorą do wojska.

Do Gusen przyjechał Himmler. W tym czasie, kiedy on przebywał w obozie, zapędzono nas wszystkich do bloków i nie pozwolono nawet wyglądać oknami. Byłem wtedy na bloku D i stojąc metr od ostatniego okna od strony placu apelowego, widziałem tego oberbandytę. Nieduży, w polowej wojskowej czapce, ze szkłami na oczach. Zawołano na plac starszego obozu i badaczy Pisma Świętego – tych z fioletowymi winklami, którzy nie chcieli służyć w wojsku. Zaproponowano im, że będą zwolnieni, jeśli zgodzą się pójść do wojska. Odmówili. Następnego dnia ogłoszono nam, że kto chce, może u swojego pisarza zapisać się na ochotnika do volksszturmu. Zapisywali się przeważnie Niemcy. Jeden nasz znajomy, szwung Cyslera, zapisał się. Poznaniak. na imię miał Edek, a nazwisko jakieś półniemieckie. Gdy zdziwieni zapytaliśmy, dlaczego to zrobił, odpowiedział nam, że dlatego, że jest Niemcem i czuje się Niemcem, bo jego matka jest rodowitą Niemką.

Do volksszturmu wybrali część zgłoszonych, lecz tylko samych Niemców. A my Edka od tego dnia nie dostrzegaliśmy. Bojkotowaliśmy go. Zapisał się jeszcze jeden kolega, którego żywiliśmy z Adamem – Henio Krajewski z Warszawy, którego nazywaliśmy „Kajtek” z powodu jego małego wzrostu. Z Heniem było tak:

Po ogłoszeniu ochotniczego poboru przyszedł on do nas na blok i pyta, co my o tym myślimy. Powiedzieliśmy mu poważnie, że zapisaliśmy się, ponieważ nie wiadomo, czy nie będą chcieli wykończyć nas wszystkich. A w wojaku to będziemy mieli karabiny, z których w pewnym momencie będzie można strzelać do Niemców. Łatwiej uciec albo dać się złapać do niewoli. Henio posłuchał,

pokręcił głową i poszedł. Po kilku minutach przyszedł znów i powiedział tylko: „Już się zapisałem”. Żeby powiedział słowo, to dowiedziałby się, że my żartujemy. A on jednego słowa nie powiedział, tylko się zapisał. Mówił nam, że on nie myślał się zapisywać, ale jak koledzy się zapisali, no to on też. Z kolegami gotów iść nawet do piekła. Szybko pobiegliśmy z Adamem do Władka Cybulskiego z Katowic (żyje i mieszka w Katowicach), żeby go z listy wykreślił. Zdążyliśmy. Lista jeszcze nie została oddana. Wykreślić nie mógł, więc musiał jeszcze raz przepisywać całą listę, ale już bez Henia. Cybulski był pisarzem blokowym na bloku siódmym. Mówił nam, że zdziwiło go, gdy zobaczył, że taki równy chłopak jak Henio zapisuje się, ale nic nie wolno mu było mówić. Dopiero my wyjaśniliśmy głupie nieporozumienie.

Gdy przeniosłem się do bloku A, przyniosłem z sobą swoją skrzynkę oraz własne koce, które sam organizowałem i miałem prawo zabrać je z sobą. Otrzymałem łóżko nie wśród arystokracji blokowej, lecz jednak dość blisko, z brzegu sztuby, z czego wcale nie byłem zadowolony. Nie lubiłem być na oczach ludzi – lepiej było być zawsze troszeczkę z tyłu albo w „złotym środku”. Ale blokowy uważał, że w ten sposób wyróżnia mnie. Graty moje rzuciłem na łóżko, a sam wyszedłem, żeby jeszcze coś załatwić. Gdy wróciłem, łóżko było już posłane i wszystko ładnie ułożone. Okazało się, że zrobił to, nieproszony, Heniek Sadłowski z Wołomina koło Warszawy. Gdy rano przyszedłem z umywalni, łóżko znów było posłane, a pod łóżkiem stały wyczyszczone buty. Gdy zjadłem śniadanie, on złapał miskę i poszedł umyć ją do umywalni.

– Jak tak się pchasz, to już rób. Niech już tak będzie – powiedziałem mu.

Poleciłem mu również rozdawanie jedzenia moim kolegom, którym pomagałem, bo tu nie było już „Wuja Patyka”. Powiedziałem mu tylko, żeby nikomu nie dawał na własną rękę. Jeśli ma kogoś, komu chciałby dać, niech powie i damy mu, tylko żebym ja o tym wiedział. Heniek Sadłowski miał dwadzieścia cztery lata. Podobał mi się, bo

był wesoły i cwaniak kuty na cztery nogi. Już sam sposób zaofiarowania mi swoich usług wskazywał na to. To był właśnie cwaniak. Wyczuł od razu, że tu będzie można pożywić się. Bo to i własne koce, i skrzynka dobrze wyglądała, buty z cholewami i ładne ubranie. Sam mi to później powiedział. Wiedział, że będę potrzebował kogoś do pomocy, więc nie czekał, aż ja będę rozglądał się, kto mi będzie odpowiadał, lecz sam pierwszy zaofiarował swą pomoc. A pomoc to była dobra. Mogłem nim wyręczać się w każdej sprawie i wiedziałem, że wszystko załatwi dobrze. Jedynej rzeczy, której nie pozwoliłem mu robić, to czyścić mi butów. Śmiał się z mojego nastawienia do czyszczenia nie swoich butów, ale to tkwiło już we mnie i tkwi do teraz.

Dobry był z niego pomocnik i mogłem tylko żałować, że wcześniej go nie znałem. Nawet w dniu wyzwolenia, gdy tylko wyłączono prąd z drutów, jako jeden z pierwszych przedostał się przez druty i z kuchni SS zorganizował baleron i chleb. Przyniósł to do mnie, mówiąc, że i on nareszcie coś zorganizował do jedzenia. Widziałem go jeszcze w Linzu. Zorganizował się dobrze. Nie wiem jednak, czy wrócił do kraju, czy nie. Nie szukałem go, ale gdybym wiedział, że jest w kraju, to chętnie spotkałbym się z nim.

Mundek Tomaszewski postarał mi się o nowego faceta, któremu należało pomóc. Był to Bernard Domański, brat Kazia Domańskiego, warszawskiego artysty estradowego. Tak przynajmniej on sam mówił, a sprawdzić nie mogłem. Mówił, że jego specjalnością artystyczną jest taniec – stepowanie. Opowiadał o różnicach stepowania i o swych przedwojennych wyjazdach za granicę. Siedział on chyba dopiero od Powstania Warszawskiego, ale już się kończył. Nogi miał spuchnięte jak balony i potwornie też spuchniętego członka. Śmiałem się, że trzeba go ratować tak, żeby spuchlizna zeszła, ale tylko z nóg. Reszta niech zostanie – to na wolności będzie mógł zrobić drugą karierę, jeśli już nie będzie mógł tańczyć. Pomagałem mu intensywnie przez okres ostatnich kilku miesięcy i przeżył, ale straciłem go z oczu w dniu wyzwolenia. Pomagałem mu nie z litości nad nim, ale ze złości na Tadka F. Bo Domański żalił się – wtedy gdy go Tomaszewski do mnie przyprowadził – że był u F. z prośbą o pomoc. Nie znał go osobiście dobrze, ale że byli z jednej

artystycznej branży, należeli razem do Związku Artystów, to miał nadzieję, że mu F. pomoże. A F. powiedział mu, że takim jak on to się nie pomaga. Szkoda jedzenia, bo on i tak niedługo umrze, to już lepiej to jedzenie dać takiemu, któremu pomoże to przeżyć. Cyniczne? Tak. Ale prawdziwe? Jak najprawdziwsze. Tam nie było się co bawić w sentymenty. Tam była goła prawda. Ale swoją drogą coś mnie ruszyło, żeby mu pomóc i pokazać F., że Domański jednak nie umrze i że jedzenie, które dostanie, nie będzie zmarnowane.

W międzyczasie kilka razy wspomniałem F. krótko:

– A Domański żyje.

– Jeszcze – odpowiadał on. – Ale ci umrze. Szkoda jedzenia.

Nie umarł, ale był jednak jeszcze bardzo chory. Możliwe, że po wyzwoleniu otrzymał właściwe leczenie, wyżywienie i opiekę, które pozwoliły mu wrócić do zdrowia.

My, starzy obozowcy, nie nadawaliśmy się na opiekunki. Ja mu pomagałem, ale gdyby pewnego dnia umarł, to chyba nie byłoby mi żal człowieka, tylko tego żarcia, które niepotrzebnie w niego wpakowałem. Chociaż to jedzenie nie było dobre – ale było to jedyne jedzenie, które nam dawano.

W obozie znów był głód. Głodowe racje i mniej paczek. Bo przestały już przychodzić paczki z Francji i z części obszarów Polski. Po Powstaniu Warszawskim przychodziły jeszcze paczki ze Śląska i Poznańskiego. Ja jeszcze otrzymywałem paczki od Szuberta. Ostatnie dwie paczki otrzymałem w lutym 1945 roku, już po zajęciu Śląska przez Armię Czerwoną.

Nigdy w życiu nie zjadłem tyle drzewa, ile dawali nam w tym czasie w chlebie. Były w nim nawet całe wióry.

– Niezbadane są wyroki nieba, jak niezbadany jest skład chemiczny obozowego chleba – powiedział kiedyś Seweryn Glinicki.

Mówiliśmy, że ten, który stworzył receptę na ten chleb, powinien dostać dużą nagrodę za to, że trzymał się on kupy; ale jak przekrojono go, to ze środka wysypywało się próchno. Jak z wierzchu stuknęło się kilka razy ręką, to chleb wysypywał się, a w ręku zostawała sama skóra.

Widziałem raz, jak z kuchni wynoszono za bramę olbrzymią tragę z łupinami od kartofli. Niosło ją czterech ludzi, a z boku szedł

esesman z grubym kijem w ręku. na środku placu apelowego muzułmani ruszyli do ataku na tragę. Zrobiła się wielka kupa ludzi. Esesman bił bez przerwy, ale nikt na to nie zwracał uwagi. Wtedy esesman machnął ręką i wrócił do kuchni, a ci, co nieśli tragę, czekali z boku, żeby zabrać do kuchni żałosne szczątki tragi. Gdy tłum się rozszedł, na placu została tylko połamana traga.

Zdobyte w różny sposób kartofle muzułmani piekli w kościach wyrzucanych z krematorium. Było dużo trupów, a że krematorium nie nadążało palić, skrócono czas palenia. W ten sposób nie spalano kości całkowicie i w wyrzuconym popiele były całe kawały żarzących się kości. W kościach tych muzułmani piekli sobie kartofle.

Zdarzyła się jeszcze jedna ucieczka, a może nawet nie ucieczka, a tylko wypadek. Ten, którego brakowało, podobno zaspał w jakimś kącie, a gdy się obudził, sam wracał do obozu. Był to Rosjanin. Po apelu Rosjanie stali już godzinę na placu, a esesmani szukać już zaczęli na terenie pracy. Nagle przez bramę wprowadzono „uciekiniera" i esesmani przez tłumacza powiedzieli, że niech go Rosjanie sami ukarzą.

Byli tacy, co wyskoczyli z szeregów i zaczęli go bić. Wszyscy patrzyli na tę scenę z obrzydzeniem. Byłem pewien, że go zabiją. Gdy dowlekli go bliżej bloków, znów się zakotłowało. To ruszyli z interwencją inni Rosjanie. Wyrwali go z rąk tych, którzy chcieli go zabić, i na tym incydent się zakończył. Tych, którzy skoczyli bić go, było chyba trzydzieści osób. Inni Rosjanie, patrząc na to, klęli, pluli pod nogi, machali z rezygnacją rękami, a jednego widziałem, jak płakał i bił się pięściami po twarzy, wołając coś w tym sensie:

– Co za wstyd, co za hańba, żeby tak postąpić!

W marcu znów miałem pewną komiczną historię. Idąc uliczką między blokami, zobaczyłem dwóch młodych chłopaków, którzy na cywilnych ubraniach mieli tylko namalowane pasy, a nie mieli wszytych pasiastych okien. Zatrzymałem ich i pytam, czy im życie już się sprzykrzyło.

– Chcecie, żeby was zabili? Dlaczego nie macie wszytych okien w ubraniu?

– No bo, proszę pana, nas tu dopiero wczoraj przyprowadzili i my nie wiedzieliśmy, że to musi być okno.

Słysząc „proszę pana”, wiedziałem, że to początkujący obozowcy.

– Stańcie tak – mówię do nich. I wykręciłem ich tyłem do baraku, bo zobaczyłem, że idzie dwóch esesmanów, a nie chciałem, żeby zauważyli, że ci nie mają okien, bo w najlepszym przypadku dostaliby solidne bicie.

Byli to grzeczni młodzi chłopcy w wieku osiemnastu lat. Zapytałem ich, skąd są i jak długo w obozie. Dowiedziałem się, że są ze Śląska, a wywiezieni zostali w pierwszych dniach lutego, gdy Niemcy opuszczali Śląsk.

Zaprowadziłem ich do krawców i prosiłem, żeby im wszyli okna, bo szkoda mi było chłopaków.

– Nie będę szył – mówi ten od szycia okien. – Już dawno minął termin przyszywania.

– Ale oni dopiero wczoraj przyszli do Gusen – tłumaczę mu – a takie ubrania wydali im w Mauthausen. Skąd oni mogli wiedzieć, co trzeba robić, jak oni dopiero wszystkiego dwa tygodnie w obozie.

– O, przepraszam pana, już prawie miesiąc – sprostował grzecznie jeden z nich.

Parsknęliśmy wszyscy serdecznym śmiechem. Rozbroiło to nawet krawca i już bez żadnych oporów wszył im okna.

W sierpniu i wrześniu 1944 roku żyliśmy w obozie Powstaniem Warszawskim. Z pełnym napięciem obserwowaliśmy wypadki w Polsce. Współczuliśmy Warszawie i warszawiakom. Całym sercem byliśmy przy walczącej ludności Warszawy. Wiadomości mieliśmy z radia i prasy niemieckiej. Przyszła wiadomość, że do Mauthausen przywieźli powstańców, a następnego dnia przyprowadzono ich do Gusen. Był to pierwszy transport ludzi z powstania. Gdy przygotowano dla nich miejsce na blokach dwudziestym i dwudziestym pierwszym, wszyscy wędrowali tam, żeby dowiedzieć się więcej szczegółów o powstaniu, a warszawiacy dodatkowo chcieli dowiedzieć się, jak wyglądały sprawy w miejscach zamieszkania ich rodzin, z którymi wszyscy stracili kontakt.

I tu nastąpiło uderzenie młotem po łbie – i rozczarowanie. Okazało się, że ci ludzie do samego Wiednia jechali bez żadnego konwoju. W Wiedniu dopiero SS zamknęło transport i obsadziło wagony. Był taki jeden, który gonił osobowym pociągiem transport, bo wyszedł

z wagonu, a transport mu uciekł. W Mauthausen jeden z transportu poszedł na druty, bo zabrali mu złoto i biżuterię, którą miał przy sobie. Wprowadzili ich do łaźni. Kazali im się rozebrać w jednym pomieszczeniu, a z łaźni wyszli innym wyjściem i tam dano im już obozowe ubrania. Nie mógł, głupiec, przeżyć straty i prądem z drutów odebrał sobie życie. Ja też poszedłem wypytać się troszkę o swoją ulicę Tatrzańską, gdzie mieszkały moja matka i siostra. Po drodze spotkałem kolegę Janka Koperskiego z Warszawy, z Czerniakowa, i mówię mu, że idę dowiedzieć się coś o swojej parafii.

– Nie chodź tam – mówi on – bo tylko się zdenerwujesz i jeszcze którego zabijesz. To nie powstańcy – to bydło. Ty nie masz pojęcia, co oni wygadują. A zresztą idź, to się przekonasz sam.

Poszedłem. Z początku przysłuchiwałem się rozmowom innych, a wypowiedzi tych z Warszawy były w takim sensie:

– Co, wy myślicie, że nas będą traktowali tak jak was? My przyjechaliśmy na wolne roboty, a że nie mieli nas gdzie umieścić, to tu nas ulokowali na kilka dni tylko i będą rozsyłali do gospodarzy i do fabryk.

I tak po kolei – w ten sposób.

Inny znów wołał ze złością:

– To ja na roboty rolne jechałem, a teraz do obozu trafiłem. Powstania im się zachciało, skurwysynom!

Tu już nie wytrzymałem. Podszedłem do tego, co tak wrzeszczał, i spokojnie pytam go, jak on długo już siedzi.

– Dwa tygodnie – odpowiedział ze złością.

– I ty masz żal do powstańców? A jak ja już siedzę cztery i pół roku – to do kogo ja mam mieć żal?

W tym momencie z bloku wyszedł inny „powstaniec”, pociągnął mojego rozmówcę, mówiąc:

– Chodź, co będziesz gadał z tymi bandytami.

Uderzyłem błyskawicznie, bez zastanowienia, bez żadnej myśli. Gdy upadł – skoczyłem, żeby go skopać, i kto wie, czy nie zostałbym bandytą, gdyby mnie nie odciągnął jeden znajomy, mówiąc:

– Chodź, daj spokój, zostaw to bydło w spokoju, po co ty masz go bić, jego sam los w dupę uderzy.

Odszedłem, ale trząsłem się cały – i płakać mi się chciało, że takie nieobrobione bydlę po tym wszystkim, co przeżywaliśmy, nazywa nas bandytami.

Wieczorem dowiedziałem się, że w tym czasie, gdy po przyprowadzeniu ich do Gusen stali jeszcze na placu apelowym, jeden wystąpił z szeregu i zwrócił się do starszego obozu, Rorbachera, mówiąc po niemiecku, że wśród nich jest wielu takich, którzy chcieliby wstąpić do niemieckiego wojska. Rorbacher dał mu w pysk, kopnął w tyłek i wpędził z powrotem do szeregu. Jednym słowem – popisali się. Swoim wstępnym zachowaniem zamknęli sobie drogę do tych resztek uczuć, które pozostały starym więźniom. Nikt im nic nie dał i nikt im nic nie pomógł.

Gorzej. Kapowie Polacy i ci na funkcjach zaczęli ich bić i prześladować tak w pracy, jak i na bloku. Niech zobaczą, co to jest obóz koncentracyjny. Niech poznają „lepsze traktowanie", niech poznają „bandytów". Dopiero Polacy, którzy cieszyli się dużym autorytetem więźniów, apelowali do ludzi, żeby ich nie bili i nie prześladowali.

– Nie dajcie im nic, ale i nie prześladujcie – mówili – bo patrzy na nas tyle innych narodowości.

I ten argument o narodowościach trafił ludziom do przekonania. Później znalazło się wśród nich ludzi mądrych i wartościowych, którym pomagano, ale były to już osobiste sprawy niektórych więźniów, a nie ogólny pęd sympatii, jaką odczuwaliśmy, zanim doszło do osobistego zetknięcia się z nimi.

Zupełnie inna była reakcja starych więźniów, gdy przywieziono z Warszawy młodych chłopców w wieku czternastu–szesnastu lat. Chłopców tych ulokowano na bloku szesnastym – u Cyslera. Prosił on nas często, żeby przychodzić grać dla tych chłopców, i dobrze nam płacił za granie. Każdy stary więzień – dobrze sytuowany – uważał za punkt honoru zaopiekować się jednym młodym chłopcem i z tych przeżyli prawie wszyscy. Jeśli który umarł, to nie z głodu czy bicia – ale śmiercią naturalną, z powodu jakiejś choroby. Ja o takich wypadkach nie słyszałem. Przez pewien tylko czas i ja dawałem jeść jednemu malcowi. od razu uświadomiłem go, co mu grozi ze strony pederastów. Nie wymieniam jego nazwiska, bo chłopak przeżył – ale

przestałem mu pomagać, bo już nie było potrzeby. Miał on wszystkiego dosyć, bo „zaopiekował się" nim jeden z obsługi bloku, który mu to wszystko dawał.

Następnego dnia po przyjściu pierwszego transportu „powstańców" przysłano z Mauthausen niedużą grupę – trzydziestu sześciu murarzy.

Janek Koperski powiedział mi, że wśród nich jest jeden z Czerniakowa. Poszliśmy. Janek rozglądał się, wreszcie pokazał na jednego i mówi, że to chyba ten. Spojrzałem… i poznałem. Był to Wacek Rulski – chłop dużo starszy ode mnie. Mieszkał długie lata w tym samym domu co i ja, ale wyprowadzili się, gdy on był już dorosłym chłopem, a ja miałem wtedy kilkanaście lat.

– Rulszczak! – zawołałem na niego.

Podszedł, przywitał się, ale widzę, że mnie nie poznał. Powiedziałem mu, kto jestem. Rozmawialiśmy kilka minut przed blokiem, a że miałem więcej pytań, zaproponowałem mu, żeby poszedł ze mną do Janusza Zakulskiego. Niech i Janusz posłyszy więcej, jak to było w Warszawie w czasie powstania. Bo po jego aresztowaniu rodzinę wysiedlono z Bydgoszczy i mieszkali oni w Warszawie.

– Ale ja tu jestem z kolegą – mówi Rulski.

– No to bierz kolegę – powiedziałem.

Zawołał kolegę, który stał obok, i razem poszliśmy do magazynu. Tu już działała czerniakowska solidarność. Czuł, że może dostanie coś do jedzenia, dlatego wołał kolegę – niech on też coś zarobi. Udało im się. Wygrali dobry los. od tego dnia pomagałem im. Dawałem im jedzenie, papierosy i ubranie. Płaciłem kapom, żeby dali im dobrą robotę i żeby ich nie bili. Żeby mogli otrzymywać więcej zupy, załatwiłem tak, że brali oni sami z kuchni od Kazia Bodycha wiadro jedzenia dziennie. Jak im raz blokowy nie chciał dać wiadra, to Bodych poszedł na blok i zrobił mu awanturę. do zupy tej trzy razy w tygodniu dokładałem im chleb. Kolega Wacka Rulskiego to Zygmunt Skoczek – też z Czerniakowa. Mamy kontakt ze sobą do teraz i tak Rulski, jak i Skoczek mają dla mnie dużo wdzięczności za okazaną im w obozie pomoc. Podobno z tych trzydziestu sześciu murarzy przeżyli tylko oni. Tak twierdzą oni sami, bo pracowali

wszyscy w jednej grupie. Wacek Rulski został już raz prawie zabity. Przywaliła go ściana. Przynieśli go do obozu i rozebranego do naga wrzucili do umywalni na zimną posadzkę. W umywalniach i ustępach palono zimą, żeby nie popękały rury, ale betonowa podłoga była zimna. Wieczorem oprzytomniał i nago przyszedł do swego bloku. Dano mu drugie ubranie, a zamiast kalesonów jakieś damskie letnie figi. Poszedł na rewir, gdzie mu obandażowano głowę, a później razem ze Skoczkiem do mnie – żeby się pożalić.

U mnie tego wieczora wymieniano bieliznę. Wziąłem dwie nowe koszule i kalesony, a chłopaki przed blokiem na śniegu przebrali się.

Kilka tygodni przed końcem wojny zrobił mi się na pośladku wewnętrzny wrzód, przy kości. Zabawa z tym wrzodem trwała prawie dwa tygodnie, co trzy–cztery godziny musiałem go przekłuwać igłą, którą nosiłem w klapie marynarki. Gdy mówiłem o tym po wojnie lekarzowi, dziwił się, że przy tej zabawie nie dostałem zakażenia krwi. Siadałem na stołku jednym pośladkiem, patrzyłem przez lusterko i wbijałem igłę w bolące miejsce, a następnie wyciskałem wrzód. Wyciekał z niego krwisty płyn. Po wyciśnięciu bolało mnie trochę mniej i mogłem chodzić. Rano nie mogłem się ruszać, bo w nocy nie wyciskałem go, ale po przekłuciu i wyciśnięciu znów czułem się lepiej. Raz oparłem nogę na murku i poprawiałem coś przy bucie, a przechodzący kolega chwycił mnie za ten bolący pośladek i poderwał do góry. Z bólu uderzyłem na ślepo, a dopiero później spojrzałem, kto to jest. Przeprosiłem go, ale miałem uczucie, że zemdleję z bólu. Było to coś takiego jak w 1941 roku, kiedy to esesman kopnął mnie w wielki wrzód na nodze. Wreszcie jednej niedzieli nie pomogło już żadne przekłuwanie. Nic nie leciało. Gdy mnie kolega rano golił, zrobiło mi się słabo i tylko odsunąłem rękę z brzytwą, bo myślałem, że zemdleję. Wieczorem mieliśmy granie. Nie chciałem chłopakom nawalić, więc poszedłem, a właściwie to mnie zaprowadzili, bo szedłem mocno nachylony do przodu. Nie mogłem wyprostować się, bo na pośladku wywaliła gała wielkości pięści, a na tym jeszcze sina szyszka wielkości włoskiego orzecha.

Grałem – i śpiewałem – a w oczach ciemno mi się robiło z bólu. Wieczorem przyłożyłem duży opatrunek z ichtiolu, ale ból nie pozwalał mi spać w żadnej pozycji. Zapisałem się do lekarza, do którego miałem iść w poniedziałek rano. Nad ranem dopiero usnąłem. Obudziłem się i czuję, że pływam. Wrzód pękł i zrobił się spory otwór cieknący ropą, ale że już się do lekarza zapisałem, to poszedłem. Doktor zobaczył tylko i kazał mi iść do ambulatorium. Tam zdjąłem spodnie, położyłem się na kozetce i zaczęła się operacja. Operował Bernard Drahejm – obecnie lekarz powiatowy w Kole. Znieczulał Jurek Kalinowski. Chociaż miał on tylko jedną nogę, wlazł mi na kark i ręce wyłamał do tyłu tak, żebym nie mógł tyłkiem skakać – to właśnie było znieczulenie. Innego nie robili. Kroili całkowicie na żywca. Podglądałem, co robi Bernard – a on wziął w rękę nożyczki o krótkich ostrzach. Ciął raz, drugi raz, przy trzecim krzyknąłem. Teraz w drugą stronę – raz, dwa – i znów za trzecim krzyknąłem.

– Czego się śmiejesz? – kpią sobie. – Łachotało? Jak kto będzie chciał, żeby go połachotać, to przyślij go do nas.

Dla nich to było wesołe. Ale patrzę, co Bernard robi dalej. A on teraz wziął taką maleńką łyżeczkę. Jurek znów zwiększył siłę „znieczulenia" – a ten jak mi zaczął kręcić tą łyżką we wrzodzie, to myślałem, że się z bólu wścieknę – ale tym razem nie krzyknąłem. Zawstydzili mnie. Później, gdy już wpychał tampony, to i Jurek nie trzymał, a ja sam leżałem spokojnie. To już nic nie było w porównaniu z poprzednim bólem. Po kilku dniach już wszystko było dobrze.

Ostatnie dni w obozie przeszły pod znakiem głodu i terroru. Były dnie, że nie otrzymywaliśmy nawet kawałka chleba. Ja w dalszym ciągu miałem tyle, że wystarczało dla mnie i mogłem chociaż po kawałku dać tym, których żywiłem. Ludzie masowo marli z głodu. W związku z tym Niemcy w obawie przed buntem wzmocnili terror. Nie znaczyło to, że było jakieś bezmyślne bicie i mordownia. Nie. Bo to byłoby jeszcze gorsze. W pracy mieliśmy idealny spokój. Kapowie

czuli bliski koniec wojny i woleli nie narażać się więźniom. Przecież wojna toczyła się już w Niemczech. Rosjanie w Niemczech – alianci w Niemczech. Ale esesmani wykańczali ludzi za najmniejsze przewinienie, które mogłoby mieć wpływ na rozprzężenie karności i dyscypliny wśród więźniów. Nie zabijali ich publicznie, przy pracy, tak żeby wszyscy widzieli. Wykańczali ich przy szuhausie, po drugim dzwonku, kiedy już obowiązywała cisza i wygaszenie świateł. Pierwszy raz egzekucję przeprowadzili pod samą bramą wyjściową, a my widzieliśmy z okien wszystko przy światłach nad drutami. Jak w czasie apelu wieczornego widzieliśmy ludzi, którzy stali pod szuhausem, wiedzieliśmy, że po drugim dzwonku będą wykończeni.

Po tym pierwszym dniu, kiedy obserwowałem przez okno, jak wykończono kilka osób, następnych wykańczano za kuchnią. Czy wpędzano ich na druty, czy wrzucano ich na druty, czy tylko strzelano tam do nich – nie było wiadomo. Widzieliśmy tylko przez okno, jak esesmani kolejno prowadzili tych spod bramy za kuchnię, i słychać było strzały karabinowe i pistoletowe. Raz, gdy pod bramą stał tylko jeden, doszli widocznie do wniosku, że nie warto czekać z nim do wieczora. Esesman zawołał policjanta obozowego. Było ich kilku w obozie, między innymi Willi, ten, z którym razem wieziono mnie do obozu. pod bramę przybiegł Willi. Obserwowałem wszystko od początku do końca. Esesman powiedział mu coś, a on kiwnął na delikwenta i poszli razem ścieżką między pierwszą linią bloków i drutami, w drugi koniec obozu. Nie chciałem iść za nimi, więc pobiegłem przodem, pierwszą linią przelotową, między blokami. Czułem, że go wykończą, i chciałem widzieć, jak to zrobią. Gdy byłem już przy ostatniej poprzecznej uliczce, wyjrzałem i zobaczyłem, że zatrzymali się: Willi, paląc papierosa, rozmawia z drugim policjantem obozowym – a obok zupełnie spokojnie stoi ten do wykończenia. Willi podał mu pół swojego papierosa, którego on spokojnie palił. Był to wysoki chłopak w wieku około dwudziestu sześciu lat, boso, bez czapki i bez żadnych znaków na ubraniu. Miał na sobie ubranie całe pasiaste, co już w Gusen mało się spotykało – bez numerów i winkli – więc przypuszczam tylko, że był to Niemiec. Przez cały czas nie wypowiedział ani jednego słowa. Gdy sobie popalili, ruszyli dalej do samego rogu ogrodzenia przy bloku

dwudziestym piątym. Ja i jeszcze kilku innych staliśmy już przy szczycie między blokami dwudziestym piątym i dwudziestym szóstym. Wtedy Willi i ten drugi kazali mu iść na druty. On spokojnie poszedł, stanął przy zasiekach i obejrzał się. W tym miejscu posterunek już powinien strzelać, ale ten, który siedział w narożnej wieży, nie strzelał, tylko z ciekawością przyglądał się. Gdy delikwent zatrzymał się, policjanci narobili wrzasku, podbiegli bliżej, niby łapali z ziemi kamienie w ręce, którymi zamierzali się, a on dalej z całkowitą obojętnością wszedł między zasieki i znów się obejrzał.

– Nie ma prądu w drutach – odezwał się posterunek austriackim akcentem.

Pasażer do wykończenia chwycił rękami za jeden drut. Zesztywniał i ręce wygięło mu w górę – ale stoi.

– Strzelaj! – wrzasnąłem na esesmana w wieży i ten spokojnie zmierzył się z ręcznego karabinu.

Gdy mierzył, schowaliśmy się za róg baraku. Strzelił – i widziałem odprysk ziemi. Przeskoczyłem przez rów i obejrzałem z bliska tego, który trzymał się drutów.

– Strzelaj jeszcze raz! – krzyknąłem.

Teraz wziął automat. Schowaliśmy się znów za róg, gdy on wygarnął serię. Po serii pod tym na drutach ugięły się kolana, a głowa oparta o słup zaczęła obsuwać się w dół. Gdy dotknął głową drugiego drutu, z głowy zadymiło się. Koniec. Nie było już na co patrzeć. Rozeszliśmy się wszyscy.

Blok A znajdował się naprzeciw pufu i najbliżej bramy. Pół godziny po zgaszeniu świateł posłyszałem krzyki i wymyślania od strony bramy. Gdy wylazłem, przy pierwszych dwóch oknach od strony wejścia do bloku stali już kapowie i blokowi. Poznali mnie i nic nie mówili, więc spokojnie obserwowałem wszystko, co się odbywało pod bramą. Trzech ludzi otoczonych esesmanami gimnastykowało się przed bramą – a więc przysiady, a później, leżąc twarzą do ziemi, unoszenie na rękach ciężaru całego ciała. Znana metoda. Zmęczyć i wykończyć. To samo, co kąpanie pod zimnym prysznicem przed wsadzeniem głową na dół w beczkę albo to, co chciał zrobić ze mną Sęp w tunelach, gdy mi dawał oskard do ręki. Zmęczyć robotą i wykończyć. Gdy „gimnastycy” już nie mieli sił unosić się na rękach,

esesmani z krzykiem i kopaniem porwali jednego z ziemi i rzucili go na druty tak, że już tam pozostał. Porwali drugiego, ale ten okazał się jeszcze dość silny, żeby się bronić. Jeden esesman zakołował nim i rzucił na druty. Wpadł tylko na zasieki. Nie dotknął drutów pod napięciem. Poderwał się i uciekał wzdłuż placu apelowego. Posterunek z balkonu strażniczego nad bramą strzelił, ale nie trafił. Gdy go już straciłem z oczu, huknął drugi strzał i usłyszałem przeciągłe wycie rannego człowieka. Esesmani pobiegli i po chwili przywlekli go, ciągnąc za nogi po placu. Przy bramie wzięli go za ręce i nogi, rozbujali i wrzucili na druty. Gdy tylko zaczęła się szarpanina z tym drugim – trzeci uciekł i nikt nie zauważył jego ucieczki. Gdy przebiegał przed moim oknem, zawołałem głośnym szeptem:

– Uciekaj i schowaj się!

Spojrzał na nas wystraszony i popędził dalej między baraki. Gdy już wykończyli drugiego, spostrzegli, że trzeci im uciekł. Nie wiem, gdzie i jak go złapali, ale przyprowadzili. Z tym już nie mieli kłopotu. Postawili go pod bramą i odeszli kilka kroków, a posterunek z „gołębnika" nad bramą strzelił. Tym razem trafił pierwszym strzałem. Gdy upadł, to esesmani tak jak poprzedniego wrzucili jeszcze na druty.

Ten drugi, który uciekał, leżąc na zasiekach, jęczał głośno. Wszedł komendant i każdemu z nich strzelił jeszcze z pistoletu w głowę. Po chwili wprowadzili jeszcze jednego, do którego również strzelił posterunek. Tego już nie wrzucali na druty, tylko leżącemu komendant strzelił jeszcze w głowę i przy okazji strzelił znów w głowę temu drugiemu, który znów jęczał. Przyprowadzono następnego. Wysoki, dobrze ubrany mężczyzna. Odszedł kilka metrów od bramy, stanął prosto twarzą w stronę drutów, wyciągnął przed siebie ręce i nie wchodząc nogami w zasieki, skokiem, takim jak się skacze do wody, rzucił się do przodu i chwycił rękami za druty. Po trzech minutach komendant jeszcze strzelił mu w głowę i jeszcze raz strzelił do tego drugiego, bo znów jęczał. Nie chciał umrzeć. Posterunek z „gołębnika" postrzelił go raz, wrzucili na druty, a komendant strzelał jeszcze trzy razy w głowę, zanim uprzejmie raczył przestać jęczeć i umarł. Z następnych egzekucji,

odbywających się codziennie, słyszeliśmy tylko strzały zza kuchni – ale terror ten trwał do chwili odejścia SS z obozu.

Na kilka dni przed wyzwoleniem zarządzono przeprowadzenie rewizji bloków. Chciałem wyjść z bloku, ale zawołano, że nie wolno wychodzić. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że w każdym przejściu stoją esesmani. Coś nie bardzo. Ciekawe, co to będzie? W tej chwili do sztuby wpadło ośmiu esesmanów. Z wrzaskiem wygnali nas wszystkich z bloku i ustawili pod oknami. Stanąłem przed tym oknem, przez które widziałem swoje górne łóżko. Okazało się, że esesmani robili dokładną rewizję łóżek. Szukali w skrzyniach i w siennikach. Zdrętwiałem. W skrzynce miałem nowy garnitur – zielony tenis – bez wszytych okien. Przygotowałem go sobie już na wolność. Ale teraz, jak go znajdą – w okresie wzmożonego terroru – to wykończą za chęć ucieczki. Przyglądałem się, jak kontrolują kolejno łóżka. Wreszcie widzę, jak jeden esesman dobiera się do mojego łóżka. Patrzę, lecą na podłogę koszule, spodnie, marynarka. Odetchnąłem. Nie zauważył nic. Gdy wpuścili na blok z powrotem, złapałem ze środka sztuby wszystkie moje i Heńka rzeczy i wrzuciłem na swoje łóżko. Esesmani szukali broni, a na inne rzeczy nie zwracali uwagi. Garnitur ten ostatniego dnia przed wyzwoleniem oddałem Heńkowi B.

Wielką radością dla mnie było przyglądanie się ucieczce ludności – jak szli ulicą wzdłuż obozu z dobytkiem na ręcznych wózkach, na taczkach albo na wózkach dziecięcych. Przypomniała mi się wtedy wędrówka ludzi w 1939 roku w Polsce. Mniej przyjemny był widok prowadzonych jeńców wojennych, ale wtedy już wiedzieliśmy, że to jeszcze tylko kilka godzin. Kilka godzin. A co dalej? W tunelach zamurowano dwa wejścia trzymetrowej grubości betonowym murem, a na trzecie wejście robią stalową bramę. Rozeszła się wieść, że chcą nas wszystkich w tunelach wykończyć. Nie byłoby to nic trudnego. Wpędzić ludzi do tunelu, a gdy już będzie brakowało powietrza, zawalić wejście. Poduszą się wtedy wszyscy, zanim zdążą się wygrzebać. Widocznie ten pomysł też przyszedł komuś do głowy, dlatego zamurowano dwa wejścia. Ostatniej niedzieli przed wyzwoleniem zrobiono alarm i wszystkich wpędzono do tuneli. Było to łatwo zrobić, bo tego dnia nikt nie pracował. Zapowiedziano, że

kto nie pójdzie do tunelu, będzie zabity. Wygnano nawet lżej chorych z rewiru. Ciężko chorych nietrudno wykończyć w inny sposób. W tunelach siedzieliśmy cztery godziny. Kilka osób już zemdlało z braku powietrza. Gdy tylko zaczęło robić się duszno, przesunąłem się do korytarza wyjściowego. Przed wejściem esesmani z karabinem maszynowym skierowanym do tunelu. Z tyłu pchają do wyjścia, bo brak im powietrza. My powstrzymujemy, bo powietrza mamy dosyć, a przed nosem nie bardzo przyjemny widok – karabin maszynowy. Wreszcie odwołanie alarmu i wolno wychodzić z tunelu. Rozeszła się wtedy wiadomość, że alarm ten był fikcyjny, po to, by nas wszystkich wykończyć, tylko z niewiadomych przyczyn nie zrobiono tego. Podobno jedyne teraz wejście było zaminowane, tylko nie nastąpił wybuch. Ludzie mówili między sobą, że teraz, jak będzie alarm, to wychodzimy pod tunele, ale do środka nie wchodzimy, a jak wyczujemy, że coś jest źle – to całą masą idziemy na druty. Tyle tysięcy ludzi przeciw grupce esesmanów stojących z karabinami lub automatycznymi pistoletami w pięćdziesięciometrowych odstępach za zwykłym płotem z drutów kolczastych. To dla nas drobiazg. Kto zginie, to zginie – ale część się uratuje. Esesmani wiedzieli o nastrojach i mimo że od tego dnia ogłoszono ciągły alarm, nikt nas więcej do tunelu nie wyganiał. Wprowadzono stałe zaciemnienie. W obozie nie wolno było zapalać świateł – skończyła się też z tego powodu nocna praca, ale w dzień wszyscy pracowali normalnie. **Gdy już wprowadzono stałe zaciemnienie, było ono powodem jeszcze jednej, przedostatniej awantury. Ostatnia była w hali w dniu czwartego maja, kiedy to pobiłem w hali Niemca. Ta była przedostatnia. Po otrzymaniu chleba poszedłem z miską po kawę, z którą wróciłem do swojego łóżka. Ludzie stali w przejściu po tej stronie, gdzie było moje łóżko, a fasując kolację, szli w drugie przejście, żeby kto nie pobrał dwa razy kolacji, bo już robiło się mocno ciemno, a ludzie byli głodni. Gdy już stałem przy łóżku, jeden Rosjanin uparł się nie przepuścić mnie.**

– Przepuść mnie – zwróciłem się do niego – bo tu jest moje łóżko i chcę tam postawić kawę.

– To mnie nie obchodzi – odpowiedział. – Ja ciebie nie puszczę.

– Nie puścisz? – zapytałem już zły. – No to ja ciebie przesunę.

Postawiłem michę na stojącym obok stole, stuknąłem faceta dwa razy głową i usunąłem go. Wracam do stołu, patrzę, nie ma mojej miski. Rozglądam się i widzę, jak jakiś muzułman pije moją kawę. Zabrałem mu miskę, ale gdy zobaczyłem, że już prawie nie ma kawy, wsadziłem mu ze złością w łapy i kazałem wypić resztę. On wcale się o to nie obraził i wypił wszystko. Podszedłem z boku pod kocioł i znów pobrałem dwie porcje kawy. Okrążam sztubę, żeby znów dostać się do łóżka, a tu nowa przeszkoda. Trafiłem twarzą na czyjąś wyciągniętą rękę lekko podpierającą sufit.

– Co tu jest? – pyta ktoś po niemiecku. Poznałem po głosie kapa sprzątaczy sztuby. Mówię mu, że chcę iść z kawą do łóżka, a on mnie w twarz.

– Nie chcesz puścić? – powiedziałem głośno po polsku. – To zaczekaj, zaraz i ciebie odsunę.

Postawiłem znów miskę na stole. Niemca złapałem za marynarkę na piersiach i powtarzając „co jest" naciągnąłem go sobie chyba z pięć razy na głowę. Nie waliłem mocno, ale tak żeby jednak dobrze poczuł. Poznał mnie i zaczął krzyczeć:

– Ty, kapelmajster! Ty, kapelmajster!

– A co? Poznałeś mnie – powiedziałem po polsku. – Trzeba było wcześniej poznać.

Tym razem nikt już mi kawy nie wypił. A że Niemiec krzyczał jeszcze, to tylko zawołałem z łóżka:

– Zamknij mordę, ludzie chcą spać.

Już taki byłem, że jak byłem zły, to zawsze mówiłem po polsku. Wystarczyło mi, że powiedziałem, a że mnie ktoś nie zrozumiał, to już nie moje zmartwienie.

Kilka dni przed końcem wojny w Gusen II wykończono dużą liczbę muzułmanów, tych najsłabszych. Widocznie Niemcy nie chcieli, żeby wyzwoliciele widzieli słabych, wyschniętych z głodu ludzi. Historię z Gusen II znam tylko z opowiadań. Zgrupowano muzułmanów nago na jednym bloku. Wieczorem, po drugim dzwonku, postawiono ich przed blokiem, a w nocy zrobiono mordownię. Trupy przywieziono do nas, a że w magazynie przy krematorium nie było miejsca, wrzucono je do umywalni na wielki stos. Zajęto kilka umywalni i postawiono posterunki policji obozowej, żeby nikt tam nie wchodził. Umywalnie

zamknięte były na klucz. Przechodząc obok tych umywalni, widziałem tylko wyciekające spod drzwi kałuże krwi. Wymordowali ich kapowie drągami i młotkami. Ci, którzy widzieli z bliska tych zabitych, mówili, że większość zabito uderzeniem w tył głowy, bo mieli potrzaskane czaszki.

Ostatnie trzy noce wszyscy silniejsi więźniowie spali w ubraniach, a na każdej sztubie były czuwające warty. Każdy szykował sobie nóż, kołek czy deskę z łóżka. Coś, czym można będzie się bronić w razie potrzeby. Ostatniej nocy przed odejściem esesmanów w bramie długo było słychać jakąś awanturę. Podobno komendant Zajdler z grupą pijanych esesmanów, uzbrojonych po zęby, chciał wejść do obozu, żeby jeszcze raz „zabawić się". Podobno chcieli wykończyć starych więźniów jako tych, którzy najwięcej widzieli i wiedzieli. Przeszkadzał im zastępca komendanta Beck, który z grupą ludzi nie wpuszczał ich do środka. Powiedział, że jeśli wejdą do środka, to on zamknie bramę i nie wypuści ich z powrotem. „A oni tam już z wami zrobią porządek", powiedział. Nie weszli jednak, lecz wszyscy więźniowie trwali w czujnym napięciu. Wciąż spodziewaliśmy się, że esesmani nie odejdą spokojnie, lecz na pożegnanie urządzą nam jakiś dobry kawał. Nie wiedzieliśmy tylko, na czym ten kawał będzie polegał. Czy będą strzelali z wież strażniczych? Czy zbombardują z samolotów, a może ostrzelają z artylerii? W dodatku drugiego maja na wzgórzu powyżej kamieniołomów zaczęto ustawiać ciężkie działa. W nocy oddały one kilka salw. Później było kilka ciężkich wybuchów i cisza. Rano zobaczyliśmy, że działa były poprzewracane i nie było przy nich żadnej obsługi.

Trzeciego maja o godzinie dziesiątej rano esesmani opuścili obóz, który przejęła policja wiedeńska. Stare dziadki, którzy mówili nam „panie" i rzucali przez druty papierosy. Tego samego dnia na wieczornym apelu stwierdzono brak pięciu więźniów. O, kręcili się oni, o, radzili. Nie wiedzieli, co robić. Wreszcie ich komendant machnął ręką i rozeszliśmy się do bloków.

Piątego maja do pracy nikt nie wyszedł. Przed godziną siedemnastą zrobiono apel. Gdy tylko ustawiliśmy się do apelu, posłyszeliśmy niesamowity krzyk w Gusen II. Czy znów jaka mordownia? – pomyślałem. Przecież esesmani poszli już przedwczoraj rano. Nie

przyszło mi jeszcze do głowy, że to już wolność. Ludzie z bloku A stali tuż przy bramie obozowej. W pewnej chwili słyszę, jak goniec przy bramie mówi po niemiecku do jednego blokowego:

– Jeden już jest.

Jeszcze nie wiedziałem, co to jest. Dopiero za chwilę zobaczyłem amerykański czołg z gwiazdą i żołnierzy amerykańskich wchodzących przez bramę. Wolność! Ta tak długo oczekiwana wolność przyszła nareszcie! Wolność, w której odzyskanie przestałem wierzyć już jesienią 1940 roku. Bo do jesieni 1940 roku łudziłem się, że może zwolnią, bo to niby zamykają tylko na kilka miesięcy – a te kilka miesięcy przeciągnęły się w kilka lat. Nie wierzyłem, że wolność jeszcze oglądać będę.

Gdy zobaczyłem czołg i żołnierzy, straciłem poczucie rzeczywistości. Zakręciło mi się w głowie, jakoś słodko zrobiło mi się w gardle, czuję, że lecą mi łzy – i wrzeszczę. Wrzeszczę, ile mam tylko sił w płucach. Wrzeszczę tak, jak wrzeszczeli wszyscy ludzie zgrupowani na placu apelowym. W tym czasie na szczyt masztu stojącego na placu apelowym wciągnięto polską flagę, a za nią flagi innych narodów.

Był to piąty maja 1945 roku, godzina siedemnasta. Tego dnia jeszcze więźniowie dokonali samosądu nad bandytami, którzy mieli na sumieniu życie innych więźniów. Następnego dnia poszliśmy do Linzu, a do kraju wróciłem dziewiątego lipca 1945 roku. Wróciłem razem z Januszem Zakulskim. Po prostu wcisnęliśmy się na gapę do transportu wracającego do Polski.

2 Przekreślony fragment pojawił się w pierwszym wydaniu z 1958 roku, ale zaraz po premierze Edmund R. oskarżył Grzesiuka o pomówienie i zniesławienie. Sprawa znalazła swój finał w sądzie. Nieoczekiwanie doszło do polubownego załatwienia sprawy – Edmund R. wycofał oskarżenie, a Stanisław Grzesiuk zobowiązał się w kolejnych wydaniach usuwać ten fragment. Taką dyspozycję pozostawił również swojej żonie w postaci odręcznej notatki.

*

Od sierpnia 1945 roku stanąłem do uczciwej pracy i pracowałem do 1959 roku. Przerwałem pracę z powodu gruźlicy, na którą leczę się od 1947 roku. Choruje też na gruźlicę Janusz Zakulski, który już nie może pracować od 1949 roku. Choruje i Adam Kwiatkowski, a wielu kolegów zabrała już gruźlica z grona żyjących.

Piąty maja jest świętem gusowców. Każdego roku piątego maja odbywa się krajowe koleżeńskie spotkanie byłych więźniów obozu koncentracyjnego Gusen, w którym bierze udział około dwustu osób. Przyjeżdżają wtedy koledzy z całego kraju, by razem spędzić kilka godzin. Uroczystość ta zaczyna się zawsze o godzinie siedemnastej, dokładnie o tej godzinie, o której otworzono bramę. Koledzy, którzy mieszkają w Warszawie, spotykają się piątego każdego miesiąca w kawiarni „Bristol", na górze. Kto ma czas i chęć, przychodzi tam tego dnia wieczorem i zawsze zastanie kilkunastu kolegów z Gusen.

Było tyle obozów koncentracyjnych, lecz więźniowie żadnego obozu nie złączyli się z sobą na wolności tak jak byli więźniowie z Gusen.

Na zakończenie swoich wspomnień przytoczę słowa kolegi, Stanisława Nogaja, który powiedział kiedyś coś w tym sensie: „Ci, którzy nie byli sami w obozie, niech nie sądzą tych, którzy tam przebywali". Tak, miał rację Nogaj. Co może powiedzieć o życiu w obozie ten, który tam nie był? Gotów jest sądzić każdego za jego poszczególny czyn, nie zdając sobie sprawy z warunków ogólnych i zwierzęcej walki o byt. Niejeden z więźniów bandytów cieszył się na wolności szacunkiem i poważaniem jako dobry, kulturalny człowiek i gdyby nie dostał się do obozu, byłby takim przez całe życie. Ci, co nie byli w obozie, gdy im opowiada ktoś albo czytają coś o obozie –

niech powstrzymają się od wydawania swego sądu o ludziach i wypadkach, bo sądem swym skrzywdzić mogą tych ludzi.

Aneks: Konkurs kompozytorski na bloku numer jeden

Lato 1944 roku. Obóz koncentracyjny Gusen niczym nie różnił się od innych „obozów zagłady”, jak popularnie nazywane są obozy koncentracyjne. Mimo że warunki zmieniły się na lepsze w porównaniu z okresem do 1943 roku, w obozie wciąż był głód i mordownia. Ci, którzy w tym czasie dostali się do obozu, mówili, że trafili do piekła. Dla starych więźniów warunki obecne były rajem. Większość niedziel mijała bez większych szykan. Każdy mógł robić, co chciał: leżeć w ubraniu na łóżku, spacerować po obozie, odwiedzać kolegów na innych blokach. Tylko bloki numer jeden i dwa, bloki arystokracji obozowej, tak zwane prominenckie, niedostępne były dla zwykłego szarego więźnia, którego pogardliwie nazywano „muzułmanem”. Prawo wejścia na te bloki mieli tylko nieliczni prominenci zamieszkali na blokach muzułmańskich. Przepustką do wejścia na te bloki była wyżarta gęba i ładne, czyste ubranie.

Mieszkańcy bloków prominenckich to więźniowie pracujący wśród esesmanów: w szpitalu, w kuchni, w magazynach, kantynie, fryzjerzy i krawcy, oraz więźniowie pracujący w komendanturze obozowej, kancelarii, biurze projektów budowlanych – bo i takie też było, lub w innej małej uprzywilejowanej grupie roboczej.

Ludzie ci byli zawsze ładnie i ciepło ubrani, nie chodzili nigdy głodni i nie byli narażeni na bicie przy pracy i na bloku. Wielką sensacją było, jeśli ktoś z nich dostał w pysk od esesmana. Wielu z nich dostało się na dobrą funkcję głową – dzięki posiadanym kwalifikacjom. Wielu wręcz przeciwnie. U niektórych decydował przypadek i zbieg okoliczności. Kto

miał do czegoś talent, starał się go dobrze reklamować i sprzedać za dobrą posadę w obozie. Bo dobra posada to właśnie blok prominencki numer jeden lub dwa i wszystkie związane z pracą i blokiem przywileje.

Większość prominentów z pogardą patrzyła na brudnych, obdartych i głodnych muzułmanów. Ci z nich, którzy mieli jedzenia więcej, niż sami dali radę zjeść, pomagali innym bezinteresownie lub dawali za otrzymane usługi. Normalnym widokiem byli ludzie, którzy za otrzymaną w południe miskę zupy wieczorem czyścili buty swoim ofiarodawcom lub otrzymywali do prania ich prywatną bieliznę.

Marzeniem starego więźnia było dostać się do takiej pracy, z tytułu której mógłby stać się mieszkańcem jednego z tych bloków, bo to już była prawie całkowita szansa przeżycia obozu. Czas przeżyty w obozie nie był dla wszystkich więźniów jednakowy. Cechą wspólną jest tylko czas kalendarzowy. Prominentowi łatwiej było przeżyć rok niż muzułmanowi tydzień.

Niedziela. Więźniowie pracujący w zakładach zbrojeniowych wyszli do pracy tak jak każdego innego dnia i tak jak każdej innej niedzieli. Członkowie orkiestry warszawiaków dzięki popularności, jaką cieszą się w obozie, załatwili tak, że żaden do pracy tego dnia nie wyszedł, chociaż z sześciu członków zespołu pięciu pracuje w zakładach zbrojeniowych Steyra. Teraz zebrali się wszyscy, żeby umówić się, na który blok wieczorem, po kolacji, pójdą grać.

– Dotychczas nikt się nie zgłosił z zamówieniem, więc albo będziemy grali na bloku młodocianych, albo na jednym z bloków muzułmańskich – odpowiedziałem na pytania kolegów.

– Musimy szybko się zdecydować, bo jak wyjdziemy na obóz, to będą nas ludzie pytali i trzeba będzie informować – odezwał się Maciek, nasz perkusista.

– Ci, co chcą nas słuchać, sami nas znajdą – odpowiedziałem. – Ale jak do chwili obecnej nikt nie zgłosił się z zamówieniem, to ja proponuję blok szesnasty – młodocianych. Niech „nagniotki" mają trochę rozrywki przy niedzieli, a i bez tego nie będzie, żeby blokowy nie odpalił ze dwóch setek papierosów. Kantyniarz przecież, papierosów ma dużo, a nas lubi i jak zamawia granie, to najlepiej płaci.

– Gdzie dzisiaj chłopaki gracie? – zapytał Józek, pracownik kuchni, który w tej chwili zjawił się w naszym kącie na sztubie.

– Przeczytam wam śliczny wiersz – powiedział znów, gdy już powiedziałem, że gramy na szesnastce: – Posłuchajcie:

„Niech ten okrutny czas zatrzyma zegar
Niech śpią te nędzne a żywe łachmany".

Wiersz był długi i mówił o okropnościach życia w obozie. Mówił o człowieku, który tęsknił za wolnością i który poszedł w nocy szukać śmierci na drutach naładowanych elektrycznością. Załamały go ciężkie warunki.

„Wtem strzał".

– Do dupy z takim wierszem – odezwałem się głośno, przerywając Józkowi czytanie. – Powiedz mi lepiej, co za idiota pisze takie wiersze i dla kogo. Właśnie dla kogo, bo kto to ja się domyślam. na pewno ktoś z waszego bloku – wyżarty prominent, któremu się wydaje, że jak napisze taki wiersz, to będzie wyglądało, że i on jest jednym z tych „żywych łachmanów".

– A co, tobie się ta twórczość nie podoba? – zapytał Józek zaczepnie.

– Bardzo mi się podoba, ale ja jestem wyżarty, a poza tym znasz mnie tyle lat i wiesz, że mnie nic nie potrafi załamać. Ale niech twój poeta powie ten wiersz muzułmanowi, który dopiero trzy miesiące siedzi w obozie, to nie zaręczam, czy taki baran się nie przejmie i w nocy nie pójdzie na druty. Niech jeden z drugim układa takie wiersze, ale niech odkłada dla wydania na wolności, żeby ci, którym udało się nie być w obozie, poznali z tej twórczości nasze życie i warunki.

– Ja uważam jednak, że taka twórczość jest potrzebna – upierał się Józek przy swoim zdaniu – przypomina ona ludziom, gdzie i w jakich warunkach się znajdują.

– To chyba tylko waszym prominentom trzeba o tym przypominać, bo różne występy, konkursy poetyckie, koncerty – wszystko to odbywa się w zasadzie tylko na bloku pierwszym lub drugim. A muzułmani co z tego mają? – zapytałem już ze złością. – Popatrz na „Wuja Patyka". Czy jemu też trzeba przypominać, gdzie się znajduje? Jemu to wczoraj przypomniał kapo „Żaba" dużym francuskim kluczem. Zbił go za to, że robił sobie na hali skręta.

Wszyscy spojrzeli na „Wuja Patyka" i jednocześnie parsknęli śmiechem na widok jego śmiesznie uformowanej twarzy. Kapo zbił go tak, że czoło miał spuchnięte z lewej strony, a szczękę z prawej. do tego podbite oko

i spuchnięte usta. Przypuszczaliśmy też, że ma połamane żebra, bo nie mógł się poruszać i oddychać.

– Przestańcie się śmiać, do cholery. Mówię poważnie – prosił „Wujo Patyk", uśmiechając się krzywo, co nas pobudziło do jeszcze większego śmiechu. – Wiecie przecież, że ja nie mogę się śmiać.

– Co mi teraz powiesz? – zapytałem Józia.

– Nic.

– No to ja ci powiem, komu to wszystko jest potrzebne w obozie. Najpiękniejsza twórczość poetycka i literacka nie zastąpi muzułmanowi dodatkowej miski zupy dziennie, a strawa duchowa jest dopiero wtedy dobrze przetrawiana, gdy się ją przyjmuje na pełny żołądek. Ale każdy towar potrzebuje reklamy. Popatrz na Tadka. Piosenkarz znany w całej Polsce. Czym by był w obozie, gdyby nie potrafił śpiewać? Dlatego śpiewa. Ale śpiewa tylko na blokach prominenckich i przy esesmanach, bo na nich mu tylko zależy. Dlaczego nie pójdzie z wesołą piosenką na bloki muzułmańskie? Bo oni nie są mu do niczego potrzebni. Taki artysta jeden z drugim dobrze zareklamował swoją twórczość. Komuś to się podobało i ulokował faceta na dobrej funkcji, więc teraz tworzy trochę z nudów i dla podtrzymania swojej popularności. Ale ich romantyzm jest tylko romantyzmem koryta, czyli słaby. Chciał mnie jeden z waszych prominentów przekonać o wielkiej roli meczów piłki nożnej dla zwykłego więźnia. Że niby piłka nożna bez reszty zajmuje blokowych i kapów bandytów, dlatego mniej mordują ludzi. Nie wszyscy bandyci grają w piłkę nożną, a mecze odbywają się tylko w niedzielę, co im nie przeszkadza przez cały pozostały czas w mordowaniu ludzi. My też gramy na waszych blokach dla reklamy i dodatkowo dla zarobku, bo łatwiej później załatwić każdą sprawę z mieszkańcami waszego bloku, a w dodatku wpadnie nam zawsze trochę papierosów. Ale przecież nie możemy grać zawsze tylko na bloku pierwszym lub drugim, więc gramy też na blokach muzułmańskich, na których nie liczymy na żadną protekcję i znajomości. Wpadnie po kilka papierosów – dobrze, nie wpadnie – też dobrze. Ale nikomu chyba bardziej nie należy się dać trochę rozrywki i humoru jak właśnie tym głodnym i obdartym ludziom, z których wielu już czeka tylko śmierć, a wielu już stoi na granicy wytrzymałości i załamania.

Więc wy bawcie się dalej. Układajcie piosenki i wiersze, grajcie w piłkę nożną, urządzajcie koncerty muzyki poważnej, a my będziemy dalej grali jednakowo prominentom i muzułmanom. A teraz idę na obóz, może uda się zorganizować coś do żarcia, mam przecież kogo żywić i ubierać.

Wyszedłem z bloku i zastanowiłem się, gdzie wyskoczyć i po co. Pójdę do Heńka na blok pierwszy. Jeśli dostał paczkę z domu, to chleb już będzie dla mnie, a raczej dla moich podopiecznych, którym pomagałem. Skierowałem się w stronę bloku pierwszego. Przed umywalnią stoi duża grupa muzułmanów. Czekają na okazję otrzymania miski zupy lub niedopałka papierosa. Często na bloku wydają dodatkowe jedzenie i niejeden gdy wyniesie jedzenie, żeby oddać znajomemu, a jego nie ma, oddaje temu, który pierwszy przyskoczy z czystą miską. Umywalnie i ubikacje stoją prostopadle do bloków, przedzielone uliczką, i na tej właśnie uliczce stoi zawsze duża grupa nędzarzy, każdy z miską pod pachą. Przed blokiem nie wolno im stać, bo przy szczytach bloku siedzą wartownicy i pilnują, żeby żaden muzułman nie przeszedł dalej. Wartownicy to mieszkańcy bloku pierwszego, którzy wyznaczają sobie kolejno dyżury.

Byłem wyżarty, więc miałem wolny wstęp do „strefy zakazanej" dla muzułmanów. Tego dnia było gorąco, więc miałem na sobie tylko szorty, a na nogach trepki.

Wszedłem na sztubę A i zatrzymałem się przy drzwiach, żeby zobaczyć, co tu się odbywa. A tam faktycznie coś się odbywało. Część mieszkańców bloku siedziała na stołkach za stołami stojącymi na środku sztuby. Inni, dla których nie starczyło miejsca, leżeli na łóżkach z głowami wysuniętymi na zewnątrz, żeby dobrze widzieć, co się dzieje na środku. A tam Tadek Faliszewski, piosenkarz z Warszawy, śpiewał przy akompaniamencie harmonii. Śpiewał nieznane mi tango o banalnej treści. Skończył, widownia biła brawo, po czym nastąpiła mała przerwa, w czasie której Tadek podszedł do stojącego z boku stołu, za którym siedziało kilku prominentów. Wrócił na środek sztuby z jakimś papierem w ręku, drugi doręczono harmoniście. Cisza, i po chwili znów Tadek śpiewa. Słucham, i co to? Nieznana mi znów piosenka, ale słowa te same. Gdy następnie zaśpiewał poloneza i słowa znów były te same, przesunąłem się na tył sztuby, żeby zobaczyć się z Heńkiem i dowiedzieć się, czy nie ma niepotrzebnego chleba. Heniek to kolega, z którym od

pierwszego dnia siedzieliśmy razem w obozie i który z tytułu starej znajomości i wielu wspólnych przeżyć pomagał mi bezinteresownie. Był on kapem esesmańskiego magazynu bieliźnianego. Niestety tym razem nic od niego nie dostałem, bo ostatnio nie otrzymał żadnej paczki.

– Co tu się u was wyprawia? – zapytałem, wskazując głową w kierunku Tadka, który już śpiewał inną piosenkę, a słowa wciąż były te same.

– Nie widzisz – odpowiedział z przekąsem. – Głupcy się bawią. Urządzili konkurs kompozytorski. Jeden ułożył słowa, kilku innych różne melodie i teraz Tadek śpiewa, a komisja rozstrzygnie, komu przyznać pierwsze miejsce. Nudzą się, więc coś przecież muszą robić.

– Sęk im w oko, niech się bawią, ja urywam się dalej. Pójdę jeszcze pod kuchnię. Kazio powinien odpalić z pół kotła żarcia, a przed tym jeszcze na kamerę, muszę zorganizować kilka par skarpet dla szefa kuchni, esesmana. Kazio mnie prosił. Będzie miał większe fory u szefa, a ja będę miał więcej żarcia dla swoich chłopaków.

– Dobrze, że mi przypomniałeś – ucieszył się Heniek. – Ja też coś potrzebuję dla swojego „stołowego". Postaraj się dla mnie o dwie jedwabne koszule i jeśli będzie, to jedną jedwabną piżamę, bo ostatnio mój szef zaczął podskakiwać, więc muszę mu czymś zatkać mordę. Ja za to będę mógł dać mydła do golenia, do prania, ręczniki, prześcieradła. No wiesz zresztą, wszystko to, co ja mam w swoim magazynie, a po chleb przyjdź jutro. Jak nie dostanę paczki, to ci dam ze dwa bochenki naszego chleba.

Gdy wyszedłem przed blok, pomyślałem, że lepiej jednak zobaczyć, co się dzieje pod kuchnią i czy już wystawiają jedzenie, bo magazyn odzieżowy mi nie ucieknie, a tu trzeba pilnować momentu wydawania kotłów na bloki i patrzeć, kiedy Kazio da znak, żeby podejść i zabrać kocioł przeznaczony dla mnie, a raczej dla moich podopiecznych. Bo później wyniosę jeszcze z kuchni w wiaderku od marmolady specjalne jedzenie dla mnie i kolegów z orkiestry. Bo Kazio jest portierem w kuchni i opiekunem orkiestry warszawiaków.

Skierowałem się w stronę placu apelowego. Szedłem wolno rozgrzaną słońcem uliczką, a za mną szedł jakiś facet, który z konewki podlewał wodą uliczkę. Kilka razy oblał mi nogi, ale nawet się nie obejrzałem. Przecież było gorąco, a ja tylko w szortach i trepkach. Przy szczycie

baraku, tuż przy placu apelowym, na stołku ustawionym w cieniu siedział wartownik. Był to Czesiek, który pracował od początku pobytu w obozie w grupie Heńka, to znaczy w magazynie bieliźnianym SS, a na różnych występach popisywał się śpiewem. W odległości kilku metrów od baraku, już na placu apelowym stała grupa muzułmanów. Ci czekali tylko na okazję zdobycia niedopałka, bo w tym kierunku nikt z bloku pierwszego jedzenia nie wynosił. Gdy szedł prominent z papierosem w zębach pospacerować po placu apelowym, z grupy muzułmanów oddzielił się jeden lub dwóch i chodzili za nim aż do chwili, gdy odrzuci od siebie niedopałek. Wtedy muzułmani rzucali się na niedopałek i który był szybszy, ten podniósł pierwszy. Jeśli prominent był kulturalniejszy i nie brzydził się muzułmana, dawał niedopałek jednemu do ręki, a gdy niedopałek był większy, to kazał wypalić do spółki.

Zanim doszedłem do szczytu baraku, ten, co polewał, już mnie minął. Teraz był tuż przy muzułmanach, których lał wodą po nogach. Gdy ci, człapiąc wolno, zaczęli uciekać, Czesiek, siedząc pod barakiem, zawołał zachęcająco:

– Lej po nich! Po nich lej!

Więc ten machnął konewką i leje po nich. Muzułmani poruszają się wolno, bo nie mają sił uciekać. A ten goni i leje, tak jak mu radził Czesiek.

– I czego się baranie wygłupiasz! – zawołałem głośno. Zatrzymał się i patrzy, kto to tak grzecznie do niego przemawia, a ja, zbliżając się, mówiłem głośno i ze złością: – To tak właśnie jest w obozie. Teraz czujesz się ważny. Wygłupiasz się i lejesz wodą muzułmanów. A jutro w robocie ktoś jeszcze ważniejszy też się wygłupi i ci mordę obije.

– A co? Może ty? – odpowiedział zaczepnie. – No to chodź, spróbuj.

No, chłopcze, pomyliłeś się, u mnie kupisz szybko, pomyślałem. Skręciłem w jego stronę i idąc normalnym krokiem i z normalną miną, zbliżyłem się do niego. Gdy doszedłem, raptownym ruchem strzeliłem łbem. Frajer frunął do tyłu, potoczył się kilka metrów i upadł na wznak. Poderwał się i pędzi do mnie z uniesioną do góry konewką. Gdy już szykował się do uderzenia, wyprysnąłem do przodu i znów strzeliłem łbem, a facet leży. W tym momencie już jest przy mnie Czesiek i wrzeszczy:

– Za co go uderzyłeś, co?

– Za to, że lał wodą muzułmanów – odpowiedziałem spokojnie, tak jakby się przed chwilą nic nie działo, mimo że już wpadłem w zapał do dalszej burdy.

– Lał, bo ja mu kazałem. Po cholerę stoją przed blokiem, a ja przez nich muszę tu siedzieć, zamiast na bloku słuchać konkursu.

– Stali na placu apelowym, a tam im wolno stać. Będzie miał baran nauczkę, że nie można być mocnym do muzułmanów. Prosił, to dostał – dodałem zadowolony, że jednak nosa i gęby mu nie rozbiłem.

– A co? – zapytał Czesiek kpiąco. – Zapomniałeś już, jak sam byłeś muzułmanem? Jak żeś, o tak, chodził – mówiąc to, wykonał trzęsący ruch, jaki muzułmanie robili ramionami, żeby rozgrzać się trochę, gdy im było zimno.

– Nie, nie zapomniałem – odpowiedziałem wolno, a prowokacyjnie dodałem: – Wtedy każde bydlę, takie jak ty czy ten – wskazałem głową polewacza – mogło mnie uderzyć czy popchnąć. za to teraz sam się nie dam uderzyć i innych nie dam.

– No, no. Masz szczęście, że nie na mnie trafiłeś, ja bym ci pokazał, jak się bije – powiedział znów Czesiek chełpliwie.

– Tak? No to rusz się tylko – zawołałem, przyjmując czujną i bojową postawę. – No drgnij, frajerze, to cię tak przewiozę, jak cię już dawno nikt chyba nie przewiózł. No, pokaż, jak ty bijesz?

– Czekaj, czekaj, wpadniesz ty jeszcze kiedy na mnie – odgryzł się Czesiek, wracając do swego stołka.

– Masz mnie teraz – zakpiłem – po co czekać na okazję, lepsza może się nie trafić. Albo idź na blok i zawołaj pomoc. Tylko że teraz nikt nie przyjdzie. Każdy zajęty. Bawią się. Konkurs kompozytorski. Oj, wy barany, barany – dodałem, odchodząc – za dobrze wam się powodzi. Dla ciebie konkursy, a muzułmana wodą i po łbie.

Poszedłem pod kuchnię. Okazało się, że kończą wystawianie kotłów z obiadową zupą. Złapałem dwóch znajomych chłopaków i kazałem postać im ze mną. Po kilku minutach już brano kotły na bloki. W odpowiednim momencie Kazio, który przydzielał kotły dla bloków, dał znak, że trzeba podejść. Chłopaki podeszli i już po chwili nieśli na nasz blok kocioł z zupą. Uchyliłem pokrywę, kocioł prawie pełny. Chłopaki będą mieli wyżerkę. Każdy otrzyma prawie dwa litry zupy. Będą mieli

dobrą niedzielę. A przed kolacją znów trzeba pilnować, żeby poderwać spod kuchni kocioł słodkiej kawy, którą raz w tygodniu, w niedzielę, dostajemy od Kazia. Poprosiłem kolegę z orkiestry, żeby tym, którzy się zgłoszą, wydawał zupę, a sam poszedłem do Janusza. Janusz był kierownikiem magazynu odzieżowego dla więźniów. Drzwi magazynu były zamknięte, ale gdy zapukałem w umowny sposób w okno, zostałem wpuszczony do środka.

Niedziela to najlepszy dzień do „organizowania" w magazynie. Szewcy, krawcy i wszelka swołocz łącznie z szefem esesmanem mają dzień wolny od pracy, a klucz mają tylko szef i Janusz. Żaden pracownik w tym czasie nie przyjdzie, a jak nawet przyjdzie, to też nie dostanie się do środka. Uważać tylko trzeba, żeby w czasie organizowania szef nas nie przyłapał, bo wtedy już mogiła, a właściwie krematorium.

Powiedziałem Januszowi, co dzisiaj potrzebuję i dla kogo.

– Dobrze – odpowiedział – ale wyskocz i ustaw na trasie kilku swoich chłopaków i niech pilnują, żeby nas stary nie zaskoczył.

Wróciłem na blok, a gdy po kilku minutach wróciłem do magazynu, na trasie od placu apelowego do magazynu stało w pewnych odstępach kilku zaufanych kolegów, których zadaniem było ostrzec nas, gdyby do obozu wszedł „stary".

Po chwili już otwieraliśmy dorobionym kluczem drzwi do pokoju szefa i następnie do magazynu specjalnego z cywilną odzieżą i bielizną, który znajdował się w szczycie baraku za pokojem szefa. Z zachowaniem wszelkich środków ostrożności wybieraliśmy potrzebne nam rzeczy. Wybraliśmy dużo więcej, niż potrzebowałem, żeby zbyt często nie korzystać z tego sposobu. To, co miało być za chwilę wyniesione, odłożyłem osobno, a inne sztuki zamelinowaliśmy w stosach starych muzułmańskich ciuchów, które przeznaczone były dla masy szarych więźniów.

Do rzeczy przeznaczonych dla Kazia i Janusza odłożyłem jeszcze kilka par skarpet dla siebie i kolegów z orkiestry, dwie pary butów skórzanych na drewnianej podeszwie i spodnie dla podopiecznych i z całym tym majdanem przetasowałem się do swojego baraku poprzedzony przez ostatniego kolegę z ustawionej poprzednio pikiety. Teraz szedł on przodem i wytrzeszczał oczy przed siebie, żeby z daleka już zobaczyć i ostrzec mnie, gdyby przypadkiem szedł jakiś esesman. Już na bloku

rozdzieliłem wszystko między kolegów. A to znów po to, żeby w wypadku przypadkowej rewizji nie znaleziono tego w jednym miejscu. Każdy miał prawo mieć własną bieliznę otrzymaną w paczce, ale taki majdan łącznie z butami i spodniami to już mogło być podpadające. Teraz pozostało mi jeszcze zająć się przyniesieniem z kuchni wiaderka z jedzeniem dla orkiestry i kotła słodkiej kawy, po czym zaniosłem do Heńka na blok pierwszy zamówioną przez niego bieliznę. Przed blokiem wszystko było tak jak poprzednio, a więc muzułmani z miskami i wartownicy przy szczytach bloków, a w bloku zabawa trwała dalej. Konkurs kompozytorski już widocznie został zakończony, bo teraz śpiewał Czesiek, drąc mordę, jakby go kto ze skóry obdzierał. Przechodząc w koniec sztuby, spojrzałem na niego z nienawiścią, gdyż przypomniałem sobie niedawną scenę z muzułmanami.

– Oto arystokracja – pomyślałem. – Bawią się sami dla siebie, a „motłochowi wstęp wzbroniony".

Wieczorem całym zespołem poszliśmy grać na bloku młodzieżowych. Chłopcy przywitali nas z entuzjazmem, zadowoleni, że będą mieli przyjemny wieczór. Już na drodze przyłączyli się do nas muzułmani i weszli razem z nami do bloku. Gdy zaczęliśmy grać, do środka baraku wchodził każdy, kto usłyszał muzykę przez otwarte okna. na koncert warszawiaków wstęp wolny dla wszystkich. Lekkie melodie taneczne, które grając, równocześnie śpiewaliśmy, przeplatane były piosenkami ludowymi i wojskowymi. Był więc Szyldwach, Warszawianka, Kwiaty polskie. Gdy blokowy poprosił o zagranie Marsylianki, przy okazji zagraliśmy i śpiewaliśmy Gdy naród do boju. W przerwach popisywał się „Piekutoszczak" – nasz samorodny humorysta i komik, typowy przedstawiciel przedmieść Warszawy, który recytował wesołe „szemrane" monologi. Sztuba szczelnie nabita ludźmi, którzy przyszli nas posłuchać. Wśród gości stoją też kapowie, blokowi i prominenci z bloków pierwszego i drugiego. To ci, którym bardziej odpowiada nasz repertuar i którzy nie brzydzą się wejść między muzułmanów. od czasu do czasu ktoś z prominentów prosi o zagranie jego ulubionej melodii i płaci dziesięć–dwadzieścia, a nawet pięćdziesiąt papierosów, w zależności od jego gestu i możliwości. Jeśli ktoś prosi i nic nie daje, też gramy. Z pośród widzów wystąpił Włoch i prosi nas o pozwolenie zaśpiewania.

– Śpiewaj, oby tylko ładnie.

Zaśpiewał przy naszym akompaniamencie. Naprawdę ładnie.

– No to śpiewaj dalej.

Jest i drugi Włoch, amator śpiewu.

– Śpiewaj, proszę bardzo. W tym czasie odpocznie nasz śpiewak, który już się trochę zmęczył. Gramy i śpiewamy dla wszystkich. Kto chce i potrafi, może brać udział.

Wreszcie blokowy daje nam znak, że czas kończyć, bo już jest po pierwszym dzwonku, którego nie słyszeliśmy. Goście z innych bloków rozchodzą się. Mieszkańcy sztuby szykują do spania swoje łóżka, a my składamy instrumenty. Blokowy daje nam dwieście papierosów, tłumacząc się, że nie jest dzisiaj przygotowany i więcej dać nam nie może. I to dobre. Szliśmy grać, nie licząc wcale na zarobek. Chcieliśmy dać tylko trochę rozrywki biednym, szarym więźniom. do siebie wracaliśmy już po drugim dzwonku, to znaczy po wygaszeniu świateł na blokach, a idąc, śpiewaliśmy cicho na głosy. W ciemnych oknach baraków ukazywały się twarze muzułmanów, którzy pozdrawiali nas machaniem ręki.

Rok 1958. na umówionym spotkaniu w kawiarni zeszła się duża grupa byłych więźniów obozu koncentracyjnego Gusen. Część obecnych starych więźniów to mieszkańcy bloków prominenckich. na nasze spotkanie przyszedł też Czesiek, który w tym czasie przyjechał do Warszawy w sprawach służbowych. W pewnym momencie słyszę, jak Czesiek mówi do kolegów:

– Obecnie ściągam materiały, bo mam zamiar napisać książkę o drugim nurcie życia obozowego. Z dotychczasowych książek wynika tak, jakby życie w obozie kręciło się tylko wokół organizowania miski zupy i uchylania się od pracy, a przecież nie tylko to robiło się w obozie. Nikt nie opisuje pięknej twórczości poetyckiej, literackiej. Pamiętacie przecież, że były konkursy poetyckie, był też konkurs kompozytorski…

– Tylko nie zapomnij napisać i o swojej roli w tym konkursie – odezwałem się głośno. – Ja też pamiętam ten konkurs. Twoim udziałem było wtedy pilnowanie na szczycie bloku przy placu apelowym, żeby jaki

muzułman nie podszedł pod blok, bo mógłby posłyszeć, jak się prominenci bawią.

– No, nie gadaj głupstw – zaperzył się Czesiek. – Wiesz chyba, że pracowaliśmy wśród esesmanów, a taki muzułman mógł nam przynieść wszy.

– To dlatego kazałeś lać po nich wodą, żeby ich uczyć czystości? – zapytałem ironicznie. – Chcesz, to opisuj swoje konkursy i piękną twórczość. Ja jednak mówię, że twórczość ta była tylko zabawą wyżartych dla wyżartych, a to, co robił zespół warszawiaków, chociaż nie miało może poziomu artystycznego na waszą miarę, była to jednak rozrywka dla wszystkich prominentów i muzułmanów

Nota edytorska

Pięć lat kacetu po raz pierwszy ukazało się w 1958 roku i to wydanie zostało przyjęte jako podstawa niniejszej edycji.

W archiwum pozostawionym przez autora zachował się rękopis.

Przygotowując wydanie, skolacjonowano tekst pierwszego wydania z rękopisem.

Czytelnicy od początku pokochali Grzesiuka za prosty, chropowaty i niewyszukany styl, który nie został naruszony. Autor wielokrotnie podkreślał, że nie znosił i nie chciał się uczyć języka niemieckiego, więc w zgodzie z rękopisem przywrócono zapis fonetyczny słów pochodzenia niemieckiego.

Stanisław Grzesiuk bardzo chętnie słuchał rad swoich redaktorów, musiał też brać pod uwagę cenzurę polityczną oraz uwarunkowania obyczajowe i poprawnościowe swoich czasów.

Za ich namową w pierwotnej redakcji tekstu zostało usuniętych kilka scen. Autor świadom był także delikatności tematu i siły swojej opowieści dlatego zdecydował się na usunięcia. Wszystkie wyżej wymienione fragmenty w tym wydaniu przywrócono. Przywrócony tekst wyróżniono pogrubieniem.

Nie przywrócono nielicznych fragmentów, przy których skreślenia albo notatki autora nie pozostawiały złudzeń, że intencją było ich usunięcie.

Spis treści

Autor o książce
Najważniejsze recenzje
*
W drodze do Dachau
Dachau
Mauthausen
Gusen
*
Aneks: Konkurs kompozytorski na bloku numer jeden
Nota edytorska